


PIERWSZE OBOZ Y KONCENTRACYJNE NIEMCY ZBUDOWALI W AFRYCE

DAVID OLUSOGA
CASPER W. ERICHSEN
ZBRODNIA
KAJZERA



 ELKA LITERA

David Olusoga

Casper W. Erichsen

Zbrodnia Kajzera

Przełożył Piotr Tarczyński



Książka ta poświęcona jest pamięci

Jørna Wulffa

Karen Wulff

Olorunjube Franklina Ojomo

Wstęp

Cela numer 5

14 października 1946 roku o godzinie 22.00 szeregowy Harold F. Johnson z kompanii C 26. regimentu piechoty armii Stanów Zjednoczonych przeszedł korytarzem prowadzącym do celi numer 5. Zająwszy stanowisko, na którym miał spędzić następne kilka godzin, zajrzał przez wizjer do celi. „Więzień leżał na plecach, z rękoma wzdłuż ciała, na kocu – zeznawał potem przed komisją śledczą Johnson. – Pozostawał w tej pozycji przez około pięć minut, nawet nie drgnąwszy”. Około 22.40 – informował Johnson – jeńiec „złożył ręce na piersi, splótł palce i zwrócił głowę w stronę ściany (...)”. Leżał tak przez dwie albo trzy minuty. (...) Później zdawało się, że stężał i zaczął wydawać ustami odgłosy dmuchania i krztuszenia się”. Szeregowy Johnson podniósł alarm i zawołał dowódcę zmiany, porucznika Cromera, który głośno zbiegł spiralną klatką schodową z piętra wyżej. Za nim przybiegł więzienny kapelan, kapitan Henry F. Gerecke. Dopiero kiedy byli wszyscy trzej, Johnson otworzył drzwi do celi. Cromer ominął pozostałych i wpadł pierwszy, za nim kapelan, a na końcu Johnson „trzymając światło”. Kapelan Gerecke schylił się i chwycił więźnia za prawie ramię, które zwisało bezwładnie z metalowego łóżka. Gorączkowo szukał pulsu, po czym powiedział: „Mój Boże, ten człowiek nie żyje”^[1].

Więzień, który leżał martwy w celi numer 5 więzienia w Norymberdze, z resztkami ampułki z cyjankiem w ustach, był niegdyś premierem Prus, przewodniczącym Reichstagu, dowódcą budzącego największy lęk lotnictwa Europy, a także bezwzględny zarządcą, odpowiedzialnym za

wyniszczającą eksploatację Europy Wschodniej. Uważał się – i zaledwie kilka tygodni wcześniej przechwalał się tym przed swoimi strażnikami – za „postać historyczną” oraz był przekonany, że „za pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat” w całych Niemczech będą stać jego pomniki. Nazywał się Hermann Göring i w ostatnich chwilach swojego dziwnego życia udało mu się oszukać kata, popełniając samobójstwo zaledwie dwie godziny przed planowaną egzekucją.



Siedem miesięcy wcześniej, w mowie otwierającej proces głównych niemieckich zbrodniarzy wojennych, amerykański Główny Prokurator, Robert H. Jackson, określił procesy norymberskie jako „największe seminarium historyczne w dziejach”. Samo wniesienie sprawy wymagało wielkiej pracy: ekipa badaczy, historyków, tłumaczy, archiwistów, dokumentalistów zebrała i skatalogowała, oszacowała i wyliczyła wszystkie akty przemocy i zbrodnie, jakie popełniono w czasie dwunastu lat istnienia „Tysiącletniej Rzeszy” Hitlera. Z tych milionów indywidualnych tragedii stworzono akt oskarżenia. Dokumenty wskazujące na udział w tych zbrodniach dwudziestu trzech oskarżonych powielono, zindeksowano i przetłumaczono na francuski, rosyjski i angielski. Przygotowywanie sprawy przez prokuratorów mogło trwać dłużej niż rządy nazistów. Sam akt oskarżenia składał się z dwudziestu czterech tysięcy słów, a jego oficjalne odczytanie zabrało pierwsze trzy dni rozprawy.

W trakcie procesu oskarżonych pogrążyła dokumentacja ich własnych uczynków. Złożone przez nich podpisy na oficjalnych dokumentach świadczyły przeciwko nim. Odczytano im – a czasem wykrzyczano – obciążające ich stenogramy ze spotkań oraz podjęte przez nich uchwały. O swoich wstrząsających doświadczeniach opowiedzieli ci, którym udało się przeżyć więzienia i obozy koncentracyjne. Zapewne nigdzie i nigdy indziej praca historyków i archiwistów nie została wykorzystana w tak dramatycznym celu. Za naszych czasów dramaturgię Norymbergi do pewnego stopnia przypominała jeszcze tylko Komisja Prawdy i Pojednania, utworzona w Republice Południowej Afryki po upadku apartheidu.

To, co wydarzyło się w Norymberdze między listopadem 1945 roku a październikiem roku 1946, było czymś więcej niż tylko procesem – było wyszukaniem zwieńczeniem ogromnych zbiorowych egzorcyzmów odprawionych na całym narodzie niemieckim. Alianci uważali, że osądzenie pozostałych przy życiu członków nazistowskiej elity stanie się kluczowym momentem „denazyfikacji” Niemców. To, jak będzie wyglądał powojenny porządek, miało po części wynikać z tego, czy pobici i wyczerpani Niemcy zechcą odrzucić nazizm. Największe miasta leżały w gruzach, pięć milionów Niemców zginęło lub zmarło, a terytorium kraju znajdowało się pod okupacją czterech państw. Wszyscy, z wyjątkiem najbardziej fanatycznych nazistów, byli gotowi przyznać, że Trzecia Rzesza była nieszczęściem niebywałych rozmiarów. Kiedy w trakcie procesów

norymberskich zostali skonfrontowani z nieprzyjemną prawdą na temat tego, co uczynili nazistowskie Niemcy, niektórzy doszli jednak do innych wniosków. Nazistowscy przywódcy na ławie oskarżonych oraz tysiące tych, którzy wykonywali rozkazy, zaczęli być postrzegani jako „inni”. Ich działania były nieludzkie, a zatem, być może, nie byli ludźmi. Mając takich przywódców, Trzecia Rzesza była zdolna popełnić czyny potworne i dotychczas niespotykane w dziejach ludzkości. Wniosek był taki, że nazizm był jakimś wypaczeniem, brakiem ciągłości europejskiej historii.

To jednak nie innego jak tylko powojenny mit: pocieszająca fantazja, że nazisci byli jakimiś potworami, a ich zbrodnie unikalne i niemające precedensu w historii. Tak nie było. Duża część nazistowskiej ideologii i wiele zbrodni popełnionych w jej imieniu wpisywało się w pewien istniejący wcześniej nurt europejskiej historii. Nazizm był zarazem kulminacją i wypaczeniem wielu dekad historii i filozofii nie tylko niemieckiej, ale też europejskiej. Po części był zwieńczeniem teorii i praktyki, które Europejczycy rozwijali – i udoskonalali – w czasie imperialistycznego podboju odległych zakątków świata. Nie oznaczało to wcale, że na tym gruncie nieunikniony był rozwój nazizmu, ale z pewnością fakt ten sprawia, że łatwiej go zrozumieć. Wszystkie historyczne precedensy zostały jednak w Norymberdze zamiecione pod dywan. Na „największym seminarium historycznym” nie spojrzano bowiem wystarczająco daleko w przeszłość.



Procesy norymberskie zaczęły się od roku 1914, w którym nad Europą zaczęło dominować nowe barbarzyństwo. Dla państw oskarżycielskich to był rok zerowy. Wszystkie zgadzały się co do tego, że to I wojna światowa rozpoczęła dramat, który zapoczątkował ścieżkę prowadzącą do horrorów II wojny. Pokolenie, które okaleczyło swój kontynent, samo oszczędziło się ideologicznie i politycznie. Narodowościowe niesnaski i trauma wywołana przez masowe, zmechanizowane zabijanie zasiały ziarna okrucieństwa, które legło u podstaw nazizmu. Wszystko to, co było przed Sommą, Verdun i Ypres, traktowano w Norymberdze jako nieistotny szczegół. Zakładano, że ideologia nazistowska w gotowej formie wyłoniła się z chaosu i rozczarowań, które spowodowała klęska Niemiec w roku 1918.

Ta wąska perspektywa historyczna była czymś powszechnym – proces Hermanna Göringa był w tym względzie (choć chyba tylko w tym) typowy. Kiedy rankiem 13 marca rozpoczęły się przesłuchania, Göring poproszono o „krótkie streszczenie swojego życia do roku 1914”. Sędzia przewodniczący kilkakrotnie podkreślał potrzebę zwięzłości. Dopiero kiedy Göring doszedł do wybuchu I wojny światowej, poproszono go o rozwijanie niektórych zagadnień i zaczęło się zadawanie szczegółowych pytań^[2]. W ciągu trwającego 218 dni procesu Hermann Göring, który był głównym oskarżonym, wypowiedział tylko cztery zdania o swoim życiu do 1914 roku i o roli, jaką jego rodzina odegrała wcześniej w niemieckiej historii.

Tymczasem gdyby norymberscy prokuratorzy spojrzeli głębiej w przeszłość Göringa, odkryliby inną historię o obozach śmierci i rasistowskim ludobójstwie. Dostrzegliby, że idee wielu filozofów, naukowców i żołnierzy, które inspirowały Hitlera, były podstawą wcześniejszego, zapomnianego holokaustu. Mogliby wówczas rozpoznać pewną ciągłość niemieckiej historii i zrozumieć, że nazizm nie był niczym wyjątkowym. Mogliby również pojąć, jakie znaczenie miało te kilka zdań, które Göring wypowiedział na początku przesłuchania, opisując swoją rodzinę i świat sprzed roku 1914, który ukształtował jego i całe jego pokolenie.

Göring chciał z kolei wykorzystać swoje ostatnie wystąpienie na ławie oskarżonych w Norymberdze do tego, by ulokować Trzecią Rzeszę w głównym nurcie światowej historii. Jedną z jego linii obrony było twierdzenie, że nazizm i zasady, na jakich został zbudowany, nie były niczym wyjątkowym, lecz tylko germańskimi wcieleniami tych samych sił, które oskarżające go mocarstwa same stosowały w swoich imperiach w celu zwiększenia własnej potęgi.

Drugiego dnia przesłuchań obrońca Göringa, doktor Otto Stahmer, spytał swojego klienta o to, jak definiuje pojęcie Lebensraum^[3], teorię przestrzeni życiowej, na której opierały się plany niemieckiej inwazji na Związek Radziecki i plany jego kolonizacji. Göring odparł: „Ta koncepcja jest bardzo kontrowersyjna. W pełni potrafię zrozumieć, że mocarstwa – odnoszę się tylko do czterech mocarstw sygnatariuszy^[4] – które uważają ponad trzy czwarte świata za swoje, inaczej definiują to pojęcie”^[5].

Kilka dni później, rozmawiając w celi numer 5 z G.M. Gilbertem, psychologiem, któremu zezwolono na dostęp do oskarżonych w Norymberdze, Göring wprost porównał zbrodnie, o które był oskarżony, z tymi, których dokonano w zamorskich imperiach zwycięskich państw. Twierdził, że „(...) imperium brytyjskie nie zostało zbudowane z poszanowaniem zasad humanitaryzmu”, a „Ameryka już wyrąbała sobie drogę Lebensraumowi przez rewolucję, masakrę i wojnę”^[6].

Próby zrównania zbrodni Trzeciej Rzeszy z ludobójstwami i masakrami imperializmu łatwo było zbyć jako po prostu desperacką próbę obrony. Ale za tymi przechwałkami, arogancją i niemoralnością człowieka, który ewidentnie nie był w stanie stawić czoła własnym winom, leżała też niewygodna prawda.

Kiedy Göringa poproszono o to, by krótko opowiedział o swoim życiu przed rokiem 1914, wspominał o „kilku punktach, które są ważne dla mojej późniejszej kariery”. Powiedział sądowi o swoim ojcu, który był „pierwszym gubernatorem Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej”, zauważając, że na tym stanowisku „utrzymywał kontakty z dwoma brytyjskimi politykami, Cecillem Rhodesem i starszym Chamberlainem”^[7].

Ojciec Hermanna Göringa, doktor Heinrich Göring, odegrał w istocie kluczową rolę w późniejszej karierze syna. W 1885 roku kanclerz Otto von Bismarck polecił mu założenie niemieckiej kolonii

w Afryce Południowo-Zachodniej, dzisiejszej Namibii. Zadaniem doktora Göringa było powolne prowadzenie negocjacji z Afrykanami – dysponował skromnymi funduszami i nie miał żadnego oddziału wojskowego. Pięćdziesiąt lat później oficjalna biografia Hermanna Göringa bezwstydnie próbowała chwalić jego ojca jako twórcę imperium. Opisywała, jak „z oczami błyszczącymi z podekscytowania młody [Hermann] Göring słuchał wspomnień ojca na temat jego niegdysiejszych przygód. Dociekliwy i obdarzony wyobraźnią chłopak był (...) poruszony opowieściami o pracy ojca jako komisarza Rzeszy w Afryce Południowo-Zachodniej, podróżach przez pustynię Kalahari i walkach z Maharero, czarnym królem Okahandja”^[8].

Tak naprawdę w czasie pobytu w Afryce Heinrich Göring nigdy nie walczył z żadnymi „czarnymi królami”. Przez trzy lata podróżował po pustyniach z zapasem tak zwanych traktatów o opiece, desperacko próbując albo oszukać wodzów miejscowych ludów, albo im się podlizzać, byle tylko podpisali dokument, w którym zrzekali się swojej ziemi. Kiedy „opieka” okazywała się tylko pustą obietnicą, uznawano go za oszusta i natychmiast wyrzucano.

Tak jak wielu innych Niemców pod koniec XIX wieku, starszego Göringa do służby w Afryce skłoniło przekonanie, że w niedalekiej przyszłości kontynent ten stanie się przestrzenią życiową, którą będą mogli zająć Niemcy. Wyobrażano sobie, że czarni Afrykanie – poddani nowego, niemieckiego imperium kolonialnego – staną się tanią siłą roboczą dla niemieckich bauerów. Te plemiona, które nie pogodziłyby się ze służebnym statusem, musiałyby zmierzyć się z nowoczesną bronią Niemiec, która pewnego dnia miała pojawić się w Afryce Południowo-Zachodniej. Afrykanie, którzy stanęliby na drodze germańskiej rasy, mieli nie mieć żadnej przyszłości. Tak jak jego syn pięćdziesiąt lat później, doktor Heinrich Göring rozumiał, że słabsze ludy ziemi muszą paść łupem nacji silniejszych – i uważał to za sprawiedliwe.

W pewnych kręgach politycznych końca XIX wieku przekonania takie nie były niczym kontrowersyjnym. W Niemczech niektórzy pisarze i politycy zaczęli odróżniać Europejczyków od innych mieszkających znacznie bliżej ludów, które później Hitler miał nazwać „ludami kolonialnymi”. W ostatnich dekadach XIX wieku ludzie ci zaczęli argumentować, że przeznaczeniem Niemców jest stać się panami imperium na kontynencie europejskim. Niemcy spóźniły się na wyszarpywanie swojej części Afryki czy Azji, ale tuż za jej wschodnimi granicami, na terenach zamieszkałych przez Słowian – Polaków i Rosjan – znajdowała się cała przestrzeń, jakiej tylko mogły potrzebować.

Losy rodziny Göringa doskonale odzwierciedlają zmianę w kolonialnych ambicjach Niemiec. Ojciec i syn byli obaj z przekonania imperialistami. W czasie swojej krótkiej kariery kolonialnej ojciec próbował przy użyciu skromnych środków stworzyć skromne podstawy kolonii na pustyni południowo-zachodniej Afryki. Ponad pół wieku później jego syn, zarządzający przemysłowym potencjałem większej i zmobilizowanej Rzeszy, stworzył krótkotrwałe, ale ludobójcze imperium na

wschodzie Europy. O ile jednak ojciec, którego ofiarami byli czarni Afrykanie, pasuje nam do wizerunku kolonisty, o tyle syn już nie. Mimo to wojna nazistów na Wschodzie przyniosła imperialistyczną ekspansję, kolonialne osadnictwo oraz motywowane rasowo ludobójstwo.

Dziś wojnę tę przedstawia się zazwyczaj jako gigantyczną klęskę militarną. Bitwy na Łuku Kurskim, o Leningrad i Stalingrad są dziś dobrze znane, ale za linią frontu, na terenach cywilnych, które znalazły się pod okupacją niemiecką, toczyła się inna walka. Oczyszczano ziemię, konfiskowano zboże, niewolono miliony ludzi. Karne ekspedycje starły z powierzchni ziemi całe wioski – tak jak miało to miejsce w czasie stuleci ekspansji kolonialnej w Afryce, Azji i obu Amerykach. Na żyznej Ukrainie etniczni niemieccy farmerzy zamieszkiwali na ziemiach należących wcześniej do ukraińskich chłopów. W wielu przypadkach po prostu wprowadzali się do domów, z których wysiedlano Słowian, przejmując cały ich dobytek, podczas gdy poprzednich właścicieli wysyłano do obozów. Biurokraci w Berlinie całymi dniami planowali przesiedlenie milionów Niemców, kosztem milionów Słowian i Żydów.

W czasie ponurego procesu kolonizacji Hitler w swoim podziemnym bunkrze w Prusach Wschodnich do późnej nocy opowiadał generałom i partyjnym funkcjonariuszom o cudach imperium, które właśnie zaczynało powstawać. Bez końca perorował o wielkiej sieci autostrad, które połączyły nowe osady z Berlinem, o nowym pokoleniu żołnierzy-rolników, którzy staną się panami Wschodu, władcami słowiańskich hord. Miliony podludzi trzeba było zlikwidować, a resztę wytresować i przyzwyczać do prymitywnego życia – odmawiając im dobrodziejstw medycyny, wykształcenia, a nawet zupełnie podstawowych praw. Jeśli tubylcy, tak jak zdarzało się to we wcześniejszych imperiach, stawialiby opór swoim nowym panom, ich wioski zostałyby zbombardowane z powietrza.

Nazistowska wojna w celu zdobycia imperium na Wschodzie była klasyczną wojną kolonialną także z powodu ludobójstwa, o którym często się nie pamięta – szczególnie tego, którego dokonano na słowiańskich cywilach i radzieckich jeńcach wojennych. Kolonialne ludobójstwa zawsze były dość długim procesem masakr, głodów, zniewolenia i potajemnych eksterminacji, wojen, które nie przynosiły chwały, toteż o których zazwyczaj nie wspominało się w pamiętnikach. Pamięć o wojnach, które stworzyły brytyjskie i francuskie imperia, które zapewniały stałe dostawy kauczuku z belgijskiego Konga, które „oczyściły” argentyńską pampę i Wielkie Równiny Stanów Zjednoczonych, przyćmiła inna, elegantsza wersja historii kolonializmu, skupiająca się na wielkich bitwach i bohaterskich postaciach.

Imperia Drugiej i Trzeciej Rzeszy zmarły wkrótce po swoich narodzinach. Pierwsze odpowiedzialne było za śmierć setek tysięcy ludzi, drugie – milionów. Oba kierowały się nacjonalistyczną i rasistowską fantazją, której początków należy szukać w wieku XIX. W Norymberdze, ale i przez wiele lat później, nie pamiętano, że zbrodnie popełnione przez Trzecią Rzeszę miały swój precedens w niemieckiej historii. Koszmar, którego doświadczyli mieszkańcy

Europy Wschodniej w latach 40. XX wieku, był wyjątkowy pod względem skali i uprzemysłowienia zabijania – mieszanina rasizmu i fordyzmu była nazistowskim wynalazkiem – ale wiele innych rzeczy wcale nie było dla Niemców nowością.



Osiem tysięcy kilometrów od Norymbergi leży małe namibijskie miasteczko Lüderitz. Położone między zimnymi wodami południowego Atlantyku a nieskończonymi wydmiami pustyni Namib, jest bez wątpienia jednym z najdziwniejszych miejsc na ziemi. Morze wydm kończy się dosłownie na granicy miasteczka, diuny wyglądają, jak gdyby rozbiły obóz, czekając na pozwolenie, by wejść do osady. Rankiem, kiedy pustynię zasłania gruba kurtyna morskiej mgły, Lüderitz wygląda zupełnie nietropikalnie, przypominając raczej bazę arktyczną albo opuszczoną osadę wielorybników gdzieś na Falklandach albo Grenlandii. Nawet w ładny dzień miasto sprawia wrażenie, jak gdyby było na wpół opustoszałe.

Większość budynków, pomalowanych na jasne kolory – czerwienie, pomarańcze i żółcie – stoi rozproszona na kilku wzgórzach, które otaczają szeroką i wietrzną zatokę. Żywe kolory budynków kontrastują z wymytlonymi przez morze skałami wzgórz, przypominających pomarszczoną i zakurzoną skórę słonia. Główne aleje miasta niedawno wyasfaltowano, ale boczne ulice wciąż są raczej podziurawionymi i wyboistymi ścieżkami. Wszędzie pełno piasku, którego hałdy zalegają na rogach ulic. Gość przybywający statkiem nie zobaczy niczego, co mogłoby wskazywać na to, że znajduje się w Afryce. Na ładzie zdziwi go duża liczba białych ludzi mówiących po niemiecku oraz setki czarnych Afrykanów mówiących po afrykanersku, w języku Burów.

Dziś większość ludzi dociera do Lüderitz łądem. Szosa B4, prosta niczym asfaltowa strzała, przecina pustynię Namib po trasie dawnej linii kolei wąskotorowej, która łączyła osady na południu Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej z Zatoką Lüderitza, a stamtąd z wielkimi szlakami handlowymi cesarskich Niemiec. Każdej nocy wydmy o centymetr wdzierają się na asfalt B4, próbując zadusić miasto, i każdego ranka wielka żółta koparka dudniąc wyrusza z miasteczka, żeby oczyścić drogę. Pustynia zdaje się za wszelką cenę chcieć odciąć Lüderitz od zewnętrznego świata. Jak lasy Konga dla Josepha Conrada, wydmy Namib zdają się trwać „ze złowrogą cierpliwością, z oczekiwaniem, że ta opętana inwazja przeminie”^[9].

W 1905 roku ta niewielka osada została wybrana na miejsce eksperymentu w sprawie sposobu prowadzenia wojny. Jeszcze jakieś trzydzieści lat temu najstarsi mieszkańcy Lüderitz pamiętali, co wydarzyło się tu w pierwszych latach XX wieku, ale nie mówili o tym. Dziś wciąż jest to tajemnicą. Biuro informacji turystycznej przy Bismarckstrasse nie ma w tej kwestii nic do powiedzenia, nie wspominają o tym przewodniki po Namibii, a w większości polecanych w nich książek historycznych także nie można niczego się o tym dowiedzieć. A jednak to, co wydarzyło się w Lüderitz w latach

1905–1907, czyni z niego kluczowe miejsca dla dziejów XX wieku.

Eksperyment przeprowadzono na leżącej w zatoce Shark Island, przysadzistej, złowrogo wyglądającej kupie skał, z której rozpościera się widok na całe miasteczko. Na swój sposób eksperyment zakończył się pełnym sukcesem, dając światu wynalazek, który stał się symbolem całego stulecia i zabrał więcej istnień ludzkich niż bomba atomowa. To właśnie tam, na południowym skrawku Afryki, wynaleziono obóz zagłady.

Dziś Shark Island jest miejskim kempingiem Lüderitz. Nowa restauracja z widokiem na wyspę oferuje najlepsze południowoafrykańskie wina i poławiane w południowym Atlantyku owoce morza. Gości zachęca się do tego, by siadali na tarasie z widokiem na wyspę, na której sto lat wcześniej dokonano systematycznej eksterminacji trzech i pół tysiąca Afrykanów. Zaledwie kilkaset metrów dalej, pod wodami zatoki Lüderitz nurkowie odkryli, że Shark Island otaczają ludzkie kości i zardzewiałe, stalowe kajdany. Ludzie, których zmuszono do ich noszenia i których szczątki leżą pod wodą, zostali niemal całkowicie wymazani z namibijskiej i światowej historii. Nazwy ludów, do których należeli – Hererowie, Witbooiowie Nama, Nama z Bethanie – dla większości ludzi spoza Namibii nic nie znaczą.

Shark Island nie stanowi jedynej tajemnicy Namibii. Pod bocznicami przy dworcu kolejowym w stolicy kraju, Windhuku, znajdują się masowe groby, podobnie jak na przedmieściach nadmorskiego kurortu Swakopmund. Namibijskie Muzeum Narodowe mieści się w starym niemieckim forcie, który wzniesiono na miejscu obozu koncentracyjnego.

Dla większości ludzi Namibia jest tylko jakimś osobliwym zaściankiem, reliktem krótkotrwałego niemieckiego kolonializmu i miniaturą Niemiec z przełomu XIX i XX wieku, która w jakiś tajemniczy sposób przetrwała niezmieniona do wieku XXI. W turystycznych sklepikach można kupić pocztówki i albumy ze zdjęciami przedstawiającymi utraconą idyllę. Ulice noszą imiona dawnych dowódców wojskowych pochodzących z arystokratycznych rodów. W centrach handlowych można kupić kapelusze Schutztruppe, niemieckiej armii kolonialnej, ozdobione czerwonymi, białymi i czarnymi insygniami Drugiej Rzeszy – epoki kajzerów. Na sprzedaż jest także niemiecka flaga cesarska – z surowym, czarnym orłem – a także książki na temat lokalnej historii, które pomijają temat wojen, jakie prowadzono pod tym sztandarem – wojen, które niemal całkowicie zgładziły dwa rdzenne ludy Namibii.

To, czego dokonali w Namibii Niemcy zarządcy i niemieckie wojska, jest dziś zapomnianą kartą historii, ale naziści doskonale o tym pamiętali. Kiedy sto lat temu oddziały Schutztruppe podjęły próbę eksterminacji Hererów i Nama, Hitler był piętnastoletnim uczniem. W 1904 roku mieszkał na kontynencie, który ekscytował się nadchodzącymi z Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej doniesieniami o bohaterstwie Niemców i barbarzyństwie Afrykanów.

Osiemnaście lat po ludobójstwie Nama i Hererów, Hitler blisko związał się z weteranami

tamtych wojen. W 1922 roku został zwerbowany do skrajnie prawicowej bojówki w Monachium, której nieformalnie przewodził charyzmatyczny generał Franz von Epp, w czasie niemieckich wojen z Hererami i Nama służący w Afryce w randze porucznika. Von Epp, zarówno jako młody żołnierz w koloniach, jak i jeden z przywódców NSDAP, był niezmiennie zagorzałym zwolennikiem koncepcji Lebensraumu i spędził całe życie na szerzeniu teorii, że Niemcy potrzebują powiększyć swoją przestrzeń życiową kosztem niższych ras czy to w Afryce, czy w Europie Środkowej. Przesadą byłoby stwierdzenie, że Hitler był jego protegowanym, ale w chaosie panującym w Monachium po I wojnie światowej to właśnie von Epp był osobą, która – nie licząc Hitlera – przyczyniła się do rozwoju partii nazistowskiej. To właśnie przez niego w bardzo pokrętny sposób Hitler poznał wielu ludzi, którzy mieli stać się partyjną elitą: zastępcą von Eppa był Ernst Röhm, założyciel SA, Oddziałów Szturmowych. Poprzez kontakty z von Eppem i innymi weteranami niemieckich wojen kolonialnych Röhm i Hitler zdobyli zapasy dawnych mundurów Schutztruppe. Ponieważ zaprojektowano je do walki na afrykańskich sawannach, koszule miały brązowy, ziemisty kolor – stąd właśnie nazistowskich bojówkarzy nazywano „brunatnymi koszulami”.

Dziś von Eppa uważa się za drugoplanową postać w historii nazizmu. Kiedy partia nazistowska doszła w 1933 roku do władzy, powierzono mu zadanie zabiegania o zwrot utraconych na mocy traktatu wersalskiego kolonii, w których walczył jako młody człowiek. W 1939 roku von Epp był już postacią marginalną, wykluczoną z najbliższego kręgu Hitlera i przyćmioną przez młodszych. Jego udziału w powstaniu partii często się nie dostrzega, ale w swoich przedwojennych pismach Hitler doceniał rolę polityczną, jaką odegrał von Epp. Na niezliczonych zdjęciach i filmach propagandowych widać, jak obydwaj stoją obok siebie, ramię w ramię.

Na swoim ostatnim zdjęciu von Epp siedzi obok Hermanna Göringa. Pozbawieni mundurów i odznaczeń oczekują procesu, przebywając w amerykańskim areszcie w Mondorfles-Bains. Przygarbiony stary generał wygląda na wymizerowanego i mruży oczy w kierunku fotografa. O pokolenie starszy od pozostałych oskarżonych, von Epp zmarł w areszcie zaledwie kilka tygodni po zrobieniu tego zdjęcia. Czy gdyby dożył do procesu i zasiadłby na ławie oskarżonych obok Göringa, jego zeznania naprowadziłyby prokuratorów na podobieństwa i związki między czynami popełnionymi przez Trzecią Rzeszę a ludobójstwem, w którym wziął udział jako młody porucznik?

Pamięć o niemieckim imperium została odseparowana od europejskiej historii. Dziewiętnastowieczny kolonializm od dawna był postrzegany jako temat specjalistyczny, przypis do historii rozgrywającej się niemal w całkowitej izolacji od Europy. A jednak w dziejach kolonializmu zawsze następował przepływ idei, metod i ludzi. Słowa Hitlera z 1941 roku, że będzie traktował Słowian jak „ludy kolonialne”, straciły dziś swój wydźwięk, ale kiedy je wypowiadał, miały jasne znaczenie. Były skrótem myślowym doskonale zrozumiałym dla pokolenia nazistów, którzy byli chłopcami, kiedy kajzer wysyłał armie do Afryki, żeby zgnotli buntowników, a teraz wzięli swój

los z rasowym przeznaczeniem Niemiec. Nasze zrozumienie tego, czym był nazizm i skąd wzięły się idee i filozoficzne koncepcje, które leżały u jego podstaw, będzie niepełne, jeśli nie zgłębimy tego, co wydarzyło się w Afryce pod panowaniem cesarza Wilhelma II.

[1] Leonard Mosley, *The Reich Marshal: A Biography of Hermann Goering*, London 1977, s. 427–428.

[2] *The Trial of German Major War Criminals: Proceedings of the International Military Tribunal Sitting at Nuremberg, Germany, 20th November 1945 to 1st October 1946*, HM Stationery Office, London 1946–1951, Part 9: 12–22 March 1946, s. 63.

[3] Niem. Lebensraum dosłownie znaczy: przestrzeń życiowa; uważano ją za obszar niezbędny dla istnienia Niemiec, uzasadniając tym niemiecką politykę ekspansji i zaboru (przyp. tłum.).

[4] Göring miał na myśli cztery mocarstwa, które podpisały tzw. umowę londyńską w sprawie powołania Międzynarodowego Trybunału Wojskowego: Stany Zjednoczone, Związek Radziecki, Wielką Brytanię i Francję (przyp. tłum.).

[5] Ibidem, s. 81.

[6] Gustave Mark Gilbert, *Dziennik norymberski*, Warszawa 2012, s. 233.

[7] *The Trial of German Major War Criminals...*, op. cit., s. 63.

[8] Erich Gritzbach, *Hermann Goering: The Man and His Work*, London 1939, s. 222.

[9] Joseph Conrad, *Jądro ciemności*, przeł. Magda Heydel, Kraków 2011, s. 45.

ROZDZIAŁ 1

Świat za mgłą

Pod koniec lata 1484 roku z Zatoki Lizbońskiej wypłynęły dwa statki, które złapały wiatr w żagle i skierowały się na południe. Były to karawele kapitana Dioga Cão, płynące dalej niż kiedykolwiek odważyły się jakiekolwiek europejskie statki. Król Portugalii Jan II wstąpił na tron z postanowieniem, że wykorzysta epokę odkryć, którą rozpoczął jego słynny stryjeczny dziadek, książę Henryk Żeglarz. Tym, czego szukali Jan i wszyscy inni żeglarze w XV wieku, była morska droga do Indii i Chin. Tego samego roku, w którym Diogo Cão wypłynął z Lizbony, Portugalia oficjalnie odrzuciła propozycję pewnego mało znanego nawigatora, Krzysztofa Kolumba, by spróbować dotrzeć do Indii, przepływając Atlantyk. W 1484 roku uwaga Portugalii skupiała się na Afryce, wielkim kontynencie na południu, wokół którego – jak uważano – wiodła właśnie najkrótsza droga do Indii.

W XV wieku Portugalczycy, tak jak inni Europejczycy, nie wiedzieli o Afryce niemal niczego. Afrykańskie królestwa i ludy, które w czasach starożytnych utrzymywały kontakty z Grecją i Rzymem, od VII wieku zostały odcięte od Europy przez rozwój islamu w Afryce Północnej. Niemal przez tysiąc lat ludzie czarni i biali żyli oddzielnie i w niektórych rejonach Europy ludzie o czarnym kolorze skóry byli postaciami niemalże mitycznymi. Afrykę postrzegano jako krainę zamieszkałą przez straszliwe potwory, gdzie panował słoneczny żar zabójczy dla Europejczyków. Kontynent ten oferował jednak także bogactwa i szerokie możliwości handlowe, a pośrednio także skarby jeszcze

większe, płynące z Indii i Chin.

Choć już w połowie wieku XV do Lizbony sprowadzono czarnych Afrykanów, a skarby kontynentu powoli spływały do Portugalii, każde nowe odkrycie rodziło nowe pytania i kolejne zagadki. Mimo kilku ekspedycji żaden podróżnik nie zdołał sporządzić nawet mapy wybrzeża, a wewnątrz kontynentu wciąż było zupełną niewiadomą. Ale co najważniejsze, nikt nie wiedział, jak daleko na południe sięga Afryka.

W czasie swojej pierwszej wyprawy Diogo Cão odkrył Kongo, rzekę większą i potężniejszą niż jakakolwiek inna, którą znali Europejczycy. Mimo to nie odnalazł drogi wokół kontynentu. Jak wielka była Afryka? Jakie zagrożenia czekały na tym nieskończonym, jak się wydawało, wybrzeżu? Jakie inne wielkie rzeki, dziwne ludy i egzotyczne zwierzęta czekały na odkrycie? Pod koniec 1484 roku dwie karawele Dioga Cão popłynęły na wschód wzdłuż zielonych wybrzeży zachodniej Afryki. Ich bogactwo było widoczne gołym okiem. W ciągu wieków powstały i upadły ogromne królestwa. Miliony ludzi zamieszkiwały bujne lasy, które przecinały szerokie i długie rzeki, mające przysłym odkrywcom dać możliwość dotarcia w głąb nieznanego lądu. Zbadawszy laguny u ujścia rzeki Niger, żeglarze zwrócili się na południe, minęli wybrzeża Kamerunu i ujście Kongo. Dalej na południu popłynęli wzdłuż wybrzeży dzisiejszej Angoli, znajdując schronienie w naturalnych zatokach, które później miały stać się ośrodkami portugalskiego imperium niewolniczego. Im dalej się zapuszczali, tym bardziej zmieniał się krajobraz. Lasy splełanych figowców i ogromnych baobabów, które u ujścia Konga walczyły o miejsce na brzegu, zaczęły się przerzedzać. Z każdą milą drzewa stawały się niższe, rzadsze i coraz bardziej oddalone od siebie.

Kiedy odkrywcy mijali ujście rzeki Kunene, dostrzegli zieloną wyspę – była ona ostatnią oazą bujnej roślinności, jaką mieli napotkać. Na południe od niej wybrzeże stawało się coraz bardziej opustoszałe. Od brzegów rozpościerały się bezkresne wydmy, a morze żółtego piasku biegło równoległe do zimnego błękitu oceanu. Od czasu do czasu mogli dostrzec w oddali ciemne, posępne łańcuchy górskie, ledwo widoczne przez drżące, upalne powietrze.

Każdego ranka, kiedy lodowate wody południowego Atlantyku dymily pod wpływem rozpalonych piasków pustyni, brzeg zasłaniała ciężka, szara mgła. Zamglone powietrze było pełne soli, a wybrzeże smagały przenikliwe wiatry, które unosiły piasek, zmieniając kształt wydmy i kalecząc twarze marynarzy na pokładzie. Kiedy płynęli dalej i dalej na południe, zobaczyli udające się na gody humbaki oraz pletwy zamieszkujących tamtejsze wody wielkich rekinów. Blżej wybrzeża natknęli się na foki i orki. W wodach zimnego Prądu Benguelskiego, który dociera do Afryki z Antarktyki, odkrywcy napotkali dziwaczne samogłowy i różne rodzaje żółwi morskich. Na brzegach była jednak tylko pustka, cisza. Opis tego rzadko odwiedzanego wybrzeża z początku XX wieku oddaje jego grozę:

Szkwały i sztormy są częste, nierzadko nadchodzą zupełnie bez ostrzeżenia,

z bezchmurnego nieba. Czasami wiatr przynosi piasek z pustyni, i to w dużych ilościach, zapelniając powietrze drobnymi cząsteczkami, które bardzo powoli opadają. Do tego dochodzi ogromny upał. Normalny stan atmosfery wzdłuż wybrzeża powoduje liczne załamania światła, częste są również mgły (...). Bałwany morskie uderzają z zachodu z wielką furją, a przy wybrzeżu niemal zawsze kłębią się fale. Wskazane byłoby danie tej ziemi dobrej przystani (...)^[10].

To, co odkrył Diogo Cão, było wybrzeżem dzisiejszej Namibii, Wybrzeżem Szkieletowym. Wydmy, które widział w oddali, były diunami pustyni Namib, kolosalnego pasa ponurych, przybrzeżnych piasków, które rozciągały się na długości niemal 1,3 tysiąca kilometrów, od 50 do 160 kilometrów w głąb lądu i tym samym odcinały interior południowo-zachodniej Afryki od reszty świata.

W styczniu 1486 roku odkrywcy natrafili na niewielką zatokę, zamieszkaną przez setki tysięcy fok. W tym miejscu Diogo Cão i jego załoga jako pierwsi Europejczycy postawili nogi na pustyni Namib. Przed wylądowaniem ostrożnie opuścili na lódź jeden z trzech *padrões*, które wzięli z Lizbony. *Padrões* były kamiennymi obeliskami, które miały wykute portugalskie godło, datę oraz inskrypcję głoszącą, że ziemia, w której umieszczono słup, zostaje ogłoszona posiadłością króla Portugalii. Cão i jego ludzie postawili wysoki na prawie dwa metry *padrão* na wzgórzu nad zatoką, skąd w kraju bez drzew widniał samotnie na horyzoncie, na tle ciemnego, odległego masywu gór Brandberg. Wzniesienie *padrão* oznaczało, że ziemia ta przechodziła na własność Portugalii i jej władcy, króla Jana II, ale także wskazywało najdalszy zasięg nieudanej ekspedycji Dioga Cão w poszukiwaniu morskiej drogi do Indii. Nie był to ostatni raz, kiedy Namib rozczarowała i zniechęciła ludzi, którzy chcieli budować imperium.

Sam *padrão* o przez następne 408 lat miał stać w tym miejscu, w którym postawił go Cão. W 1893 roku został wykopany przez marynarzy niemieckiej floty i zabrany do Europy, by stać się najcenniejszym trofeum Niemieckiej Akademii Morskiej w Kilonii. Dziś, w miejscu znanym jako Cape Cross, setki tysięcy fok, zapewne pochodzących od tych, które przed wiekami powitały Portugalczyków, hałaśliwie wygrzewają się u stóp granitowej repliki *padrão*. Przynajmniej w tym miejscu niewiele się zmieniło od chwili, w której lódź Dioga Cão dopłynęła do brzegu.



Choć Królestwo Portugalii zaczęło rościć prawa do pustyni Namib, nigdy nie przybyli tu sami Portugalczycy, żeby zniewolić – czy choćby poszukać – nieuchwytnych mieszkańców tej ziemi. W 1520 roku wydano rozkaz zbadania wybrzeża, ale bez żadnych skutków. Namibia była niechcianą nieruchomością: jej wybrzeży nie zamieszkiwały ludne plemiona, z którymi można było handlować,

albo które dałoby się wziąć w niewolę, nie płynęły tu żadne szerokie rzeki, nie było złota, przypraw ani kamieni szlachetnych. Była to kraina, z której nikt nie czerpał korzyści – niezamieszkane, mordercze wybrzeże, które tylko wydłużało o kilka tygodni podróż wokół Afryki i czyniło ją niebezpieczniejszą. Późniejszy portugalski pisarz podsumował Namib jednym zdaniem: „Całe to wybrzeże jest bezludną pustynią”^[11].

Przez następne cztery stulecia Wybrzeże Szkieletowe i pustynia Namib były niemymi świadkami rozwoju imperiów kolonialnych. W XVI wieku kapitanowie statków płynących do Indii wokół Przylądka Dobrej Nadziei tak obawiali się tego wybrzeża, że pływali czterysta kilometrów od brzegu, byle tylko uniknąć ukrytych skał i zwodniczych prądów^[12]. Odwagę podpływać bliżej mieli tylko ówczesni mistrzowie nawigacji, Holendrzy, udający się do swoich posiadłości w Indiach Wschodnich. Ich żeglarze donosili, że wyteńżając wzrok, przez mgłę dostrzegali wpatrujące się w ich statki małe, czarne postacie. Holendrzy nazwali ten nieznaną lud *strand-loopers*, „plażowymi biegaczami”. Od XV do końca XVIII wieku były to jedyne kontakty między Europejczykami a mieszkańcami południowo-zachodniej Afryki.

Choć europejskie statki od czasu do czasu szukały schronienia w tamtejszych zatokach, podróżujący na nich ludzie nigdy nie odważyli się przepłynąć przez pustynię i nawiązać kontakt z tajemniczymi *strand-loopers*. Jedyńymi Europejczykami, którzy wyruszali w tę beznadziejną podróż, byli rozbitkowie ze statków wyrzuconych na brzeg przez Prąd Benguelski. Na oślepie błakali się po interiorze, aż padali ofiarą upałów. Ich wybielone przez wiatry kości dały nazwę Wybrzeżu Szkieletowemu.

Przez krótki moment w latach 80. XVIII wieku wydawało się, że nadchodzi zmiana. Na wybrzeże Namib zwrócił uwagę naród, który zastąpił Portugalczyków w roli największej potęgi morskiej świata. Pod wpływem nieprawdziwych doniesień podróżników, którzy mieli jakoby zapuścić się na ziemie położone na północ od rzeki Oranje (dzisiejszej granicy między Namibią i Republiką Południowej Afryki), komisja parlamentu Wielkiej Brytanii zaczęła zastanawiać się nad tym, jaka rola mogłaby przypaść Namib w brytyjskim imperium kolonialnym. Trzy stulecia bezczynności z pewnością oznaczały, że roszczenia Portugalii wygasły, toteż w wygodnych londyńskich gabinetach członkowie komisji deliberowali, czy Namib nie jest idealnym miejscem na kolonię karną. Parlamentarzyści byli tak bardzo przekonani co do tego, iż Namib można skolonizować, że rozważali nawet, czy tamtejszej ziemi nie zaproponować lojalnym poddanym Korony, którzy uciekli z amerykańskich kolonii po wybuchu wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Do zbadania wybrzeża wysłano statek zwiadowczy „Nautilus”, który miał znaleźć odpowiednie miejsce na założenie kolonii. Niektórzy członkowie komisji argumentowali, że południowo-zachodnia Afryka miałaby znacznie korzystniejszy klimat dla skazańców niż Gambia, którą również brano pod uwagę. Brytyjski filozof Edmund Burke, który zasiadał w komisji, twierdził, że ponieważ

w Gambii skazańców zdziesiątkowałyby tropikalne choroby oraz ataki tubylców, wyrok zesłania tam byłby równoznaczny z wyrokiem śmierci i stanowiłby „kpinę z okazania łaski”^[13]. Gdyby Burke wiedział cokolwiek o Namib, w porównaniu z nią z pewnością uznałby zsyłkę do Gambii za łagodniejszą karę.

W 1785 roku „Nautilus” wrócił ze złymi doniesieniami. Spowite gęstą mgłą i smagane burzliwym morzem wybrzeże Namib nie zmieniło się ani o jotę, od kiedy trzysta lat wcześniej dopłynął tam Diogo Cão. Wysłanych skazańców albo przyszłych kolonistów na miejscu czekałaby pewna śmierć. Brytyjczyści więźniowie zostali więc wysłani do Botany Bay i tak rozpoczęła się kolonizacja Australii.



Za zamglonymi brzegami Wybrzeża Szkieletowego i wydhami pustyni Namib istniał świat, którego nie wyobrażali sobie ani portugalscy odkrywcy, ani brytyjczyści kolonialiści. Była tam, ukryta przed wzrokiem Europejczyków, kraina niezwyklej urody: pełna wysokich traw, wodopojów i gorących źródeł, zamieszkała przez wiele rdzennych afrykańskich ludów. Na centralnym płaskowyżu położonym między pustyniami Kalahari i Namib we względnym dobrobycie mieszkali dziesiątki tysięcy ludzi. Niektórzy zajmowali się łowiectwem, urządzając polowania na wielkie stada niezliczonych antylop springbok, gnu, kudu i zebr. Gospodarka innych opierała się na hodowli bydła, bardzo cennego w ich kulturze. Całe pokolenia pasterzy nie zdawały sobie jednak sprawy z tego, że te wspaniałe zwierzęta nie były wcale ich największym skarbem. Były nim prawie dwa tysiące kilometrów zdradliwego wybrzeża oraz nieprzebyta pustynia, która oddzielała ich do europejskiego kolonializmu.

Samo słowo „Namib” sugeruje jednak, że rozumiano rolę pustyni w długiej historii afrykańskiego Południowego Zachodu. Pochodzi ono z języka *khoisan*, używanego przez niektóre ludy zamieszkujące południową Afrykę, i oznacza „tarczę”. To dzięki tarczy z mgły, piasku i gorąca region ten mógł rozwijać się bez zewnętrznych wpływów. Powstawały imperia, wędrowały całe ludy, tocząc wielkie bitwy i zwyciężając wrogów.

Najwcześniejszymi mieszkańcami regionu był lud San, do dziś nazywany Buszmenami. Dla tego plemienia południowo-zachodnia Afryka była tylko częścią wielkiego terytorium, na którym jego członkowie polowali od tysięcy lat, rozciągającego się od Półwyspu Przylądkowego aż do wielkich jezior wschodniej Afryki. W języku Hererów San znani byli jako *Ovokuruwehi*, co oznaczało najstarszych na ziemi, gdyż na podstawie naskalnych malowideł i rytów można było wnioskować, że zamieszkują tę ziemię od najdawniejszych czasów. Ich skomplikowana sztuka, która wciąż zdobi góry i jaskinie dzisiejszej Namibii, zachwyca. Niektóre malowidła przedstawiają sceny z życia codziennego oraz mistyczne sceny religijnych obrzędów; inne są tylko abstrakcyjnymi przedstawieniami, ale tak żywymi i pełnymi wyobraźni, że biali mieszkańcy RPA, którzy rządzą

Afryką Południowo-Zachodnią w latach 1919–1990, byli przekonani, że muszą to być dzieła jakiejś zaginionej cywilizacji białych ludzi^[14].

Gdzieś na początku XVII wieku na Południowy Zachód przywędrowała wielka fala ludzi z grupy językowej bantu, do której należało wiele ludów Afryki Środkowej, od Kenii po Kamerun. Przybysze byli pasterzami, którzy wraz ze swoimi stadami szukali na południu nowych pastwisk. Według jednej z teorii byli uchodźcami z terenów objętych wojnami. Około połowa z nich osiedliła się nad brzegami rzek Kunene i Okavango, które dziś stanowią granicę między Namibią i Angolą. Grupa ta, którą miano później nazwać Owambo, zajmowała się rolnictwem, wykorzystując opady deszczu w Angoli, które co roku podnosiły stan wody w Kunene i Okavango, powodując dobroczynne powodzie w basenie Cuvelai^[15].

Reszta Bantu powędrowała jeszcze dalej na południe, na żyzne pastwiska centralnego płaskowyżu. Hererowie, którzy przybyli w drugiej fazie migracji, stronili od rolnictwa i pozostali ludem pasterskim. Wiecznie brakującą wodę znajdowali, kopiąc głębokie, obudowane studnie na sezonowych rzekach centralnego płaskowyżu. Osiedlili się na terenie wielkości mniej więcej Holandii. Od pokoleń dzielili się na liczne klany, ale ziemia była u nich własnością wspólną. Rytm ich życia wyznaczały wędrówki i potrzeby stad oraz cykl pór roku na płaskowyżu.

Ich tożsamość opierała się na wierze we wszechpotężne bóstwo Ndjambi^[16], które wzbudzało taki szacunek, że między nim a ludźmi nie dochodziło do żadnego kontaktu. Bliżej niego znajdowali się jednak zmarli, święci przodkowie Hererów, którzy mogli wstawiać się u Ndjambi za śmiertelnikami, i to właśnie do nich kierowano wszelkie modły i prośby. W każdej z setek osad Hererów palono święte ogniska, których wieczny ogień miał symbolizować związek między światami żywych i umarłych. Każdego ranka i wieczoru starsi klanu zasiadali przy ognisku i snuli opowieści o przodkach.

Za sprawą religii większość Hererów wiedziała, kim byli ich przodkowie kilka pokoleń wstecz, mimo że nie panował u nich system patriarcalny – prawa dziedziczenia były złożone i skomplikowane. Hererowie byli ludem bez króla, co skłoniło pierwszych Europejczyków do przypuszczenia, że muszą być rozproszonymi resztkami jakiegoś wielkiego, upadłego imperium. Rządzili nimi miejscowi wodzowie. Kiedy jeden z nich umierał, zbierała się rada starszych, która spośród jego siostrzeńców i wujów wybierała następcę. Mimo wielkich odległości między osadami, społeczeństwo Hererów było ściśle związane ze sobą religią i więzami krwi, toteż do starć między różnymi klanami dochodziło bardzo rzadko.

W latach 80. XVIII wieku, kiedy Brytyjczycy rozważali założenie kolonii karnej na pustyni Namib, Hererowie byli już najważniejszym ludem na centralnym płaskowyżu. Szacuje się, że w tym czasie mieszkało ich tam od 30 do 40 tysięcy. Przekonani o swojej sile, tylko nieliczni Hererowie, San czy Owambo mogli śnić o tym, że czas izolacji południowo-zachodniej Afryki może dobiec końca.



Zmiana nie nadeszła jednak od strony morza i wcale nie w postaci białych kolonizatorów. Na początku XIX wieku pojawiła się fala afrykańskich najeźdźców, często mieszanej rasy, którzy powoli ruszyli z Półwyspu Przylądkowego na północ, przynosząc ze sobą handel, nowe sposoby życia i nowe sposoby walki. Był to lud Nama, w większości Europy znany pod pogardliwym^[17] mianem „Hotentotów”^[18].

Nama wywodzili się z genetycznego i kulturalnego tygla, którym w XVIII wieku była holenderska Kolonia Przylądkowa. Wielu z nich pochodziło z mieszania się holenderskich kolonistów z miejscowymi ludami Khoisan, które wcześniej zamieszkiwały Kraj Przylądkowy. Inni byli zbiegłymi niewolnikami Khoisan albo potomkami malajskich niewolników, których sprowadziła tam holenderska Kompania Wschodnioindyjska.

Kultura Nama była tak zróżnicowana, jak ich pochodzenie etniczne. Oprócz *khoekhoegowab*, charakterystycznego młaskającego języka Khoisan, większość ludności знаła także niderlandzki, którym posługiwali się Burowie zamieszkujący Kraj Przylądkowy. Niektórzy byli chrześcijanami, niekiedy nawet bardzo gorliwymi. W Kolonii Przylądkowej próbowali związać koniec z końcem, uprawiając ziemię tak daleko od osad białych, jak tylko było to możliwe. Inni stali się banitami, ponieważ żyli z kradzieży bydła Burom i innym plemionom Khoisan.

Mężczyźni i kobiety Nama nie zgodzili się zostać niewolnikami, czy w najlepszym razie bezrolnymi robotnikami na farmach Burów. Ich wyjątkowość i siła brała się jednak bardziej z tego, co przejęli z kultury holenderskiej, niż z tego, co odrzucili. Na początku XIX wieku Nama zaczęli posługiwać się dwoma wynalazkami, które leżały u podstaw potęgi Holenderów – bronią palną i końmi. Niektórzy, jak plemię Oorlam, naśladując Burów, stworzyli uzbrojone konne bandy, znane jako komanda.

W 1833 roku brytyjski parlament przyjął akt abolicji, znoszący niewolnictwo we wszystkich posiadłościach Wielkiej Brytanii na całym świecie. Był to następny krok po rozporządzeniu numer 50 z 1828 roku, nadającym „wolnym, kolorowym ludziom” prawo posiadania ziemi i pracy w Kolonii Przylądkowej. Wielu Burów uważało te prawa za niedopuszczalną ingerencję Brytyjczyków w ich sprawy i w 1836 roku kilka tysięcy z nich opuściło swoje dotychczasowe domy i gospodarstwa, wyruszając na słynny Wielki Trek. Choć większość voortrekkerów wyruszyła na północny wschód, gdzie w przyszłości mieli założyć burskie republiki, niektórzy udali się na północ i północny zachód, od czasu do czasu przekraczając rzekę Oranje.

Ziemie, na które przenieśli się Nama, były początkowo niezbadane i bardzo różniły się od żyznych równin Kraju Przylądkowego. Spotykały się tu dwie wielkie pustynie – Namib na zachodzie i Kalahari na wschodzie – tworząc szeroki pas porośniętego krzakami pustkowie. Południowe

pustynie, przeorane głębokimi kanionami, pełne są gór oraz wygasłych wulkanów. Człowiek może tam przeżyć tylko dzięki ukrytej pod ziemią wodzie. Kiedy Nama po raz pierwszy zapuszczali się na to nieznane terytorium, szli z psami wytresowanymi w odnajdowaniu podziemnych źródełek. Tam gdzie pies się zatrzymywał, Nama kopali studnie i zakładali osady^[19].

Pod koniec wieku, na północ od rzeki Oranje osiedliło się dwanaście różnych grup Nama. Choć łączyły ich dwa wspólne języki oraz wspólna kultura, każda z grup zajęła swoje terytorium. Tam uformowały się klany, na których czele stali wodzowie, zwani przez Burów kapitanami (*kapteins*). Holendrzy nadali też klanom niebawem poetyckie nazwy. Veldskoendraersowie wzięli nazwę od *veldskoek*, holenderskiego określenia ich skózanego obuwia. Rooi Nasie, Czerwony Lud^[20], został tak nazwany od charakterystycznego, miedzianego koloru skóry tych Nama, którzy mieli mieszane rasowo pochodzenie. Wittboiowie^[21] – Biali Chłopcy, jeden z najpotężniejszych klanów – zyskali taką nazwę z powodu białych bandan, które owijali wokół swoich kapeluszy z szerokimi rondami.

Od Burów Nama przejęli także chrześcijaństwo, które zanieśli na północ od Oranje. Kiedy tylko gdzieś się osiedlali, wznosili prosty budynek kościoła i zapraszali europejskiego misjonarza. Może to brzmieć niewiarygodnie, ale tamtejsi misjonarze zawdzięczali swoją pozycję nie tylko temu, że obiecywali zbawienie, ale też dlatego że zajmowali się dostarczaniem najważniejszego towaru pogranicza – prochu^[22].

Pismem Świętym oraz prochem strzelniczym kupowali dusze tubylców i wywierali ogromny wpływ na ich kulturę, zmuszając Nama do porzucania resztek ich tradycyjnych świąt i obrzędów. Zachęcali ich to pisania lokalnych konstytucji i czczenia instytucji małżeństwa. Jak pisze namibijski historyk Klaus Dierks, „kampania misjonarzy na rzecz chrystianizacji Afryki nie tylko zmieniła «pogan» w chrześcijan, ale też próbowała zmienić Afrykanów w Europejczyków”.

Misjonarze otwierali także szkoły, a elity rządzące Nama i Hererów zaczęły do nich posyłać swoje dzieci i żony. Choć cieszyli się niezaprzeczalnymi wpływami, misjonarze byli jednak wciąż jedynie gośćmi, i to w rękach Afrykanów pozostawały dobra, które naprawdę miały znaczenie: ziemia i bydło.

Było to jeszcze wtedy, zanim na Południowym Zachodzie pojawiły się aparaty fotograficzne, ale dość jasno można sobie wyobrazić tamten świat – krainę krzaczastych pustkowi: zielonych i żyznych w czasie krótkiej suchej zimy, a złoto-żółtych w czasie długiego, wilgotnego lata. Między kanionami i górami ułożone były małe osady, wzniesione ze zrobionych z błota cegieł. W czasie tych dziesięcioleci, kiedy zachodziły zmiany, całe społeczności oscyływały między tradycjami przodków i burskimi zwyczajami a nowymi ideami z Europy. Miejscowe elity obu ludów, Hererów i Nama, zaczęły ubierać się w marynarki i burskie mundury wojskowe, ale zwykli Hererowie wciąż nosili tradycyjne skórzane spódniczki i dla ochrony przed słońcem pokrywali skórę czerwoną ochrą.

Między osadami rozciągały się bezkresne piaski, na których gdzieś tam porozrzucane były wielkie głazy. Te wielkie odległości pokonywano wozami zaprzężonymi w czarnaście, szesnaście albo nawet osiemnaście wołów. Nocami krajobraz urozmaicały ogniska obozowisk, przy których biali kupcy, misjonarze, Nama, Hererowie i San ogrzewali się przed chłodem nocnej pustyni. Cały naród gromadził się przy tysiącach ognisk, opowiadając sobie dawne historie i marząc o bogactwie, trzodach i władzy.

Pokój przerywały od czasu do czasu wystrzały, kiedy uzbrojone grupy prowadziły między sobą wojenki, to zawierając, to zrywając porozumienia. Niekiedy wyruszano na wielkie wyprawy łowieckie, czasami nawet w sile kilkuset osób. Zyski ze sprzedaży skóry i kości na targach Kraju Przylądkowego sprawiły, że zwierzyna zamieszkująca te tereny została zdziesiątkowana niemal równie bezwzględnie jak bizona wielkich amerykańskich prerii dwie dekady później. Na południu i w centrum Afryki Południowo-Zachodniej słonie i nosorożce wyginęły całkowicie^[23].

W ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku gospodarka Nama i Hererów ściśle związała się z rynkami Kolonii Przylądkowej. Wielkie stada bydła pędzono na południe, w zamian kupcy sprzedawali Afrykanom broń i proch. O życiu tych handlarzy wiemy niewiele, ale często byli to ludzie ze społecznego marginesu – poszukiwacze, oszuści, a czasem zwykli marzyciele. Dziś, w niedostępnych zakątkach pustyni południa, leżą ich porzucone wozy, a pod piaskiem można znaleźć wybielone przez słońce kości wołów i ludzi.

Wywindowane przez handlarzy ceny sprowadziły na tę krainę europejskie przekleństwo – dług. Mocna brandy z Kraju Przylądkowego, którą ciągnięto na północ – dosłownie, w beczkach – przyniosła także alkoholizm. Społeczeństwo zmieniało się, a stara wiedza, która zapewniała samowystarczalność (na przykład: jak kopać studnie), coraz bardziej ustępowała nowym umiejętnościom: rusznikarstwu, kowalstwu, strzelectwu. W latach 80. XIX wieku Afryka Południowo-Zachodnia była na drodze do w pełni funkcjonującego społeczeństwa kapitalistycznego, a Afrykanie byli takimi samymi kapitalistami jak biali handlarze, z którymi zasiadali przy ogniskach. Był to świat, który pod wieloma względami wyglądał tak samo jak inne, żyjące za Atlantykiem, społeczeństwa pogranicza – Stany Zjednoczone. Afrykanie Południowego Zachodu – uzbrojeni, dosiadający koni, znający język białych – odgrywali rolę zarówno kowbojów, jak i Indian. Obsesję na punkcie posiadania bydła mieli zarówno biali, jak i czarni. Obie strony doskonale rozumiały, jak ważne jest posiadanie ziemi, na której można hodować rogaciznę. Ponieważ jednak nie było żadnych linii kolejowych i bardzo niewiele zatok, poza Wybrzeżem Szkieletowym mieszkało wciąż bardzo niewielu białych. Rejon ten był zaściankiem, jedną z białych plam na mapie Afryki, których nie kontrolowało żadne europejskie imperium. Dla ludzi z Londynu, a nawet z Kapsztadu, życie w interiorze południowo-zachodniej Afryki było taką samą tajemnicą jak życie w głębinach oceanów^[24].

-
- [10] Eric Axelson, *Congo to Cape: Early Portuguese Explorers*, London 1973, s. 84.
- [11] Ibidem, s. 87.
- [12] Ibidem, s. 85.
- [13] Philip D. Curtin, *The Image of Africa*, t. 1, London 1973, s. 94.
- [14] P.I. Hoogenhout, *An Abbe and an Administrator*, „SWA Annual” 1965, 21, s. 24–25.
- [15] Frieda-Nela Williams, *Precolonial Communities of Southwestern Africa: A History of Ovambo Kingdoms 1600–1920*, Windhoek 1991, s. 30–35; Patricia Hayes, Dan Haipinge (red.), *Healing the Land: Kaulinge’s History of Kuanyama*, Cologne 1997.
- [16] Lud Lele z Demokratycznej Republiki Kongo również czci bóstwo zwane Njambi.
- [17] Określeniem pogardliwym, bo w języku holenderskim oznaczającym „jąkałów” (przyp. tłum.).
- [18] Brigitte Lau, *Namibia in Jonker’s Afrikaner’s Time*, Windhoek 1987.
- [19] Rozmowy z różnymi starszymi klanów Nama (NAN, NiD/NaDS Accession), z których część została opublikowana w: Casper W. Erichsen, *What the Elders Used to Say*, Windhoek 2008.
- [20] Największy z klanów Nama, w ich języku „Khai, Khaun” (przyp. tłum.).
- [21] W języku nama Witbooiowie nazywali się „Khowesin” (przyp. tłum.).
- [22] Lau, op. cit.
- [23] Ibidem.
- [24] Brigitte Lau (red.), *Charles John Andersson: Trade and Politics in Central Namibia 1860–1864*, Windhoek 1989; idem (red.), *Carl Hugo Hahn: Tagebuecher 1837–1860*, Windhoek 1984.

ROZDZIAŁ 2

Żelazny kanclerz i król guana

W latach 80. XIX wieku mawiano, że są trzy sposoby zbudowania imperium: „Angielski [sposób], polegający na tworzeniu kolonii przy pomocy kolonistów; niemiecki, polegający na zbieraniu kolonistów bez kolonii; francuski, ustanawiający kolonie bez kolonistów”^[25]. W tej kąśliwej uwadze było wiele prawdy. W roku 1887, kiedy obchodzono złoty jubileusz brytyjskiej królowej Wiktorii, jej imperium, największe, jakie widział świat, obejmowało około 10 milionów kilometrów kwadratowych. Jego urzędnikami albo żołnierzami były tysiące Brytyjczyków. Miliony innych osiedliły się w Kanadzie, Australii, Nowej Zelandii i Afryce Południowej, tworząc dominia, które z ojczystym krajem łączyła nie tylko władza, ale też język oraz więzy handlowe i kulturowe.

Niemcy, nowe mocarstwo na mapie Europy, podążyły inną ścieżką. Miliony Niemców opuściły dom i osiedliły się w różnych zakątkach świata. W obu Amerykach owi imigranci stworzyli bardzo produktywne i samowystarczalne społeczności rolnicze. Niemieccy kupcy przemierzali glob w poszukiwaniu nowych rynków i nawet niewielkich bogactw imperium. Ustanawiali placówki handlowe w najodleglejszych miejscach, na brzegach rzek Konga i Nigru; handlowali ze statkami pływającymi wzdłuż Złotego Wybrzeża i Kamerunu. Portowe miasta, jak Hamburg czy Brema, bogaciły się na kolonialnym handlu – to znaczy handlu z koloniami innych europejskich państw, sąsiadów i konkurentów ich ojczyzny.

W początkach lat 80. XIX wieku Niemcy wciąż nie miały żadnych własnych kolonii, ale w ciągu

zaledwie roku udało się im stworzyć czwarte co do wielkości imperium w Afryce. Ta niebywała zmiana zaczęła się 10 kwietnia 1883 roku, kiedy dwumasztowy bryg „Tilly” po cichu wpłynął do Angra Pequeña, małej zatoki położonej na krańcu południowo-zachodniej Afryki. Jednym z pasażerów znajdujących się na pokładzie „Tilly” był pewien dwudziestojednoletni kupiec, niejaki Heinrich Vogelsang. To właśnie on zaczął łańcuchową reakcję wydarzeń, w których udział wzięli Otto von Bismarck, brytyjski premier William Gladstone oraz przywódcy Portugalii, Francji i Belgii. Zmobilizowała ona i zelektryzowała niemiecką opinię publiczną, ale przede wszystkim zmieniła losy milionów Afrykanów.



W 1883 roku Angra Pequeña wyglądała niemal tak samo jak wtedy, kiedy w roku 1480 Portugalczycy „odkryli” Wybrzeże Szkieletowe. W czasie tych stuleci czasami dawała statkom schronienie przed atlantyckimi sztormami, a na początku wieku Holendrzy założyli w tym miejscu osadę wielorybniczą. Od lat 50. XIX wieku przybywali tam kupcy z Kraju Przylądkowego, żeby wyruszyć w głąb ładu, do osad Nama, a od czasu do czasu w zatoce pojawiał się także jakiś misjonarz^[26]. Jeśli jakiś widok mógł sprawdzić siłę wiary człowieka, to właśnie Angra Pequeña. Była to pozbawiona niemal wszelkiej roślinności kraina wielkich, na wpół wkopanych w ziemię głazów, których część, zwrócona w kierunku morza, była przeorana i poznaczona wiatrami południowego Atlantyku. Sama zatoka była lodowata, dodatkowo chłodzona przez prądy atlantyckie, podczas gdy za skalistymi wzgórzami rozciągały się gorące piaski pustyni Namib. To właśnie ta surowa zatoka stała się pierwszym nabytkiem niemieckiego imperium kolonialnego. Mało które imperium zaczynało w tak złowróżbnych okolicznościach.

W 1883 roku Angra Pequeña zamieszkiwało zaledwie kilku zbieraczy guana oraz angielski handlarz David Radford, jedyny stały osadnik w rejonie zatoki. Z trudem można uwierzyć w to, że Radford mieszkał tam od dwudziestu jeden lat. Zajmował się polowaniami na rekiny i pozyskiwaniem z ich wątroby cennego oleju, używanego do leczenia ran. W płytkim morzu wokół Angra Pequeña pełno było rekinów, szczególnie wokół długiej, wąskiej wyspy, osłaniającej zatokę przed atakami południowego Atlantyku, którą nazwano Shark Island, Wyspą Rekinów. Kiedy wylądował tam Heinrich Vogelsang, jedynym stałym budynkiem była chata Davida Radforda, ale młody Niemiec szybko dodał do tamtejszego krajobrazu coś od siebie – budynek przywieziony w częściach w ładowniach „Tilly”, który nieco na wyrost nazwał „Fort Vogelsang”.

Vogelsang planował podpisać traktat z jakimś miejscowym wodzem i kupić od niego to dziwne miejsce w imieniu Niemiec oraz swojego pracodawcy Adolfa Lüderitza. Chciał założyć placówkę handlową w zatoce, a potem kolejną gdzieś w interiorze, mając nadzieję, że staną się one podstawą przyszłej kolonii niemieckiej. Najpierw jednak sam musiał dotrzeć do Bethanie, położonej około

200 kilometrów w głąb lądu osady Nama.

Bethanie było domem dwunastu klanów Nama. Nazwę osadzie – od Betanii, znanej z Biblii osady w pobliżu Jerozolimy – nadali członkowie Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego. Po tym jak brytyjscy misjonarze opuścili osadę w 1828 roku, przejęło ją Reńskie Towarzystwo Misyjne i w 1883 roku miejscowym misjonarzem był Niemiec Johannes Bam. Na czele Nama z Bethanie stał będący już po pięćdziesiątce *kaptein* Joseph Fredericks. W pierwszych dekadach XIX wieku ludzie Fredericksa opuścili swoje ziemie nad rzeką Berg w Kolonii Przylądkowej i przenieśli się do Bethanie. Po śmierci ojca Fredericks przejął Bethanie i brzemień odpowiedzialności za jej tysiąc dwustu mieszkańców.

Vogelsang był młodzieńcem z jakiegoś mało znanego kraju i ze swoją pociągłą, bladą, tłustawą twarzą i ciemnymi, kręconymi włosami nie robił zapewne większego wrażenia, szczególnie po wyczerpującej wędrówce przez pustynię. Mimo swojego wyglądu i młodego wieku miał doświadczenie w handlu kolonialnym i, co nawet ważniejsze, dużej przebiegłości w stosunkach z tubylcami. Wcześniej pracował jako kupiec na zachodnim wybrzeżu Afryki, gdzie zawieranie nieuczciwych traktatów z afrykańskimi wodzami było na porządku dziennym. Wiedząc to wszystko, z pomocą misjonarza Bama służącego jako tłumacz i doradca, Vogelsang zaczął negocjacje z Fredericksem.

1 maja uzgodniono treść porozumienia. Fredericks miał otrzymać dwieście karabinów i sto funtów szterlingów – w pobliżu Kraju Przylądkowego wszystkie transakcje przeprowadzano w brytyjskiej walucie. Za tę cenę zgadzał się zrzec swoich praw do Angra Pequeña i ziem w promieniu ośmiu kilometrów od niej. Kiedy Joseph Fredericks składał swój podpis, nie mógł przypuszczać, że sprzedaż tego małego kawałka lądu wokół nieużywanej zatoki oznacza początek całkowitego przejścia południowo-zachodniej Afryki przez europejskich kolonizatorów, a w konsekwencji katastrofę dla jego ludu.

Zdobywszy podpis Fredericksa, Heinrich Vogelsang przedarł się przez pustynię z powrotem do zatoki i wysłał wiadomość do Niemiec, informując swojego pracodawcę, że umowa została zawarta i Angra Pequeña należy do niego. 12 maja nad opustoszałą zatoką Vogelsang wywiesił flagę Niemiec.



Zwierzchnik Vogelsanga, Adolf Lüderitz, był synem kupca tytoniowego z Bremy, portowego miasta pełnego żeglarzy, egzotycznych towarów i powiewu przygody. Zamiast jednak pójść w ślady ojca i spędzać czas wyłącznie w biurze, Lüderitz postanowił podążać do źródła tropikalnych towarów, które spływały do jego rodzinnego miasta. Kiedy pierwszy raz opuścił Niemcy, miał dwadzieścia lat, tyle samo co Vogelsang w roku 1883. W latach 1854–1859 Lüderitz mieszkał

i podróżował po Stanach Zjednoczonych i Meksyku, będąc ranczerem, hodowcą bydła i koni. Według jednego ze źródeł wdał się nawet w zbrojne starcie z bandytami, ale nie ma co do tego pewności. Jest pewne jedynie, że w trakcie swoich podróży Lüderitz pojął, jak wielką fortunę można zdobyć na handlu kolonialnym. Zaczynał też rozumieć, że mimo podejmowanych wysiłków Niemcy stoją na uboczu tej handlowej rewolucji. Wiele dziesięcioleci później brytyjski urzędnik, sir Eyre Crowe, precyzyjnie określił moment, w którym ludzie tacy jak Adolf Lüderitz doznali oświecenia:

Energia młodego imperium [niemieckiego] znalazła swoje ujście w całym szerokim świecie poza Europą, z której istnienia nie miało ono wcześniej nawet okazji zdać sobie sprawy. Przepluwając oceany na niemieckich statkach, niemieccy kupcy po raz pierwszy zrozumieli, jaką naprawdę pozycję zajmują takie państwa jak Anglia, Stany Zjednoczone, Francja czy nawet Holandia, których wpływy polityczne sięgały dalekich krajów i kontynentów. Szczególnie kolonie i posiadłości Anglii zdawały się nadawać temu krajowi uznaną w świecie – i godną pozazdroszczenia – pozycję, podczas gdy nazwa Niemiec, o ile w ogóle o nich wspomniano, nie wzbudzała większego zainteresowania^[27].

W 1878 roku Lüderitz odziedziczył firmę ojca. Miał czterdzieści cztery lata i czasy jego podróży dobiegły końca. Stateczne, kupieckie życie w Bremie pasowało do jego wieku, ale nie do temperamentu. Jego firma handlowała tytoniem i guanem, ale kiedy wprowadzenie podatku tytoniowego zagroziło mu ruiną, postanowił urozmaicić swą działalność. Zaczął prowadzić interesy z Afryką Zachodnią, co miało także tę zaletę, że pozwalało mu zaspokoić niegasnącą potrzebę podróżowania. W 1881 roku był już właścicielem placówki handlowej w należącym do Brytyjczyków porcie Lagos, w dzisiejszej Nigerii.

Od połowy wieku na całym zachodnioafrykańskim wybrzeżu, aż do Konga, niemieckie przedsiębiorstwa wymieniały europejskie towary na tropikalne dobra. Kluczowy port Lagos był w 1881 roku pod władaniem brytyjskim, ale mieszkało tam również 112 innych Europejczyków, z czego aż 45 obywateli Niemiec^[28]. Tak jak podróżnicy, którzy przemierzali pustynie południowo-zachodniej Afryki i windowali ceny wymienianych na bydło towarów: broni, prochu, alkoholu i odzieży, tak kompanie handlowe z Hamburga czy Bremy zawiązywały ceny europejskich towarów, które sprowadzały na wybrzeże Afryki Zachodniej i odpowiednio zaniżały ceny otrzymywanych w zamian oleju palmowego, kości słoniowej czy strusich piór. Afryka Zachodnia stała się wielkim rynkiem zbytu, zarzuconym europejskimi towarami niskiej jakości, nierzadko wytwarzanymi wyłącznie na handel. Jeden z najważniejszych domów kupieckich w Hamburgu, C. Woermann, specjalizował się w eksporcie taniego alkoholu i wokół miasta wyrosło mnóstwo wytwórni, które

pędziły samogon, sprzedawany Afrykanom jako „rum”, a w rzeczywistości będący tanią gorzałką z ziemniaków. W 1884 roku 64 procent handlu Hamburga z Afryką stanowił eksport alkoholu^[29].

W wyniku owych traktatów handlowych Niemcy zdobywali mniej więcej taką samą nieuczciwą przewagę, jaką wcześniej, w podobny sposób, uzyskali Brytyjczycy, Francuzi i Amerykanie. Kupcy z Hamburga i Bremy zasmakowali w rekordowych zyskach, jakie przynosił handel kolonialny. Choć był on opłacalny, ale niezbyt bezpieczny i kupcy doskonale zdawali sobie sprawę, że ich dobrobyt zależy od dostępu do przybrzeżnych targów Afryki, pozostających pod nieformalną władzą kolonialną Wielkiej Brytanii i Francji. Obawa przed tym, że mogą one w pewnym momencie odciąć niemieckim statkom dostęp do afrykańskiego wybrzeża, sprawiła, że w Niemczech podniosły się głosy wzywające do zdobycia własnych kolonii, które zapewniłyby dostęp do afrykańskich rynków.

W latach 80. XIX wieku Adolf Lüderitz padł ofiarą restrykcyjnych cel, dokładnie takich, jakich od dawna obawiali się niemieccy kupcy. Brytyjczycy wprowadzili podatek eksportowy i Lüderitz musiał zamknąć swoje faktorie w Afryce Zachodniej. Mniej więcej w tym samym czasie dowiedział się od młodego Heinricha Vogelsanga o Afryce Południowo-Zachodniej. To było miejsce, w którym mógł prowadzić interesy z miejscowymi Afrykanami bez wtrącania się Brytyjczyków. Przygotowując się do nowego przedsięwzięcia, kupił towary o wartości 150 tysięcy marek i wysłał Vogelsanga na południe, żeby znalazł jakąś zatokę, w której będzie mógł ustanowić przyczółek. Lüderitz wiedział, że wybrzeże Namib oraz przybrzeżne wyspy są bogate w guano, dysponował też doniesieniami, że region obfituje w złoża miedzi. Liczył jednak na więcej, być może złoto albo diamenty – w końcu zaledwie dekadę wcześniej diamenty znaleziono w Kimberley, w południowej Afryce.

Im więcej pieniędzy i nadziei inwestował Lüderitz w Afrykę Południowo-Zachodnią, tym bardziej rosły jego ambicje. Wyobrażał sobie sieć faktorii handlowych oraz wydobywane z ziemi nieprzebrane bogactwa. Marzył też (choć zapewne nie aż tak bardzo) o niemieckich farmach i niemieckich osadnikach. Pierwszym krokiem w kierunku realizacji tej wielkiej wizji miało być wyrwanie ziemi z rąk miejscowych afrykańskich wodzów, co – jak pokazał Vogelsang – nie było takie trudne. Znacznie większym wyzwaniem miało być doprowadzenie do tego, by niemiecki rząd uznał jego nowe terytoria i objął je swoją opieką konsularną. To musiało oznaczać spotkanie się z najwybitniejszym mężem stanu ówczesnej Europy – kanclerzem Rzeszy, księciem Ottonem von Bismarckiem.



W latach 70. poglądy Bismarcka na temat kolonii – przynajmniej te, które wygłaszał publicznie – były jednoznacznie negatywne. Jego zdaniem póki niemieccy kupcy mogli sprzedawać swoje towary w posiadłościach brytyjskich i francuskich, póty Niemcy nie potrzebowały same zdobywać kolonii. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że niemiecka flota była za mała, żeby skutecznie

bronie odległych terytoriów, a tworzenie wielkiej armady oznaczałoby kolosalny wydatek. Co więcej, gdyby Niemcy zostały potęgą kolonialną, doszłyby do tego koszty administrowania zamorskimi terytoriami. Bismarck od dawna chętnie posyłał kanonierki na drugi koniec oceanów, żeby zastraszać Afrykanów czy Azjatów albo wymuszać podpisywanie niekorzystnych dla nich traktatów. Nie miał nic przeciwko zakładaniu na odległych wybrzeżach baz morskich albo stacji bunkrowych w celu usprawniania polityki zastraszania, ale niezmiennie sprzeciwiał się tworzeniu formalnych kolonii, mówiąc: „Dopóki ja jestem kanclerzem Rzeszy, nie będziemy prowadzić polityki kolonialnej”^[30]. Kiedy zatem w styczniu 1883 roku Adolf Lüderitz przybył do Berlina, żeby ubiegać się o objęcie opieką konsularną jego planowanych placówek handlowych, nie był zapewne zbytnio zaskoczony, kiedy w odpowiedzi od Bismarcka usłyszał: „Zwierchność nad tym krajem sprawuje albo jakiś murzyński książę, albo Lüderitz, ale nie Rzesza”^[31].

Udzielając publicznie zdecydowanej odmowy, Bismarck chciał poczekać i zobaczyć, czy Lüderitzowi się uda. Przede wszystkim interesowało go to, czy Brytyjczycy ze swoich posiadłości w Kolonii Przylądkowej i Walvis Bay na wybrzeżu Namib zareagują jakoś na niemiecką obecność w Afryce Południowo-Zachodniej. Antykolonialne nastawienie Bismarcka zaczynało ustępować pod presją opinii publicznej. W latach 80. XIX wieku w Niemczech panowała bowiem tak zwana kolonialna gorączka.

Od zjednoczenia kraju w roku 1871 powstawały organizacje propagujące zdobywanie kolonii przez młody naród. Najwcześniejsze z tych ruchów zakładali kupcy, chcący zabezpieczyć dla Niemiec nowe rynki zbytu, a w sytuacji poważnego kryzysu gospodarczego, który przyniosło zjednoczenie, ich gospodarcze argumenty za ekspansją kolonialną przekonywały coraz więcej ludzi. Pod koniec lat 70., w czasie recesji, została wydana książka, która wywołała ogólnokrajową dyskusję na temat kwestii kolonialnej – *Czy Niemcy potrzebują kolonii?* Friedricha Fabriego, inspektora Reńskiego Towarzystwa Misyjnego w Barmen. Twierdził on, że natychmiastowe zdobycie zamorskich posiadłości jest „dla rozwoju Niemiec kwestią życia lub śmierci”. Pomimo niemieckiej potęgi wojskowej – wedle szacunków Fabriego czterokrotnie większej od brytyjskiej – bez kolonii Cesarstwo Niemieckie miało pozostać krajem drugorzędym. Choć stopa Fabriego nigdy nie stanęła w Afryce, uważał się on za eksperta w tamtejszych sprawach i w latach 80. pomógł założyć Westdeutsch Verein für Kolonisation und Export (Zachodniemieckie Towarzystwo na rzecz Kolonizacji i Eksportu). W przeciwieństwie do wcześniejszych organizacji, towarzystwo Fabriego opowiadało się nie tylko za nowymi, zamorskimi rynkami, ale też koloniami, do których mogliby wyemigrować niemieccy farmerzy. W 1882 roku, z połączenia kilku mniejszych grup, powstała kolejna organizacja, Deutsche Kolonialverein (Niemieckie Towarzystwo Kolonialne^[32]), które stało się najbardziej wpływowym rzecznikiem kolonializmu.

W latach 80. XIX wieku powszechny entuzjazm niemieckiej opinii publicznej dla idei stworzenia

imperium, szczególnie imperium w Afryce, podsycały dramatyczne opowieści o wielkich odkrywcach – a Niemcy, mimo iż nie miały własnych kolonii, wiodły prym w eksploracji tropików. Jeszcze na długo przed zjednoczeniem kraju niemieccy odkrywcy wykazali swoją odwagę, docierając do najodleglejszych miejsc. Zapewne największym z nich był Heinrich Barth, który wyruszył przez Saharę jako członek trzyosobowej ekspedycji, kierowanej przez Brytyjczyka. Jego towarzysze zmarli, a Barth samodzielnie dotarł do Timbaktu. Zanim opuścił Afrykę, w ciągu pięciu lat nieprzerwanych odkryć przemierzył prawie 20 tysięcy kilometrów. Opis jego podróży, *Odkrycia w Afryce Północnej i Środkowej*, liczył pięć tomów i został wydany równocześnie po angielsku i niemiecku. Dekadę później Gerhard Rohlfs został pierwszym Europejczykiem, który przemierzył Afrykę z północy na południe, a w latach 70. Gustav Nachtigal znalazł się w narodowym panteonie podróżników, badając nieznaną dotychczas część środkowej Sahary. W czasie jednej z takich wypraw Nachtigal zaginął i uznano go za zmarłego, ale wyrwał się z dżungli i ku zaskoczeniu wszystkich pojawił się w Chartumie.

Niemcy mieli także udział w najsłynniejszej (i ze wszystkich najbardziej „państwowej”) afrykańskiej przygodzie tamtych czasów – wielkim przedsięwzięciu budowy imperium w dolinie rzeki Kongo, podjętym przez Henry’ego Mortona Stanleya w służbie Leopolda II, króla Belgów. Autentyczne podekscytowanie odkryciami Stanleya na Czarnym Łądzie wynikało z tego, że współpracował z nim dwóch Niemców. Porucznik Hermann Wissmann badał ziemię ludu Tushelango^[33] i „de facto odkrył” jezioro Munkamba^[34]. Inny Niemiec, Curt von François, pracował z Wissmannem do 1885 roku, po czym odłączył się, żeby na własną rękę badać dopływy Konga, rzeki Lulengo i Uruki. Stanley podziękował mu później za odkrycie 1,6 tysiąca kilometrów tras żeglownych, które włączono do imperium Leopolda^[35].

Gdy „gorączka kolonialna” osiągnęła swoje apogeum, niemieccy odkrywcy przedarli się przez niektóre najbardziej niedostępne lasy kontynentu i przemierzyli najbardziej niegościnne pustkowia. Przetrwali w najcięższych warunkach, napotkali niebywale egzotyczne ludy, ale dla zwykłych milionów, które dopadła „gorączka kolonialna”, to wciąż było za mało. Chciały one zobaczyć, jak przedstawiciele Niemiec wbijają w ziemię flagi i w imieniu Rzeszy zajmują nowe ziemie – tak jak Pierre de Brazza dla Francji czy Henry Morton Stanley dla króla Leopolda. Pisząc o niemieckiej opinii publicznej pod koniec 1884 roku, korespondent „London Globe” donosił, że „ludzie są tak głęboko zanurzeni w mętnej, ale pociągającej wizji bogactwa, które można zdobyć w Afryce, że tysiące młodych czekają na okazję, aż sami będą mogli poszukać szczęścia w nowym eldorado”^[36].

Kiedy marzenie o niemieckim imperium kolonialnym – niegdyś snute tylko przez klasę średnią – rozszerzyło się na całe społeczeństwo, nierozzerwalnie związało się z kwestią narodowego prestiżu. Jeśli Leopold II, król Belgów, działając jako prywatny obywatel zdołał zbudować kolonię 76 razy

większą od swojego kraju, to Niemcy – szybko wyrastające na największą potęgę wojskową kontynentu – miały nie tylko prawo, ale i obowiązek zagarnięcia dla siebie kawałka tego kolonialnego tortu. Narastała obawa, że jeśli Niemcy spóźnią się na wielką kolonialną fejestę, będą mogły co najwyżej pocałować klamkę. W połowie wieku „gorączka kolonialna” spowodowała *Torschlusspanik*, „panikę zamkniętych drzwi”. Tę narodową paranoję napędzała nacjonalistyczna, konserwatywna prasa, manipulowana przez Niemieckie Towarzystwo Kolonialne. Sam Bismarck przyznał, że „niemiecka opinia publiczna tak silnie wspiera politykę kolonialną, że pozycja niemieckiego rządu wprost zależy od tego, czy się ona powiedzie”^[37].

W marcu 1883, zaledwie miesiąc przed tym, jak Heinrich Vogelsang wylądował w Angra Pequeña, właściciel Domu Handlowego Woermann, Adolph Woermann, napisał do Bismarcka list, w którym ostrzegł go, że Brytyjczycy, Francuzi i Portugalczycy spiskują, żeby przejąć we władanie dużą część Afryki i wygnać z niej niemieckich przedsiębiorców. Zaledwie kilka tygodni później Bismarck otrzymał podobne ostrzeżenia od Heinricha von Kusserowa z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy, a w lipcu hamburscy kupcy dołączyli do chóru domagających się ustanowienia afrykańskich kolonii, wzywając do anektowania Kamerunu. Tym razem Woermann ostrzegł Bismarcka, że jeśli Niemcy chcą kolonii w Kamerunie, „jest ostatni moment na to, żeby ją zdobyć”^[38].

Bismarck znajdował się pod coraz większą presją, kiedy 25 sierpnia 1883 roku Heinrich Vogelsang podpisał drugi traktat z Josephem Fredericksem, przywódcą Nama z Bethanie. Nawet według niskich standardów europejskiego kolonializmu umowa była grabieżcza i jednostronna. Niektórzy badacze sugerowali nawet, że w czasie negocjacji Vogelsang upoił Josepha Fredericksa alkoholem. Bez względu na to, jakie zastosowano metody, treść traktatu była następująca: Frederickss sprzedawał Lüderitzowi pas wybrzeża rozciągający się od rzeki Oranje na południu aż do 26 stopnia szerokości geograficznej na północy. W zamian Joseph Fredericks i jego ludzie otrzymywali 500 funtów oraz 60 karabinów Wesley-Richards. Traktat definiował pas wybrzeża jako wstęgę lądu o szerokości dwudziestu „mil geograficznych”. Owa „mila geograficzna” była niemiecką miarą, która nic nie mówiła Fredericksoni, ale liczyła pięciokrotnie więcej niż zwykła mila angielska. Frederickss został zatem wmanewrowany w sprzedaż sporej części ziemi swojego ludu. W liście do Vogelsanga Lüderitz nakazał swojemu przedstawicielowi, by „póki co pozwolił Josephowi Fredericksoni wierzyć, że mowa jest o dwudziestu milach angielskich”^[39]. Drugi traktat był tak oburzający, że nawet wysłano pewnego niemieckiego urzędnika, żeby mu się przyjrzał, ale ten zmarł w drodze powrotnej do Europy i Nama z Bethanie utracili swoją ziemię na zawsze.



Na początku 1884 roku Bismarck wciąż czekał na to, jak zareagują Brytyjczycy na zajęcie przez Adolfa Lüderitza zatoki Angra Pequeña. Wystosowano do brytyjskiego rządu kilka not z pytaniem, czy Zjednoczone Królestwo rości sobie jakieś prawa do ziemi zajętej przez Lüderitza, ale Brytyjczycy milczeli. Za pomocą błefów i arbitralnych decyzji władze brytyjskie sprawiały wrażenie – przynajmniej tak się zdawało Bismarckowi – jakby chciały zdławić nową niemiecką kolonię w załączku. W marcu 1884 roku pojawiły się doniesienia, że rząd Kolonii Przylądkowej natknął się – cokolwiek zaskakująco – na jakieś jakoby zaginione dokumenty mające świadczyć o tym, że to Wielka Brytania ma prawa do Angra Pequeña. Bismarck był wściekły.

Trzy miesiące później Heinrich von Kusserow, zwolennik kolonii i urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wysłał Bismarckowi memorandum, które pozytywnie oceniał Angra Pequeña jako potencjalną placówkę handlową. Von Kusserow skorzystał także z okazji, by przypomnieć kanclerzowi, że Brytyjczycy – którzy stanowili zagrożenie dla niemieckich interesów w Afryce – jako pierwsi opracowali taki model kolonializmu, który pozwoliłby Bismarckowi zdobyć kolonie, ale nie ponosić ogromnych ciężarów finansowych. Choć większość Imperium Brytyjskiego stanowiły posiadłości Korony – zarządzane przez brytyjskich administratorów, w których stacjonowały brytyjskie wojska – niektóre ziemie określano jedynie jako „protektoraty”. To właśnie było słynnym „papierowym imperium” Wielkiej Brytanii, w ramach którego administracja i rozwój ogromnych terenów pozostawały w gestii prywatnych przedsiębiorstw, funkcjonujących na mocy królewskiego przywileju, jedynie nominalnie podlegających opiece Wielkiej Brytanii. Kompanie te dysponowały własnymi armiami i samodzielnie finansowały swoje działania.

Na niektórych odcinkach afrykańskiego wybrzeża handel zdominowany był przez niemieckich kupców. Gdyby udało się ich przekonać do tego, by zarządzali tymi ziemiami tak jak koloniami, według brytyjskiego modelu, wtedy deklaracja powstania niemieckiego imperium w Afryce byłaby tylko formalnym zatwierdzeniem status quo. Zachęcony przez von Kusserowa, Bismarck uznał, że sposobem załagodzenia nastrojów społecznych w Niemczech może być wprowadzenie modelu brytyjskiego. Zaledwie kilka tygodni po otrzymaniu memorandum kanclerz zdecydował się na ostateczny – i nieodwracalny – krok w nieznaną. „Działajmy” – powiedział von Kusserowowi^[40].

Wiosną 1884 roku kierownictwo rządu niemieckiego zaczęło działać na rzecz zabezpieczenia przyszłego imperium. 19 kwietnia Bismarck poinformował Adolfa Lüderitza, że jego prywatna kolonia zostanie objęta pełną ochroną. Dziewięć dni później do Berlina wezwano hamburskiego przedsiębiorcę Adolpha Woermanna i poinformowano go, że wszyscy niemieccy kupcy pracujący na wybrzeżu zachodniej Afryki zostaną objęci ochroną Cesarstwa Niemieckiego.

Rząd i prywatne przedsiębiorstwa podjęły współpracę w tworzeniu nowego imperium. W maju Adolph Woermann przedstawił Bismarckowi szczegółowe wytyczne dotyczące tego, co należałoby jeszcze zrobić, żeby Niemcy zabezpieczyły sobie terytoria w Afryce Zachodniej. Wskazywał, na

których wybrzeżach trzeba by zawiesić flagę Niemiec i które afrykańskie plemiona należy zmusić do podpisania porozumień handlowych. Bismarck dokładnie miesiąc po tym, jak obiecał opiekę Lüderitzowi, wysłał telegram do człowieka, który miał mieć zaszczyt ogłoszenia narodzin afrykańskiego imperium Niemiec – Gustava Nachtigala, odkrywcy i wieloletniego zwolennika ekspansji kolonialnej.

Jako specjalny komisarz niemieckiego rządu Nachtigal oczekiwał w Zatoce Lizbońskiej na niemiecką kanonierkę „Möwe”. Otrzymawszy rozkaz Bismarcka, popłynął wzdłuż zachodnioafrykańskiego wybrzeża z rozkazem wywieszenia flagi Niemiec nad tymi ziemiami, które miały stać się nowymi koloniami Cesarstwa. Później miał wziąć kurs na południe, minąć równik i wzdłuż Wybrzeża Szkieletowego dopłynąć do Angra Pequeña. Do Afryki Zachodniej dotarł dopiero w lipcu, a tymczasem Bismarck skupił się na dyplomatycznych manewrach, żeby przekonać Brytyjczyków, iż nie dzieje się nic niezwykłego. Uspokojeni zapewnieniami Bismarcka i niewiedzący o misji Nachtigala, brytyjscy urzędnicy w Londynie i Kapsztadzie dalej zastanawiali się, czy anektować długi na półtora tysiąca kilometrów pas wybrzeża między rzeką Oranje a należącą do Portugalczyków Angolą.

W lipcu „Möwe” wreszcie dotarła do Senegalu, pierwszej potencjalnej kolonii Niemiec. W 1884 roku w Senegalu znajdowała się niemiecka placówka handlowa i prężnie działali tam niemieccy kupcy, ale pierwsze przybicie do brzegu „Möwe” zakończyło się całkowitą klęską. Gdy Nachtigal dopłynął z flagami i proklamacjami w ręku, na miejscu dowiedział się, że lokalny afrykański wódz właśnie podpisał traktat o protektoracie z Francuzami. Nadzieje na niemiecką kolonię w Senegalu legły w gruzach.

Kolejne lądowania Gustava Nachtigala były jednak szczęśliwsze. Przybił do wybrzeża Togo i w imieniu kajzera objął władzę nad Małym Popo^[41]. W sierpniu niemieckie flagi zaczęły powiewać nad posterunkami na wybrzeżu Kamerunu. U ujścia rzeki Kamerun Nachtigal osobiście spotkał jednego z młodszych braci Woermanna i w dalszej podróży „Möwe” towarzyszyły dwa parowce jego kompanii. To właśnie przedstawiciele hamburskiego kupca przygotowali mu w Kamerunie pewny grunt. Kiedy Nachtigal przybił do Douali, zorientował się, że porozumienie zostało już w dużej części uzgodnione między miejscowym królem, kompanią Woermanna i agentami niemieckiej linii żeglujowej Jantzen & Thormaehlen. Gdy pojawił się brytyjski przedstawiciel, nad zatoką powiewała już flaga Niemiec, a Cesarstwo rościło sobie prawa do 65 kilometrów nieprzebranych, malarycznych lasów namorzynowych – wybrzeża zabójczego nie tylko dla Europejczyków, ale też dla Afrykanów z interioru, a nawet dla zwierząt, które padały ofiarami moskitów oraz muchy tse-tse.

Ostatnim zadaniem Nachtigala w ramach tej tajnej misji miało być popłynięcie dalej na południe i po drodze do Angra Pequeña zawarcie przyjacielskich traktatów z ludami Afryki Południowo-

Zachodniej. Ponieważ jednak „rozdrapywanie Afryki” uległo przyspieszeniu, Bismarck nie chciał czekać na Nachtigala i jego „Möwe” – wysłał dwie szybkie korwety wojskowe: „Elizabeth” pod kapitanem Scheringiem, oraz „Leipzig” pod kapitanem Herbigiem – które 7 sierpnia 1884 roku z hukiem wpłynęły do cichej zatoki. Następnego ranka żołnierze z obu okrętów w szeregach ustawili się na baczność obok wzniesionego na skalistym wybrzeżu masztu flagowego. Powoli wciągnięto nań niemiecką flagę i odczytano na głos, że prywatne imperium Adolfa Lüderitza cieszy się odtąd ochroną „Jego Wysokości Cesarza Wilhelma I” i jemu podlega. Stożące w zatoce okręty oddały salwę honorową z 21 dział i w ten oto sposób południowo-zachodnia Afryka stała się Protektoratem Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej.

Aby ogłosić prawa do reszty Wybrzeża Szkieletowego, między rzeką Oranje na południu i granicą Angoli na północy, niemiecka kanonierka „Wolf” – płynąca do Singapuru – została zawrócona z kursu i skierowana do Afryki. Pod koniec 1884 roku w surowych zatokach i na chłostanych przez wiatr cyplach wzdłuż wybrzeża Namib załoga „Wolfa” odtworzyła tę dziwną ceremonię. Marynarze w niebieskich mundurach wnieśli flagę swojego kraju nad pustkowiem, gdzie jedynymi świadkami były foki i ptaki. Jedna z uroczystości odbyła się w Swakopmundzie^[42], u ujścia rzeki Swakop, inna na przylądku Frio. Flagę podniesiono także na przylądku Cross, w cieniu *padrão*, który 400 lat wcześniej wzniosł Diogo Cão. W przeciwieństwie do piętnastowiecznego Portugalczyka, Niemcy mieli jednak zamiar naprawdę objąć we władanie ziemię, do której rościli sobie prawa.

Mało które wydarzenie w czasie „rozdrapywania Afryki” tak dobrze ilustruje ten niemalże obłęd, który ogarnął zdawałoby się rozsądnych ludzi. Z wygodnych i majestatycznych stolic w Londynie i Berlinie przedstawiciele dwóch spośród największych mocarstw świata ścigali się po oceanach i próbowali się przechytrzyć, żeby wejść w posiadanie jednego z najbardziej opustoszałych miejsc na ziemi, krainy nienadającej się do zamieszkania i pozornie bezwartościowej.



Pod koniec 1884 roku niemal 2,5 miliona kilometrów kwadratowych terytorium Afryki znalazło się pod nominalnym panowaniem Niemiec i podległych im kompanii. Do tego wносиły one również roszczenia do części Samoa i Nowej Gwinei. W październiku 1884 roku prawa Niemiec do eksploatacji swojego imperium w Afryce zostały potwierdzone przez inne europejskie mocarstwa oraz Stany Zjednoczone na konferencji berlińskiej, którą Bismarck zorganizował w swej rezydencji przy Wilhelmstrasse. Afrykańskie imperium, nad którym Niemcy sprawowały protektorat, było pięciokrotnie większe od samej Rzeszy. Kolonialnymi poddanymi Niemiec zostało nominalnie czternaście milionów Afrykanów – choć żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że wydarzenie tej skali w ogóle się dokonało. Na początku swojej kolonialnej odysei Niemcy miały

pokażny majątek, wielkie aspiracje i niemal zupełny brak doświadczenia w administrowaniu zamorskimi posiadłościami. Do pracy nad tym wielkim przedsięwzięciem szybko zapędzono zatem kilku niemieckich ekspertów, którzy mieli przynajmniej wiedzę teoretyczną. Odkrywcą Gustav Nachtigal został kolonialnym komisarzem. Żołnierze, między innymi Curt von François i Hermann Wissmann, z kupców w służbie króla Leopolda II przeistoczyli się w twórców niemieckiej armii kolonialnej w Afryce. W brytyjskim modelu kolonializmu to właśnie kupcy, a nie urzędnicy Korony, mieli ponosić większe ciężary. Silną presję na Bismarcka wywarły linie żeglugowe i kupcy. Teraz, kiedy mieli już swoje protektoraty, to właśnie oni – przynajmniej w teorii – mieli czerpać z nich zyski.

Zręczne manewry dyplomatyczne Bismarcka spodobały się opinii publicznej i zaspokoily jej oczekiwania odnośnie do kolonii, ale poza domami handlowymi Hamburga i Bremy najgłośniejsze wezwania do zdobycia terytoriów pochodziły od zwykłych Niemców, chcących ziemi, na której mogliby się osiedlić i którą mogliby uprawiać. Z czterech afrykańskich kolonii dwie w ogóle nie nadawały się dla osadników. Z powodu malarii i żółtej febry Togo i Kamerun zawsze miały pozostać jedynie koloniami handlowymi, zamieszkanymi przez znikomą populację kupców, agentów handlowych, misjonarzy i – w coraz większym stopniu – żołnierzy. Z dwóch pozostałych kolonii Niemiec jedynym miejscem, które miało jakikolwiek potencjał osadniczy, zdawała się być Afryka Południowo-Zachodnia, choć w 1884 roku mało kto go dostrzegał.

Proces przekształcania Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej w cokolwiek, co przypominałoby prawdziwą kolonię, miał trwać całe dziesięciolecie. Przede wszystkim trzeba było zmusić zamieszkujących te ziemie Afrykańczyków do podpisania z Niemcami „traktatów o ochronie”. Także tutaj szlak miał przecierać kupiec – flaga miała tylko przyjąć za nim. Za pomocą własnej zuchwałości i zręcznych manipulacji swojego przedstawiciela, Heinricha Vogelsanga, Adolf Lüderitz zdobył prawa do eksploataowania terenów wokół Angra Pequeña, a także powierzono mu administrowanie tym terytorium, ale to zadanie przerosło go niemal natychmiast.

W lutym 1885 roku zatonał statek „Tilly”, od którego rozpoczęło się imperium Lüderitza, zabierając ze sobą większość fortuny kupca. To był jednak dopiero początek fali nieszczęść. Marząc o diamentach, złocie, a przynajmniej miedzi, sfinansował serię ekspedycji badawczych, które jednak nie znalazły niczego wartościowego. Adolf Lüderitz nie dożył chwili, kiedy na jaw wyszła cudowna ironia losu – rujnujące go ekspedycje, kierowane przez doświadczonych geografów i geologów, których sprowadził na własny koszt, całkowicie nieświadomie przemaszerowały przez jedne z najbogatszych złóż diamentów powierzchniowych na świecie i wyszły z pustymi rękami. Fundusze topniały coraz bardziej, toteż przedsiębiorca podjął rozmowy z grupą brytyjskich finansistów. Bismarck był przerażony. Żeby trzymać Brytyjczyków z dala od nowej kolonii, kanclerz szybko powołał niemiecką kompanię, gotową do przejęcia pozostałych udziałów Lüderitza.

Kolonialna Kompania Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej od samego początku była niepewnym przedsięwzięciem. Większość kapitału początkowego wydała na wykupienie udziałów Adolfa Lüderitza, toteż pod koniec pierwszego roku działalności odnotowała straty w wysokości 45 159 marek^[43]. System nieformalnych, zarządzanych przez kupców kolonii, ugrzązł na mieliźnie. Nie mając ani kapitału, ani pomysłów na to, co robić dalej, Kolonialna Kompania Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej zwróciła się o pomoc do państwa. Żeby zachować kontrolę nad tym terytorium i zapobiec wdarciu się tam brytyjskich kupców, Bismarck musiał stworzyć coś, czego od zawsze starał się uniknąć – finansowaną przez państwo administrację kolonialną. Z największą niechęcią mianował cesarskiego komisarza.

[25] „The Times”, 27 sierpnia 1884.

[26] Cape Archives, „Journals of the London Mission Society”, [Schmelen 1819].

[27] J.C.G. Röhl, *From Bismarck to Hitler: Problems and Perspectives in History*, London 1970, s. 61.

[28] Helmuth Stoecker (red.), *German Imperialism in Africa: From the Beginnings until the Second World War*, London 1986, s. 18.

[29] Ibidem, s. 31.

[30] Hans Ulrich Wehler, *Bismarck's Imperialism*, „Past and Present” 1991, 48, s. 129.

[31] Ibidem, s. 269.

[32] Taką samą nazwę w języku polskim ma Deutsche Kolonialgesellschaft, powstałe w 1887 roku z połączenia Deutsche-Ostafrikanische Gesellschaft oraz właśnie Deutsche Kolonialverein (przyp. tłum.).

[33] Tushelango albo Baschilange było nazwą, jaką Niemcy określali wówczas lud Luluwa (przyp. tłum.).

[34] „The Times”, 25 czerwca 1888.

[35] Ibidem, 16 września 1885.

[36] „The London Globe”, 11 grudnia 1884; cyt. za: Hartmut Pogge von Strandmann, *Domestic Origins of Germany's Colonial Expansion under Bismarck*, „Past and Present” 1969, 42, s. 127.

[37] Woodruff D. Smith, *The German Colonial Empire*, Chapel Hill, NC 1978, s. 30.

[38] Stoecker, op. cit., s. 31.

[39] Horst Drechsler, *Let Us Die Fighting*, Berlin 1986, s. 23.

[40] Prosser Gifford, William Roger Louis, *Britain and Germany in Africa: Imperial Rivalry and Colonial Rule*, New Haven, CT, London 1967, s. 68.

[41] Miejscowość w Togo, która była pierwszą stolicą niemieckiej kolonii, do czasu aż w 1897 roku przeniesiono stolicę do Lomé; obecnie Aného (przyp. tłum.).

[42] Nazwa miasta po niemiecku znaczy dosłownie „ujście Swakop” (przyp. tłum.).

[43] Mary Evelyn Townsend, *The Rise and Fall of Germany's Colonial Empire 1884–1918*, New York 1930, s. 129.

ROZDZIAŁ 3

„To moja ziemia”

2 września 1885 roku, na pokładzie brytyjskiego krążownika „Namaqua”, do Walvis Bay przybył nowo mianowany cesarski komisarz Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, doktor Heinrich Ernst Göring. Walvis Bay, bez wątpienia najlepszy port na południowo-zachodnim wybrzeżu, został zajęty przez Brytyjczyków w 1878 roku i oprócz afrykańskich tragarzy, którzy rozładowywali przybywające statki, jedynymi jego stałymi mieszkańcami była grupka brytyjskich urzędników.

Doktor Göring, grubawy, w średnim wieku, dotychczas będący jedynie prowincjonalnym sędzią, został nieoczekiwanie mianowany cesarskim komisarzem. Nie miał żadnego doświadczenia w sprawach Afryki, ale ponieważ urodził się na granicy niemiecko-holenderskiej, płynnie mówił po holendersku, którym to językiem często posługiwali się miejscowi Nama, a także w coraz większym stopniu Hererowie. Inną jego zaletą była znajomość prawa, a pierwszy krok w procesie kolonizacji Afryki Południowo-Zachodniej miał być raczej przedsięwzięciem prawnym, a nie wojskowym^[44].

Powszechnie – i błędnie – uważa się, że na konferencji berlińskiej po prostu „podzielono” kontynent afrykański między europejskie mocarstwa. Tak naprawdę ministrowie spraw zagranicznych, którzy zebrali się w berlińskim pałacu Bismarcka, uzgodnili jedynie to, w którym regionie Afryki europejskie mocarstwa mogą „ubiegać się” o prawo do posiadania ziemi bez ingerencji ze strony innych państw. Natomiast sama ziemia nadal pozostawała własnością

Afrykanów. Żeby móc zacząć pozbywać się ludów Południowego Zachodu z należącej do nich ziemi, Bismarck nakazał Göringowi negocjowanie „traktatów o ochronie i sojuszu między Rzeszą Niemiecką i narodami niezależnych władców Afryki Południowo-Zachodniej”^[45]. W zamian za mętne obietnice „ochrony i przyjaźni” Afrykanie mieli się związać z Niemcami.

Göring miał tylko dwóch ludzi. Louis Nels miał pomagać w sprawach administracyjnych i prawnych, a oficer Hugo von Goldammer otrzymał imponujący tytuł szefa policji, choć nie miał do dyspozycji ani jednego policjanta czy żołnierza. W połowie września 1885 roku tych trzech Niemców opuściło Walvis Bay i skierowało się na północ, w stronę ziem Hererów. 3 października ich cztery wozy, każdy zaprzężony w osiemnaście wołów, dotarły do stolicy Hererów w Okahandja. Miasteczko składało się z około setki zbudowanych z błota i gałęzi chat i leżało nad brzegiem rzeki Okahandja, która – jak wszystkie rzeki południowo-zachodniej Afryki – płynęła tylko w czasie krótkiej pory deszczowej. Nad szerokim zakolem rzeki stał rząd ceglanych domków należących do wodzów Hererów. W najwspanialszym z nich, „przypominającym willę” (jak ujął to jeden z niemieckich kupców) i mającym nawet własne stajnie, mieszkał najważniejszy wódz Hererów, Maharero Tjamuaha^[46].

Wychodząc z założenia, że „na tubylcach łatwo zrobić wrażenie wyglądem”, Göring zatrzymał się na obrzeżach Okahandja, żeby Nels, von Goldammer i on sam mogli się przebrać. Göring, który szczególnie lubił wojskowe mundury, włożył granatową marynarkę ze złotymi lamówkami, korkowy kapelusz, bryczesy i buty do końskiej jazdy. Ta próba zrobienia wielkiego wejścia nie przyniosła jednak oczekiwanych skutków. Zamiast zaprowadzić ich przed oblicze wodza Tjamuaha, Göringowi i jego towarzyszom kazano poczekać w miejscowej misji niemieckiej. Pod koniec 1885 roku wódz Tjamuaha miał na głowie znacznie pilniejsze sprawy niż przybycie trzech idiotycznie przebranych Niemców^[47].

Kiedy tylko Göring i jego ludzie dotarli do Okahandja, do Otjimbingwe, położonej o dwa dni jazdy od Okahandja osady Hererów, przybyli w dużej liczbie Witbooiowie, najpotężniejszy z klanów Nama. Zgodnie z zawartym zaledwie rok wcześniej porozumieniem pokojowym, które kończyło dziesięcioletnią wojnę między plemionami, szukali bezpiecznego przejścia na żyzne, północne ziemie Hererów i tamtejsze świeże pastwiska. Po drodze do Witbooiów dołączyło kilkuset Nama z innych klanów. Podróżowali w wielkiej kolumnie składającej się z setek wozów i tysięcy sztuk bydła, która ciągnęła się na prawie dwa kilometry. Wojownicy Nama byli dobrze uzbrojeni i świetnie zorganizowani, a ich wodzowie nie chcieli pogodzić się ze zwyczajowym monopolem Hererów na użytkowanie urodzajnych terenów centralnego płaskowyzu^[48].

Zagrożenie, jakie stanowili Witbooiowie i ich sojusznicy, całkowicie przesłaniało nagłe pojawienie się doktora Göringa i jego kompanów, ale po kilku dniach wódz Tjamuaha znalazł chwilę na

udzielenie Niemcom audiencji. Wysoki, potężnie zbudowany starzec robił duże wrażenie. W pochwalnej poezji ludu Hererów jest opisywany jako „bardzo czarny, czarny jak cień zachodnich gór”. Był nie tylko jednym z najpotężniejszych ludzi w południowo-zachodniej Afryce, ale podobno również jednym z najbogatszych – miał posiadać ponad 30 tysięcy sztuk bydła. Odziany w grube, bawełniane okrycie, wódz ciepło powitał niemieckich gości i zasiadł do rozmów. W połowie przemówienia Göringa musiał jednak nagle wyjść i spotkanie nieoczekiwanie dobiegło końca.

Następnego ranka do Osona, kilka kilometrów na południowy-zachód od Okahandja, dotarli wodzowie Witbooiów. Wokół szerokich kapeluszy mieli zawiązane swoje charakterystyczne białe bandany; towarzyszyli im uzbrojeni wojownicy. Zgodnie ze zwyczajem wódz Tjamuaaha powitał *kapteina* przybyszów Hendrika Witbooi, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi, choć dotychczas spotkali się wyłącznie na polu bitwy. Sytuacja była bardzo napięta, ale negocjacje rozpoczęły się w uprzejmej atmosferze. Nagle jednak padły strzały i wywiązała się walka. Witbooiowie, choć otoczeni ze wszystkich stron, zdołali się wyrwać z pułapki i zadać Hererom ciężkie straty.

Bezpieczny w odległej o kilka kilometrów misji, Göring słyszał odgłosy bitwy^[49]. Kiedy na zdobytych wozach Witbooiów przywieziono rannych do Okahandja, Göring i von Goldammer – weterani wojny francusko-pruskiej – zajęli się nimi jak tylko mogli najlepiej. Göring twierdził później, że osobiście wyjął cztery kule z ciał rannych wojowników. Następnego dnia Niemcy wzięli udział w pogrzebie poległych Hererów, któremu – jak pisał Göring – towarzyszyło „zawodzenie płaczek”^[50].

W bitwie pod Osona zginęło niemal siedemdziesięciu ludzi Tjamuaahy, a ponad stu zostało rannych. Witbooiowie stracili jedynie dwudziestu czterech, ale zmuszeni do ucieczki porzucili tysiące sztuk bydła i wiele wozów. Kiedy ich pokiereszowana karawana zmierzała na południe, Hendrik Witbooi, który stracił dwóch dorosłych synów, napisał do wodza Tjamuaahy:

Dobrze wiedziałeś, że pragnę pokoju, ale mnie zwiodłeś. Chciałeś zwabić mnie do swojego kraalu i tam zabić bez ostrzeżenia. Bronilem się jak tylko mogłem. Wiesz, jak potoczyły się sprawy tego dnia. Musiałem się wycofać, bo skończyła mi się amunicja. (...) Teraz znowu jestem gotów do wojny i wkrótce spotkamy się w tym samym miejscu. Siedź tam i czekaj na mnie (...) zaprawdę, teraz Bóg nas osądzi^[51].

Dla Heinricha Göringa wybuch wojny między Hererami i Nama wydawał się początkowo niezwykle korzystnym zbiegiem okoliczności. Razem z von Goldammerem zdobyli zaufanie Hererów, opiekując się ich rannymi. To mogło pomóc w przekonaniu Tjamuaahy, by zgodził się na drugie spotkanie, w czasie którego Göring przekonał go, że proponowany przez niego „traktat o ochronie” był tak naprawdę rodzajem sojuszu między Hererami a niemieckim cesarzem. Po

tygodniu rozważań Tjamuaha zgodził się. Traktat – napisany po niemiecku – był celowo pełen pochlebstw zrównujących kajzera i Tjamuaha: „Jego wysokość Cesarz Niemiecki, król Prus (...) Wilhelm I, w imieniu Rzeszy Niemieckiej z jednej strony, oraz Maharero KaTjamuaha [sic], Najwyższy Wódz Hererów, w imieniu swoim oraz swoich prawowitych następców, pragną zawrzeć traktat o ochronie i przyjaźni”.

Tjamuaha podpisał się charakterystycznym „iksem” w kółku, dając Niemcom na papierze przyczółek w południowo-zachodniej Afryce. Sukces Göringa, jakim było objęcie Hererów niemiecką „ochroną”, stawał go w bardzo trudnej sytuacji. Choć wykonał część powierzonego mu zadania, wiedział, że kiedy wojna między Witbooiami i Hererami przybierze na sile, ci ostatni zażądają „ochrony”, o której była mowa w traktacie. Co gorsza, zawierając sojusz z Hererami, Niemcy stały się wrogiem Witbooiów i ewentualny sojusz z nimi czy z innymi Nama zdawał się być nieprawdopodobny. Była jednak jeszcze poważniejsza przeszkoda, która uniemożliwiała Heinrichowi Göringowi oszukanie Witbooiów i zawarcie z nimi traktatu.



Jeśli istniała osoba, której nie byłby w stanie zwieść Heinrich Göring, był nią właśnie *kaptein* Hendrik Witbooi, bez wątpienia jedna z najwybitniejszych postaci w całej historii Afryki. Późniejszy niemiecki gubernator uważał, że na pewno „zostałby unieśmiertelniony w światowej historii, gdyby tylko los sprawił, że zasiadał na jakimś nieistotnym, afrykańskim tronie”^[52].

Choć miał zaledwie półtora metra wzrostu, Hendrik Witbooi był szanowanym dowódcą i najważniejszą postacią wśród wszystkich Nama. Miał umysł jak brzytwa i – wbrew w powszechnemu wśród dziewiętnastowiecznych Europejczyków wyobrażeniu na temat afrykańskich wodzów – był bardzo światowy. W 1885 roku miał pięćdziesiąt pięć lat i dysponował szeroką wiedzą oraz kontaktami, które nie ograniczały się tylko do południowo-zachodniej Afryki. Doskonale orientował się w wydarzeniach dziejących się poza kontynentem afrykańskim i zdawał sobie sprawę z tego, że europejskie mocarstwa szukają dostępu do kontynentu i zamieszkujących go ludów.

Jak większość Nama, Hendrik był gorliwym chrześcijaninem. Znał na pamięć duże fragmenty Biblii, zarówno po holendersku, jak i w swoim ojczystym *khoisan*. Mimo religijnego zapału nie szanował misjonarzy, uważając ich za przedstawicieli europejskiego kolonializmu. Nieufność wobec misjonarzy łączyła się też z ogólną niechęcią do Europejczyków. Kiedy jako nastolatek mieszkał w Kolonii Przylądkowej, na własne oczy widział los, jaki ludowi Nama zgotowali Burowie, wyrzucając Afrykanów z ich ziemi i biorąc ich w niewolę. To właśnie rozwój osadnictwa białych ludzi zmusił dziadka i ojca Hendrika do porzucenia żyznych ziem Kraju Przylądkowego i przeniesienia się na północ, na pustynne pustkowia południowo-zachodniej Afryki.

Zapewne najważniejsze – szczególnie dla historyków – było to, że wykształcony Hendrik Witbooi

potrafił czytać i pisać. Od kiedy na wojnie stracił kciuk prawej dłoni, nie był w stanie dłużej pisać swoich listów samodzielnie, ale dyktował je przyjacielowi i powiernikowi Samuelowi Izaakowi, który zapełniał strony starannie prowadzonego dziennika.

Historię imperializmu w Afryce niemal zawsze pisali kolonizatorzy – większość afrykańskich przywódców nie zostawiła spisanych świadectw. Co więcej, w większości europejskich tekstów, zarówno prawdziwych, jak i fikcyjnych, Afrykanie stanowią jedynie rodzaj ozdobnika, szczegółu. Albo są przedstawiani jako stereotypowe postacie czarnych widziane z pewnej odległości lub przez lunetę karabinu. W pamiętnikach Winstona Churchilla Sudańczycy, którzy giną, padają w piasek bezgłośnie. Nawet Joseph Conrad, europejski pisarz i podróżnik, który lepiej od innych dostrzegł prawdziwą twarz imperializmu, w swoim mistrzowskim *Jądrze ciemności*, koszmarniej wizji Konga króla Leopolda, właściwie nie oddaje głosu czarnym mężczyznom i kobietom. Tak jak inny przywódca Hererów, Samuel Maharero – który odgrywa ważną rolę w tej historii – Hendrik Witbooi prowadził ożywioną korespondencję z zastępcami oraz innymi wodzami. Wysyłał także listy do niemieckich gubernatorów, komisarzy i dowódców miejscowych garnizonów. Próbując ich przechytryć, pisywał do kolonialnych gazet oraz słał apele do brytyjskich urzędników z sąsiednich terytoriów. Afrykanów z Południowego Zachodu – a szczególnie ich przywódców, jak Hendrika Witbooi – wyróżniała nie tylko zdolność do stawiania zbrojnego i dyplomatycznego oporu imperializmowi, ale też to, że pozostawili po sobie opisy tej walki – rzadki przykład spojrzenia na kolonializm i kolonialną przemoc oczami Afrykanów.

Kiedy Heinrich Göring pierwszy raz próbował skontaktować się z Hendrikiem Witbooiem, nie wziął tego wszystkiego pod uwagę. Nieznośnie pompatyczny i arogancki, żywił powszechne przekonanie, że w kontaktach z Afrykanami najlepiej jest grozić i zwracać się do nich surowo, jak do niegrzecznych dzieci. Jeśli kiedykolwiek istniała jakaś szansa na konstruktywny dialog między nimi, zniknęła w momencie, w którym Göring sięgnął po pióro. Chcąc zakończyć wojnę między Hererami i Witbooiami, napisał do Hendrika:

Zawsze słyszałem – i czytałem – że jesteś człowiekiem rozsądnym. Zachowaj się zatem rozsądnie; zrozum, że najlepiej będzie, jeśli wrócisz do domu i będziesz w spokoju mieszkał ze swoim ojcem i całym plemieniem. Podsumowując: władze Niemiec nie mogą pozwolić na to, by wodzowie, którzy oddali się pod niemiecką ochronę, wspierali twoje przedsięwzięcie wciągania ich wodzów w wojnę. (...) Ufam, że zważysz na moje słowa ^[53].

Witbooi najzwyczajniej w świecie zignorował ten list. Kiedy wreszcie zastępca Göringa, Louis Nels, zasugerował spotkanie pojednawcze, Hendrik Witbooi odpisał:

Rozumiem, że chcesz wynegocjować pokój, ty, który nazywasz się Przedstawicielem.

Jak mam na to odpowiedzieć? Jesteś przedstawicielem kogoś innego, a ja jestem wolnym i niezależnym człowiekiem, który odpowiada jedynie przed Bogiem. Nie mam ci zatem nic więcej do powiedzenia (...), przedstawiciel ma mniej władzy niż człowiek niezależny, toteż nie widzę potrzeby wysłuchania twoich wezwań^[54].

Pogarda Hendrika Witbooi dla Niemców była równa jedynie jego wściekłości na Hererów. Göring, Nels i von Goldammer mogli tylko przypatrywać się eskalacji konfliktu. Raz za razem jeźdźcy Witbooi kradli bydło wodza Tjamuahy, za każdym razem udowadniając, że umiejętnościami bojowymi przewyższają Hererów i że „sojusz” tych ostatnich z Niemcami jest zupełnie bezwartościowy.

Nie mogąc wpływać na rozwój wydarzeń, w 1886 roku Göring przemierzył południowe rejony protektoratu, próbując przekonać pomniejszych wodzów Nama do podpisania traktatów o ochronie. Podróż na południe ujawniła też, jak wielkie były ziemie należące do Nama – choć było ich zaledwie czterdzieści tysięcy, zamieszkiwali tereny dwukrotnie większe od Wielkiej Brytanii. Na wschodzie znajdowała się pustynia Kalahari, na zachodzie pustynia Namib. Tylko w centrum tego wielkiego terytorium, na płaskowyżu centralnym, rozpościerały się trawiaste tereny, na których można było hodować bydło. Dwanaście klanów Nama zamieszkiwało rozproszone wioski, ale łączyły ich małżeństwa i polityczna jedność w tak zwanym Wittkamskap, sojuszu zapewniającym wzajemną ochronę i wspólny cel.

Misja Göringa w krainie Nama okazała się porażką. Traktaty zgodziło się podpisać tylko kilku pomniejszych wodzów, ale Witbooiowi udało się zniweczyć nawet i te małe sukcesy. Kiedy wódz Manasse z klanu Czerwonego Ludu podpisał traktat i przyjął od Göringa flagę Niemiec, Witbooi mu ją skonfiskował, po czym napisał do Göringa: „Zdobyłem flagę, którą ofiarowałeś [wodzowi] Manasse. Znajduje się ona teraz w moim posiadaniu. Chciałbym się dowiedzieć, co mam z nią zrobić; pytam, bo jest ona dla mnie czymś obcym”^[55].

Po dwóch latach służby w roli cesarskiego komisarza, w 1887 roku, w raporcie dla kanclerza Bismarcka Göring musiał przyznać, że sytuacja w krainie Nama wygląda „niezbyt zachęcająco”^[56]. O ile Bismarck był rozczarowany brakiem postępów, o tyle Kolonialna Kompania Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej uznała to za katastrofę. W 1885 roku wykupiła udziały Adolfa Lüderitza, który następnego roku utonął w rzece Oranje w trakcie wyprawy badawczej. Na jego cześć Angra Pequeña została przemianowana na Zatokę Lüderitza. Surowce i bogactwa, o których marzył, nigdy się nie zmateriałyzywały, toteż plany kompanii dotyczące przekształcenia protektoratu w kwitnącą kolonię górnictwem spaliły na panewce. W chwili śmierci Lüderitza, w 1886 roku, fundusze kompanii znowu były na wyczerpaniu, a nowych inwestorów nie było nigdzie widać. Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia zdawała się oznaczać klęskę – tak pod względem

ekonomicznym, jak i politycznym. W Berlinie poważnie zadawano sobie pytanie, czy protektorat w ogóle warto utrzymywać. Dokładnie w momencie, w którym misja Göringa wydawała się być pewną klęską, do Berlina dotarły nieprawdopodobne wieści – odkryto złoto.

Cenny metal znaleziono – co ciekawe – zaledwie o kilka godzin jazdy konnej od kwatery Göringa, mieszczącej się w należącem do Hererów miasteczku Otjimbingwe. Szczęśliwym odkrywcą był pewien Australijczyk nazwiskiem Stevens, właściciel małej kopalni w zapadłej mieścinie Anawood. Göring, w roli cesarskiego komisarza, jako pierwszy pojawił się na miejscu i osobiście zweryfikował odkrycie, a następnie z dumą przesłał wiadomość do Berlina. Wymógł nawet, by to on sam, osobiście, zawiózł próbki złota do Niemiec. Na początku grudnia 1887 roku dotarł do Berlina.

Zaledwie rok wcześniej, w niemal identycznych okolicznościach, gorączka złota w górach Witwatersrand, w Afryce Południowej, doprowadziła do odkrycia jednych z największych złóż złota na świecie. Inwestorzy Kompanii Kolonialnej Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej wstrzymali oddechy w oczekiwaniu. Całe Niemcy wyczekiwały na swoją własną gorączkę złota. Trzeba było jedynie oszacować wielkość złóż.

Pośpiesznie zebrano zespół najlepszych niemieckich geologów i mineralogów, ale jeszcze zanim zdolał dotrzeć do południowo-zachodniej Afryki, już zaczęto inwestować w kompanie poszukiwawcze i wydobywcze. Pustynny protektorat Niemiec stał się nagle perłą w koronie kajzera.

Dla ekspedycji poszukiwawczych, które dotarły do Afryki, bezsilność tamtejszych niemieckich władz była prawdziwym wstrząsem. Szczególnie niepokoiło je to, że aby poszukiwać złóż na terenach Nama, musiały uzyskać pozwolenie nie cesarskiego komisarza Göringa, ale *kapiteina* Hendrika Witbooi. Dowódca ekspedycji – równie nieutalentowany dyplomatycznie jak Göring – zraził do siebie Witbooi niemal natychmiast. Być może uważając się za postać rodem z opowieści o Dzikim Zachodzie, poinformował go, że przybywa w pokoju. Nie zrobiło to jednak wrażenia na Hendriku, który chłodno odparł: „Przychodzisz w pokoju? Cóż, to jest moja ziemia, a ja nie chcę mieć do czynienia z białymi ludźmi”^[57].

Kiedy geologowie i mineralogowie dotarli do Anawood, dokonali odkrycia zgodnego z rzeczywistością. Próbki, które Göring przywiózł do Niemiec, były prawdziwe, ale nie pochodziły z Anawood ani znikąd z południowo-zachodniej Afryki. Ktoś nabił muskiet małymi bryłkami złota i wystrzelił w skałę. Znalezienie złota było oszustwem. Do dziś nie wiadomo, kto to zrobił, ale istnieje podejrzenie, że była to ostatnia desperacka próba Heinricha Göringa uratowania swojej misji i sprowadzenia do protektoratu inwestorów.

Jeśli to rzeczywiście Göring był odpowiedzialny za oszustwo, nie wyszło mu ono na dobre. Wieści o znalezisku z Anawood rozniosły się szybko i jako jeden z pierwszych dowiedział się o nim angielski kupiec Robert Lewis. Żył on wśród Hererów od dawna i cieszył się przyjaźnią oraz zaufaniem kilku ichniejszych wodzów. Poza handlem Lewis zajmował się także poszukiwaniem złóż minerałów i od

dziesięciu lat wiązał go kontrakt z wodzem Tjamuahą. Kontrakt ten dawał mu wyłączne prawo do wszelkich poszukiwań na północy ziem Hererów, ale nie na południu, gdzie znajdowało się Anawood. Aby zdobyć to prawo, Lewis postanowił obnażyć bezwartościowość zawartego przez Göringa traktatu o ochronie.

Tjamuaha i jego doradcy przychylnie patrzyli na plany Lewisa. Doskonale wiedzieli, że obietnice Göringa nie mają żadnego pokrycia, a traktat był tylko świstkiem papieru. Co więcej, kilka miesięcy wcześniej zwrócili się przeciwko Göringowi i Niemcom z powodu zachowania poszukiwaczy i mineralogów, którzy licznie pojawili się na ich ziemiach. Zgodnie z zawartym traktatem Niemcy mieli „szanować zwyczaje Hererów”, ale wielu poszukiwaczy, żyjąc wśród ludzi, których uważali za gorszych, zachowywało się agresywnie i obelżywie. Wodzowie byli zbulwersowani, kiedy pijani biali „używali sobie z kobietami Hererów”, ale tym czasie sam Göring w najbardziej niewybaczalny sposób również nie uszanował zwyczajów Hererów^[58].

W 1885 roku Göring kupił dawny budynek misji w Otjimbingwe i postanowił wnieść dobudówkę. Nie wiadomo, czy zdawał sobie z tego sprawę, ale misję rozbudowano na cmentarzu Hererów, naruszając w ten sposób spokój świętych przodków^[59].

Kiedy wódz Tjamuaha dowiedział się od Lewisa o tej profanacji, był wściekły i pod koniec października 1885 roku wezwał Göringa do Okahandja. W obecności setki swoich ludzi – i Roberta Lewisa – oficjalnie unieważnił traktat o „ochronie” i wyrzucił cesarskiego komisarza Niemiec z jego własnego protektoratu. Göring wyjechał z Okahandja ze zszarganymi nerwami, bojąc się o własne życie. Jego ostatnim oficjalnym dekretem był nakaz wyjazdu z protektoratu wszystkich Niemców – w tym misjonarzy. Ów dekret został powszechnie zignorowany, nawet przez pomocników Göringa, von Goldammera i Nelsa. Po wyjeździe cesarskiego komisarza, Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia pozostała niemiecka tylko na papierze.



W Berlinie ucieczkę Göringa potraktowano jako katastrofę. W Departamencie Kolonii^[60] odbywały się długie spotkania brodatych mężczyzn we flanelowych garniturach, którzy próbowali pojąć przyczynę tej klęski. Tylko nieliczni niemieccy biurokraci kolonialni wyjeżdżali z Europy skonfundowani nieudaną misją Göringa. Nie chcieli nawet rozważyć takiej możliwości, że zostali wyprowadzeni w pole przez niezależnych, potrafiących czytać i pisać Afrykanów.

Nie mogąc znaleźć wytłumaczenia, które by im pasowało, poszukiwali kozła ofiarnego. Winę za oczywistą porażkę Niemiec Departament Kolonii zrzucił na odwiecznych wrogów – Brytyjczyków, którzy spiskowali, żeby wyrwać Rzeszy południowo-zachodnią Afrykę. Zważywszy na rolę, jaką Lewis odegrał w upadku Göringa, wyjaśnienie było przekonujące, a w dodatku łatwiejsze do

zaakceptowania niż nieprzyjemna prawda. Kiedy owa teoria spiskowa dotarła do Bismarcka, natychmiast ją przyjął, stwierdzając, że „musimy zmierzyć się raczej z Wielką Brytanią niż z Hererami”. Według tej wersji wydarzeń Göringa nie przechytrzyli tak zwani „dzicy”, ale padli ofiarą „perfidnego Albionu”^[61].

Göringowi w dużej mierze wybaczone, podziękowano za jego lojalną służbę i mianowano ambasadorem^[62] Niemiec na Haiti – w jedynej czarnej republice na zachodniej półkuli. W styczniu 1893 roku, na krótko przed wyjazdem na Haiti, jego żona Franziska urodziła chłopca, któremu nadała imię Hermann.

Przez całą zimę 1888–1889 zastanawiano się w Berlinie, co począć z Afryką Południowo-Zachodnią. W styczniu Ludwig Bamberger, poseł do Reichstagu z ramienia liberałów, publicznie zadał pytanie, które wielu urzędników zadawało sobie prywatnie: czy Niemcy nie powinny wreszcie zrezygnować ze swoich praw do protektoratu? Afryka Południowo-Zachodnia przynosiła wyłącznie straty, a dopóki tubylcy opierali się Niemcom i walczyli między sobą, nikle były szanse na to, że protektorat będzie dawał jakieś zyski. Piaski i chaszcze pustyni Namib, a nawet trawy centralnego płaskowyżu, nie były chyba warte całego wysiłku wkładanego w ich utrzymanie?

Niemcy mogły przejąć pełną kontrolę, wyłącznie organizując ekspedycję zbrojną na pełną skalę, a na to Bismarck nie chciał się zgodzić. „Nie ma mowy – poinformował Departament Kolonii – o zastosowaniu przemocy wobec Hererów”. Bismarck zaproponował w zamian rozwiązanie głównie symboliczne, mające ułagodzić nacjonalistów oraz lobby kolonialne. Wysłał do Afryki Południowo-Zachodniej małe siły, a ich dowódcy wydał rozkaz unikania wszelkich starć z Afrykanami. Na czele ekspedycji postawił jednego z niewielu niemieckich oficerów dysponujących jakimkolwiek doświadczeniem w Afryce, którego poglądy były jednak zupełnie inne od poglądów kanclerza^[63].

[44] Heinrich Vedder, *Was Dr Göring vor 55 Jahren in Okahandja erlebte*, w: *Afrikanischer Heimatskalender*, Windhoek 1940, s. 33–35; Oskar Hintrager, *Südwestafrika in der deutschen Zeit*, Munich 1955; [Anonim], *Dr Göring Heinrich Ernst*, w: W.J. de Kock (red.), *Dictionary of South African Biography*, t. 1, Cape Town 1968; H.E. Göring, *Anfang in Deutsch-Südwest*, w: Werner von Langsdorff, *Deutsche Flagge über Sand un Palmen*, Gütersloh 1936, s. 29–40.

[45] NAN, Heinrich Göring, *Allerhöchste Vollmacht fuer den Kommissar in dem suedwestafrikanischen Schitzgeniete Dr. Jur. Heinrich Ernst Göring*.

[46] Gerhardus Pool, *Samuel Maharero*, Windhoek 1991, s. 38–43.

[47] H.E. Göring, op. cit., s. 32, 35, 37. W ostatnim tygodniu września 1885 roku Göring i jego towarzysze podobnie ubrali się na spotkanie z wodzem Otjimbingwe; Vedder, op. cit.

[48] A. Heywood i E. Maasdorp (red.), *The Hendrik Witbooi Papers*, Windhoek 1995, s. xiv, 6–13.

[49] Vedder, op. cit.; Heywood, Maasdorp, op. cit., s. 6–13.

[50] Göring, op. cit., s. 38.

[51] Heywood, Maasdorp, op. cit., s. 7.

[52] Theodor Leutwein, *Elf Jahre Gouverneur in Deutsch-Südwestafrika*, Berlin 1907; cyt. za:

Heywood, Maasdorp, op. cit., s. 224.

[53] *Ibidem*, s. 12.

[54] *Ibidem*, s. 15.

[55] *Ibidem*, s. 33.

[56] Drechsler, op. cit., s. 34.

[57] *Ibidem*.

[58] *Ibidem*, s. 38.

[59] ELCN, RMS I, *Konferenzen und Synoden 1.3 (1873–1905), Protokollbuch der Konferenzen in Hereroland/Bericht Über die Verhandlungen zwischen der Herero Konferenz und Maharero gehalten zu Okahandja am 17–18 Dec 1888* (dzięki uprzejmości dra Jana-Barta Gewalda).

[60] *Kolonialabteilung*, podległy Ministerstwu Spraw Zagranicznych do 1907 roku (przyp. tłum.).

[61] Drechsler, op. cit., s. 41.

[62] Właściwie konsulem generalnym (przyp. tłum.).

[63] Jan-Bart Gewald, *Towards Redemption*, Leiden 1996, s. 40–46.

ROZDZIAŁ 4

Żołnierz ciemności

Pewnego czerwcowego poranka 1889 roku do brytyjskiego portu Walvis Bay dopłynął statek z grupą dwudziestu jeden niemieckich „odkrywców”. W teorii była to ekspedycja naukowa – każdy z nich miał na sobie typowy ubiór dziewiętnastowiecznego odkrywcy: kurtkę w kolorze khaki oraz pasujący do niej korkowy kapelusz. W ciemnych ładowniach statku trawę przeżuwały dwa wielbłądy, wzięte na pokład w czasie postoju na Wyspach Kanaryjskich. Jak na odkrywców byli wyjątkowo dobrze uzbrojeni: każdy z nich miał nowy karabin Mauser 88. Ich dowódca, kapitan pruskiej armii Curt von François, budził lęk swoją reputacją. W rzeczywistości była to jednostka niemieckiej armii kolonialnej^[64].

Nikt taki jak Curt von François nie postawił wcześniej stopy na piaskach Namib. Wysoki, z eleganckimi, zakręconymi wąsami, wyglądał jak typowy oficer XIX-wiecznej pruskiej armii. Jego rodzina, potomkowie francuskich hugenotów, od ponad wieku służyła królom Prus. Swoją reputację Curt von François wyrobił sobie jednak w służbie innego monarchy, króla Belgów Leopolda II.

Przez trzy lata von François był najemnikiem, któremu Leopold płacił za to, by umacniał i rozszerzał jego władzę w tym, co miało stać się jego prywatnym, niewolniczym państwem Kongo. Uzbrojony w karabin i *chicotte*, bicz ze skóry hipopotama, który z łatwością przecinał ludzkie ciało, von François najeżdżał wioski i handlował niewolnikami. W lasach dorzecza Kongo stał się fanatycznym rasistą, żywiącym niezmięcone przekonanie na temat tego, jak należy traktować

Afrykanów. Wszystko to, czego nauczył się w Leopoldowym Kongu, w 1889 roku zabrał ze sobą do południowo-zachodniej Afryki.

Kiedy von François dopłynął, wstrząsnęło nim, jak niewielki postęp dokonał się w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Ziemia wciąż należała do tubylców. Co gorsza, Afrykanie pozostawali nieugięci i uważali się za równych białym. Nosili broń, posiadali nieruchomości i zwracali się do niemieckich oficerów tonem, jakiego żaden niemiecki żołnierz nie powinien tolerować. Początkowo von François za wszelką cenę chciał przezwyciężyć problemy Niemiec, stosując „przemoc wobec tubylców”. W prywatnym liście pisał: „Europejczycy [tutaj] zawiedli, nie traktując czarnych tak jak powinni. Poszli na zbyt wiele ustępstw, spełniając życzenia [czarnych], nie biorąc pod uwagę, że zostało to zinterpretowane jako oznaka słabości”^[65].

Curt von François otrzymał od Heinricha Göringa tylko jedną radę: „Zażywać posiłków, zostać w Walvis Bay i oczekiwać na rozwój sytuacji”. Na początku lipca von François pomaszzerował jednak prosto na Otjimbingwe i spróbował zająć dawną kwaterę Göringa. Jemu i jego ludziom odmówiono jednak wstępu i odeskortowano do mniejszego budynku w centrum miasteczka, należącego do Kompanii Kolonialnej Afryki Południowo-Zachodniej, obecnie już przedsiębiorstwa będącego częściowo własnością Brytyjczyków. Była to przemyślana decyzja wodza Tjamaahy. Opuszczona przez Göringa budowla miała grube, ceglane mury i mieściła się w ważnym strategicznie miejscu. Nowa niemiecka baza była o wiele mniej bezpieczna i gdyby doszło do walk, łatwo można by otoczyć Niemców.

Von François, którego plany zostały pokrzyżowane, a stawiony mu opór uważał za upokorzenie, nie był w stanie mieszkać obok Hererów w Otjimbingwe. W początkach sierpnia napięcie sięgało zenitu. Louis Nels, były zastępca Göringa, przebywający w tym czasie w Otjimbingwe, odnotował skłonność kapitana von François do wszczynania sporów z Afrykanami. W liście do Berlina Nels ostrzegał urzędników Departamentu Kolonii, że „kapitan z trudem potrafi powstrzymać swój gniew na Hererów i – jak nakazują instrukcje – unikać konfliktu z plemieniem”^[66].

Rankiem 28 lipca von François i jego ludzie bez ostrzeżenia opuścili Otjimbingwe. Ujechali 35 kilometrów, do granicy centralnego płaskowyżu, gdzie ziemia stykała się z brzegiem pustyni Namib. Tam, w miejscu znanym jako Tsaobis, von François nakazał swoim ludziom się zatrzymać. Zebrali wapień, piasek oraz krowie łajno i w ciągu kilku tygodni wzniesli mały fort, który von François nazwał Fortem Wilhelma, na cześć nowo koronowanego cesarza Wilhelma II.

Von François wybrał Tsaobis z bardzo konkretnych powodów. Znajdowało się ono przy Bay Road, szlaku handlowym między ziemiami Hererów a Walvis Bay. Z Fortu Wilhelma von François mógł kontrolować dostawy amunicji i broni dla Hererów i Nama. Zgodnie z własnymi rozkazami kapitan konfiskował też wozy należące do Roberta Lewisa, którego wciąż uważano za wroga Cesarstwa Niemieckiego. Aby przetrwać w tak odludnym i niegościnnym miejscu, ludzie von

François na jego rozkaz rekwirowali zapasy żywności przejeżdżającym kupcom. Nawet wśród tych niezliczonych Niemców, którzy zdecydowali się szukać szczęścia w południowo-zachodniej Afryce, Fort Wilhelma szybko stał się znany jako „Gniazdo Złodziei”.

Curt von François celowo prowokował Hererów i Nama, których los w dużej mierze zależał od handlu z Walvis Bay. Dysponował jedynie siłą dwudziestu mężczyzn, więc ewentualna wojna z którymkolwiek z tych ludów bez wątpienia oznaczałaby zupełne zniszczenie niemieckiego garnizonu. Stawiając się w tak szczególnej pozycji, von François miał nadzieję skłonić kanclerza Bismarcka do poważnego, militarnego zaangażowania się w Afryce Południowo-Zachodniej. Bismarck albo musiał zgodzić się na dostarczenie posiłków, o co zabiegał von François, albo stanąć z boku i poczekać, aż niemiecki garnizon zostanie zmasakrowany – co z politycznego punktu widzenia byłoby rozwiązaniem przykrym.

Była to spektakularna zagrywka, wynikająca z głębokiego przekonania von François, że ostrożny, skąpy imperializm Bismarcka poniósł klęskę i że naród niemiecki domaga się zdecydowanej akcji militarnej w obronie cennych kolonii, a także ich należytego rozwoju. Wiele lat później, broniąc swojej strategii, pisał: „Tylko poważne, zdecydowane, apodyktyczne działania przeciwko innym narodom, w połączeniu z szybką dyplomacją i sukcesami wojennymi, mogłyby zyskać wsparcie narodu niemieckiego. Negocjacje, odchylenia, opóźnianie i kunktatorstwo były koncepcjami całkowicie nieznośnymi i odrażającymi”^[67].

Pod koniec 1889 roku, nie omieszkawszy najpierw wyrazić swojego gniewu na kapitana von François z powodu jawnego pogwałcenia otrzymanych rozkazów, Bismarck niechętnie zgodził się na wysłanie posiłków do Afryki Południowo-Zachodniej. Największym osiągnięciem Curta von François było zapewne właśnie to, że w czasie gdy przebywał na pustyni Namib, udało mu się przechytrzyć Ottona von Bismarcka, jednego z najprzebieglejszych ludzi swojej epoki. Jego zwycięstwo nad kanclerzem nie było jednak pełne – Bismarck wysłał mu tylko czterdziestu jeden żołnierzy, a nie stu pięćdziesięciu, których żądał von François. Nowa Armia Ochronna – Schutztruppe, jak została później nazwana – była wystarczająco duża, żeby bronić Fortu Wilhelma, ale za mała, żeby móc rozciągnąć władzę Niemiec na całą południowo-zachodnią Afrykę. Dwa miesiące po tym, jak wysłał posiłki Curtowi von François, młody cesarz Wilhelm II usunął ze stanowiska kanclerza Bismarcka i powierzył ten urząd hrabiemu Leonowi von Capriviemu. Jednym z zarzutów stawianych Bismarckowi w momencie jego dymisji był brak prawdziwej wizji niemieckiego imperium kolonialnego.

Kiedy von François oczekiwał na przybycie posiłków, w Okahandja zebrała się rada Hererów, żeby zdecydować, czy należy atakować Fort Wilhelma. Wśród tych, którzy opowiadali się za atakiem, był Samuel Maharero, coraz bardziej wpływowi syn wodza Tjamaahy i wieloletni przyjaciel Roberta Lewisa. Jeszcze przed spotkaniem rady Samuel wysłał do von François list

z ostrzeżeniem: „Jeśli przybędziesz tu z zamiarem prowadzenia wojny, raz jeszcze wzywam Cię, byś mnie posłuchał, nie marnował swoich pieniędzy i wrócił do domu. Jeśli nie chcesz słuchać moich słów, powiedz to, proszę, otwarcie i wprost oznajmij, że jesteś z nami w stanie wojny”^[68].

Choć wielu zgadzało się z Samuelem, coraz widoczniej starszy i słabszy wódz Tjamuaha był przeciwny atakowaniu von François w sytuacji, w której jego ludzie wciąż toczyli wojnę z Witbooiami Nama. Wychodził z założenia, że przynajmniej na razie Niemcy stanowią mniejsze zagrożenie.

W styczniu 1890 roku, sześć miesięcy po tym, jak zainstalował się w Forcie Wilhelma, von François otrzymał posiłki i załoga garnizonu wzrosła do sześćdziesięciu dwóch ludzi. Niemcy znaleźli się w znacznie lepszej sytuacji, a rada Hererów podjęła decyzję, która na zawsze i w zasadniczy sposób miała odmienić los ich ludu. Zaprosiła Curta von François do rozmów na temat nowego traktatu o ochronie.

W maju 1890 roku Curt von François i jego ludzie wmaszerowali do Okahandja. Wódz Tjamuaha zaprosił ich na ucztę w swojej willi, a w jej trakcie – coraz bardziej zaniepokojony potęgą Hendrika Witbooi – zgodził się podpisać drugi traktat z Niemcami. Gdyby tego wieczoru wyjrzał przez okno, być może by się na to nie zdecydował. Według ustnej tradycji Hererów, historii przekazywanych z pokolenia na pokolenie, tego wieczoru pojawiła się straszliwa wróżba. Jeden z wielbłądów, które sprowadził von François, przegryzł cugle i zawędrował do miasteczka. Snując się bez celu, przeszedł pomiędzy willą wodza a „Świętym Ogniem”, który płonął bez przerwy, na znak siły życiowej ludu Herero. Przejście przez to miejsce zwierzęcia bez rogów było złamaniem największego tabu Hererów i bardzo złowróbnym znakiem. W ich tradycyjnym kalendarzu, w którym każdy rok nazywany był od ważnego wydarzenia, rok podpisania traktatu otrzymał miano „roku wielbłąda” i był uważany za rok przeklęty^[69].

Dla von François zawarcie umowy z Hererami było potwierdzeniem skuteczności jego agresywnej strategii i osobistego, powtarzanego jak mantra przekonania, że w kontaktach z Afrykanami „sukces zapewnia jedynie niezłomna surowość”^[70]. Tak jak Göring, nie miał najmniejszego zamiaru udzielać żadnej pomocy swoim nowym „sojusznikom” – wręcz przeciwnie, cieszyła go perspektywa dalszej wojny między Hererami i Witbooiami.

We wrześniu 1890 roku, kiedy Witbooiowie przeprowadzili serię niszczycielskich ataków, wojna wkroczyła w nowy etap. W październiku stary wódz Tjamuaha, przywódca swojego ludu od prawie trzech dziesięcioleci – zmarł, a jego odejście przyniosło narodowi Herero poważny kryzys sukcesyjny. Kilku mniejszych wodzów zgłosiło roszczenia do pozycji – i była – Tjamuaha, w tym jego syn Samuel Maharero.

Urodzony w 1854 roku Samuel pobierał nauki w szkole misjonarzy w Okahandja, ale został wyrzucony z powodu „niemoralnego zachowania”. Dokładna natura jego przewinień nie jest znana,

ale podobno dużo pił. Młodość upłynęła mu w cieniu starszego brata Wilhelma, ale kiedy Wilhelm zginął w jakiejś potyczce, to Samuel stał się najważniejszym pretendentem do tronu Hererów – mimo iż nie ufała mu część jego ewentualnych poddanych, kupcy i misjonarze.

Kiedy zmarł wódz Tjamuaha, oprócz Samuela pretensje do tronu zgłosili także jego wujowie i kuzyn, wszyscy mający prawo ubiegać się o pozycję najwyższego wodza. Długie spotkania i negocjacje zmieniły się w kłótnie i bijatyki. Podziały pogłębiły się i na wierzch wypłynęły stare animozje. W minionych dekadach spory plemiennej elity nie miały większego znaczenia dla całego narodu Herero, ale w czasie „rozdrapywania Afryki” było czymś normalnym, że europejscy kolonizatorzy wykorzystywali wewnętrzne podziały wśród mieszkańców tego kontynentu.

Kiedy Hererowie byli zajęci kryzysem sukcesyjnym, von François postanowił działać szybko. W połowie października 1890 roku, zaledwie kilka dni po śmierci Tjamuahy, przeniósł niemiecką kwatery z Tsaobis, na pustyni Namib, do pewnej doliny leżącej między górami Auas na wschodzie a płaskowyżem Khomas na zachodzie. Dolina, znana pod holenderską nazwą Windhoek, leżała na żyznych ziemiach Hererów. Ci jednak, lud w pół nomadyczny, opuścili ją z powodu bliskości Witbooiów. Dwa miesiące wcześniej von François poprosił o zgodę na osiedlenie się w tej dolinie, ale mu odmówiono. Kiedy jednak elita Hererów była zajęta wewnętrznymi sporami, kapitan zajął Windhoek – Windhuk – i zignorował protesty Hererów^[71].

Nowe miejsce dawało dostęp zarówno do ziem Hererów na północy, jak i ziem Nama na południu. W Windhuku znajdowały się również gorące źródła zapewniające pitną – choć nieco siarkową – wodę dla całego garnizonu. Na wzgórzu wznoszącym się pośrodku szerokiej doliny Niemcy zaczęli budowę wielkiej fortecy. Był to zarówno dowód ich rosnącej siły wojskowej, jak i symbol determinacji, by na stałe zapuścić korzenie w południowo-zachodniej Afryce.

Nowy fort i stacjonujący w nim powiększony garnizon były zachętą dla niemieckich farmerów do osiedlania się wokół Windhuku. Założono Kompanię Osadniczą Afryki Południowo-Zachodniej, a także ustanowiono łączność pocztową między Windhukiem i Walvis Bay. Co więcej, uruchomiono też stałe połączenie między kolonią a Niemcami, obsługiwane przez linię żeglugową Adolpha Woermanna. W 1891 roku Niemiecką Afrykę Południowo-Zachodnią zamieszkiwało 139 białych ludzi. Powoli zaczynała przypominać przyczółek prawdziwej kolonii.



Hendrik Witbooi początkowo zamierzał ignorować Curta von François, tak jak postępował z Heinrichem Göringiem. Ponieważ jednak wokół Windhuku zaczęli osiedlać się niemieccy farmerzy i niemiecka obecność na terytorium zaczęła wyglądać na trwałą, ta strategia wymagała zmiany.

Nie ma wątpliwości, że Hendrik Witbooi wcześniej od innych *kapiteinów* zrozumiał zagrożenie, jakie stanowił niemiecki kolonializm. Zaniepokojony był już na pewno w maju 1890 roku. Wokół

Windhuku mieszkało wówczas jeszcze niewielu białych osadników, a w porównaniu z siłami Nama niemiecki garnizon był wciąż niewielki, w dodatku nieuzbrojony w sprzęt, który ostatecznie miał zapewnić przewagę kolonizatorom. Inny, gorszy przywódca łatwo mógłby uznać białych za zwyczajnie inne plemię, ale Hendrik Witbooi, śledzący doniesienia ze świata, dobrze rozumiał, jakie są naprawdę ambicje Niemców.

Witbooi, namiętny czytelnik gazet z Kraju Przylądkowego, zebrał do kupy strzępki informacji i pojął prawdziwą naturę kolonializmu. Z jego listów z 1892 roku wiemy, że wiedział o konferencji berlińskiej, którą określił jako „wielkie spotkanie w celu zdecydowania, kto ma prawo zawierać traktaty o ochronie w których afrykańskimi wodzami”. Słusznie też wywnioskował, w jakim stopniu niesławny akt końcowy konferencji pozostawiał w rękach Afrykanów prawo do samostanowienia [72].

W maju 1890 roku Hendrik Witbooi doszedł do wniosku, że von François, jego ludzie oraz biali osadnicy i kupcy stanowią awangardę tak wielkiego zagrożenia, że jego wojna z Hererami jest teraz sprawą marginalną, która w dodatku może tylko ułatwić zadanie znacznie niebezpieczniejszemu wrogowi. To doskonale widać w korespondencji Witbooi. Wiosną 1890 roku w listach do innych wodzów (także Hererów) porzucił on pewny siebie, władczy ton na rzecz łagodniejszego, braterskiego. Wielokrotnie odwoływał się do ich rozsądku i wzywał do jedności. Pod koniec maja w takim tonie napisał też do wodza Tjamuahy, apelując, by zastanowił się jeszcze raz nad traktatem o ochronie, który zawarł z von François:

Ta sucha ziemia znana jest tylko jako ziemia Hererów i ziemia Nama. Ziemia Hererów należy do ludów Herero i jest niezależna. Ziemia Nama należy do wszystkich klanów Nama, które także są niezależne – tak jak państwa białych ludzi, Niemcy, Anglia i tak dalej (...). Czy rozumiesz, co uczyniliśmy albo dla kogo zrobiłeś to, co zrobiłeś? Mój drogi *kapteinie* [Tjamuah], będziesz tego gorzko żałował, na wieki będziesz rozpacział, że oddałeś swoją ziemię i swoje prawa władcy białych ludzi. Wojna między nami nie jest wcale aż takim ciężarem, jak myślałeś w tamtej znamiennej chwili [73].

Powazne rozmowy o pokoju między Hererami a Witbooiami zaczęły się dopiero latem 1892 roku, kiedy następcą ojca na stanowisku najwyższego wodza został ostatecznie Samuel Maharero.

Obie strony były bliskie zawarcia pokoju, toteż von François musiał stawić czoło nie tylko Samuelowi Maharero, który był w coraz bardziej bitewnym nastroju, ale też rychłej perspektywie zjednoczenia się Afrykanów. Odpowiedział wzmocnionymi wysiłkami w celu wmanewrowania Hendrika Witbooi w podpisanie traktatu o ochronie i na początku czerwca 1892 roku udał się na spotkanie z nim do górskiej cytadeli Hoornkrans.

To, co zostało powiedziane w czasie spotkania, spisał jeden z zastępców Witbooi'a. Po zwyczajowych dyplomatycznych uprzejmościach von François objaśnił plany Niemiec wobec Południowego Zachodu, ostrzegając *kapiteina* Witbooi'a, że „wkrótce na statkach przybędzie duża liczba Europejczyków”, których prawa „muszą być zabezpieczone”. Dodał, że „niemiecka ochrona” zostanie rozciągnięta na te afrykańskie narody, które podpiszą traktat. Hendrik odparł na to: „Przed czym mamy być chronieni? Przed jakim nieszczęściem czy trudnością, czy cierpieniem jeden wódz może ochronić drugiego?”. Wiedząc, że „traktat o ochronie” oznacza *de facto* formę poddaństwa, Witbooi przerwał von François, mówiąc: „Nie widzę prawdy ani sensu w stwierdzeniu, że wódz, który się podporządkuje, może zachować niezależność i robić, co mu się podoba”. W kunsztowny sposób Hendrik ostrzegł swoich gości, że choć Nama mogą im się wydawać odrębnymi narodami, które można skłócić i podporządkować, to łączy je głębokie braterstwo krwi. „Ta część Afryki należy do nas, wodzów Czerwonych (...). Jeśli jednemu z nas będzie coś groziło i uzna, że nie poradzi sobie sam, może wezwać na pomoc jednego z braci, wodzów Czerwonych (...), gdyż jesteśmy jednego koloru i jednego obyczaju, a Afryka jest nasza”^[74].

Kiedy von François opuścił Hoornkrans, Hendrik Witbooi doskonale rozumiał, że wizyta kapitana była ostatnią pokojową próbą skłonienia go do podpisania traktatu. Groźba użycia przemocy była zawalowana, ale wyraźna. Cztery tygodnie po spotkaniu w Hoornkrans, Witbooi napisał list do Johna Cleverly'ego, brytyjskiego zarządcy Walvis Bay, prosząc Wielką Brytanię o pomoc:

Niemcy zalewają moją ziemię, a teraz grożą mi wojną (...). Niektórzy wodzowie podporządkowali się Niemieckiej Ochronie i dziś gorzko żałują, gdyż żadna ze słodkich obietnic nie została spełniona. Niemiec powiedział im, że ochroni ich przed potężnymi najeźdźcami, grożąc im odebraniem ziemi siłą, bez zgody wodzów. Z tego jednak, co widzę i słyszę, to właśnie Niemiec (...) robi dokładnie to, przed czym obiecywał chronić (...). Już rozstrzelał kilku ludzi za długi. (...) Przedstawiciele Niemiec opowiedzieli moim ludziom, jak pobili innych w haniebny i brutalny sposób, uważając nas za głupie i nie wiedzące stworzenia”^[75].

Odnosząc się do konferencji berlińskiej – i błędnie uważając, że zorganizowano ją pod brytyjskimi auspicjami – Hendrik w niebywały sposób apeluje do Cleverly'ego:

Najuprzejmiej Cię błagam o to, byś był tak dobry i przekazał ten list władzom Kraju Przyładkowego, żeby usłyszeli o tym brytyjscy politycy, aby mogli zorganizować kolejną konferencję w sprawie tych Niemców, o ile to możliwe odwołać ich z naszego kraju, gdyż nie przestrzegają Porozumienia i warunków, pod jakimi zgodziliście się ich tutaj

Cztery miesiące później Witbooiowie i Hererowie uzgodnili wreszcie warunki pokoju i po raz pierwszy od 1885 roku zaistniała szansa na to, by dwa najważniejsze narody Afryki Południowo-Zachodniej zjednoczyły się przeciwko niemieckim najazdom. Zaledwie trzy miesiące później, aby stawić im czoło, przybyło dwustu pięćdziesięciu niemieckich żołnierzy. Von François, który wielokrotnie prosił o posiłki, dysponował teraz wystarczającymi siłami, żeby podjąć działania ofensywne. Ponieważ Hendrik Witbooi wielokrotnie opierał się Niemcom – i najlepiej rozumiał, jakie stanowili zagrożenie – to właśnie jego lud, Witbooiowie Nama, stali się pierwszym celem sił ekspedycyjnych Curta von François.

Późno w nocy 12 kwietnia 1893 roku, w Hoornkrans, górskim obozie Witbooiów leżącym 160 kilometrów od Windhuku, Hendrik Witbooi, jego syn Klein Hendrik (Mały Hendrik) oraz doradca Samuel Izaak zasiedli do poważnej rozmowy. Była jesień i w górach Khomas było przenikliwe zimno. W dolinie było niemal tysiąc ludzi Hendrika, siedzących w grupach i śpiewających pieśni przy ogniskach. Migoczące pomarańczowe światło oświetlało okrągłe, gliniane chaty, w których spały dzieci Witbooiów. Za nimi, na brzegu obozowiska, w wielkich zagrodach trzymane były setki sztuk bydła. Tuż za nimi zaczynały się strome zbocza, które z trzech stron otaczały Hoornkrans.

Tej samej nocy kapitan von François i dwustu jego ludzi minęli góry Khomas. Żołnierzom powiedziano, że udają się na nocne manewry. Dopiero kiedy dotarli do podnóża Hoornkrans, von François zebrał ludzi i wyjawiał im prawdziwy cel. To nie były ćwiczenia: „Zadaniem było zniszczenie plemienia Witbooiów”. Wiedząc, że w otwartej bitwie miałyby niewielkie szanse, von François postanowił zaskoczyć plemię w śnie i unicestwić je^[77].

Zostawwszy konie, Niemcy po cichu wspięli się na strome zbocza otaczające Hoornkrans. Jeden za drugim żołnierze zajęli swoje pozycje. Poniżej Witbooiowie spali w swoich chatach. Było tuż przed świtem. Żarzyły się dogasające ogniska, słychać było tylko niespokojne konie i poruszenie bydła w zagrodzie. Kiedy słońce zaczęło wschodzić, von François wstał i dał sygnał. Kilka sekund później z dwustu karabinów padły równocześnie strzały. Grzmot salwy ustąpił miejsca metalicznemu szczękowi przeładowywanych magazynków, następnie padły kolejne strzały. W ciągu pół godziny wystrzelono szesnaście tysięcy nabojów.

W osadzie poniżej, w poszukiwaniu schronienia, z chat wybiegły setki ludzi. Dzieci krzyczały histerycznie, wrzaski rannych słychać było pomimo wystrzałów. W piasku leżały ciała zabitych, reszta z przerażeniem patrzyła na swoje koszmarnie rany. Nieliczni wojownicy Witbooiów, którzy przeżyli, próbowali odpowiedzieć ogniem, ale bez powodzenia. Zalały ich kule, zabijając wszystkich bez wyjątku.

Hendrik Witbooi, wstrząśnięty i zdezorientowany, zdołał wydać rozkaz. Nakazał swoim ludziom

uciekać w stronę wyschniętego koryta rzeki po drugiej stronie doliny, mając nadzieję, że Niemcy podejmą pościg i nie zrobią krzywdy kobietom i dzieciom. W czasie ucieczki Hendrik mógł zobaczyć swojego dwunastoletniego syna. Chłopiec, od dzieciństwa częściowo sparalizowany, został postrzelony w czasie próby ucieczki. Ranny, zdołał doczołgać się do rzeki, ale tam niemiecki żołnierz zabił go strzałem w głowę.

Na wzgórzu, ponad kurzem i krzykami zabijanych, von François, z szablą w ręku, wydał kolejny rozkaz i jego ludzie sięgnęli po bagnety. Kilka sekund później, strzelając, szarżowali już w dół, na Hoornkrans. Ku przerażeniu Witbooiów, zamiast ścigać mężczyzn w stronę rzeki Niemcy zaczęli mordować kobiety, dzieci i starców. Najstarszy syn Hendrika Witbooi, Klein Hendrik, tak opisywał los tych, którzy zostali w obozowisku:

Siedzieli nieruchomo, jak gdyby myśleli, że ich życie nie jest zagrożone, że zostaną wzięci w niewolę, że nie zostaną zabici. Wszyscy tak myśleliśmy. Myśleliśmy, że może zabiją mężczyzn, ale nie kobiety (...). Kobiety i dzieci zastrzelili w domach, rannych i martwych nie wynieśli ze środka, spalili ich razem z domami. W dzień ataku Niemcy schwytali starszego mężczyznę, zbyt wiekowego i schorowanego, żeby uciekać, który schował się wśród skał. Związali go i zabrali do swoich wozów, a następnego ranka zastrzelili trzema kulami^[78].

Petrus Jafta, wojownik Witbooiów, obserwował masakrę z pobliskiego wzgórza:

Wraz z dwoma innymi mężczyznami wdrapałem się na małe Kopje [wzgórze] i z odległości zobaczyłem siedzące kobiety. Zawołaliśmy je, żeby uciekały, ale zostały, aż przyszli Niemcy. Jeden z żołnierzy zastrzelił jedną z nich. Inne błagały Niemców o życie i o to, by ich nie zabijali, ale wzięli w niewolę. Niemieccy żołnierze zabrali kobiety, prowadząc je przed sobą. Kiedy zabijali jedną z nich, trzymało się jej kurczowo płaczące dziecko. Żołnierz strzelił mu w głowę, która rozpadła się na kawałki. Widziałem zabite dziecko. Żołnierz w nie celował. Podpalono domy i spalono ciała kobiet i dzieci (...). Z jednej strony *uerft* [obozu] zabito wszystkie kobiety z wyjątkiem dwóch rannych. Nie liczyłem ich, kiedy byłem tam [później], ciała już się rozkładały. (...) Wiele dzieci zabito w domach...^[79].

Rzeź w Hoornkrans była tak masowa, tak bezmyślna, że nawet niektórzy ludzie von François byli wstrząśnięci. Gdy jeden z niemieckich żołnierzy z nożem w ręku przyparł do muru siostrę Hendrika Witbooi, inny Niemiec złapał go za rękę i kazał kobiecie uciekać^[80].

Kiedy masakra dobiegła końca, nad dolinę wzeszło słońce. Kurt Schwabe, niemiecki żołnierz, który brał udział w ataku i był świadkiem tego, co miało miejsce zaraz po niej, pisze:

Ze wszystkich stron ukazywały się nam straszne sceny. Pod skalami i na nich leżały ciała siedmiu Witbooiów, którzy w agonii wdrapali się do jaskini, ciała ciasno przyciśnięte do siebie. W innym miejscu ścieżkę zagradzało ciało (...) kobiety. Obok zwłok matki w ciszy bawiła się dwójka trzy- albo czteroletnich dzieci (...). Był to przerażający widok: spalone chaty, ciała ludzi, szczątki zwierząt, rozrzucone sprzęty, zniszczone i beużyteczne karabiny, oto jaki widok rozpościerał się przed naszymi oczami^[81].

Schwabe i jego towarzysze nie spędzili wiele czasu na przyglądaniu się miejscu masakry. Z błogosławieństwem von François zabrali pozostałości obozowiska Witbooiów, nawet kościół. Wśród dymu i zniszczenia żołnierze najpotężniejszej armii świata przeczesywali ruiny chat z błota i odzierali do naga ciała kobiet w poszukiwaniu łupów. Następnie drobniuzgowo spisali skarby, jakie zdobyli dla Niemiec i cesarza: 212 strzemion, 74 podkowy, 12 kubków, 12 młynków do kawy, 122 sztuki sztuców, 44 wędzidla i ogłowia, troje skrzypiec oraz jedna operowa lornetka.

Ludzie kapitana von François pojмали też osiem kobiet Witbooiów. Zaprowadzono je do nowego niemieckiego fortu w Windhuku i oddano żołnierzom jako niewolnice. Nie wiadomo, co się z nimi stało i jakie cierpienia na nie spadły, ale von François uznał, że ich pojmanie i niedola były „stosowną karą”. Jedna z nich, córka Witbooi, odważnie oznajmiła Niemcom, żeby „szybko wracali na wielkie statki, którymi tu przyplłynęli, gdyż mój ojciec wkrótce wygoni z tej ziemi białych ludzi”^[82].

W Hoornkrans von François i jego ludzie zabili ośmiu starców, dwóch nastolatków oraz siedemdziesiąt osiem kobiet i dzieci^[83]. Zginął tylko jeden Niemiec, dwóch zostało lekko rannych. W raporcie dla Departamentu Kolonii Curt von François twierdził, że atak był tak skuteczny, „że jakikolwiek dalszy opór ze strony Witbooiów jest wykluczony”^[84].

[64] Gewalt Jan-Bart, *Towards Redemption*, Leiden 1996; idem, *Learning to Wage and Win Wars in Africa*, ASC Working Paper, Leiden 06/2005; Drechsler, op. cit.; W. Tabel, *Die Literatur der Kolonialzeit Südwestafrikas: Memoiren berühmter Persönlichkeiten: Curt von François*, w: *Afrikanischer Heimatskalender*, Windhoek 1984; Gerhardus Pool, *Samuel Maharero*, Windhoek 1991.

[65] Horst Drechsler, *Let Us Die Fighting*, Berlin 1986, s. 43.

[66] Ibidem.

[67] Tabel, op. cit., s. 78.

[68] Klaus Dierks, *Chronology of Namibian History*, Windhoek 2002, s. 68, 18 sierpnia 1889.

[69] Gewalt, *Towards Redemption*, op. cit., s. 39–46.

[70] Drechsler, op. cit., s. 43.

[71] Curt von François, *Deutsch-Südwestafrika: Geschichte der Kolonisation bis zum Ausbruch des Krieges mit Witbooi, April 1893*, Berlin 1899, s. 75–76; Hugo von François, *Nama und Damara*, Magdeburg 1895, s. 122.

[72] Annemarie Heywood, Eben Maasdorp (red.), *The Hendrik Witbooi Papers*, Windhoek 1995, s. 98. Witbooiowi mogli również chodzić o konferencję niemiecko-brytyjską z roku 1890.

[73] Ibidem, s. 50.

[74] Ibidem, s. 84–89.

[75] Ibidem, s. 102.

[76] Ibidem, s. 101.

[77] Drechsler, op. cit., s. 70–74; Union of South Africa, *Report on the Natives of South-West Africa and Their Treatment by Germany*, London 1918, section V; Kurd Schwabe, *Mit Schwert und Pflug in Deutsch-südwestafrika*, Berlin 1904; Heywood, Maasdorp, op. cit., s. 126–141, 207–210; NASA, GG Office 9/269/3, Witbooi do Cleverly'ego (2 maja 1893).

[78] Heywood, Maasdorp, op. cit., s. 207–210.

[79] Ibidem.

[80] Ibidem, s. 210.

[81] Schwabe, op. cit.

[82] Ibidem.

[83] Heywood, Maasdorp, op. cit., s. 210.

[84] Drechsler, op. cit., s. 71.

ROZDZIAŁ 5

„Europejczycy nie prowadzą wojny w ten sposób”

Masakra w Hoornkrans była wydarzeniem bez precedensu w historii południowo-zachodniej Afryki, od wielu wieków chronionej przed europejskim kolonializmem. Pod koniec XIX wieku taktyka Curta von François była powszechnie stosowana wobec niezliczonych ludów na całym świecie. W Afryce, Azji, Australii, Ameryce Północnej i Południowej żołnierze jego pokroju bez mrugnięcia okiem wydawali rozkazy masowych egzekucji, wyginali miliony ludzi z ich ziem, prowadząc coś, co wojskowi stratedzy określali mianem „małych wojen”.

Choć według europejskich standardów wojny kolonialne były niewątpliwie małe, dla plemion, których dotyczyły, były zawsze kataklizmem. Tylko nieliczne były wojnami w tradycyjnym rozumieniu tego słowa – rzadko kiedy spory w koloniach rozwiązywano przy pomocy walnych bitew, w których naprzeciwko siebie stawały armie. Rzadkością były wielkie starcia, jak bitwa pod Omdurmanem^[85] czy pod Isandlwana^[86], w których zginęła zdecydowana mniejszość spośród tych Afrykanów, którzy stracili życie, stawiając czoło Europejczykom. Większość zginęła w masakrach, zasadzkach i karnych ekspedycjach, pod wieloma względami niczym nieróżniących się od ataku Curta von François na Hoornkrans.

Przez większą część XIX wieku tworzenie imperiów przedstawiano w Europie jako szlachetną

krucją, akt dobroczynnego paternalizmu. Karne ekspedycje i kolonialne masakry kontrastowały z ową fikcją, toteż ukrywano je przed opinią publiczną. Nawet dziś wiedza o nich nie jest w Europie powszechna. Pamięta się te, w których zginął jakiś ważny Europejczyk^[87], albo te, które przyniosły jakiś niezwykły łup.

Zapomina się także, jak łatwo i jak często konflikty kolonialne przemieniały się w ludobójstwo. Powszechnie przyjmowano, że uznane zasady prowadzenia wojny nie odnoszą się do wojen z „dzikusami”. Do lat 80. XIX wieku, kiedy miało miejsce „rozdrapywanie Afryki”, rozmaite ludy na całym świecie znalazły się na krawędzi eksterminacji – a kilka nawet zepchnięto w tę przepaść.

Na każdym kontynencie scenariusz był ten sam. W poszukiwaniu ziemi przybywali osadnicy i wysiedlali rdzenną ludność, która traciła swoje pastwiska i tereny łowieckie. Nierzadko dopadał ich głód, co z kolei prowadziło do starć zbrojnych. Równowaga w uzbrojeniu między kolonizatorami i kolonizowanymi, jaka panowała w południowo-zachodniej Afryce, była wyjątkiem: wszędzie indziej biali osadnicy i żołnierze dysponowali dużo lepszą bronią niż stawiający im czoło tubylcy. Niemal zawsze muszkiet – a później karabin – pokonywały włócznię tubylczych wojowników.

W Australii skazańcy, których rząd brytyjski niegdyś planował wysłać na wybrzeże Namib, zdziesiątkowali Aborygenów. Na Tasmanii w latach 20. i 30. XIX wieku osadnicy wymordowali niemal całą miejscową ludność – niezdarne próby przesiedlenia plemion zamieszkujących najbardziej niedostępne tereny doprowadziły do wyćpienia niemal całej populacji w ciągu zaledwie trzydziestu lat. W Ameryce Północnej i Południowej kolejne fale europejskiego osadnictwa wyrzuciły Indian z należących do nich terenów.

Wszystko to było jasne nawet w pierwszej połowie XIX wieku, jednak w Europie szukano jakiejś przyjemniejszej odpowiedzi na pytanie, dlaczego tubylcy nie są w stanie przetrwać zetknięcia z Europejczykami. Teoretycy religijni tłumaczyli, że zgodnie z boskim planem Afrykanie, Azjaci i Amerykanie po prostu opiekowali się tymi terenami do nadejścia białych ludzi. Kiedy pojawiła się wyższa rasa, gotowa objąć w posiadanie to, co się jej należało, ludzie o innych kolorach skóry nie byli już potrzebni i po prostu zaczęli znikać. Najlepiej ujął to dziewiętnastowieczny brytyjski teolog Frederic Farrar: „nierokujące nadziei dzikusy”, niemogące przyjąć cywilizacji, były – jak wierzył – skazane na „wymieranie tak samo nieuchronnie i namacalnie, jak pod wpływem promieni słonecznych znika śnieg”^[88].

W drugiej połowie stulecia, kiedy Afryka stała się celem wzmózonych wysiłków kolonizacyjnych, zniszczenie rdzennych ludów tłumaczono za pomocą koncepcji naukowych, a nie religijnych. Nadejście darwinizmu oznaczało bezpośrednie i poważne zagrożenie dla Kościoła, a skandal religijny towarzyszący publikacji *O powstawaniu gatunków* nieco przysłonił fakt, że teorie Darwina znakomicie pasowały do swoich czasów. Choć zatrzęsły religijnym establishmentem, to jednak większość naukowej elity epoki wiktoriańskiej, a także polityków, naukowców i filozofów przyjęła

darwinizm z otwartymi ramionami. Teoria ta wprowadzała koncepcje, które były popularne już wcześniej i które zaglądały przez uchylone drzwi. Teraz drzwi wyważono na oścież.

Za pierwszą grupę, której ciężki los uznano za dowód na to, że „walka o byt” jest kluczową siłą napędzającą ludzkie społeczeństwo i świat przyrody, byli wcale nie rdzenni mieszkańcy kolonii, ale proletariatsz przepelnionych, europejskich miast. Z perspektywy wygodnych, georgiańskich placów zachodniego Londynu oraz zielonych przedmieść Berlina miliony zamieszkujące slumsy łatwo uznawano za ludzi, którzy nie zdołali się przystosować. „Nie pasowali” i jako tacy zostali zaszeregowani jako najniższa warstwa społeczeństwa, półświatek występku, przemocy, alkoholizmu i nędzy. „Prowadzą życie dzikusów” – mówił o losie dziewiętnastowiecznych pariasów wiktoriański badacz Charles Booth.

W koloniach los „dzikusów”, ciemnych ras tego świata, podlegał – zdawało się – tym samym prawom selekcji naturalnej. Ich zniknięcie było z pewnością rezultatem nieumiejętności przystosowania się do pojawiającej się silniejszej, zdolniejszej rasy i przyniesionej przez nią cywilizacji. Zniknięcie Tasmańczyków, Patagończyków, Indian, a w niedalekiej przyszłości także Afrykanów, świadczyło o ich wrodzonej słabości, o tym, że nie pasowali do przyszłości.

Imperializm można było tłumaczyć różnymi sposobami – interesem gospodarczym, rywalizacją europejskich potęg, obowiązkiem białego człowieka, jakim było niesienie cywilizacji oraz Słowa Bożego – ale eksterminacja całych ras była trudniejsza do wyjaśnienia. Darwinizm społeczny, razem z wieloma teoriami naukowego rasizmu z XVIII wieku i początków wieku XIX, umożliwiał przedstawienie historycznych i współczesnych wydarzeń w zupełnie innych świetle – przyjmując pokrętną logikę procesu czarownic.

Biała rasa siłą i podbojem rościła sobie prawa do terytoriów na całym świecie. Triumfowała wszędzie, ponieważ była najlepiej przystosowana – jej zwycięstwa były dowodem na to przystosowanie. Wszystkie rasy, które zostały zniszczone, zanim jeszcze Darwin zaczął pisać, zostały uznane za niezdolne do życia z tego prostego powodu, że wyginęły. Niektóre ludy zamieszkujące planetę uznano za „zgubione rasy”. W stosunku do nich nauka była odpowiedzialna jedynie za zbadanie ich kultur i zgromadzenie używanych przez nich przedmiotów – zanim w nieunikniony sposób znikną z powierzchni ziemi.

Rozprzestrzenianie się Europejczyków po całym globie zostało uznane za coś niemalże uświęconego i coraz bardziej powiązanego z inną krucjatą XIX wieku – marszem postępu. Tak jak zagospodarowywanie ziemi, budowa kolei, osiedlanie się białych farmerów, pozbywanie się tubylców stało się jednym z symboli nowoczesności. Darwinizm społeczny uznawał zatem śmierć za symbol postępu. W pamiętnikach, przemowach, biografiach i traktatach naukowych po tysiącokroć powtarzano przekonanie, że w walce o byt słabsi muszą ulec silniejszym. Resztki poczucia winy, jakie mogły wynikać z chrześcijańskiej moralności, można było uciszyć przekonaniem, że jest to

proces, którego i tak nie sposób uniknąć.

Oczywiście byli także i tacy, którzy sprzeciwiali się kolonializmowi w każdej formie. Na początku XIX wieku miliony Europejczyków, w tym rodzina Karola Darwina, zmobilizowały się, aby sprzeciwić się brutalności i niegodziwości niewolnictwa. Kiedy zostało wreszcie zniesione, te same organizacje skierowały swoją energię – i współczucie – do walki z przemocą imperializmu. Liberalowie w Wielkiej Brytanii, Francji i Niemczech potępiali sposób, w jaki traktuje się tubylców. Przez całe dziesięciolecia pisali raporty, wydawali broszury i urządzali wiece, chcąc zwrócić uwagę opinii publicznej na te aspekty kolonializmu, o których zazwyczaj się nie mówiło. Kiedy jednak na konferencji berlińskiej podzielono Afrykę, orędownicy nieograniczonego kolonializmu nauczyli się wykorzystywać wypaczoną wersję darwinizmu społecznego i przy jej pomocy oddalać zarzuty humanitarystów jako staromodne i nienaukowe. W końcu w naturze nie ma czegoś takiego jak humanitaryzm, współczucie czy poczucie braterstwa.

Brytyjski odkrywca William Winwood Reade w latach 60. XIX wieku zdołał uchwycić panujący w tamtej epoce konsensus. W ostatnim rozdziale swojej książki *Dejka Afryka*, zatytułowanym *Zbauenie Afryki*, zawarł on przepowiednię dotyczącą przyszłości kontynentu. Wizja Reade'a opierała się na niewzruszonej wierze, że Afryka należy do białych ludzi:

Afryka zostanie zbauiona. Jej dzieci dokonają tego wielkiego dzieła. Jej mokradła zostaną osuszone, jej pustynie nawodnione kanałami, jej lasy wycięte na opał. Tego wszystkiego dokonają jej dzieci, wleją *elixir vitae* w żyły swojej matki, teraz chorej i obumierającej. Przywrócą ją do dawnej młodości i nieśmiertelnego piękna.

To odpowiedzialne zadanie może ich zabić. Musimy nauczyć się patrzeć na to ze spokojem, gdyż ilustruje to dobroczynne prawa natury, w których słaby musi zostać pożarty przez silnego^[89].

Reade głęboko wierzył, że w niezbyt odległej przyszłości europejscy arystokraci będą budować swoje posiadłości w Afryce Środkowej, „pod palmami, siedząc na krzeselkach, młode damy ze łzami w oczach będą zaczytywać się *Ostatnim Murzynem*^[90], a Niger stanie się romantyczną rzeką, przypominającą Ren^[91].

Choć Niemcy zasiedli do kolonialnego stołu z opóźnieniem, ich naukowcy przyjęli logikę społecznego darwinizmu jako jedni z pierwszych. W 1868 roku, pracując nad *O pochodzeniu człowieka*, w liście do Wilhelma Preyera, profesora fizjologii na uniwersytecie w Jenie, Darwin pisał: „Wsparcie, jakie otrzymuję z Niemiec, daje mi podstawę do wiary w to, że nasze poglądy w końcu przeważą^[92]”.

W Niemczech teorie Darwina przyjęły się szczególnie dobrze, zwłaszcza dlatego że wsparło ich

wielu szanowanych tamtejszych naukowców. Najważniejszym z nich był Ernst Haeckel, jeden z najznamienszych niemieckich intelektualistów. Haeckel zaczął interesować się darwinizmem tuż po publikacji *O powstawaniu gatunków*. W ciągu następnych 40 lat napisał wiele bardzo wpływowych książek o ewolucji, które były jednymi z najpopularniejszych publikacji niebeletrystycznych w cesarskich Niemczech. Całe pokolenie niemieckich naukowców i intelektualistów poznało Darwina głównie poprzez Ernsta Haeckla, który różnił się od niego przede wszystkim podejściem do różnic rasowych. Obca mu był owa wyjątkowa ostrożność Darwina przy odnoszeniu swoich teorii do walk między różnymi rasami człowieka.

Kiedy niemieccy naukowcy stali w awangardzie darwinowskiej rewolucji, w afrykańskim imperium Niemiec – szczególnie w Afryce Południowo-Zachodniej – koloniści stanęli twarzą w twarz z sytuacją, która zadawała kłam rasistowskiemu założeniu stanowiącym fundament kolonializmu. W jedynej kolonii Niemiec, nadającej się do osadnictwa na wielką skalę, dominowały plemiona Afrykanów, które pod żadnym względem nie pasowały do kolonialnej teorii. Nama i Hererowie nie uciekli w głąb łąd przed białymi ludźmi, nie padli też ofiarami przywleczonych przez białych chorób. Ciągła wojskowa i gospodarcza niezależność Afrykanów z tego regionu była cierniem w oku niemieckiego lobby kolonialnego, które w latach 90. XIX wieku było już tym bardzo zirytowane. Jeszcze przed masakrą w Hoornkrans gabinetowi imperialiści z Berlina oraz agitatorzy towarzystw misyjnych i kolonialnych oskarżali Departament Kolonii o to, że nie oddelegował do Afryki Południowo-Zachodniej wystarczających sił wojskowych. Niektórzy interpretowali rzeź w Hoornkrans i usunięcie Bismarcka jako zwiastuny nowej epoki kolonialnej. Mieli nadzieję, że od tego momentu niemiecka armia przywoła Nama i Hererów do porządku. Jak jednak szybko się okazało, jedyne, co zdołał zrobić w Hoornkrans von François, to rozpętać wojnę, której nie mógł wygrać.

Ucieklszy z Hoornkrans, Hendrik Witbooi i jego ludzie znaleźli schronienie w górach Khomas, na krawędzi pustyni Namib. Tam *kaptein* Hendrik napisał listy do innych wodzów Nama, których wezwał do wspólnego stawienia czoła Niemcom. W kwietniu 1893 roku ponownie napisał też do Johna Cleverly'ego, brytyjskiego urzędnika w Walvis Bay, przez którego – jak słusznie podejrzewali Witbooiowie – mogli poinformować świat o tym, co wydarzyło się w Hoornkrans. Witbooi miał nadzieję przechytrzyć Niemców, zwracając się do europejskiej opinii publicznej. Opisawszy w szczegółach to, czego doświadczyli jego ludzie, Hendrik Witbooi zakończył list do Cleverly'ego następująco:

Spraw, proszę, by wiadomości o tych strasznych i groźnych wydarzeniach dotarły do możliwych w Anglii i Niemczech. Nie wydaje mi się, żeby taka wojna, jaką rozpętały Niemcy, mogła być prowadzona przez potężnych i cywilizowanych ludzi – czy to jest

normalny, zwyczajowy sposób prowadzenia wojny?^[93].

Aby upewnić się, że Cleverly poinformuje swoich przełożonych o masakrze, Hendrik wysłał z listem swojego syna Klein Hendrika, a także jednego z najbardziej zaufanych zastępców, Petrusa Jaftę. Ponieważ obaj byli w Hoornkrans, kiedy zaatakował von François, mogli też osobiście potwierdzić doniesienia Witbooi. Pięć dni później Cleverly odpisał: „Nie mogę pojąć, jak mogło dojść zabijania kobiet i dzieci, o którym mi mówisz. Europejczycy nie prowadzą wojny w ten sposób”^[94].

Odpowiedź Cleverly’ego była nieszczera. Jako urzędnik imperium brytyjskiego doskonale wiedział, w jaki sposób Europejczycy prowadzili wojny z „dzikusami”. Na podstawie listu Hendrika Witbooi napisał jednak do podsekretarza do spraw tubylców w Kapsztadzie raport, do którego dołączył złożone pod przysięgą oświadczenia od Petrusa Jafty i Klein Hendrika.

Za jakiś czas w brytyjskiej prasie zaczęły pojawiać się artykuły o niemieckich „nadużyciach” w Hoornkrans, w których podkreślano, że ofiarami były głównie kobiety i dzieci, a to, co się wydarzyło, było masakrą. Stały one w jaskrawej sprzeczności z wcześniejszymi doniesieniami, publikowanymi w niemieckich gazetach, które przedstawiały Hoornkrans jako zwycięską bitwę stoczoną wyłącznie z wojownikami jakiegoś dzikiego plemienia. Kilka niemieckich gazet zamieściło ową alternatywną relację, podając w wątpliwość oficjalną wersję wydarzeń^[95].

W Berlinie klasa polityczna debatowała nad tym, czy zniszczenie Witbooiów Nama odbyło się zbyt, czy nie dość brutalnie, a tymczasem Hendrik Witbooi i jego trzystu ludzi przeprowadzili serię ataków na Niemców w Windhuku. W czasie jednego z nich Witbooi wprowadzili nowe konie, których Niemcy nie zdążyli jeszcze wziąć dla siebie. Garnizon von François, dysponując zaledwie siedemdziesięcioma końmi – w porównaniu z trzystoma końmi Witbooiów – został tymczasowo unieruchomiony i zasięg niemieckiej władzy kolonialnej w Afryce Południowo-Zachodniej sięgał zaledwie do granic Winduku. W czerwcu Witbooiowie zaatakowali ponownie. Przegalopowali poza zasięgiem niemieckich karabinów, machając kapeluszami i kpiąc z niezdolności wroga do podjęcia pościgu.

Hendrik Witbooi zwrócił wtedy uwagę na drogę łączącą Windhuk i Walvis Bay, atakując składający się z dwudziestu wozów konwój i *de facto* odcinając dostawy do Windhuku. W ciągu całego konfliktu Witbooiowie atakowali wyłącznie siły kapitana von François, nie ruszając niemieckich farmerów zamieszkujących wokół Windhuku. Kiedy Gustav Voigts, jeden z najwcześniejszych osadników, który potem stał się wiodącym przedsiębiorcą kolonii, odbył podróż przez ziemie Nama z pięciuset wołami, zwracając się wcześniej o pozwolenie do Hendrika Witbooi napisał:

Witbooi wiedział doskonale, że jesteście Niemcami, z którymi prowadził wojnę, i bez trudu mógłby zdobyć pięćset wołów nawet bez jednego wystrzału, ale my równie dobrze wiedzieliśmy, że bez względu na wszystko Hendrik dotrzyma słowa i nie zawiedliśmy się [96].

Przez siedem miesięcy Witbooiowie stawiali czoło siłom Curta von François. Młodzi mężczyźni z innych klanów Nama opuszczali swoje osady, żeby przyłączyć się do Witbooiów i pomścić przelaną w Hoornkrans krew Nama. W roku 1893 von François – teraz już w randze majora – wysłał kilka depesz do Berlina, informując o ciężkim położeniu, w jakim się znajduje. Domagał się artylerii oraz więcej żołnierzy, a także wielokrotnie przekonywał przełożonych, że ostateczne zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki. Mimo to w ciągu roku urzędnicy Departamentu Kolonii po kawałku doszli do całej prawdy.

Po kilku nieudanych ofensywach przeciwko Witbooiom głosy domagające się usunięcia Curta von François pojawiły się nawet w Reichstagu. Jeden z posłów podsumował sytuację następująco: „Major François nie jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu i musi zostać zastąpiony przez kogoś innego (...). Prawdziwym panem tego kraju jest [Hendrik] Witbooi i François nie jest dla niego przeciwnikiem” [97].

W listopadzie 1893 roku, ewidentnie nie zdając sobie sprawy z tego, jak niepewna jest jego pozycja, von François wysłał list do niemieckiego kanclerza Leona von Capriviego, informując go o kampaniach planowanych na rok 1894. To posunięcie zakończyło jego karierę. Źle pomyślane i nazbyt ambitne kampanie z pewnością wciągnęłyby Niemcy z wojnę z trzema innymi plemionami południowo-zachodniej Afryki, w tym z Hererami. Człowiek, który z Afryki Południowo-Zachodniej miał uczynić bezpieczne miejsce dla niemieckiego osadnictwa, przyniósł kolonii potencjalnie katastrofalną niestabilność, wciągając ją w zdającą się nie mieć końca wojnę. Pod koniec 1893 roku do Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej wysłano nowego dowódcę mającego ocalić kolonię przed Curtem von François.



1 stycznia 1894 roku Theodor Leutwein przyплыł do nowo wybudowanego portu Swakopmund, położonego 30 kilometrów na północ od Walvis Bay. Był rozsądnym, wyrachowanym realistą – pod wieloma względami zupełnym przeciwieństwem Curta von François. Trzeci kolonialny władca Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej był synem pastora i zanim wstąpił do armii, studiował prawo. W wieku czterdziestu czterech lat był zarówno dyplomatą, jak i żołnierzem, a jego najważniejszym zadaniem jako gubernatora było podsumowanie pierwszej, chaotycznej dekady niemieckiej kolonizacji tych terenów.

Leutwein zdawał sobie sprawę z ograniczeń niemieckiej władzy w kolonii oraz względnej przewagi Afrykanów. Niezdolność doktora Göringa i Curta von François do uchwycenia tych oczywistości wynikała w dużej części z ich uprzedzeń wobec Hererów i Nama, których uważali za prymitywnych i „nieodkrytych”. Leutwein nie podzielał takich opinii, a jego ambicje wobec Afryki Południowo-Zachodniej były umiarkowane, przynajmniej w najbliższej perspektywie. W pierwszej fazie planu chciał tylko, by Niemcy – tak żołnierze, jak i osadnicy – stali się trwałym elementem rzeczywistości kolonii. Aby to osiągnąć, nie wykluczał zastosowania przemocy, ale w przeciwieństwie do Curta von François nie uważał garnizonu za jedyną dostępną możliwość.

Theodor Leutwein dokładnie przestudiował doświadczenia Brytyjczyków i chciał skolonizować Niemiecką Afrykę Południowo-Zachodnią, stosując te same metody. Przywiązywał dużą wagę do rzymskiej maksymy „dziel i rządź”. Jego długofalowa strategia zakładała izolowanie małych grup etnicznych zamieszkujących terytorium kolonii, a następnie stawianie im czoła, jednej po drugiej. Na koniec każdej wojenki Leutwein chciał narzucać pokonanym Afrykanom traktat, który pozbawiał ich ziemi oraz resztek niezależności. Korzystając z każdej możliwej okazji, planował skłócić ze sobą Afrykanów, podważyć tradycyjną klanową jedność oraz władzę wodzów. Pierwszym celem Leutweina było wywarcie nacisku na te plemiona, które nie podpisały traktatów ani z Heinrichem Göringiem, ani z Curtem von François.

Zaledwie kilka tygodni po przybyciu Leutwein wyruszył z Windhuku na czele stu żołnierzy i skierował się do osady Khauas Nama, 160 kilometrów na południowy wschód. Z zaskoczenia zaatakował i pojął Andreasa Lamberta, wodza Khauas, a także zdobył wiele koni oraz karabinów. Kiedy Lambert próbował uciec, Leutwein urządził mu proces, w którym odegrał rolę zarówno oskarżyciela, jak i sędziego, skazując wodza na śmierć – wyrok wykonano natychmiast. Następnego dnia mianował innego wodza, który był tylko jego marionetką, i zmusił plemię Khauas do podpisania traktatu, w którym natychmiast przyjmowało zwierzchnictwo Niemiec.

Następnie zwrócił się przeciwko Franzmannom, jednemu ze starszych klanów Nama, którzy zamieszkiwali na południe od Khauas, na granicy pustyni Kalahari. Kiedy Niemcy przybyli do ich osady, Leutwein nakazał swoim oddziałom zająć pozycje na górującym nad osadą wzgórzu. Pod groźbą użycia niemieckich karabinów wódz plemienia, Simon Kopper, oraz jego starszyzna zostali zmuszeni do podpisania traktatu. Raz jeszcze musieli przyjąć kajzera jako swojego suwerena.

Jak większość traktatów kolonialnych, te narzucone Khauas i Franzmannom stanowiły brutalną i niszczytelką ingerencję w sprawy niezawisłych społeczeństw. Najbardziej uderza jednak ich relatywna łagodność. Nie próbowano za ich pomocą na przykład przejąć ziemi. Choć Leutwein dysponował większymi siłami niż von François, kiedy atakował Hoornkrans, chciał przede wszystkim zbliżyć afrykańskie narody do Niemiec – kulturalnie, gospodarczo i militarnie. Nie znaczy to, że Leutwein był imperialistą dobrotliwym – jego polityka wynikała z pragmatyzmu,

a nie liberalizmu. Była jednak także dowodem na to, że jego nadejście wyznaczało początek epoki bardziej „profesjonalnego” kolonializmu.

Podporządkowawszy sobie Khauas i Frantzmánów Nama, nowy gubernator postanowił bardzo ostrożnie zająć się Witbooiami, ostatnim klanem Nama, który pozostawał poza niemiecką „ochroną”. W 1894 roku Hendrik Witbooi zebrał swoich ludzi w nowej osadzie, położonej w górach Naukluft. Doceniając siłę Witbooiów oraz wiedząc, jakie trudności może sprawić walka w górach, Leutwein nie zdecydował się na natychmiastowy atak, ale podjął próbę przekonania Hendrika Witbooi, by na drodze negocjacji zgodził się przyjąć niemiecką ochronę.

Od maja do sierpnia Leutwein wysłał do Hendrika Witbooi wiele listów, z czego niektóre zdumiewająco szczere. W porównaniu z bombastycznymi edyktami Heinricha Göringa, Leutwein zwracał się do wodza z szacunkiem i wyczuciem. W liście z 9 kwietnia 1894 roku próbuje opisać szersze okoliczności, które sprawiły, że Niemcy i Witbooiowie znaleźli się w stanie wojny:

Rozwój wydarzeń sprawił, że Jego Wysokość Cesarz Niemiecki jest teraz najwyższym władcą krainy Namaqua i nic nie można z tym zrobić. Inni Kapitanowie tego kraju podporządkowali się i jesteś ostatnim, który odmówił i musi walczyć z nami aż do zniszczenia (...)^[98].

W innym miejscu tego samego listu ostrzega Hendrika Witbooi:

Jeśli uda mi się zabić ciebie i wszystkich twoich ludzi, wojna dobiegnie końca, ale jeśli tobie uda się zabić mnie i wszystkich moich ludzi, wojna w żadnym wypadku się nie zakończy, gdyż Cesarz Niemiecki wyśle ze swojej wielkiej armii dwa albo trzy razy tyle ludzi, jeszcze więcej dział i będziecie musieli zaczynać od początku (...). Jego Wysokość Cesarz Niemiecki wysłał mnie z dokładnym rozkazem, bym wypowiedział wam wojnę i zniszczył was, jeśli się nie poddacie. Nie znam was i nie żywię do was żadnej urazy, ale wykonam mój rozkaz i będę z wami walczył na śmierć i życie (...)^[99].

W jednej z odpowiedzi do Leutweina Hendrik Witbooi odważnie pisze:

Nigdy nie spotkałem Cesarza, a zatem nigdy nie mogłem go obrazić ani słowem, ani czynem. Bóg dał nam na ziemi różne królestwa i przez to wiem i wierzę, że nie jest ani grzechem, ani przestępstwem chcieć pozostać niezależnym wodzem mojego kraju i mojego ludu. Jeśli chcesz mnie za to zabić, nie jest to w żadnym stopniu moją winą, nie jest to ani występki, ani hańba – umrę uczciwie za to, co należy do mnie^[100].

Wciąż nie chcąc atakować, 20 maja Leutwein poinformował Hendrika Witbooi, że nie wydał swoim wojskom rozkazu ataku na Naukluft, gdyż „sumienie wciąż szepcze mi, że któregoś dnia możesz oskarżyć mnie o to, że nie dałem ci wystarczająco dużo czasu”. Trzy miesiące później, w wyjątkowo uprzejmym liście, Leutwein napisał, że gdyby pozwolił Witbooiom zachować autonomię, „obwiniałby mnie nie tylko mój Pan, Cesarz Niemiecki, ale też wszyscy Niemcy. W Rzeszy mówi się o tobie więcej, niż ci się wydaje (...). Nawiasem mówiąc, nasze listy są przekazywane do Berlina, czytają je również moi ludzie”^[101].

Decyzja Leutweina, żeby przełożyć atak, była motywowana nie tylko chęcią uniknięcia masakry albo narastającym szacunkiem dla Hendrika Witbooi. Zależało mu również na tym, by nie zostać pokonanym. Dopiero kiedy z Niemiec przybyły posiłki, zdecydował się – być może niechętnie – na atak. To, że odbył się on dopiero 27 sierpnia, niemal cztery miesiące po tym, jak Niemcy po raz pierwszy przybyli do Naukluft, świadczy o determinacji Leutweina, żeby posłużyć się dyplomacją, a także o tym, jak bardzo liczył się z wojskową siłą Witbooiów Nama.

Mimo tej ostrożności Theodor Leutwein wciąż nie doceniał zdolności wojskowych i determinacji Witbooiów. Atak Niemców zaczął się od niezgrabnego marszu przez przełęcz Naukluft, w czasie którego kilkakrotnie wpadali w zasadzki Witbooiów, którzy ostrzeliwali ich z doskonale zakamuflowanych pozycji. Ludwig von Estorff, oficer, który dopiero co dotarł do kolonii, ale miał w niej pozostać przez następne siedemnaście lat, po raz pierwszy zetknął się z Witbooiami właśnie w Naukluft. Później pisał, że „znacznie nas przewyższali pod względem tempa marszu, odporności na ciężkie warunki, znajomości terenu oraz jego wykorzystania. Tylko w uzbrojeniu, odwadze, wytrwałości i dyscyplinie [niemieckie] oddziały górowały nad wrogiem”^[102].

Z tych czterech czynników to właśnie uzbrojenie ocaliło Niemców w górach Naukluft. Doznawszy ciężkich strat, Leutwein zrezygnował z próby pokonania Witbooiów w boju i postanowił zmusić ich do kapitulacji, stosując artylerię. Nama walczyli z Niemcami od półtora roku i głodowali, toteż 9 września, po wyjątkowo silnym ostrzale, Hendrik Witbooi zgodził się wreszcie przyjąć niemiecką ofertę pokojową.

Dla Witbooiów trzynastodniowa bitwa w górach Naukluft była lekcją na temat potęgi niemieckiej artylerii. To właśnie ona przekonała Hendrika, że nie ma innego wyboru, jak tylko porozumieć się z Niemcami. Dla Theodora Leutweina, który niemal przegrał, bitwa w dramatyczny sposób potwierdziła jego przekonanie, że Afryki Południowo-Zachodniej nie da się skolonizować wyłącznie przy użyciu środków militarnych.

15 września 1894 roku, dekadę po tym, jak Bismarck po raz pierwszy ogłosił niemieckie roszczenia do Afryki Południowo-Zachodniej, Witbooiowie Nama podpisali „Traktat o ochronie i przyjaźni”. Nawet pokonani pozostali jednak liczącą się siłą militarną, toteż warunki porozumienia były względnie łagodne. Mieli opuścić Naukluft i osiedlić się na stałe w ich dawnej osadzie

w Gibeon, na południu kolonii. Tam Leutwein założył posterunek wojskowy i mianował jego dowódcę, który – w ramach postanowień traktatu – miał „utrzymywać przyjazne i ugodowe stosunki z Kapitanem [Witbooiem] i jego ludźmi”^[103].

Traktat stanowił, że najważniejszym obowiązkiem Hendrika Witbooi ma być „utrzymywanie pokoju i porządku na swoich ziemiach”^[104]. W zamian za tę przysługę oddaną niemieckim władzom, miał otrzymywać corocznie dwa tysiące marek. Witbooiowie mieli też zachować większość swojej tradycyjnej władzy, a wszyscy biali zamieszkujący ich terytoria byli „zobligowani do przestrzegania praw i zwyczajów tej ziemi”^[105]. Ekonomicznie wojna kosztowała Witbooiów bardzo dużo, ale na mocy warunków traktatu zatrzymali swoją ziemię i mogli odbudować swoje stada.

Pierwsze oznaki konfliktu między pragmatyzmem strategii Leutweina a aspiracjami kolonialnego lobby w Berlinie pojawiły się przy okazji traktatu podpisanego z Witbooiami. Choć Leutwein zakończył wojnę i zapewnił pokój – niezbędny, jeśli miało się rozwijać niemieckie osadnictwo – głośno krytykowały go towarzystwa kolonialne oraz niektórzy osadnicy z Windhuku. Przeciwników gubernatora szczególnie raziło to, że nie zgniół Witbooiów w polu, a potem zawiódł przy stole negocjacyjnym, nie narzucając im drakańskich warunków. Sam cesarz wpłatał się w tę sprawę – jego doradcy sugerowali, by odmówił ratyfikacji traktatu z Witbooiami, gdyż „w kilku kwestiach budził wątpliwości”^[106].

Towarzystwa kolonialne oraz sporą część opinii publicznej szczególnie irytowało powolne tempo osadnictwa. W ciągu dziesięciu lat od konferencji berlińskiej do Afryki Południowo-Zachodniej wyemigrowało zaledwie tysiąc dwustu niemieckich osadników. Choć przyjęta przez Leutweina polityka dawała widoki na wojskowe pokonanie Afrykanów, ostateczne zlikwidowanie ich niezależności, a także zwiększenie tempa kolonizacji, takie długofalowe, stopniowe podejście, zupełnie nie pasowało do nastrojów, jakie panowały w Berlinie pod koniec pierwszej dekady Niemiec jako potęgi kolonialnej.

[85] Bitwa stoczona w 1889 roku, w której wojska brytyjskie pod dowództwem generała Horatia Kitchenera rozbiły siły mahdystów (przyp. tłum.).

[86] Największa bitwa wojny brytyjsko-zuluskiej, w 1879 roku, zakończona całkowitą klęską Brytyjczyków (przyp. tłum.).

[87] Jak np. starcie Brytyjczyków z Zulusami w 1879 roku, w którym zginął książę Napoleon Eugeniusz, syn obalonego cesarza Napoleona III (przyp. tłum.).

[88] Sven Lindqvist, *Wytępić całe to bydło*, Warszawa 2009, s. 184.

- [89] William Winwood Reade, *Savage Africa*, London 1864, s. 452.
- [90] Aluzja do *Ostatniego Mohikanina* Jamesa Fenimore'a Coopera (przyp. tłum.).
- [91] Ibidem.
- [92] Richard Weikart, *From Darwin to Hitler*, New York, Basingstoke 2004, s. 10.
- [93] Annemarie Heywood, Eben Maasdorp (red.), *The Hendrik Witbooi Papers*, Windhoek 1995, s. 130.
- [94] Ibidem.
- [95] Horst Drechsler, *Let Us Die Fighting*, Berlin 1986, s. 71.
- [96] Ibidem, s. 72.
- [97] Ibidem, s. 73.
- [98] Heywood, Maasdorp, op. cit., s. 148.
- [99] Ibidem.
- [100] Ibidem, s. 175.
- [101] Ibidem, s. 177.
- [102] Ludwig von Estorff, *Kriegserlebnisse in Südwestafrika*, „Militaerwochenblatt” 1911, Beiheft 3.
- [103] Heywood, Maasdorp, op. cit., s. 207–208.
- [104] Ibidem, s. 209.
- [105] Ibidem.
- [106] Drechsler, op. cit., s. 78.

ROZDZIAŁ 6

„Trochę autentycznej dzikości”

W drugiej połowie XIX wieku perspektywa życia na kolonialnym pograniczu pociągała wielu entuzjastycznie nastawionych młodych mężczyzn. Liczni inni, w tym miliony Niemców, którzy wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, byli zwykłymi ludźmi, którzy chcieli nie więcej ponad jakąś pracę albo własny skrawek ziemi. Biednych i słabo wykształconych Europejczyków nie pociągała perspektywa przygody – opuszczali kontynent z ważnych powodów ekonomicznych, społecznych a nawet religijnych. To właśnie one sprawiły, że wielu Niemców uważało osadnictwo w zamorskich koloniach – szczególnie w Afryce Południowo-Zachodniej – za sprawę wagi narodowej.

W ostatnich 25 latach wieku bliźniacze siły industrializacji i urbanizacji zaczęły obalać dotychczasowe sposoby życia. Zjednoczenie przyniosło rozwój przemysłowy, a także koncentrację ogromnych terenów w rękach niewielkiej garstki potężnych właścicieli ziemskich. Miliony chłopów musiały zmienić miejsce zamieszkania. Pozbawieni ziemi i środków do życia udawali się do miast, gdzie podejmowali pracę w rozwijającym się przemyśle. Miało to miejsce we wszystkich krajach Europy, ale w Niemczech samo tempo transformacji było niesamowite, a szybki wzrost liczby ludności tylko powiększał problemy społeczne, które niosła ze sobą masowa urbanizacja.

W ostatnich dwóch dekadach XIX wieku Niemcy doświadczyły wzrostu demograficznego jeszcze większego niż ten, który nastąpił po zakończeniu II wojny światowej. W latach 1870–1914 liczba ludności Niemiec wzrosła ponad dwukrotnie, sięgając 68 milionów – więcej niż dzisiejsza populacja

Francji czy Wielkiej Brytanii. Cieszyło to nowych przemysłowców, którzy widzieli w tym gwarancję, że ich fabrykom nigdy nie zabraknie rąk do pracy, a także militarystów, zawsze chcących powiększać armię. Inni uważali, że wzrost populacji Niemiec jest dowodem wrodzonej żywotności rasy germańskiej. W latach 80. i 90. była ona jednak powodem społecznej katastrofy.

Już na początku lat 70. XIX wieku niemieckie miasta były poważnie przeludnione. W momencie zjednoczenia Berlin był gęściej zaludniony niż Londyn. Pod koniec lat 90. większość jego mieszkańców była pierwszym lub drugim pokoleniem imigrantów ze wsi. Ówczesni urbaniści nie byli w stanie poradzić sobie (co całkiem zrozumiale) z ogromnym wzrostem ludności. Populację, której osiągnięcie – jak uważano – zajmie dekady, przekroczone w ciągu kilku lat. Nawet najbardziej dalekowzroczni włodarze miast nie byli w stanie dać schronienia nad głową owym tysiącom, które co roku przybywały ze wsi. Niemcy stawały się krajem gigantycznych slumsów.

Najbardziej niebezpieczne dzielnice Berlina należały do najbardziej zaludnionych i niezdrowych w Europie. Warunki panujące w stolicy pogarszała tylko budowa *Hinterhöfe*, całych kwartałów siedmiopiętrowych, ceglanych kamienic z podwórkami. Uważano je za rozwiązanie mieszkaniowych problemów miasta, ale stały się ich symbolem. Całe rodziny tłoczyły się w pojedynczych izbach, po kilka w mieszkaniu przewidzianym dla jednej. Bieda i przeludnienie w nieunikniony sposób prowadziły do dziewiętnastowiecznej mieszanki zwyczajowych plag – gruźlicy, tyfusu, cholery i grypy.

Masy uwięzione w małych, jednopokojowych norach nazywano *Volk Ohne Raum* – „ludem bez przestrzeni”. Ich nędza stała się narodową obsesją, a w kręgach nacjonalistycznych dowodem na to, że tym, czego najbardziej brakuje Niemcom, jest przestrzeń. Poszukiwanie nowych ziem dla zbyt dużej liczby ludności stało się najważniejszym tematem rozważań niemieckich myślicieli i polityków fin de siècle'u.

Powszechne przekonanie, że naród niemiecki nie jest w stanie znaleźć miejsca dla swojej populacji, wzmacniał także nieustający strumień emigracji. W ciągu całego wieku XIX miliony Niemców wyjechały do obu Ameryk. W latach 90. XIX wieku trwał exodus na niebywałą skalę. W ciągu dziesięciu lat do Nowego Jorku przybyło dokładnie 1 445 181 imigrantów z Niemiec. Wielu z nich natychmiast wyruszyło do niemieckich osad rolniczych w całym kraju albo do tak zwanego „niemieckiego trójkąta” między Cincinnati, Milwaukee i Saint Louis. Tysiące zamieszkały na Manhattanie, na Lower East Side, w dzielnicy znanej jako *Klein Deutschland* (Małe Niemcy). W 1900 roku niemiecka populacja Nowego Jorku wynosiła 324 224 osoby – tylko w Berlinie i Wiedniu mieszkało więcej Niemców – co czyniło z Nowego Jorku trzecie największe „niemieckie” miasto na świecie^[107].

Choć niektórzy argumentowali, że emigracja jest wentylem bezpieczeństwa, niezbędnym do utrzymania spokoju społecznego, inni pytali, dlaczego Cesarstwo Niemieckie nie jest w stanie

pomóc swoim własnym obywatelom. Konserwatyści obawiali się, że utrata tak wielu ludzi w wieku produkcyjnym zaszkodzi gospodarce, a militaryści, że naród jest okradany z potencjalnych żołnierzy, którzy mogliby bronić (albo powiększać) terytorium Rzeszy. Nacjonalistów najbardziej jednak dręczyło to, co działo się za oceanem, w niemieckich społecznościach amerykańskiego Midwestu – entuzjazm, z jakim emigranci (*Auswanderung*), porzucali swoją „niemieckość” na rzecz Ameryki.

W pewnych kręgach utrata owych *Auswanderung* była postrzegana jako coś w rodzaju „rasowego krwotoku”. Omawiano, w jaki sposób pomóc niemieckim imigrantom zachować ich kulturowe korzenie, i opracowano plan ustanowienia niemieckojęzycznych szkół za granicami Rzeszy. Prawica i kręgi nacjonalistycznych polityków za jedno z rozwiązań uważały odwrócenie fali emigracyjnej ze Stanów Zjednoczonych, kierując ją do afrykańskich kolonii Niemiec. To nie tylko zapobiegłoby wynaradawianiu niemieckich imigrantów, ale też zmieniłoby same kolonie.

W latach 90. entuzjazm dla kolonializmu został wykrzesany na nowo. Posiadanie dużych części Afryki tylko „na papierze” już nie wystarczało. Prosperujące i ludne kolonie uważano za coś, co musiało mieć każde europejskie mocarstwo. Pragmatycy, jak Theodor Leutwein, którzy ostrzegali, że stworzenie takich kolonii zabierze całe dziesięciolecia, byli uważani za zacofanych, a nawet niepatriotycznych. Sir Eyre Crowe z Foreign Office w wymowny sposób opisuje nastrój panujący od 1907 roku:

Niemiecką wyobraźnią zawładnęły marzenia o imperium kolonialnym. Cesarz, mężowie stanu, dziennikarze, geografowie, ekonomiści, przedsiębiorstwa żeglugowe i cała masa wykształconych i niewykształconych ludzi oznajmiali jednym głosem: Musimy mieć prawdziwe kolonie, gdzie niemieccy imigranci mogą osiedlić się i szerzyć nacjonalistyczne ideały Ojczyzny; musimy mieć flotę i stacje przeładunkowe, żeby móc utrzymywać kolonie, które musimy zdobyć^[108].

Pod tym nowym kolonialnym entuzjazmem lat 90. kryły się głębsze, starsze koncepcje na temat natury niemieckiego narodu – *Volk*. Pokolenie dziennikarzy, polityków i filozofów, odrzucające materializm oraz gospodarcze problemy swoich czasów, zaczęło szukać odpowiedzi w mistycyzmie. Wierzyli, że niemiecki charakter z samej istoty rzeczy nie był miejski, ani przemysłowy. To, co przywódcy kraju mogli uważać za postęp, było tak naprawdę społeczną katastrofą, która oddzielała ludzi od ich prawdziwej natury.

U podstaw ich myślenia leżało przekonanie, że Niemiec może zjednoczyć się ze swoim prawdziwym duchem, stać się prawdziwym członkiem Ludu, *Volk*, tylko poprzez kontakt z ziemią. Teoretycy ci twierdzili, że masowa emigracja do Ameryki była prawdziwym niebezpieczeństwem nie tyle z powodu utraty ludności samej w sobie, ale utraty chłopów i drobnych farmerów. Ich

złaniem żadne dobrze funkcjonujące społeczeństwo nie mogło opierać się tylko na przemyśle i miastach.

Aby ocalić niemieckiego chłopą przed siłami industrializacji, teorie volkistów dokonywały niebywałego wyczynu, godząc ze sobą pewien paradoks. Ponieważ gros gruntów uprawnych w Niemczech wpadło w ręce bogatych właścicieli ziemskich, miliony Niemców nie mogli dostąpić prawdziwie germańskiego sposobu życia – żywotu rolnika. Pozbawiony tej więzi z ziemią naród musiał ostatecznie popaść w duchową niedolę. Ta cenna więź między *Volk* a ziemią mogła być ustanowiona także w afrykańskich koloniach. Choć tamtejsza ziemia, z innego kontynentu, nie byłaby świętą ziemią Niemiec, życie *Bauera* w odległej kolonii było i tak o wiele lepsze niż życie w niemieckim mieście. Wbrew większości wcześniejszych volkistowskich koncepcji, twierdzili, że tylko opuszczając swój kraj, emigranci, (to jest *Auswanderung*) mogą stać się prawdziwymi Niemcami.

Jeśli Niemcom udało się założyć swoje kolonie – głosiła teoria – cały naród zostałby zbawiony. Rzesza miałaby nową kolonialną populację, od której mogłaby się domagać surowców, rynków zbytu i – w czasie wojny – żołnierzy. Przede wszystkim jednak dzieci kolonii, zanurzone w prawdziwym, germańskim duchu, przywiązane do ziemi, stałyby się żywymi ucieleśnieniami ducha Ludu. Kolonie Niemiec stałyby się wylęgarnią i przechowalnią owych wartości, bezpiecznie odizolowanych od panoszących się w kraju sił nowoczesności i industrializacji.

Organizacją, która najmocniej propagowała tę ideologię, była założona w 1891 roku Liga Pangermańska^[109], propagująca najbardziej jadowitą formę rasowego nacjonalizmu. Oprócz gorącego agitowania za osadnictwem w Afryce, Liga – tak jak inne organizacje nacjonalistycznej prawicy – głosiła również, że problemy ludnościowe Niemiec są tak poważne, iż konieczna jest kolonizacja własnego kraju. Stara niechęć do Polaków zamieszkujących najbardziej wysunięte na wschód części Prus została pod koniec XIX wieku „urasowiona” – proponowano wzmocnienie „niemieckiego pierwiastka” populacji i przeciwdziałanie „polonizacji” Prus. Tak zwany wewnętrzny kolonializm miał utwierdzić niemieckość tego regionu oraz odzyskać emigrantów ze Stanów Zjednoczonych. W tej sprawie podjęto nawet jakieś działania. Bezrolni Niemcy, którzy mogli skończyć na wyspie Ellis^[110], dostawali kredyty i zachęcano ich do osiedlenia się we wschodniej części Prus.

Poza wewnętrznym kolonializmem pangermaniści tchnęli nowego ducha w stare koncepcje i potajemnie debatowali, czy można by skolonizować Polskę i kraje bałtyckie. Ekspansjonistyczne marzenia nacjonalistów spod znaku pangermanizmu najlepiej ilustruje wydana przez Ligę w roku 1899 mapa pokazująca granice Niemiec tak, jak miałyby wyglądać w 1950 roku. Na pangermańskiej mapie do Niemiec należy większość terenów polskich, francuskie Alzacja i Lotaryngia^[111], rejon wokół Dunkierki, część Belgii i Holandii. Do Wielkiej Rzeszy należą

również południowa Dania^[112], niemieckojęzyczne części Szwajcarii, a także Węgry, Czechy, Słowacja, północno-wschodnie Włochy i część Litwy^[113].

Choć głoszone przez nią poglądy były ekstremalne, Liga Pangermańska nie była jakimś zbiorowiskiem wariatów. Była szanowaną, nawet intelektualną organizacją. Jej najznamienitsi członkowie zasiadali w Reichstagu, inni byli naukowcami na wiodących uniwersytetach kraju. Do Ligi należało bardzo wielu nauczycieli. U pangermanistów i innych zwolenników niemieckiego, rasowego nacjonalizmu entuzjazm dla osadnictwa w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej szedł w parze z entuzjazmem dla „wewnętrznego kolonializmu” w Marchii Wschodniej oraz utworzenia w przyszłości Wielkich Niemiec.



Nawet tych, którzy nie martwili się strukturą etniczną Prus ani nie marzyli o życiu na pograniczu, zdobyte przez Niemcy w 1884 roku zamorskie kolonie pociągały w niemalże hipnotyzujący sposób. Tak jak przewidział Bismarck, niemieckie kolonie miały niewielkie znaczenie ekonomiczne (koszt utrzymania armii w Afryce Południowo-Zachodniej czynił z nich raczej niustanny ciężar finansowy), ale były źródłem ciągłej fascynacji oraz narodowej dumy. W Berlinie otwarto Muzeum Kolonializmu i Muzeum Etnologiczne. Sklepy w stolicy zaczęły sprowadzać specjalistyczne ubrania i sprzęt przeznaczone do podróży w rejony tropikalne – zazwyczaj zupełnie niepraktyczny^[114].

Europejską opinię publiczną najbardziej ekscytował zapewne inny aspekt imperializmu – odkrycie dziwnych plemion oraz egzotycznych kultur. Nasilił się on jeszcze bardziej, kiedy miliony Europejczyków mogły na własne oczy zobaczyć owe egzotyczne rasy. W ostatnich latach XIX wieku, kiedy europejskie miasta rywalizowały ze sobą o pozycję, a przedsiębiorcy szukali nowych rozrywek dla nieprzebranych rzesz uwięzionych w miastach ludzi, z całego świata kolonialnego (a nawet zza kręgu polarnego) sprowadzano osoby, które miały służyć jako żywe eksponaty.

Owi niedotknięci przez naukę i – jak mówiono – nieobciążeni kulturą ludzie znajdowali się na samym dnie hierarchii społecznej, ale byli zarazem „czysti” i „nieskalani”, co bardzo przemawiało do mieszkańców przemysłowego Londynu, Paryża czy Berlina. W Niemczech znani byli jako *Naturvolk*, ludzie naturalni, i uważani za delikatne okazy ras najpewniej skazanych na zagładę. Tak jak europejscy etnografowie ruszyli gromadzić przedmioty i świadectwa plemion, których nie dotknęła ekspansja białego człowieka, tak mieszkańcy miast domagali się pokazania im przedstawicieli „ginących ras”.

W Niemczech ludzie nowych *Weltstädte*, światowych miast, mogli zobaczyć *Naturvolk* na popularnych pokazach *Völkerschauen*^[115]. Niektóre z nich odbywały się w cyrkach, a nawet

w ogrodach zoologicznych, inne w zawsze popularnych panoptikach. Żywe okazy egzotycznych ras dostarczali specjaliści tacy jak Carl Hagenbeck, który zrobił fortunę, łapiąc i przywożąc egzotyczne zwierzęta, a dziś uważany jest za ojca współczesnego zoo. Ludzie, których pokazywano w Niemczech końca XIX wieku, pochodzili z Sudanu, Ameryki Północnej, wysp Pacyfiku, Somalii i Laponii. Dziś, gdy w większości miast na każdym kroku można spotkać przedstawicieli rozmaitych ras, trudno zrozumieć ekscytację, jaką budziły *Völkerschauen*, które w ówczesnej Europie wywoływały prawdziwą sensację.

Niektóre *Völkerschauen* próbowały sprawiać wrażenie szanownych instytucji i powoływały się na autorytet nauki, chcąc odróżnić się od jakichś podejrzanych jarmarków cudów. Jeszcze zanim niemieccy badacze ras sami wyruszyli do kolonii, w *Völkerschauen* mieli stały dopływ nowych egzemplarzy badawczych, które mogli badać i mierzyć. Właściciele *Völkerschauen* zapewniali wówczas swoich widzów, że autentyczność żywych eksponatów została potwierdzona przez ludzi nauki. Mogli nawet twierdzić, że w pewien sposób przykładają się do naukowego postępu.

Latem 1896 roku miało miejsce wydarzenie, który przyćmiło tradycyjne niemieckie *Völkerschauen* i dało niemieckim naukowcom rasowym niebywałą sposobność rozwoju ich badań. Berlińska Wystawa Kolonialna była wspólnym przedsięwzięciem Departamentu Kolonii oraz Towarzystwa Kolonialnego, którego patronem był bliski przyjaciel cesarza Wilhelma, Hermann książę zu Hohenlohe-Langenburg^[116]. Z takim wsparciem – także państwowym – wystawa musiała być spektakularnym wydarzeniem, ale prawdziwą sensację wzbudziło to, że wzięło w niej udział ponad stu poddanych cesarza z całego niemieckiego imperium kolonialnego^[117].

Wystawa pomyślana została jako ludzkie zoo w samym sercu imperium, gdzie wszystkie podległe kajzerowi rasy mogły zostać pokazane w swoim naturalnym, prymitywnym stanie. Ekspozycje mieściły się w specjalnie wzniesionych na tę okazję w parku Treptow wioskach, „autentycznych” pod względem etnograficznym. Zgodnie z oficjalnym raportem, „przeniesiono trochę autentycznej dzikości oraz nieokrzesej kultury w samo serce dumnej, ośniewającej metropolii, zamieszkaanej przez znających się na modzie ludzi o wykwintnych obyczajach”^[118]. Było to zarówno oficjalne celebrowanie nowego imperium Niemiec, jak i szansa dla berlińskiej burżuazji, by radować się i ekscytować kolonialną przygodą swojej ojczyzny^[119].

Ludzie z niemieckiego Departamentu Kolonialnego mieli inne motywy. Celowo zachęcali miejscowe władze w koloniach, by rekrutowały ludzi spośród elit rządzących danego terytorium. Uważali Wystawę Kolonialną za dobrą okazję, żeby zademonstrować „ludzkiemu eksponatom” potęgę Niemiec. Brytyjczycy zrobili to samo w latach 80., kiedy zorganizowali objazd po Anglii dla wygnanego króla Zulusów, Cetshwayo, który wcześniej pokonał brytyjskie oddziały w bitwie pod Isandlwana. Brytyjscy urzędnicy kolonialni zabrali Cetshwaya do Woolwich Arsenal, żeby pokazać

mu produkcję nowych broni, a także do stoczni w południowej Anglii, żeby zobaczyć całe kilometry statków Królewskiej Marynarki Wojennej. Z tych samych powodów przywódcom – i przyszłym przywódcom – potencjalnie buntowniczych plemion pokazano Berlin, miasto opisane przez jednego z gości jako „wielki garnizon”, w powietrzu którego czuło się – jak relacjonował inny – „smród prochu [strzelniczego]”.

Ponieważ jednak sprowadzeni do Berlina „tubylcy” byli członkami miejscowych elit, byli również najbardziej zwesternizowaną ludnością kolonii. Ich rodziny często miały kontakty z Europejczykami od wielu dziesięcioleci i umiejętnie je wykorzystywały, żeby zapewnić sobie odpowiednią pozycję. Większość z nich już dawno zetknęła się z misjonarzami i niektórzy byli gorliwymi chrześcijanami noszącymi europejskie stroje. Wielu z nich nie miało już dużo wspólnego z rdzenną kulturą swojego ludu, którą mieli odtwarzać w parku Treptow. Przynajmniej jednej z grup trzeba było pokazać, jak się buduje tradycyjne chaty, w których mieli zamieszkać. Inna – w skład której wchodziła najważniejsza rodzina kameruńskiego ludu Dula – pod żadnym pozorem nie chciała odtwarzać żadnej z tak zwanych tradycyjnych ceremonii, które – jak zapewniali organizatorzy – były nieodłącznym elementem ich własnej kultury. Oczekiwania władz najbardziej zawiodła jednak grupa z Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej.

Spory między nią a niemieckimi organizatorami zaczęły się jeszcze przed wyjazdem z kolonii. Hererowie i Witbooiowie Nama zgodzili się na wyjazd do Niemiec dopiero wtedy, gdy gubernator Theodor Leutwein podpisał z nimi formalny kontrakt. Kiedy wreszcie dotarli do Hamburga, stało się jasne, że oczekiwania niemieckiej publiki i dumna niezależność Afrykanów z Południowego Zachodu pozostają ze sobą w całkowitej sprzeczności. Większość Hererów i wszyscy Witbooiowie nosili mundury wojskowe w stylu europejskim, przewieszone przez ramię bandolety oraz broń białą u pasa. Witbooiowie mieli jeszcze kapelusze z charakterystyczną białą bandaną. Ci w strojach cywilów byli ubrani w garnitury, co pokazywało, że „znają się na modzie” równie dobrze jak mieszkańcy Berlina. Kobiety nosiły taliowane suknie z bufiastymi rękawami w modne kwiatowe wzory. Zdecydowanie nie reprezentowali sobą „autentycznej dzikości”, jak twierdzono w oficjalnym raporcie.

Friedrich Maharero, syn Samuela i wnuk wodza Tjamuahy, odziany był szczególnie szykownie: miał na sobie modną czarną marynarkę filcową, wykrochmaloną białą koszulę oraz kolorową jedwabną muszkę. Tak jak inni Hererowie był wysoki, młody i uderzająco przystojny. Ale to nie odzież południowo-zachodnich Afrykanów najbardziej wstrząsnęła organizatorami – decyzja, by rekrutować jedynie członków miejscowych elit, oznaczała, że „ekspnaty” będą wykształcone i przyzwyczajone do traktowania z szacunkiem. Szczególnym wyzwaniem dla niemieckich oczekiwań rasowych musiał być Petrus Jod, siostrzeniec Henryka Witbooi – nauczyciel, który doskonale władał literackim holenderskim i nigdy nie rozstawał się z Biblią.

Kiedy Hererowie i Nama dotarli do Berlina, niemieccy urzędnicy zażądali, by porzucili swoje zachodnie ubrania i przywdziali „autentyczniejsze” stroje. Szczególnie niepokoiło ich to, że Afrykanie z Południowego Zachodu oraz większość Kameruńczyków nosiła spodnie, co – jak sądzili – podważało autentyczność całej Wystawy Kolonialnej. Kiedy niemieccy etnografowie dostarczyli im „prawdziwe” afrykańskie ubrania, Afrykanie odmówili ich noszenia. Gorliwie wierzący Petrus Jod stwierdził, że noszenie „pogańskiej odzieży” byłoby niezgodne z jego chrześcijańskimi przekonaniami. Ponieważ szerzenie Ewangelii było jednym z osiągnięć niemieckiego kolonializmu, nikt z organizatorów nie mógł wymyślić żadnego dobrego kontrargumentu i ostatecznie Petrus i reszta jego ludzi została w eleganckich ubraniach – także w spodniach. Również Hererowie zatrzymali swoje kapelusze i odzież przypominającą burskie mundury.

Pomimo braku „autentyczności” od momentu otwarcia Wystawy Hererowie i Witbooiowie byli jej największą atrakcją. Oficjalnym celem Wystawy było pokazanie nieprzekraczalnej przepaści między dzikimi ludami i cywilizowanymi ludźmi, ale Friedrich Maharero, Petrus Jod i ich koledzy byli żywymi dowodami tego, jak łatwo zbudować most ponad tą przepaścią. Berlińscy dżentelmeni oraz ich damy, którzy swoje wyobrażenie Afrykanów czerpali z bombastycznych relacji odkrywców i podróżników, badawczo przyglądali się przez barierkę ludzkim eksponatom, mającym na sobie takie same garnitury, wykrochmalone białe koszule albo modne letnie sukienki. „Dzicy” siedzieli i czytali Biblię albo patrzyli się na nich. Niektórzy członkowie delegacji z Afryki Południowo-Zachodniej nie tylko znali holenderski, ale też mówili dobrze po niemiecku i przez ogrodzenie prowadzili rozmowy z gośćmi, którzy przybyli dziwować się prymitywnym zwyczajom swoich afrykańskich poddanych.

Ku zgrozie organizatorów, szykownie ubrani, przystojni (i – jak można założyć – potrafiący oczarować rozmową) afrykańscy młodzieńcy z Południowego Zachodu zaczęli budzić zainteresowanie berlińskich kobiet. Obiektem szczególnego zainteresowania stał się dwudziestodwuletni Friedrich Maharero, który beczelnie flirtował z niemieckimi pannami. Co gorsza – panny flirtowały z nim. Wiele lat po zakończeniu Wystawy, kiedy Friedrich był już z powrotem w Afryce Południowo-Zachodniej, z Berlina do kolonii wciąż przychodziły listy miłosne od niektórych jego flam. Przechwytywali i konfiskowali je jednak misjonarze, więc Friedrich nigdy nie otrzymał listów od swoich wielbicielek.



Ludziom stojącym za Berlińską Wystawą Kolonialną bardzo zależało na tym, by kluczową rolę odegrali w niej wiodący badacze rasowi. W 1896 roku w tej dziedzinie nauki dominowała antropologia fizyczna, a najznamienitszym berlińskim antropologiem był wicedyrektor Muzeum Etnograficznego, profesor Felix von Luschan.

Był on jednym z najważniejszych propagatorów dość wątpliwej „nauki”, to znaczy frenologii – badania ludzkich czaszek. Powszechnie uważano, że frenologia pozwala określić cechy i zdolności umysłowe człowieka za pomocą badania i mierzenia jego czaszki. Wcześni frenologowie skupiali się na przestępcach, próbując wyodrębnić typowe wymiary i kształty „typu przestępczego”, czasami nazywanego nawet „przestępczą rasą”^[120]. Von Luschan używał tych samych metod do definiowania cech i zdolności całych ras. Jego badania sprawiły, że zgromadził jedną z największych w Niemczech kolekcji ludzkich czaszek.

Wystawa Kolonialna sprowadziła do Berlina 103 przedstawicieli rozmaitych ras z całego imperium. Była to dla von Luschana rzadka sposobność, by poprzez oględziny żywych „okazów” posunąć się do przodu w swoich badaniach. Toteż przy pełnej współpracy komitetu organizacyjnego otrzymał pozwolenie przeprowadzenia pomiarów antropologicznych na „ekspонатach”.

Każdego ranka profesor, jego żona oraz grupka gorliwych studentów opuszczali miejski, przemysłowy Berlin, udając się na całodzienne antropologiczne safari, między fałszywe afrykańskie wioski, ustawione gęsto wokół stawów w parku Treptow. Owe miejskie safari von Luschana nie odbywały się jednak bez przeszkód. Pracując z „żywymi okazami”, antropologowie i frenologowie mierzyli rozmaite cechy fizyczne – od długości nosa do kąta linii szczęki. Dla owych „okazów” badania te były nie tylko nieprzyjemne, ale też uwłaczające. Zgromadzeni na Wystawie Afrykanie czy mieszkańcy wysp Pacyfiku nie wykazywali żadnego entuzjazmu dla tych działań, a niektórzy wprost odmawiali poddawania się im.

Z kolei dla człowieka takiego jak von Luschan, którego kontakt z nie-Europejczykami ograniczał się głównie do mierzenia ich szkieletów, prawdziwym wstrząsem było zetknięcie się Afrykanami nie tylko żywymi, ale też w ogóle niechęcącymi podporządkować się jego żądaniom. Kilka „ekspонатów” nie zgodziło się na to, by von Luschan i jego studenci zdjęli im ubrania, zmierzli ich ciała czy choćby sfotografowali w teoretycznie tradycyjnych strojach, których nie chcieli na siebie włożyć.

Najbardziej niepokojącym aspektem spotkań profesora z „ludzkimi ekspонатami” było to, w jaki sposób ich zachowanie, niezależność i wykształcenie zadawały kłam rasowym teoriom, które stały u podstaw jego badań. Spotkanie z przedstawicielami Witbooiów i Nama było dla von Luschana ogromnym przeżyciem. Zamiast zakwestionować swoje rasowe uprzedzenia, profesor uznał, że ci konkretni Afrykanie stanowią wyjątek. W oficjalnym raporcie upamiętniającym Wystawę Kolonialną stwierdził: „Wątpię, by wszyscy Hererowie sprawiali tak znamienite wrażenie i wyglądali tak dżentelmeńsko jak ci, których widzieliśmy w Treptow”^[121]. Dopiero kiedy pozwolono mu zbadać Vitje Bank, trzydziestoletnią kobietę z plemienia Witbooiów, Felix von Luschan otrząsnął się z wcześniejszego szoku i jego świat wrócił do normy – opisuje ją jako Buszmenkę-karlicę „o wcale nie małym imbecylnym”^[122].

Tymczasem w parku Treptow zachowanie Afrykanów w dalszym ciągu odbiegało od oczekiwań

organizatorów. Wystawa okazała się farsą. W dzień próbowano utrzymać atmosferę autentyczności, pochlebstwami próbując skłonić „ludzkie eksponaty” do zajęcia się rzekomo tradycyjnym rzemiosłem albo do przygotowywania autentycznych potraw. Nocami jednak ci sami Afrykanie siadali przy ogniskach, pili i śpiewali niemieckie piosenki, których nauczyli się w młodości. Kiedy zaś spadała temperatura, przebierali się z powrotem w swoje ciepłe, europejskie ubrania^[123]. Ten biesiadny nastrój panujący w zamkniętym parku, w środku nocy, znacznie lepiej oddawał prawdziwy sposób, w jaki żyły ludy niemieckiego imperium kolonialnego, niż to, co pokazywano w dzień. Tym niemniej każdego ranka chowano europejskie ubrania oraz puste butelki, von Luschanowi przy pomocy suwniarek i linijek udawało się zmierzyć kilka kolejnych, niechętnych głów, a następnie do parku wpuszczano odwiedzających, żeby mógł rozpocząć się kolejny dzień fikcji udającej życie kolonialne.

Dla berlińskiej widowni (choć z pewnością nie dla „eksponatów”), najważniejszym momentem każdego dnia były występy kulturalne. Organizatorzy z dumą pisali, że „ilekroć zaczynały się tańce czarnych, przybywało tak wielu widzów, że służby miały problem z utrzymaniem porządku”^[124]. Delegacja z Południowego Zachodu odmówiła jednak wzięcia udziału w tych występach, tak jak wcześniej odmówiła zdjęcia europejskich ubrań i poddania się badaniom anatomicznym. Jedyne, co udało się organizatorom, to przekonać ich, by zgodzili się pozować do fotografii na tle „swojej” sztucznej wioski, co i tak robili z urażonymi minami.



Gdyby Theodor Leutwein wziął udział w Berlińskiej Wystawie Kolonialnej, odmowa Friedricha Maharero i jego towarzyszy podporządkowania się niemieckim żądaniom nie dziwiłaby go ani trochę. Długofalowa strategia Leutweina opierała się na jego szacunku dla ich stanowczej niezależności. Kiedy jesienią 1896 roku w parku Treptow zdemontowano udawane afrykańskie wioski, a Nama i Hererowie odplynęli do domów, południową część kontynentu dotknęła plaga. Było to dopiero pierwsze z całej serii nieszczęść, jakie spadły na Hererów (i w mniejszym stopniu na Nama). To właśnie one umożliwiły Niemcom powolne podkopanie stanowczej niezależności Afrykanów, którzy wywarli takie wrażenie na berlińskich tłumach.

Wysoce zaraźliwy wirus zabijający bydło został nazwany przez Burów „Rinderpest”. Brytyjczycy określali tę chorobę mianem „Steppe Muraine” albo bardziej dosłownie „pomorem bydła”^[125]. Najbardziej zjadliwe odmiany „Rinderpest” były zdolne wybić całe stada. Wirus przybył do Afryki pod koniec lat 80., zapewne razem z indyjskim bydłem, które włoscy kolonizatorzy sprowadzili do Erytrei. W połowie lat 90. epidemia szalała już na całym kontynencie, najpierw w Rogu Afryki, później przeniosła się na południe, do wschodniej i środkowej części kontynentu, gdzie kenijscy

Masajowie doznali ogromnych strat. W 1895 roku doniesienia z Niemieckiej Afryki Wschodniej wskazywały, że niektóre stada zostały zredukowane aż o 90 procent. Na całym kontynencie misjonarze tłumaczyli tę hekatombę za pomocą płomiennych cytatów z Biblii. Niektórzy ostrzegali swoich wiernych, że plaga jest karą Boga, rozwścieczonego tym, że niektórzy wciąż hołdują pogańskim zwyczajom i obrzędom.

W 1896 roku „Rinderpest” dotarł do granic Afryki Południowo-Zachodniej, a w kwietniu 1897 roku do Windhuku doszły wieści o tym, że w kolonii pojawiły się pierwsze zachorowania^[126]. Hererowie, właściciele ogromnych stad, mieli najwięcej do stracenia. Nie dysponujemy dokładnymi danymi, ale niemiecki komisarz do spraw osadnictwa szacował później, że w ciągu pierwszych sześciu miesięcy przepadła połowa stad Hererów, zapewne 30 tysięcy sztuk bydła. Pod koniec epidemii misjonarze donosili, że niektóre wioski straciły nawet 95 procent bydła. W ostatnich miesiącach roku 1897 sytuacja na centralnym płaskowyżu była niemalże apokaliptyczna – na ziemi zalegały tysiące padłych, gnijących zwierząt. Nie mogąc zgromadzić wystarczająco dużo drewna, żeby zbudować stosy, Hererowie próbowali zakopać trupy. W niektórych rejonach grzebanie tak ogromnej liczby gnijących zwłok skaziło jednak wody gruntowe, a co gorsza także studnie.

Mając teraz jedynie ułamek dawnych stad, tysiące Hererów nagle znalazło się w nędzy. Jako pasterze z dziada pradziada nie mieli ani wiele ziemi uprawnej, ani dużego doświadczenia w rolnictwie. Ich zwyczajowa dieta składała się niemal wyłącznie z mleka i mięsa, toteż bardzo szybko zaczął im doskwierać głód. Całe społeczności musiały opuścić swoje osady i ziemie przodków. Tymczasem wiosną i latem 1898 roku na wciąż dochodzących do siebie po „Rinderpest” Hererów spadły kolejne plagi – tyfus i malaria. Ich ofiarami były tysiące ludzi osłabionych niedożywieniem. Tego samego roku ich ziemie nawiedziła szarańcza, zjadając to, co zasadzili w desperacji, chcąc jakoś się wyżywić w oczekiwaniu, aż ich stada wrócą do dawnego stanu. Po pladze szarańczy nastąpiła wielka susza, która zniszczyła resztki plonów i zabiła jeszcze więcej bydła.

Pierwszym sygnałem tego, że nieszczęścia końca lat 90. XIX wieku zmienią relacje między Hererami i Niemcami, było przybycie tysięcy wynędzniałych Hererów do osad Europejczyków oraz misji – miejsc, od których dotychczas stronili. Tuż po epidemii „Rinderpest” misjonarze donosili o gwałtownym wzroście nawróceń zropczonych Hererów, którzy porzucali nie tylko swoje domy, ale i kulturę. Tłocząc się wokół misji, błagali niemieckich duchownych o pomoc, a nowego boga o ochronę. Inni, wierząc, że ich ziemia została przeklęta, zabrali resztę bydła i powędrowali do brytyjskiej Beczuany^[127] w poszukiwaniu nowych pastwisk oraz okazji odbudowania swoich stad.

Stada Hererów były nie tylko ich źródłem utrzymania, ale też towarem handlowym. Cała gospodarka Hererów opierała się na bydle, które było również walutą – wymieniano je na konie, karabiny, amunicję oraz wiele innych towarów, tak luksusowych, jak i pierwszej potrzeby. Stada, które wypasali na centralnym płaskowyżu, stanowiły ogromne bogactwo, dające im niezależność

ekonomiczną od Niemców. Pod przywództwem Samuela Maharero Hererowie zostali zmuszeni do podpisania kilku kompromisowych traktatów z Niemcami, a gubernator Leutwein bezwstydnie ingerował w sprawy plemion, ale tylko nieliczni podjęli pracę dla niemieckiej administracji albo na farmach białych. Pod koniec 1897 roku robiło to już wielu mężczyzn i kobiet Hererów, co tylko świadczyło o ich dramatycznej sytuacji. W najciężej dotkniętych rejonach kobiety musiały udać się na służbę w domach białych osadników, a mężczyźni podjąć pracę dla Schutztruppe, budując sieć fortów i garnizonów planowanych przez Niemców pod koniec lat 90. XIX wieku.

Choć ubożsi Hererowie musieli podjąć pracę dla Niemców w czasie epidemii „Rinderpest”, kiedy ich stada zaczęły się odbudowywać, większość wróciła do domów i tradycyjnego sposobu życia. „Rinderpest” dał jednak misjonarzom i władzom kolonialnym przelotną, ale atrakcyjną wizję tego, jak mogłaby rozwinąć się kolonia, gdyby tylko udało się zmusić Hererów, by całkowicie porzucili swoją ziemię, sprzedali bydło i stali się robotniczą podklasą służącą białym. Chwilowa nędza miejscowych dawała Niemcom szansę na narysowanie od nowa mapy Hererolandu.

Od stuleci Hererowie praktykowali wspólną własność ziemi. Ich wodzowie nie uważali pastwisk za własność, którą można sprzedać albo kupić. Kiedy „Rinderpest” zdziesiątkował ich stada, rządzące elity popadły w straszliwe długi, a niemieccy handlarze nasilili na nich naciski, by je spłacili, sprzedając ziemię. Kilka lat wcześniej tabu to złamał Samuel Maharero, ale większość ziemi sprzedanej przed epidemią znajdowała się na południe od Okahandja. Samuel pozbył się jej w nadziei, że Niemcy, którzy się tam osiedlą, staną się swego rodzaju buforem między nim i Witbooiami, zamieszkującymi ziemię jeszcze bardziej na południu. Handel ziemią w czasie „Rinderpest” był już czymś zgoła innym. Aby spłacić swoje długi, wodzowie sprzedawali nie tylko najlepsze pastwiska, ale i ziemię położone w samym sercu Hererolandu. Choć w czasie chaosu i nędzy nie było to takie oczywiste, z perspektywy czasu widać, że najważniejszym skutkiem epidemii księgosuszu z końca lat 90. była właśnie sprzedaż ziemi, która umożliwiła Niemcom prawdziwe wkroczenie na tereny Hererów.

Choć ilość ziemi, która w tamtym okresie przeszła na własność Niemców, była względnie niewielka, ich ambicje były ogromne. Tak wśród osadników w Windhuku, jak i w towarzystwach kolonialnych Berlina dominował pogląd, że „Rinderpest” jest niebywałą okazją dla Niemiec, by przyspieszyć z osadnictwem w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Nawet Leutwein porzucił ostrożność i dostrzegł w tej epidemii szansę na przyspieszenie procesu przejmowania ziemi od Afrykanów.

Kiedy tylko minęła choroba, natychmiast skończyło się sprzedawanie bydła przez Hererów i przysły marzenia wielu osadników. Chcąc odbudować swoje stada, Afrykanie odrzucali oferty kupców, którzy w większości byli zresztą osadnikami chcącymi zgromadzić wystarczającą ilość bydła, żeby założyć ranczo. Zdesperowani kupcy zaczęli uciekać się do niegodziwych metod: żądali

niedorzecznie wysokich cen za swoje towary albo bydlą w charakterze zapłaty, o połowę zaniżając przy tym wartość sztuk należących do Nama i Hererów. Theodor Leutwein oficjalnie potępiał takie praktyki, ale niewiele robił, żeby je ukroić. Godził się z faktem, że długofalowe osadnictwo w Afryce Południowo-Zachodniej musi opierać się na przejęciu bydlą przez białych.

Władze kolonii same dostrzegły okazję, żeby skorzystać ze zubożenia Hererów i stać się arbitrem w sprawach ziemi. Od czasów epidemii wypędzenie Afrykanów z ich ziemi do rezerwatów dla tubylców zaczęto rozważać jako koncepcję możliwą do urzeczywistnienia.

Na przełomie wieków pozycja Niemców w Afryce Południowo-Zachodniej była niewątpliwie silniejsza niż jeszcze w roku 1896, kiedy miała miejsce Berlińska Wystawa Kolonialna. Nie tylko osadnicy zadomowili się w krainie Hererów, ale też znacznie wzrosła liczba chroniących ich oddziałów Schutztruppe. Spis ludności kolonii z 1896 roku wskazywał, że z siedmiuset osiemdziesięciu białych ludzi zamieszkujących Windhuk, aż sześciuset było żołnierzami. Armia rozbudowała także sieć fortów i garnizonów, ustanawiając posterunki w całym Hererolandzie i położonym na południe od niego Namalandzie.

Choć przyspieszone tempo niemieckiej kolonizacji w latach 90. ekscytowało osadników z barów Windhuku oraz towarzystwa kolonialne w Berlinie, to jeśli przyjrzeć mu się z zewnątrz, wyglądało dość skromnie. Hererowie nie tylko przetrwali epidemię księgosuszu, tyfusu i malarii, ale też wciąż stawiali opór próbującym zająć ich ziemię Niemcom. Zdołali też odbudować swoje stada i swój majątek. Na początku XX wieku Windhuk i inne osady białych były raczej bazami, z których w nieokreślonej przyszłości będzie mogła ruszyć kolonizacja terytorium. Afryka Południowo-Zachodnia pozostawała w rękach Afrykanów. W roku 1900 można było podać w wątpliwość nie tyle ich odporność, ile raczej dalsze zaangażowanie Niemców w tworzenie funkcjonującej kolonii na pustyniach południowej Afryki.

[107] Autorzy mylą się. Kilka innych niemieckich miast liczyło ponad 330 tysięcy mieszkańców, m.in. Hamburg, Monachium czy Kolonia. Nowy Jork na pewno mieścił się jednak w pierwszej dziesiątce (przyp. tłum.).

[108] J.C.G. Röhl, *From Bismarck to Hitler: Problems and Perspectives in History*, London 1970, s. 61.

[109] *Alldeutscher Verband* (przyp. tłum.).

[110] Wyspa w nowojorskim porcie, na której znajdowało się centrum przyjmowania imigrantów przybywających do Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

[111] W czasie, gdy wydawano tę mapę, Alzacja i Lotaryngia należały do Niemiec już od blisko

trzydziestu lat na mocy pokoju frankfurckiego (1871 rok), kończącego wojnę francusko-pruską (przyp. tłum.).

[112] Południowa część Jutlandii, Holsztyn i Szlezwik zostały wcielone do Prus już w 1864 roku (przyp. tłum.).

[113] Rohan d'O. Butler, *The Roots of National Socialism, 1783–1933*, London 1941, s. 193.

[114] Alexandra Richie, *Faust's Metropolis, A History of Berlin*, London 1998, s. 228.

[115] Wystawy egzotycznych ludów, zwane też „ludzkim zoo” lub „ekspozycją etnologiczną” (przyp. tłum.).

[116] Jego syn, książę Ernst, pełnił później, w latach 1905–1906, funkcję dyrektora Departamentu Kolonii (przyp. tłum.).

[117] Graf von Schweinitz i in., *Deutschland und seine Kolonien im Jahre 1896: Amtlicher Bericht über die Erste deutsche Kolonial-Ausstellung*, Berlin 1897; Gustav Meinecke (red.), *Deutsche Kolonialzeitung: Organ der Deutschen Kollonialgesellschaft*, kompendium, t. 9, Berlin 1896; Felix von Luschan, *Beitraege zur Voelkerkunde der deutschen Schutzgebiete: Erweiterte Sonderausgabe aus dem 'Amtlichen Bericht ueber die erste deutsche Kolonial-Ausstellung' in Treptow 1896*, Berlin 1897; J. Zeller, *Friedrich Maharero: Ein Herero in Berlin*, w: Ulrich van der Heyden, J. Zeller (red.), *Kolonial metropole Berlin*, Berlin 2002, s. 206–211.

[118] Schweinitz, op. cit., s. 25.

[119] Wystawa Kolonialna (Deutsche Kolonial-Ausstellung) była tylko jedną z wielu atrakcji Wielkiej Berlińskiej Wystawy Przemysłowej (Grosse Berliner Gewerbeausstellung), która odbyła się od 1 maja do 15 października 1896 roku. Oprócz niej pokazano, na przykład wystawę Stary Berlin, na której odtworzono rynek miejski i ratusz średniowiecznego Berlina (przyp. tłum.).

[120] Najślynniejszym z nich był włoski kryminolog, doktor Cesare Lombroso (przyp. tłum.).

[121] Luschan, op. cit., s. 221.

[122] Ibidem.

[123] Andrew Zimmerman, *Anthropology and Antihumanism in Imperial Germany*, Chicago 2001, s. 27.

[124] Schweinitz, op. cit., s. 63.

[125] Po polsku nosi ona także nazwę księgosusz. W 2010 roku Agencja ONZ do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) uznała ją za chorobę całkowicie eradykowaną (przyp. tłum.).

[126] Jan-Bart Gewald, *Herero Heroes: A Socio-political History of the Herero of Namibia, 1890–1923*, Oxford 1999, s. 112; Horst Drechsler, *Let Us Die Fighting*, Berlin 1986, s. 88–119; N.

Mossolow, *Waterberg*, Windhoek 1993.

[127] Dziejsej Botswany (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 7

Król Hunów

Na początku XX wieku stara wizja kolonializmu, zbudowanego na „brzemieniu białego człowieka” i przekonaniu o moralnym obowiązku szerzenia Ewangelii, została w pewnych kręgach uznana za nienaukową, sentymentalną i niewybaczalnie staromodną. Choć zawsze istniały spory na temat tego, w jaki sposób „podźwignąć” inne, czarne rasy, większość kolonialistów zgadzała się, że „tubylcy” odgrywają kluczową rolę w projekcie kolonizacyjnym – dopóki pokornie przyjmują swoją podporządkowaną pozycję. Był to światopogląd głęboko zakorzeniony w XVIII-wiecznym paternalizmie, który powstał w wyniku wielkiej politycznej walki z handlem niewolnikami na Atlantyku. Walczące z niewolnictwem ruchy abolicjonistyczne twierdziły, że czarni Afrykanie – a zatem także inne tubylcze rasy – mają nieśmiertelną duszę, a przez to są „braćmi i siostrami” białego człowieka.

Odwrot od tych poglądów zaczął się w połowie XIX wieku i kiedy w latach 80. Afrykę podzielono między europejskie potęgi, nowe, biologiczne podejście do spraw rasy w znacznym stopniu zaczęło wypierać stary paternalistyczny rasizm. Przypadki ludobójstwa – jak eksterminację tasmańskich Aborygenów przez brytyjskich kolonistów w latach 20. i 30. XIX wieku – tłumaczono precyzyjnym, quasi-medycznym językiem „biologicznego rasizmu” jako nieuniknione (ale czasem pożądane), podczas gdy jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej uważano je za godne pożałowania tragedie.

To, jak głęboko koncepcja „wojny rasowej” zakorzeniła się w wilhelmińskich Niemczech i w

głowie samego cesarza, najwyraźniej ilustruje pewne wydarzenie mające miejsce wcale nie w Afryce, ale w Azji. W roku 1900, w ramach porozumienia ośmiu krajów, Wilhelm II wysłał do Chin korpus ekspedycyjny, który miał wziąć udział w stłumieniu powstania stowarzyszenia zwanego „Pięść w imię sprawiedliwości i pokoju”, potocznie znanego jako powstanie bokserów. Większość zabitych przez powstańców stanowili chińscy chrześcijanie, ale europejskie gazety skupiały się przede wszystkim na gwałtownej śmierci kilkunastu Europejczyków. Niemcy przyłączyły się do interwencji z powodu napaści bokserów w początkowej fazie rebelii na poselstwo Rzeszy i zabicie posła Klemensa von Ketterlera. Kajzer uznał jego śmierć za osobistą zniechęć i w jednym ze swoich napadów szału zażądał, by „Pekin został zrównany z ziemią”^[128].

Rankiem 27 lipca 1900 roku niemiecki korpus sił interwencyjnych ustawił się w szeregach na wybrzeżu Bremerhaven, gotowy na wyruszenie do Chin. Na specjalnie wzniesionym podium cesarz – nareszcie nieograniczany przez swoich doradców i adiutantów – mógł mówić to, co myśli. Być może improwizując, a może po prostu nie trzymając się przygotowanej mowy, Wilhelm wydał swoim żołnierzom rozkaz, który tak wstrząsnął doradcami cesarza, że nakazali natychmiastowe aresztowanie wszystkich obecnych reporterów i skonfiskowanie ich notatników. Jednemu z dziennikarzy, który siedział na dachu obok fotografa, udało się jednak wymknąć i przekazać prasie rozkaz cesarza.

Wilhelm zaczął od ostrzeżenia żołnierzy, że powstanie bokserów jest bardzo brutalne, ale szybko przeszedł dalej. Rozkazał im, by zignorowali wszelkie zwyczaje dotyczące prowadzenia wojny: „Tępić bez pardonu, nie brać jeńców, kto wpadł wam w ręce, niech ginie. Podobnie jak tysiąc lat temu Hunowie zdobyli sławę pod przywództwem swojego króla Attyli, co w dużym stopniu pojawia się jeszcze dziś w przekazach i w legendach, tak niech dzięki wam na tysiące lat imię Niemców zapisze się w Chinach w taki sposób, by już nigdy żaden Chińczyk nie odważył się chociażby krzywo spojrzeć na Niemca”^[129].

Kiedy w październiku niemiecki korpus pod dowództwem Alfreda von Waldersee (bliskiego przyjaciela cesarza) dotarł do Chin, cesarzową wdowę Cixi już pojmano, a oblężenie Zakazanego Miasta dobiegało końca. Niestropiony tym i zdecydowany trafić na pierwsze strony gazet, von Waldersee zorganizował kilka karnych ekspedycji. Choć nigdy nie spotkali się z poważnym oporem, Niemcy wymordowali tysiące niewinnych chińskich wieśniaków. Kiedy w lewicowej prasie ukazały się listy żołnierzy, opinia publiczna dowiedziała się o okrucieństwie tych ekspedycji. Jeden z żołnierzy pisał do rodziny: „Nie możecie sobie wyobrazić co się tu dzieje. (...) Niszczymy wszystko, co staje nam na drodze: mężczyźni, kobiety, dzieci. Och, jak krzyczą te kobiety. Ale rozkaz cesarza był jasny: żadnej łaski. Musimy dotrzymać złożonej przysięgi”^[130].

Idiotyczna mowa Wilhelma w Bremerhaven oraz reputacja, jaką niemiecka armia zdobyła w Chinach, dały początek obraźliwemu mianu „Hunów”, jakim określano Niemców w czasie I wojny

światowej.

W roku 1900 cesarz Wilhelm nie miał problemów z przedstawieniem konfliktu z Chinami jako wojny rasowej, w której nie obowiązują normalne zasady. Pięć lat później, pisząc do prezydenta Theodore'a Roosevelta, kajzer wyraził głębokie przekonanie, że darwinowska konfrontacja między Europejczykami a Chińczykami jest nieunikniona: „Przewiduję, że w przyszłości nastąpi walka na śmierć i życie między «białymi» i żółtymi, walka o samą egzystencję. Im szybciej zrozumieją to narody należące do «Białej Rasy» i przystąpią do wspólnej walki ze zbliżającym się zagrożeniem, tym lepiej”^[131].

Wilhelm II nie był odosobniony w sposobie, w jaki rasowe uprzedzenia wpływały na jego postrzeganie świata. Przed I wojną światową niemiecki Sztab Generalny w oficjalnych dokumentach dotyczących Chin i tamtejszych niemieckich posiadłości zaczął używać określenia „żółte niebezpieczeństwo”. Odnosiło się ono także do Japończyków, narodu, którego władcy byli wyjątkowo proniemieccy i którego struktury polityczne oraz poczucie misji rasowej było po części efektem inspiracji wilhelmińskimi Niemcami. Mimo to kajzer pogardzał również nimi.

Wyrażając swoją opinię na temat Azjatów w liście do prezydenta Roosevelta z 1905 roku, Wilhelm II nawracał już nawróconego. W latach 1889–96, zanim zasiadł w Białym Domu, Roosevelt napisał monumentalną, czterotomową historię amerykańskiego pogranicza, *Zdobycie Zachodu* (*The Winning of the West*), uważaną wówczas za bardzo ważne dzieło amerykańskiej historiografii. Roosevelt twierdził w nim, że wojny między rasą białą a rasami niższymi, choć cechują się ogromną brutalnością, są jednak niezbędne:

Najszlachetniejszą ze wszystkich wojen jest wojna z dzikimi, choć zarazem jest też wojną najstraszniejszą i nieludzką. Cała cywilizowana ludzkość ma dług wdzięczności wobec nieokrzesanego, nieustraszonego osadnika, który wypiera z ziemi dzikich. Amerykanin i Indianin, Bur i Zulus, Kozak i Tatar, Nowozelandczyk i Maorys, w każdym z tych przypadków zwycięzca – którego czyny mogą być straszliwe – kładzie głębokie fundamenty dla przyszłych pokoleń silnych ludzi. Konsekwencje walk o ziemię między cywilizowanymi narodami zdają się przy tym nieistotne. Patrząc z perspektywy wieków, to tylko kwestia chwili, czy Lotaryngia należy do Francji, czy do Niemiec, czy miasta północnego Adriatyku składają hołd austriackiemu cesarzowi, czy królowi Włoch, ale nie sposób oszacować, jak wielkie znaczenie ma to, że Ameryka, Australia i Syberia wyszły z rąk ich rdzennych czerwonych, czarnych i żółtych właścicieli i stały się dziedzictwem dominujących ras świata^[132].

Theodore Roosevelt, tak jak jego przyjaciel, historyk Frederick Jackson Turner, wierzył w to,

że wojny na pograniczu stanowiły część wielkiego procesu historycznego, który ukształtował amerykański charakter. Biali Amerykanie, jako ludzie pogranicza, ewoluowali, stając się bardziej męscy i zdolniejsi. Amerykański charakter, tak różny od europejskiego, był – jak twierdzili Roosevelt i Turner – produktem pogranicza oraz nowych swobód, jakie ono oferowało. Z dala od ograniczeń władzy oraz hamujących wpływów burżuazyjnego społeczeństwa życie na zachodnich rubieżach dominium białego człowieka stworzyło rasę odpornych indywidualistów, w naturalny sposób nieufających władzy, skorych do przemocy i na niezliczone sposoby przystosowanych do nieskrępowanego życia na otwartych przestrzeniach.

Choć z końcem lat 90. XIX wieku amerykańskie pogranicze *de facto* przestało istnieć, jego mit wciąż wywierał ogromny wpływ na niemiecką wyobraźnię – częściowo dzięki rodzimej powieści popularnej^[133]. Najpoczytniejszym niemieckim autorem „westernów” był Karol May, który tworzył od połowy lat 70., ale dopiero w ostatniej dekadzie XIX wieku jego powieści zyskały prawdziwą popularność. Stopa Maya, jak i większości jego czytelników, nigdy nie postąpiła na amerykańskim pograniczu, ale w serii poczytnych powieści przygodowych przedstawiał je jako zamieszkaną przez niemieckich „Westmenów”, w naturalny sposób predysponowanych do tamtejszego życia. Jego najbardziej znany bohater, Old Shatterhand, choć przeciętnej budowy i wzrostu, niemający doświadczenia w życiu pod gołym niebem, szybko staje się panem pogranicza i więcej niż godnym przeciwnikiem „Jankesów”, którzy w książkach Maya zawsze pełnią rolę złoczyńców. Autor portretował amerykański Zachód tak, jak gdyby był on niemiecką kolonią. Jego postacie piją niemieckie piwo i przy ogniskach śpiewają tradycyjne pieśni ludowe.

Westerny Karola Maya były odzwierciedleniem – ale zapewne także jednym z powodów – rosnącej fascynacji pojęciami pogranicza oraz narodowej i rasowej ekspansji. May osiągnął to, co towarzystwa kolonialne starały się robić od lat 70. – przekonać miliony zwykłych Niemców, że z samej swojej natury są narodem pogranicza^[134].

May nie był wyjątkiem, widząc w pograniczu odpowiedź na problemy Niemiec – tak demograficzne, jak i duchowe. Biorąc za wzór doświadczenia Amerykanów, wielu niemieckich filozofów, geografów i polityków, nie licząc już volkistowskich mistyków, szerzyło głębokie przekonanie, że niemieckie kolonie nie tylko ocalały *Volk Ohne Raum* od nędzy uprzemysłowionych miast, ale też kolonialne pogranicze stanie się nową areną, na której niemiecki duch zostanie odnowiony w taki sam sposób, w jaki wykuł się surowy charakter białych Amerykanów.

Najważniejsze spośród tych idei pojawiły się w tekstach dziś zapomnianej postaci, Friedricha Ratzla. Jako młody dziennikarz, w latach 70., Ratzel podróżował sporo po Stanach Zjednoczonych, pisząc artykuły do „Kölnische Zeitung”. Największe wrażenie zrobiły na nim wówczas kwitnące amerykańskie miasta, toteż w przeciwieństwie do wielu innych autorów udało mu się uniknąć romantyzowania życia na pograniczu. Po powrocie do Niemiec zaczął karierę akademicką, w czasie

której ponownie podjął się oceny znaczenia pogranicza dla rozwoju kultury^[135].

Choć początkowo zajmował się zoologią, późniejsze prace Ratzla dotyczyły geografii i w latach 80. XIX wieku był już jednym z czołowych niemieckich ekspertów w tej dziedzinie. Jego geograficzne teorie w dużym stopniu bazowały na doświadczeniu jako zoologa oraz na pracach jego mentora Ernsta Haeckla. Ratzel całe życie interesował się naukami anatomicznymi, a jednym z jego przyjaciół, z którym prowadził ożywioną korespondencję, był antropolog rasy Felix von Luschan^[136].

Pod koniec lat 90. XIX wieku Ratzel zaczął łączyć teorie inspirowane darwinizmem społecznym z geograficznymi koncepcjami na temat przestrzeni i migracji. Konkretnie zastosował pojęcie „walki o byt” do badania migracji ludzi i zwierząt. Inwazja i kolonizacja świata poza Europą, których dokonywała biała rasa, a także przesiedlenia rdzennych ludów – wszystko to było dla Ratzla częścią „walki o byt”, napędzanej przede wszystkim poszukiwaniem „przestrzeni życiowej”. Darwin wykazał, że kiedy zwierzęta przenoszą się na nowe tereny, z czasem ewoluują, adaptując się do nowych warunków. Ratzel wywnioskował zatem, że kiedy migrują ludzkie rasy, do nowych warunków dostosowuje się ich kultura.

Jeśli rasa może zaadaptować się do nowych warunków, jej kultura się rozwija, a populacja wzrasta. Te dwa czynniki w naturalny sposób skłaniały rasy do migracji – zdaniem Ratzla – stanowiły koło napędowe historii. Rasy adaptowały się do nowych okoliczności, zwiększały swoją populację i rozwijały swoją kulturę. Ratzel zastanawiał się nawet, czy pęd do migracji nie był sam w sobie cechą ras męskich i energicznych.

Migracje, twierdził dalej, są niezbędne dla długoterminowego przetrwania rasy. Lud nie ma innego wyboru, jak tylko zwiększyć teren, który zajmuje. Według koncepcji Ratzla zakończenie migracji i zaadaptowanie się do istniejących warunków oznaczało zatrzymanie w rozwoju oraz ryzyko, że lud wyprzedzą inne, lepiej przystosowane rasy.

Był to naniesiony na mapę prymitywny darwinizm społeczny, częściowo zainspirowany nacjonalizmem i kolonializmem. W 1897 roku Ratzel opublikował wpływową książkę *Politische Geographie* (Geografia polityczna), w której nadał nazwę swojej koncepcji – *Lebensraum*, przestrzeń życiowa. Akademickie teorie Friedricha Ratzla łączyły się wówczas z jego politycznym wsparciem dla kolonializmu. W czasie pierwszej fali kolonialnego entuzjazmu, która dosięgła Niemcy w latach 80., Ratzel pomógł założyć prawicowe i ekspansjonistyczne Niemieckie Towarzystwo Kolonialne. Wierzył, że kolonie, jakie uda się Niemcom zdobyć w trakcie „rozdrapywania Afryki”, powinny zostać zasiedlone niemieckimi farmerami, a nie tylko wykorzystywane przez przemysł i kupców. Twierdził, że terytorium wykorzystywane wyłącznie jako źródło surowców albo rynek zbytu, nie jest prawdziwą kolonią. Kolonizacja zaczynała się dopiero wraz z uprawą zajętej ziemi – a i to tylko wtedy, gdy ziemia należała do farmerów, a nie wielkich właścicieli. W trakcie dyskusji na temat

niemieckiego imperium kolonialnego, Ratzel wymieniał Niemiecką Afrykę Południowo-Zachodnią jako jedno z potencjalnych źródeł Lebensraumu dla Niemców.

Teoria Lebensraumu zadawała też kłam przekonaniu, że w wyniku kontaktu z europejskimi kolonistami tubylcze rasy ginęły w jakiś niewytłumaczalny sposób. Ratzel nie widział powodu, żeby taić prawdziwe przyczyny tego zjawiska. Tubylcy znikali, ponieważ byli prześladowani, brani w niewolę, zabijani. Dokonywali tego kolonizatorzy, kupcy i żołnierze. Nie było tu żadnej tajemnicy. Asekurował się nieco, argumentując, że wewnętrzna kulturalna słabość tubylczych ras Afryki, Ameryki i Azji uczyniła je biernymi, niezdolnymi do przeciwstawienia się europejskiej inwazji. Wprost jednak pisał, że ich zniszczenie dokonało się przy pomocy karabinów i szubienic. Było to akceptowalne, gdyż ludzie, których niszczyli Europejczycy, należeli do „niższych ras”^[137]. Ich ziemię – siłą, rzecz jasna – przejmowała rasa silniejsza.

Co ważne – zważywszy na rolę, jaką jego idee (oraz ich niezliczone wersje i wypaczenia) miały odgrywać w historii niemieckiego kolonializmu – Ratzel uważał, że wojna na wyniszczenie jest nieodłącznym elementem poszukiwania Lebensraumu. Aby zdobyć przestrzeń, energiczne rasy nie będą miały wyboru, jak tylko rozpocząć z tubylczymi ludami „walkę o przestrzeń”. Jako przykłady takich konfliktów, które „szybko i całkowicie” wysiedliły rdzenne rasy, Ratzel podawał dziewiętnastowieczne walki w Ameryce Północnej, południowej Brazylii, na Tasmanii i w Nowej Zelandii^[138]. Wojny, które Ratzel uważał za wzór przyszłego kolonializmu, były wojnami na wyniszczenie – a niektóre wręcz ludobójstwami.



Człowiekiem, który w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej najmocniej propagował – i wypaczył – teorie darwinizmu społecznego, takie jak Lebensraum, nie był gubernator Theodor Leutwein, który nie lubił teoretycznych usprawiedliwień kolonializmu, ale komisarz do spraw osadnictwa, doktor Paul Rohrbach.

Departament Kolonii wysłał go do Afryki Południowo-Zachodniej w roku 1903, z zadaniem oszacowania potencjału kolonii pod względem masowego osadnictwa i uprawy ziemi na dużą skalę. Miał również przeprowadzić badania porównawcze metod stosowanych przez Anglików w Afryce Południowej i Niemców w Afryce Południowo-Zachodniej. Ścisłej, miał stwierdzić, czy skuteczny brytyjski system siłowego wywłaszczania tubylców z ziemi dałoby się zastosować w niemieckiej kolonii.

Misja Rohrbacha była częścią większego, wspieranego przez państwo planu, który miał przyspieszyć tempo niemieckiego osadnictwa. Choć w roku 1903 było ono i tak większe niż kiedykolwiek wcześniej, migracja do niemieckich kolonii wciąż była niczym w porównaniu

z nieustanną falą emigracji do Stanów Zjednoczonych. Nawet ci, którzy zdecydowali się na wyjazd do Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, chcieli kiedyś wyjechać do Ameryki, gdyż nadawali swoim farmom nazwy takie jak Dixie, Alabama czy Georgia.

Aby móc zwabić więcej osadników, Rohrbach otrzymał do dyspozycji 300 tysięcy marek i specjalne pełnomocnictwa. Odpowiadał bezpośrednio przed Departamentem Kolonii w Berlinie, co w teorii czyniło go drugim – po gubernatorze Leutweinie – najwyższym rangą urzędnikiem kolonii^[139]. Rohrbach nadawał się do powierzonych mu zadań. Był bardzo zdolny, wystarczająco odporny, by znosić trudy podróży po pustyniach, a nade wszystko całkowicie oddany kolonizacyjnej misji. Był gorliwym zwolennikiem społecznego darwinizmu oraz znajdujących się u jego podstaw teorii rasowych.

W swojej książce *Der Deutsche Gedanke in der Welt* (Niemiecka polityka światowa), napisanej w roku 1912, Rohrbach z zadziwiającą szczerością opisuje zasady, jakimi – jego zdaniem – powinna kierować się kolonizacja Afryki:

Odnosi się to zarówno do narodów, jak i do jednostek – ludzie, którzy nie nie wytwarzają, nie powinni mieć prawa do przetrwania. Żadna fałszywa filantropia czy teoria rasowa nie przekona racjonalnych ludzi, że przetrwanie jakiegoś plemienia nomadów, południowoafrykańskich kafirów (...) jest dla przyszłości rodzaju ludzkiego ważniejsze niż ekspansja wielkich europejskich narodów czy białej rasy w ogóle. Czy naród niemiecki ma porzucić szansę wzmocnienia się, zabezpieczenia przestrzeni dla swoich synów i córek, ponieważ (...) jakieś murzyńskie plemię (...) prowadzi bezużyteczną egzystencję na ziemi, na której mogłyby się osiedlić i wieść kwitnącą egzystencję tysiące niemieckich rodzin, wzmacniając siły żywotne naszego narodu?^[140]

W roku 1903 Rohrbach, tak jak gubernator Theodor Leutwein, rozumiał, że wywłaszczeni i podporządkowani Afrykanie mogą stać się ważnym zasobem gospodarczym. Doświadczenie, jakie zdobył później w Afryce Południowej, sprawiło jednak, że doszedł do odmiennego wniosku – całe afrykańskie narody mogą zostać z powodzeniem wytępione. W 1907 roku opublikował książkę *Deutsche Kolonialwirtschaft* (Niemiecka gospodarka kolonialna), w której stwierdza, że „aby zapewnić pokojowe osadnictwo białych przeciwko złym, nieumiejętnym kulturowo i różnijnym plemionom tubylców, może okazać się, że w pewnych okolicznościach konieczna będzie ich eksterminacja”^[141].



W czasie pobytu w Południowej Afryce Paula Rohrbacha najbardziej interesowało to, co

kolonializm może zaoferować jego rodakom, a nie to, co będzie oznaczał dla rdzennej ludności. Zniszczenie albo zniewolenie niższych ras – którekolwiek z nich – było dla niego jedynie efektem kolonializmu, a nie celem samym w sobie. Odkładając na bok dawne, dziewiętnastowieczne uzasadnienia – rasowy paternalizm, szerzenie Ewangelii i walkę z handlem niewolnikami – Rohrbach uważał, że jedynym zadaniem kolonializmu jest postęp i rozprzestrzenianie się białej rasy. Stało to w wyraźnej sprzeczności z bardziej pragmatycznym podejściem gubernatora Leutweina, który uważał, że zadaniem kolonializmu jest równoważenie sprzecznych interesów czarnych i białych, dopóki ci pierwsi nie zostaną zmuszeni do przyjęcia pozycji podporządkowanej.

Rohrbach wyobrażał sobie, że w XX wieku Niemcy osadzą na afrykańskiej ziemi około dwóch milionów swoich synów i córek. Ci pionierzy, wystawieni na wyjątkowe warunki pogranicza, staną się nowym rodzajem Niemców. Rohrbach uważał kolonie za tygiel, z którego wyłoni się nowa, zaraźliwsza odmiana „niemieckości”, która powoli trafi do ciała Rzeszy:

Typ kolonialny jest (...) źródłem wielkiego bogactwa dla każdego narodu, któremu uda się go wytworzyć. Za morza udają się nie leniwi i strachliwi, ale aktywni i zdeterminowani synowie narodu, co w dużym stopniu tłumaczy amerykański charakter. (...) Zważywszy na naszą wielką populację, nie robi różnicy, jeśli co roku z kraju wyjedzie kilka tysięcy ludzi – nawet silnych i zdolnych. Za oceanem jednakże selekcja stopniowo wytworzy szczególną rasę. Będzie ona (...) lepiej przystosowana do życia na wielką skalę – tak wewnątrz, jak i na zewnątrz^[142].

To mając w głowie, Rohrbach badał ziemię uprawną Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej i zastanawiał się, jakimi metodami można uczynić ją wydajniejszą.

Równocześnie gubernator Leutwein rozpoczął budowę infrastruktury potrzebnej do rozpoczęcia masowego osadnictwa na tych terenach. Choć zasada „dziel i rządź”, za pomocą której podporządkował sobie Hererów i Nama, została zapożyczona od Brytyjczyków, gubernator i jego sojusznicy w Departamencie Kolonii wzorowali się teraz na amerykańskim Zachodzie. Na tamtejszym pograniczu rozwój białego osadnictwa przyśpieszyły dwa czynniki: szybka budowa sieci kolejowej oraz utworzenie rezerwatów dla rdzennej ludności. Angelo Golinelli, urzędnik Departamentu Kolonii odpowiedzialny za sprawy Afryki Południowo-Zachodniej, pisał, że budowa kolei w koloniach „jest wstępem do ujarznienia i pacyfikacji”^[143]. Tak jak w Stanach Zjednoczonych, pociągiem można było dostarczać bydło na handel, przewozić zapasy i siłę roboczą dla białych osadników, ale też szybko transportować wojska, gdyby „tubylcy” opierali się stopniowemu zamykaniu ich w rezerwach – co również zakładał plan Golinellego. Gubernator Leutwein uważał, iż rozwój kolei jest tak kluczowy, że w 1897 roku udał się do Berlina, by osobiście

zaapelować do Reichstagu o wyasygnowanie niezbędnych środków^[144].

W 1902 roku ukończono budowę linii łączącej Windhuk z szybko rozrastającym się portem Swakopmund. Rok później rozpoczęto trasę ze Swakopmundu do kopalni miedzi w Otavi, jedynego w całej kolonii przedsięwzięcia przemysłowego z prawdziwego zdarzenia. Kiedy linia do Otavi zaczęła powoli przekraczać pustynię, misjonarze i administratorzy kolonii podjęli rozważania, jak zmusić Afrykanów do tego, by zrobili miejsce dla niemieckich osadników. W 1903 roku Leutwein zgodził się – choć bez entuzjazmu – na oficjalne wprowadzenie polityki rezerwatów. Ustanowiono dwa: Witbooiów w Rietmond i Hererów w Otjimbingwe.

Oba ludy doskonale wiedziały, że budowa kolei i założenie rezerwatów było tylko początkiem na drodze do całkowitego anektowania przez białych południowo-zachodniej Afryki. Najbardziej obawiały się, że zostaną zmuszone do przeniesienia się na ziemie, które byłyby dla nich za małe albo nie dość żyzne, by mogły na nich żyć w tradycyjny, pasterski sposób. Kiedy wódz Hererów poproszono o zgodę na stworzenie drugiego rezerwatu, w pobliżu Okahandja, odrzucili niemiecką propozycję. Mimo to w 1903 roku ani przywódca Nama, ani Hererowie nie uważali takiego rozwoju sytuacji za wystarczający powód, by chwycić za broń i wznieść bunt przeciwko niemieckim rządóm.

Mimo częściowej utraty ziemi i niepodległości Hererowie i Nama wciąż dominowali ekonomicznie w środkowej i południowej części kolonii. Sprzedali ziemię i bydło – to ostatnie w dużych ilościach. Niektórzy zadłużyli się u kupców, inni stracili ziemię na mocy nieuczciwych porozumień, ale większość dotychczas odkrytej ziemi wciąż znajdowała się w rękach miejscowych plemion. Według danych Paula Rohrbacha wykupiono tylko 10 procent należącej do Afrykanów ziemi uprawnej, którą osadnicy mogliby z zyskiem użytkować^[145]. W nieco gorszym położeniu znalazły się niektóre mniejsze klany Nama z południa kraju, Bondelswartowie i Veldschoendragersowie, którzy stracili sporo terenów na rzecz prywatnych osadników oraz kompanii handlujących gruntami. Największe plemiona, w tym Hererowie, wciąż jednak były właścicielami większości ziem swoich przodków.

Sprzedaż ziemi przez *kapteinów* Nama dała niemieckim osadnikom silny przyczółek na południu kolonii, ale zarazem wzbogaciła elitę plemienia. Proces kolonizacyjny nie tylko nie wywłaszczył Hendrika Witbooi, ale wręcz przeciwnie – sprzedaż ziemi sprawiała, że wódz (już siedemdziesięcioletni) stawał się coraz bogatszy. Pewna farma, którą sprzedał osadnikowi, niejakiemu doktorowi Kämpferowi, przyniosła Witbooiowi siedem corocznych wypłat w wysokości tysiąca marek – co samo w sobie było małą fortuną. Kämpfer, którego syn został w czasach nazistów znanym pisarzem prozy kolonialnej, wybrał dla farmy nazwę znaczącą: „Deutsche Erde”, czyli Niemiecka Ziemia^[146]. Inni osadnicy, nieumiejący przekonać wodzów do sprzedania im działek, musieli zdecydować się na trudne do przeknięcia rozwiązanie. W ramach upokarzającej dla nich odwrotności zwyczajowej relacji kolonialnej musieli dzierżawić ziemię od Nama albo Hererów.

Choć sprzedaż ziemi przyniosła wodzom wielkie fortuny, wciąż oceniali je według liczby posiadanego bydła. Hererowie i Nama doszli do siebie po epidemii „Rinderpest” z końca lat 90. i w 1903 roku stada Hererów liczyły około 50 tysięcy sztuk, a Nama nawet 25 tysięcy. Średnia cena jednej krowy w Afryce Południowej wynosiła około 150 marek, toteż Samuel Maharero, który – tak jak większość innych wodzów – posiadał tysiące sztuk, był *de facto* milionerem.

Dobrobyt afrykańskiej elity – w porównaniu z sytuacją większości białych osadników – był przedstawiany jako kolejny dowód na to, że przyjęta przez Leutweina strategia stopniowego kolonizowania zawiodła na całej linii. Osadnicy z pogardą określali Afrykę Południowo-Zachodnią mianem kolonii, w której to biali są dłużnikami czarnych, co w najbardziej jaskrawy sposób pozostawało w sprzeczności z podstawowymi zasadami kolonializmu. Tak jak widziano to przez pryzmat ówczesnego rasizmu, celem kolonii było nie tylko szybkie polepszenie ich losu i sytuacji finansowej, ale też podporządkowanie Afrykanów.

Latem 1900 roku członkowie białej populacji Afryki Południowo-Zachodniej wykorzystali zbliżającą się debatę w Reichstagu na temat stosowania kary śmierci w koloniach jako okazję do wyrażenia w Berlinie swojej opinii na temat Hererów i Nama. We wniosku skierowanym do Departamentu Kolonii pisali:

Od niepamiętnych czasów nasi tubylcy przyzwyczajeni są do lenistwa, brutalności i głupoty. Im są brudniejsi, tym swobodniej się czują. Każdy biały człowiek, który zamieszka między tubylcami, nie jest w stanie traktować ich jak istot ludzkich w sensie europejskim. Potrzeba im setek lat nauki, co to znaczy być człowiekiem, nieskończonej cierpliwości, surowości i sprawiedliwości^[147].

Ośrodkiem opozycji wobec gubernatora i miejscem, w którym kipiała motywowana rasowo nienawiść, było Windhuk. W roku 1903 stolica była enklawą białych, do której nie zapuszczali się czarni. Choć według standardów europejskich była to raczej duża wioska niż choćby małe miasteczko, jednak na tyle duża, by móc stać się krainą iluzji. W cieniu fortu wzniesionego przez Curta von François, prawie w ogóle nie widać było panującej w kolonii ogromnej nierówności między osadnikami i Afrykanami – tak w liczebności, jak i w sile militarnej. Przekonani o własnej sile i o konieczności obejścia gubernatora, emerytowani żołnierze niemieckich Schutztruppe oraz najradzykalniejsi osadnicy gromadzili się w barach i tawernach w rodzaju niesławnego Kasino Sylvester, gdzie dawali upust swoim frustracjom. Tam utyskiwali na rzekomą pobłażliwość gubernatora, nazywali Afrykanów „pawianami”, a kolonię „Małą Krainą”. Theodor Leutwein, doskonale zdający sobie sprawę z niezadowolenia osadników, opisywał ich jako „chcących – przy wrodzonym poczuciu przynależności do wyższej rasy – sprawiać wrażenie, że są członkami

zwycięskiej armii, mimo iż niczego nie podbiliśmy”^[148].

Rasową pogardę, jaką osadnicy i żołnierze czuli wobec Afrykanów, stale potęgowały ich frustracja, niepewność i chciwość. Skutkiem tego była fala przemocy i nadużyć, na którą dowody możemy znaleźć w Namibijskich Archiwach Narodowych w Windhuku. Oficjalne raporty na temat pobic, gwałtów i morderstw popełnionych do roku 1904 pokazują nam, że kolonia wymykała się spod kontroli. Osadnicy oraz oficerowie Schutztruppe mogli zachowywać się wobec Hererów i Nama – nawet należących do zamożnej elity – niemal całkowicie bezkarnie.

Najczęściej donoszono o pobiciach. Sprawy wielu takich ataków traktowali je jako nieoficjalną karę cielesną. Stosowano do tego celu bicz ze skóry hipopotama – *sjamboki* – i wymierzano je za najmniejsze uchybienie albo domniemany brak szacunku wobec białego człowieka. Błąd w trakcie pracy dla osadnika, drobna kradzież, zła odpowiedź na pytanie, za to wszystko można było ukarać batożeniem albo pobiciem.

W 1902 roku pewien niemiecki piekarz nazwiskiem Schaeffer uznał, że Assa Riarua, członek starszyny Hererów, jest bezczelny i zaatakował go. Wyciągnął Riaruę ze swojego sklepu na ulicę i publicznie go wychłostał „aż popłynęła krew”. Upokarzający atak na prominentnego członka plemienia była poważnym – i potencjalnie niebezpiecznym – wydarzeniem, toteż gubernator Leutwein, obawiając się, że Hererowie mogą się zemścić, interweniował osobiście. Jednak nawet ten przypadek oczywistej napaści nie zakończył się wyrokiem. Poza sądem zostało zawarte porozumienie, w ramach którego Schaeffer musiał zapłacić 20 marek kary^[149].

Incydent, który najbardziej pogorszył relacje między Hererami a Niemcami, miał miejsce w połowie roku 1903. Barmenias Zerua, syn wodza Zachariasa Zeruy, tak oto wspomina wydarzenia, które doprowadziły do śmierci jego żony:

W 1903 roku moja żona oczekiwała swojego pierwszego dziecka, więc zgodnie z powszechnym zwyczajem Hererów wsadziłem ją na zaprzężony w woły wóz i wysłałem do domu jej matki. (...) Zanim opuściliśmy Omaruru, natknęliśmy się na Niemca imieniem Dietrich, który spytał mnie, czy może pojechać razem z nami do Karibib. Powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu, więc Dietrich ruszył z nami. (...) Tego wieczoru oddaliśmy się od Omaruru jakieś 12 mil główną drogą. Zabiliśmy owcę i zjedliśmy wieczorny posiłek razem z Dietrichem. Daliśmy mu do jedzenia owczą wątrobę [przysmak]. Wtedy dwaj chłopcy poszli zająć się bydłem, a moja żona z dzieckiem udała się na spoczynek do wozu. (...) Powiedziałem Dietrichowi „dobranoc” i poszedłem spać (...). Obudził mnie wystrzał rewolweru. Wskoczyłem z namiotu i zobaczyłem Dietricha uciekającego drogą w stronę Omaruru (...) Wróciłem do wozu, dziecko płakało i spróbowałem obudzić żonę. Kiedy ją dotknąłem, poczułem wilgoć. Zapaliłem zapalną

i zobaczyłem, że leży we krwi, martwa. (...) Podniosłem dziecko i zobaczyłem, że kula, która zabiła moją żonę, przeszła przez jego nogę, tuż nad lewym kolaniem^[150].

Dietricha oskarżono o spowodowanie śmierci, a nie morderstwo, po czym został uniewinniony. Ostatecznie udało się go skazać na trzy lata więzienia, ale później zwolniono i zrobiono podoficerem w Schutztruppe.

Oburzenie Afrykanów tym, jak traktowali ich osadnicy i żołnierze, tylko pogarszał kolonialny system prawny, w ramach którego prawie niemożliwością było uzyskanie przez nich sprawiedliwości. Choć afrykańska elita zachowała swoją ziemię, pomału ograbiano ich z praw.

W sądach zasiadali głównie byli żołnierze i osadnicy, z których nieliczni mieli choćby podstawowe wykształcenie prawnicze. W swoich wspomnieniach *Elf Jahre Gouverneur* (Jedenaście lat jako gubernator) Theodor Leutwein pisze, że zeznanie jednego osadnika było warte nawet tyle co siedmiu Afrykanów. Kiedy skazywano białych za zabicie miejscowych, niemal zawsze dostawali wyroki kilku miesięcy. Afrykanie winni śmierci białego byli wieszani.

Rasowe uprzedzenia niemieckiego prawa były równie widoczne przy okazji gwałtu. Kiedy przed sądem stawali osadnicy oskarżani o gwałt, sędziowie nierzadko uznawali za winną ofiarę, skazując ją na więzienie albo chłostę za „składanie fałszywych zeznań”.

Gubernator Leutwein z Windhuku nie był w stanie dyktować wyroków miejscowym sądom ani kontrolować zachowania osadników. Na prowincji władza spoczywała w ręku regionalnych urzędników, zasiadających w małych fortach i garnizonach, dowodzących ledwie garstkami żołnierzy. Oficerowie ci, podlegli gubernatorowi, odpowiadali za utrzymanie pokoju i przestrzeganie postanowień traktatu o ochronie. Jak wielu żołnierzy Schutztruppe, po skończeniu służby zamierzali się osiedlić w kolonii, toteż zdecydowanie wspierali osadników i – tak jak oni – wielu było niezadowolonych z polityki Leutweina. W stosunkach z Afrykanami zachowywali się wyjątkowo agresywnie i prowokacyjnie. W sytuacji najmniejszych uchybień czy w lokalnych sporach stosowano przemoc – a nawet zabijano Afrykanów – co, po części, było skutkiem organizacji niemieckich sił w Afryce Południowo-Zachodniej.

W przeciwieństwie do innych państw kolonialnych, zaczynając w 1884 roku budowę imperium zamorskiego, Niemcy postanowili nie tworzyć stałej armii kolonialnej, ale małe „siły ochronne”, Schutztruppe. Wojska stacjonujące w Afryce Południowo-Zachodniej tym różniły się od oddziałów w innych niemieckich koloniach, że nie przyjmowano w ich szeregi czarnych Afrykanów, a tylko białych – tak oficerów, jak i szeregowców. W ramach traktatów ochronnych podpisanych przez Hererów i Nama, byli oni zobowiązani wysłać swoich ludzi do walki u boku Niemców, ilekroć ci sobie tego zażyczą. Otrzymywali brunatne mundury Schutztruppe i dostawali się pod dowództwo niemieckich oficerów, ale oficjalnie Afrykanów nie werbowano. W Afryce Południowo-Zachodniej

Schutztruppe było armią białego człowieka, wylęgarnią ultranacjonalizmu i rasowego fanatyzmu. Znane było nie tylko ze swojego ekstremizmu, ale też braku dyscypliny.

W niemieckiej armii kolonie i stacjonujące tam oddziały uważano za miejsce zsyłki dla skompromitowanych oficerów. Nieproporcjonalnie dużą liczbę oficerów Schutztruppe stanowili ludzie z kłopotliwą przeszłością, dla których zgoda na służbę w koloniach była jedyną szansą podtrzymania kariery zawodowej. Na przełomie XIX i XX wieku w Afryce Południowo-Zachodniej wzrosła liczba ataków na tle rasowym i kilku młodszych oficerów Schutztruppe skazano za morderstwa, gwałty i pobicia Afrykanów. Skłonność tych oficerów do niebawale brutalnego traktowania miejscowych pogarszała tylko ich izolacja. Wielu żołnierzy stacjonowało w małych garnizonach, dziesiątki a nawet setki kilometrów od swoich dowódców. Odpowiadali za wielkie obszary, ale w większości nikt ich nie kontrolował i nie ograniczał – a do tego po prostu się nudzili. Odpowiedzialnych za największe ekscesy zwalniano ze służby, a ich zbrodnie tłumaczono jako kolejny przypadek „szału tropikalnego”. Niezdolność gubernatora Leutweina do jakiegokolwiek kontrolowania oficerów stała się iskrą, która doprowadziła do wybuchu wojny w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej – i do katastrofy.



W roku 1903 młody porucznik Walter Jobst stacjonował w Warmbad, małej wiosce Nama na granicy z Kolonią Przylądkową, 320 kilometrów od jakiegokolwiek mającego znaczenie miasteczka. Wcześniej Jobst należał do niemieckiego oddziału, który po powstaniu bokserów dokonywał karnych ekspedycji w Chinach. W 1903 roku życie Afrykanów cenił równie nisko jak życie Chińczyków trzy lata wcześniej.

Warmbad zamieszkiwał klan Nama znany jako Bondelswarsowie, liczący zaledwie tysiąc ludzi. Jobsta od samego początku traktowali z mieszaniną strachu i odrazy. Pod koniec października 1903 roku wybuchł spór między Janem Christianem, wodzem Bondelswarsów, a pewną kobietą z Hererów, która udawała się do kopalni miedzi w Kolonii Przylądkowej. Zatarg dotyczył ceny kozy (sic). Choć udało się go rozwiązać, zanim wniósł się Jobst, porucznik postanowił wezwać do siebie Jana Christiana. Traktat o ochronie zawarty między Niemcami i Bondelswarsami nie dawał porucznikowi prawa do rozstrzygania wewnętrznych sporów Afrykanów, toteż wódz nie posłuchał wezwania. Jobst zdecydował się zebrać swoich ludzi i stawić czoła Janowi Christianowi. Przeprowadzone niedawno wywiady ze starszyzną Nama z Warmbad pokazują nam, w jaki sposób o tych wydarzeniach pamięta się w historii mówionej Nama:

Dwóch Niemców poszło prosto do domu Wodza i weszło do jego pokoju, gdzie leżał na łóżku z szalikiem na głowie. Żołnierze wyciągnęli go z sypialni. W tym czasie do domu

Wodza udał się Porucznik. Miał ze sobą kundla. Kiedy zobaczył żołnierzy szarpiących się z Wodzem, wydał im rozkaz: „Zastrzelcie go!”. Pociągnęli za spusty i zabili go. Zanim upadł, zdążył wypowiedzieć tylko: „Teraz zaczyna się wojna”^[151].

W ciągu kilku sekund zaledwie parę metrów od domu wodza porucznik Jobst, jego sierżant i jeszcze jeden żołnierz zginęli od strzałów Bondelswartsów.

Choć zginęli ludzie, to, co zdarzyło się w Warmbad, nie było żadnym zagrożeniem dla kolonii. Reakcja w Windhuku i Berlinie była jednak bardzo ostra. Gubernator Leutwein prywatnie potępił zachowanie porucznika Jobsta, ale publicznie musiał wydać mrozącą krew w żyłach deklarację wojny przeciwko klanowi Bondelswartsów – cokolwiek łagodniejszego mogło rozwścieczyć osadników, Niemieckie Towarzystwa Kolonialne i jego zwierzchników z Departamentu Kolonii w Berlinie. Reakcję kajzera na mało istotny incydent w zapadłej mieścinie na południowych pustkowiach gospodarczo niewydolnej kolonii można wyłącznie określić mianem histerycznej. Zażądał natychmiastowego wysłania posiłków wojskowych, nie tylko do Afryki Południowo-Zachodniej, ale do wszystkich niemieckich terytoriów, „gdyż w przeciwnym razie stracimy wszystkie nasze posiadłości kolonialne”.

Pod koniec listopada oddziały Schutztruppe zaczęły długi marsz z Windhuku do Warmbad, które dzieli 800 kilometrów. Na ich czele stał sam gubernator Leutwein, który postanowił osobiście zgnieść Bondelswartsów. Większość ziem Hererów zostawił w rękach porucznika Ralpha Ziurna, młodego oficera równie wojowniczego i porywczego jak nieboszczyk porucznik Jobst.

^[128] J.C.G. Röhl, *Wilhelm II: The Kaiser's Personal Monarchy, 1888–1900*, Cambridge 2004, s. 1053.

^[129] Damian Fierla, *Powstanie bokserów 1899–1901*, Warszawa 2007, s. 33.

^[130] Dietlind Wunsch, *Feldpostbriefe aus China*, Berlin 2008, s. 197.

^[131] Richard Weikart, *From Darwin to Hitler*, New York, Basingstoke 2004, s. 205.

^[132] Theodore Roosevelt, *The Winning of the West*, t. 1, Lincoln, NE 1995, s. 63.

^[133] Spis ludności Stanów Zjednoczonych z 1890 roku wskazywał, że migracja na niezamieszkałe tereny Zachodu, praktycznie rzecz biorąc, ustalała, a pogranicze przestało istnieć – choć nie w amerykańskiej wyobraźni.

^[134] Zob. *Winnetou* Karola Maya i dyskusję na temat tej książki w: Sara L. Friedrichsmeyer, Sara Lennox, Susanne Zantop, *The Imperialist Imagination: German Colonialism and Its Legacy*, Ann Arbor, MI 1998.

[135] Friedrich Ratzel, *Deutschland*, Berlin 1943; idem, *Anthropo-Geographie*, Stuttgart 2005; Andreas Dorpalen, *The World of General Haushofer*, New York 1942; C.O. Sauer, *The Formative Years of Ratzel in the United States*, „Annals of the Association of American Geographers”, czerwiec 1971, 61.2; Günther Buttman, *Friedrich Ratzel: Leben und Werk eines deutschen Geographen 1844–1904*, Stuttgart 1977.

[136] Zob. np.: Bayerische Staatsbibliothek, *Ratzeliana I.2*, Luschan do Ratzla, marzec 1897.

[137] Sven Lindqvist, *Wytepić całe to bydło*, Warszawa 2009, s. 194–197.

[138] Weikart, op. cit., s. 194.

[139] Jon M. Bridgman, *The Revolt of the Hereros*, Berkeley, CA 1981, s. 57.

[140] Paul Rohrbach, *Der Deutsche Gedanke in der Welt*, Düsseldorf 1912, s. 141–142.

[141] Clarence Lusane, *Hitler's Black Victims*, New York–London 2002, s. 43.

[142] Rohrbach, op. cit., s. 141–142.

[143] Horst Drechsler, *Let Us Die Fighting*, Berlin 1986, s. 106.

[144] Helmut Bley, *Namibia under German Rule*, Hamburg 1996, s. 130; Brenda Bravenboer, Walter Rusch, *The First 100 Years of State Railways in Namibia*, Windhoek 1997, s. 16.

[145] Bley, op. cit., s. 133.

[146] NAN, BKE 222, B.II.74.d, t. 6, s. 48.

[147] Cyt. za: Klaus Dierks, *Chronology of Namibian History*, Windhoek 2002, s. 92.

[148] Bley, op. cit., s. 139–140.

[149] Drechsler, op. cit., s. 136.

[150] Jeremy Silvester, Jan-Bart Gewald, *Words Cannot Be Found: German Colonial Rule in Namibia*, Leiden 2003, s. 96.

[151] Casper W. Erichsen, *What the Elders Used to Say*, Windhoek 2008, s. 22–23.

ROZDZIAŁ 8

„Rzeki krwi i pieniędzy”

W 1904 roku europejska dzielnica miasteczka Okahandja była już kwitnącą placówką kolonii. Przy głównej ulicy mieściły się niemieckie sklepy, wzniesiono też fort, w którym stacjonował garnizon mający bronić niemieckich interesów. Naprzeciw fortu stała nowa stacja kolei łączącej Okahandja z leżącym ledwie 80 kilometrów na południe Windhukiem. Za miastem, na wielkich, żyznych pastwiskach Hererów, które wykupili osadnicy, rozciągały się liczne niemieckie farmy.

Dzielnica Hererów, leżąca zaledwie kilka kilometrów na północ, stała się wielką, wciąż rozrastającą się, pełną życia osadą. Kolejne tysiące Afrykanów zamieszkiwały w okolicy. Żyli z uprawy pustego koryta rzeki w porze suchej, a za górami, na równinach, hodowali swoje cenne, długorogie bydło. Do miasta udawali się po zapasy i po to, by handlować rogacizną. Inni Hererowie przybywali do Okahandja z całego kraju, gdyż miasteczko było siedzibą ich najwyższego wodza Samuela Maharero.

Dwór Samuela mieścił się w imponującej willi zbudowanej w stylu domów niemieckich osadników. Dysponując wielkim majątkiem, zgromadzonym na handlu bydłem oraz wzmoczoną sprzedażą ziemi, wódz urządził swój dom pluszowymi sofami i grubymi kobercami, które odzwierciedlały jego pozycję społeczną. Gubernator Leutwein opisywał Samuela Maharero jako „prawdziwego władcę”, dumnego mężczyznę o „imponującym wyglądzie”. W domu, w Okahandja, wśród swoich ludzi, uważano go za człowieka rodzinnego, władcę, który poświęcał większość czasu swoim dzieciom, a w

szczególności przygotowywaniem syna Friedricha do objęcia kiedyś pozycji wodza^[152].

Dla Samuela i wielu innych Hererów Okahandja było świętym miejscem, duchowym centrum rządzącego klanu Maharero, którego przodków chowano na rodzinnym cmentarzu obok niemieckiej misji. To właśnie w Okahandja Samuel Maharero podtrzymywał święty ogień swojego klanu, poprzez który żyjący pozostawali w kontakcie z przodkami.



Rankiem, we wtorek 12 stycznia 1904 roku, w Okahandja panowała mordercza cisza. Był środek lata, rozgrzane powietrze spowijało puste ulice niczym całun. W niemieckiej dzielnicy życie toczyło się wyłącznie za murami fortu. Kilkudziesięciu przycupniętych za nasypem żołnierzy i uzbrojonych osadników ogłądało swoje domy i sklepy przez celowniki karabinów.

Niemcy opuścili domy z powodu pogłoski. Dwa dni wcześniej w drodze do Okahandja miejscowy kupiec burski, Alex Niet, minął kolumnę uzbrojonych Hererów, także udających się do miasta. Kiedy Niet dotarł do Okahandja, doniósł o tym porucznikowi Ralphowi Zürnowi, dowódcy miejscowego garnizonu.

Porucznik Zürn, młodszy oficer jeszcze przed trzydziestką, stał na czele dużego okręgu w samych środku Hererolandu. Jego dowództwo przypadło na okres negocjacji w sprawie utworzenia drugiego rezerwatu Hererów. Przy tej okazji Zürn mógł wielokrotnie okazywać swoją najwyższą pogardę wobec nich. Jego arogancja oraz liczne nadużycia popełniane wobec Hererów z Okahandja karmiły tylko żywione przez nich poczucie niesprawiedliwości, a równocześnie paranoję Zürna, przekonanego, że któregoś dnia tubylcy będą chcieli wziąć odwet. Kiedy usłyszał od Aleksa Nieta, że zbliża się trzystu Hererów, nabrał przekonania, że to wstęp do jakiegoś powstania, i nakazał wszystkim białym ewakuowanie się z domów i schronienie za murami fortu^[153].

Przez dwa dni żołnierze i osadnicy całą dobę obserwowali miasteczko i przez dwa dni nic się nie stało. Tego ranka dwóch najstarszych osadników, radca Duft i doktor Maass, postanowili na własną rękę opuścić bezpieczny fort i wyruszyć na zwiad do Okahandja. Kiedy przemierzali opustoszałe ulice prowadzące do obozu Hererów, natknęli się na członka kościelnej starszyny, znanego jako Stary Johannes, który patrzył na nich niepewnie i mamrotał coś niewyraźnie w swoim języku, *otjiherero*. Choć zdziwiło ich zachowanie starca, Duft i Maass poszli dalej. Kiedy byli już blisko, zobaczyli setkę Hererów siedlających konie. Przerażeni, pobiegli z powrotem do fortu, przekonani, że przybycie tylu Afrykanów oznacza przygotowania do ataku, a „wyraz twarzy” Johannaesa był czymś w rodzaju ostrzeżenia.

Za murami fortu Duft i Maass zdali raport Zürnowi, który tradycyjnie wyciągnął najbardziej pesymistyczne wnioski. Nie próbując w żaden sposób potwierdzić tych doniesień, wysłał telegram

do Departamentu Kolonii w Berlinie, w którym poinformował, nie że Hererowie przygotowują się do ataku, ale że powstanie już wybuchło.

Nie wiadomo, kto oddał pierwszy strzał, ale pewne jest, że tuż po tym, jak Maass i Duft wrócili do fortu, żołnierze i osadnicy zaczęli strzelać z umocnień w stronę ulic Okahandja. W odpowiedzi Hererowie wyszli ze swoich domów i rozpoczęli oblężenie fortu. Zaatakowali też dzielnicę niemiecką, napadając na domy i sklepy, zabijając dwa niemieckie małżeństwa, które nie zdecydowały się szukać schronienia w forcie. Aby zapobiec przybyciu posiłków z Windhuku, zniszczyli odcinek trakcji kolejowej i wywrócili wagon tuż za stacją.

Niemieccy misjonarze w Okahandja, których siedziba znajdowała się zaledwie 300 metrów od fortu, znaleźli się w krzyżowym ogniu. Kiedy zaczęła się strzelanina, misjonarz Philipp Diehl poszukiwał schronienia, gdyż kule przebijały ściany misji. Jedna z nich – pisał później – „wpadła do mojego gabinetu i utkwiała w ścianie nad moim biurkiem (...). Gdybym przy nim siedział, tak jak poprzedniego dnia o tej samej godzinie, byłbym martwy”^[154]. Jedna z nielicznych fotografii Okahandja, zrobiona w styczniu 1904 roku, pokazuje wieżę kościoła Diehla podziurawioną strzałami z karabinów. Diehl był wstrząśnięty, kiedy później zorientował się, że kule, które trafiły w jego dom, nie zostały wystrzelone przez Hererów – celowo oszczędzających teren misji – ale z niemieckiego fortu.



Setka siedlających konie Hererów, których zobaczyli Duft i Maass, nie zwiastowała wcale mającego wybuchnąć lada chwila powstania. Byli to tylko wysłannicy jednego z północnych klanów, którzy niedawno przybyli do Okahandja, zabiegając o arbitraż najwyższego wodza Samuela Maharero w jakimś sporze spadkowym. To właśnie ich widział kilka dni wcześniej Alex Niet w drodze do Okahandja.

W oczach Hererów działania Niemców przed 12 stycznia były wyjątkowo wrogie i prowokacyjne. Nie tylko cała ludność i cały garnizon zabarykadowali się w forcie i wycelowali broń w miasto, ale też – jak dowiedział się Samuel Maharero – Ziirn zażądał natychmiastowego przysłania posiłków z Windhuku. Choć Hererowie nie planowali ataku, a rankiem 12 stycznia Samuela Maharero nie było nawet w Okahandja, zachowanie porucznika Ziirna i jego ludzi spowodowało wzrost napięcia do tego stopnia, że odpowiedź Hererów – kiedy wreszcie nadeszła – była krwawa i stanowcza.

Działania wojenne wybuchły z powodu fałszywych pogłosek i nieporozumienia, które w przeciwnym razie mogłyby ograniczyć się tylko do Okahandja i zostać rozwiązane poprzez negocjacje. W 1904 roku lud Herero doznał jednak tyłu krzywd i prowokacji, że te wydarzenia stały się iskrą, od której zapłonął Hereroland.

W kolejnych dniach fala przemocy rozlała się poza Okahandja. Uzbrojeni w palki, noże i broń

palną Hererowie zaatakowali niemieckie farmy i odosobnione gospodarstwa na całym płaskowyżu centralnym. Polowano na mężczyzn, którzy zamordowali albo zgwałcili kobiety Hererów, a których nie ukarały władze niemieckie. Handlarze, którzy wymuszali bydło i zawyżali ceny, również zginęli. Hererowie zabrali (a czasem odebrali) kupcom i osadnikom ogromne ilości bydła.

Fala gniewu i przemocy, która wy płynęła z Okahandja, była po części wściekłą reakcją przeciwko zachowaniu samego porucznika Ziirna. Jak pokazał historyk Jan-Bart Gewald, to właśnie Ziirn – bardziej niż ktokolwiek inny – załazał za skórę Hererom i doprowadził ich do takiej desperacji, że nawet względnie nieistotne zajście w jednym miasteczku doprowadziło do wybuchu powszechnego powstania na całym zamieszkanym przez nich terytorium.

Jeden z incydentów, które zwiększyły napięcie, zdarzył się zaledwie pięć tygodni przed wybuchem powstania w Okahandja. Dotyczył sfałszowanego traktatu o sprzedaży ziemi. Pod koniec 1903 roku Ziirn wezwał do niemieckiego fortu Okahandja grupę przywódców Hererów z północnych terenów. Na miejscu zażądał od nich podpisania kontraktu, który przekazywał ogromne obszary ich rodzinnej ziemi władzom niemieckim i tworzył drugi rezerwat Hererów. Kiedy wodzowie odmówili złożenia podpisów, Ziirn bezceremonialnie nakazał usunąć ich ze swojego gabinetu. Następnie sfałszował to, co – jak uważał – powinno być ich podpisami: serię niewyraźnych „iksów”. Tymczasem kilku wodzów Hererów potrafiło doskonale czytać i pisać. 8 grudnia 1903 roku Ziirn ogłosił, że oficjalnie porozumiano się w sprawie granic północnego i centralnego Hererolandu, mimo iż wodzowie odrzucili traktat w tej sprawie^[155].

To rozwścieczyło Hererów, ale Ziirn już wcześniej był dla nich nienawistną postacią. Przy co najmniej jednej okazji w 1903 roku nakazał swoim ludziom wykopanie czaszek z ich grobów na cmentarzu w Okahandja. Na początku XX wieku niemieccy badacze rasy płacili coraz większe sumy za czaszki Afrykanów oraz innych „tubyłców”, toteż Ralph Ziirn uznał zapewne, że mogą one stać się źródłem łatwego, dodatkowego dochodu. Zbzczeszczenie szczątków przodków – o czym dwie dekady wcześniej dowiedział się Heinrich Göring – było jednak dla Hererów czymś tak wstrętnym, że wręcz niewybaczalnym.

W 1905 roku Ludwig Conradt, niemiecki kupiec i przyjaciel Samuela Maharero, stwierdził, że właśnie to zbzczeszczenie grobów w Okahandja było jednym z głównych powodów powstania Hererów^[156]. Nawet osadnicy, którzy rzadko stykali się z przywódcami Hererów, doskonale wiedzieli, że to Ziirn popchnął ich na skraj rewolty i że przynajmniej częściowo odpowiadał za wybuch wojny. Samuel Maharero również wskazał na porucznika jako na sprawcę, pisząc do Leutweina 6 marca 1904 roku: „To nie jest moja wojna (...), to wojna Ziirna”.

Można założyć, że Leutwein i niemieckie władze wiedziały, że to właśnie Ziirn doprowadził do wybuchu przemocy. Kiedy jednak zaczęła się wojna, musiały zrzucić całą winę na Hererów, szczególnie zaś na Samuela Maharero. W czerwcu 1904 roku Ziirna po cichu zwolniono ze służby

i odesłano do Niemiec. W akcie ostatecznej obrazu wobec ludzi, których los przypieczętował, zabrał ze sobą czaszkę wykopaną z grobu w Okahandja. W Berlinie oddał ją do kolekcji Feliksa von Luschana, antropologa rasy, który osiem lat wcześniej, w czasie Berlińskiej Wystawy Kolonialnej, próbował zbadać Hererów i Witbooiów – w tym syna wodza Samuela Maherero, Friedricha^[157].

Friedrich Mahaerero był prawdopodobnie u boku ojca w styczniu 1904 roku, kiedy dowiedzieli się o niemieckim ataku. Przebywali wówczas w pewnej odległości od Okahandja u chorego przyjaciela. Gdy fala przemocy wylała się z miasteczka, najwyższy wódz wydał swoim ludziom rozkaz. W liście otwartym Maharero przyznał, że na tym etapie wojny nie da się już zatrzymać i ustanowił zasady jej prowadzenia, których mieli przestrzegać wszyscy Hererowie. Wyraźnie zakazał stosowania przemocy wobec kobiet i dzieci, czego – z wyjątkiem kilku przypadków w pierwszych, chaotycznych dniach – przestrzegano. Atakowano i zabijano niemieckich mężczyzn, ale w ciągu całej wojny zginęły zaledwie cztery kobiety i jedno dziecko^[158].

Historia rodziny Lange z osady Barmen, 40 kilometrów od Okahandja, była w tym względzie dość typowa. Wieczorem 12 stycznia farmera Langego wyciągnięto z domu i pobito na śmierć. Jego spanikowana żona chwyciła dwójkę z trojga dzieci i uciekła w busz. Zabójcy jej męża nie ścigali pani Lange. Następnego dnia natknęła się na patrol Hererów, którzy odeskortowali ją do Okahandja i przekazali w ręce niemieckich władz. Brunhilde, najmłodsza z dzieci, którą matka zostawiła w domu, także wyszła bez szwanku. Dziewczynkę odnalazł pasterz, który odprowadził ją do miejscowej misji^[159].

Rozkaz Samuela Maharero jasno precyzował także, że wojnę prowadzi się wyłącznie z Niemcami, a nie ze wszystkimi białymi ludźmi. Burów i Anglików, handlarzy i osadników, także miano nie atakować. Podobnie jak mieszanego ludu Basterów^[160] czy odwiecznych wrogów Hererów – Nama. Tych zaleceń również przestrzegano.

Z kolei osadnicy i ich sojusznicy z Schutztruppe, kiedy tylko doszli do siebie po pierwszym wstrząsie, jakim był dla nich wybuch powstania, rozpętali brutalną wojnę przeciwko wszystkim Hererom. Aresztowano i uwięziono tych z nich, którzy pracowali dla niemieckich firm albo na niemieckich farmach. Doszło do linczów. Zaatakowano nawet Hererów, którzy nie wzięli udziału w powstaniu, a nawet ogłosili swoją „lojalność” wobec cesarza. Zdjęcia zrobione przez osadników w 1904 roku pokazują Hererów pobitych i powieszonych na drzewach. Pod koniec stycznia na wzgórzu w Windhuku wzniesiono trzy szubienice i normą stały się publiczne egzekucje pojmanych. Ciała powieszonych buntowników zostawiano na wiele dni jako ostrzeżenie dla innych^[161]. W jednej z kapsztadzkich gazet anonimowy korespondent, podpisujący się jako „Niemiecki Osadnik”, pisał: „Zaczęliśmy wieszać tych czarnych lotrów zamiast ich rozstrzeliwać i mogę zapewnić, że wieszamy ich jak należy”^[162].



W ciągu kilku dni do Berlina dotarła wiadomość o wybuchu wojny w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej i o śmierci niemieckich osadników. Śmierć białych i opublikowanie listy ofiar – nieustannie aktualizowanej, ale często zawierającej nieprawdziwe informacje – sprawiły, że powstanie Hererów nie mogło zostać potraktowane jak kolejna, zwykła rewolta tubylców. Konflikt w Afryce Południowo-Zachodniej został uznany – tak przez opinię publiczną, jak i przez władze – za sprawę bezpieczeństwa państwowego i cios w dumę narodową.

Od samego początku rozmaici nacjonaliści oraz towarzystwa kolonialne kierowały i manipulowały wybuchem wściekłości wobec Hererów. Z pomocą prawicowej prasy przedstawiano ich jako dzikusów, których powstanie wynikało z wrodzonej brutalności. Ignorując fakty, wielokrotnie powtarzano, że oni rozpętali nieograniczoną wojnę rasową i jako dzikusi nie przestrzegają żadnych zasad. Wiele gazet rozpisywało się o popełnianych okrucieństwach – niekiedy mocno przesadzając, kiedy indziej zupełnie je zmyślając – podając liczbę zabitych niemieckich dzieci, pisząc o gwałtach na niemieckich kobietach, o tym, że zabitym Niemcom odcinano nosy i jądra^[163].

Aby wzmocnić siłę tych opowieści, artyści tworzyli fantazyjne rysunki. Jedna z rycin przedstawiała bandę łupieżców Herero, którzy osaczają bezbronną Niemkę w białej sukni^[164]. Ponieważ artysta nie wiedział nic o życiu w południowo-zachodniej Afryce, sportretował Herero tak jak czarnych farmerów z amerykańskiego Południa – w spodniach ogrodniczkach i kapeluszach na głowach.

Niemiecka opinia publiczna była coraz bardziej pochłonięta wydarzeniami w Afryce Południowo-Zachodniej, toteż nieliczni ludzie ośmielali się publicznie kwestionować prawdziwość doniesień z kolonii. W atmosferze „gorączki wojennej” próba dojścia do tego, co spowodowało wybuch powstania, została przyćmiona przez sprawę znacznie ważniejszą – jak powinny zareagować Niemcy. Najczęściej uważano – i wielokrotnie podnoszono to w propagandzie – że Hererów trzeba ukarać. Niemieckie Towarzystwo Kolonialne nawoływało do interwencji wojskowej na wielką skalę. W publicznym oświadczeniu, wydanym zaledwie kilka dni po rozpoczęciu walk w Okahandja, Towarzystwo ostrzegało, że „Europejczycy mogą być bezpieczni tylko wtedy, jeśli za wszelką cenę utrzymają supremację swojej rasy”^[165]. Inne gazety i kolonialne broszury atakowały Hererów, twierdząc, że do „dzikiej rasy” przemawia tylko siła wojska.

Te rasowe uprzedzenia pasowały do ogólnej atmosfery militaryzmu, jaka panowała w cesarskich Niemczech. Choć większość niemieckiej opinii publicznej odebrała powstanie jako obelgę dla niemieckiego honoru, armia dostrzegła w nim rzadką okazję. Z wyjątkiem niemieckiego oddziału, który trzy lata wcześniej wziął udział w zdławieniu powstania bokserów oraz niewielkich sił

kolonialnych, które nieco wcześniej toczyły krwawą wojnę w Niemieckiej Afryce Wschodniej^[166], tylko nieliczni żołnierze ogromnej armii cesarza Wilhelma zakosztowali wojny. W Niemczech panował pokój od 1871 roku. Chwalebne bitwy, jakie stoczono z Francuzami tuż przed zjednoczeniem kraju, były już historią. Całe pokolenie, któremu wpojono pruski kult wojskowości, marzyło tylko o okazji do walki. Tysiące zgłosiły się na ochotnika do wzięcia udziału w wojnie z „murzyńskim wodzem” Maharero. Kiedy zaczęły krążyć pogłoski o korpusie ekspedycyjnym, a następnie w całych Niemczech pojawiły się apele o wstępowanie w jego szeregi, młodzi oficerowie spierali się o miejsca, a ich rodziny próbowały im je załatwić za pomocą znajomości we wpłyowych kręgach.

Także i cywilom nie był obcy szowinizm. Zwykłego obywatela, niejakiego Ottona Seiferta, tak poruszyły doniesienia o okrucieństwie Hererów, że napisał list do kajzera, sugerując, jaką strategię można zastosować przeciwko nim. Informował Wilhelma II, że Hererów łatwo będzie można pokonać, jeśli Niemcy „zatrują ich zapasy wody”. Kontynuował:

W końcu nie walczymy z wrogiem przestrzegającym zasad, ale z dzikusami. Nie możemy pozwolić murzynom zwyciężyć. Konsekwencje tego byłyby zaiste zgubne, gdyż nawet teraz murzyni uważają, że Afryka należy do nich, a nie do Pana w niebiosach^[167].

Kajzer był skłonny się z tym zgodzić. Panował już 16 lat, a jego gigantyczna armia wciąż czekała bezczynnie. Powstanie Hererów dawało Wilhelmowi II i Niemcom rzadką okazję zademonstrowania siły wojskowej i podkreślenia swojej pozycji jako jednego z mocarstw kolonialnych. W lutym 1904 roku Wilhelm powierzył dowództwo w wojnie z Hererami największemu autorytetowi militarnemu Niemiec, generałowi Alfredowi von Schlieffenowi. Dział jest on pamiętany przede wszystkim jako strateg, którego plany równoczesnego ataku na Francję i Rosję zostały zrealizowane w roku 1914, już po jego śmierci. Późną zimą 1904 roku generał odwrócił wzrok od problemu strategicznej pozycji Niemiec w Europie i skupił się na mało istotnym konflikcie kolonialnym na drugim końcu świata. Niezwłocznie wysłał tam największą armię kolonialną, jaką kiedykolwiek widziano w Niemczech.

Od połowy lutego parowce linii Woermanna regularnie kursowały do Swakopmundu, podówczas głównego portu Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej. W ładowniach wiozły najnowocześniejsze wytwory przemysłu zbrojeniowego – lekką, przenośną artylerię, karabiny samopowtarzalne i karabiny maszynowe maxim. W Hamburgu i Bremie setki odpływających żołnierzy machały wiwatującym na ich cześć tłumom. W większości byli to ochotnicy, ale znajdowali się wśród nich też doświadczeni żołnierze kolonialni, weterani powstania bokserów czy wojen z Hehe w Niemieckiej Afryce Wschodniej sprzed dziesięciu laty.

Wśród ochotników, wysłanych do Afryki Południowo-Zachodniej na pokładzie parowca „Lucie Woermann”, znajdował się Bawarczyk, starszy sierżant Franz Xaver Epp. Na fotografii widzimy Eppa w kolonialnym mundurze: wysoki, ze starannie przyszytymi wąsami, patrzący głęboko osadzonymi, uważnymi oczami. Miał wówczas 36 lat, był doświadczonym, zaprawionym w boju oficerem kolonialnym, zagorzałym zwolennikiem teorii rasowych oraz darwinizmu społecznego. Dzięki dziennikowi, który prowadził w czasie pobytu w Afryce Południowo-Zachodniej, wiemy, jak Epp postrzegał zbliżającą się wojnę z Hererami i co sądził na temat kolonialnej misji Niemiec. Nie jest to jedynie dziennik działań wojennych, na jego stronach znajdziemy wiele przemyśleń o rasie, przestrzeni i przeznaczeniu narodu niemieckiego. W drodze do Afryki Południowo-Zachodniej pisał: „Świat się dzieli (...). Z czasem w nieunikniony sposób będziemy potrzebować więcej przestrzeni, którą możemy zdobyć wyłącznie mieczem. To nasze pokolenie będzie musiało to osiągnąć. Zależy od tego nasza egzystencja”^[168].

Na pokładzie „Lucie Woermann” znajdował się jeszcze inny niemiecki oficer, który miał własną wizję niemieckiego przeznaczenia w Afryce. Kapitan Maximilian Bayer także zgłosił się na ochotnika do walki z Hererami i, tak jak Epp, wierzył w to, że przeznaczeniem Niemiec jest powiększenie swojej przestrzeni życiowej. Bayer uważał historię Stanów Zjednoczonych za wzór dla Niemiec, jak należy zmieniać swoje kolonialne pogranicze. Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia miała stać się niemieckim Dzikim Zachodem a miejscowi Afrykanie mieli podzielić los amerykańskich Indian. Uważając ten proces za boski zamysł, Bayer pisał:

Prawa natury, stworzone przez naszego Pana, są takie, że tylko silny ma prawo trwać na tym świecie, a słabi i bezsilni przepadną na korzyść silnych. Zjawisko to objawia się na rozmaite sposoby – przykładem mogą być w końcu amerykańscy Indianie, ponieważ ich egzystencja nie służyła dalszemu rozwojowi świata, który dąży do cywilizacyjnego awansu. W ten sam sposób nadejdzie chwila, w której przepadną Hotentoci [Nama], [nie będzie to] żadna strata dla ludzkości, ponieważ są w końcu wyłącznie złodziejami i bandytami, nikim więcej^[169].

1 marca w Afryce Południowo-Zachodniej wylądowały dwa tysiące niemieckich żołnierzy. W otwartych wagonach przewieziono ich przez pustynię Namib koleją wąskotorową, po czym przygotowano do działania. Wtedy właśnie, kiedy nowo przybyli zaczęli spotykać *Alle Afrikaners*, „starych Afrykanerów” – żołnierzy i osadników, którzy od lat mieszkali w kolonii – ich pewność siebie zaczęły podłamywać doniesienia o waleczności Hererów. Oczekując w Swakopmundzie na transport, Epp oburzył się, kiedy dowiedział się, że ludzie Samuela Maharero są uzbrojeni w karabiny Mauser, takie same jak te, które mają jego ludzie. „Czarne świny też wiedzą, jak ich

używać” zapisał w dzienniku^[170].

Epp, Bayer i inni niemieccy oficerowie uważali wojnę za rodzaj rasowej krucjaty, ale ich dowódca, gubernator Leutwein, miał inny pogląd na to, jak należy uporać się z powstaniem. Powrót z południa, gdzie pacyfikował klan Bondelswartsów Nama, zabrał Leutweinowi ponad miesiąc. Podróżował morzem, dopływając do Swakopmundu 11 lutego, a do Okahandja docierając dopiero tydzień później. Zapewne dopiero wtedy zdał sobie sprawę z całej złożoności sytuacji. Pacyfikacja Bondelswartsów była tylko jednym z kroków na drodze powolnej, niemieckiej ekspansji, podczas gdy powstanie Hererów mogło przerodzić się w wojnę kolonialną na ogromną skalę.

Od chwili wybuchu walk siły Samuela Maharero wzrosły do około czterech tysięcy wojowników. Po początkowej ofensywie i rozlewie krwi Hererowie nie wykorzystali swojej przewagi, nie próbowali też atakować rozmaitych fortyfikacji, w których schroniła się niemiecka ludność. Zamiast tego wycofali się do Okanjira, położonego o dwa dni drogi od Okahandja rejonu niskich gór, przeoranego bardzo trudno dostępnymi wąwozami. Wojna „strzelana” *de facto* dobiegła końca, toteż Leutwein instynktownie chciał rozpocząć negocjacje z Samuelem Maharero, którego znał już od dziesięciu lat. Na początku kwietnia cesarz Wilhelm, działając poprzez Sztab Generalny, zabronił jednak jakichkolwiek pertraktacji z Hererami i wydał rozkaz „bezlitosnego stłumienia” powstania. Von Schlieffen nakazał Leutweinowi pomaszerować na Hererów i zadać im ostateczny cios.

Publicznie Leutwein nie sprzeciwił się ani nie skrytykował tych rozkazów, ale prywatnie uważał strategię von Schlieffena za zgubną. Razem z dwoma tysiącami przysłanych z Europy żołnierzy, Leutwein miał pod bronią ledwie powyżej trzech tysięcy ludzi. Dysponując taką siłą, miał zmierzyć się z czterema tysiącami Hererów, zarazem utrzymując porządek w całej kolonii.

Niebawem jest to, że nawet po dwóch dekadach kontaktu z ludami Afryki Południowo-Zachodniej elity wojskowe z Berlina żywiły przekonanie, że małe i niedoświadczone oddziały z łatwością pokonają znacznie większą armię Hererów. Generalów nie zrażały również ogromne problemy logistyczne z transportem oddziałów na pustynię Afryki Południowo-Zachodniej. Nie przejmowali się też tym, że Hererowie znali te tereny doskonale, a Niemcy nie dysponowali nawet zwykłymi mapami. Tę nadmierną pewność siebie można tłumaczyć ogromną wiarą w artylerię i karabiny maxim, a także gotowością do lekceważenia umiejętności taktycznych i wojskowych przeciwników, wynikającą z głębokiego poczucia wyższości rasowej.

Płynące z Berlina pragnienie zemsty niepokoiło Leutweina. Już w lutym 1904 roku zaczął podejrzewać, że kajzer i niektórzy jego doradcy ze Sztabu Generalnego chcą nie tylko pokonać Hererów, ale też dokonać ich eksterminacji. W liście do Departamentu Kolonii otwarcie odradzał wojnę na wyniszczenie, choć nie z powodów humanitarnych, a pragmatycznych: „Nie zgadzam się z tymi fanatykami, którzy chcą całkowicie zniszczyć Hererów. Poza tym, że nie tak łatwo unicestwić

60 czy 70 tysięcy ludzi, uważam to za błąd z gospodarczego punktu widzenia”^[171].

7 kwietnia 1904 roku, niechętnie wypełniając rozkazy von Schlieffena, Theodor Leutwein wyruszył z Okahandja na czele ośmiuset ludzi. Reszta garnizonu została rozproszona po całej kolonii, chroniąc niemieckich osadników i patrolując zamieszkałe przez Nama południe kolonii. Razem z Schutztruppe Leutweina ruszyła setka afrykańskich zwiadowców, z czego połowa z klanu Witbooiów, zobowiązanych do walki u boku Niemców na mocy traktatu zawartego między Leutweinem i Hendrikiem Witbooiem w 1894 roku.

W obozie Hererów w Okanjira, położonym w pobliżu tamtejszego wodopoju, u boku najwyższego wodza stało się 30 tysięcy Hererów wraz z ogromną liczbą bydła (szacunki wahają się od 20 do 40 tysięcy sztuk). Chroniły ich cztery tysiące wojowników, z których dwa i pół tysiąca było uzbrojonych w nowoczesne karabiny, a reszta w tradycyjną broń, pałki i noże. Okanjira zapewniało panowanie nad okolicznym buszem, a Hererowie dodatkowo ufortyfikowali swój obóz, kopiąc wzdłuż skarpy system rowów. 9 kwietnia pojawienie się ogromnych tumanów pyłu zasygnalizowało nadejście oddziałów Leutweina.

Ostrożnie poruszając się wąskimi dolinami, zwiadowcy Witbooiów zlokalizowali obóz Hererów, dając Leutweinowi wystarczająco dużo czasu, by ustawił artylerię na właściwych pozycjach. Pierwsze bombardowanie, które wkrótce nastąpiło, nie zламаło ducha ukrytych w okopach hererskich wojowników. Nie spanikowali i wstrzymali ogień, aż Niemcy podejść wystarczająco blisko, żeby mogli zadać im największe straty. Bitwa przybrała jednak inny obrót, kiedy pociski z niemieckich moździerzy i granaty zaczęły przelatywać ponad okopami i trafiać w obozujące na skraju Okanjira kobiety i dzieci.

Samuel Maharero, wstrząśnięty siłą rażenia niemieckich karabinów i morderczą mocą nowych granatów pikrynowych, zarządził ewakuację. Kiedy ludzie Leutweina dotarli wreszcie do obozowiska Hererów, zastali tylko tysiące opuszczonych chat oraz – jak określił to jeden z podległych Leutweinowi oficerów, Emil Malzahn – „rozrzucone szczątki Hererów, rozerwanych przez nasze granaty”^[172].

Choć ostatecznie zmusili Afrykanów do odwrotu, przed klęską uchroniła Niemców wyłącznie większa siła ognia. Brytyjski korespondent, który był świadkiem bitwy, pisał do „South African Review” i „Daily News”: „Hererowie (...) są lepiej uzbrojeni, odważniej atakują, a przede wszystkim stosują znacznie mądrzejszą strategię, niż się spodziewano”.

Cztery dni później wyczerpani ludzie Leutweina podążyli za Hererami do Oviumbo, 20 kilometrów na północ od Okanjira, i wpadli w zasadzkę. Ukryci na wzgórzach otaczających dolinę rzeki, tubylcy otworzyli ogień do znajdujących się w dole Niemców. Kiedy Niemcy oznaczali swoje pozycje czerwonymi flagami, żeby ich jednostki nie strzelały do siebie, Hererowie wzbudzili wielki zamęt, wywieszając własne flagi. Żołnierze Leutweina byli ostrzeliwani z kilku stron przez kolejnych

dziesięć godzin. Nie mogąc rozróżnić własnych żołnierzy od wroga, zużywszy trzy czwarte zapasów amunicji, byli w beznadziejnej sytuacji. Uratował ich dopiero zmierzch. Wieczorem wielu najstarszych i najbardziej doświadczonych oficerów Leutweina poprosiło go, by zarządził odwrót. Przekonany, że jeśli następnego dnia pozwoli kontynuować bitwę, ostatecznie ulegnie wrogowi, gubernator nakazał nocny marsz do Okahandja.

Kiedy wieści o szczegółach porażki w Oviumbo dotarły do Berlina, rozlała się fala krytyki. W większości skupiła się na gubernatorze, który – jak twierdzono – zhańbił Niemcy, wycofując się przed rasowo niższymi Afrykanami. Leutwein musiał się bronić w telegramie do Sztabu Generalnego. Zwrócił uwagę na to, że „nakazując nocny wymarsz z Oviumbo, uratowałem oddział od klęski”^[173].

Okanjira i Oviumbo udowodniły, że zwykli poborowi, wyciągnięci ze slumsów uprzemysłowionych miast, nie radzą sobie z ludźmi, którzy całe życie spędzili w siodle i z karabinem w rękę. Co gorsza, Niemcy musieli walczyć na terenie, w którym nie mogli się zorientować i gdzie trudno było utrzymać ciągłość zaopatrzenia. Hererowie byli znakomitymi strzelcami i – tak jak Burowie – mistrzami kamuflażu. Nie potrafiąc jednak tego przyznać, kajzer i najwyższe dowództwo woleli zrzucić całą winę na jedyne go człowieka, którego znajomość kolonii mogła zakończyć wojnę szybko i niewielkim kosztem. 9 maja, po krótkich konsultacjach z von Schlieffenem i szefem gabinetu wojskowego (Militärkabinett), generałem Dietrichem von Hülsen-Haeselerem, cesarz Wilhelm zwolnił gubernatora Theodora Leutweina z obowiązków wojskowych.



Człowiekiem, który miał zastąpić Leutweina w Afryce Południowo-Zachodniej, był generał Adrian Dietrich Lothar von Trotha, mający dziesięcioletnie doświadczenie w niemieckiej armii kolonialnej. W latach 1894–1897 von Trotha pełnił funkcję dowódcy w Niemieckiej Afryce Wschodniej, gdzie zdobył reputację bezwzględnego oficera. W czasie powstania ludu Hehe bez zmużenia oka wydawał rozkazy masowych egzekucji jeńców wojennych. Palił całe wioski, czasami razem z ich mieszkańcami. Sposób, w jaki von Trotha traktował tubylców, był tak brutalny, że wzbudził nawet protesty Hermanna Wissmanna, gubernatora Niemieckiej Afryki Wschodniej. W latach 80. XIX wieku Wissmann służył w Kongu Leopolda II u boku Curta von François i również znany był jako człowiek okrutny i brutalny. Kiedy jednak dowiedział się o tym, że von Trotha został skierowany do Afryki Południowo-Zachodniej, ostrzegł Departament Kolonii, że jest on „złym przywódcą (...) i złym towarzyszem”^[174].

Zanim w 1897 roku opuścił Niemiecką Afrykę Wschodnią, von Trotha był przekonany, że rebelie, które pomógł zdławić, były tylko wstępem do wielkiej wojny rasowej, którą Niemcy i cała

biała rasa będą musiały stoczyć z „niższymi rasami”. Trzy lata później von Trotha stanął na czele Pierwszej Wschodnioazjatyckiej Brygady Piechoty. W strasliwym okresie po powstaniu bokserów dowodził karnymi ekspedycjami przeciwko chińskim wioskom. W roku 1904 von Trotha uważano zatem za specjalistę od spraw kolonialnych. Był faworytem armii i samego cesarza, który poinstruował go, by „zakończył wojnę dozwolonymi albo niedozwolonymi metodami” i dodał: „Powierzam panu to dowództwo, w pełni ufając pańskiej intuicji, energii i doświadczeniu”^[175]. Wilhelm Lorang, żołnierz, który służył pod von Trothą w Afryce Południowo-Zachodniej, określił go jako „ludzkiego rekina” i „najbardziej krwiożercze zwierzę w jego [cesarza Wilhelma] arsenale wojennym”^[176].

Objmując nowe dowództwo, generał von Trotha ani przez chwilę nie miał wątpliwości, jak należy traktować Hererów, którzy sprzeciwili się woli swoich panów. W 1904 roku pisał:

Znam się wystarczająco na plemionach Afryki. Wszystkie one mają tę samą mentalność i wszystkie liczą się tylko z siłą. Było i jest moją polityką stosowanie siły – absolutny terror, a nawet okrucieństwo. Zniszczę zbuntowane plemiona, przelewając rzeki krwi i pieniędzy. Dopiero wtedy będzie można zasiać ziarna czegoś nowego, co przetrwa^[177].

Von Trotha przyplął do Swakopmundu 11 czerwca. Na jego pustynno-brunatnym mundurze kolonialnym wisiły medale, w tym Żelazny Krzyż. Po przybyciu do Windhuku spotkał się z gubernatorem i natychmiast doszło między nimi do starcia. Leutwein domagał się zapewnienia, że Hererowie nie zostaną unicestwieni, i twierdził, że po ich pokonaniu, wciąż będzie można znaleźć dla nich miejsce w kolonii. Von Trotha odrzucił pomysły Leutweina, zarzucając mu, że nie podchodzi do wojny poważnie.

Aby upewnić się, że gubernator nie będzie wtrącał się do jego planów, von Trotha ogłosił wprowadzenie w kolonii stanu wojennego, co czyniło go równocześnie najwyższym dowódcą wojskowym i cywilnym. W ten sposób w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej została *de facto* wprowadzona dyktatura wojskowa, trwająca do listopada roku 1905.

Nominacja von Trothy uprościła także strukturę dowodzenia w kolonii. Choć Leutwein był żołnierzem, jako gubernator odpowiadał przed Departamentem Kolonii i władzą cywilną. Generał von Trotha podlegał wyłącznie Sztabowi Generalnemu i cesarzowi – w jego hierarchii nie było miejsca na Reichstag i cywilną kontrolę. Ta katastrofalna dwoistość struktur dowodzenia, którą Cesarstwo Niemieckie odziedziczyło po Prusach sprzed zjednoczenia, pozwalała von Trocie omijać Leutweina i Departament Kolonii, a także bardzo utrudniła kontrolowanie go kanclerzowi Bernhardowi von Bülowowi.

Posiłki w ludziach i w sprzeczcie przybywały niemal co tydzień, toteż von Trotha zabrał się do planowania kampanii przeciwko Hererom, ludowi, który w dzienniku nazywa *Untermenschen*, podludźmi^[178]. Od czasu bitwy pod Oviumbo, stoczonej dwa miesiące wcześniej, właściwie nie dochodziło do walk. Szacuje się, że populacja Hererów wynosiła od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu tysięcy, z czego nawet pięćdziesiąt tysięcy zgromadziło się wokół Samuela Maharero. Ta wielka rzesza ludzi – z dziesiątkami tysiącami sztuk bydła – pomaszerowała na północ i w północno-centralnej części Hererolandu założyła obóz u stóp wielkiego płaskowyżu, po holendersku znanego jako Waterberg, Wodna Góra.

Waterberg było miejscem, które miało wielkie znaczenie w kulturze Hererów, ludu, którego zwyczaje i religia nierozzerwalnie łączyły się z naturą. Zbocza płaskowyżu porastał las starych, niekiedy nawet wielowiekowych figowców. Mit Hererów o stworzeniu świata mówił, że ich przodkowie zesłali z niebios po konarach tych wielkich drzew. Ich wodzowie od wielu pokoleń zbierali się i obradowali w cieniu ich szerokich liści. Równie istotne znaczenie miała sama góra, która była wówczas ostatnim źródłem podziemnych wód w Afryce Południowo-Zachodniej, dopóki rosnące na pustyni akacje nie ustąpiły przed pustkowiem Kalahari, nazywanej przez Hererów Omaheke. Waterberg, pełne wodopojów i głębokich złóż wód artezyjskich, miejscowi nazywali Otjozondjupa, od gurd tykwy^[179], w których trzymali kwaśne mleko, symbol bogactwa.

W cieniu dwustumetrowego klifu z czerwonego piaskowca, między drzewami swoich przodków, Hererowie wzniesli *pontoki*, tradycyjne chaty z gałęzi, koców i krowich skór, tworząc miasto rozciągające się aż na 50 kilometrów. Każdą tworzącą go wioskę zamieszkiwał jeden klan – była to jednak nędzna imitacja ich rodzinnych osad. Wielkie obozowisko u stóp Waterbergu było niczym innym, jak całym, ścieśnionym ludem Herero; wielkie odległości między wioskami zniknęły, a w obliczu ciężkiego losu – i wspólnego, zewnętrznego wroga – wzmocniły się więzi braterstwa łączące wszystkich Hererów.

Samuel Maharero zamieszkał w pobliżu źródła Ohamakari, na południowym skraju miasta *pontoków*. Tam, albo pod figowcami na zboczach Waterbergu, razem z pozostałymi wodzami debatował nad tym, jaką strategię przyjąć. Według niemieckiego wywiadu, wodzowie Hererów podzielili się na trzy frakcje. Pierwsza opowiadała się za negocjowaniem z Niemcami. Druga chciała rozwiązać wszystko na polu bitwy. Trzecia, której przewodził sam Maharero, uważała, że Hererowie powinni opuścić południowo-wschodnią Afrykę i szukać schronienia w kontrolowanej przez Brytyjczyków Beczuanie – dzisiejszej Botswanie. Aby tam dotrzeć, musieliby przemierzyć pustynię Omaheke. To byłoby jednak możliwe dopiero po letnich, grudniowych deszczach – a i wtedy z największą trudnością^[180].

W czerwcu 1904 roku, w kwaterze głównej w Windhuku, generał von Trotha także rozważał możliwości, jakie mieli Hererowie. Gdyby uciekli na terytorium brytyjskie, ich ziemie zostałyby

opuszczone, a pastwiska, których Niemcy osadnicy pożądali od tak dawna, należałyby wreszcie do nich. Ucieczka Hererów zakończyłaby także powstanie i niepotrzebna byłaby ogromnie kosztowna i militarnie ryzykowna ekspedycja, którą przeciwko nim przygotowywał. Taki exodus uniemożliwiłby jednak zarazem wymierzenie sprawiedliwości „zbuntowanym plemionom” w imieniu Niemiec i cesarza. Von Trotha wybrał zatem strategię mającą całkowicie zniszczyć Hererów – uderzenie na nich, zanim zdążą schronić się po drugiej stronie pustyni.

Przyjmując strategię koncentrycznego rozmieszczenia wojsk, rozwiniętą przez największego niemieckiego taktyka, Helmuta von Moltkego starszego, von Trotha postanowił – jak sam pisał – „otoczyć Hererów wokół Waterbergu i unicestwić ich decydującym ciosem”^[181]. Na początku lipca zebrał liczącą sześć tysięcy ludzi armię – największą, jaką dotąd widziała kolonia. Tak naprawdę liczba żołnierzy znajdujących się pod wodzą von Trothy w sierpniu 1904 roku przewyższała liczbę osadników, których w teorii mieli bronić.

Von Trotha miał do dyspozycji mnóstwo ludzi i sprzętu dzięki specjalnym pożyczkom, zaciągniętym przez Departament Kolonii na prowadzenie wojny, w wysokości 585 milionów marek. Sama kolonia – wciąż uboga – wyłożyła na własną obronę zaledwie 110 milionów^[182]. Wysilek, tak gospodarczy, jak i militarny, który byli gotowi podjąć Niemcy, był nieproporcjonalny w stosunku do Hererów, którzy już kilka miesięcy wcześniej przestali atakować niemieckich osadników.

Na początku sierpnia, kiedy jego żołnierze zaczęli gromadzić się wokół Waterbergu, generał von Trotha wydał rozkaz zakazujący Niemcom alarmowania albo prowokowania Hererów, którzy i tak doskonale wiedzieli o ich zbliżaniu się. Generał mógł rozważyć unicestwienie pięćdziesięciu tysięcy ludzi tylko dlatego, że skoncentrowali się na terenie długości 50 i szerokości 30 kilometrów. Gdyby Hererowie się rozproszyli, nie tylko z łatwością wymknęliby się z pułapki, ale też Niemcy zostaliby wciągnięci w przedłużającą się, toczoną na ogromnym terenie i zapewne niemożliwą do wygrania wojnę. Jeden z żołnierzy tak pisał do swoich rodziców: „Leżymy tu już od pewnego czasu. Będziemy tu, dopóki nie zamknie się zastawiona pułapka – jeśli Hererowie zrobią nam tę uprzejmość i nie uciekną”.

Mimo wyraźnych rozkazów von Trothy doszło do paru potyczek. Zaledwie kilka dni przed głównym atakiem bratanek generała, porucznik Thilo von Trotha, wdał się w walki, które zakończyły się zabiciem siedemdziesięciu Hererów. Młodszy von Trotha otrzymał reprimendę od stryja, który ostrzegł go, że zbyt pośpiesznych działań „należy unikać, jeśli ma zostać osiągnięty ostateczny cel, to znaczy unicestwienie ich wszystkich”.

Hererowie bez walki pozwolili Niemcom otoczyć się pod Waterbergiem. Kiedy Niemcy byli najslabsi, Samuel Maharero nie wyprowadził żadnego wyprzedzającego natarcia. Nie próbował także przełamać okrążenia. Jak się wydaje, odrzucił pomysł ucieczki przez Omaheke w sierpniu, kiedy panowała susza, także dlatego, że dzieci i starcy prawie na pewno nie przeżyliby takiej

wędrówki, podobnie jak większość należącego do Hererów bydła. Co więcej, musieli też zajmować się swoimi pobratymcami – oraz kobietami i dziećmi – którzy zostali ranni w bitwie pod Okanjira.

Brak działania Samuela Maharero wynikał najprawdopodobniej z jego wiary w to, że w każdym momencie może usiąść z Niemcami do stołu negocjacyjnego, a wtedy wojna dobiegnie końca. Od chwili kiedy przybyli do Waterbergu, Hererowie oczekiwali na negocjacje i kilkakrotnie zwracali się w tej sprawie do Niemców. Podczas gdy von Trotha unikał starć, żeby utrzymać Hererów w jednym miejscu, Samuel Maharero nie atakował Niemców, żeby ułatwić rozmowy pokojowe. Pozwolił nawet niemieckiej jednostce dokonać inspekcji miejscowej misji oraz posterunku policji, które zostały złupione na początku konfliktu i znajdowały się głęboko za linią obrony Afrykanów.

Z punktu widzenia Hererów, ich zwycięstwo pod Oviumbo cztery miesiące wcześniej było wyraźnym zademonstrowaniem woli walki o swoją ziemię i sposób życia. Nie tylko pokonali nowocześnie uzbrojonych Niemców, ale też zadali im poważne straty. Zgodnie ze wszystkimi zwyczajami prowadzenia wojny, uznawanymi przez ludy Afryki Południowo-Zachodniej, następnym logicznym krokiem powinno być rozpoczęcie negocjacji w celu uniknięcia dalszego przelewu krwi.

Samuel Maharero nie mógł pojąć, że w umysłach kajzera i wojskowych elit Berlina prowadzona przez niego wojna z Niemcami przestała być zwykłą wojną kolonialną, taką, jakie znane były dotychczas. Kiedy dowódcą ekspedycji mianowano generała von Trothę, stało się jasne, że niemiecką opinię publiczną, od miesięcy karmioną kolonialną propagandą, zadowoli jedynie przytłaczające i bezdyskusyjne zwycięstwo wojskowe.

W swych wspomnieniach generał nie pisze zbyt wiele o podejmowanych przez Hererów próbach negocjowania. Oficjalna historia tej kampanii, napisana przez historyków niemieckiej armii, również unika tego tematu. Niemiecka dokumentacja pokazuje jednak, że niektórzy z ważnych wodzów Hererów, w tym wpływowi Salatiel Kambazemi, próbowali zacząć rozmowy pokojowe już pod koniec lipca. Wówczas major Ludwig von Estorff, jeden z najbardziej doświadczonych i szanowanych oficerów Schutztruppe, stanowczo zachęcał von Trothę do rozpoczęcia negocjacji, ale ten odmówił. O frakcji pokojowej Hererów napisał w swoim dzienniku z pogardą: „walczyli razem, złapani razem, powieszani razem”^[183].



4 sierpnia 1904 roku generał von Trotha wydał „Dyrektywę w sprawie ataku na Hererów”. Niemieckie siły miały się podzielić na sześć oddziałów. Każdy z nich miał atakować z innej strony i w ten sposób otoczyć obóz Hererów. Zważywszy na wielkość pola bitwy, okrążenie nie byłoby jednak szczelne. Wrogiem, z którym walczyli Niemcy, byli jednak w większość cywile – kobiety, dzieci, starcy, do tego spowalniani przez swoje bydło. Otoczeni Hererowie mieli zostać ostrzelani pociskami artylerii i granatami. Jeśli ich wojownicy, których mimo wszystko było więcej niż

Niemców, próbowaliby przełamać okrążenie, mieli zostać zmuszeni do odwrotu ogniem karabinów maszynowych maxim, zdolnych wystrzeliwać trzysta nabojuów na minutę. Bitwę koordynowaliby zwiadowcy, rozmieszczeni na stromych klifach Waterbergu. Stamtąd mieli śledzić ruchy Hererów i za pomocą heliografów^[184] informować o ich pozycji swoich towarzyszy.

W godzinach porannych 10 sierpnia 1904 roku, siedem miesięcy (bez dwóch dni) od kiedy Hererowie podnieśli bunt w Okahandja, von Trotha wyszedł ze swojego namiotu na ostatnią rozmowę z najwyższymi rangą oficerami. Zebrał się wokół wielkiej mapy Waterbergu, na której wyrysowali plan bitwy. Po odprawie wszyscy razem ustawili się do fotografii. Następnego ranka, punktualnie o szóstej, niemieckie działa ożyły. Kiedy spadły na nich pociski i granaty, większość Hererów jeszcze spała w swoich chatkach. Szrapnele rozrywały ludzi, a *pointoki* stanęły w płomieniach. Niemcy, prowadzeni przez zwiadowców Nama, podkradli się bliżej, żeby zacisnąć pętlę. Kiedy Hererowie wyprowadzili kontratak, trafili pod ogień dwunastu maximów, umieszczonych strategicznie wokół obozowiska. Przez cały dzień kolejne fale tubylczych wojowników próbowały przełamać okrążenie. Ci, którzy mieli karabiny, tworzyli linię ataku, a kiedy padali, następni podnosili ich karabiny i podejmowali natarcie. Za mężczyznami kobiety zbierały zabitych i najlepiej jak mogły opiekowały się rannymi^[185].

Około trzeciej po południu, po dziewięciu godzinach ciągłego boju, Hererom udało się wreszcie zrobić wyłom w niemieckim okrążeniu. Przełom nastąpił, kiedy ludzie Maharero zdobyli jedną z niemieckich pozycji na południowo-wschodniej stronie oblężenia. Tak ówczesni, jak i dzisiejsi historycy zastanawiają się, czy von Trotha celowo osłabił to miejsce, mając nadzieję, że jeśli Hererowie się przebiją, będą zmuszeni uciekać na pustynię Omaheke.

Niemiecki oddział odpowiedzialny za południowo-wschodni odcinek oblężenia, dowodzony przez majora von der Heydego, był stosunkowo niewielki w porównaniu z pozostałymi pięcioma jednostkami – generał von Trotha doskonale o tym wiedział, gdyż zwrócono mu na to uwagę przed bitwą. W swoich wspomnieniach, wydanych pośmiertnie w 1931 roku, kanclerz Bernhard von Bülow pisał, że bez wątplenia była to zaplanowana strategia. Stwierdził: „Aby szybciej pozbyć się Hererów, [von Trotha] zaproponował, żeby zapędzić ich, razem z kobietami i dziećmi, na pozbawioną wody pustynię”. Paul Leutwein, syn gubernatora, twierdził, że jego ojciec „przewidział, że Hererowie złamią okrążenie i uciekną na Sandveld albo przez granicę. Zdawał sobie sprawę z tego, że w obu przypadkach cały naród będzie zgubiony”^[186]. Zapewne ten aspekt planu von Trothy – jeśli rzeczywiście było to zaplanowane – był zarazem milczącym przyznaniem, że pomimo tych wszystkich wojsk i całego posiadanego przezeń uzbrojenia, nie byłby w stanie unicestwić pięćdziesięciu tysięcy ludzi jednym, „decydującym ciosem”.

Kiedy zapadła noc 11 sierpnia, dziesiątki tysięcy Hererów ruszyły przez wyłom w niemieckim okrążeniu, kierując się w stronę Omaheke. Generał von Trotha, stacjonujący zaledwie 16

kilometrów dalej, nie wiedział dokładnie, co się dzieje – doniesienia były mętne, a czasami nawet sprzeczne. Dopiero 12 sierpnia nad ranem wydarzenia dnia poprzedniego stały się jasne, ale wówczas większość Hererów zdołała już uciec na pustynię.

Ku swojemu rozczarowaniu generał nie mógł natychmiast ruszyć w pościg, gdyż jego ludzie byli wyczerpani – konie także. Dopiero 13 sierpnia, w ślad za Hererami, na pustynię podążyła niewielka część niemieckich wojsk. Kapitan Maximilian Bayer tak opisuje scenę, jakiej był świadkiem bezpośrednio po bitwie:

Droga, którą uciekł wróg, była zupełnie stratowana na szerokości nawet stu metrów. Tędy w pośpiechu uciekał cały naród, razem z wozami i tysiącami krów, kobiety i dzieci, starcy i wojownicy. Wszędzie widać było ślady desperackiego, panicznego pośpiechu Hererów, którzy chcieli jedynie ocalić życie (...). Na drodze leżały skóry, puste bukłaki, torby i cała masa śmieci, którą uciekający ludzie porzucili, żeby móc biec szybciej^[187].

W ciągu zaledwie dwóch tygodni większości niemieckich oddziałów skończyły się zapasy wody i musiały zawrócić. Już wtedy pustynia zebrała swoje żniwo, dając się we znaki Hererom. Adolf Fischer, niemiecki szeregowiec, tak pisał o uciekających, których coraz głębiej i głębiej spychano na Omaheke:

Większość Hererów i ich bydła leży martwa w buszu, znacząc ślad tego ponurego przemarszu. Wszyscy z nas zdają sobie sprawę z tego, co tu nastąpiło. Na prawo i lewo widzimy gnijące, wzdęte trupy bydła. Sępy i szakale już dobrały się do ich wnętrza. Mają nieskończone zapasy mięsa, więcej niż byłyby w stanie zjeść. Ilekroć chcieliśmy zwilżyć nasze nabrzmiałe podniebienia, musieliśmy prowadzić konie za uzdy przez gnijące trupy zwierząt, żeby napiły się z odrażających, obrzydliwych kałuż. Kiedy zsiadaliśmy z koni, stopami dotykaliśmy ludzkich zwłok. Była wśród nich młoda kobieta z uwiędniętymi piersiami, jej nieruchoma twarz była pokryta muchami, a obok jej biodra leżał martwy płód. Była też stara kobieta, która musiała mieć problemy z chodzeniem. Osem albo dziesięć pierścieni z żelaznych paciorków – oznaka jej statusu i bogactwa – przeżarło jej ciało aż do kości (...). Był i chłopiec. Jeszcze żył. Z głupim uśmiechem swojego pustego umysłu gapił się w noc (...). Kto wziął udział w pościgu przez Sandvelt, ten stracił wiarę w sprawiedliwość na świecie^[188].

Dopiero po bitwie pod Waterbergiem ludobójczy zamiar planu von Trothy ujawnił się w pełni. Nie ma pewności, kiedy dokładnie, ale w pewnym momencie – zapewne tuż przed bitwą – generał wydał rozkaz, żeby nie brać jeńców. Choć nigdy nie pojawił się on na piśmie, major von Estorff, stanowczy krytyk posunięć von Trothy, zapisał w dzienniku, że rozkaz zakazujący brania jeńców

został wcielony w życie tuż po bitwie pod Waterbergiem. Major Stuhlman, który również brał w niej udział, także wspominał, że otrzymał takie polecenie. W dzienniku zapisał: „Tuż przed bitwą wprost nam powiedziano, że mamy zająć się eksterminacją całego plemienia, nikt nie ma zostać przy życiu”^[189].

Ze wspomnień zarówno niemieckich żołnierzy, jak i walczących u ich boku afrykańskich zwiadowców wiemy, że od początku pościgu Niemcy systematycznie zabijali mężczyzn, kobiety i dzieci, bez wyjątku. Jak zapewne von Trotha doskonale wiedział, ogromny wysiłek logistyczny, jakim byłby pościg za Hererami na pustkowie Omaheke, oznaczał, że jego jednostki nie będą w stanie złapać i zabić tylu Hererów, ilu by chciał. 16 sierpnia, a następnie 26 sierpnia, wydał swoim wojskom rozkaz odcięcia wodopojów i ustanowienia wzdłuż granicy Omaheke patroli mających pilnować, by żaden Herero nie przedostał się na zachód, na teren kolonii, gdzie mógłby znaleźć wodę i pożywienie.

To właśnie odwodnienie było największym zabójcą. Ci Hererowie, którym udało się przeprowadzić bydło przez wyrwę w niemieckim okrążeniu, próbowali gasić pragnienie, pijąc krowią krew, zostawiając za sobą ślad w postaci wysuszonej padliny. Ci, którzy nie mieli bydła, kopali dziury w wysuszonych korytach okresowych rzek, czasem głębokie nawet na 10 metrów. Kiedy na dnie pojawiała się odrobina wody, wybuchał chaos. Chcąc ugasić pragnienie, ludzie tratowali się, a nawet ginęli, pogrzebani żywcem, gdy zapadały się ściany tych prowizorycznych studni. Katherine Zerua, jedna z osób, które przeżyły to, co później zostało nazwane „szlakiem łez”, opisała niemieckiemu misjonarzowi, czego doświadczyła:

Jak tysiące innych, uciekła na pustynię. Straciła kontakt z członkami swojej rodziny. Towarzyszyły jej troje osieroconych dzieci. Zaczęła się niedola. Nie było co jeść, jeszcze gorsze było pragnienie (...). Maszerowała głównie nocą. W dzień szukała schronienia w cieniu skał albo ciemnych krzewów. W trakcie wędrówki natrafiali na wiele zwłok. Pewnego dnia natknęli się na wzniesiony z krzaków szałas. Podbiegli do niego w nadziei, że znajdą coś do jedzenia dla dzieci, ale w środku byli tylko martwi i umierający ludzie. Trafili też na znajomego z Otjimbingwe. Powitała go i powiedziała: „Chodź, musimy iść dalej!”. On odpowiedział: „Dlaczego? Po co mam żyć, skoro straciłem wszystko, rodzinę, dobytek?”^[190].

W oficjalnej niemieckiej historii bitwy pod Waterbergiem strategia von Trothy opisana jest jako oszałamiający sukces:

Pośpieszna ucieczka Hererów na południowy wschód, na pozbawioną wody pustynię Omaheke, przypieczętowała ich los. Środowisko ich własnej ojczyzny miało ich wyniszczyć

tak, jak nie byłaby w stanie zrobić tego żadna niemiecka broń, nawet w czasie najbrutalniejszej bitwy (...). We wzniosłej ciszy wieczności rozbrzmiewały ich śmiertelne rżęzenie oraz pełen wściekłości krzyk szaleństwa. Wyrok na Hererach został wykonany i przestali oni istnieć jako niezależny naród^[191].

[152] Gerhardus Pool, *Samuel Maharero*, Windhoek 1991; Jan-Bart Gewald, *Herero Heroes: A Socio-political History of the Herero of Namibia, 1890–1923*, Oxford 1999; Horst Drechsler, *Let Us Die Fighting*, Berlin 1986; Isabel V. Hull, *Absolute Destruction: Military Culture and the Practices of War in Imperial Germany*, Ithaca, NY 2005; Jürgen Zimmerer, Joachim Zeller (red.), *Genocide in German South-West Africa: the Colonial War of 1904–1908 and Its Aftermath*, Monmouth 2008; Casper W. Erichsen, *What the Elders Used to Say*, Windhoek 2008.

[153] Gewald, op. cit., s. 188–189.

[154] Ibidem, s. 193.

[155] Ibidem, s. 185–186.

[156] NAN, Accession 71, Ludwig Conradt, *Erinnerungen aus zwanzigjährigem Händler- und Farmerleben in Deutsch-Südwestafrika*, s. 250.

[157] Andrew Zimmerman, *Adventures in the Skin Trade*, w: H. Glenn Penny, Matti Bunzl (red.), *Worldly Provincialism: German Anthropology in the Age of Empire*, Ann Arbor, MI 2003, s. 175.

[158] Ta podana oficjalnie liczba wypisana jest na niemieckim pomniku wciąż stojącym w stolicy Namibii, Windhuku.

[159] Pool, op. cit., s. 211.

[160] Basterowie (od holenderskiego słowa na określenie bękartów) są podobni do południowoafrykańskich koloredów, ludności powstałej z wymieszania rdzennych ludów Afryki, Burów i azjatyckich imigrantów. W 1868 roku przybyli do Afryki Południowo-Zachodniej z Kolonii Przylądkowej. W czasie wojny stanęli po stronie Niemców (przyp. tłum.).

[161] Conrad Rust, *Krieg und Frieden im Hereroland*, Berlin 1905, s. 190–195.

[162] „Cape Times”, 23 kwietnia 1904.

[163] Jeden z nielicznych głosów rozsądku pochodził od misjonarza Irlego, który pisał do wpływowej gazety „Der Reichsbote”: „Niektóre gazety donoszą, jakoby Hererowie popełnili straszliwe okrucieństwa, zmasakrowali całe wioski i wykastrowali wielu mężczyzn. Jeśli chodzi o te ostatnie oskarżenia, to zrobili to tym białym, którzy w okrutny sposób zgwałcili ich kobiety.

W kwestii [białych] kobiet, które miały zostać rzekomo zarżnięte i wypatroszone, jest to czysty wymysł. Pani Pilet i jej siostra, pani Frauenstein, pani Kübel i jej dzieci w Oriambo, pani Lange i jej siostra w Klein Barmen, pani Bremen i jej piątka dzieci w Otjonjati (...) są żywe i zdrowe. Nie zginęły”. Cyt. za: Drechsler, op. cit., s. 146.

[164] Zob. Gesine Krüger, *Beasts & Victims*, w: Zimmerer, Zeller, op. cit.

[165] Drechsler, op. cit., s. 147.

[166] Czyli późniejszej Tanganice, a dzisiejszej Tanzanii. W roku 1891, w okolicznościach przypominających powstanie Hererów, bunt podniósł lud Hehe. Na czele niemieckich oddziałów Schutztruppe, wysłanych do stłumienia rebelii, stanął Emil von Zelewski, który przyjął brutalną taktykę spalonej ziemi, ale szybko zginął w potyczce z tubylcami. Był stryjem Ericha von dem Bacha-Zelewskiego, generała SS odpowiedzialnego za stłumienie powstania warszawskiego pół wieku później (przyp. tłum.).

[167] Ibidem, s. 147.

[168] Josef H. Krumbach, *Franz Ritter von Epp: Ein Leben für Deutschland*, Munich 1940, s. 185.

[169] Maximilian Bayer, *Der Krieg in Südwestafrika und seine Bedeutung für die Entwicklung der Kolonie*, Leipzig 1906.

[170] Andreas Eckl, *S'ist ein übles Land hier*, Cologne 2005, s. 220.

[171] BAB, Colonial Department,teczka 2133, s. 89–90.

[172] Pool, op. cit., s. 232–239; Hull, op. cit., s. 13–22; NAN, Accession 510, Tagebuch von Emil Malzahn 1901–1904 (Unteroffizier), s. 20–24.

[173] Drechsler, op. cit., s. 149.

[174] Hull, op. cit., s. 26–27.

[175] Drechsler, op. cit., s. 154.

[176] Günter Pape, *Lorang*, Göttingen 2003, s. 186.

[177] Horst Kühne, *Die Ausrottungsfeldzüge der „Kaiserlichen Schutztruppen in Afrika“ und die sozialdemokratischen Reichstagsfraktion*, „Militaergeschichte” 1979, 18, s. 211.

[178] Cyt. za: Hull, op. cit., s. 33.

[179] Nazwy polskie: tykwa pospolita, kalebasa, lagenaria (przyp. tłum.).

[180] NAN, Accession 453, Helene Gathman's Diary, niedziela, 17 lipca 1904, s. 69.

[181] Pool, op. cit., s. 251.

[182] Bley, op. cit., s. 156.

[183] Gewalt, op. cit., s. 205.

[184] Heliografy, lusterka sygnalizacyjne, które za pomocą promieni słonecznych przekazywały wiadomości kodem Morse'a, były standardowym wyposażeniem europejskich wojsk (przyp. tłum.).

[185] Eckl, op. cit.; NAN, Accession 510, Tagebuch von Emil Malzahn..., op. cit.; Pape, op. cit.; *Kriegsgeschichtlichen Abteilung I des Grossen Generalstabes. Die Kämpfe der deutschen Truppen in Südwestafrika*, Berlin 1907.

[186] Bernhard von Bülow, *Denkwürdigkeiten*, t. 2: *Von der Marokko-Krise bis zum Abschied*, Berlin 1930, s. 21; Drechsler, op. cit., s. 155.

[187] Bayer, op. cit., s. 161.

[188] Adolf Fischer, *Menschen und Tiere in Südwestafrika*, Berlin 1914.

[189] NAN, Accession 109, Major Stuhlman Diary.

[190] NAN, Accession 569, Memoirs of Pastor Elger, s. 38–40.

[191] *Kriegsgeschichtlichen Abteilung I...*, op. cit., s. 193, 218.

ROZDZIAŁ 9

„Śmierć z wyczerpania”

W październiku 1904, sześć tygodni po bitwie pod Waterbergiem, do ostatniego znanego wodopój w samym środku niekończących się przestrzeni Omaheke przybyli ludzie z 1. regimentu piechoty Schutztruppe, dowodzeni osobiście przez generała von Trotha. Jego ludzie byli na ostatnich nogach, ich konie niemal śmiertelnie wyczerpane, kończyły im się również zapasy. Bez wątplenia nie byli w stanie jechać głębiej w pustynię, która nawet nie była dobrze oznaczona na mapach.

Wodopój, przy którym zatrzymali się von Trotha i jego ludzie, znajdował się obok suchego koryta rzeki Eiseb. Hererowie nazywali to miejsce Osombo zo Windimbe. W 1904 roku było ono bezładne i odległe – nawet dziś słyszeli o nim tylko nieliczni Namibijczycy. Jest to jednak jedno z najważniejszych miejsc w historii Namibii, a także jedno z istotnych w powszechnej historii XX wieku^[192].

Tuż po wschodzie słońca 3 października 1904 roku^[193] Lothar von Trotha zarządził zbiórkę swoich ludzi. Kiedy stanęli na baczność, pojawił się w towarzystwie swoich najwyższych rangą oficerów: Paula von Lettow-Vorbecka, Franza Eppa i najprawdopodobniej Maximiliana Bayera. Zwróciwszy się do żołnierzy, generał odczytał na głos tekst proklamacji, którą przygotował poprzedniego dnia. Była napisana dziwnym językiem, który von Trotha, mający się za eksperta w kwestiach Afryki, uważał za odpowiedni do zastraszenia Hererów.

Ja, Wielki Generał wojsk niemieckich, wysyłam do Hererów ten oto list (...). Lud Herero musi opuścić tę ziemię. Jeśli tego nie zrobi, zmuszę go do tego za pomocą Groot Rohr [działa]. W obrębie niemieckich granic każdy Herero – z bronią lub bez, z bydłem lub bez – zostanie zastrzelony. Nie będę więcej przyjmował kobiet i dzieci, odeślę je z powrotem do ich ludzi albo każę zastrzelić. To są moje słowa do ludu Herero.

Podpisano: Wielki Generał potężnego Cesarza, von Trotha^[194].

Skończywszy, von Trotha skierował wzrok w stronę trzydziestu pięciu niedawno schwytanych Hererów, głównie starców, kobiet i dzieci. Na rozkaz generała wzięto spośród nich dwóch mężczyzn i zaciągnięto na wzniesiony naprędce szafot. Tam, jak opisywał to w swoim dzienniku kapitan Epp, stali się ofiarami „teatralnego wieszania”^[195].

Egzemplarze proklamacji von Trotha – przetłumaczonej na język *otjiherero* i napisanej na małych, złożonych kawałkach papieru – przywieszono do szyi pozostałych starców, kobiet i dzieci, których następnie przegnano na pustynię, strzelając im nad głowami. Rozkaz eksterminacji (*Vernichtungsbefehl*) – bo pod taką nazwą miała przejść do historii proklamacja z Osombo zo Windimbe – był wyraźnym i oficjalnym potwierdzeniem strategii przyjętej przez Niemców jeszcze przed bitwą pod Waterbergiem. Zrywał z pozorem, że celem tej wojny jest tylko stłumienie powstania. Prawdziwym celem tego konfliktu było pozbycie się z Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej całej grupy etnicznej Herero czy to poprzez eksterminację, czy wygnanie ich wszystkich z kolonii. Jedyne zachowane egzemplarze oryginalnego rozkazu eksterminacji znajduje się w Narodowych Archiwach Botswany. To wyjątkowy dokument: wyrażony wprost, pisemny zamiar dokonania ludobójstwa.

Dzień po wydaniu tego rozkazu von Trotha napisał do Sztabu Generalnego telegram, w którym wyjaśniał zwierzchnikom swoją nową strategię:

Ponieważ nie mogę – i nie chcę – układać się z tymi ludźmi bez wyraźnych rozkazów Jego Cesarskiej i Królewskiej Wysokości, bardzo ważne jest traktowanie wszystkich warstw tego narodu w ten sam surowy sposób (...). Moja głęboka wiedza o wielu środkowoafrykańskich plemionach, Bantu i innych, upewnia mnie, że do tych Murzynów przemawia tylko brutalna siła (...). Albo spotka ich zguba na Sandveld, albo spróbują przejść do Beczuany^[196].

W tym samym raporcie von Trotha potwierdził swój pogląd, że eksterminacja Hererów jest tylko jednym z etapów szerszej wojny rasowej w Afryce, której nie będzie można uniknąć: „To powstanie jest i będzie początkiem starcia rasowego, które już w 1897 roku przewidziałem w moich

raportach dla Kancelarii Rzeszy”^[197].

Z rozkazem eksterminacji wiązał się plan wojskowy, zakładający zaprzestanie pościgu w głąb Omaheke. Zezwolono na to tylko jednostce majora von Estorffa. Większość armii rozmieszczono na granicy między Omaheke i Waterbergiem, tworząc kordon pilnujący, by Hererowie nie wrócili do swojej byłej ojczyzny. Każdy człowiek schwytyany między pustynią a Hererolandem miał być zastrzelony na miejscu.

Von Trotha zdawał sobie sprawę z potencjalnej szkodliwości rozkazu eksterminacji dla „dobrej reputacji, jaką zdobyli niemieccy żołnierze”. W uzupełniającym rozkazie zastrzegał, że choć „nie ma wątpliwości, że w wyniku tego rozkazu nie będą brani żadni jeńcy płci męskiej”, jest równie pewien, że „nie przyczyni się on do okrutnego traktowania kobiet i dzieci. Z pewnością uciekną po dwóch salwach oddanych nad ich głowami”^[198]. Przepędzone z powrotem na pustynię, kobiety i dzieci miały albo uciec z kolonii, albo po prostu umrzeć z głodu i pragnienia.

Wszystkie jednostki, które nie były potrzebne na granicy Omaheke, zostały odesłane w głąb kolonii, żeby wykonać drugą część planu von Trothy. Ich zaopatrzenie uzupełniono i uformowano z nich *Aufklaerungspatrouillen*, patroli oczyszczające, których zadaniem było przemierzenie krainy Herero i „oczyszczenie całego terytorium z rozproszonych grup Hererów”.

Jak doskonale wiedział von Trotha, w granicach Hererolandu znajdowało się jeszcze kilka tysięcy Afrykanów. Dzielili się na dwie kategorie. Pierwsi byli uciekinierami z bitwy pod Waterbergiem, którym udało się uniknąć niemieckich patroli i przedostać się do swojej ojczyzny. Drudzy nigdy nie byli pod Waterbergiem i w wielu przypadkach nawet nie brali udziału w powstaniu. Choć w tej bitwie pod dowództwem najwyższego wodza Samuela Maharero zgromadziło się co najmniej 50 tysięcy Hererów, w osadach pozostało między 20 a 30 tysięcy ludzi. Wielu z nich zamieszkiwało odosobnione wioski w północnej i zachodniej części kolonii, daleko od rejonów osadnictwa białych. Wspólnoty te nie tylko nie brały udziału w powstaniu, ale też nierzadko w ogóle nie wiedziały, że trwa jakaś wojna. Większość roku 1904 spędziły tak jak dotychczas, zajmując się zwyczajnymi sprawami, starając się przeżyć i utrzymać przy życiu swoje stada. Na rozkaz von Trothy także i ci ludzie mieli być zabijani na miejscu^[199].

Byli łatwym celem dla niemieckich *Aufklaerungspatrouillen*. Wspomnienia dowódców ujawniają, że atakowano głównie zwykle wioski Hererów, a nie jakieś zbrojne oddziały. Świadczą o tym również niskie straty Niemców poniesione w boju (a nie wskutek chorób).

W dziennikach i raportach żołnierzy służących w patrolach oczyszczających jest tylko kilka dokładnych opisów, ale są również nierozważne zdania, które wyraźnie sugerują, że w latach 1904–1905 na ziemiach Hererów doszło do rzezi. Wilhelm Lorang, żołnierz w kompanii Eppa, tłumaczył później, że według niego rozkaz eksterminacji pozwalał Niemcom „strzelać, zabijać, wieszać. Wedle woli. Starych i młodych. Mężczyzn, kobiety, dzieci”. Według pastora Elgera, misjonarza

pracującego w zamieszkanym przez Hererów miasteczku Karibib, patrole kierowały się zasadą:

„Oczyścić, powiesić, zastrzelić, aż nikt nie zostanie”^[200].

Mamy również relacje Afrykanów pracujących dla Schutztruppe, które ujawniają znacznie więcej na temat działalności patroli oczyszczających. Pod koniec 1904 roku Hendrik Campbell z miasteczka Rehoboth, należącego do metyskiej rasy Baster, dowodził oddziałem swoich ludzi, którzy na mocy traktatu o ochronie byli zobowiązani do walki u boku Niemców. W ostatnich tygodniach 1904 roku Campbell i jego ludzie byli świadkami jednej z akcji patrolu oczyszczającego:

W Katjura stoczyliśmy walkę z Hererami i zmusiliśmy ich do odwrotu. Po skończonej walce natrafiliśmy na osiem albo dziewięć chorych kobiet Herero, które zostawiono. Niektóre były ślepe. Uciekający wojownicy zostawili im wodę i jedzenie. Niemieccy żołnierze spalili je żywcem w chacie, w której leżały. (...) Później, w Otjimbende schwytaliśmy 70 Hererów. Przekazałem ich porucznikom Volkmannowi i Zelowowi. Następnie wyruszyłem na patrol, a kiedy wróciłem dwa dni później, wszyscy Hererowie leżeli martwi w kraalu. Moi ludzie doniesli mi, że niemieccy żołnierze wszystkich zastrzelili albo zakłuli bagnietami^[201].

Patrole oczyszczające działały na terytorium 25 tysięcy kilometrów kwadratowych. Choć Niemcy określali je w całości mianem „Hererolandu”, zamieszkiwały go również ludy Damara, Owambo i San. Większość żołnierzy przebywała w kolonii dopiero od kilku miesięcy i nie potrafiła rozróżnić tych ludów. Wielu zabitych przez patrole oczyszczające na pewno nie było Hererami. Przebywając setki kilometrów od swoich dowódców, na granicy bezkresnej pustyni, mając rozkaz zabijania każdego napotkanego Herero – wycieńczeni żołnierze prawdopodobnie bez trudu interpretowali to jako rozkaz zabijania wszystkich Afrykanów.

Czasami patrole nie były w stanie dopaść przebywających na pustyni band Hererów i wysłały w busz samotnego posłańca w nadziei, że fałszywymi obietnicami zwabi ich w pułapkę. Słynny był przypadek, kiedy niemiecki patrol natknął się na grupę trzystu Hererów, którzy założyli obóz na zachodnim skraju Omaheke. 29 października Niemcy wysłali do nich gońca, który miał ich zapewnić, że jeśli zgłoszą się do wodopoju Ombakaha, położonego 32 kilometry na wschód, będą mogli się poddać i zachować życie^[202].

Następnego dnia przywódca grupy, Joel Kavezeri, oraz jego osiemdziesięciu ludzi wyruszyli do Ombakaha, żeby przyjąć niemiecką propozycję. Kiedy przybyli, poczęstowano ich tytoniem i – jako że było już południe – pozwolono im usiąść w cieniu drzewa. Wtedy rozpoczęły się negocjacje z miejscowym niemieckim dowódcą, porucznikiem von Beestenem, który nagle, w środku rozmowy, uciekł w bezpieczne miejsce, krzycząc do swoich ludzi, by otwarli ogień. Gerard Kamaheke, jeden

z nielicznych ocalałych, tak opisuje to, co się wydarzyło:

Siedziałem tak, czekając, kiedy nagle Niemcy zaczęli do nas strzelać. Byliśmy prawie otoczeni i moi ludzie próbowali uciekać. Staralem się przebić, ale dostałem w prawe ramię, padłem na ziemię i leżałem bez ruchu, udając martwego. Byłem zalany krwią. Kiedy zbliżyli się niemieccy żołnierze, zaczęli dobijać rannych bagnietami, a ponieważ się nie ruszałem, uznali mnie za martwego i zostawili w spokoju. Zabito wodzów Saula, Joela oraz innych. W nocy wstałem i uciekłem do naszego obozu, gdzie zastałem kobiety i dzieci, bezpieczne, a także kilku ocalałych z mojej grupy. Razem uciekliśmy w stronę Sandveld, gdzie rozproszyliśmy się w różne strony^[203].

W oficjalnej niemieckiej historii południowozachodnioafrykańskiej kampanii wydarzenia w Ombakaha określone są mianem bitwy, choć w ich trakcie żaden Niemiec nie zginął, ani nawet nie został ranny. Porucznik von Beesten w swoim raporcie odnotował, że „wszyscy wojownicy wroga zostali zastrzeleni z odległości od 10 do 300 metrów” – najlepszego zasięgu karabinów maxim^[204].

Ombakaha nie było odizolowanym przypadkiem. W całej kolonii Hererów oszukiwano, zapewniając, że mogą bezpiecznie wrócić z buszu, a następnie zabijano. Masakry te skłoniły ich do przeniesienia się jeszcze bardziej w głąb lądu albo nawet na pustynię Omaheke.

Mimo całej tej brutalności, już w listopadzie 1904 roku było jasne, że na podstawie rozkazu o eksterminacji nie uda się oczyścić Afryki Południowo-Zachodniej ze wszystkich Hererów. Co więcej, operacje na wielką skalę, nawet te prowadzone na żyznych terenach Hererolandu, wyczerpały ludzi von Trothy. Około połowa biorących udział w działaniach przeciwko Hererom cierpiała z powodu tyfusu, odwodnienia czy chronicznej dyzenterii. 25 października starszy porucznik Haack (który miesiąc później miał zginąć w swoim pierwszym boju), tak opisywał stan oddziału Schutztruppe, który właśnie wrócił z buszu do Windhuku:

Oto są żołnierze, którzy byli w polu najdłużej. Nie jestem w stanie wiernie opisać tego, jak wyglądali ani w jakim stanie były ich konie, kiedy wczoraj przybyli do miasta. Mundury wisiały na ich wychudzonych ciałach niczym szmaty. Ich twarze były spalone słońcem tak, że nie dało się ich poznać, także przez zarośnięte brody i długie włosy. Niektórzy zastąpili utracone buty szmatami, którymi owinęli sobie stopy i nogi. Biedne konie wyglądały żałośnie^[205].

Wydaje się, że Theodor Leutwein dowiedział się o rozkazie eksterminacji dopiero kilka tygodni po jego wydaniu w Osombo zo Windimbe. Leutwein, nominalnie wciąż gubernator Afryki Południowo-Zachodniej, był przerażony polityką von Trothy, choć bardziej z powodów

ekonomicznych niż humanitarnych. 23 października poinformował Departament Kolonii, że Salatiel Kambazembi – jeden z najważniejszych wodzów podległych Samuelowi Mahareru – zwrócił się z prośbą o rozpoczęcie negocjacji mających zakończyć wojnę. Leutwein zażądał także oficjalnego potwierdzenia, że jako cywilny gubernator ma prawo przyjąć kapitulację Hererów.

W czasie przepychanek, które potem nastąpiły, von Trotha wysłał do Leutweina list, w którym przyznał, że w bitwie pod Waterbergiem nie udało się unicestwić wszystkich Hererów i przedstawił swoją nową politykę, która miała prowadzić do ich całkowitego zniszczenia: „wschodnia granica kolonii zostanie zamknięta, a wobec pojawiających się Hererów będzie stosowany terror. Naród ten musi zniknąć z powierzchni ziemi. Nie udało mi się dokonać tego działaniami, więc będę musiał zrealizować to w ten sposób”^[206].



Von Trotha szukał wsparcia armii dla swojej eksterminacyjnej polityki i znowu władza cywilna została odstawiona na boczny tor. Leutwein zrezygnował i pozwolono mu wyjechać. Opuścił kolonię po jedenastu latach pełnienia urzędu gubernatora. Nikt już nie sprzeciwiał się wojskowemu rządowi, które ustanowił von Trotha po przybyciu do Windhuku w czerwcu 1904 roku.

O brutalności niemieckiego kolonializmu w Afryce Południowo-Zachodniej świadczy to, że gubernator Theodor Leutwein i major von Estorff – o których jeszcze usłyszymy – w tej smutnej opowieści zdają się być niemalże bohaterami. Jako *Alte Afrikaners*, Starzy Afrykanie (jak nazywał takich ludzi von Trotha), nie mieli żadnych moralnych oporów przed wywłaszczeniem Afrykanów z ich ziemi i własności. Systematycznie podkopywali tubylcze struktury społeczne, prowadząc zadrażniającą politykę „dziel i rządź”. W ich koncepcji kolonializmu było jednak miejsce dla Afrykanów – nawet jeśli miała to być jedynie rola służebna. Przepaść dzieląca Leutweina i Estorffa z jednej strony, a Lothara von Trotha z drugiej, była symptomatyczna dla wielkiej zmiany, jaka nastąpiła w tym czasie – przejścia od starego, XVIII- i XIX-wiecznego paternalistycznego rasizmu do nowego, biologicznego rasizmu wieku XX.



Choć polityka przyjęta przez Theodora Leutweina kosztowała go utratę stanowiska, miał całkowitą rację, kiedy twierdził, że plan von Trotha – eksterminacja Hererów – jest niewykonalny z logistycznego i militarnego punktu widzenia. W listopadzie 1904 roku najwyższe władze wojskowe w Berlinie zdały sobie sprawę ze straszliwych warunków, w jakich znajdowali się ludzie von Trothy, oraz z tego, że ich zadanie jest nie do wykonania. 23 listopada generał von Schlieffen, wciąż odpowiedzialny za strategię wojny, napisał do kanclerza von Bülowa, że „choć intencje von Trothy

są słuszne, nie jest w stanie ich wykonać^[207]. Kanclerz i cywilni urzędnicy Departamentu Kolonii nie podzielali podziwu generała von Schlieffena dla intencji von Trothy. Koalicyjny gabinet von Bülowa, pod wpływem powszechnego poparcia opinii publicznej dla wojny, początkowo popierał „twardą” politykę generałów, ale kiedy kanclerz otrzymał tekst rozkazu eksterminacji, był wstrząśnięty.

Von Bülow obawiał się, że międzynarodowa reputacja Niemiec – już i tak nadszarpnięta po działaniach w Chinach i Afryce Wschodniej – ucierpi jeszcze bardziej, kiedy do publicznej wiadomości przeniknie rozkaz eksterminacji. W tym samym roku, w którym Niemcy wysłały Lothara von Trothę z poleceniem rozbicia Hererów, swój szczyt osiągnęła międzynarodowa kampania przeciwko masakrom w Wolnym Państwie Kongo. Pod rządami Leopolda II miliony kongijskich kobiet porwano, a ich mężczyzn zmuszono do dostarczania ogromnych ilości dziko rosnącego kauczuku. Kiedy nie spełniali narzuconych im norm, najemnicy królewskiej Force Publique karali ich w bestialski sposób i przeprowadzali ekspedycje karne przeciwko niewinnym wieśniakom. Wiosną 1904 roku europejskie i amerykańskie gazety niemal codziennie donosiły o barbarzyńskich praktykach stosowanych w kolonii Leopolda i w najcięższych słowach potępiały samego belgijskiego monarchę. Kiedy w zagranicznej prasie zaczęły pojawiać się doniesienia na temat wojny w południowo-zachodniej Afryce, von Bülow obawiał się, że działania von Trothy – szczególnie wydany przez niego rozkaz eksterminacji – mogą zostać przedstawione w podobny sposób i tym samym „zniszczyć reputację Niemiec wśród cywilizowanych narodów i wzbudzić za granicą niepotrzebne poruszenie”^[208].

Zaskakujące jest to, że cesarz Wilhelm II – który podkopał reputację Niemiec bardziej niż jakikolwiek inny człowiek – był całkowicie ślepy na niebezpieczeństwo, jakie powodowały rozkaz eksterminacji i brutalność von Trothy. Nie przestawał wychwalać „energicznych działań” generała nawet po tym, jak jego rozkaz stał się palącym problemem dla niemieckich polityków. Nie przejmując się potencjalnym skandalem, cesarz napisał do von Trothy: „Całkowicie spełnił pan oczekiwania, które miałem, kiedy mianowałem pana dowódcą wojsk kolonialnych, i z przyjemnością mogę raz jeszcze wyrazić moją całkowitą wdzięczność za pańskie dotychczasowe osiągnięcia”^[209].

Pod koniec 1904 roku przeciwko Wilhelmowi wystąpili zarówno jego kanclerz, von Bülow, jak i szef Sztabu Generalnego, generał von Schlieffen. Pierwszy narzekał, że niemieckie postępowanie w Afryce Południowo-Zachodniej jest barbarzyńskie i potencjalnie szkodliwe. Drugi uważał strategię von Trothy za godną pochwały, ale zupełnie niepraktyczną. Nastąpiło starcie między cesarzem i kanclerzem.

Biuro von Bülowa zażądało, by Wilhelm natychmiast unieważnił rozkaz eksterminacji. Cesarz nie odpowiedział i razem z dworem wyjechał z Berlina na pięciodniowe polowanie do Hohenlohe w Prusach Wschodnich. Dopiero 8 grudnia, pięć dni po otrzymaniu prośby kanclerza, Wilhelm

zgodził się wreszcie na to, by von Trotha „okazywał łaskę tym Hererom, którzy dobrowolnie się poddadzą”^[210]. Kiedy von Bülow poprosił kajzera, żeby wyraźnie zażądał wycofania rozkazu eksterminacji, odpowiedź zabrała Wilhelmowi kolejne osiem dni, w czasie których wciąż trwały morderstwa w Hererolandzie.

Wiadomo, że kiedy generał von Trotha otrzymał telegram z nowymi rozkazami, wpadł w gniew i natychmiast złożył rezygnację, której nie przyjęto. Chcąc go udobruchać, von Schlieffen zapewnił, że „Jego Wysokość nie zakazał panu strzelania do Hererów”, ale jedynie nakazał „przywrócić możliwość okazania łaski”.



Cztery dni po tym, jak zgodził się cofnąć wydany rozkaz eksterminacji, cesarz Wilhelm otrzymał raport, który potajemnie zamówił kilka tygodni wcześniej. 10 listopada 1904 roku kajzer osobiście polecił hrabiemu Georgowi von Stillfried und Rattowitz, przebywającemu na przepustce w Niemczech oficerowi armii von Trothy, zdać raport na temat „swoich poglądów na kwestię tubylczą oraz warunki militarne panujące w Afryce Południowo-Zachodniej w ciągu ostatnich dwóch lat”. Nie poinformował o tym ani kanclerza von Bülowa, ani Reichstagu, ani też generała von Schlieffena, omijając wszystkie oficjalne kanały władzy cywilnej i wojskowej.

Choć hrabia von Stillfried był jedynie porucznikiem, cesarz uważał, że jako arystokracie może mu zaufać. Hrabia przybył pierwszy raz do Afryki Południowo-Zachodniej w 1900 roku i stanął na czele małego oddziału. Walczył pod Waterbergiem i naprawdę rozumiał sprawy kolonii, a przez to także niemieckie działania. 12 grudnia, dokładnie jedenaście miesięcy od rozpoczęcia wojny, cesarz otrzymał raport von Stillfrieda – pięćdziesiąt pięć stron wykaligrafowanego gotykiem tekstu. Aby mieć pewność, że Hererowie nie będą stanowić więcej zagrożenia dla niemieckiego kolonializmu, hrabia zalecał, by „pozostałych przy życiu tubylców rozbroić jednego po drugim, a każdy, który będzie miał karabin, powinien zostać ukarany śmiercią”. Wodzowie stojący na czele dynastii, wokół których gromadzili się Hererowie, mieli zostać usunięci, żeby zapewnić posłuszeństwo całego ludu. Von Stillfried zalecał także, by „zabić wszystkich wodzów, a ich rodziny – nawet jeśli są niewinne – deportować do innej kolonii, żeby nigdy więcej nie zyskały znaczenia wśród swojego ludu”^[211].

To, co odróżniało zalecenia von Stillfrieda od polityki generała von Trothy, to branie pod uwagę ekonomicznych realiów kolonii. Hrabia rozumiał, że wojna na wyniszczenie Hererów dała istotny argument za pozostawieniem ich przy życiu, przynajmniej na pewien czas. W czasie wojny brak taniej siły roboczej doskwierał bowiem tak bardzo, że gospodarcza wartość Hererów znacznie wzrosła. Sposób wykorzystania ich pracy, zaproponowany przez von Stillfrieda, zasadniczo różnił się od tego, który sugerował Theodor Leutwein. Zalecał on mianowicie, by „wszyscy tubylcy

z walczących plemion, z wyjątkiem tych, którzy walczą dla [niemieckiego] rządu, zostali wynajęci – w dużej lub małej liczbie – osobom prywatnym, bauerom, kupcom i tak dalej. Tam powinni pracować za jedzenie”^[212]. Kontynuował:

Wszyscy pojmani tubylcy będą musieli nosić mosiężną przywieszkę z numerem identyfikacyjnym, a jeśli znajdują się poza domem, muszą mieć przy sobie przepustkę. Wszyscy skazani na niewolę będą umieszczeni w zamknięciu, w pobliżu swoich miejsc pracy. Nadzorcą będzie jeden z ich pobratymców, ale nie wódz. [Nadzorca] będzie nieustannie informował funkcjonariuszy^[213].

„Zamknięte obszary”, *Geschlossenen Niederlassungen*, były niezwykle istotnym określeniem w raporcie Stillfrieda. Odnosiło się ono do rozwiązania, które zaledwie trzy lata wcześniej ze straszliwym skutkiem zostało wprowadzone w życie w czasie wojny burskiej. Głównodowodzący sił brytyjskich, lord Herbert Kitchener, zamknął za kilkoma rzędami zasieków drutu kolczastego około 30 tysięcy burskich kobiet i dzieci i ponad 100 tysięcy czarnych Afrykanów i koloredów. Kiepskie warunki, brak higieny i złe zaopatrzenie sprawiły, że zmarło w nich ponad 25 tysięcy burskich cywilów i około 14 tysięcy Afrykanów, głównie w wyniku chorób i niedożywienia. Brytyjcy posłowie z Partii Liberalnej, C.P. Scott i John Ellis, potępili tę praktykę i określili ją mianem „obozów koncentracyjnych”^[214].

Wojskowym uzasadnieniem dla brytyjskiego zastosowania obozów koncentracyjnych w czasie wojny burskiej była konieczność oddzielenia partyzantów od miejscowej ludności cywilnej, która im pomagała i dawała schronienie. Cztery lata wcześniej, w czasie rebelii 1896 roku, rządzący Kubą Hiszpanie zamknęli cywilów w podobnych obozach. Obóz koncentracyjny nie był zatem nowym pomysłem, ale hrabia von Stillfried proponował wykorzystanie go w zupełnie nowatorski sposób. Kiedy Kitchener rozpoczął swoją kampanię i założył obozy, brytyjski wywiad szacował, że w partyzantce walczy około dwudziestu tysięcy Burów. W Afryce Południowo-Zachodniej Hererowie byli już pokonani i rozproszeni po całej kolonii. Nie prowadzili walki partyzanckiej, a po bitwie pod Waterbergiem i rozpadzie ich przywództwa nie byli w stanie sklecić niczego, co przypominałoby armię.

„Zamknięte obszary” von Stillfrieda miały być zarówno obozami koncentracyjnymi, jak i obozami pracy. To właśnie praca przymusowa miała uczynić obozy Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej tak zgubnymi dla tysięcy uwięzionych w nich ludzi.

W okolicach świąt Bożego Narodzenia 1904 roku do Kancelarii Rzeszy trafił egzemplarz raportu Stillfrieda, z dopiskami i uwagami kajzera na marginesie. Rekomendacje hrabiego dotyczące pracy przymusowej przemawiały do kanclerza von Bülowa i innych, którzy obawiali się, że w wyniku

przedłużającej się wojny ucierpi reputacja Niemiec. Utworzenie obozów pracy oznaczało, że Hererom pozwoli się przeżyć – nawet jeśli jako niewolnikom. Powszechnie uważano, że Afrykanie są z natury leniwi, toteż praca przymusowa wydawała się także sposobem na ich moralne i kulturowe „podźwignięcie”.

14 stycznia 1905 roku spór o to, jaką politykę przyjąć w Afryce Południowo-Zachodniej, został rozwiązany, kiedy von Trotha otrzymał telegram z nowymi rozkazami, po części zgodnymi z zaleceniami hrabiego von Stillfrieda. Generałowi wyraźnie nakazano założyć kilka *Konzentrationslager*, co było dosłownym tłumaczeniem brytyjskiego określenia *concentration camp*, obóz koncentracyjny. Przyjmując pomysły von Stillfrieda, kanclerz von Bülow wprost polecił, by „poddających się Hererów (...) umieścić pod strażą i zmusić do pracy”^[215].

Nowe rozkazy były celowo nieprecyzyjne – chodziło o to, żeby nie zakazywać egzekucji polowych ani nie zatrzymywać patroli oczyszczających. W rozkazach, które von Trotha wysłał swoim oficerom polowym, wyraźnie zaznaczył, że kontynuowanie wojskowych operacji przeciwko Hererom jest ważniejsze niż nadzorowanie obozów czy karmienie przebywających w nich więźniów.

Aby zgromadzić Hererów w obozach, patrole oczyszczające miały brać jeńców. Wielu oficerów i żołnierzy wzorowało się jednak na generale von Trocie i interpretowało rozkazy tak wąsko, jak to tylko możliwe. Kilka jednostek wciąż ścigało i zabijało Hererów, których atakowano także wtedy, kiedy próbowali się poddawać. Wielu wywabili z buszu posłańcy oferujący fałszywe gwarancje bezpieczeństwa. Nawet w obliczu tej nieustannej przemocy tysiące Hererów wciąż chciały się poddać i już w lutym 1905 roku było wiadomo, że przeżyło ich znacznie więcej, niż sądzili Niemcy. Żywiąc się korzonkami i dziką cebulą, a także polując na małe zwierzęta, przetrwało nawet 30 tysięcy ludzi. Pod koniec 1904 roku, ponad cztery miesiące po bitwie pod Waterbergiem, zjedzono już jednak wszystko, co było w Hererolandzie do zjedzenia. Według historii mówionej Hererów do tego stopnia brakowało im jedzenia, że musieli żywić się skorpionami. W lutym i marcu 1905 roku cierpieli już tak bardzo, że tysiące z nich chciały się poddać – i to jeszcze zanim przyszły po nich niemieckie patrole^[216].

Niczym duchy wylaniali się z Omahae i z innych zakątków Hererolandu. Wlekli się do niemieckich miast, Omaruru, Karibib, Windhuku i Okahandja. W większości były to kobiety i dzieci, bez wyjątku potwornie wygłodzone. Pastor Elger, misjonarz z Karibib, małej miejsciny w zachodnim Hererolandzie, opisywał ich jako „szkielety, pokryte cieniutką warstwą skóry”^[217]. Niepewni, w jaki sposób radzić sobie z takim napływem ludzi, osadnicy w większości stali z boku i patrzyli, jak Hererowie umierają z wycieńczenia na ulicach ich miast. Kiedy dowódca okręgu Omaruru nieostroźnie wyraził troskę z powodu ich losu, musiał publicznie przeproszać na łamach gazety i zapewnić, że nie jest winny „niepoważnego humanitaryzmu”^[218].

W lutym 1905 roku ci Hererowie, którzy poddali się w niemieckich miastach, razem z tymi, których zabrano bezpośrednio z buszu, zostali załadowani na wozy bydlęce albo popędzani przez żołnierzy, pomaszzerowali w kolumnach do pośpiesznie wzniesionych obozów koncentracyjnych.



Było pięć głównych obozów. Każdy znajdował się w jakiejś niemieckiej miejscowości, gdzie zapotrzebowanie na afrykańską siłę roboczą było najpilniejsze, albo tuż obok niej. Największy – liczący siedem tysięcy ludzi – utworzono w stolicy, Windhuku, na stromym zboczu za murami niemieckiego fortu. Dwa mniejsze obozy założono na dawnych ziemiach Hererów, w Karibib i Okahandja, gdzie Niemcy planowali rozwijać rolnictwo i potrzebowali stałych dostaw darmowej siły roboczej. Dwa ostatnie obozy powstały w głównych portach kolonii, Swakopmundzie i Lüderitz^[219].

Większość dokumentów, tak cywilnych, jak i wojskowych, dotyczących obozów koncentracyjnych w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej przepadła albo została celowo zniszczona w 1915 roku, żeby nie wpadły w ręce południowoafrykańskie. Mimo to przetrwało zdumiewająco sporo oficjalnej dokumentacji obozu w Swakopmundzie. Dziś historycy wiedzą więcej o tym obozie dzięki pracy dwóch niesamowitych postaci. Pierwszą z nich był cywilny komisarz miasta, doktor Fuchs. Skrupulatny i skuteczny urzędnik badał warunki panujące w obozie. Jego raport ujawnia bardzo wiele szczegółów, a także pokazuje, że o cierpieniu więźniów wiedziano na wielu szczeblach władzy, tak w Windhuku, jak i w Berlinie^[220]. Innym mieszkańcem Swakopmundu, którego świadectwo jest kluczowe, był Heinrich Vedder z Reńskiego Towarzystwa Misyjnego.

Misjonarze, tacy jak on, byli jedynymi cywilami, których wpuszczano do obozów. Wolno im było odprawiać niedzielne nabożeństwa oraz pogrzeby. Niektórym zezwolono nawet na stworzenie małych hospicjów w obrębie obozów, gdzie zajmowali się umierającymi i udzielali im ostatniego namaszczenia. Dostarczali też więźniom książek, najczęściej Biblii, i w niektórych obozach nie byli w stanie nadażyć z zaopatrzeniem^[221].

Heinrich Vedder dopiero co przybył do kolonii, kiedy na początku 1905 roku dostał zadanie utworzenia misji dla więźniów w Swakopmundzie. Młody i energiczny Vedder stał się jednym z najgłośniejszych misjonarzy. Jego listy – i odpowiedzi od misjonarzy pracujących w innych obozach – mówią nam wiele o całym systemie obozów, nie tylko tym ze Swakopmundu. W artykule dla „Swakopmund Missionary Chronicle” z grudnia 1905 roku Vedder portretuje warunki panujące w miejscowym obozie. Pisz, że Hererów

umieszczono za podwójnym drutem kolczastym (...), w żalosnych konstrukcjach wzniesionych z desek i szmat, w taki sposób, że w jednej z nich musiało zmieścić się 30–50

ludzi, bez podziału na płeć czy wiek. Muszą pracować od wczesnego ranka do późnej nocy, także w weekendy, niedziele i święta, zginając się pod ciosami pałek brutalnych nadzorców, aż padną. Jedzenia jest bardzo mało. Ryż bez żadnych dodatków to za mało, żeby ich ciała, osłabione wcześniej życiem w buszu i palącym słońcem interioru, wytrzymały chłód i wyczerpujący wysiłek w więziennych warunkach Swakopmundu. Setki z nich są prowadzone na śmierć jak bydło i jak bydło się ich chowa. Ta opinia może wydawać się surowa i przesadna (...), ale nie jestem w stanie oddać nieuzasadnionej brutalności, braku moralności [czy] okrutnego poczucia wyższości, które charakteryzują zachowanie tamtejszych żołnierzy i cywilów. Nie da się tego opisać^[222].

Oburzające warunki, w jakich przebywali Hererowie w obozie koncentracyjnym w Swakopmundzie, były bezpośrednio związane z gospodarką miasta. Było ono głównym portem Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej. Mimo iż nie miało naturalnej zatoki i wyjątkowo słabe kotwicowisko, zajęło miejsce Walvis Bay tak pod względem wielkości, jak i znaczenia. Dwa razy w tygodniu przyplwał parowiec kompanii Woermanna, przywożąc posiłki i zaopatrzenie dla armii, ale także towary i nowych osadników, szukających uciezki z przeludnionych miast Rzeszy.

Dramatyczne zapotrzebowanie na robotników w Swakopmundzie wynikało bezpośrednio z braku naturalnej zatoki. Linowce Woermanna, nie mogąc zacumować przy nabrzeżu, rzucały kotwicę w pewnej odległości od brzegu, po czym odbywał się rozładunek na płaskie barki, które kursowały między statkiem a brzegiem, wożąc pasażerów i towary. W 1905 roku więźniów obozów koncentracyjnych zmuszano do rozładowywania barek i noszenia towarów do położonych w głębi lądu magazynów. Inni budowali przedłużenie drewnianego nabrzeża. Jeszcze innych grupowano w brygady i zmuszano do pracy przy wznoszeniu budynków państwowych, ale czasem też prywatnych domów.

Głównym obozem koncentracyjnym w Swakopmundzie zarządzała armia. Znajdował się gdzieś w pobliżu północnego skraju miasta, przy wybrzeżu. W różnych okresach funkcjonowało kilka obozów, ale obóz wojskowy był największym z nich i często przebywało w nim ponad tysiąc osób. Mieścił się przy nabrzeżu, gdzie potrzebowano pracy więźniów^[223].

Więźniowie Swakopmundu, jak i innych obozów w całej kolonii, otrzymywali zupełnie niewystarczające racje żywnościowe. W pierwszym rozkazie z 16 stycznia von Trotha wyraźnie nakazał komendantom obozów utrzymywanie racji żywnościowych na tak niskim poziomie, jak to tylko możliwe. Na *Portionliste*, liście przydziałów żywności armii, więźniowie obozów koncentracyjnych plasowali się tylko nieco wyżej niż muły i konie. Oficjalna dzienna racja obozowa wynosiła 500 gramów ryżu albo mąki – przy założeniu, że jeńiec wojenny był mężczyzną. Kobiety i dzieci, stanowiące większość więźniów obozów, dostawały często zaledwie połowę tego. Ponieważ

Herero nie znali ani ryżu, ani mąki, nie wiedzieli, co z nimi robić. Nierzadko więźniom nie dawano nawet garnków, w których mogliby przygotować pożywienie, toteż jadali swoje racje na surowo, nie wiedząc, że w ten sposób wywołują biegunkę. Już 1 marca 1905 roku w liście do kierownictwa misji w Wuppertalu Vedder skarżył się, że „ludzie cierpią ból jedząc tę dzienną porcję ryżu, której nie mogą ugotować z powodu braku garnków (...). Z niedożywienia setki opadały z sił i umierały”^[224].

W Swakopmundzie, a także w obozie w porcie Lüderitz, szkodliwe skutki nieodpowiedniego pożywienia pogarszał jeszcze zimny, morski klimat. Pas wybrzeża pustyni Namib miał swój własny, szczególnie mikroklimat. Kiedy niebo było przejrzyste i nie wiał wiatr, temperatura na wybrzeżu bywała tak samo wysoka jak na pustyni, ale takie okresy należały do rzadkości. Zazwyczaj wybrzeże spowijała gruba warstwa morskiej mgły, zasłaniającej słońce. Nawet w jasne dni lodowate wiatry południowego Atlantyku osłabiały ciepło słoneczne.

Aby pomóc więźniom przyzwyczać się do warunków panujących w Swakopmundzie, misjonarze i miejscowi dowódcy wydali im używaną odzież, ale w lutym 1905 roku generał von Trotha osobiście interweniował i zakazał tej praktyki. Zamiast tego więźniowie otrzymali zgrzebne, jutowe wory z wyciętymi dziurami na głowę i ręce, które wcale nie chroniły przed oceanicznymi wiatrami. Wystawienie osłabionych ludzi na niedożywienie i lodowate temperatury musiało spowodować rozwój chorób: grypy, dyzenterii i szkorbutu – uważanego przez Niemców za zaraźliwy – a także zapalenia płuc, ospy, syfilisu oraz innych chorób wenerycznych. Podobnie jak we wszystkich obozach koncentracyjnych, nie było żadnej higieny, nikt też nie zajmował się chorymi, którzy całymi dniami leżeli we własnych odchodach. Obóz szybko stał się siedliskiem much i robactwa, co czyniło sytuację jeszcze gorszą^[225].

Dramatyczne pogorszenie stanu zdrowia więźniów w wyniku obozowych warunków nie mogło przeszkodzić wykorzystywaniu ich siły roboczej. We wszystkich obozach koncentracyjnych Hererowie znajdowali się pod jurysdykcją dywizji zaopatrzenia, znanej jako Etappenkommando. Administracja cywilna miała prawo zgłaszać wojsku zapotrzebowanie na więźniów. Regulacje odnoszące się do wynajmowania siły roboczej wyraźnie stanowiły, że więźniowie mają otrzymywać jedzenie, ale nie zapłatę. Ludzie i przedsiębiorstwa także mogli wynajmować Hererów od Etappenkommando w zamian za *Kopfsteuer*, „pogłównę”, w wysokości 50 fenigów dziennie albo 10 marek miesięcznie. Całe zyski szły bezpośrednio do szkatuł kolonialnej administracji^[226].

Sposób, w jaki armia kontrolowała przepływ tysięcy Hererów w ramach systemu obozowego, został zasugerowany w raporcie Stillfrieda. Na początku 1905 roku wybito w Dreźnie i wysłano do kolonii dziesiątki tysięcy owalnych, metalowych plaketek z koroną cesarską. Niezadowolony z tego rozwiązania, von Trotha zasugerował, żeby więźniów trwale oznakowano numerami identyfikacyjnymi. Nie ma pewności, czy miał na myśli piętnowanie, czy tatuowanie^[227].

Z powodu niedoboru więźniów płci męskiej prywatnym osobom wynajmowano najczęściej kobiety i dzieci, czasem nawet już dwunastoletnie. Dziewczęta i młode kobiety były szczególnie cenione jako służba domowa. 29 marca władze kolonii pod wodzą von Trothy wprowadziły oficjalne regulacje dotyczące wynajmowania więźniów. Miejscowe władze cywilne miały być odąd odpowiedzialne za zbieranie wszystkich zgłoszeń, które następnie przekazywano Etappenkommando.

Wynajmowanie Hererów osobom prywatnym i żołnierzom stało się tak popularne, że władze kolonialne musiały w końcu wydać rozporządzenie zakazujące oficerom wyjeżdżającym do Niemiec zabierania swojej służby. Jedną z osób, którą przyłapano na złamaniu tego zarządzenia, był sam hrabia von Stillfried und Rattonitz, niewiele wcześniej awansowany na kapitana. Kiedy w kwietniu 1906 roku wrócił do Afryki Południowo-Zachodniej, sprowadził ze sobą żonę i dziecko, dla których wynajął służącego Herero imieniem Franz. Kiedy wracał do Niemiec, próbował „wyeksportować” Franza i – mimo swojej rangi oraz pozycji – został aresztowany i postawiony przed sądem wojennym. Pomimo obciążających go dowodów został oczyszczony z zarzutów – niewinność podpisał osobiście kajzer^[228].

Hererowie wynajęci jako robotnicy rolni przez osoby prywatne mieli więcej szczęścia niż ci, którzy musieli pracować dla przedsiębiorstw. Każdego ranka nadzorcy, zatrudnieni przez różne niemieckie firmy, zabierali z obozów tysiące więźniów, po czym przez ulice i pustynie prowadzili ich na place budowy. Kobiety, mężczyźni, a czasami też dzieci, zmuszano do budowy dróg, wznoszenia budynków, kładzenia torów kolejowych albo dźwigania ciężkich worków z jedzeniem lub amunicją. W Swakopmundzie kobiety Hererów grupowano w ośmioosobowe drużyny, które – z braku wołów czy koni – ciągnęły wagony kolei wąskotorowej.

Jak widać na zachowanych zdjęciach, linia żeglugaowa Woermanna zatrudniała tylu więźniów obozu koncentracyjnego, że pozwolono jej założyć własną „zagrodę”. W tym prywatnym obozie koncentracyjnym więźniowie – okreśłani czasem, niczym bydło, jako „sztuki” albo „inwentarz” – żyli w warunkach niemal identycznych, jak te panujące w głównym obozie wojskowym – byli jedynie lepiej zaopatrzeni w garnki do gotowania.

W złożonym pod przysięgą oświadczeniu, wysłanym brytyjskiemu gubernatorowi Kolonii Przyładkowej w sierpniu 1906 roku, trzech koloredów z Kapsztadu, którzy rok wcześniej byli przejazdem w Swakopmundzie, tak opisuje warunki pracy więźniarek w tamtejszym obozie:

Nieszczęsne kobiety są codziennie zmuszane do noszenia ciężkiego żelaza na placu budowy, a także sprasowanej paszy. Nieraz byłem świadkiem, jak kobiety upadały pod ciężarem tego, co nosły, ale żołnierze i nadzorcy obelgami i kopaniem zmuszali je do dalszej pracy. Racje żywnościowe, które otrzymywały, były niewystarczające – musiały

też same gotować sobie jedzenie. Są zawsze głodne i my, robotnicy z Kolonii Przylądkowej, często wrzucaliśmy im do obozu pożywienie. W wielu przypadkach kobiety te nie mają odpowiedniej odzieży (...). Zmusza się do pracy stare kobiety, które żołnierze nieustannie kopią i lżą^[229].

Trudno dokładnie określić, ile osób zmarło w obozach. Jedyńm z nich, który w 1905 roku prowadził rejestr zgonów, był ten w Swakopmundzie. Jego dane wskazują, że w ciągu pierwszych czterech miesięcy niewoli umierało około 40 procent więźniów, a każdy nowy więzień najczęściej umierał w ciągu dziesięciu miesięcy. A statystyki te i tak najprawdopodobniej były zaniżone.

Na fotografii zrobionej potajemnie w obozie – najpewniej z połowy 1905 roku – widzimy wychudzone ciało chłopca Herero. Nie wiadomo, czy żyje, czy jest martwy. Widać każde jego żebro, a wokół talii ma ciasno zawiązany skórzany pas – nosiła takie większość więźniów, próbując w ten sposób oszukać głód. Poza tym jest nagi, w rękę trzyma jedyną posiadaną rzecz – worek z juty.

Sugerowano, że bardzo wysoka śmiertelność panująca w obozach wynikała bądź to z celowego zaniedbania, złej organizacji w szeregach wojska albo po prostu niewiedzy tych, którzy nimi zarządzali^[230]. Raport doktora Fuchsa, cywilnego komisarza regionu Swakopmundu, pokazuje jednak, że zarówno administracja cywilna w Windhuku, jak i najwyżsi rangą urzędnicy w Departamencie Kolonii w Berlinie, doskonale wiedzieli o tym, co dzieje się w obozach – postanowili jednak nic z tym nie robić^[231].

Na początku roku 1905, dwa miesiące po uruchomieniu obozów, misjonarz Heinrich Vedder zwrócił swoim zwierzchnikom z Reńskiego Towarzystwa Misyjnego w Wuppertalu uwagę na wysoką śmiertelność w Swakopmundzie i innych obozach. W czasie spotkania w Departamencie Kolonii misjonarze poinformowali urzędników o doniesieniach Veddera. W odpowiedzi departament, w ostrożnych i stonowanych słowach, polecił przygotowanie raportu na temat warunków panujących w obozie w Swakopmundzie. Rozkaz wysłano do zastępcy gubernatora Afryki Południowo-Zachodniej, Hansa Tecklenburga, który z kolei przekazał go miejscowemu komisarzowi – Fuchsowi.

Doktor Fuchs otrzymał pełen dostęp do obozu, a jego raport – choć napisany w pośpiechu – zawierał druzgocące wnioski. Według obliczeń Fuchsa w dwóch ostatnich tygodniach 1905 roku zmarło około 10 procent wszystkich więźniów swakopmundzkiego obozu^[232]. Jego zdaniem – i potwierdził to miejscowy lekarz pracujący dla władz – Hererowie umierali tam w alarmującym tempie z powodu „nieodpowiednich warunków”. Pogarszały je „przykry klimat oceaniczny i stan osłabienia, w jakim przybyli [więźniowie]”^[233].

Doktor Fuchs porównał także wskaźniki śmiertelności więźniów w obozie koncentracyjnym oraz

wędrownych robotników z ludów Damara i Owambo, którzy w tym czasie „pracowali dla miejscowych władz”. Fuchs poinformował, że od kiedy objął swoje stanowisko, 15 września 1903 roku, nie zmarł ani jeden z nich. We wszystkich grupach zamieszkujących Swakopmund – Niemcach i Afrykanach, cywilach i wojskowych, nawet więźniach przetrzymywanych w miejscowym areszcie – śmiertelność nie uległa zmianie.

W podsumowaniu stwierdził, że aby zmniejszyć wskaźniki śmiertelności, „należy zapewnić [więźniom] schronienie przed wiatrem, właściwie wentylowane pomieszczenia, ciepłą odzież (płaszcz, spodnie, koce, buty) i zróżnicowane pożywienie (mąkę, ryż i – o ile to możliwe – mięso, cebulę albo słoninę), a także opiekę medyczną^[234].”

Raport Fuchsa miał być zachowany w tajemnicy. Otrzymali go Hans Tecklenburg w Windhuku, Oskar Steubel – dyrektor Departamentu Kolonii, generał von Trotha i pułkownik Dame – dowódca Eppenkommando. W odpowiedzi von Trotha, Tecklenburg i Dame argumentowali, że pomimo straszliwej śmiertelności napływ więźniów Herero do nadmorskich obozów w Swakopmundzie i Lüderitz musi trwać dalej, aby zaspokoić nieustanny popyt na robotników. Pułkownik Dame zauważył, że choć praca kobiet w tych obozach jest nieszczęściem, to jednak zapotrzebowanie na pracowników jest tak naglące, że „nie ma alternatywy”^[235]. Oskar Steubel zgodził się początkowo z tym, że polepszenie wyżywienia poprawi warunki w Swakopmundzie, ale zakwestionował przesłanki uzasadniające raport Fuchsa. Nie tylko odmówił wprowadzenia w życie jego zaleceń, ale odrzucił też propozycję, by chorych więźniów odsyłać w głąb lądu, z daleka od lodowatych temperatur panujących na wybrzeżu.

Istnieją nawet dowody na to, że – przynajmniej w opinii wicegubernatora Tecklenburga – w obozach miała dokonać się selekcja, odsianie słabszych i pozostawienie najsilniejszych więźniów. W liście do Departamentu Kolonii z czerwca 1905 roku Tecklenburg stwierdzał, że ich wysoka śmiertelność jest w długofalowym interesie Niemiec. Obozy koncentracyjne miały zdziesiątkować Hererów i zniszczyć ich kulturę. Ci, którzy przeżyliby tę mękę, mieli stać się niewolnikami niemieckich kolonistów, a do tego celu powinni być najsilniejsi i najbardziej wytrzymali. Pisał:

Im bardziej Hererowie na własnych ciałach odczują konsekwencje powstania, tym mniej późniejsze pokolenia będą skłonne do buntu. Oczywiście śmierć tak wielu tubylców będzie miała negatywne skutki gospodarcze, ale naturalne siły życiowe Hererów wkrótce pozwolą im na dojdęcie do siebie. Przyszłe pokolenia, które zapewne będą miały w sobie krew ludu Damara, z mlekiem matki wypiją [poczucie] niższość wobec białej rasy^[236].

Wilhelm Eich, misjonarz z Okahandja, gdzie półtora tysiąca Hererów podzielono między trzy

małe obozy koncentracyjne, powiedział 19 czerwca 1905 roku „Nadzorca [wojskowego] Obozu I wyjawiał mi, że ma rozkaz wyszukiwać najsilniejszych dla Jego Wysokości [Wilhelma III]”^[237].

Najbardziej obciążający dowód na to, że niemieckie władze wiedziały o masowym umieraniu więźniów w obozach koncentracyjnych – i zgadzały się na to – znajduje się w namibijskim Archiwum Narodowym. W tamtejszym skarbcu przechowuje się *Totenregister* – rejestr śmierci – obozu w Swakopmundzie^[238]. Odnotowuje on śmierć części z tysięcy uwięzionych Hererów, którzy zmarli w latach 1905–1908. Podobne *Totenregisters* zapewne prowadzono w innych obozach, ale przepadły – albo zostały celowo zniszczone.

Strony *Totenregister* z obozu w Swakopmundzie podzielone są na kolumny, w których wojskowy kancelista albo oficer obozowy wpisywał imię, płeć i wiek zmarłego więźnia. Rubryki „przyczyna śmierci” urzędnicy nie musieli uzupełniać – dostawali ją już wypełnioną: „śmierć z powodu wyczerpania, zapalenia oskrzeli, choroby serca albo szkorbutu”.

^[192] Jan-Bart Gewald, *The Great General of the Kaiser*, „Botswana Notes and Records” 1994, 26, s. 67–76; Andreas Eckl, *S’ist ein übles Land hier*, Cologne 2005; Horst Drechsler, *Let Us Die Fighting*, Berlin 1986.

^[193] Większość historyków błędnie podaje datę 2 października, która widnieje na tzw. rozkazie eksterminacji.

^[194] Gewald, op. cit., s. 68.

^[195] Eckl, op. cit., s. 284.

^[196] Drechsler, op. cit., s. 160–161; Helmut Bley, *Namibia under German Rule*, Hamburg 1996, s. 164.

^[197] Ibidem.

^[198] Drechsler, op. cit., s. 157.

^[199] Ibidem, s. 159.

^[200] ELCN, RMS, V 12 Karibib, 1904.

^[201] Union of South Africa, *Report on the Natives of South-West Africa and Their Treatment by Germany*, London 1918, s. 117–118.

^[202] Jeremy Silvester, Jan-Bart Gewald, *Words Cannot Be Found: German Colonial Rule in Namibia*, Leiden 2003, s. 106–107; BAB, Colonial Department, teczka 2117, s. 112–116.

^[203] Silvester, Gewald, op. cit., s. 106–107.

- [204] BAB, Colonial Department, teczka 2117, s. 112–116.
- [205] [Anonim], *Tagebuchblaetter aus Südwest-Afrika*, Berlin 1906, s. 35–36.
- [206] Drechsler, op. cit., s. 161.
- [207] Ibidem, s. 163.
- [208] BAB, Colonial Department, teczka 2089, s. 7–11.
- [209] Hull Isabel V., *Absolute Destruction: Military Culture and the Practices of War in Imperial Germany*, Ithaca, NY 2005, s. 30.
- [210] Ibidem, s. 65.
- [211] BAB, Colonial Department, teczka 2117, s. 59b, wkładka: s. 1–57.
- [212] Ibidem.
- [213] Ibidem.
- [214] *Concentration Camps during the Boer War*, Stanford University Library Collection, <<http://library.stanford.edu/depts/ssrg/africa/boers.html>>.
- [215] Casper W. Erichsen, *The Angel of Death Has Descended Violently among Them: Concentration Camps and Prisoners-of-War in Namibia, 1904–08*, Leiden 2005, s. 22.
- [216] Ibidem, s. 24–28.
- [217] NAN, Accession 569, Memoirs of Pastor Elger.
- [218] Hull, op. cit., s. 71.
- [219] Erichsen, op. cit.; Jürgen Zimmerer, Joachim Zeller (red.), *Genocide in German South-West Africa: the Colonial War of 1904–1908 and Its Aftermath*, Monmouth 2008; Jan-Bart Gewald, *Herero Heroes: A Socio-political History of the Herero of Namibia, 1890–1923*, Oxford 1999; Drechsler, op. cit.; Hull, op. cit.; Jeff Gaydish, *Fair Treatment is Guaranteed to You: the Swakopmund Prisoner-of-War Camp 1905–1908*, Windhoek 2000.
- [220] NAN, ZBU 454, D. IV.1.3, t. 1, s. 58–59.
- [221] Starszyzna Hererów z obozu koncentracyjnego w Swakopmundzie napisała list do kierownictwa misji, prosząc o dostęp do tłumaczenia Starego Testamentu, szczególnie Księgi Mojżesza (chodziło raczej o Księgę Rodzaju, przyp. tłum.). Według autora listu niewola Izraelitów bardzo przemawiała do więźniów obozu. ELCN, RMS, Missions-berichte 1906, s. 120.
- [222] ELCN, RMS, Chroniken 31, Swakopmund.
- [223] Joachim Zeller, *Ombepera I koza – The Cold is Killing Me*, w: Zimmerer, Zeller, op. cit., s.

65–83.

[224] Erichsen, op. cit., s. 48–53.

[225] *Kommando der Schutztruppen im Reichskolonialamt, Sanitäts-Bericht Über die Kaiserliche Schutztruppe für Südwestafrika während des Herero und Hottentotenaufstandes für die Zeit vom 1. Januar 1904 bis 31. März 1907*, t. I: 1. Administrativer Teil, Berlin 1909, s. 45–50.

[226] NAN, ZBU 454, D.IV.1.3, t. 2, s. 336–340; NAN, ZBU 454, D.IV.1.3, t. 1, s. 163; NAN, BKE 224, t. 2, 74.d. spec. I, s. 29–31.

[227] Erichsen, op. cit., s. 22–23.

[228] NAN, ZBU 2372, IX. H. t. 1, s. 58–61.

[229] Cape Archives, GH 23/97, Statement under oath by: Jack Seti, John Culayo and James Tolibadi, Ministers to Governor, 22 sierpnia 1906.

[230] Zob. Brigitte Lau, *Uncertain Certainties*, w. *History and Historiography*, Windhoek 1995.

[231] NAN, ZBU 454, D. IV.1.3, t. 1, s. 58–59.

[232] Od początku lutego do 29 maja 1905 r. w wojskowym obozie koncentracyjnym zmarło 399 z 1100 więźniów, z czego 111 w ostatnich dwóch tygodniach maja. NAN, ZBU 454, D. IV.1.3, t.1, s. 58–59.

[233] Ibidem.

[234] Ibidem.

[235] BAB, Colonial Department,teczka 2118, s. 157.

[236] Ibidem, s. 152–156.

[237] ELCN, RMS Correspondence VII 31.1, Swakopmund 1–7, Eich do Veddera, 19 czerwca 1905.

[238] NAN, BSW 107, VA/10/6.

ROZDZIAŁ 10

„Pokój oznaczać będzie śmierć dla mnie i mojego narodu”

W ostatnich dniach września 1904 roku, sześć tygodni po bitwie pod Waterbergiem, dziewiętnastu wojowników Witbooiów Nama galopowało przez góry Auas w południowej części Hererolandu. Mieli niemieckie naramienniki i brunatne mundury Schutztruppe, podarte przez cierniste krzewy. Należeli do stuosobowego oddziału Nama, który rok wcześniej wysłano na północ, żeby walczył u boku ludzi von Trothy, zgodnie z postanowieniami traktatu, który Hendrik Witbooi w 1894 roku podpisał z gubernatorem Leutweinem. Po bitwie pod Waterbergiem wymknęli się swoim niemieckim dowódcom i uciekli na południe^[239].

Pod Waterbergiem Witbooiowie zobaczyli, jak Niemcy obrzucają kobiety i dzieci Hererów granatami i ostrzeliwiają je z karabinów maszynowych. Skierowani do patroli wysyłanych na Omaheke, żeby łapać i zabijać Herero, zrozumieli, że ostatecznym celem armii von Trothy nie jest pokonanie tego plemienia, ale jego eksterminacja^[240]. Choć w teorii byli sojusznikami Niemiec, ich również traktowano brutalnie i grożono im – niemieccy oficerowie pokazywali na ciała Herero i mówili Nama, że będą następni^[241].

Po tygodniu w siodle i przemierzeniu ponad 300 kilometrów, dziewiętnastu Witbooiów dotarło wreszcie do Rietmont, małej wioski na wyżynie Urigab. To właśnie tam w miesiącach letnich

rezydował Hendrik Witbooi i jego najważniejsi doradcy. Tak się złożyło, że kiedy przybyli, z Witbooiem w Rietmont przebywał Carl Berger, niemiecki misjonarz z pobliskiego miasta Gibeon. Pisał on później, że wojownicy byli wyjątkowo powściągliwi i upierali się, żeby porozmawiać z wodzem na osobności. Po spotkaniu z nimi, Hendrik Witbooi zarządził zebranie starszyny klanu, która zasiadła na drewnianych stołkach pod drzewem obok domu wodza. Bergerowi pozwolono wziąć udział w zgromadzeniu, toteż zostawił jego opis.

Kaptein Hendrik Witbooi, siedząc na swoim zwyczajowym stołeczku połowym (...), wyglądał na dużo starszego. Zgarbił się i w jego słowach słychać było, że bardzo cierpi. Powiedział nam to, co usłyszał od swoich ludzi. Powiedzieliśmy mu, że to niewyobrażalne. On sam znał Niemców od wielu lat i wiedział, że to, co opowiedzieli mu jego ludzie, nie może być prawdą. Wzruszył ramionami i powiedział przyciszonym głosem: „Komu mogę wierzyć, jeśli nie mogę moim ludziom?”^[242]

Mimo tego, co napisał Berger, Hendrik Witbooi miał powody, żeby wierzyć doniesieniom na temat wydarzeń pod Waterbergiem. Od początku wojny wielu niemieckich osadników z południa wzywało otwarcie do rozbrojenia Witbooiów i pozostałych klanów Nama. Złowrogi bełkot, który niegdyś słychać było tylko w barach i spelunach, znalazł się teraz na ustach żołnierzy i bauerów. Niektórzy proponowali, by siłą znieść stanowisko *kapteina*. W liście z sierpnia 1904 roku porucznik Schmidt, dowódca okręgu południowego, w którym znajdowało się miasto Keetmanshoop, ostrzegł gubernatora Leutweina, że „nawet najmniej spostrzegawczy Herero żywi przekonanie, że kiedy Rząd skończy z nimi, zabierze się za ludy Namalandu”^[243].

Nie tylko osadnicy mówili wprost takie rzeczy – czasem wręcz w twarz samym Nama, a najbardziej podżegające wezwania drukowano nawet w gazetach. 14 grudnia 1904 roku Georg Wasserfall, wydawca największego dziennika Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, „*Deutsch Südwestafrikanische Zeitung*”, napisał redakcyjny komentarz, w którym stwierdził wprost: „Hererowie nie powinni zostać unicestwieni – Nama, tak. Hererowie są potrzebni jako robotnicy, a Nama są plemieniem pozbawionym znaczenia”^[244]. W maju baron von Nettelbladt, mieszkaniec Afryki Południowej, którego uważano za eksperta w kwestii wydarzeń dziejących się na północ od rzeki Oranje, na łamach „*South African News*” napisał, że choć Hererowie „należą do pracowitych, zdrowych ras Bantu”, Nama „nie nadają się chyba do żadnej pracy i (...) należą do ras umierających”^[245].

Hendrik Witbooi, inni wodzowie mniejszych plemion Nama, a także sporo ich poddanych byli piśmienni i czytali rzeczony artykuły. Nie mieli wątpliwości, że atmosfera na południu robi się coraz cięższa. Cały rok 1904 obfitował w złe znaki: w kwietniu, na przykład, niemiecki garnizon

dwukrotnie zwiększył liczebność. Odłożono też wcielenie w życie zawartej umowy dotyczącej ziemi. W takiej właśnie atmosferze Hendrik Witbooi dowiedział się o bitwie pod Waterbergiem i masakrze pojmanych Hererów.

2 października, dzień przed tym, jak von Trotha wydał w Osombo za Windimbe rozkaz eksterminacji, Hendrik Witbooi podyktował listy do wodzów pozostałych klanów Nama, zdradzając im, że planuje wzniecić powstanie przeciwko Niemcom. Jedną z wielkich tragedii historii niemieckich rządów w Afryce Południowo-Zachodniej było to, że listy do wodzów Nama zostały napisane już po tym, jak Hererowie zostali pokonani i wygnani na Omaheke. W styczniu 1904 roku, kiedy zaczęła się wojna, Samuel Maharero próbował zawrzeć sojusz antykolonialny ze swoimi dawnymi wrogami, Nama. Napisał do Hendrika Witbooi zapewne najbardziej elegancki, a zarazem płomienny list, proponując mu wspólną walkę:

Wzywam Cię, mój bracie, nie uchylaj się przed tym powstaniem, niech cała Afryka usłyszy Twój głos i podniesie broń przeciwko Niemcom. Lepiej nam zginąć w boju niż z niedożywienia, w niewoli albo w wyniku jakiegś innej tragedii. Powiedz tamtejszym *kapteinom*, żeby powstali i ruszyli do walki^[246].

List Samuela Maharero nigdy nie dotarł do Hendrika Witbooi. Na południe od Windhuku jego korespondencja wpadła w ręce Hermanusa van Wyka, wodza Basterów z Rehoboth, który skonfiskował list i przekazał go gubernatorowi Leutweinowi. Kiedy Hendrik wzywał kapitanów Nama, by „powstali i ruszyli do walki”, nadzieja na wielki sojusz Afrykanów należała już do przeszłości – a wraz z nią jakiegokolwiek realistyczne szanse na jakiś rodzaj zwycięstwa.



Hendrik Witbooi, przywódca o ogromnej charyzmie, przez wielu Nama był uważany za postać niemal świętą. W 1904 roku był już po siedemdziesiątce i uważał, że jego ostatnią misją w życiu – zleconą przez Boga – było wypędzenie Europejczyków z kontynentu afrykańskiego. Choć zadanie to wydawało się niewykonalne, Hendrikowi udało się zgromadzić pod swoim przywództwem prawie cały naród Nama. W ciągu miesiąca do Witbooiów dołączył Manasse Noreseb, wódz Czerwonego Ludu, Simon Kopper, wódz Franzmannów Nama, oraz Veldschoendragersowie pod przywództwem *kapteina* Hansa Hendrika. Nama z Bethanie podzielili się. Połowa wybrała neutralność, a do Witbooiów przyłączyła się reszta pod wodzą Corneliusa Fredericksa, bratanka Josepha Fredericksa, którego dwadzieścia lat wcześniej Adolf Lüderitz wmanewrował w podpisanie nieuczciwego traktatu. Niektóre klany Nama odrzuciły wezwanie Witbooiów do walki. Tsain Nama z Keetmanshoop, Hai Khauan z Berseby i Basterowie z Rehoboth postanowili nie walczyć

i oszczędzić swoim ludziom okropności wojny. Toopnarowie Nama z okolic Walvis Bay oraz Swartsbooiowie, którzy mieszkali obok Hererów na północnym wschodzie, zostali pojmani przez wojska von Trothy, zanim zdolali przystąpić do tworzonego sojuszu.

Hendrik Witbooi i jego sojusznicy byli przekonani, że mimo tego, jak Niemcy potraktowali Hererów pod Waterbergiem i na pustyni Omaheke, wojna na południu będzie prowadzona zgodnie z zasadami, których oni sami przestrzegali. Wypowiadając wojnę, Hendrik Witbooi zaznaczył, że jego celem nie jest wybite Niemców, ale wyparcie ich z ziem należących do Nama. Zastępca Hendrika, Samuel Izaak, osobiście dostarczył tę deklarację sierżantowi Beckowi, komisarzowi z Gibeon oraz miejscowemu przedstawicielowi niemieckich władz. Można było w niej przeczytać: „Waszemu rozsądkowi zostawiam decyzję, czy zechcecie zabrać na wozach do Lüderitz wszystkie kobiety i dzieci (...). Mężczyźni bez broni (...) mogą do nich dołączyć. Nikt im nie robi krzywdy”^[247].

Powstanie Nama, tak jak rebelia Hererów dziewięć miesięcy wcześniej, zaczęło się od fali ataków na centra niemieckiego osadnictwa i odizolowane gospodarstwa. Choć większość niemieckich kolonistów od kilku miesięcy nawoływała do wysłania armii przeciwko Nama, wybuch wojny zaskoczył ich niemal całkowicie.

Pierwszymi ofiarami byli komisarz Gibeon, von Burgsdorff – zabity, kiedy nagabywał Hendrika Witbooi – oraz Ludwig Holzapfel, jeden z tych osadników, którzy najgłośniej domagali się całkowitego rozbrojenia Nama, a nawet sugerowali władzom kolonii, by wymierzyły tacybom „karę za grzechy”. Na rozkaz Hendrika Witbooi obu mężczyznom wyprawiono porządne, chrześcijańskie pochówki. Żadnej krzywdy nie wyrządzono żonie i dzieciom Holzapfela, które były z nim kiedy dopadli go wojownicy Witbooiów^[248].

Oszczędzenie Frau Holzapfel i jej dzieci nie było niczym niezwykłym w czasie wojny Niemców z Nama. Choć w pierwszych tygodniach zabito około czterdziestu niemieckich żołnierzy i osadników, Hendrik Witbooi robił co w jego mocy, żeby zapewnić bezpieczeństwo kobietom i dzieciom. Do tego stopnia zdawało sobie z tego sprawę, że w forcie w mieście Gibeon schronili się tylko mężczyźni, zostawiając żony i potomstwo w domach. 8 października, tego samego dnia, którego Niemcy wysadzili w powietrze rodzinny kościół Hendrika Witbooi, oddział jego żołnierzy zabrał z okolicznych miast grupę niemieckich kobiet i dzieci, eskortując ich przez targany wojną kraj do bezpiecznego Gibeon^[249].

Choć Hendrik Witbooi oddelegował swoich ludzi, by odprowadzili w bezpieczne miejsce niemieckie kobiety i dzieci, nie miał złudzeń co do tego, jak jego ludzie będą traktowani przez generała von Trothę. Kiedy mężczyźni Nama przygotowywali się do wojny, wiele kobiet wysłali za granicę, do brytyjskich posiadłości – Kolonii Przylądkowej albo Beczuany. Setki innych, razem z dziećmi, a nierzadko także i starcami, musiały jednak zostać u boku mężczyzn. W październiku

1904 roku całe klany Nama opuściły swoje osady i powędrowały w głąb pustyni. Kobiety i dzieci zamieszkały w odległych obozowiskach, a mężczyźni odjechali walczyć z Niemcami^[250].

Mimo potrząsania szabelką władze kolonialne – tak jak niemieccy osadnicy na południu – były wstrząśnięte nagłym wybuchem powstania Nama. Kiedy poinformowano o nim generała von Trotha, wykorzystał okazję i zażądał przysłania kolejnych posiłków. Ponieważ większość jego armii znajdowała się na obrzeżach Omaheke albo chroniła osadników w Okahandji i Windhuku, na południe mógł wysłać tylko dwustu żołnierzy^[251].

9 października jego oddziały wypełniły rozkaz otoczenia kordonem granicy Omaheke, docierając do osady Otjimanangombe, na granicy z Beczuaną. Wtedy von Trotha zainteresował się sytuacją w Namalandzie. 24 października wrócił do Windhuku i dowódcą ekspedycji przeciwko Nama mianował pułkownika Bertholda von Deimlinga.

Tak jak Franz Epp i Maximilian Bayer, pułkownik von Deimling przybył do Afryki Południowo-Zachodniej zimą 1904 roku jako jeden z pierwszych oficerów. W przeciwieństwie do nich nie był weteranem powstania bokserów, spędziwszy rok 1900 za biurkiem w Sztabie Generalnym. Dla człowieka po pięćdziesiątce objęcie dowództwa armii południowej było ogromną szansą wykazania się. Von Deimling należał do zwolenników opracowanej przez Moltkego zasady koncentrycznego otoczenia, zgodnie z którą walczone w bitwie pod Waterbergiem. W przeciwieństwie do takich oficerów jak Ludwig von Estorff, którzy otwarcie krytykowali strategię von Trothy, von Deimling zgadzał się z nią w pełni. Pewien, że „wojna nie jest kwestią posiadanej wiedzy, ale talentu”, zamierzał zastosować te same zasady do walki z Nama.

Zaczął działania wojenne dopiero w pierwszych tygodniach grudnia 1904 roku. Najpierw postanowił wyruszyć na Witbooiów, którzy rozbili obóz w Rietmont. Nie stawili mu czoła w bitwie, ale pośpiesznie się ewakuowali. To właśnie wtedy w niemieckie ręce wpadły dzienniki Hendrika Witbooi – nieoceniony materiał dla późniejszych historyków.

Kilka dni później ludzie von Deimlinga, po raz pierwszy mogąc zakosztować trudności marszu przez południową pustynię, spróbowali otoczyć Witbooiów w dolinie Auob, 100 kilometrów na północny wschód od Rietmont. To właśnie tam miała miejsce jedyna prawdziwa bitwa tej wojny. Kiedy Niemcy dotarli do Auob, Nama otwarli do nich ogień z karabinów – pięćdziesięciu pięciu Niemców zginęło albo zostało rannych^[252]. Atak von Deimlinga na Rietmont i Auob był jednak o tyle ważny, że w jego wyniku Witbooiowie przyjęli strategię walki partyzanckiej, której von Trotha i von Schlieffen tak bardzo starali się uniknąć w czasie wojny z Hererami.

Już na samym początku konfliktu Hendrik Witbooi i inni wodzowie zrozumieli, że otwarta bitwa z Niemcami byłaby niemalże samobójstwem. Jego klan oraz inne klany Nama walczyły ramię w ramię z Niemcami, toteż doskonale знаły stosowaną przez nich taktykę, a także zdawały sobie sprawę z potęgi nowoczesnej artylerii oraz karabinów maszynowych. Z tego powodu były

zdecydowane ściśle przestrzegać swoich własnych tradycji wojennych.

W czasie wojen z Hererami, w latach 70. i 80. XIX wieku, Nama walczyli w małych, bardzo zręcznych brygadach, zwanych komandami. Początkowo była to taktyka spędzania bydła, ale okazało się, że w wojnie partyzanckiej komanda nie tylko łatwo zastosować, ale też, iż zadają duże straty mało zwrotnym niemieckim kolumnom. W każdym ataku na niemiecki konwój albo położoną na uboczu farmę, Nama zdobywali broń, amunicję, konie i bydło. Zatrzymywali broń, bydło i konie sprzedawali brytyjskim kupcom w Afryce Południowej, a za zarobione pieniądze kupowali niezbędną do dalszego prowadzenia wojny amunicję.

Nama wiedzieli, gdzie znajdują się setki wodopojów rozsiansych po całym Południu. To pozwalało im prowadzić działania na wielkim terytorium i chronić się w miejscach, do których Niemcy nie mieli odwagi się zapuszczać. Ze wszystkich dóbr właśnie woda w największym stopniu decydowała o charakterze tej wojny. Często zdarzało się, że niemieckie patrole musiały zaprzestać pościgu, gdyż kończyła się im woda w bukłakach.

Wielu niemieckich żołnierzy, których wysłano do Afryki Południowo-Zachodniej i którzy teraz walczyli z Nama, było źle przygotowanych do walki. Wielu z nich przybyło w czerwcu i lipcu, kiedy na półkuli południowej panował środek zimy. Będąc pierwszy raz w Afryce, byli zupełnie nieodporni na straszliwe upały tamtejszego lata – od listopada do lutego – kiedy temperatury nierzadko przekraczały 40 stopni Celsjusza. W trakcie działań wojennych wielu żołnierzy zaczęło cierpieć na odwodnienie. Kiedy woda była dostępna, Niemcy próbowali zlokalizować oddziały Nama albo stawić im czoło. Pościgi konne trwały całymi tygodniami. Niekiedy ścigający i ścigani widzieli się wzajemnie przez pustynię, ale, ku frustracji Niemców, Nama trzymali się poza zasięgiem ich karabinów. Czasami Nama wiedli swoich przeciwników przez nieustannie zmieniający się krajobraz, zwabiając ich w całkowicie nieznanie im rejony pustyni. Prowadząc w góry czy w wąskie kaniony, zienacka atakowali ścigających ich wróg.

Gdy zapadał zmrok, Niemcy tłoczyli się przy ogniskach, a ich wartownicy wytyczali wzrok utkwiony w ciemność, obawiając się nocnych ataków. Temperatury spadały czasem do zaledwie dwóch czy trzech stopni powyżej zera, toteż musieli się okrywać czaprakami, cuchnącymi i przesiąkniętymi końskim potem. Jeden z żołnierzy opisał, jak ludzie z jego oddziału „kulili się razem, żeby pokonać zimno (...). W ten sposób spędziłem wiele nocy z otwartymi oczami, w towarzystwie mojego najbardziej zaufanego kompana – karabinu, patrząc się w rozgwieżdżone niebo”^[253].

Nieraz po obudzeniu Niemcy orientowali się, że silne, wiejące zazwyczaj nad ranem wiatry zataryły ślady koni Nama. W czasie kampanii przeciwko Hererom Niemcy wykorzystywali zdolnych afrykańskich zwiadowców, potrafiących wytropić na pustyni nawet niemalże zatarty ślad. Tocząc wojnę z prawie całą tubylczą ludnością kolonii, byli zdani tylko na siebie. Młodzi niemieccy

ochotnicy, dysponujący zaledwie kilkumiesięcznym doświadczeniem i niemal zupełnie nieznaną buszu, byli zupełnie niezdolni do określenia, w którym kierunku uciekli Nama.

Efektom tego była wojna, w czasie której stoczono ponad dwieście potyczek, ale – z wyjątkiem ataku na Auob – żadnej prawdziwej bitwy. W tej kwestii była ona podobna do większości konfliktów kolonialnych, z tym wszelako wyjątkiem, że toczyła się na warunkach dyktowanych przez kolonizowanych, a nie kolonizujących. Podczas dwustu potyczek Niemców atakował przeważnie niewidoczny wróg. Broń przemysłowa – lekka artyleria polowa i karabiny maszynowe maxim, które na całym świecie pozwalały małym europejskim armiom pokonywać znacznie większe siły – stała się raczej obciążeniem niż atutem. Zamiast zapewnić zwycięstwo, była tak ciężka, że unieruchamiała Niemców, czyniąc z nich łatwe cele dla strzelców Nama, a także uniemożliwiając ściganie wroga.

Nawet jeśli Niemcom udawało się podjąć pościg, nie znając terytorium, nie wiedząc, gdzie znajdują się rozsiane wodopoje, osłabieni przez upał, nigdy nie byli w stanie atakować Nama na korzystnych dla siebie warunkach. Constantin Jitschin, kawalerzysta, który w styczniu 1908 roku walczył z Nama w dolinie Auob, tak opisywał swoje doświadczenia:

Nasi żołnierze stopniowo opadali z sił. Walka z partyzantami stawała się coraz bardziej wyczerpująca. Za każdym razem, kiedy myśleliśmy, że wydamy im bitwę, okazywało się, że jesteśmy za późno. Wróg nie stawał do otwartej walki, zawsze jej unikał. Byliśmy w bardzo złym stanie. Wszyscy mieli twarze spalone słońcem i zarośnięte. Wiele matek nie poznałoby własnych synów w tych dzikich mężczyznach Południowego Zachodu. Na twarzach wszystkich można było wyczytać fizyczny i psychiczny wysiłek, jaki musieli znieść^[254].

Śpośród niemieckich dowódców do warunków wojny partyzanckiej najlepiej przystosował się Paul von Lettow-Vorbeck, oficer administracyjny w Schutztruppe i weteran powstania bokserów. Około maja 1905 roku Lettow-Vorbeck został mianowany dowódcą zbieraniny, którą wysłano przeciwko Nama z Bethanie oraz ich wodzowi Corneliusowi Fredericksowi. Relacja Lettow-Vorbecka daje nam obraz wyzwania, przed jakimi stawali oficerowie i ludzie południowej armii, a także nędznego stanu Schutztruppe.

Ponieważ nie mieliśmy oddziałów, które mogłyby stawić czoło Corneliusowi, zebrano grupę złożoną z pomocników, kancelistów, ordynansów i innych gorliwów, nad którymi objąłem dowództwo. Minęło trochę, zanim udało się nam trafić na ślad Corneliusa. Chcieliśmy zaskoczyć go nocą w obozie, ale ktoś go ostrzegł i w ostatniej chwili uciekł. Podążałem za nim bez wytchnienia – trzy godziny marszu, dwie godziny odpoczynku, dzień i noc. Wtedy, u podnóża czarnej grani, pościg zmienił się w pionową wspinaczkę.

Musiał zostawić kobiety, dzieci, starców i innych, których – jak wiedział – oszczędzimy. Kiedy wreszcie dogoniliśmy wojowników, zaczęła się wymiana ognia. Oskrzydlając ich z lewej flanki, galopowaliśmy po skalistej ziemi. Wróg gnał jak mógł najszybciej, ale byliśmy tuż za nim. Nasi żołnierze byli jednak wyczerpani i nie mogli kontynuować pościgu. Pojawiła się możliwość pojechania do pobliskiego Chamis [niemieckiego posterunku], uzupełnienia zapasów i wyruszenia z nowymi ludźmi. Wtedy raz jeszcze znaleźliśmy nieprzyjaciela i wywiązała się potyczka. Nie zakończyła się jednak rozstrzygnięciem: Cornelius uciekł^[255].

Lettow-Vorbeck nigdy nie schwytał Corneliusa Fredericksa. W styczniu 1906 roku został ranny i kiedy wydobrzeł, wrócił do Niemiec. Później został jednym z najważniejszych dowódców Schutztruppe w Kamerunie, a następnie w Niemieckiej Afryce Wschodniej. Był tylko jednym ze szczęśliwszych (a później również najsłynniejszych) Niemców poszkodowanych w tamtej wojnie.

Z dwudziestu dwóch tysięcy żołnierzy, którzy służyli w Afryce Południowo-Zachodniej w latach 1904–1907, około dziesięć tysięcy opuściło kolonię z powodu odniesionych ran albo chorób. Im dłużej trwała wojna z Hererami, to właśnie choroby – a nie walka – najbardziej dziesiątkowały niemieckie szereg. Aby zająć się setkami żołnierzy, którzy umierali na tyfus albo na inne choroby, wzdłuż drogi z Keetmanshoop do Lüderitz wzniesiono sieć polowych szpitali.

W grudniu 1904 roku, po zaledwie trzech miesiącach wojny z Nama, mając pod sobą piętnaście tysięcy ludzi, generał Lothar von Trotha uznał, iż sytuacja jest tak dramatyczna, że napisał do Berlina telegram z żądaniem zawieszenia kampanii. Wycofał się również z poglądu, który wyrażał na początku wojny z Hererami, że powinno się zbudować linię kolejową z Lüderitz do interioru, żeby ułatwić transport wojsk. Co zrozumiałe, Oskar Steubel, dyrektor Departamentu Kolonii, przyjął owo żądanie jako deklarację kapitulacji generała wobec sił wroga liczących zaledwie dwa tysiące ludzi^[256].



Problemy von Trocie sprawiał nie tylko Hendrik Witbooi. Od października 1903 roku Jakob Morenga, inny bardzo utalentowany i szanowany wódz Nama, prowadził własną wojnę z Niemcami. Morenga był prawdopodobnie największym partyzantem w całej historii Afryki Południowej. Jego taktyka opierała się na niebywałych umiejętnościach jeździeckich jego ludzi oraz znakomitej znajomości terenów, które zamieszkiwali od urodzenia. Żył niemal wyłącznie ze zrabowanych swoim wrogom zapasów, atakując niemieckie farmy i posterunki. Kiedy ścigały go niemieckie patrole, Morenga zwabiał je w góry, aż wyczerpani żołnierze, którym kończyły się zapasy wody, gubili drogę i musieli zarzucić pościg.

W maju 1906 roku południowoafrykański „Cape Times” przeprowadzał z Morengą wywiad. Spytany o to, czy wie, że „Niemcy są jedną z największych potęg wojskowych na świecie”, odparł: „Tak, zdaję sobie z tego sprawę, ale [Niemcy] nie potrafią walczyć w naszym kraju. Nie wiedzą, gdzie znajdować wodę, i nie rozumieją walki partyzanckiej”^[257].

Poza geniuszem taktycznym największą umiejętnością Morengi był talent do zjednywania sobie ludzi. Kiedy zaczynał walkę z Niemcami, miał pod sobą tylko jedenastu ludzi. We wrześniu 1904 roku jego drużyna liczyła już stu pięćdziesięciu mężczyzn. W listopadzie – jak szacowali Niemcy – pod jego sztandarem walczyło już około trzystu konnych wojowników.

Urodzony z ojca Herero i matki Nama, Morenga wiedział, jak zawierać sojusze ponad podziałami kulturowymi – coś, czego nie potrafili starzy wodzowie. Hendrik Witbooi nigdy tak naprawdę nie wybaczył Hererom śmierci swoich synów w bitwie pod Osona w 1885 roku. Ograniczały go również etniczne więzy i podziały. Morenga był od nich wolny, toteż zgromadził wokół siebie ludzi, którzy dzielili jego antykolonialne poglądy – wśród nich głównego wodza Bondelswartsów, kilku Hererów, a nawet białego Australijczyka, niejakiego E.L. Presgrave’a, o którym mało co wiadomo^[258].

W czasie wojny Niemców z Nama Jacob Morenga stał się dla czarnych mieszkańców Afryki Południowej legendarnym bohaterem, znanym jako „Czarny Napoleon”. Sławę, jaką się cieszył, pomnażały kolejne opowieści o jego sprycie i odwadze. Kiedy on i jego ludzie ukradli konie żołnierzom niemieckiego patrolu, śpiącym przy ognisku zaledwie kilka metrów dalej, zostawił list do ich dowódcy, w którym dziękował za nie i sugerował, żeby w przyszłości karmili konie lepiej, ponieważ nie potrzebuje „takich wychudzonych szkap”^[259]. Mimo tego upokorzenia niemieccy oficerowie przyznawali, że Morenga był godnym przeciwnikiem. W *Kampfe gegen die Hereros* (Wojnie przeciwko Hererom) kapitan Maximilian Bayer opisuje Morengę jako „imponującą osobowość (...) oraz przebiegłego żołnierza”, a także „wroga, który zasługuje na nasz szacunek”^[260].

Morenga pokazał, jaka jest siła Afrykanów, kiedy walczą razem, ponad etnicznymi podziałami i zgodnie ze swoimi zwyczajami. Na początku 1905 roku taką lekcję odebrali wszyscy. Choć deklaracja Hendrika Witbooi nadeszła zbyt późno, żeby ocalić Hererów, na krótko Hererowie i Nama stanęli ramię w ramię do walki przeciwko kolonizatorom. Po bitwie pod Waterbergiem kilkuset wojowników Herero uciekło na Południe, żeby przyłączyć się do Hendrika Witbooi. Znajdował się wśród nich syn Samuela Maharero, Friedrich, który dotarł do południowej granicy Hererolandu, w okolice doliny Auob, gdzie Hendrik Witbooi przygotowywał się do bitwy. Razem z Friedrichem był pobożny nauczyciel, z którym spędził całe lato 1896 roku na Berlińskiej Wystawie Kolonialnej – siostrzeniec Hendrika, Petrus Jod. Przez krótką chwilę obaj mężczyźni

walczyli razem przeciwko narodowi, który najechał ich kraj, a ich samych uznał jedynie za godne wystawiania „eksponaty”. Materiały źródłowe ujawniają, że miesiąc później Friedrich dotarł do Beczuany, gdzie schronił się jego ojciec wraz z resztą wspólnoty. Petrus Jod zginął w walce z Niemcami około października 1905 roku^[261].

W kwietniu tego samego roku, kiedy walki trwały już od siedmiu miesięcy, von Trotha postanowił przenieść swoją kwaterę na Południe i osobiście objąć dowództwo kampanii. Ograniczony przez swoją wąską wyobraźnię i uproszczone postrzeganie Afrykanów, po prostu powtórzył strategię, którą zastosował wcześniej wobec Hererów, wysyłając Nama edykt nieróżniący się zbyt od rozkazu eksterminacji z poprzedniego roku. Nowa proklamacja, nosząca datę 23 kwietnia 1905 roku, napisana była tym samym prymitywnym językiem, a Nama byli określani pogardliwym mianem „Hotentotów”. Von Trotha ostrzegał w niej Hendrika Witbooi'a i jego ludzi, że jeśli będą dalej walczyć, spotka ich taki sam los jak Hererów:

Wielki i potężny Cesarz Niemiecki jest gotów wybaczyć ludowi Hotentotów i rozkazał, by oszczędzić wszystkich, którzy zdecydują się poddać (...). Ogłaszam to Wam i dodaję, że tych, którzy odmówią poddania się, spotka taki sam los jak lud Herero, który w swej ślepotcie uwierzył, że może z powodzeniem prowadzić wojnę przeciwko Wielkiemu Cesarzowi i wielkiemu Narodowi niemieckiemu. Pytam was: Gdzie są dziś Hererowie? Gdzie są dziś ich wodzowie?^[262]

Von Trotha wyznaczył też nagrodę za głowę wodzów Nama, oferując tysiące marek „każdemu, kto dostarczy tych bandytów, żywych lub martwych”. Ani sama proklamacja, ani zachęta finansowa nie przyniosły jednak żadnego efektu – były jedynie oznaką rosnącej desperacji generała.

W połowie 1905 roku działania partyzanckie prowadziło najwyżej około półtora tysiąca Nama, a niezdolność von Trothy do pokonania albo schwytania tak małej liczby afrykańskich powstańców była w oczach szefa sztabu i Departamentu Kolonii coraz bardziej kompromitująca. Osadnicy – niegdyś najwięksi miłośnicy von Trothy – zaczęli zwracać się przeciwko niemu. Na Północy wciąż były tysiące Hererów, z którymi się nie rozprawiono, a na całym Południu trwało powstanie Nama. Nigdzie nie było widać owego „decydującego ciosu”, którym von Trotha miał zmiażdżyć „zbuntowanych Afrykanów”. Rok 1905 dobiegał końca, a bohater poprzedniego sezonu stał się w oczach wielu twardegłowym militarystą, którego postępowanie zagrażało gospodarce kolonii. W tym samym momencie, w którym jego reputacja i pozycja zostały zagrożone, Lothar von Trotha doświadczył dwóch osobistych tragedii. W czerwcu jego bratanek, który był mu wyjątkowo bliski, porucznik Thilo von Trotha, zginął w walce z Bethanie Nama^[263]. Niewiele później w Niemczech zmarła żona generała. Poczucie pewności siebie i zdecydowanie, którymi charakteryzował się von

Trotha w pierwszych miesiącach dowodzenia, zaczęły znikać. Pod koniec września napisał do cesarza list, w którym prosił, by zwolnić go z dowództwa, kiedy tylko zostanie znaleziony odpowiedni następcą [264].



Kiedy zaczynał się lipiec 1905 roku, generał von Trotha i jego oficerowie mieli pełno wątpliwości, ale nie wiedzieli, jak bardzo zdesperowani są Hendrik Witbooi i jego ludzie. Mimo wszystkich sukcesów bojowych około stu Witbooiów – mężczyzn, kobiet i dzieci – schroniło się i próbowało przeżyć w Tsoachaib, suchym i opustoszałym korycie rzeki, około 50 kilometrów na zachód od Gibeon [265]. Była zima i z odległych o 40 kilometrów gór Naukluft wiały lodowate wiatry. Brakowało im jedzenia, nie mieli też tytoniu, żeby usmierzyć ból swoich ran. Najbardziej chory był zastępca Hendrika, Samuel Izaak, dodatkowo zatruty się brudną wodą, i osłabiony przez głód. Im bardziej jego stan pogarszał się, tym bardziej prosił Hendrika Witbooi, by rozpoczął negocjacje z Niemcami. Zgodzili się z nim Peter, brat Hendrika, oraz inni wodzowie, wyczerpani niemal rokiem ciągłej walki. Przeciwno poddawaniu się byli młodsi mężczyźni, którzy na własne oczy widzieli bitwę pod Waterbergiem i masakrę Hererów. Na ich czele stał syn Hendrika, Isaak. Trwały spory, kiedy w połowie lipca przybył posłaniec z Tsoachaib, niosąc list od niemieckiego dowództwa, w którym domagano się kapitulacji Hendrika. Ten zaś, 27 lipca, w odpowiedzi do miejscowego niemieckiego komisarza napisał tak:

Pokój oznaczać będzie śmierć dla mnie i mojego narodu, gdyż wiem, że nie ma dla mnie miejsca pośród was. Jeśli chodzi o waszą ofertę pokojową, to cóż robicie innego, jeśli nie poucacie mnie niczym ucznia? Wiecie aż za dobrze, że w czasie pokoju wielokrotnie wam służyłem, ale w waszym pokoju nie mogę dostrzec niczego, jak tylko chęci wybicia nas co do ostatniego człowieka [266].

Miesiąc później, niewiele ponad rok od rozpoczęcia wojny, Hendrik Witbooi i jego ludzie, odzyskawszy nieco sił, znowu przeprowadzili ofensywę, atakując niemieckie konwoje i leżące na Południu gospodarstwa. 29 października w pobliżu Fahlgras, w środkowo-wschodnim Namalandzie, zaatakowali niemiecką karawanę z zapasami. W trakcie potyczki odłamek szrapnela trafił Hendrika Witbooi w udo. Niemieccy żołnierze, którzy obserwowali to przez lornetki, mówili później, że widzieli, jak Hendrik chwije się na koniu i razem ze swoimi ludźmi ucieka z pola walki.

Wódz był ciężko ranny i mocno krwawił, toteż Witbooiowie uciekli z nim w stronę granicy z Becuaną, ale po trzech dniach jazdy, na wschód od Khoes, zaledwie 50 kilometrów od brytyjskiej granicy, Hendrik Witbooi osunął się. Jego ostatnie słowa miały brzmieć: „Wystarczy, dzieci

powinny zaznać pokoju”. Martwe ciało wodza owinięto w koc, na piersi umieszczono Biblię i złożono w nieoznaczonym grobie. Obawiając się, że Niemcy mogą chcieć wykopać ciało wodza, zatarto po nim ślad, przepędzając stado bydła^[267].

Śmierć Hendrika Witbooi stała się początkiem końca sojuszu wszystkich Nama. Kilka dni po jego pogrzebie na pustyni odbyło się spotkanie wojowników Witbooiów i innych klanów, w czasie którego rozważano, jakie podjąć działania. Ze śmiercią ojca przywództwo spadło na ramiona jego najstarszego syna Isaaka, który, tak jak młodszy Witbooiowie, chciał kontynuować walkę. Z kolei Samuel Izaak, przez wiele lat zastępca Hendrika i szanowany członek starszyny, opowiadał się za negocjacjami. Następnego dnia o świcie młodsi, pod wodzą Isaaka Witbooi, w towarzystwie Jakoba Morengi i innych komand Nama odjechali na wojnę. Samuel Izaak, większość klanu Witbooiów, a także sprzymierzonych z nimi Veldschoendragersów, udała się do odległego o 100 kilometrów miasteczka Berseba – neutralnego terytorium, gdyż zamieszkiwali je Khari-Khuan, Nama lojalni wobec Niemców^[268].

20 listopada, napisawszy do niemieckich władz o tym, że chcą negocjować warunki kapitulacji, Samuel Izaak i jego ludzie oddali się w ręce niemieckiego dowódcy garnizonu w Barsebie, porucznika von Westernhagena. W chwili kapitulacji pod dowództwem Samuela znajdowało się siedemdziesięciu czterech mężczyzn oraz sześćdziesiąt pięć kobiet i dzieci. Porucznik von Westernhagen, młodszy oficer, który nie miał wystarczającej rangi do tego, by przyjąć poddanie się Witbooiów – wysłał telegram do swojego dowódcy, majora Ludwiga von Estorffa. Ten 21 listopada ochotczo, natychmiast i bez żadnych zastrzeżeń, zgodził się na warunki Samuela Izaaka. Aby jednak upewnić się, że jego działania nie pozostają w sprzeczności z życzeniami przełożonych, zatelegrafował do swojego dowódcy, pułkownika Dame’a, który natychmiast zatwierdził decyzję von Westernhagena.

Pozbawiony godności pośpiech, z jakim von Estorff i Dame przystali na warunki kapitulacji Izaaka, najlepiej świadczył o tym, w jak strasliwym stanie znajdowała się niemiecka armia na Południu. W listopadzie 1905 roku wiele posterunków stało pustych, kończyła się amunicja, a większość niezbędnych zapasów wojennych musiała być przywożona z Niemiec. Śmierć Hendrika Witbooi i kapitulacja Samuela Izaaka niespodziewanie sprawiły, że dla Niemców zaświtał promyk nadziei. Pojawiła się szansa na to, że rozpadnie się sojusz wszystkich Nama, a pozostałe bandy poddadzą się, kończąc w ten sposób wojnę^[269].

Wiadomość o śmierci Hendrika Witbooi przyszła jednak za późno dla von Trothy. 2 listopada kajzer zgodził się na jego prośbę i zwolnił go z dowodzenia. Kiedy generał dotarł do Lüderitz, żeby wsiąść na statek do Niemiec, otrzymał telegram z wieścią o śmierci wodza Witbooiów. Miał podziękować posłańcowi słowami: „To najlepsze informacje, jakie mógł mi pan przynieść”^[270].

19 listopada 1905 roku niemal cała biała ludność Lüderitz – oraz warta honorowa armii – zebrała się w porcie, żeby pożegnać generała Lothara von Trotha. W wygłoszonym do tłumów przemówieniu człowiek, który obiecał, że utopi zbuntowane afrykańskie plemiona w „rzekach krwi i pieniędzy”, powiedział: „W tej ziemi utraciłem wszystko, co było mi drogie w życiu”.

Po powrocie do Rzeszy von Trotha został odznaczony Pour le Mérite, najwyższym odznaczeniem wojskowym tamtych czasów, a cesarz Wilhelm II osobiście i z całego serca podziękował mu za wierną służbę. W oficjalnej historii wojen z Hererami niemieckie dowództwo stwierdziło, że „oddanie i poświęcenie generała von Trothy w służbie cesarza i Rzeszy zasługuje na największą wdzięczność ojczyzny”^[271].

^[239] Casper W. Erichsen, *The Angel of Death Has Descended Violently among Them: Concentration Camps and Prisoners-of-War in Namibia, 1904–08*, Leiden 2005; Horst Drechsler, *Let Us Die Fighting*, Berlin 1986; Jon M. Bridgman, *The Revolt of the Hereros*, Berkeley, CA 1981; Theodor Leutwein, *Elf-Jahre Gouverneur in Deutsch-Südwestafrika*, Berlin 1907; Walter Nuhn, *Feind Überall*, Bonn 2000; W. Hillebrecht, *The Nama and the War in the South*, w. Jürgen Zimmerer, Joachim Zeller (red.), *Genocide in German South-West Africa: the Colonial War of 1904–1908 and Its Aftermath*, Monmouth 2008, s. 143–159.

^[240] Leutwein, op. cit.

^[241] Drechsler, op. cit.; Union of South Africa, *Report on the Natives of South-West Africa and Their Treatment by Germany*, London 1918.

^[242] NAN, Accession 507, Missionary Berger Memoirs, Drie Jare by Hendrik Witbooi, s. 14–15.

^[243] BAB, Colonial Department, teczka 2133, s. 32–34.

^[244] Israel Goldblatt, *The History of South West Africa: From the Beginning of the Nineteenth Century*, Cape Town 1971, s. 147–148.

^[245] „South African News”, 31 maja 1904.

^[246] Drechsler, op. cit., s. 143.

^[247] Ibidem, s. 184.

^[248] ELCN, RMS, Missions-berichte, styczeń 1905, s. 25–31, 39–45.

^[249] Ibidem, s. 39–45.

^[250] Casper W. Erichsen, *What the Elders Used to Say*, Windhoek 2008, s. 20–31.

[251] *Kriegsgeschichtlichen Abteilung I des Grossen Generalstabes, Die Kämpfe der deutschen Truppen in Südwestafrika*, t. 2, Berlin 1907, s. 17–19.

[252] Pewien niemiecki żołnierz walczący pod Auob wspominał, jak Nama kpili z nich w czasie bitwy. „Krzyczeli w naszą stronę wzgardliwe komentarze, jak: «Czy Niemcy są spragnieni? Tu jest pełno wody». Machali pełnymi wody menażkami. Jeden z naszych oficerów został poważnie ranny, trafiony z tyłu. Inny porucznik zaatakował wroga w pojedynkę. Dostał cztery kule i padł martwy”. Constantin Jitschin, *Als Reiter in Südwest*, Breslau 1937, s. 89–90.

[253] Rotmistrz Trautmann, *Im Herero- und Hottentottenland*, Oldenburg 1913, s. 121.

[254] Jitschin, op. cit., s. 130.

[255] Paul Emil von Lettow-Vorbeck, *Mein Leben*, Biberach an der Riss 1957, s. 87–88.

[256] Drechsler, op. cit., s. 187.

[257] „Cape Times”, 29 maja 1906.

[258] W oficjalnym komunikacie na temat jego śmierci, który wysłano do rodziców Presgrave’a, opisano go następująco: „pan E.L. Presgrave miał działać jako «sekretarz» i doradca Marengo, jednego z wodzów buntowników. Rząd Jego Wysokości został poinformowany przez władze niemieckie, że potwierdzono, iż 11 marca brał udział w walkach w Narugas, a w kwietniu 1905 roku w starciu z patrolem w Bissport (vel Pisseport)”.

[259] Drechsler, op. cit., s. 220, przyp. 16.

[260] Ibidem, s. 193.

[261] Ibidem, s. 187; Maximilian Bayer, *Mit Hauptquartier in Südwestafrika*, Berlin 1909, s. 225.

[262] NAN, BKE 220, B.II. & 4.a. spec. 1, s. 7–8

[263] Niektóre źródła podają, że porucznik Thilo von Trotha był synem generała. Maximilian Bayer, który podczas działań wojennych spędził w towarzystwie generała bardzo wiele czasu, twierdził, że Thilo był bratankiem Lothara. Zob. Bayer, op. cit., s. 261; *Kriegsgeschichtlichen Abteilung I...*, op. cit., s. 119–120.

[264] Nuhn, op. cit., s. 175.

[265] NAN, ZBU 465, D.IV. m.3, t. 1, s. 30; NAN, BKE 305, G.A. 10/2, Secret Files: Uprising 1904–05, s. 77–86; *Kriegsgeschichtlichen Abteilung I...*, op. cit., s. 180–183.

[266] NAN, BKE 395, G.A. 10/2, Secret Files: Uprising 1904–05, s. 79.

[267] NAN, Accession 507, Missionary Berger, s. 37.

[268] NAN, BKE 305, G.A. 10/2 Secret Files: Uprising 1904–05, s. 77–86; *Kriegs-geschichtlichen*

Abteilung I..., op. cit., s. 180–183.

[269] Zob. np. ponurą ocenę sytuacji niemieckiej armii, jaką przedstawił von Estorff. Ludwig von Estorff, *Kriegserlebnisse in Suedwestafrika*, „Militaer-wochenblatt” 1911, 3, s. 95.

[270] Nuhn, op. cit., s. 176.

[271] *Kriegsgeschichtlichen Abteilung I...*, op. cit., s. 185.

ROZDZIAŁ 11

„Sami ponosicie winę za swoją niedolę”

W porcie Swakopmund właśnie minęło południe 22 października 1905 roku, kiedy na horyzoncie pojawiły się dwa kominy parowca należącego do linii Woermanna. Na jego pokładzie znajdował się pierwszy cywilny gubernator Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, Friedrich von Lindequist. Kiedy statek rzucił kotwicę, w porcie oczekiwali już najważniejsi mieszkańcy miasta: mężczyźni w cylindrach i surdutach, kobiety w szacownych sukniach do kostek^[272].

Gdy von Lindequist postawił stopę na drewnianym nabrzeżu, stuknięcie obcasów starszych oficerów, którzy w galowych mundurach stali w szeregu, zagłuszyło wiwaty małego tłumu zebranych. Po kilku słowach powitania i krótkiej mowie przywódców niewielkiej społeczności żydowskiej Swakopmundu, które niemalże zagłuszał szum fal, nowy gubernator odjechał.

Friedrich von Lindequist miał rządzić Niemiecką Afryką Południowo-Zachodnią przez zaledwie półtora roku. W tym czasie jednak zaprowadził coś na kształt pokoju, zadbał o rozwój gospodarczy kolonii i wzrost osadnictwa, a także przedsięwziął ogromny program robót publicznych. Osiągnął to wszystko, nie zaprzestając eksterminacji ludów Herero i Nama, rozpoczętej przez generała von Trothę. Aby zrozumieć, dlaczego tak się stało i jak było to możliwe, trzeba wiedzieć coś więcej o samym gubernatorze.

Von Lindequist był produktem niemieckiego Departamentu Kolonii. Zdobywał też doświadczenie w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. W 1894 roku – kiedy miała miejsce masakra w Hoornkrans – stryj von Lindequista^[273], jeden ze starszych doradców samego cesarza Wilhelma – załatwił bratankowi posadę wicegubernatora. Przez cztery lata von Lindequist służył w Windhuku jako zastępca Theodora Leutweina, zawierając w tym czasie wiele długotrwałych przyjaźni z mieszkańcami kolonii. Zdjęcia z tego okresu pokazują go ramię w ramię z niemieckimi osadnikami, pijącego piwo ze zdobnych bawarskich kufli w wielu *Biergärten* w Windhuku. Jak zauważył jeden z historyków, był „ulubieńcem osadników”.

Choć starannie dbał o swój wizerunek „człowieka ludu”, von Lindequist był bardzo ambitny. W czerwcu 1899 roku jego determinacja została nagrodzona i otrzymał nominację na stanowisko cesarskiego konsula w Kolonii Przylądkowej – co, jak na człowieka przed czterdziestką, było bardzo dobrą wróżbą. Zaledwie kilka miesięcy przed tym, jak dopłynął do Kapsztadu, znaczenie jego placówki bardzo wzrosło. 12 października 1899 roku wybuchła II wojna burska, kiedy Burowie zaatakowali brytyjski pociąg pancerny stojący na małej stacji Kimberley, w pobliżu kopalni diamentów. Oficjalne stanowisko niemieckiego rządu było takie, że wojna jest niefortunnym konfliktem „między dwiema chrześcijańskimi, białymi rasami o takim samym, germańskim pochodzeniu”^[274]. Niemiecka opinia publiczna głośno wyrażała jednak poparcie dla Burów, dwóch małych republik stawiających czoło największemu imperium świata. W ciągu następujących trzech lat Kapsztad był najlepszą placówką, jaka mogła przypaść młodemu, ambitnemu, niemieckiemu dyplomacie, toteż von Lindequist rzucił się w wir obowiązków, wiele podróżując i spotykając się z najważniejszymi brytyjskimi oficerami, w tym z lordem Kitchenerem.

Mimo swojego wysokiego rangą stanowiska oraz napiętego terminarza w czasie pobytu w Kapsztadzie von Lindequist podtrzymywał bliskie stosunki ze swoimi przyjaciółmi w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej i wykorzystywał swoje rosnące wpływy w Berlinie do lobbowania na ich rzecz. Na przykład w kwietniu 1904 roku poparł żądania osadników, by przeprowadzić wyprzedzający atak na Nama – mimo iż Nama honorowali zawarte traktaty wojskowe i nie zamierzali podnosić buntu przeciwko niemieckim rządom. Bezkompromisowe podejście von Lindequista do Afrykanów, przy tej i innych okazjach, przysporzyło mu jeszcze więcej sympatyków w Windhuku i w Berlinie. Kiedy Departament Kolonii zaczął szukać cywila, który mógłby zastąpić von Trothę na stanowisku gubernatora, wybór Friedricha von Lindequista zdawał się oczywisty^[275].

Jego przybycie do Swakopmundu w listopadzie 1905 roku oznaczało koniec wprowadzonej przez von Trothę faktycznej dyktatury wojskowej. Przez półtora roku, od kiedy generał odsunął na bok gubernatora Leutweina, nikt nie kwestionował jego rozkazów. Jego ograniczony sposób myślenia i wojskowe strategie – choć początkowo wspierane przez osadników – sprawiły, że Afryka

Południowo-Zachodnia pograżyła się w chaosie. Choć wojna sprawiła, że niektóre sektory gospodarki rozwinęły się ponad miarę, w innych panowała stagnacja.

Centralne rejony Hererolandu, gdzie setki Niemców zbudowały swoje gospodarstwa, były niemalże puste – nie było tam ani Niemców, ani Hererów. Po dwóch latach wojny wielu farmerów nie miało odwagi wrócić do miejsc, które opuścili w styczniu 1904 roku, a co dopiero założyć nowe farmy, toteż większość z nich została w ważniejszych miastach, gdzie garnizony zapewniały jako takie poczucie bezpieczeństwa. Gospodarstwa stały puste, Hererowie byli zdziesiątkowani, a hodowla bydła – ekonomiczna racja bytu kolonii – właściwie ustała. Odbudowanie gospodarki znajdowało się w 1905 roku wysoko na liście priorytetów von Lindequista. Ani ten, ani inne cele nie mogły zostać jednak zrealizowane przed ostatecznym zakończeniem wojny z Hererami i Nama^[276].

Kiedy von Lindequist obejmował nowe stanowisko, w niemieckiej niewoli znajdowało się około 13 tysięcy Hererów; 8 478 przebywało w obozach koncentracyjnych – reszta została skierowana do pracy przy różnych projektach budowlanych w całej kolonii, najczęściej układaniu linii kolejowych^[277]. Tysiące innych zostały w buszu, ukrywając się na półpustynnych obrzeżach Omaheke. Tam Hererowie unikali niemieckich patroli i – wbrew wszelkim oczekiwaniom – wciąż żyli, żywiąc się korzonkami.

Na południu kolonii generał von Trotha zostawił po sobie załączek jeszcze poważniejszego i trudniejszego do rozwiązania konfliktu. Choć Hendrik Witbooi leżał w jakimś nieoznakowanym grobie na południu Kalahari, powstanie Nama wciąż trwało. Ci, którzy podporządkowali się przywództwu „podkapteina” Samuela Izaaka, skapitulowali, ale reszta Witbooiów oraz innych klanów nadal stawiała opór. Nama z Bethanie pod wodzą Simona Koppera, Bondelswartowie Jana Christiana oraz komanda Jakoba Morengi wciąż prowadzili wojnę, organizując zasadzki i napady.

Walczyło z nimi dziesięć tysięcy niemieckich żołnierzy. Źle wyposażeni i niemający doświadczenia, z trudem próbowali utrzymać własne linie dostawy, a co dopiero tłumić powstanie tubylców. Choć Witbooiowie stracili swojego charyzmatycznego wodza, ich taktyka była tak skuteczna, a kraj tak niegościnnie, że kiedy von Lindequist obejmował dowodzenie, wielu jego wysokich rangą dowódców uważało, że wojny tej nie da się wygrać.



Von Lindequist najpierw zajął się Północą i Hererami. W grudniu 1905 roku, zaledwie miesiąc po przybyciu nowego gubernatora, cesarz Wilhelm II podpisał dekret wywłaszczający wszystkich Hererów z należącej niegdyś do nich ziemi. Ogromne tereny były gotowe do przyjęcia obecnych i nowych osadników. Przygotowane też były fundusze na rozbudowanie infrastruktury kolonii. Od

pierwszego dnia, kiedy tylko przybył do Swakopmundu, von Lindequist zaczął nakłaniać ostatnich przebywających w buszu Hererów do poddania się.

Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobił gubernator, było złożenie wizyty w obozie koncentracyjnym Swakopmund. Eskortowany przez wojskową załogę obozu oraz prasę, minął ogrodzenie z drutu kolczastego i wszedł na podwyższenie. Stamtąd obejrzał sobie ośmiuset Hererów, głównie kobiety. Choć było na to zaledwie dzień, misjonarz Vedder zrobił co mógł, żeby ukryć prawdziwy stan, w jakim znajdowali się więźniowie, między innymi rozdając im używaną odzież. Spoglądając na więźniów przez szkła cwikerów, von Lindequist zwrócił się do nich:

Hererowie! Wielki cesarz niemiecki wysłał mnie w charakterze następcy gubernatora Leutweina, żebym objął władzę nad tą krainą. Kiedy dowiedziałem się o waszym powstaniu, zdjął mnie wielki ból. Nie mieliście ku temu żadnych powodów (...). To, że większość waszych wodzów i dowódców jest dziś martwa albo znajduje się na wygnaniu na obczyźnie; że wasz naród został całkowicie zniszczony, a wy znajdujecie się w niewoli; to wszystko jest wyłącznie waszą winą. Ale znowu będziecie wolni, z wyjątkiem tych, którzy zabijali farmerów i kupców – tych spotka zasłużona kara. Nie mogę ulżyć waszemu losowi, dopóki wasi przebywający w buszu pobratymcy nie poddadzą się i nie zgłoszą się do nas. (...) Im szybciej to uczynią, tym szybciej wasza niewola dobiegnie końca. W tej chwili nie mogę złożyć wam żadnych obietnic, ale mogę powiedzieć jedno – kto będzie się dobrze zachowywał, będzie dobrze traktowany^[278].

Próbując zrozumieć politykę Friedricha von Lindequista jako gubernatora Niemieckiej Afryki Południowo-Wschodniej, trudno nie zastanawiać się, czy na jego idee i metody nie wpłynął pobyt w Afryce Południowej. Jako niemiecki konsul w Kapsztadzie miał on wyjątkowy wgląd w brytyjski sposób prowadzenia wojny i katastrofalne skutki polityki obozów koncentracyjnych.

Internowanie przez Brytyjczyków burskich cywilów miało, po części, odebrać rebeliantom wsparcie ludności cywilnej i osłabić powstanie. Kitchener żywił też nadzieję, że uwięzienie rodzin skłoni Burów do poddania się, zwłaszcza że Brytyjczycy posuwali się do tego, że rodziny partyzantów otrzymywały mniejsze racje żywnościowe.

Obietnica, jaką von Lindequist złożył Hererom – że ich cierpienie w obozach koncentracyjnych zakończy się, jeśli poddadzą się ich „przebywający w buszu pobratymcy” – przypomina wczesną strategię Kitchenera. Była jednak pewna zasadnicza różnica. W czasie wojny burskiej wzniesiono obozy koncentracyjne, żeby zakończyć trwające powstanie. Kiedy von Lindequist objął władzę w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, Hererowie byli już pokonani. Jak sam przyznał w połowie 1906 roku, nie mieli już ani możliwości, ani ochoty walczyć. Obozy koncentracyjne nie były zatem częścią strategii wojskowej.

Co więcej, von Lindequist nie miał wcale zamiaru wypuszczać więźniów z obozów bez względu na to, czy ich „pobratymcy” poddali się, czy nie. Być może liczył na to, że wiadomość o jego obietnicy dotrze do przebywających w buszu Hererów, zaniesiona przez uciekinierów albo pełniących rolę strażników przedstawicieli ludu Damara^[279]. Możliwe jest też to, że składając niejasną obietnicę wolności, von Lindequist wierzył, że w ten sposób skłoni Hererów do cięższej pracy tudzież pokornego znoszenia swojego losu. Jakże nie kierowałyby nim motyw, przemówienie gubernatora było zaledwie pierwszym z całej serii oszustw.

Mowa w Swakopmundzie była również pierwszą próbą von Lindequista napisania na nowo historii. Obiecawszy Hererom, że będą lepiej traktowani, kiedy poddadzą się ich rodacy, zażądał od nich, by przyznali, że to oni odpowiadają za wybuch wojny i że zdają się na łaskę jego oraz cesarza. „Czy przyznajecie – pytał ich – że zaczęliście tę wojnę bez powodu i że wy sami ponosicie winę za swoją niedolę?”. Zebrani więźniowie zostali zmuszeni – zapewne przez misjonarzy – do tego, by jednogłośnie odpowiedzieli: „Tak, wiemy to”. Wtedy gubernator spytał: „Czy wierzycie, że będę was odtąd sądził sprawiedliwie i łaskawie?”. Hererowie mieli odpowiedzieć: „Tak, ufamy panu”. „Witam was w imieniu cesarza; zachowujcie się dobrze, a wasza przyszłość będzie pomyślna” – zakończył von Lindequist^[280].

Gubernator, zawodowy dyplomata, rozumiał rzeczy, które umykały von Trocie, ograniczonemu wojskowemu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że międzynarodowa pozycja Niemiec w pierwszych latach XX stulecia znajdowała się w kryzysie – po części z powodu ciągłych oskarżeń o „militaryzm” oraz „nadużycia” w koloniach. W takiej atmosferze jawna brutalność rozkazu eksterminacji oraz koszmarny obozów koncentracyjnych jeszcze bardziej zagrażały reputacji kraju. Von Lindequist postanowił stworzyć alternatywną rzeczywistość, żeby ukryć działania swoje i generała von Trothy.

Wygłoszone w obozie Swakopmund przemówienie gubernatora do Hererów było zaledwie początkiem długiego procesu wypaczania przeszłości, ukrywania prawdy o wojnach toczonych z Nama i Hererami. Pod rządami von Lindequista przekłamania – i jawne kłamstwa – które już w 1904 roku pojawiły się w prokolonialnej propagandzie, stały się historycznymi faktami. W wersji gubernatora wojny prowadzone przez Niemców z Hererami i Nama stoczono w samoobronie. Niemiecka armia po prostu ruszyła na pomoc zdesperowanym osadnikom. W ten sposób von Lindequist został pierwszym architektem oficjalnej historii Afryki Południowo-Zachodniej, fikcyjnego opisu przeszłości kolonii, który okazał się tak trwały, że pod wieloma względami przeżył Cesarstwo Niemieckie o ponad siedem dekad.



W lutym 1907 roku, trzynastcie miesięcy od objęcia stanowiska gubernatora, w depeszy do

Berlina Friedrich von Lindequist mógł pochwalić się, że „północne i centralne części kolonii są praktycznie wolne od Hererów”. Dokonał on rasowego oczyszczenia Hererolandu przy pomocy grupy, którą generał von Trotha marginalizował – misjonarzy.

W Windhuku von Lindequist zorganizował spotkanie z Friedrichem Eichem, szefem misji w Hererolandzie, i zasugerował, by misjonarze spróbowali przekonać do kapitulacji ukrywających się w buszu Hererów. Gubernator starał się przedstawić to jako misję pokojową i ostatecznie Eich oraz pozostali misjonarze zgodzili się [\[281\]](#).

Z punktu widzenia von Lindequista misjonarze nadawali się do tego zadania idealnie. Najstarszy z nich przebywał w krainie Hererów ponad 30 lat, większość doskonale znała teren, a niektórzy nawet mówili językiem *otjiherero*. Z wieloma tubylczymi wspólnotami łączyły ich więzy przyjaźni, na które mogli się teraz powoływać. Sami misjonarze chcieli odbudować kongregacje i odgrywać większą rolę w życiu kolonii. W ciągu osiemnastu miesięcy rządów von Trothy misje znalazły się na krawędzi upadku. Wojna oddzieliła misjonarzy od ich wspólnot, a po bitwie pod Waterbergiem na północy kolonii przestali się liczyć w ogóle.

W drugim tygodniu grudnia von Lindequist ogłosił, że jego administracja wyasygnuje pieniądze na odbudowę dwóch opuszczonych misji w Hererolandzie – jednej w Otjihaëna, około stu kilometrów na wschód od Windhuku, innej na zachodzie, w Omburo. W tych właśnie placówkach misjonarze mieli „gromadzić” ostatnich pozostających na wolności Hererów. Aby pomóc w zachęcaniu ich do kapitulacji, gubernator zaopatrył misje w koce, jedzenie i tytoń. Co więcej, zgodził się na to, by żołnierze nie przeczesywali buszu ani nie przebywali w placówkach. Powierzyszy to zadanie wyłącznie misjonarzom, gubernator mógł skierować armię do walki z Nama.

Stacja Omburo w zachodniej części krainy Hererów miała być otwarta jako pierwsza. Na jej czele postawiono doświadczonego i bardzo szanowanego misjonarza Augusta Kuhlmana, który wraz z rodziną i kilkoma wiernymi przybył do Omburo 21 grudnia 1905 roku. Przeczesywać busz, znajdować grupy Hererów i przekonywać ich do tego, by się poddali, mieli już nie misjonarze, ale sami Hererowie, których wybrano spośród tysięcy przymusowych robotników budujących kolej. Dwudziestu Hererów wybranych przez Kuhlmana podzielono na tak zwane patrole pokojowe. Otrzymali konie, zapasy jedzenia, a nawet karabiny. Ich zadaniem było znajdowanie ukrywających się pobratymców i wyjaśnianie im, że Niemcy są gotowi teraz przyjąć ich kapitulację. Patrole pokojowe przekonywały napotkanych, sterroryzowanych Hererów, że w punktach zbiórki nie ma żołnierzy, nie czekają na nich zasadzki, ani inne podstępny, jest natomiast jedzenie i szansa na spotkanie misjonarzy i ich wiary. Aby przydać im autorytetu, patrole pokojowe otrzymały kopie długiej odezwy gubernatora von Lindequista, w której oferował Hererom jedzenie, schronienie i bezpieczeństwo.

Hererowie, (...) generał von Trotha, który prowadził z wami wojnę, przed kilkoma dniami wrócił do Niemiec. Jego wyjazd oznacza, że wojna dobiega końca (...). Wzywam was, przebywających w buszu i w górach, żywiących się roślinnością i zajmujących się złodziejstwem: odłóżcie broń. Tysiące waszych pobratymców już się poddało i teraz władze żywią ich i odziewają. Zrobiłem wszystko, żebyście byli dobrze traktowani. To samo gwarantuję wam (...). Przybądźcie do Otjihaëna i Omburo. (...) Przybywajcie, Hererowie, zanim będzie za późno^[282].

Zaledwie cztery dni po tym, jak otwarty został posterunek w Omburo, pierwsze patrole pokojowe zniknęły w buszu, rozplywając się w rozgrzanym, falującym powietrzu. Cztery dni później wróciły z ludzką zdobyczą – dwudziestoma dwoma wychudzonymi Hererami. W ciągu następnych miesięcy z buszu wyłaniały się te, przypominające widma, postaci i zgodnie z obietnicą Lindequista otrzymywały jedzenie, koce, tytoń oraz sporą dawkę prozelityzmu od Kuhlmana i pozostałych misjonarzy.

W początkowym etapie akcji gromadzenia Hererów jedzenie składało się ze standardowych racji: mąki, ryżu, konserw. Kiedy jednak w lutym zaczęła się pora deszczowa, ogród Kuhlmana zaczął rodzić warzywa. Wypoczęci i odżywieni Hererowie powoli dochodzili do siebie. Zdawało się, że ich męka dobiegła końca. W lutym Kuhlmann donosił, że w Omburo przebywało tysiąc siedmiuset Hererów – w czerwcu były ich już cztery tysiące. Misjonarze odnieśli taki sukces w Otjihaëna i Omburo, że otwarto dwie kolejne placówki: w Otjonzongombe, w pobliżu Waterbergu, oraz w Okomitombe, przy wschodniej granicy z Beczuaną.

W kwietniu 1906 roku w obozach zbiorczych znajdowały się tysiące Hererów, powoli dochodzących do siebie po straszliwych przeżyciach. Stopniowo jednak patrole pokojowe wypraszały ich z obozów, gdyż – jak mówiono – kończyły się zapasy. Wielu zaprowadzono do niemieckich miasteczek, a stamtąd do obozów koncentracyjnych albo bezpośrednio do pracy przy kładzeniu torów kolejowych. Hererowie z Omburo zostali zabrani do odległego o 50 kilometrów obozu koncentracyjnego w Omaruru, a ci z Otjihaëna – bezpośrednio do obozu w Windhuku^[283].

Misjonarze nie zaprzestali współpracy z von Lindequistem nawet wtedy, gdy stało się oczywiste, że zgromadzeni przez pokojowe patrole Hererowie mają trafić do obozów koncentracyjnych albo do przymusowej pracy przy budowie kolei. Choć prywatnie niektórzy misjonarze wyrażali z tego powodu oburzenie, stać ich było tylko na pomruki niezadowolenia. Oficjalnie współpraca władzy z misjonarzami została przedstawiona jako wielki sukces. W biuletynie z 1906 roku misja wyraża pragnienie „podziękowania z całego serca Naszemu Panu za to, że dał nam zadanie zaprowadzenia pokoju i porządku w Afryce Południowo-Zachodniej”. Dyrektor Towarzystwa, Spiecker, który podróżował po kolonii w samym szczycie kampanii gromadzenia Hererów, ocenił ją uczciwie. Przy

okazji wizyty w stacji Otjijaëna napisał: „Hererowie radowali mnie na wiele sposobów, ale raz za razem serce mi się krajało, kiedy myślałem o tym, co ich czeka”^[284].



Gubernator von Lindequist przybył do Afryki Południowo-Zachodniej dzień po tym, jak Samuel Izaak poddał się w Barsebie, a major von Estorff oficjalnie przystał na jego warunki kapitulacji. Zaledwie kilka godzin po przybiciu do portu von Lindequist wysłał pilny telegram do von Estorffa, nakazując mu wycofanie wszelkich gwarancji, jakich udzielił Izaakowi i Witbooiom. Kiedy major zignorował rozkaz, gubernator musiał pogodzić się z tym, że warunki kapitulacji stały się *fait accompli*. Zaakceptował to, że „Nama będą mogli swobodnie się osiedlić, otrzymawszy wytyczne od miejscowych władz wojskowych”, ale żeby udobruchać Berlin, wymógł, żeby „osady były dzień i noc strzeżone przez armię”^[285].

Spór między von Lindequistem i von Estorffem w kwestii kapitulacji Witbooiów ujawnia, że pod nowymi rządami głosem umiaru była armia, a nie administracja cywilna. Von Lindequist, który obiecał cesarzowi całkowite zwycięstwo, musiał opracować jakąś alternatywną strategię skłonięcia reszty Nama do kapitulacji, a następnie złamania ich. W pierwszych tygodniach 1905 roku do Gibeon przybyli Samuel Izaak oraz ponad sto trzydzieści kobiet, mężczyzn i dzieci. Miasteczko było kiedyś ich domem, a teraz miało być jedną z „wolnych osad”, w których zgodnie z warunkami kapitulacji mieli prawo zamieszkać. Polecono im założyć obozowisko na skalistym wzgórzu leżącym naprzeciwko tego samego niemieckiego fortu, w którym rok wcześniej biali mieszkańcy Gibeon schronili się przed Hendrikiem Witbooiem. Choć od czasu do czasu ich obóz patrolował jakiś niemiecki strażnik, przeważnie zostawiano ich w spokoju. Nie otoczono ich osady drutem kolczastym, niemiecki garnizon traktował ich dobrze, a nawet pozwolono im na hodowlę zwierząt. Powoli zaczęli dochodzić do siebie po okropnościach wojny. Dzieci wysłano do szkoły, prowadzonej przez misję w Gibeon i ku radości jej duchownego Christiana Spellmeyera cała wspólnota zaczęła uczestniczyć w niedzielnych mszach, odprawianych w miejscowym kościele^[286].

Po dwóch tygodniach w Gibeon Samuel Izaak złożył wizytę w niemieckim forcie, gdzie spotkał się z oficerami. Atmosfera była uprzejma, a mężczyźni, którzy jeszcze kilka tygodni wcześniej byli zaprzysięgłymi wrogami, dzielili się wojennymi opowieściami. Ku zdumieniu dowódcy garnizonu, majora von Maerckera, Samuel Izaak potrafił czytać niemieckie mapy wojenne i pokazywał im miejsca, w których on i Hendrik Witbooi ukrywali się przed pościgami.

Sposób, w jaki przyjęto Witbooiów w Gibeon, był diametralnie różny od tego, w jaki traktowano Hererów w obozach koncentracyjnych. Nie świadczył jednak o tym, że gubernator von Lindequist ma zamiar wybaczyć im bunt albo zawrzeć z nimi kolejny sojusz. Pozorna wielkoduszność

gubernatora wynikała z tego, że nie mogąc pokonać Nama militarnie, zamierzał wykorzystać Samuela Izaaka i jego ludzi jako przynętę, na którą mógł zwabić pozostałe klany Nama. 7 grudnia napisał to wprost w depešy do Berlina, obiecując, że „Witbooiowie nie zostaną uwolnieni, ale przez jakiś czas będą traktowani jak jeńcy wojenni”^[287].

Samuel Izaak był przekonany, że Niemcy naprawdę chcą doprowadzić do polubownego zakończenia konfliktu i że cały naród Nama będzie traktowany tak samo, jak jego ludzie w Gibeon. Samuel zgodził się wysłać listy do pozostałych *kapteinów*, namawiając ich, by porzucili walkę i przybyli do Gibeon, żeby złożyć broń. Zapewnił ich, że warunki kapitulacji są korzystne i będą dobrze traktowani. Pierwszym przywódcą Nama, który na to przystał, był wódz Witbooiów Sebulon, jeden z wielu zastępców Hendrika Witbooi. Kiedy razem z grupą dwustu osób niepewnie zbliżył się do Gibeon, uspokoił go Samuel, który wyjechał mu na powitanie. W ciągu następných trzech miesięcy podobnie postąpiło ponad tysiąc Nama. W lutym 1906 roku poddali się ostatni Witbooiowie, którzy po śmierci Hendrika kontynuowali walkę pod wodzą Isaaka Witbooi. Miesiąc później przybył także Cornelius Fredericks, przywódca Nama z Bethanie, którego przekonały doniesienia z Gibeon^[288].

Kiedy klany Nama składały broń, gubernator von Lindequist przygotowywał się do renegocjowania warunków ich kapitulacji. W styczniu razem z pułkownikiem Damem rozkazał wyższym rangą oficerom w Gibeon poinformować Nama, że zostaną wysłani na północ, do Windhuku. Rozkaz, jaki 13 stycznia otrzymał major Pierer z Gibeon, brzmiał:

Poinformować Samuela Izaaka i starszyznę, że przeniesienie [do Windhuku] jest konieczne z powodu zapasów pożywienia, a także, że obietnice złożone przez majora von Estorffa pozostają w mocy. Powiadomić także Samuela Izaaka, że szacowny gubernator życzy sobie spotkać się z nim, żeby porozmawiać o przyszłości jego ludzi^[289].

Na początku lutego 1906 roku niemal dwa tysiące Nama – przekonanych, że powód ich przeniesienia jest niegroźny – wyruszyło w liczącą 320 kilometrów wędrówkę do Windhuku. Byli całkowicie nieświadomi tego, że prowadzi się ich do obozu koncentracyjnego. Nieznany fotograf zrobił jedno zdjęcie z wędrówki Nama. Widzimy na nim długi szereg ludzi, ciągnący się aż po horyzont. Więcej jest kobiet niż mężczyzn. Z wyjątkiem kilku starszych, którzy jadą na koniach, większość idzie piechotą. Mają usta zakryte chustami chroniącymi przed chmurami pyłu, które wzbijają się w czasie marszu. Nie widać żadnego niemieckiego strażnika^[290].

W trzecim tygodniu lutego (nie dysponujemy dokładną datą) Nama dotarli do obozu koncentracyjnego w Windhuku. Mieścił się on na zboczach wzgórza, na którym stał stary niemiecki fort. Granicę obozu wyznaczał nie drut kolczasty, ale gęsty szereg ściętych pni akacji, których

ciemnie miały nawet kilka centymetrów długości i z łatwością wbijały się w ciało. Wewnątrz tego ciemnego ogrodzenia stało kilka rzędów gęsto zbudowanych chat, naprędce wzniesionych ze szmat i gałęzi. Przy północnym wejściu do obozu, w zbiorowisku płóciennych namiotów wojskowych, zamieszkały setki więźniów, dla których nie było miejsca w chatach. Cały obóz był przeżarty brudem i potwornie cuchnął. Przetrzyniowano w nim wówczas około czterech tysięcy Hererów^[291].

Począwszy od lutego 1906 roku do obozu spływał strumień więźniów Nama. Witbooiowie przybyli jako jedni z pierwszych, ale wkrótce dołączyły do nich inne, mniejsze klany, jeden po drugim poddające się i przesiedlane na północ. Nama umieszczono w innej części niż Hererów i zaledwie po kilku dniach von Lindequist przybył, żeby przemówić do nich.

W towarzystwie grupy dziennikarzy, ważnych osadników i urzędników kolonii gubernator wygłosił przemówienie, w którym obarczył Nama winą za wybuch wojny i oskarżył o barbarzyńskie zachowanie:

Waszego powstania nie można określić mianem prawdziwej wojny, ale raczej atakiem na nie podejrzewających i bezbronnych ludzi. Można to uznać za morderstwo z premedytacją (...). *Kaptein* Hendrik Witbooi nie żyje i nie może zostać pociągnięty do odpowiedzialności, ale wszyscy stojący dziś tutaj dzielą jego winę, gdyż nie musieliście słuchać jego rozkazów. Zgodnie z traktatem zawartym przez was z niemieckimi władzami, waszym najwyższym przywódcą nie był Hendrik Witbooi, ale niemiecki cesarz. Złamaliście ten pakt bez powodu i staliście się winni morderstwa. Karą za tę zbrodnię jest śmierć i wszyscy zasługujecie na to, żeby was zabić. To, że sprawiedliwości nie stanie się zadość, wynika tylko z założenia, że nie byliście świadomi skali waszego działania. Oczekuję też, że spróbowacie wynagrodzić poczynione krzywdy (...). Wierzę, że ty, Samuelu Izaaku, i ty, Hansie Hendriku, macie wystarczający wpływ, żeby zapobiec w przyszłości wszelkim bezmyślnym postępkom waszych ludzi^[292].

Von Lindequist poinformował Nama, że za swoje „zbrodnie” otrzymają taką samą karę jak Hererowie. „Zostaniecie wysłani do pracy – powiedział – i ostrzegam was: pracujcie ciężko i słuchajcie rozkazów, które będą wam wydawane w moim imieniu”^[293].

Mając w niewoli tysiące Hererów i Nama, cywilna administracja von Lindequista zaczęła wykorzystywać siłę roboczą Afrykanów znacznie intensywniej, niż kiedykolwiek próbował to robić von Trotha. Pod rządami von Lindequista praca przymusowa stała się charakterystyczną cechą – i główną patologią – obozów koncentracyjnych. Ustanowiony przez niego reżim był tak zębny dla Hererów i Nama, że można go uważać za ciąg dalszy ich eksterminacji, tym razem metodami niemilitarnymi.

Cztery tysiące Hererów, którzy wciąż przebywali w obozie w Windhuku, zatrudniono przy budowie nowego budynku administracyjnego, domów prywatnych, a nawet willi zastępcy gubernatora, Oskara Hintragera. Najwięcej z nich pracowało jednak przy największym publicznym projekcie podjętym przez administrację kolonii – budowie kolei, która stała się siłą napędową całego systemu obozów koncentracyjnych.

W 1906 roku trwała budowa dwóch linii kolejowych. Pierwsza biegła ze Swakopmundu do położonych na północy kopalni Otavi. Druga łączyła Lüderitz i położone na południu interioru Aus. Siedem tysięcy Hererów, rozproszonych po całej kolonii, już pracowało pod gołym niebem w formalnych obozach koncentracyjnych, w większości także przy budowie kolei. Wielu z nich mieszkało w zagrodach, które wraz z postępami przy budowie torów przenoszono w głąb buszu albo pustyni.

Stała potrzeba siły roboczej skłaniała Niemców do najeżdżania na stacje zbiórki Hererów. Zapotrzebowanie na robotników było tak pilne, że Niemcy nie dawali nawet niedożywionym Hererom wystarczającego czasu, żeby doszli do siebie. Na początku 1906 roku, kiedy zaczęła się budowa linii kolejowej z Lüderitz do Aus, władze kolonialne nakazały Kuhlmannowi w Omburo wysyłać więźniów od razu do układania torów. Polecono mu przekazywać ich jak najwięcej – chorych i zdrowych, starych i młodych, bez wyjątku^[294].

Praca, szczególnie przy kładzeniu ciężkich, stalowych szyn i prefabrykowanych stalowych podkładów, była wyjątkowo ciężka. Robotnicy przymusowi pracujący przy budowie kolei żyli w równie złych warunkach i byli równie źle żywieni jak więźniowie obozów koncentracyjnych. Złe traktowanie przez strażników było na porządku dziennym. Traugott Tjienda, Herero pracujący przy budowie linii Otavi, tak opisywał panujące tam warunki:

Nie płacono nam za naszą pracę, traktowano nas jak więźniów. Pracowałem dwa lata za darmo (...). Przebywaliśmy za ogrodzeniami z ciemnych krzewów, kobiety i mężczyźni razem (...), żołnierze strzegli nas dzień i noc. Kobiety musiały zajmować się także codziennymi obowiązkami. Nie dźwigały ciężkich szyn, ale musiały ładować i rozładowywać wagony i wozy, a także pracować łopatami i oskardami (...). [Nasze kobiety] zmuszano do mieszkania z żołnierzami i białymi robotnikami. To, że jakaś kobieta była zamężna, nie chroniło jej w żaden sposób. Dziewczęta gwałcono i źle traktowano. Zabierano z obozowiska w busz i tam napastowano. Nie wydaje mi się, żeby którakolwiek kobieta uniknęła tego losu, może z wyjątkiem starych^[295].

Zapotrzebowanie na robotników było tak duże również z powodu wysokiej śmiertelności więźniów. Według statystyk firmy Lenz, której powierzono budowę nasypów linii z Lüderitz do Aus,

między styczniem 1906 i czerwcem 1907 roku pracowało przy tym w sumie 2014 Hererów^[296]. W raporcie do władz kolonii firma Lenz bez ogródek przyznawała, że w ciągu osiemnastu miesięcy zmarło 1359 więźniów. Kancelista przedsiębiorstwa oszacował nawet procentową śmiertelność – 67,48 procent.

Na początku 1906 roku do pracy przymusowej przygotowano Nama z obozu Windhuk. Podzielono ich na dwie kategorie: zdolnych do pracy (*Arbeitsfähige*) oraz niezdolnych do pracy (*Arbeitsunfähige*). „Niezdolnych” zostawiono w obozie koncentracyjnym, a „zdolnych” – kobiety, mężczyźni, dzieci – rozdysponowano po całej kolonii, przydzielając ich do rozmaitych zadań. Tak jak Hererowie, najczęściej trafili do budowy kolei. Ci, którzy wylądowali przy linii Swakopmund – Otavi, pracowali razem z tymi Herero, których zmuszono do opuszczenia placówki misjonarza Kuhlmana w Omburo.

Dla Nama, drobniejszych od Hererów, warunki były jeszcze cięższe. W 1906 roku donoszono, że nie nadają się do pracy w ogóle, a szczególnie już przy budowie kolei. Jeszcze na długo przed wojną w gazetach kolonii nie brakowało listów i artykułów, w których pisano, że Nama mają tak buntowniczą i niepokorną naturę, że kiedy przyjdzie czas, nie będą w stanie dostosować się do warunków niewoli i przyjąć roli pozbawionych ziemi, podporządkowanych swoim panom robotników. Teraz pisano, że rzeczywistość potwierdziła te zarzuty i pod znakiem zapytania stoi przyszłość całego narodu Nama.

Im powszechniejszy stawał się w Afryce Południowo-Zachodniej darwinowski ogląd rzeczywistości, tym gorszy był stosunek do Nama. Niemiecki antropolog Leonhard Schultze, który w 1905 roku prowadził badania polowe wśród pochodzących z tego ludu więźniów, twierdził, że dla sukcesu niemieckiego projektu kolonialnego należy pozwolić na to, by rasy niezdolne do pracy po prostu zniknęły z powierzchni ziemi. „Walka o nasz własny byt nie zezwala na żadne inne rozwiązania – pisał – My, którzy budujemy domy na grobach tych ras, jesteśmy odpowiedzialni za obronę [naszej] cywilizacji, wszelkimi środkami”^[297].

Tak jak Indianie Ameryki Północnej czy Aborygeni z Tasmanii, Nama byli ludem, którego praca przedstawiała nikłą wartość. Na ich niekorzyść działała także reputacja ludu wojowniczego. W połowie roku 1906 obecność w obozach koncentracyjnych więźniów z tej nacji – szczególnie Witbooiów – zaczęła przeszkadzać miejscowym osadnikom. W artykule opublikowanym 1 sierpnia 1906 roku w gazecie „Der Deutsche” napisano, że mieszkańcy Windhuku – tak żołnierze, jak i koloniści – są źli, że Witbooiowie mieszkają za blisko niemieckich domów. Choć w obozach przebywały wówczas głównie kobiety i dzieci oraz ludzie niezdolni do pracy, dla dwóch i pół tysiąca mieszkańców Windhuku to i tak było nie do przyjęcia. Kiedy w sierpniu uciekło z obozu kilkoro więźniów, wzmogła się presja na von Lindequista, by usunął Nama ze stolicy^[298].

Uznawszy ich za kiepskich robotników, gubernator szukał innego rozwiązania problemu Nama.

Początkowo planował deportować ich do niemieckiej kolonii Samoa, na południowym Pacyfiku, ale Departament Kolonii szybko odrzucił tę możliwość z powodu „kosztów transportu”. Ostatecznym rozwiązaniem von Lindequista było wysłanie Nama do obozu koncentracyjnego na położonej w Zatoce Lüderitza Shark Island.

[272] NAN, Photo Library: Arrival of Lindequist; Bundesarchiv Koblenz, Kl. Erwerbungen, Nachlass Lindequist, teczka 275; NAN, Biographies: Lindequist; Heinrich Vedder, *Kurze Geschichten aus einem langen Leben*, Wuppertal-Barmen 1953, s. 145–147; ELCN, RMS, Missionsberichte 1906; Gilbert Isaac Schrank, *German South-West Africa: Social and Economic Aspects of Its History, 1884–1915*, New York 1974, s. 206.

[273] Feldmarszałek Oskar von Lindequist (przyp. tłum.).

[274] Powody wybuchu II wojny burskiej były dużo bardziej skomplikowane. Wielka Brytania przymierzała się do zjednoczenia całej Afryki Południowej pod swoim panowaniem i zlikwidowania niezależności obu burskich republik – Wolnego Państwa Oranii oraz Republiki Południowoafrykańskiej, zwanej potocznie Transwalem. Atak Burów w Kimberley był tylko odpowiedzią na odrzucenie przez Wielką Brytanię burskiego ultimatum, by wycofała swoje wojska z granicy z Transwalem (przyp. tłum.).

[275] Schrank, op. cit., s. 206.

[276] NAN, Vedder Quellen, 29A, s. 99.

[277] NAN, ZBU 454, D.VI.1.3, t. 1, s. 187-188.

[278] Vedder, op. cit., s. 145–147; ELCN, RMS, Missionsberichte 1906, s. 34–36.

[279] Damara są najmniejszym ludem zamieszkującym dzisiejszą Namibię, mówią językiem *nama* (przyp. tłum.).

[280] Ibidem.

[281] ELCN, RMS, Missionsberichte 1906, s. 36–37; NAN, Vedder Quellen, 29A, s. 99–100.

[282] ELCN, RMS, Missionsberichte 1906, s. 36–37; Horst Drechsler, *Let Us Die Fighting*, Berlin 1986, s. 207–210, przyp. 161.

[283] Casper W. Erichsen, *The Angel of Death Has Descended Violently among Them: Concentration Camps and Prisoners-of-War in Namibia, 1904–08*, Leiden 2005, s. 28–44.

[284] ELCN, RMS, Missionsberichte 1906, s. 167.

[285] NAN, ZBU 2369 Secret Files: Witbooi-Hottentotten, VIII.g, t. 1, s. 8; ELCN, RMS,

Missions-berichte 1906, s. 67–68.

[286] ELCN, RMS, Missions-berichte 1906, s. 67–68.

[287] Walter Nuhn, *Feind Überall*, Bonn 2000, s. 179.

[288] *Kriegsgeschichtlichen Abteilung I des Grossen Generalstabes, Die Kämpfe der deutschen Truppen in Südwestafrika*, t. 2, Berlin 1907, s. 180–183; NAN, ZBU 2369 Secret Files: Witbooi-Hottentotten, VIIIg., t. 1, s. 44 (stara numeracja).

[289] NAN, ZBU 2369 Secret Files: Witbooi-Hottentotten, VIIIg. t. 1, s. 52-55.

[290] Friedrich von Dincklage-Campe, *Deutsche Reiter in Südwest*, Berlin 1908, s. 14.

[291] Erichsen, op. cit., s. 42–51.

[292] „Windhuker Nachrichten”, 22 marca 1906.

[293] Ibidem.

[294] Gerhardus Pool, *Die Herero-Opstand 1904–07*, Cape Town 1979, s. 270.

[295] Jeremy Silvester, Jan-Bart Gewald, *Words Cannot Be Found: German Colonial Rule in Namibia*, Brill, Leiden 2003, s. 178.

[296] Lenz & Co. GmbH, z siedzibą najpierw w Stettinie (Szczecinie), a potem w Berlinie (przyp. tłum.).

[297] Leonhard Schultze, *Südwestafrika*, w: H. Meyer (red.), *Das Deutsche Kolonialreich*, t. 2, Leipzig 1914, s. 295.

[298] „Der Deutsche”, 1 sierpnia 1906; cyt. za: Nuhn, op. cit., s. 266.

ROZDZIAŁ 12

Wyspa śmierci

Kiedy zakładano miasto Lüderitz, miało ono być bramą wiodącą na południe kolonii. Ponieważ Walvis Bay znajdowało się w rękach Brytyjczyków, Zatoka Lüderitza była najlepszym naturalnym portem między Angolą a rzeką Oranje. Mimo to miasto wędło, a głównym portem Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej był Swakopmund.

Z każdym rokiem przybywali kolejni osadnicy – rybacy, pomniejsi urzędnicy kolonialni oraz robotnicy pracujący na przybrzeżnych wysepkach pełnych guana. Na przełomie wieków Lüderitz wyglądało jak baza, z której kolonialni pionierzy zamierzali wyruszyć na wielką ekspedycję, ale nie została ona nigdy zrealizowana. Brytyjski lekarz wojskowy, który odwiedził miasto, próbował zrozumieć, jak doszło do tego, że takie miasto w ogóle powstało:

 Nie sądzę, żeby w całym świecie istniało miejsce na miasto bardziej niegościnne, przygnębiające i zapomniane przez Boga niż to. Nikt inny, z wyjątkiem największych optymistów, jak Niemcy, nie mógł śnić o tym, by założyć tu miasto. Nie ma w pobliżu ani kropli słodkiej wody, żadnej roślinności, żadnego drzewa, tylko wodorosty^[299].

W ciągu zaledwie dwóch lat, począwszy od 1904 roku, dwa dziesięciolecia stagnacji odeszły w niepamięć. Lüderitz przemieniło się w tętniące życiem miasto portowe, ale nie za sprawą naglej fali osadnictwa albo odkrycia surowców naturalnych lecz z powodu wojny Niemców z Nama.

W 1905 roku miasto stało się głównym portem, do którego przybywali żołnierze oraz przyływały zapasy. Wzniesiono ważny szpital i placówkę Reńskiego Towarzystwa Misyjnego, otwarto nowe hotele, pobudowano domy. Pojawiły się rzędy wojskowych namiotów i naprędce wzniesionych magazynów. W roku 1907 miasto zyskało nawet własny generator prądu – choć na początku z elektryczności korzystała tylko armia – a także latarnie przy głównej ulicy. Przed rokiem 1904 Lüderitz liczyło zaledwie dwadzieścioro stałych mieszkańców – w połowie roku 1905 niemiecka ludność miasta wynosiła już ponad osiemset osób.

Ten sam konflikt, który przyniósł zniszczenie Nama, stworzył Lüderitz. Wojna stała się dla niego biznesem. Miasto opanowali żołnierze, którzy bez przerwy albo przybywali z Niemiec, albo bawili się w oczekiwaniu na powrót do ojczyzny po zakończonej służbie. Otworzyły się trzy hotele z „kelnerkami”, Fürst Bismarck, Hotel National i Central Hotel, które przyciągały prostytutki i rozślawiały miasto.

Żołnierze nie byli jedynymi, którzy w 1905 roku przybywali do Lüderitz. Przyciągało ono poszukiwaczy przygód, awanturników, włóczęgów i bandytów z całego świata. Rejestr przestępstw z tamtych lat ukazuje kierujące się żądzą pieniądza miasto pogranicza, nękanie przemocą i alkoholem, utrzymujące się z iluzorycznej gospodarki wojennej. Aresztowani w 1905 roku w Lüderitz mężczyźni pochodzili nawet z Argentyny, Szwecji i Irlandii. Był to legendarny okres w historii Namibii – lata „Dzkiego Południowego Zachodu”.

Dla niemieckich żołnierzy i białych poszukiwaczy przygód Lüderitz było kwitnącym miastem pogranicza, ale ta sama wojna, która przyniosła boom, sprowadziła też tysiące afrykańskich więźniów. Dla nich, i dla wszystkich rdzennych mieszkańców Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, Lüderitz stało się najbardziej przerażającym miejscem na świecie^[300].



W szczytowym okresie rozkwitu w Lüderitz działały trzy obozy koncentracyjne. Najstraszniejszy z nich mieścił się na Shark Island, jednej z trzech małych wysepek, które odgradzały Zatokę Lüderitza od południowego Atlantyku. Miała ona zaledwie 1,2 kilometra długości z północy na południe i około 280 metrów w najszerszym miejscu. Ze stałym lądem łączyła ją wąska grobla.

Kiedy na południu nastąpiła eskalacja działań wojennych, władze kolonii zbudowały na wyspie wielką stację kwarantanny, w której niemieccy żołnierze wracający z interioru przebywali przez tydzień, zanim zezwolono im na wstęp do miasta. Na początku 1905 roku w inny sposób zaczęto wykorzystywać Shark Island.

Wyspa, mająca tylko jedno łatwe do pilnowania wejście, została wybrana na miejsce obozu koncentracyjnego. Wybudowano go na jej najdalszym krańcu, o który z trzech stron rozbijały się wiatry południowego Atlantyku. Na samym początku obóz składał się z kilku bud z blachy falistej,

w których przed wiatrem i zimnem chronili się strażnicy, odgradzonych od reszty wyspy drutem kolczastym.

Głównym źródłem informacji, jakimi dysponujemy na temat wczesnych dni obozu Shark Island, są (znowu) listy misjonarzy. Choć wiemy, że uwięzionych Hererów wysyłano tam już w czerwcu 1904, dopiero na początku następnego roku obóz zaczął działać naprawdę. W maju Heinrich Vedder, misjonarz ze Swakopmundu, otrzymał raport wojskowy z Lüderitz, w którym odnotowano pierwsze zgony na Shark Island. W liście do Wilhelma Eich, swojego kolegi z Okahandja, Vedder donosi, że w obozie zmarło pięćdziesięciu dziewięciu mężczyzn, pięćdziesiąt dziewięć kobiet i siedemdziesięcioro troje dzieci. Nie wiedząc, ile osób ogółem zamieszkiwało wówczas obóz, nie sposób oszacować śmiertelności, ale Vedder określa ją jako „niesamowicie wysoką”. Tydzień po otrzymaniu tego listu Eich odpisał: „sprawa Lüderitz bardzo leży mi na sercu”^[301].

Później, jeszcze w tym samym roku, Eich odnotował, że Hererowie z obozu koncentracyjnego w Okahandja słyszeli o Shark Island i boją się, że zostaną tam wysłani. Pewnego razu władze wojskowe zabroniły informowania Hererów z Okahandja, że będą zabrani do Lüderitz. „Chciałem z nimi porozmawiać, zanim wyjadą – napisał Eich do Veddera – ale nie pozwolono mi, gdyż mają nie wiedzieć, gdzie są zabierani”^[302].

Przeniesienia do Lüderitz obawiali się nawet więźniowie obozu w Swakopmundzie, który sam miał bardzo wysokie wskaźniki zgonów. Wiemy, że pewnego razu, w 1905 roku, na nabrzeżu zgromadzono grupę Hererów i poinformowano ich, że zostaną wysłani do obozu Lüderitz. Wtedy jeden z więźniów padł na ziemię, obficie krwawiąc z ran, które sam sobie zadał – wbił sobie palce w szyję, desperacko próbując popełnić samobójstwo^[303].

Przedstawiciele przedsiębiorstwa Arthur Koppel, niemieckiej firmy inżynierskiej, która budowała linię kolejową ze Swakopmundu do kopalni miedzi w Otavi, donosili w 1907 roku, że grupa pracujących dla nich Hererów uciekła „tylko ze strachu przed tym, że mogą zostać wysłani na południe”^[304].

Ci, którym udało się uciec z obozu w Swakopmundzie albo położonych na pustyni obozach Koppela, próbowali dotrzeć do oddalonej o 30 kilometrów brytyjskiej enklawy Walvis Bay. Stamtąd udawali się albo do pracy w południowoafrykańskich kopalniach złota albo po prostu zamieszkiwali na ulicach brytyjskiej osady. Natknąwszy się na nich, pewien niemiecki reporter napisał: „Większość żyje z rybołówstwa albo żebrania u Nama. Są nieszczęśliwi. Mimo to nie zamierzają wracać na niemieckie terytorium. Mówią, że woleliby już umrzeć z głodu”^[305].

Dysponujemy kilkoma naocznymi relacjami, które wyjaśniają nam, dlaczego obóz na Shark Island budził taki lęk u Hererów. Misjonarz z Towarzystwa Reńskiego, August Kuhlmann, był jednym z pierwszych cywilów, którym zezwolono na wstęp do obozu. To, co zobaczył tam we

wrzeźniu 1905 roku, wstrząsnęło nim do głębi: „Kobieta, tak słaba w wyniku choroby, że nie mogła stać, przyczołgała się do innych więźniów, błagając o wodę. Nadzorca strzelił do niej pięć razy.

Trafiły ją dwie kule – jedna w udo, druga roztrzaskała jej przedramię (...). W nocy umarła”^[306].

Podobne sceny opisali południowoafrykańscy wozacy, których – zanim wybudowano południową linię kolejową – najmowano, by zaprzężonymi w woły wozami transportowali towary z Zatoki Lüderitza do interioru kolonii. W swoich zeznaniach kilku z nich opisało, jak niemieccy nadzorcy na Shark Island oraz w innych obozach w Lüderitz regularnie i całkiem bez opamiętania używali *sjamboków*, bijąc więźniów i zmuszając ich do pracy. Na początku roku 1905 południowoafrykańska gazeta „Cape Argus” przeprowadziła wywiad z Percivalem Griffithem, księgowym, który rok wcześniej pracował w Lüderitz przy rozładunku towarów. Griffith opisał sceny, jakich był świadkiem

Pewnego razu widziałem kobietę. Na plecach niosła dziecko, niemające jeszcze roku, a na głowie ciężki worek z ziarnem. Wzgórze było strome, a słońce piekło niemiłosiernie. Upadła na twarz, a worek spadł częściowo na nią, a częściowo na dziecko. Kapral chłostał ją *sjambokiem* przez ponad cztery minuty, dziecko także.

– Czy jest pan gotów przysiąc, że widział pan białego człowieka bijącego *sjambokiem* dziecko i jego matkę?

– Jestem. Jestem gotów złożyć zeznanie pod przysięgą, jeśli trzeba. Widziałem to na moje własne oczy. Kiedy chłosta trwała już ponad pięć minut, kobieta powoli wstała i ruszyła z workiem dalej. Ani razu nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku, choć dziecko płakało bardzo głośno^[307].

Tego samego roku „Cape Argus” wydrukowała serię raportów na temat „niemieckich działań” w Lüderitz, opracowanych na podstawie zeznań wozaków. 28 września 1905 roku jeden z nich, z obawy przed zemstą wołący zachować anonimowość, tak opisywał system kar, który obowiązywał w obozie koncentracyjnym w Lüderitz:

Na własne oczy widziałem w Angra Pequeñ a [Lüderitz] kobiety i dzieci umierające z głodu i przepracowania, nie tylko skóra i kości, chłostanych codziennie, ilekroć padały pod ciężarem dźwiganych ładunków. Widziałem, jak zbierają okruszki chleba i jedzenie, które wyrzucano z naszych namiotów. (...) Większość więźniów, którzy pracowali w Angra Pequeña, przysyłano ze Swakopmundu. Były ich setki, głównie kobiety i dzieci, a także trochę starców (...). Kiedy upadali na ziemię, strażnicy chłostali ich *sjambokami* i nieraz widziałem krew na twarzach kobiet i dzieci, wypływającą z ich ran, cięć zadanych przez te bicz. (...) Kobiety musiały nosić zwłoki i kopać wielkie doły, w których składano trupy. Nie było żadnych ceremonii pogrzebowych. Ciała zawijano w koce i transportowano na

zgrzebnym noszach. (...) Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś płakał, nawet wtedy, kiedy jego ciało rozrywał *sjambok*. Zdawali się być pozbawieni wszelkich uczuć. (...) To tylko ułamek tego, co widziałem w Angra Pequeña^[308].

Najważniejszym świadkiem tego, co w 1905 roku działo się na Shark Island, był porucznik Düring, niemiecki oficer służący na południu kolonii. Musiał być względnie zamożnym człowiekiem, gdyż przywiózł do Afryki Południowo-Zachodniej jeden z najnowszych aparatów z błoną fotograficzną. W tym czasie XIX-wieczne, niewygodne aparaty na płyty szklane zaczęły ustępować miejsca tego rodzaju aparatom, opracowanym przez amerykańską firmę Kodak. Były łatwe w użyciu, poręczne i – co najważniejsze – miały krótki czas naświetlania. Dały początek epoce zdjęć robionych szybko, która położyła kres oficjalnym, pozowanym fotografiom portretowym epoki wiktoriańskiej. Porucznik Düring i inni oficerowie, którzy posługiwali się nowoczesnymi aparatami fotograficznymi, stworzyli niewielki, ale bezcenny katalog obrazów wojennych. Choć większość zdjęć zrobionych przez niemieckich oficerów była starannie ustawianymi portretami, fotografie porucznika Düringa były naprawdę niepozwanymi pamiątkami, *aide-mémoires*^[309].

W 1905 roku Düringa skierowano do zamieszkałej przez Nama osady Bethanie, odległej o kilka dni drogi od Lüderitz. Wiele zrobionych przez niego zdjęć dokumentuje życie codzienne mieszkańców, pokazuje prowincjonalne, kolonialne miasteczko, w którym niemieccy żołnierze i osadnicy zajmują się swoimi sprawami. W styczniu następnego roku, zapewne w drodze powrotnej do Niemiec, Düring dotarł do Lüderitz. Tak jak wielu żołnierzy przybywających z interioru, razem ze swoim towarzyszem podróży, doktorem Gühne, zameldował się w stacji kwarantanny na Shark Island. Kiedy postanowił odwiedzić obóz koncentracyjny i zrobić zdjęcia więźniów, nie wiedział, że staną się one najlepszą wizualną dokumentacją tego, co się tam działo.

Z tego, co wiemy, zachowało się tylko pięć zrobionych przez Düringa fotografii z Shark Island. Pierwsza, wykonana z pewnej odległości, pokazuje generalny układ obozu. Baraki wzniesione przez Hererów – chaty z koców i szmat – wyglądają jak porozrzucane na skałach kupy śmieci. Ponad nimi, nad budą z blachy falistej – najpewniej schronienia dla strażników – powiewa flaga Cesarstwa Niemieckiego. Między skałami stoją stłoczeni więźniowie.

Na innym zdjęciu Düringa widać chłopca, może pięcioletniego, z brzuchem wzdętym z głodu. Jedyнным jego ubraniem jest podarta kamizelka, gapi się w ziemię. Na kolejnej, jeszcze bardziej wstrząsającej fotografii, towarzysz porucznika, doktor Gühne, pozuje wśród więźniów. Ma na sobie wojskową bluzę, stoi sztywno, opierając się na lasce. U jego stóp widzimy grupkę obdartych, przestraszonych kobiet Herero.

Na wielu fotografiach, zrobionych przez niemieckich oficerów w czasie wojny, przedstawiano upokarzanie afrykańskich więźniów albo służących. Niektóre z tych zdjęć wydawano w formie

pocztówek i opatrywano sarkastycznymi komentarzami, wyrażającymi *Schadenfreude* – złośliwą radość z powodu nieszczęścia innych. W kontekście kolonialnym zdjęcia te były symbolem niemieckiej potęgi i afrykańskiego poddaństwa. Ostatnia z fotografii zrobionych przez Düringa przedstawia nagą, nastoletnią dziewczynę Herero stojącą w maleńkim pomieszczeniu, zapewne chacie strażników, którą widać na wcześniejszych zdjęciach. Między zaciśniętymi udami dziewczyny widać podarte resztki sukienki, którą z niej zdarto.

Jak we wszystkich obozach, na Shark Island gwałty były codziennością, a seksualne wykorzystywanie kobiet Herero nie tylko tolerowano, ale wręcz celebrowano. Zdjęcie porucznika Düringa było tylko jednym z wielu pornograficznych i na w pół pornograficznych zdjęć wykonanych w czasie wojny afrykańskim kobietom przez niemieckich żołnierzy. Robiono z nich również pocztówki i wysyłano do Niemiec albo innych miejscowości w kolonii^[310]. Jeden z oficerów, Georg Auer, który zrobił kilka zdjęć nagich Afrykanek, umieścił je później w swoim wydanym drukiem dzienniku^[311].

W powszechnym obiegu były też pocztówki sławiące eksterminację Nama i Hererów, ukazujące ich absolutną bezbronność. Brytyjski poszukiwacz diamentów, Fred Cornell, wspominał, że w latach 1905–1906, w czasie podróży po południowym Namalandzie i w trakcie pobytu w Lüderitz, widział

całą serię ilustrowanych pocztówek przedstawiających masowe egzekucje i tym podobne okropieństwa, zabijanie tych biednych tubylców. Jedna z nich, szczególnie podówczas popularna, pokazuje dziesięciu Hotentotów [Nama] na jednej szubienicy, niektórzy jeszcze stoją na skrzynkach, z pętlami na szyjach, czekając, aż żołnierze wykopią spod nich ostatnie podparcie. Trochę wierzenia i wicia się w konwulsjach, gdyż krótki upadek nie złamał im karku, ale dusi ich powoli. Niemiecki żołnierz ciągnie jednego z nich za nogi, żeby zakończyć sprawę szybko^[312].

Rankiem 9 września 1906 roku, po trzech dniach spędzonych w ciemnej, cuchnącej ładowni parowca linii Woermann, w Zatoce Lüderitza wylądowano na brzeg uwieczonych Nama. Gęsiego pomaszzerowali wzdłuż wybrzeża, w stronę wąskiej grobli łączącej ląd z Shark Island. Dwie trzecie z nich stanowiły kobiety i dzieci.

Dopiero kiedy dotarli na najwyższy punkt wyspy, przy latarni morskiej, ujrzeli, dokąd zmierzają. Za drutem kolczastym, wśród skał, kiło się ponad tysiąc pojmanych, wychudzonych i sterroryzowanych Hererów, którzy – kiedy zobaczyli ich Nama – próbowali ogrzać się w nikłych promieniach słońca.

Wraz z przybyciem Nama z północy populacja Shark Island przewyższyła białą ludność Lüderitz, licząc wówczas najwyżej tysiąc dwieście osób. W ciągu zaledwie kilku tygodni dramatycznie

pogorszył się stan zdrowia Nama, osłabionych północną niewolą i ciężką pracą. 5 października 1906 roku, mniej niż miesiąc od ich przybycia, misjonarz Emil Laaf pisał: „Bardzo wielu ludzi choruje, głównie na szkorbut. Każdego tygodnia umiera około piętnastu-dwudziestu [Nama] (...), tyle samo Hererów, toteż co tydzień średnio wychodzi około pięćdziesięciu”^[313].

W liście napisanym zaledwie dwa i pół miesiąca później Laaf donosi, że śmiertelność dramatycznie wzrosła: „Wśród Nama jest przerażająco wysoka. Bywają dni, kiedy umiera nawet osiemnaście osób. Dziś Samuel Izaak powiedział bratu Nyhofowi^[314]: «Nasza społeczność jest zgubiona». Jeśli tak będzie dalej, nie minie wiele czasu, zanim wymrze cały jego lud”^[315].

Tak jak w obozach w Swakopmundzie, surowy klimat wybrzeża nie sprzyjał więźniom. Lüderitz leżało 720 kilometrów na południe od Swakopmundu i klimat tam był jeszcze chłodniejszy. W obozie na Shark Island, z trzech stron wystawionym na wichry południowego Atlantyku, nocą temperatura spadała prawie do zera. Mając za schronienie jedynie nędzne chaty ze szmat oraz wory zamiast odzieży, więźniowie robili co mogli, żeby nie zamarznąć. Jeden z ocalałych opisywał „nocne, morskie powietrze” jako „przerażliwie zimne”. Dodał też: „przemacały nas wilgotne mgły morskie, które sprawiały, że szczękaliśmy zębami”^[316].

Zdrowie przebywających na Shark Island Nama pogarszał też brak jedzenia. Tak jak w innych obozach, racje żywieniowe składały się głównie z surowego ryżu i mąki; czasami więźniowie otrzymywali też odrobinę mięsa z koni albo wołów padłych z głodu lub choroby. Cornell donosił, że jedzenia na wyspie było tak mało, że kiedy je rozdzielano, więźniowie „walczyli o nie jak dzikie zwierzęta i zabijali się wzajemnie, żeby tylko zdobyć porcję. Tyłu było więźniów na Shark Island, że szybko wyczerpały się inne możliwości znajdowania pożywienia, jak ostrygi, skałoczepty, jeżowce i wodorosty, gdyż Hererowie i Nama przeczesywali przybrzeżne wody w poszukiwaniu czegokolwiek, co nadawało się do jedzenia”^[317].

Od samego początku kolonialne władze w Windhuku zwracały uwagę na los Nama. Zaledwie tydzień po tym, jak przybyli, dowódca operacji wojskowych w Afryce Południowo-Zachodniej, pułkownik von Deimling, napisał poufny list do gubernatora von Lindequista, błagając go, by zabrał Nama z Shark Island: „Od kiedy Departament Kolonii wykluczył deportację, jedynym rozwiązaniem tej sytuacji jest umieszczenie ich w rezerwacie, ponieważ nie mogą na stałe być więzieni na Shark Island”. Prośba von Deimlinga została jednak odrzucona^[318].

Nama nie mieli po prostu umrzeć na Shark Island. Byli systematycznie zamęczani pracą na śmierć. Dokumenty wskazują, że w październiku 1906 roku, zaledwie kilka tygodni po tym, jak sprowadzono ich do obozu, więźniowie zostali wysłani w charakterze przymusowych robotników do budowy nowego nabrzeża w przystani Lüderitz. Richard Müller, niemiecki inżynier nadzorujący budowę, prowadził szczegółowy dziennik i ciągle słał do Swakopmundu raporty na temat postępu

prac^[319]. Zgodnie z jego dokumentacją cały czas miał do dyspozycji około trzystu robotników Nama. Wydaje się, że zmobilizowani zostali wszyscy Nama przebywający na wyspie, bez względu na płeć – wyjątek czyniono tylko dla małych dzieci.

Robotnicy musieli ciągnąć wielkie głazy przez całą wyspę i wrzucać je do wód zatoki, przygotowując fundamenty pod budowę nabrzeża. Wszystko to odbywało się ręcznie, a przez większość dnia więźniowie stali po kolana w lodowatej wodzie. Wydaje się, że kobiety były z tego obowiązku zwolnione. Świadkowie opisywali, jak co wieczór zajmowały się wyczerpanymi i na wpół zamrzniętymi mężczyznami, masując im ręce i nogi, żeby przywrócić krążenie.

Z raportu inżyniera Müllera z 30 listopada 1906 roku do sekcji portowej wynika, że liczba *Arbeitsfähige* – zdolnych do pracy Nama – zmalała do około stu więźniów, z czego w większości chorych lub umierających. Między listopadem 1906 roku a styczniem roku następnego sytuacja się pogorszyła. Zaczęli chorować kolejni więźniowie, a Müller był coraz bardziej sfrustrowany i przejęty tym, że spadek liczby rąk do pracy zaprzepaści cały projekt. W wigilię Bożego Narodzenia 1906 roku złożył następujący raport:

Wbrew temu, co jest napisane w memorandum Cesarskiego Departamentu Zatoki z 6 października 1906 roku (...), gdzie wyraźnie stwierdza się, że do naszej dyspozycji będzie 1600 więźniów Nama, mam teraz jedynie 30–40 ludzi. Pożądany efekt nie jest zatem osiągalny. (...) Siódmego dnia tego miesiąca w nocy zmarło 17 osób. Obawiam się, że jeśli nie zostaną wdrożone kroki, mające na celu zdobycie nowych robotników, budowa nie zostanie ukończona^[320].

W połowie lutego 1907 roku, kiedy nie żyło już 70 procent Nama z Shark Island, administracja Zatoki w ogóle zarzuciła projekt budowy. Z więźniów, którzy przeżyli, jedna trzecia była tak chora, że komendant obozu był przekonany, iż „umrą w niedalekiej przyszłości”^[321].



Nie ma wątpliwości co do tego, że kolonialne władze Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej zdawały sobie sprawę z tego, że zesłani na Shark Island Nama masowo umierają. W oficjalnych dokumentach na ich temat znajdują się kopie listów wysłanych przez Emila Laafa, misjonarza z Lüderitz, do siedziby głównej Reńskiego Towarzystwa Misyjnego w Niemczech. Listy, jak się wydaje, były natychmiast przesyłane dalej, do Departamentu Kolonii. Urzędnicy sporządzali ich kopie, oznaczane jako *Vertraulich*, „poufne”, i wysyłali do swoich kolegów z kolonialnej administracji Afryki Południowo-Zachodniej. Wyraźnie widać, że listy misjonarzy czytano tak w Berlinie, jak i w Windhuku, a oficjele w obu stolicach byli dokładnie poinformowani – bez żadnych niedomówień – że

Nama zaczęli umierać w ciągu kilku tygodni od przybycia na Shark Island i jeśli nie zostaną stamtąd zabrani (albo warunki w obozie nie ulegną poprawie), cały naród będzie skazany na zagładę.

Dokumenty ujawniają również, że gubernator von Lindequist i jego zastępca Oskar Hintrager nie tylko wiedzieli o dramatycznej śmiertelności na Shark Island, ale też wielokrotnie stawali na przeszkodzie misjonarzom i dowódcom wojskowym, którzy próbowali zabrać Nama z wyspy.

W grudniu 1906 roku Heinrich Fenschel, reński misjonarz z południowego miasta Keetmanshoop, położonego 320 kilometrów od Lüderitz, podjął rozmowy na temat losu przebywających na Shark Island Nama z dowódcą Schutztruppe, pułkownikiem von Deimlingiem. Jak się wydaje, von Deimling był zaskoczony doniesieniami Fenschla na temat warunków panujących w obozie. „Nigdy nie przyszło mi do głowy, że na Shark Island przebywa więcej kobiet niż mężczyzn” – przyznał w czasie spotkania. Misjonarz poprosił pułkownika o to, by zabrał więźniów z wyspy – szczególnie kobiety i dzieci – a von Deimling obiecał „załatwić to jak najszybciej”^[322].

W styczniu pułkownik musiał jednak zmienić zdanie, gdyż nie zrobił nic. Niezrażeni tym dwaj misjonarze z Lüderitz, bracia Emil Laaf i Hermann Nyhof, zwrócili się do komendanta von Zülowa, dowódcy Etappenkommando w Lüderitz, mając nadzieję, że może wpłynie na pułkownika von Deimlinga w kwestii przeniesienia Nama w jakieś inne miejsce, gdzie panowałyby lepsze warunki. Według Nyhofa, von Deimling miał powiedzieć komendantowi von Zülowowi: „Dopóki jestem u władzy, Nama nie zostaną zabrani z wyspy”^[323]. W „Missionary Chronicles” z 1907 roku to właśnie von Deimlinga oskarża się o to, że Nama wciąż cierpią. Misjonarze nie wiedzieli jednak, że pułkownik samodzielnie podjął próbę zabrania części więźniów z Shark Island.

W lutym 1907 roku, po spotkaniu z Heinrichem Fenschlem, von Deimling nakazał zabranie z wyspy dwustu trzydziestu kobiet oraz dzieci i umieszczenie ich w osłoniętej dolinie, znajdującej się przy wejściu do miasta, której używali głównie południowoafrykańscy wozacy. Stamtąd chciał ich wywieźć do obozów koncentracyjnych położonych w głębi lądu, w Okahandja i Karibib^[324]. Von Deimling czekał do ostatniej chwili, zanim powiadomił władze cywilne, i dopiero 19 lutego wysłał list z prośbą o ostateczne zatwierdzenie jego planów^[325]. Ponieważ gubernator von Lindequist przebywał w Berlinie, gdzie dbał o to, by Reichstag zatwierdził nowy budżet kolonii, pismo von Deimlinga otrzymał zastępca gubernatora Oskar Hintrager. Odpowiedział tak: „Bardzo proszę o to, by zatrzymać przenoszenie kobiet i dzieci Nama do Damaralandu [Hererolandu] i odesłać ich z powrotem na Shark Island”^[326].

Hintrager, fanatyczny zwolennik niemieckiego osadnictwa w koloniach, głęboko wierzył w to, że bezpieczeństwo białych osadników i reputacja niemieckiego kolonializmu zostaną narazone, jeśli

więźniowie, którzy przeżyli horror Shark Island, będą „snuć swoje nienawistne opowieści i siać nieufność do nas”^[327]. Z tego powodu zostali *de facto* skazani na śmierć.

Determinacja Hintragera, żeby zatrzymać Nama na Shark Island, jest tym bardziej zdumiewająca, że na własne oczy widział on koszmar obozów koncentracyjnych. W roku 1900 walczył z Brytyjczykami u boku Burów z Transwalu i wiedział, co obozy lorda Kitchenera zrobiły burskim cywilom. Mimo apeli misjonarzy i żądań oficerów przedsięwziął jednak kroki, żeby powolna eksterminacja Nama, więzionych na Shark Island, trwała nadal.

Kiedy Hintrager odrzucił prośbę von Deimlinga, gubernator von Lindequist wciąż, jak się zdaje, żywił nadzieję na to, że pozostałych przy życiu Nama uda się ostatecznie pozbyć całkowicie z Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, wysyłając ich za granicę. W memorandum do rządu z 12 grudnia 1906 roku osobiście naciskał, by warunki panujące na Shark Island – wystawienie na nieprzyjazną pogodę, niedożywienie, praca przymusowa – nie ulegały zmianie i żeby zmniejszyła się liczba więźniów, których ostatecznie wysłać się na wygnanie:

Ponieważ Nama są bezpiecznie zamknięci na Shark Island, gdzie wykonują bardzo użyteczne prace, uważam, że ich deportację można jeszcze odłożyć. Zapewne powinno się poczekać i zobaczyć, jak rozwinie się sytuacja i czy liczba tych, których czeka deportacja, nie zmniejszy się, co przy okazji zmniejszyłoby koszty takiego przedsięwzięcia^[328].

Von Lindequist na pewno zdawał sobie sprawę, że deportacja do którejkolwiek z tropikalnych kolonii Niemiec będzie oznaczała dla Nama śmierć. W styczniu 1904 roku, kiedy Hendrik Witbooi wypowiedział Niemcom wojnę, aresztowano osiemdziesięciu Witbooiów, którzy na północy u boku Niemców walczyli z Hererami. Deportowano ich do niemieckiej kolonii Togo, gdzie połowa zmarła w wyniku przepracowania i tropikalnych chorób. Cierpieli tak bardzo, że niemieckie władze Togo odmówiły wzięcia odpowiedzialności za śmierć reszty i odesłały pozostałą czterdziestkę do Afryki Południowo-Zachodniej.

Powolna eksterminacja Nama na Shark Island nie była rezultatem złej organizacji, nieodpowiedniej logistyki, przypadkowego zaniedbania czy administracyjnej niekompetencji. Kiedy we wrześniu 1906 roku von Lindequist przeniósł Nama na Shark Island, system obozów koncentracyjnych działał już od dwudziestu miesięcy. Osiemnaście miesięcy minęło, od kiedy regionalny komisarz, doktor Fuchs, przedłożył swój oficjalny raport, w którym wprost stwierdzał, że śmiertelność w Swakopmundzie wynika z przepracowania oraz braku koców, jedzenia, ochrony przed złą pogodą i podstawowej opieki medycznej. Straszliwe efekty polityki obozów można było zaobserwować w Windhuku i na samej Shark Island. Nie mogło być żadnym zaskoczeniem dla von Lindequista, że kiedy takiemu samemu traktowaniu poddano Nama, efekty były równie zabójcze.

Większość więźniów w innych obozach koncentracyjnych i pracujących przy budowie kolei szybko padła ofiarą panujących tam warunków – wskaźnik śmiertelności wynosił od 40 do 60 procent. Od założenia obozu na Shark Island do jego ostatecznego zamknięcia w kwietniu 1907 roku śmiertelność w nim była znacznie wyższa niż w pozostałych. Od więźniów zesłanych na Shark Island oczekiwano tylko jednego – żeby umarli. Niemiecki garnizon w Lüderitz nazywał obóz „Wyspą Śmierci”. Określenie to znalazło się nawet w oficjalnym raporcie von Zülowa, komendanta Etappenkommando^[329].

Choć Nama z Shark Island wykorzystywano jako niewolników, spokój, z jakim znoszono trwanie siły roboczej, wskazywałby na to, że praca przymusowa nie była pierwszorzędnym celem obozu. Od września 1906 roku jego głównym była eksterminacja więźniów. „Produkt” obozu stanowiła śmierć Nama – zmuszanie ich do pracy było zaledwie jednym ze sposobów na osiągnięcie tego zamierzenia. Shark Island była obozem zagłady, zapewne pierwszym na świecie.

Brytyjski attaché do spraw wojskowych w Afryce Południowo-Zachodniej, pułkownik Frederick Trench, sam doszedł do wniosku, że zadaniem Shark Island jest zlikwidowanie tak wielu Nama, jak to tylko możliwe, a być może nawet zlikwidowanie ich w całości jako rasy. W latach 1905–1907 pułkownik Trench utrzymywał regularne kontakty z najwyższymi władzami niemieckiej kolonii, w tym von Lindequistem i Hintragerem. W raporcie wysłanym 21 listopada 1906 roku do brytyjskiej ambasady w Berlinie, Trench twierdzi, że ostatecznym celem Niemców jest pozbycie się Nama, żeby zabezpieczyć kolonię dla białego osadnictwa:

Jeśli dobrze czytam między wierszami, zasady przyjęte przez obecną i przyszłą administrację Protektoratu są następujące: (...) Hotentotom [Nama] należy „pozwolić” wymrzeć, ale Hererowie i Damara, którzy są dobrymi robotnikami i pasterzami, mają pozostać w charakterze półniewolników, jako robotnicy rolni etc. Mają zostać jednak podjęte kroki, aby uczynić ten kraj krajem białego człowieka, a nade wszystko niemieckim^[330].

O ile odpowiedzialność von Lindequista i większości administracji kolonialnej w Windhuku za likwidację Nama na Shark Island jest oczywista, pozostaje pytanie – ile wiedział rząd w Berlinie? I znowu nie ulega wątpliwości, że wiadomości o tym, co działo się w tym obozie, docierały do najwyższych urzędników Departamentu Kolonii i członków rządu kanclerza von Bülowa.

Wysłane w październiku i grudniu 1906 roku listy misjonarza Laafa, w których opisuje on warunki panujące na Shark Island, czytał nowy dyrektor Departamentu Kolonii, Bernhard Dernburg, toteż już w listopadzie 1906 roku po Berlinie krążyły pogłoski o tym, co dzieje się na Shark Island. W grudniu, kiedy misjonarze zabiegali u pułkownika von Deimlinga, by przeniósł

z wyspy kobiety i dzieci, poseł partii socjaldemokratycznej, Georg Ledebour, podniósł tę sprawę na posiedzeniu Reichstagu. Do socjalistycznej gazety „Königsberger Volkszeitung” trafił anonimowy list, w którym „zatroskany obywatel Lüderitz” informował, że „około dwóch tysięcy [Nama] znajduje się w niemieckiej niewoli. Poddali się, gdyż obiecano im zachowanie życia, ale przeniesiono ich do Lüderitz, na Shark Island, gdzie – jak zapewnił mnie lekarz – w ciągu dwóch lat wszyscy umrą z powodu panującego tam klimatu”^[331].

Ledebour odczytał zgromadzonym fragmenty artykułu z „Königsberger Volkszeitung”. Na sali obecni byli kanclerz von Bülow i dyrektor Departamentu Kolonii z Dernburg, toteż Ledebour zwrócił się do nich z prośbą o poinformowanie Reichstagu, jaka jest „śmiertelność na Shark Island i w innych obozach”. Dzięki Ledebourowi od grudnia 1906 roku nie można było dłużej zasłaniać się niezajomością sprawy^[332].

Georg Ledebour nie był w Reichstagu osamotniony. Jego atak na rząd kanclerza von Bülowa był częścią strategii lewicy i centrum, żeby uniemożliwić uchwalenie budżetu kolonii, który przyznawał dodatkowe środki Afryce Południowo-Zachodniej. W trakcie tej samej debaty Ledebour zarzucił rządowi, że pod wpływem nacisków osadników i ich sojuszników w Berlinie wykorzystuje wojnę, żeby zwiększyć budżet kolonii i zająć ziemię „tubylców”. „Lobby bauerów – ostrzegł izbę – chce i robi wszystko, żeby wojna trwała dalej, mając nadzieję, że uda się skonfiskować całą ziemię tubylców”. Kontynuował: „O lekkomyślności rządu świadczy to, że pozwala takim ludziom wodzić się za nos i zgadzać się na politykę, która w konsekwencji musi doprowadzić do unicestwienia jednych tubylców i całkowitej niewoli innych”^[333].

Debata w Reichstagu w listopadzie i grudniu 1906 roku doprowadziły do impasu i budżet kolonii nie został uchwalony. To z kolei sprawiło, że kanclerz von Bülow musiał rozpisac wybory na następnny rok, które przeszły do historii pod nazwą „wyborów hotentockich”. Wiedza o koszmarach na Shark Island nie tylko stała się w Niemczech powszechna, ale też doniesienia o tym, co władze i wojsko kolonialne robią w Afryce Południowo-Zachodniej, naprawdę wstrząsnęły partiami lewicowymi i milionami ich zwolenników. Mimo wpływów lobby kolonialnego i prowadzonej przez nie potężnej kampanii propagandowej, wsparcie dla osadników i rządu von Bülowa nie było wcale powszechne. W kwestii kolonializmu – tak jak w wielu innych – wilhelmskie Niemcy były państwem głęboko podzielonym. Przywódca socjaldemokratów, August Bebel, wyrażał opinię wielu ludzi lewicy, kiedy mówił, że „w pewnych okolicznościach” kolonializm jest „wielkim przedsięwzięciem kulturowym”, w ramach którego Europejczycy mogą „przybyć do obcych ludów jako wyzwoliciele, przyjaciele, nauczyciele”. Pod koniec 1906 roku jego partia, a także socjaliści, byli przekonani, że to, co Niemcy robią na Shark Island, nie jest niesieniem kultury, ale eksterminacją.



Podczas gdy władze kolonialne w Windhuku i ich sojusznicy w Berlinie z całych sił zaprzeczali, że Shark Island jest miejscem eksterminacji, strażnicy obozu nie starali się tego specjalnie ukrywać – ani nawet chować ciał ofiar. Obóz koncentracyjny było dobrze widać z miasta. Niemieccy osadnicy, wyglądając z okien swoich domów, i pasażerowie statków przybywających i wypływających z Zatoki Lüderitza, widzieli wspinające się na skały postaci Nama i Hererów. Więźniowie, zmarznięci w swoich szalaszach, widzieli po drugiej stronie zatoki światła Lüderitz i słyszeli odgłosy normalnego życia. Ci, którzy budowali nabrzeże, robili to na oczach wszystkich. Administracja gubernatora von Lindequista nie mogła być zatem zaskoczona, kiedy doniesienia o cierpieniu więźniów trafiły do niemieckiej i zagranicznej prasy.

Jeszcze bardziej zadziwiające jest to, że władze obozu niespecjalnie próbowały pozbywać się ciał zmarłych. Szacuje się, że codziennie na wyspie umierało od ośmiu do siedemnastu więźniów. Tak wielkiej liczby zwłok, pochodzących z małego obozu położonego nieopodal centrum miasta, nie sposób było przeoczyć. Wiele z nich po prostu wrzucano do morza, czego świadkiem był Leslie Cruikshank Bartlet, inny południowoafrykański wozak, który przybył do Lüderitz w połowie 1905 roku:

Widziałem ciała więźniarek, które morze wyrzucało na brzeg między Lüderitzbucht i cmentarzem. Pamiętam, że jedno z nich należało do młodej kobiety. Na jej kończynach właściwie nie było już ciała, a jej piersi zjadły szakale. Zameldowałem to na posterunku niemieckiej policji, ale zwłoki wciąż tam leżały, kiedy trzy lub cztery dni później mijalem to samo miejsce^[334].

Inne ciała zakopano w płytkich grobach wokół Lüderitz i na pustyni poza granicami miasta. Niektóre z tych zbiorowych grobów odkryto dopiero niedawno. Część ciał zmarłych na Shark Island wykorzystywano w sposób, który zwiastował praktyki stosowane w obozach koncentracyjnych Trzeciej Rzeszy – jako materiały do badań medycznych i rasowych.

W czasie wojny narodził się cały przemysł związany z częściami ciał. W 1905 roku w obozie koncentracyjnym Swakopmund więźniarki zmuszono do gotowania odciętych głów swoich rodaków i oskrobywania czaszek z tkanki i ścięgien za pomocą odłamków szkła. Ofiary mogły być ludźmi, których same знаły – a nawet krewnymi. Następnie Niemieccy żołnierze ładowali czaszki do skrzyń i wysyłali je do Niemiec, gdzie zasilaly muzea, prywatne kolekcje i zbiory uniwersyteckie. Praktyka ta była w Afryce Południowo-Zachodniej tak rozpowszechniona i akceptowana, że w 1905 roku umieszczano ją nawet na kartkach pocztowych. Fotografia – ewidentnie retuszowana – przedstawia pięciu żołnierzy pochylających się nad rzędem czaszek starannie zapakowanych do drewnianej

skrzyni. Jeden z nich ostrożnie umieszcza w pojemniku ostatnią czaszkę, a jego towarzysze palą fajki i uśmiechają się do obiektu [335].

W czerwcu 1905 roku niemiecki antropolog, Felix von Luschan, rozpoczął korespondencję z Ralphem Zürnem, stacjonującym w Okahandja porucznikiem, którego agresywna postawa wobec Hererów przyczyniła się do wybuchu wojny. Niezadowolony z czaszki, jaką Zürn ofiarował mu w 1904 roku po swoim zwolnieniu ze służby, von Luschan wypytywał go, czy byłoby możliwe pozyskanie kolejnych okazów. Zürn rozeznał się w sytuacji i zapewnił von Luschan, że „zdobywanie i konserwowanie czaszek pojmanych Hererów będzie znacznie łatwiejsze w obozach koncentracyjnych niż na prowincji, gdzie zawsze istnieje ryzyko obrażenia uczuć religijnych tubylców” [336].

W czasie, kiedy Nama zostali uwięzieni na Shark Island, cięcie i wywożenie zwłok więźniów praktykowali już nie tylko skorumpowani oficerowie pokroju Ralpha Zürna. Stało się to zajęciem profesjonalistów, wykonywanym zgodnie z ówczesną praktyką naukową. Pod koniec 1906 roku doktor Bofinger, lekarz obozowy na Shark Island, starannie odciął głowy siedemnastu ciałom Nama, w tym rocznej dziewczynki. Rozłupawszy ich czaszki, Bofinger wyciągał i ważył mózgi, a następnie umieszczał każdą głowę w pojemniku z alkoholem i wysyłał je w puszkach do Instytutu Patologii Uniwersytetu Berlińskiego. Tam początkujący badacz rasy, Christian Fetzler (wówczas jeszcze student), wykorzystywał je do badań mających wykazać podobieństwo między Nama a małpami człekokształtnymi [337].

Doktor Bofinger nie tylko przygotowywał ludzkie szczątki dla naukowców w Niemczech, ale też prowadził własne badania. Zajmował się skorbutem, śmiertelną chorobą, której dokładne przyczyny – niedobór witaminy C – miały dopiero zostać odkryte. Brytyjczycy od dawna wiedzieli, że można przeciwdziałać wystąpieniu tej choroby wśród marynarzy Royal Navy, dając im do jedzenia kiszoną kapustę i sok z cytryn do picia. Poza Imperium Brytyjskim zwyczaj ten miał się jednak dopiero rozpowszechnić. Wciąż panowało przekonanie, że skorbut łączy się ze złą higieną, a być może także z zepsutym mięsem, a lekarze szukali remedium na chorobę. Ponieważ wielu więźniów w Lüderitz cierpiało na krwawienie z dziąseł i bóle stawów – klasyczne objawy skorbutu – i umierało w zastraszającym tempie, doktor Bofinger doszedł do wniosku, że „dzięki więźniom Nama i Herero, którymi opiekuję się w Lüderitzbucht, mam wiele okazji, by zaobserwować nawet kilkaset przypadków skorbutu” [338].

Badania Bofingera opierały się na całkowicie fałszywym założeniu, że skorbut jest chorobą zakaźną, przenoszoną przez bakterie. Przekonany, że to właśnie ta choroba jest główną przyczyną śmierci więźniów Shark Island, i że brud panujący w obozie sprzyja rozprzestrzenianiu się zarazy, Bofinger zaczął przeprowadzać medyczne eksperymenty, jak wstrzykiwanie żywym więźniom opium

i arszeniku. Następnie badał skutki tych substancji, dokonując autopsji i „otwierając zwłoki”.

Chcąc za wszelką cenę potwierdzić swoje założenie, że to epidemia szkorbutu dziesiątkuje ludność Shark Island, Bofinger przeoczył znacznie bardziej oczywiste wytłumaczenie bardzo wysokiej śmiertelności: na wół zagłodzeni więźniowie mieszkali na brzegu południowego Atlantyku w chatkach wzniesionych ze szmat, wykonując ciężką pracę fizyczną w lodowatej wodzie. Umierali nie z powodu szkorbutu, ale niedożywienia, warunków atmosferycznych i wyczerpania. Na ponurą ironię zakrawa fakt, że jedną z substancji testowanych przez Bofingera na więźniach był skryształizowany sok z cytryny – gdyby rzeczywiście cierpieli na szkorbut, Bofinger mógłby rzeczywiście trafić na remedium.

Jak wiemy z listów misjonarza Laafa, doktor Bofinger wzbudzał wielki strach wśród więźniów. W „Missionary Chronicles” z 1906 roku pisał, że w obozie mawiano, iż ktokolwiek wejdzie do jego szpitala polowego, ten „nie wyjdzie stamtąd żywy”. Laaf odnotował, że „w tamtejszym lazarecie ani jeden człowiek nie wrócił nigdy do zdrowia”^[339]. Doktor Bofinger nie był najwyraźniej w stanie zrozumieć, dlaczego wzbudza taki lęk, i narzekał, że „tubylców, szczególnie Nama, z najwyższym trudem można namówić, by udali się do namiotu medycznego, który dla nich wzniesiono, a i tak pod osłoną nocy często wracają do swoich namiotów [i się ukrywają]”.



Obóz śmierci na Shark Island został ostatecznie zamknięty w kwietniu 1907 roku, ponad półtora roku po tym, jak poddali się Nama, i niemal trzy lata po bitwie pod Waterbergiem. Likwidacja obozu nie oznaczała rezygnacji z polityki eksterminacji. Była jedynie efektem chwilowego przesunięcia we władzach kolonii – utraty wpływów gubernatora von Lindequista i jego zastępcy Hintragera na rzecz majora Ludwiga von Estorffa.

Major był dowódcą, który w 1905 roku, w zamian za złożenie broni obiecał Samuelowi Izaakowi pokój i wolność, a wcześniej sprzeciwiał się złemu traktowaniu Hererów. Z tego powodu generał von Trotha lekcewał go, uważając za staromodnego kolonialistę, *Alte Afrikaner*, którego ocenę sytuacji mąci niezdrowe przejmowanie się dalszą egzystencją tubylców. W kwietniu 1907 roku von Estorff został mianowany komendantem Schutztruppe Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej. Dziełem przypadku było to, że jego awans został zatwierdzony w chwili, kiedy przebywał w Lüderitz, gdzie na własne oczy zobaczył, co dzieje się na Shark Island. Objąwszy stanowisko, von Estorff od razu zasygnalizował, że nie pozwoli swoim oficerom obejmować stanowisk w administracji obozu na Shark Island, nazywając to „pracą kata”. Mimo wyraźnych życzeń biura von Lindequista nakazał zamknąć obóz^[340].

8 kwietnia po wąskiej grobli łączącej Shark Island ze stałym lądem chwiejnym krokiem

przemaszerowało 151 mężczyzn, 279 kobiet i 143 dzieci. Zabrano ich do Lüderitz, gdzie mieszkańcy miasta zobaczyli ich na własne oczy. Niektórzy, jak Samuel Izaak, byli zbyt słabi, żeby iść o własnych siłach, i trzeba było ich nieść. Zmierzali do osłoniętej zatoki po drugiej stronie portu, gdzie otrzymali koce i jedzenie. Z 573 Nama ewakuowanych z wyspy, 123 było tak chorych, że von Estorff i Zülow byli przekonani, że niebawem umrą.

W pełnym wściekłości telegramie do Oskara Hintragera major von Estorff wyraził swoje obrzydzenie tym, co wydarzyło się na Shark Island. Ostrzegł go: „Nie zamierzam brać na siebie odpowiedzialności [za śmierć więźniów], gdyż zostali tam sprowadzeni wbrew obietnicy, jaką – mając całkowite wsparcie dowództwa – złożyłem im w Gibeon w 1905 roku”^[341].

Von Estorff wysłał także list protestacyjny do Departamentu Kolonii w Berlinie i to on ostatecznie zmusił von Lindequista i Hintragera do pogodzenia się z likwidacją obozu, którego funkcjonowanie tak długo chcieli utrzymać. Kiedy zamknięcie obozu zostało zatwierdzone, von Lindequist był w Berlinie, lobbując w Reichstagu za zwiększeniem budżetu kolonii. Gdyby przebywał w Windhuku, von Estorffowi mogłoby się to nie udać.

Telegramy von Estorffa do Departamentu Kolonii rozpoczęły idiotyczną korespondencję między Windhukiem a Berlinem. Szef departamentu, Bernhard Dernburg, udawał zaskoczenie i oburzenie tym, że niemal wszyscy uwięzieni na Shark Island Nama zmarli, choć wiedział o tym od miesięcy i zaledwie cztery miesiące wcześniej, w czasie posiedzenia Reichstagu, osobiście odpowiadał na pytania w tej sprawie^[342]. Znalazszy się pod presją, gubernator wysłał do Hintragera melodramatyczny telegram, w którym domagał się – niezwykle władczym tonem – by jego zastępca „wysłał, natychmiast, oficjalny raport wyjaśniający, co władze wiedziały o warunkach panujących na Shark Island, dlaczego nic w tej sprawie nie zrobiono i dlaczego nie poinformowano Berlina”^[343]. Von Lindequist, któremu właśnie obiecano stanowisko wicedyrektora Departamentu Kolonii, obawiał się, rzecz jasna, że doniesienia na temat Shark Island mogą zniszczyć jego karierę. Sprawa obozu okazała się jednak ostatecznie skandalem krótkotrwałym i dość umiarkowanym.

Oficjalny raport napisał i opracował Oskar Hintrager – mimo iż to on był jednym z czołowych architektów obozu Shark Island. W sprawozdaniu oczyszczał władze kolonii z wszelkiej winy. Twierdził, że niemiecka administracja zrobiła wszystko, „żeby poprawić dolę tubylców [na Shark Island]”. Hintrager utrzymywał też, że więźniowie mieli „wystarczającą ilość pożywienia” i „potrzeby tubylców były zaspokojone w takim stopniu, jak to tylko było możliwe”^[344]. Jakby nie dość, że śledztwo Hintragera było cyrkiem, osobą, do której trafił raport, była pełniący obowiązki dyrektora Departamentu Kolonii Friedrich von Lindequist, który tymczasowo stanął na czele departamentu, kiedy jego przełożony, Bernhard Dernburg, odbywał oficjalną podróż do Afryki Południowo-Zachodniej – obejmującą również wizytę w nieczynnym już obozie na Shark Island.

Choć von Lindequist, Hintrager, Dernburg i politycy w Berlinie umniejszali znaczenie tego, co się wydarzyło na Shark Island, Ludwig von Estorff nie był w stanie o tym zapomnieć. Tuż przed śmiercią, 5 października 1943 roku, napisał we wspomnieniach: „Lindequist widział straszliwe rzeczy, jakie obozy koncentracyjne zrobiły burskim rodzinom w Afryce Południowej. To samo zdarzyło się tutaj (...). Trotha zaczął to zło, a Lindequist je dokończył. Ja sam mogłem tylko stać z boku, zmartwiony, ale bezsilny, nie mogąc nic w tej sprawie zrobić”^[345].

Nigdy nie poznamy dokładnej liczby zmarłych na Shark Island. We wszystkich obozach koncentracyjnych nie zawsze odnotowywano zgony, robiono to zazwyczaj tylko od czasu do czasu. Rejestr na Shark Island zaczęto prowadzić dopiero w kwietniu 1906 roku, toteż w oficjalnych statystykach nie odnotowano śmierci setek – a może nawet ponad tysiąca – Hererów, którzy trafili na wyspę przed tą datą.

Zgodnie z tymi statystykami, którymi dysponujemy, do marca 1907 roku na wyspie zmarło co najmniej 1203 Nama. Było wśród nich 460 kobiet i 274 dzieci^[346]. Tylko w grudniu 1906 roku umarło 263 więźniów – średnio osiem i pół osoby dziennie. Pod koniec października następnego roku major von Estorff szacował, że na Shark Island zmarło ponad 1900 Nama^[347]. Liczba ta nie uwzględnia zmarłych Hererów, którzy znajdowali się na wyspie przed przybyciem Nama. Misjonarz Laaf twierdził, że zmarła ich podobna liczba.

Hererowie i Nama, którzy zakończyli życie na Shark Island, nie byli jedynymi ofiarami obozów w Lüderitz. W innym obozie koncentracyjnym, prowadzony przez firmę Lenz, także odnotowywano bardzo wysoką śmiertelność. Ogółem w obozach Lüderitz zmarły nawet 3 albo 4 tysiące osób, cztery razy więcej, niż liczyła niemiecka ludność miasta w roku 1907^[348].

Zgodnie ze spisem ludności, przeprowadzonym przez wicegubernatora Hintragera, w 1908 roku w kolonii żyło w sumie 13 tysięcy Nama – przed wojną było ich około 20 tysięcy. Spośród Nama, którzy w 1904 roku rozpoczęli powstanie przeciwko Niemcom – czyli, szacunkowo, 5–10 tysięcy ludzi – do obozów koncentracyjnych wysłano około 2400 osób. Kiedy zamykano obozy, żyło ich zaledwie około pięciuset. W 1909 roku przy życiu było ich zaledwie 248 – niewiele ponad 10 procent wszystkich uwięzionych^[349].

Eksterminacja niektórych społeczności Nama była niemal całkowita. W październiku 1907 roku major von Estorff donosił, że „nie ma już żadnych Veldschoendragersów”. Witbooiów wyeliminowano niemal całkiem, a Nama z Bethanie, którzy u boku Witbooiów walczyli z Niemcami, była w 1909 roku zaledwie setka^[350].

Hererowie, których przedwojenną populację szacuje się na około 80 tysięcy, zostali podobnie zdziesiątkowani. Ci, którzy przeżyli obozy koncentracyjne, zostali oficjalnie uwolnieni przez kajzera z okazji jego urodzin, w styczniu 1908 roku, cztery lata po tym, jak wybuchło powstanie. Nawet

wtedy, mimo cesarskiego dekretu, Hererów nie uwolniono od razu. Niektóre obozy działały jeszcze do kwietnia 1908 roku, aby dostarczać robotników niezbędnych do ukończenia ostatniego wielkiego projektu budowlanego – kolei z Lüderitz do Keetmanshoop. Według spisu ludności kolonii w 1908 roku w Afryce Południowo-Zachodniej mieszkało zaledwie 16 363 Hererów. 5 373 z nich było dziećmi, które często urodziły się w obozach koncentracyjnych, gdzie ich matki padały ofiarami gwałtów. W sumie zabito albo wypędzono 80 procent wszystkich Hererów.

Około tysiącu z nich, w tym Samuelowi Maharero, udało się uciec do brytyjskiej Bechuany. Wygnani ze swojej ojczyzny, starali się jedynie przeżyć. Choć niektórym pozwolono osiedlić się na wschodniej krawędzi Kalahari, bieda zmusiła wielu z nich do szukania pracy w kopalniach złota Transwalu. Nie wiadomo ilu znalazło schronienie na położonych na północy ziemiach Owambo.

[299] H.F.B. Walker, *A Doctor's Diary in Damaraland*, London 1917, rozdz. X, 18 lipca.

[300] Casper W. Erichsen, *The Angel of Death Has Descended Violently among Them: Concentration Camps and Prisoners-of-War in Namibia, 1904–08*, Leiden 2005, s. 65–69.

[301] ELCN, RMS, Correspondence VII. 31, Swakopmund 1–7, Eich do Veddera, 24 maja 1905.

[302] Ibidem, Eich do Veddera, 16 grudnia 1905.

[303] Heinrich Vedder, *Kurze Geschichten aus einem langen Leben*, Wuppertal-Barmen 1953, s. 139.

[304] NAN, ZBU 456, DIV.1.3, t. 5, s. 98.

[305] Ibidem, s. 106b.

[306] Cyt. za: Isabel V. Hull, *Absolute Destruction: Military Culture and the Practices of War in Imperial Germany*, Ithaca, NY 2005, s. 78.

[307] „Cape Argus”, 28 września 1905.

[308] Ibidem.

[309] Erichsen, op. cit., s. 88–94.

[310] Zob. J. Grobler, „Mail and Guardian” [Johannesburg], 13–19 marca 1998.

[311] [Georg Auer], *In Süduwestafrika gegen die Hereros: Nach den Kriegs-Tagebüchern des Obermatrosen G. Auer*, Berlin 1911, s. 189, 208.

[312] Fred Cornell, *The Glamour of Prospecting*, New York 1920.

[313] NAN, ZBU 2369, Witbooi Geheimakten, s. 103–104.

[314] W Lüderitz było dwóch misjonarzy, bowiem władze misji uznały, że dusze więźniów warto ratować. Misjonarz Emil Laaf przybył jako pierwszy, w grudniu 1905 roku.

[315] NAN, ZBU 2369, Witbooi Geheimakten, s. 103–104.

[316] Union of South Africa, *Report on the Natives of South-West Africa and Their Treatment by Germany*, London 1918, rozdz. XX, zeznanie Samuela Kariko.

[317] Cornell, op. cit.

[318] NAN, ZBU 2369, Witbooi Geheimakten, s. 93–96.

[319] NAN, HBS 52, 28 listopada 1906.

[320] Ibidem, 24 grudnia 1906.

[321] NAN, ZBU 2369, Witbooi Geheimakten, s. 116.

[322] Ibidem, s. 102–103.

[323] RMG, 2.509a, C/h 23a, Bl. 348, odręczny list inspektora Spieckera do Reńskiego Towarzystwa Misyjnego w Barmen.

[324] NAN, ZBU 2396, Witbooi Geheimakten, s. 96a–96b.

[325] Ibidem.

[326] Ibidem, s. 97–98.

[327] Ibidem.

[328] Horst Drechsler, *Let Us Die Fighting*, Berlin 1986, s. 211.

[329] NAN, ZBU 2369, Witbooi Geheimakten, *Todesinsel*, Bezirksamtman [komendant] Zilow do władz, 6/01/07, s. 120–130.

[330] Cape Archives, PMO 227–35/07, brytyjski attaché wojskowy, płk F. Trench do ambasady brytyjskiej w Berlinie, 21 listopada 1906.

[331] Erichsen, op. cit., s. 155.

[332] Ibidem.

[333] Debacie przyglądała się grupa urzędników z Afryki Południowo-Zachodniej, w tym gubernator von Lindequist i major Bayer, którzy przybyli, żeby wesprzeć zwiększenie wydatków na kolonię. *Stenographische Berichte über die Verhandlungen des deutschen Reichstages*, 11. Legislature, II. Session, Berlin 1905/1907, Reichstag: 140. Sitzung, 13 grudnia 1906, s. 4367.

[334] Union of South Africa, *Report on the Natives of South-West Africa...*, op. cit., rozdz. XX.

[335] Jürgen Zimmerer, Joachim Zeller (red.), *Genocide in German South-West Africa: the Colonial*

War of 1904–1908 and Its Aftermath, Monmouth 2008, s. 76–77.

[336] Zürn do Luschana, 25 czerwca 1905, MfV, 1B 39, t. 1, 775/05; cyt. za: Andrew Zimmerman, *Anthropology and Antihumanism in Imperial Germany*, Chicago 2001, s. 245.

[337] Christian Fetzer, *Rassenanatomische Untersuchungen an 17 Hottentottenkoepfen*, „Zeitschrift für Morphologie und Anthropologie” 1912, 16.

[338] Dr Stabsarzt [lekarz sztabowy] Bofinger, *Einige Mitteilungen über Skorbut*, „Deutsche militärärztliche Zeitschrift” 1910, 39.15.

[339] ELCN, RMS, V.16, Chronik der Gemeinde Lüderitzbucht, s. 28–29.

[340] BAB, Colonial Department, teczka 2140, Note for the Reichstag about the Native Prisoners of War on Shark Island, s. 88.

[341] Ibidem.

[342] NAN, ZBU 2369, tajna teczka, s. 113.

[343] Ibidem, s. 115.

[344] BAB, Colonial Department, teczka 2140, Note for the Reichstag..., op. cit., s. 157.

[345] Ludwig von Estorff, *Wanderungen und Kämpfe in Südwestafrika, Ostafrika und Südafrika 1894–1910*, Windhoek 1996, s. 134.

[346] NAN, ZBU 456, DIV.1.3.,5, s. 135.

[347] Ibidem, 2369, Witbooi Geheimakten, s. 152–153.

[348] „Ludność Lüderitz (niemieckiego) pod koniec 1906 roku: 836 mężczyzn, 94 kobiet, 49 dzieci poniżej 15 roku życia”. NAN, ZBU 154, A.VI.a.3, s. 207. Na temat tych danych zob. Erichsen, op. cit., s. 134–145.

[349] Dosłownie: zostali zdziesiątkowani.

[350] NAN, ZBU 2369, Witbooi Geheimakten, s. 153.

ROZDZIAŁ 13

„Nasze nowe Niemcy na afrykańskiej ziemi”

Rankiem 27 stycznia 1912 roku miasto Windhuk huczło z podekscytowania. Czerwono-białoczarne flagi Cesarstwa Niemieckiego powiewały w oknach domów i na masztach stojących przy głównych ulicach. Były urodziny kajzera, którą to okazję w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej zawsze świętowano w bardzo patriotyczny sposób, ale w roku 1912 uroczystości były wyjątkowe. Około siódmej rano, zanim letnie upały uczyniły choćby najlżejszą aktywność fizyczną zupełnie niemożliwą, mieszkańcy Windhuku zaczęli wspinać się na strome wzgórze, na którym stał niemiecki fort. Przechodzili przez centrum miasta, które wojna – oraz niewolnicza praca pokonanych Nama i Hererów – bardzo odmieniły. Idąc Kaiser-Wilhelm-Strasse, widzieli wystawy nowych sklepów z luksusowymi towarami. Na Gartenstrasse przechodzili obok gorących źródeł, które zasilają nowy basen miejski. Skracający sobie drogę przez Ogród Pamięci mijali starannie utrzymane trawniki i oczka wodne. Niegdyśiejszy dom Hererów przypominał teraz europejskie miasto w miniaturowe [\[351\]](#).

Tego ranka mężczyźni włożyli swoje najlepsze, białe, lniane garnitury, a towarzyszące im panie długie i zdobne suknie z białymi koronkami. Nowa elita kolonii była zamożna, dumna i doskonale znała swoją pozycję. Dla podwyższenia swojego statusu, wielu dodawało sobie do nazwiska „von”,

żeby zasugerować arystokratyczne pochodzenie.

Nad zgromadzonymi tłumami górował stojący naprzeciw fortu pięciometrowy posąg z brązu, przedstawiający żołnierza Schutztruppe na koniu, autorstwa rzeźbiarza Adolfa Kürlego. Pomnik Jeźdźca – jak wkrótce miał być nazywany – wystawiono z datków zbieranych w Niemczech. Miał upamiętniać żołnierzy i osadników, którzy stracili życie w wojnie z Hererami i Nama^[352].

Poważny i ascetyczny, z karabinem w dłoni, jeździec był również sugestywnym przedstawieniem człowieka „typu kolonialnego”, który – jak twierdzili mieszkańcy kolonii i niemieccy nacjonaliści – miał się narodzić z trudów i znojów kolonialnego pogranicza. Odsłonięcie Pomnika Jeźdźca w urodziny cesarza w 1912 roku było momentem, w którym Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia dojrzała.

W czasie porannej ceremonii najbliżej posągu stali żołnierze z garnizonu Windhuk, ubrani w takie same mundury Schutztruppe jak jeździec. Po złożeniu wieńców pod cokołem miejscowi notable zwrócili się do tłumów ze specjalnie zbudowanego podium, ozdobionego flagą państwową. Głównym mówcą był nowy gubernator Theodor Seitz. Zaczął od przypomnienia zgromadzonym o wielkich ofiarach poniesionych w służbie ojczyźnie w czasie wojen, które zaczęły się w roku 1904. Zakończył zaś prostym stwierdzeniem faktu:

Pomnik ten ma upamiętnić zmarłych i zachęcić żywych, by nieśli i tworzyli to, co osiągnięto w czasie owej ciężkiej wojny, toczonej bezinteresownie, z czystej miłości do Ojczyzny. (...) Czcigodny żołnierz kolonialny, który spogląda z wysokości na tę ziemię, ogłasza światu, że to my jesteśmy panami tego miejsca, teraz i na zawsze^[353].

Niemcy byli panami nie tylko przyszłości Afryki Południowo-Zachodniej, ale też jej przeszłości. Ich wersja wojny została wykuta w kamieniu, a teraz również odlana w brązie. Odsłonięcie Pomnika Jeźdźca było zwieńczeniem procesu tuszowania i fałszowania dziejów, który rozpoczął Friedrich von Lindequist. Z oficjalnej historii wyrzucono brutalność osadników w latach poprzedzających wybuch wojny, wydany przez generała von Trothę, rozkaz eksterminacji oraz obozy koncentracyjne.

Wystawienie pomnika było częściowo motywowane chęcią upamiętnienia Niemców, którzy zginęli na wojnie. Równie ważne było jednak też jego umiejscowienie – na trawniku przed starym fortem – które miało wymazać cierpienie Nama i Hererów. Pomnik stanął na miejscu głównego obozu koncentracyjnego w Windhuku, gdzie zaledwie cztery lata wcześniej zagłodzono, pobito albo zamęczono pracą na śmierć około czterech tysięcy Hererów, głównie kobiet i dzieci.

W 1912 roku po obozie nie został nawet ślad. Chaty z błota i ogrodzenie z kolczastych krzaków zniknęły, a ciała ofiar zakopano w masowych grobach w różnych częściach miasta. Nikt, kto uczestniczył w ceremonii inauguracyjnej, nie mógł jednak mieć złudzeń co do prawdziwego

znaczenia takiej, a nie innej lokalizacji pomnika. Teren dawnego obozu stał się centralnym miejscem niemieckiej wizji wojny, historii, w której ludobójstwo przekształciło się w heroiczną walkę o postęp i cywilizację.

Ze swojego granitowego cokołu Jeździec spoglądał daleko poza granice miasta, w stronę otaczających Windhuk wzgórz, na których niegdyś stały wioski ich dawnych mieszkańców. Ci Hererowie, którzy przeżyli wojnę, nie mieszkali już w dolinie Windhuku. Kiedy w 1908 roku zamknięto obozy koncentracyjne, więźniów pozostałych przy życiu, przydzielono w charakterze niewolników osadnikom. Na ziemi, która kiedyś należała do nich, hodowali bydło dla kolonizatorów. Żyli w niewielkich, odizolowanych grupach. Na mocy nałożonych przez władze restrykcji od siódmego roku życia nie wolno im było podróżować po kolonii bez zgody pracodawcy i stosownych dokumentów, podobnych do tych, jakie stosowano w brytyjskiej Afryce Południowej (dawnej Kolonii Przylądkowej). Ich kultura, odcięta od tego, co pozostało z ich rodzin i wspólnot, właściwie obumarła.

W 1908 roku Matthias Erzberger, poseł z ramienia niemieckiej Partii Centrum^[354], w przemówieniu potępił sposób traktowania Afrykanów w kolonii. Spytał w Reichstagu, czy przypadkiem tubylcy nie zostali zredukowani do roli niewolników. Inni posłowie głośno wyśmiali Erzbergera, a później określali go mianem „miłośnika czarnuchów”^[355]. Trzy lata później, kiedy major von Estorff narzekał, że Hererów na farmach traktuje się „jak niewolników”, nikt na to nie zwrócił uwagi^[356].

Nielicznych buntowników Nama, którzy przeżyli obozy koncentracyjne, traktowano inaczej. Choć wojna dobiegła końca, a obozy zlikwidowano, byli więźniowie z Shark Island przebywali w niewoli do 1912 roku. Armia niemiecka przetrzymywała ich w przystosowanych do tego stajniach wojskowych w centralnym Hererolandzie. Z daleka od ludzkich oczu Samuelowi Izaakowi, jego synowi i około setce ludzi pozwolono po prostu umrzeć. Spis Nama przeprowadzony przez Niemców w Okawayo w lipcu 1909 roku ujawnił, że wśród przetrzymywanych tam Witbooiów znajdowało się zaledwie trzydziestu dziewięciu mężczyzn, ale aż sześćdziesiąt pięć kobiet i pięćdziesięcioro dwoje dzieci – z czego wiele urodzonych już w niewoli w Okawayo. Z Nama z Bethanie, którzy walczyli u boku Witbooiów, zostało zaledwie trzydziestu mężczyzn, czterdzieści kobiet i dwadzieścioro dzieci^[357].

Te klany Nama, które w 1904 roku odrzuciły wezwanie Hendrika Witbooi, przetrwały wojnę, ale po zakończeniu walk zostały zamknięte w małych rezerwach. Nama z Berseba, niektórzy z Bethanie i Basterowie z Rehoboth zorientowali się, że ich ziemie stały się tubylczymi enklawami w morzu niemieckich farm. Mając tak mało ziemi, wielu z nich musiało porzucić swój tradycyjny sposób życia i szukać pracy jako robotnicy rolni.

W 1909 roku zaproponowano wykorzystanie przetrzymywanych w Okawayo Nama i rozdzielenie ich między niemieckich bauerów z Południa. Władze kolonii szybko jednak zorientowały się, że choć brak siły roboczej jest bardzo dotkliwy, to farmerzy nie chcą brać do siebie nawet jako niewolników, ludzi, których uważali za kiepskich robotników. W marcu 1909 roku major von Maercker, oficer Etappenkommando, napisał, że „przekazywanie tubylców farmerom w charakterze robotników etc. spowoduje tylko problemy, ponieważ – czego już doświadczyliśmy wcześniej – Nama, którzy są zazwyczaj mali i słabi, kiepsko nadają się na robotników rolnych i nie cieszą się zainteresowaniem farmerów”^[358].

W tym samym roku władze kolonialne w Windhuku wciąż rozważały pomysł deportowania Nama, tym razem do Niemieckiej Afryki Wschodniej. Gubernator Afryki Wschodniej, książę von Rechenberg, zawetował jednak ten pomysł, doskonale znając reputację Nama jako partyzantów i obawiając się, że mogą oni „mieć niebezpieczny wpływ na tutejszych ludzi”^[359].



W latach bezpośrednio poprzedzających I wojnę światową, po tym jak zdziesiątkowano Nama i Hererów, a z resztek tubylców uczynieniu *de facto* niewolników, Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia naprawdę należała do Niemców. Kiedy rdzennych mieszkańców zamknięto w obozach koncentracyjnych, gubernator von Lindequist i jego zastępca Hintrager skonfiskowali ich dawne ziemie. W grudniu 1905 roku cesarz Wilhelm II oficjalnie wywłaszczył wszystkich Hererów z ich ziem, a rok później von Lindequist i Hintrager wydali instrukcje dla departamentu geodezji, żeby opracować nowe mapy Afryki Południowo-Zachodniej, na których pastwiska Hererów i Nama zostałyby podzielone na setki mniejszych działek. 8 maja 1907 roku, zaledwie kilka tygodni po ostatecznym zamknięciu obozu na Shark Island, cesarz wydał edykt, który dopełnił procesu przejmowania ziemi – wywłaszczał bowiem wszystkich Nama, z wyjątkiem tych z Berseba oraz Bondelswarsów z Warmbad^[360].

W 1908 roku niemiecki rząd zdobył w sumie 46 milionów hektarów ziemi należącej uprzednio do ludów Nama, Damara, Herero i San. Do tej pory niemieccy osadnicy dzierżawili od nich ziemię, część miała też wobec nich spore długi – teraz z miejscowej „Deu-tsche Kolonialzeitung” dowiedzieli się, że każdy z nich będzie mógł uzyskać „dowód własności ziemi” od departamentu podatkowego władz kolonialnych.

W roku 1913 istniało 1331 niemieckich farm – przed wojną było ich zaledwie 480. W tym samym czasie w kolonii przebywało prawie piętnaście tysięcy osadników – w 1904 roku było ich zaledwie pięć tysięcy, a w 1891 roku trzystu. Sporą liczbę tych, którzy osiedlili się po wojnie, stanowili byli żołnierze, wołący zostać w kolonii – na skrawku ziemi, który sami podbili. W związku z tym boorem

powstało mnóstwo nowych przedsięwzięć rozmaitego rodzaju – w 1913 roku w samym Windhuku było ich zarejestrowanych dziewięćdziesiąt osiem, podczas gdy dziesięć lat wcześniej zaledwie piętnaście^[361].

Zastępcą gubernatora, Oskar Hintrager, pełniący również funkcję sekretarza do spraw imigracji i osadnictwa, miał ambicję przekształcenia Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej w modelową kolonię rolniczą. Od lat badał przykład Stanów Zjednoczonych i podziwiał bezkresne pola zbóż Midwestu oraz wielkie dochody ranczerów z zachodnich prerii. „Rolnictwo – wyjaśniał swoim zwierzchnikom – jest kręgosłupem wszystkich innych zawodów”^[362]. Aby mieć pewność, że to właśnie rolnictwo stanie się siłą napędową kolonialnej gospodarki, Hintrager i jego koledzy zaczęli udzielać początkującym farmerom nieoprocentowanych pożyczek. Wynosiły one średnio 6 tysięcy marek, co wystarczało na kupno domu oraz podstawowych narzędzi rolniczych. Oprócz tego nowym farmerom sprzedawano po bardzo zaniżonych cenach bydło skonfiskowane uprzednio Nama i Hererom.

Do uzyskania kredytów kwalifikowali się jednak nie wszyscy osadnicy. Gubernator von Lindequist, z pomocą Hintragera, opracował listę kryteriów, które musieli spełniać przyszli bauerzy. Żeby otrzymać pożyczkę, mieli udowodnić swoje „niemieckie obywatelstwo”, pokazać, że cieszą się „dobrą opinią” i „mają wiedzę na temat normalnego przedsięwzięcia rolniczego”^[363]. W ten sposób von Lindequist mógł kontrolować, kto będzie właścicielem ziemi w kolonii. Regulacje takie były częścią programu inżynierii społecznej, mającego sprawić, że rozrastająca się biała populacja stanie się nowym, kolonialnym *Volk*. Popularny magazyn kolonialny „Kolonie und Heimat” (Kolonie i Ojczyzna) opisywał typ niemieckiego osadnika, jakiego potrzebowano w Afryce Południowo-Zachodniej:

Mężczyzna, który łatwo się zniechęca, bojaźliwy, przyzwyczajony do dobrego życia towarzyskiego, potrzebujący duchowego wsparcia, niepotrafiący znieść samotności albo wysiłku w wielkim upale, niech lepiej zostanie w domu, z matką. Ale mężczyzna, który nie boi się pracy, który ma w sobie trochę diabła, oto jest właściwy człowiek dla naszego Południowego Zachodu^[364].

Volkistowsy fantaści i kolonialni fanatycy pokroju Paula Rohrbacha przewidywali, że ciężki los, czekający nowych osadników w niemieckich koloniach, stworzy z nich surowych ludzi pogranicza. Na nowo związani z ziemią, zjednoczeni rasą i kulturą, z daleka od moralnej zarazy niemieckich miast, mieli odrzucić powierzchowny materializm nowoczesności, na rzecz tradycyjnych sposobów życia. Mimo to wielu przybyłych do Afryki Południowo-Zachodniej osadników robiło co w ich mocy, żeby skopiować materializm i dekadencję ówczesnych Niemiec.

Dla wielu mieszkańców Windhuku życie w mieście dalece odbiegało od fantazji pogranicza. W 1912 roku oferowało ono większość występów i rozrywek, które – zdaniem volkistowskich i pangermańskich agitatorów – były osadnikom zbędne. Obok sklepów z zaopatrzeniem w Windhuku działało kilka kancelarii prawnych, notariusz, księgarnia, krawiec, dwie piekarnie, osiem hoteli i dwa sklepy z odzieżą dla kobiet. W 1912 roku Clara Brockmann, słynna osadniczka, entuzjastycznie się wyraziła: „W wielkich sklepach Windhuku można dostać wszystko, co porusza serce: luksus i ekstrawagancja mają się dobrze nawet w małych, eleganckich miasteczkach. Żyje się jak w Niemczech. Życie towarzyskie kwitnie”. Życie społeczne tamtejszych Niemców, znanych jako *Südwester*, ograniczało się niegdyś do zbierania się przy ognisku i w pośpiesznie zorganizowanych *Bierkellers*. W 1912 roku kolonia miała już swój tor wyścigowy, kręgielnię i kino, choć życie towarzyskie i tak w większości napędzało dziewięć browarów i osiemdziesiąt dwa bary. Postęp w żadnym wypadku nie ograniczał się tylko do stolicy. Swakopmund założono w 1892 roku jako przybrzeżny posterunek, zamieszany przez zaledwie dwiętnastu Europejczyków. W 1912 roku działało tam już sto dwanaście przedsiębiorstw, w tym zakłady fryzjerskie, salony piękności, pralnie i zegarmistrz. Wydawano nawet własną gazetę – „Deutsch Süd-westafrikanische Zeitung”^[365].

W latach poprzedzających I wojnę światową Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia była tak kuszącym miejscem, że przyszłych osadników nie przerażał już nawet widok pustyni Namib i Wybrzeża Szkieletowego – niegdyś budzący strach nawet doświadczonych żeglarzy. W swoich wydanych w 1909 roku wspomnieniach *Was Afrika Mir Gab und Nahm* (Co mi dała i co zabrała Afryka) Mar-garethe von Eckenbrecher opisuje chwilę, w której po raz pierwszy zobaczyła swoją nową ojczyznę z pokładu parowca płynącego do Swakopmundu:

Miałam wspaniały widok na pustynię Namib, zasłoniętą niebieską mgiełką, znad której wylaniała się – różowa w świetle słońca – ogromna masa [góry] Brandberg. Była to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jaką widziałam w życiu, tak cudownie podniosła, a równocześnie osamotniona i smutna^[366].

Inna osadniczka, Lydia Höpker, która przyплыnęła do Afryki Południowo-Zachodniej w 1910 roku, opisywała kolonię jako raj. Przybyła zaledwie dwa lata po zakończeniu wojny, która zdzięsiatkowała ludność kolonii, toteż szczególnie poruszyła ją dominująca w krajobrazie pustka. „Wszystko było tak świeże, jak zroszone rosą, nietknięte, w pewien sposób samotność [sic] i cisza; tylko z daleka słychać było od czasu do czasu śpiew ptaków. Tego pięknego poranka wędrowaliśmy w ciszy. Czulałam się niczym we śnie, niczym zaczarowana, jak w innym świecie”^[367].

Wraz ze wzrostem liczby osadników zwolennicy kolonializmu w Niemczech mogli z powodzeniem twierdzić, że Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia staje się dojrzłą kolonią. Nie tylko

przyciągała chcących tam zamieszkać ludzi, ale też w 1912 roku po raz pierwszy eksport przewyższył import. W porównaniu z całą niemiecką gospodarką liczby te były właściwie nieistotne, ale nawet brytyjski konsul w swoim raporcie z 1913 roku niechętnie przyznawał, że kolonia kwitnie. Clara Brockmann z dumą pisała w 1910 roku, że kolonia staje się „naszymi nowymi Niemcami na afrykańskiej ziemi”^[368].



Nowy poziom entuzjazmu dla kolonializmu sprawił, że Niemcy mogli w pełni wykorzystywać Afrykę Południowo-Zachodnią i swoje pozostałe posiadłości, zakładając sieć kolonialnych uczelni i instytutów badawczych. W Witzenhausen powstała Niemiecka Szkoła Kolonializmu, a trzy czwarte jej absolwentów wykorzystywało swoje doświadczenie w zamorskich posiadłościach Rzeszy^[369]. W Instytucie Kolonialnym w Hamburgu wykładano „Etnologię niemieckich protektoratów” i „Higienę tropikalną”, a w prestiżowej Berlińskiej Szkole Handlu oferowano kursy z „Gospodarki kolonialnej”, które prowadził doktor Paul Rohrbach.

W wielu instytucjach nauczanie odbywało się równocześnie z prowadzeniem intensywnych badań w celu zmaksymalizowania produktywności kolonii. Aby pomóc w awansie studentom, mającym gorsze pochodzenie, powstały stypendia, ufundowane przez niemieckie przedsiębiorstwa, takie jak Deutsche Bank i Krupp, które czerpały zyski zarówno ze wzmożonego handlu kolonialnego, jak i z inwestycji władz w nową infrastrukturę w zamorskich posiadłościach.

Absolwentów szkół kolonialnych przyciągały żyzne pola północnej Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, niegdyś należące do Hererów. Tam można było zorać nieuprawianą wcześniej ziemię i wprowadzić nowe metody uprawy. Na południu jednak tysiące nowych osadników nie były zbyt zainteresowane uprawą ziemi, ale perspektywą szybkiego wzbogacenia się.

W roku 1908 Zacharius Lewala, kolored z Kapsztadu, który w pobliżu Lüderitz pracował przy budowie linii kolejowej, natrafił na dziwnie wyglądający kamień. Zacharius, wcześniej całe lata pracujący w kopalniach w południowoafrykańskim Kimberley, natychmiast rozpoznał diament. Zaledwie kilka kilometrów pod Lüderitz, w tych samych piaskach, które trzydzieści lat wcześniej Adolf Lüderitz przeczesywał w poszukiwaniu minerałów, Niemcy odkryli teraz jedno z największych na świecie wtórnych złóż diamentów.

To odkrycie przyszło w krytycznym momencie dla Lüderitz. Kiedy wojna z Hererami i Nama dobiegła końca, armia się wycofała. Hotele opustoszały, bary uciły. „Wydawało się” – pisał jeden z osadników – „jak gdyby Lüderitz znowu zamierało”^[370]. Kiedy do miasta dotarły pogłoski o diamentach, uradowani ludzie wylegli na ulice. W ciągu roku każde z otaczających zatokę pustynnych wzgórz zostało zajęte przez jakąś konkurencyjną, poszukującą diamentów kompanię.

Setki mężczyzn przeczesywały i przekopywały piasek w rytmie silników maszyn oczyszczających, które oddzielały cenne minerały od niemających wartości skał.

Jak wszystkie gorączki – diamentów, złota, ropy naftowej – diamentowa gorączka w Lüderitz przyniosła też miejscowy folklor. Najtrwalsza z legend mówiła, że w niektórych miejscach nie trzeba było nawet kopać – diamenty miały po prostu leżeć na piasku. Mówiono o jednym złożu, leżącym zaledwie kilka kilometrów na północ od Lüderitz, gdzie poszukiwacze zbierali się o zmroku i czekali, aż w świetle księżyca zamigoczą diamenty, które będzie można całymi garściami zbierać z piasku.

Rzeczywistość poszukiwaczy nie była jednak tak romantyczna. Większość pracy wykonywali czarni robotnicy przywiezieni z królestw Owambo na dalekiej północy. Skuci razem za nogi, musieli poruszać się na czworakach, przegrzebując gorący piasek w poszukiwaniu diamentów. Do szukania pracy u Niemców zmusiły ich susza i głód, które nawiedziły ich ojczyznę. Trudy harówki pogarszała brutalność nadzorców oraz marne racje żywnościowe. Wielu robotników zmarło.

Przeczesał pustynię, Owambo natrafiali nie tylko na diamenty. Na przełomie lat 1904 i 1905, kiedy śmiertelność na Shark Island wzrosła, wielu ciał pozbyto się na pustyni, poza granicami Lüderitz. Zakopywano je w masowych grobach na terenach, które – jak sądziły niemieckie władze – zawsze pozostaną jedynie niezamieszkanym pustkowiem. Teraz owo pustkowie było złożem diamentów, a robotnicy Owambo poszukiwali skarbów tam, gdzie pochowano szczątki więźniów z Shark Island. Dziś znamy dwa takie masowe groby, które wylaniają się z piasków nieopodal Lüderitz. W strefie wydobywania diamentów, wciąż niedostępnej dla zwykłych ludzi, bieleją w słońcu ludzkie kości, z pewnością należące do ofiar obozów. Porzucona maszynyria do wydobywania diamentów stoi zaledwie kilkaset metrów dalej, na wpół zasypana złotym piaskiem Namib.

W szczycie diamentowej gorączki biali mieszkańcy Lüderitz nie zwracali większej uwagi na te ponure znaleziska. Kiedy do miasta znowu zaczęły płynąć pieniądze, powróciła mentalność ośrodka żyjącego z boomu – ponownie otwarto bary, a tamtejsze wybryki przewyższyły to, co znano z czasów wojny. Przez krótki czas Lüderitz znów stało się jednym z najdynamiczniejszych miejsc na ziemi.

W latach 1908–1913 w Afryce Południowo-Zachodniej wydobyto diamenty o wartości 52 milionów marek^[371]. Z każdym nowym znaleziskiem wzrastało podekscytowanie – i populacja miasta. Zaledwie kilka kilometrów od Lüderitz, w głębi łądu, na pustyni powstało całkowicie nowe miasteczko. Kolmansuppe miało kasyno, kręgielnię, sporą salę zebrań, w której przy pełnej widowni wystawiano przedstawienia wodewilowe. Ci, którzy już zrobili majątek, budowali ekstrawaganckie wille na granicy miasta, z widokiem na złoża diamentów.



W czasie diamentowej gorączki południe kolonii było bez wątpienia krainą mężczyzn.

Opowiadano o ciężko pracujących poszukiwaczach, którzy w mgnieniu oka zrobili fortunę i w ciągu zaledwie tygodni roztrwonili ją w barach i burdelach Lüderitz. Choć Południe zrobiło wiele, żeby ożywić legendę „Dzikiego Południowego-Zachodu”, towarzystwa kolonialne w Rzeszy oraz czołowi niemieccy eksperci od spraw kolonialnych robili co mogli, żeby ten wizerunek wymazać. W latach bezpośrednio poprzedzających I wojnę światową rozwój gospodarczy kolonii stał się nierozzerwalnie związany z kwestią płci, toteż ludzie odpowiedzialni za przyszłość Afryki Południowo-Zachodniej zaczęli szukać sposobów, by przyciągnąć do kolonii niemieckie kobiety. Aby społeczeństwo osadników stało się w pełni produktywne, „zdrowo rasowe”, potrzeba było nie tylko farmerów, ale i ich żon.

Pierwsza kampania mająca zachęcić kobiety do tego, by przybywały do Afryki Południowo-Zachodniej, ruszyła w 1896 roku – Niemieckie Towarzystwo Kolonialne zaproponowało darmowy transport żonom i narzeczonym mężczyznom, którzy służyli w kolonii. Wyraźniejszą próbą inżynierii społecznej było zaoferowanie darmowej podróży niezamężnym kobietom, które na miejscu miały zostać służącymi w niemieckich domach. Uważano, że w ten sposób młode kobiety będą mogły spożytkować swoją energię, zanim znajdą mężów. Clara Brockmann uważała, że osadnik mający żonę pracuje dziesięciokrotnie lepiej od osadnika nieżonatego, a H. Ladeburg, autor książki *Die Koloniale Frauenfrage* (Kwestia kobieca w koloniach), sugerował, że „małżeństwo z rasową towarzyszką wzbogaci [osadnika] nie tylko etycznie, ale i ekonomicznie”^[372].

W 1913 roku w kolonii przebywały trzy tysiące białych kobiet, stanowiące około jednej czwartej całej białej ludności Afryki Południowo-Zachodniej. Dwadzieścia lat wcześniej było ich zaledwie pięćdziesiąt pięć. Kampania, zachęcająca białe kobiety do osiedlania się w kolonii, w mniejszym stopniu miała jednak na celu zwiększanie produktywności rolnictwa, a bardziej wynikała z potrzeby *Rassenreinheit* – niemieckiej czystości rasowej.

Niemieccy osadnicy na Południowym-Zachodzie, tak jak biali osadnicy po drugiej stronie oceanu, od wielu dziesięcioleci brali sobie za konkubiny Afrykanki i Mulatki. Wielu z nich spłodziło mieszane rasowo dzieci. Część wróciła do Niemiec i porzuciła swoje afrykańskie rodziny, ale nieliczni poślubili swoje nie-białe partnerki i opiekowali się swoimi dziećmi.

Mieszaniu się ras jako pierwszy próbował przeciwdziałać Curt von François – jeszcze w 1892 roku. Chcąc zniechęcić żołnierzy niemieckiego garnizonu do brania sobie afrykańskich konkubin, zagroził odbieraniem im prawa do działki ziemi w kolonii po zakończeniu służby. Mimo tych sankcji wielu Niemców – tak osadników, jak i podwładnych kapitana von François – wciąż żyło z Afrykankami, a nawet je poślubiło, szczególnie kobiety mieszanych rasowo Basterów^[373].

Nawet wtedy, gdy do kolonii w dużej liczbie zaczęły przybywać Niemki, nie ustały kontakty seksualne między białymi osadnikami a czarnymi albo mieszanymi rasowo kobietami. Kolonialny ekonomista, Moritz Bonn, twierdził, że „główną przyczyną bastardyżacji w Afryce wcale nie był

brak białych kobiet, ale obecność czarnych”. Leutweina, a potem innych gubernatorów, najbardziej przerażały jednak nie mieszane związki, ale ich owoce. Zgodnie z niemieckim prawem, dzieci niemieckich ojców automatycznie uzyskiwały niemieckie obywatelstwo. To, czy takie samo prawo mają dzieci z mieszanych związków, stało się przedmiotem długiego i zawilego sporu prawnego. Uważając, że nie sposób zabronić, by niemieccy osadnicy poślubiali afrykańskie kobiety, sypiali z nimi albo je gwałcili, Leutwein i jego następcy postanowili zapobiec temu, by ich mieszane potomstwo było uznawane przez prawo za Niemców.

Kiedy naukowe teorie rasy zaczęły kształtować postawy w koloniach, debata na temat mieszania się ras skupiała się na obawach, że czarna krew przeniknie do białej ludności. *Rassenreinheit* – czystość rasowa – stała się kwestią, którą bardzo przejmowały się zarówno władze Afryki Południowo-Zachodniej, jak i kolonialni agitatorzy w Rzeszy. Magazyn „Kolonie und Heimat” twierdził, że najważniejszym zadaniem, przed jakim stali kierownicy projektu kolonialnego, było „utrzymanie czystości naszej rasy za granicą”.

Walce z rasowym skażeniem w Afryce Południowo-Zachodniej ochoczo przeprowadził wicegubernator Oskar Hintrager, fanatyczny biały suprematysta. We wrześniu 1905 roku, ściśle współpracując z Hansem Tecklenburgiem, byłym wicegubernatorem z czasów von Trothy, wydał edykt zakazujący kolonialnym urzędnikom stanu cywilnego udzielania małżeństw mieszanym rasowo parom. W 1907 roku Sąd Najwyższy w Windhuku unieważnił wszystkie małżeństwa zawarte między Europejczykami a Afrykanami. Sędzia przewodniczący postanowił także, że linia krwi, która została „skażona” czarną krwią, nie może zostać oczyszczona przez całe pokolenia. Afrykańską krew uznano za tak poważną „truciznę”, że ci, którzy zostali nią zarażeni, byli nieodwołalnie wykluczani z grona białej rasy.

Kiedy lewicowi posłowie narzekali na Reichstagu na wprowadzane w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej ustawy rasowe, koloniści otwarcie porównywali się do amerykańskich konfederatów z południa Stanów Zjednoczonych oraz Burów, którzy zbuntowali się przeciwko brytyjskim próbom narzucenia im w tej kwestii liberalnych praw.

W marcu 1907 roku doktor Angelo Golinelli z Departamentu Kolonii przeredagował paragraf 17f kolonialnej Ustawy samorządowej, co pozwalało pozbawić głosu mężczyzn, którzy utrzymywali stosunki seksualne z Afrykankami. Osadnikom mającym żony Afrykanki albo Mulatki odebrano prawo pobierania od państwa wynagrodzenia oraz otrzymywania pożyczek na zakup i wyposażenie nowych farm albo powiększenie już istniejących.

Bez względu na to, jak długo para była małżeństwem i ile miała dzieci, na to, jakie życie prowadził osadnik, na jego służbę w wojsku – w imię czystości rasowej mężczyźni, którzy mieli mieszane rasowo rodziny, mieli je opuścić. Ci, którzy odmawiali, skazywali się na społeczny i ekonomiczny ostracyzm białego społeczeństwa kolonii.

W maju 1912 roku, tak jak uczynił to jego poprzednik, gubernator Seitz wydał własne prawo rasowe – *Dekret gubernatora Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej w sprawie mieszanej rasowo ludności*. Nakazywało ono rejestrację tuż po urodzeniu wszystkich mieszanych rasowo dzieci. Zapewniało także podstawę prawną dla rozbijania siłą rodzin mieszanych rasowo. Dekret stanowił, że „jeśli konkubinaty mężczyzny nie-tubyłca z tubyłczą kobietą stanie się powodem publicznego zgorszenia, policja może nakazać obu stronom rozejść się, a jeśli nie stanie się to w określonym terminie, może dokonać rozdzielenia siłą”^[374].

Ustawy rasowe, które po raz pierwszy wprowadzono w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, stały się wzorem dla podobnych praw ustanowionych w innych niemieckich koloniach. Prawa takie wprowadzono w 1906 roku w Niemieckiej Afryce Wschodniej, a w roku 1908 w Togo. Na należącym do Niemiec Samoa w 1912 roku sekretarz stanu, Wilhelm Solf, osobiście interweniował, żeby zakazać międzyrasowych małżeństw, mimo że na Samoa praktykowano je od pokoleń. W 1905 roku w Berlinie mówiono przez jakiś czas, by taki zakaz – oparty na prawie obowiązującym w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej – wprowadzić nawet w samej Rzeszy. Nic takiego nie nastąpiło, choć nieliczni ludzie mieszanej pochodzenia, żyjący albo nawet urodzeni w wilhelmińskich Niemczech, nie otrzymywali statusu obywateli.

Rasowe ustawodawstwo Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej sprawiło, że kwestia mieszania się ras dotarła z kolonii do samych Niemiec. W latach 1905–1912 w Reichstagu odbyło się wiele debat na tematy kolonialne, które relacjonowano w gazetach i o których dyskutowano na łamach czasopism wydawanych przez rozmaite towarzystwa. Wprowadzono przy tym do języka publicznego całkowicie nowe słownictwo, quasi-prawniczą i pseudonaukową terminologię, którą stosowano w Afryce Południowo-Zachodniej – pojęcia takie jak: mieszanie się ras (*Rassenmischung*), czystość rasowa (*Rassenreinheit*), wstyd rasowy (*Rassenschande*), ludzie mieszanej rasy (*Mischlinge*) czy kwestia mieszania się ras (*Mischlingefrage*). Terminologia ta dała podstawy do coraz bardziej biologicznego postrzegania kwestii rasy i mieszania się ras. Nakładała się przy tym na dużo starszy dyskurs mówiący o miejscu Żydów w niemieckim społeczeństwie oraz ich domniemanej niższości w stosunku do etnicznych Niemców.



Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia była nie tylko kolonią, w której po raz pierwszy opracowano prawa rasowe i kategoryzację ludzi, ale też stała się pierwszym laboratorium polowym niemieckich naukowców rasowych. Po wojnach z Hererami i Nama zorganizowano wiele ekspedycji mających na celu w sposób naukowy wykazać niebezpieczeństwo, jakim dla osadników było mieszanie się ras.

Na początku XX wieku tak naukowcy, jak i kolonialni entuzjaści zapewniali, że zjawisko to

doprowadzi do „degeneracji” – potomstwo z takich związków miało być słabsze na zdrowiu i umyśle. Wierzono, że mieszańcy rasowo będą przez całe pokolenia wydawać na świat dzieci z fizycznymi i umysłowymi ułomnościami – nawet jeśli będą rozmnażać się tylko z „nieskażonymi” białymi. „Degenerację rasową” tłumaczono na rozmaite sposoby, ignorując wszelkie dowody, które zadawały kłam tej teorii. Felix von Luschan, dyrektor berlińskiego Muzeum Etnologicznego, a wcześniej Berlińskiej Wystawy Kolonialnej, wierzył, iż u mieszanego rasowo ludności negatywne cechy przejęte od ras niższych będą dominować tak bardzo, że po kilku pokoleniach mieszania się krwi (*Blutmischung*) na świat będą przychodziły dzieci w stu procentach należące do rasy niższej. Von Luschan twierdził, że osobiście zbadał na „Hotentotach” to zjawisko, które nazywał *Entmischung*^[375].

Mimo zapewnień von Luschana nauka nie zaobserwowała i nie potwierdzała istnienia procesu degeneracji rasowej – co więcej, dominowały inne, konkurencyjne teorie. Wśród wielu naukowców, którzy podjęli się udowodnienia teorii degeneracji, był pewien młody niemiecki antropolog – niejaki Eugen Fischer.

W 1906 roku Fischer był wschodzącą gwiazdą akademicką. Jego pierwsze poważne badania nad szerokością czaszek Papuasów otrzymały prestiżową Nagrodę imienia Paula Broki, przyznaną przez Paryskie Towarzystwo Antropologiczne. Polechtany tym osiągnięciem, a także zaciekawiony niedawnym odkryciem Mendelowskiej genetyki, Fischer – jak wielu jemu współczesnych – zaczął przeczesać glob w poszukiwaniu wymieszanej rasowo społeczności, której cechy fizyczne oraz genealogiczna historia pozwoliłyby mu zademonstrować działanie rasowej degeneracji^[376].

Potrzebne mu było społeczeństwo z wyjątkowo specyficznym dziedzictwem rasowym. Idealnym obiektem byłaby odizolowana wspólnota mieszanego rasowo ludzi, którzy mogliby prześledzić swój rodowód do pewnego konkretnego momentu w historii, kiedy dokonał się akt seksualny między ich przodkami – dwojgiem „czystych rasowo” ludzi. Taki stosunek – między osobą „czysto czarną” i „czysto białą” – musiał mieć miejsce kilka pokoleń wcześniej, a tymczasem mieszane rasowo potomstwo musiało rozmnażać się z ludźmi innych ras.

Analizując istniejące prace na temat „bastardyżacji ras”, Fischer najpierw przyjrzał się mieszanemu ludności południowych Stanów Zjednoczonych, ale w 1907 roku pewien kolega wręczył mu książeczkę pt. *Naród bękartów*, której autorem był kapitan Maximilian Bayer^[377]. Bayer, niemiecki oficer, który walczył w bitwie pod Waterbergiem obok generała von Trothy, w 1904 roku brał udział w pościgu za Hererami na Omaheke, a później w ekspedycji wysłanej przeciwko partyzantom Hendrika Witbooi. W czasie podróży na południe trafił do miasteczka Rehoboth, 80 kilometrów od Windhuku, które było domem małej wspólnoty Basterów, potomków zawieranych przed stuleciami w Kolonii Przylądkowej mieszanego rasowo związków białych mężczyzn i kobiet Nama.

Basterowie przenieśli się na Południowy Zachód w 1869 roku, wypchnięci z Kraju Przylądkowego przez Burów. W roku 1870 założyli osadę, nazywając ją tak jak pewne wspomniane w Biblii miasto nad Eufratem. Określenie „Basterowie” pochodzi z XVIII wieku i mieszkańcy Rehoboth nie uznawali go za obraźliwe, będąc dumnymi ze swojego dziedzictwa, historii i nazwy.

Choć Basterowie mieszkali w Afryce Południowo-Zachodniej od ponad pół wieku i utrzymywali stałe kontakty z Hererami oraz dwunastoma plemionami Nama, pozostali społecznością zamkniętą i bardzo rzadko zawierali małżeństwa z innymi ludami. Jeśli tak się działo, to zazwyczaj kobieta Basterów poślubiła białego. Jako głęboko wierzący chrześcijanie, Basterowie prowadzili szczegółowe księgi narodzin i chrztów, które pozwalały większości rodzin prześledzić swoje pochodzenie kilka pokoleń wstecz. Był to idealny lud, na którym Eugen Fischer mógł przetestować swoje teorie.

W roku 1904 przywódcy Basterów odrzucili wezwanie do broni wystosowane przez Hendrika Witbooi i dotrzyмали warunków zawartego z Niemcami traktatu o ochronie, dostarczając Schutztruppe ludzi do pomocy w walce z Hererami. To właśnie częściowo z powodu relacji Basterów, wstrząśniętych zachowaniem swoich „sojuszników”, wyszła na jaw prawda o okrucieństwie wojny na Omaheke. Ponieważ von Trotha nie obrał ich za cel, Basterowie nie doznali większych strat i w 1908 roku było ich około dwóch tysięcy.

Jak u wszystkich mieszanych rasowo ludów, ich cechy fizyczne różniły się w zależności od jednostki. Niektórzy wyglądali zupełnie jak Nama, inni mieli zdecydowanie europejskie rysy, ale większość wyglądała jak mieszanka obu ras. Kobiety Basterów były wyjątkowo piękne – miały jasne włosy afro, niebieskie albo zielone oczy i charakterystyczne dla Nama wysokie kości policzkowe. W tekście naukowym z 1910 roku Fischer pisał: „Na tle szpetnych, żółtoskórych, krępych Hotentotów, a także wśród ubogich, chudych, ciemnoskórych Damara, Basterowie robią dobre wrażenie”^[378].

Kiedy Fischer skupiał się na ich wyglądzie fizycznym, Basterowie – jak większość konserwatywnych, religijnych, XIX-wiecznych społeczności – kładli nacisk na kwestie ducha, własności i moralności. Ubierali się starannie i skromnie. Wielu mężczyzn miało krzaczaste, wiktoriańskie wąsy. Kobiety układały włosy w ciasne koki z tyłu głowy i nosiły sukienki pod szyję i do kostek.

W przeciwieństwie do Nama, Basterowie mówili jedynie w języku afrykanerskim (*afrikaans*) i przyjęli większość zwyczajów Burów. Ogromną wagę przywiązywali (i dalej przywiązują) do nazwisk rodowych, odzwierciedlających ich dumę ze swojego mieszanego pochodzenia. Notatki Eugena Fischera zawierają opisy członków następujących rodzin: van Wyk, Cloete, Beukes, Steenkamp i McNabb. Ci ostatni byli potomkami pewnego szkockiego marynarza, który poślubił Basterkę. Dzisiejszym *kapteinem* Basterów z Rehoboth jest John McNabb, wnuk tych McNabbów, których

zdjęcia i opisy anatomiczne znajdują się w oryginalnych dokumentach Fischera, przechowywanych w Namibijskim Towarzystwie Naukowym w Windhuku.

W ciągu kilku dni od swojego przyjazdu Eugen Fischer, wspomagany przez miejscowych misjonarzy, zaczął narzucać się Basterom ze swoimi naukowymi teoriami. Mimo zapewnień ze strony misjonarzy, że intencje badacza są niegroźne, Basterowie nie chcieli pozwolić mu dokonać anatomicznych pomiarów. Jeden z członków starszyny przypomniał Fischerowi, że „Basterowie nie są dzikimi”, i spytał go, dlaczego nie bada również białych mieszkańców Rehoboth, „misjonarza i porucznika”^[379].

Kilku Basterów w ogóle nie zgodziło się, żeby Fischer ich zbadał. Inni zezwolili mu wyłącznie na takie badania, które pozwalały im zachować godność. Fischer był szczególnie zawiedziony, kiedy okazało się, że nie może zmierzyć genitaliów i kości łonowych. Narzekał później: „Kilkakrotnie wracałem do tematu, ale okazało się to niewykonalne, szczególnie w przypadku kobiet”.

W obliczu zdecydowanego oporu Fischer musiał ograniczyć zakres badań do mierzenia rąk, dłoni, nóg i głów, a także robienia dużej liczby fotografii. Ogółem przebadał tudzież sfotografował trzysta dziesięć osób z Rehoboth.

Przez cały pobyt w osadzie Fischer popełnił szereg uderzających błędów metodologicznych. Ponieważ Basterowie nie zgadzali się na to, żeby mierzyć ich nago, wielu pomiarów Fischer dokonywał przez grubą warstwę odzieży, przez co były bardzo niedokładne – podobnie jak pomiary dokonane na dwóch grupach rasowych, od których pochodzili Basterowie: Nama i białych Europejczykach. Średnie pomiary „czystej krwi” Nama zostały oparte ma średniej wyciągniętej z badań zaledwie ośmiorga Nama, których wymiary miały reprezentować cały naród.

Fischer zakończył swoje badania zaledwie po dwóch miesiącach pracy w terenie. Przed wyjazdem z Rehoboth przez jakiś czas rozważał rozkopanie grobów przodków Basterów, znajdujących się na tamtejszym cmentarzu chrześcijańskim. Nie mogąc spełnić swojego „wielkiego pragnienia, by spotkać umarłych tej małej społeczności”, wykopał kilka szkieletów Nama z grobów leżących na pustyni, między Swakopmundem i Walvis Bay. „Spotkawszy umarłych”, Fischer wyjechał z Afryki Południowo-Zachodniej i nigdy do niej nie wrócił.

Pod wieloma względami praca i wnioski Fischera były typowe dla studiów rasowych tamtych czasów. Jego badania były szczegółowe i bardzo skomplikowane, ale równocześnie całkowicie błędne metodologicznie. Dokumenty Fischera zawierają setki antropologicznych zdjęć mieszkańców Rehoboth. Wiele osób zostało sfotografowanych z różnych ujęć, żeby zilustrować pewne szczególne cechy czaszki i twarzy. Oprócz tego jest też mnóstwo wykresów ukazujących genealogię rozmaitych rodzin Rehoboth. Dokumenty są uporządkowane, dobrze skatalogowane i estetycznie zaprezentowane. Owa staranność odwraca uwagę od tego, że obliczenia często nie mają sensu, a wnioski są jedynie racjonalizowaniem rasistowskich uprzedzeń, którym przydano wiarygodności

poprzez zastosowanie metody naukowej.

Mimo to w 1913 roku Eugen Fischer ogłosił swoje badania drukiem, wydając książkę *Die Rehoboth Bastards und das Bastardierungsproblem beim Menschen* (Bękartowie z Rehoboth i problem bastardyżacji u ludzi). Fischer twierdził, że jego pomiary mieszkańców Rehoboth wykazały, iż stwierdzone u Basterów cechy rasowe, które odziedziczyli po swoich przodkach Nama, z każdym kolejnym pokoleniem coraz bardziej dominują nad cechami białych antenatów. Proces degeneracji rasowej odcisnął swoje piętno na ich ciałach, a historia Basterów z Rehoboth była jakoby dowodem na uniwersalną prawdę, że „każda europejska rasa, która przyjęła krew niższych ras – a tylko szalenie twierdziłby, że nie są nimi ci murzyni Nama oraz wielu innych – została ukarana za przyjęcie owych niższych pierwiastków kulturowym i intelektualnym upadkiem”^[380].

Jeszcze przed publikacją książki Fischer rozpoczął wykłady na temat swoich odkryć, ale to właśnie *Die Rehoboth Bastards* pomogła mu zdobyć pozycję najważniejszego niemieckiego eksperta od spraw mieszania się ras. Jego praca została uznana za przełomową, pierwsze zastosowanie współczesnej genetyki i praw Mendla w antropologii człowieka. Książka publikowana była jeszcze w 1961 roku.

Fischer wyrastał na czołowego niemieckiego specjalistę od rasy w chwili, kiedy na popularności w niemieckim dyskursie naukowym zyskiwała inna pseudonauka – eugenika, wynalazek Francisca Galtona, kuzyna Karola Darwina. Za stworzenie niemieckiej eugeniki odpowiadał w dużej mierze jeden człowiek, Alfred Ploetz, żarliwie wierzący w ideę supremacji rasy aryjskiej. W połowie lat 80. XIX wieku Ploetz połączył wiarę w wyższość rasy aryjskiej z eugeniką i rozpoczął krucjatę na rzecz zachowania czystości rasy germańskiej. W jednej ze swoich książek stwierdził, że umiłowanie ludzkości „jest niczym więcej, jak umiłowaniem jej aryjskiej części”^[381].

Ploetz zaczął badania, zanim Francis Galton stworzył pojęcie „eugeniki”, toteż swoją naukę nazywał *Rassenhygiene* – „higieną rasową”. Choć określenie to nie miało elegancji greckiej nazwy Galtona, lepiej oddawało stojące za nim koncepcje czystości i skalania, nieodłącznie związane z ruchem eugenicznym. W 1895 roku Ploetz wydał swoją najważniejszą książkę *Podstauy higieny rasowej*, a w 1904 roku był współzałożycielem czasopisma „Archiv für Rassen und Gesellschaftsbiologie” (Archiwum Nauki Rasowej i Biologii Społecznej) i otworzył Towarzystwo na rzecz Higieny Rasowej. (W 1909 roku Galton zgodził się być jego honorowym przewodniczącym). Eugen Fischer, zajmujący się eugeniką jeszcze w czasach poprzedzających wizytę w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, był idealnym człowiekiem, żeby stanąć na czele niemieckiej rewolucji eugenicznej.

W 1910 roku Fischer argumentował, że higiena rasowa była pierwszym krokiem w kierunku „ocalenia naszego wspaniałego, niemieckiego narodu” i że obowiązkiem badaczy rasy jest przekonanie opinii publicznej o kolosalnych zaletach i znaczeniu higieny rasowej. Prozelityzm

naukowców w rodzaju Eugena Fischera nie wystarczył jednak do tego, by idee *Rassenhygiene* zdobyły popularność w niemieckim społeczeństwie – konieczna była trauma kłęski i upokorzenia Niemiec w I wojnie światowej. Kłęska i chaos, który w jej wyniku nastąpił, sprawiły, że niemieccy badacze kwestii rasowej zradycyzowali się, a niemieckie społeczeństwo, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, stało się podatne na teorie dotyczące rasy^[382].

^[351] NAN, Photo collection, ref no. 2857; Joachim Zeller, *Symbolic Politics*, w: Jürgen Zimmerer, Joachim Zeller (red.), *Genocide in German South-West Africa: the Colonial War of 1904–1908 and Its Aftermath*, Monmouth 2008, s. 231–249; „Kolonial-Post”, 1937, s. 6 (dzięki uprzejmości Joachima Zellera); Daniel Joseph Walther, *Creating Germans Abroad: Cultural Policies & National Identity in Namibia*, Athens, OH 2002; Jan-Bart Gewald, *We Thought We Would Be Free*, Cologne 2000.

^[352] Ulrich van der Heyden, Joachim Zeller, *Kolonial Metropole Berlin*, Berlin 2002, s. 164.

^[353] „Kolonial-Post”, 1937, s. 6.

^[354] *Deutsche Zentrumspartei*, prawicowa partia katolicka (przyp. tłum.).

^[355] Klaus Epstein, *Erzberger and the German Colonial Scandals: 1905–1910*, „The English Historical Review”, październik 1959, 74, nr 293, s. 637–663.

^[356] NAN, ZBU 456, DIV.1.3, t. 6, s. 88.

^[357] *Ibidem*, 465, DIV. M.3, t. 2, s. 147.

^[358] *Ibidem*, s. 119.

^[359] *Ibidem*, s. 239.

^[360] Gilbert Isaac Schrank, *German South-West Africa: Social and Economic Aspects of Its History, 1884–1915*, New York 1974, s. 212 (nieopublikowana rozprawa doktorska).

^[361] Walther, op. cit., s. 58–59.

^[362] BAK, Kl. Erw. NL 1037, nr 8, s. 6.

^[363] Walther, op. cit., s. 20.

^[364] *Ibidem*, s. 30.

^[365] *Ibidem*, s. 90–91.

^[366] *Ibidem*, s. 93.

^[367] *Ibidem*, s. 103.

[368] Lora Wildenthal, *She Is the Victor*, w: Geoff Eley (red.), *Society, Culture, and the State in Germany, 1870–1930*, Ann Arbor 1998, s. 374.

[369] Jake W. Spidle, *Colonial Studies in Imperial Germany*, „History of Education Quarterly”, jesień 1973, 3.3, s. 231–247.

[370] Max Ewald Baericke, *Luederitzbucht: 1908–1914*, Windhoek 2001, s. 33.

[371] Klaus Dierks, *Chronology of Namibian History*, Windhoek 2002, s. 138.

[372] Walther, op. cit., s. 46.

[373] Do dziś żyją Namibijczycy, którzy są potomkami rodziny von François i noszą to nazwisko.

[374] *Decree of the Governor of German South-West Africa on the Half-Caste Population, 23 May 1912*, „Deutsches Kolonialblatt” 1912, s. 752; cyt. za: Helmuth Stoecker (red.), *German Imperialism in Africa: From the Beginnings until the Second World War*, London 1986, s. 211.

[375] Pogorszenie, degeneracja (przyp. tłum.).

[376] Robert Gordon, Stuart S. Douglas, *The Bushman Myth: The Making of a Namibian Underclass*, Oxford 2000; Robert Gordon, *The Rise of the Bushman Penis: Germans, Genitalia and Genocide*, „African Studies” 1998, 57.1, s. 27–54; Eugen Fischer, *Die Rehobother Bastards und das Bastardierungsproblem beim Menschen*, Jena 1913; idem, *Begegnung Mit Toten*, Freiburg 1959.

[377] Maximilian Bayer, *Die Nation der Bastards*, „Zeitschrift für Kolonialpolitik. Kolonialrecht und Kolonialwirtschaft” 1906, 8.9, s. 625–648.

[378] Eugen Fischer, *Das Rehobother Bastardvolk*, „Die Umschau” 1910, 13, s. 1049.

[379] Idem, *Die Rehobother Bastards*, op. cit., s. 57.

[380] Ibidem, s. 302.

[381] Richard Weikart, *From Darwin to Hitler*, New York, Basingstoke 2004, s. 118.

[382] Henry Friedlander, *The Origins of Nazi Genocide: From Euthanasia to the Final Solution*, Chapel Hill, NC, London 1995, s. 12.

ROZDZIAŁ 14

Rozpad

Wielka wojna przysłała do Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej rankiem 18 września 1914 roku, kiedy pod osłoną nocy flotylla brytyjskich i południowoafrykańskich okrętów opłynęła Shark Island i po cichu wślizgnęła się do Zatoki Lüderitza. Kiedy nad skalistymi wzgórzami we wschodniej części miasta wzeszło słońce i odsłoniło zatokę pełną okrętów wojennych, miejscowa ludność wpadła w panikę. Widywano mężczyzn, którzy w piżamach wybiegali z domów. Jakiś urzędnik kolonialny przebiegł przez ulicę, trzymając w ręku skrzynkę z oficjalnymi dokumentami, a na maszt przy głównym nabrzeżu wciągnięto – w cokolwiek nieestosownym pośpiechu – białą flagę^[383].

Dowódcy Schutztruppe, spodziewając się inwazji lądowej armii Związku Południowej Afryki^[384], wysłali większość swoich sił na południową granicę, nad rzekę Oranje. Lüderitz, jego mieszkańcy i tamtejsze złoża diamentów, zostawiono niemal całkowicie bez obrony. Kiedy działa floty inwazyjnej zostały wycelowane w miasto, burmistrz Lüderitz, Emil Kreplin, miejscowy sędzia, doktor Dommer oraz wydawca gazety „Lüderitzbuchter” popłynęli do południowoafrykańskiego okrętu flagowego. Na jego pokładzie burmistrz Kreplin oficjalnie poddał miasto dowódcy sił Związku Południowej Afryki, pułkownikowi Bevesowi. Do południa następnego dnia na maszt w zatoce wciągnięto flagę brytyjską, która zastąpiła białe płótno. Dwa tysiące żołnierzy sił inwazyjnych zeszyły na ląd i zaczęły wylądowywać ekwipunek.

Sześć dni później „Armada Castle”, liniowiec należący do brytyjskiej Union Castle Shipping

Linie i niedawno przekształcony w okręt wojenny, niespodziewanie pojawił się przy brzegu Swakopmundu. Kiedy miasto znalazło się w zasięgu jego dział, zaczął ostrzelać, celując w jedyne obiekty, które miały jakiegokolwiek znaczenie strategiczne: długie, drewniane nabrzeże oraz maszt długofalowego nadajnika radiowego. Wkrótce oba zostały zniszczone, ale pociski trafiły też w Izbę Celną i biura Woermann, Brock & Company^[385], spółki-córki linii żeglujowej Woermann. Następnego dnia po rozpoczęciu bombardowania niemieckie władze kolonialne rozpoczęły ewakuację ludności cywilnej w głąb lądu. 30 września Swakopmund był już tak naprawdę wymarłym miastem. Piasek zaczął zasypywać drewniane chodniki i zalegać przed drzwiami domów i sklepów.

W dzień Bożego Narodzenia 1914 roku w Walvis Bay wylądował spory oddział południowoafrykańskich żołnierzy, którzy dwa tygodnie później pomaszerowali na Swakopmund. Jedyne opór, na jaki napotkali, stawili kilku niemieckich snajperów, którzy – zanim się pośpiesznie wycofali – parę razy wystrzelili z pobliskich wydm oraz wysadzili kilka dużych kopalni. Po zdobyciu Swakopmundu i Lüderitz Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia została *de facto* odcięta od „ojczyzny”. W tym samym miesiącu podobny los spotkał inne afrykańskie kolonie Niemiec.

W sierpniu 1914 roku, kiedy milion niemieckich żołnierzy, zgodnie z wielkim planem wojennym niezyskającego już Alfreda von Schlieffena, przemaszerował przez Belgię, niemiecka kolonia w Afryce Zachodniej – Togo – została zaatakowana ze wschodu przez francuskie oddziały z Dahomeju, a z zachodu przez Brytyjczyków ze Złotego Wybrzeża (dzisiejszej Ghany). Niewielkie siły niemieckiej policji poddały się pod koniec miesiąca, dając państwom ententy szybkie zwycięstwo, dobre dla morale i pomagające podtrzymać powszechne przekonanie, że wojna w Europie będzie trwała tylko kilka miesięcy. Kiedy Swakopmund wpadał w ręce południowoafrykańskie, trwała też inwazja na niemiecki Kamerun. Podczas gdy broniące ojczyzny wojska belgijskie zostały całkowicie rozbite, kolonialne oddziały z Konga najechały od południa na terytorium niemieckie. Wojska francuskie zaatakowały Kamerun z Czadu, a z zachodu, z Nigerii, wkroczył brytyjski oddział czterech tysięcy Afrykanów (dowodzonych przez trzystu pięćdziesięciu białych oficerów). Brytyjczycy spotkali się z silnym oporem ze strony sił niemieckich składających się przeważnie z lojalnych Afrykanów, ale z pomocą Royal Navy we wrześniu zdobyto stolicę Dualę, a niemiecki garnizon musiał szukać schronienia na neutralnym terytorium Gwinei Hiszpańskiej.

Oddziały Schutztruppe przejęły inicjatywę tylko w Niemiec-kiej Afryce Wschodniej. Wielki oddział afrykańskich askarysów^[386], prowadzonych przez niemieckich oficerów, znalazł się pod bezpośrednim dowództwem charyzmatycznego Paula Emila von Lettow-Vorbecka. Weteran bitwy pod Waterbergiem był świadkiem wydania rozkazu eksterminacji w Osombo zo Windimbe, a w 1905 roku został wysłany na południe, do walki z Nama. Pod koniec 1914 roku przeprowadził ataki na belgijskie oddziały w Kongu i na brytyjskie posiadłości w Kenii i Ugandzie. Udało mu się też odeprzeć atak na Afrykę Wschodnią w bitwie pod Tanga, najważniejszym starciu kampanii, która

miała ciągnąć się do 1918 roku.

W Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, pomimo dramatycznej inwazji na Lüderitz oraz zdobycia Swakopmundu, niewiele się wydarzyło. W przeciwieństwie do taktyki von Lettow-Vorbecka, major Victor Franke – inny weteran wojen z Hererami i Nama, odznaczony orderem Pour le Mérite – nie spróbował stawić czoła najeźdźcom w momencie inwazji. Mając dużo mniej wojsk, wycofał się w głąb lądu, na pozycje chronione przez pustynię Namib. Tam skoncentrował całe swoje wysiłki na utrzymaniu kontroli nad bardzo ważnymi węzłami kolejowymi w centrum i na południu kolonii, a także nad obroną najważniejszego rejonu niemieckiego osadnictwa – byłych pastwisk Hererów wokół Windhuku. Zanim wojska Związku Południowej Afryki przekroczyły Namib, żeby stawić czoło Schutztruppe Frankiego, generał Louis Botha, premier i dowódca wojsk ZPA w Swakopmundzie i Walvis Bay, musiał wrócić do Kapsztadu, żeby stłumić bunt burskich żołnierzy.

Ponieważ Botha wyjechał na kilka miesięcy, południowoafrykańskie siły ekspedycyjne w Swakopmundzie, Lüderitz i Walvis Bay nie robiły nic – zakwaterowały się i czekały. Dla oficerów odpowiedzialnych za logistykę przerwa w działaniach okazała się czystym błogosławieństwem – z pomocą trzydziestu tysięcy czarnych robotników, których wzięli ze sobą, udało im się zgromadzić niezbędne zaopatrzenie, by z wielkim trudem móc prowadzić walkę na pustyni Namib.

Mając wiele wolnego czasu, część południowoafrykańskich żołnierzy zwiedzała pobliską pustynię. W Swakopmundzie niektórzy oficerowie natrafili na ostatnie widoczne resztki obozów koncentracyjnych, które zaledwie sześć lat wcześniej działały w mieście.

W lutym 1915 roku porucznik Erich Moore Ritchie, osobisty ochroniarz Bothy, na południowym skrawku miasta natknął się na ogromny cmentarz. Mieścił się on tuż obok cmentarza europejskiego, ale rozciągał się aż na pustynię. Podczas gdy groby Europejczyków były starannie utrzymane i ocienione drzewami, te znajdujące się na pustyni były zaledwie kupami piachu i świadczyły o tym, że wykopano je w pośpiechu. Ułożone były w równych rzędach, ale nie miały ani nagrobków, ani krzyży. Porucznik Ritchie pisał później, że szczególnie zaskoczył go rozmiar cmentarza, który nie tylko był kilkakrotnie większy od cmentarza dla Europejczyków, ale też był nieproporcjonalnie duży w stosunku do rozmiaru samego Swakopmundu^[387]. Inny południowoafrykański żołnierz, oficer medyczny, doktor Henry Walker, także natrafił w 1915 roku na położony na pustyni cmentarz. W swoich wspomnieniach z czasów wojny *A Doctor's Diary in Damaraland* (Dziennik lekarza w krainie Damara) Walker pisze o tym, jak nie mógł zrozumieć, dlaczego na granicy małego miasta pochowano tak wiele ciał, zapewne należących do tubylców.

Obok europejskiego cmentarza znajduje się tak zwane miejsce pochówku tubylców. Rzędy małych kopczyków piasku zajmują około kilometra pustyni. W niektóre z nich

wetknięte są małe, niezgrabne krzyże z patyków. Bardzo trudno zrozumieć, dlaczego tak wielu tubylców pochowano nieopodal Swakopmundu, w miejscu, które nawet nie było ogrodzone [388].

Tysiące „małych kopczyków piasku” na pustynnym cmentarzu w Swakopmundzie – miejsce spoczynku tysięcy Hererów, którzy zmarli w tamtejszych obozach koncentracyjnych – dobrze widać nawet dziś. Z powodu wiatrów i napływającego piasku są teraz mniejsze niż były w 1914 roku, kiedy widzieli je porucznik Ritchie i doktor Walker, ale nawet sto lat później cmentarzisko robi wstrząsające wrażenie. Jego rozmiar widać dobrze dopiero z powietrza, albo w letnie wieczory, kiedy w niskim słońcu Południa można dostrzec długie cienie rzucane przez każdy grób. Cmentarz w Swakopmundzie – tak jak historia Shark Island i rozkazu eksterminacji – jest dobrze znany mieszkańcom miasta, ale przez cały wiek stanowił miejscową tajemnicę, o której nie mówiło się głośno. Dziś od miasta odgradza go rząd drogich, nowoczesnych willi, a niektóre z grobów zostały niemal całkowicie zniszczone przez quady turystów, którzy wykorzystują cmentarz jako część toru wyścigowego. W 2007 roku groby otoczono murkiem, a wspólnota Hererów umieściła tabliczkę upamiętniającą to miejsce.



Dokładnie – co do miesiąca – trzydzieści lat po tym, jak Konferencja Berlińska zatwierdziła prawo Niemiec do Afryki Południowo-Zachodniej, wojska południowafrykańskie rozpoczęły marsz przez pustynie Namib i Kalahari. Tamtejsza kampania trwała zaledwie pięć miesięcy. Niemieckie osady zdobywano jedną po drugiej, a na jaw zaczęła wychodzić cała straszliwa prawda o losie Hererów i Nama. Kiedy walczące na północy oddziały południowafrykańskie zajęły żyzny płaskowyż centralny, zorientowały się, że kraina jest wyludniona – walczący usłyszeli też straszliwe opowieści o tym, co wydarzyło się nie tak dawno temu. W maju 1915 roku doktor Walker – lekarz, który odkrył cmentarz w Swakopmundzie – przybył do Otjimbingwe tuż po tym, jak z miasta wycofały się oddziały Schutztruppe. Walkera zdziwił głęboki strach niemieckich osadników przed tym, że mogliby żyć bez opieki swoich wojsk. „Tu, tak jak gdzie indziej – pisał – niemiecki farmer i niemiecki chłop żyją w ciągłym strachu przed tubylcami, tak Hotentotami, jak i Hererami. Jeśli to wyrzuty sumienia sprawiają, że ludzie się boją, to oni mają po temu wszelkie powody”. Walker, który zaczął składać razem kawałki historii ludobójstwa Nama i Hererów, zrozumiał, że osadnicy obawiają się zemsty i pojął związek między cmentarzem w Swakopmundzie a uderzająco małą liczbą Nama i Hererów zamieszkujących kolonię. Niemieccy osadnicy w Otjimbingwe – donosił Walker –

mało mówią na temat tego, co zdarzyło się z tubylcami. Choć na mapie oznaczony jest

wielki rezerwat Hererów, na ulicach widać tylko kilka (...) dziewczek służebnych z tego ludu, bardzo przygaszonych i uległych, chętnie śpiewających niemieckie pieśni. Brzydka plotka głosi, że większość z nich [tubyłców] wygoniono na pustynię, żeby zmarli z głodu i pragnienia [\[389\]](#).

5 maja 1915 roku, wkroczywszy bez oporu do miasteczka Karibib, południowoafrykańskie oddziały odkryły najbardziej wstrząsający dowód niedawnego ludobójstwa. Niedaleko miasteczka natrafiły na stajnie i posterunek w Okawayo, gdzie odnalazły ostatnich więźniów obozu koncentracyjnego na Shark Island, wciąż zamkniętych – sześć lat po jego likwidacji.

W 1909 roku Etappenkommando, jednostka zaopatrzeniowa Schutztruppe pod dowództwem majora Ludwiga von Maerckera, informowała, że w Okawayo przebywało około dwustu czterdzieścioro Nama. Większość z nich stanowili Witbooiowie i Nama z Bethanie. Żołnierze z Afryki Południowej nie zapisali, ilu z nich jeszcze żyło w 1915 roku, ale był wśród nich Samuel Izaak, przywódca Witbooiów. Dziesięć lat po tym, jak poddał się Niemcom na postawionych przez nich warunkach, został wreszcie uwolniony. Nama z Okawayo wrócili do swoich dawnych siedzib w Bethanie i Gibeon, gdzie ci nieliczni, którzy pozostali, pracowali jako bezrolni robotnicy na farmach utworzonych na ich dawnej ziemi. Samuel Izaak miał pięćdziesiąt dziewięć lat, kiedy został uwolniony, i cierpiał na nieuleczalną chorobę. Zmarł w czerwcu, zanim zdążył wrócić do rodzinnego Gibeon. Okawayo zaś przekształcono w tymczasowy obóz dla pojmanych oficerów Schutztruppe.

Tydzień po tym, jak wojska Związku Południowej Afryki dotarły do Okawayo, wojska generała Bothy wmaszerowały do Windhuku i na początku lipca duża część Schutztruppe majora Frankego znalazła się w pobliżu Otavi i Tsumeb, osad górniczych na północy kolonii. Po nierozstrzygniętym starciu z oddziałami południowo-afrykańskimi zrezygnowany Franke poddał się. Następnego dnia gubernator Theodor Seitz – który zaledwie dwa lata wcześniej, w czasie odsłonięcia Pomnika Jeźdźca zapewniał Niemców, że będą „panami tego miejsca, teraz i na wieki” – w Korab, nieopodal Otavi, wydał polecenie kapitulacji.



21 października 1915 roku Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia została brytyjskim protektoratem, a tydzień później generał armii Związku Południowej Afryki, E. Howard Gorges, został jego pierwszym administratorem. Oddziały Schutztruppe pokonano, a jednym z celów polityki okupacyjnej generała Bothy było utrzymanie „pozycji białej rasy” [\[390\]](#). Przeniesienie władzy z Berlina do Pretorii nie zmieniło nic w relacjach między białymi i Afrykanami. Warunki kapitulacji, jakie gubernator Seitz wynegocjował z generałem Bothą, były wyjątkowo korzystne: niemieccy urzędnicy mogli pozostać na swoich stanowiskach, otwarto niemieckie szkoły,

a rezerwiści mogli wrócić do swoich zajęć, do swoich domów i gospodarstw. W niewoli pozostali tylko członkowie Schutztruppe.

Hererowie i Nama cieszyli się z klęski Niemców i robili wszystko co w ich mocy, żeby pomóc wojskom Związku Południowej Afryki, ale tylko nieliczni wierzyli w to, że zostaną wyzwoleni, ich prawa zostaną przywrócone, a oni sami wrócą na ziemię przodków. Hererowie, a zwłaszcza Nama doskonale wiedzieli o tym, jak surowo traktuje się czarnych na południe od rzeki Oranje. Żywili jednak nadzieję, że koniec niemieckiego panowania będzie oznaczać jakąś formę łagodniejszych rządów, które pozwolą na przywrócenie choć w niewielkim stopniu ich kulturowej (jeśli nie ekonomicznej) niezależności.

Południowi Afrykanie, którzy zaledwie cztery lata wcześniej uchwalili ustawę o gruntach tubylców – *Native Land Act* – kamień węgielny, na którym później miał powstać system apartheidu^[391], nie byli zainteresowani tym, by odwrócić niedawne dzieje kolonii. Byli jednak ludzie – tak w Kapsztadzie, jak i w Londynie – którzy widzieli ogromne korzyści w wyciągnięciu tej historii na światło dzienne.



Po niemieckiej kapitulacji generał Botha nakazał zajęcie i przetłumaczenie całej oficjalnej niemieckiej dokumentacji. Choć dowództwo Schutztruppe było na tyle przeznane, że spaliło swoje archiwa, dokumenty centralnej administracji kolonialnej w Windhuku oraz akta części władz regionalnych przetrwały nienaruszone. Kiedy garnizon wojsk ZPA ustanowił w Windhuku obóz na miejscu dawnego obozu koncentracyjnego, w cieniu Posągu Jeźdźca, podjęto olbrzymie zadanie przetłumaczenia dokumentów z trzech dekad. Z tego procesu wyłoniła się pierwsza szczegółowa historia ludobójstwa dokonanego na Hererach i Nama.

Jeszcze przed zwycięstwem Afryki Południowej brytyjska prasa próbowała przywołać wspomnienia „żałosnej wojny na wyniszczenie”, jaką toczyli z Hererami Niemcy. Kapitulacja Rzeszy sprawiła, że tego typu propaganda odżyła z nową siłą. 10 lipca 1915 roku „The Times” opublikował artykuł pod tytułem *Niemieckie okropności*, przypominający czytelnikom o wojnie z Hererami, która „trwale zhańbiła” Niemców.

Owe oskarżenia miały być dowodem na „niemieckie okropności” i w pewnym momencie mogłyby być wykorzystane do anektowania Afryki Południowo-Zachodniej, a być może także wszystkich niemieckich kolonii. Zaledwie tydzień po ukazaniu się w „Timesie” wzmiankowanego artykułu, brytyjski sekretarz do spraw kolonii, Andrew Bonar Law^[392], ogłosił pompatycznie w Izbie Gmin: „Do korzyści płynących z brytyjskich rządów w Afryce nic nie przekonało tubylców bardziej niż doświadczenie rządów niemieckich”^[393]. Z jedenastu posłów, którzy oprócz Bonar Lawa zabierali

głos w debacie na temat niemieckich kolonii w lipcu 1915 roku, siedmiu opowiadało się za aneksją, czterech nie miało żadnych konkretnych sugestii, żaden nie wstrzymał się od głosu.

Dopiero kiedy wiosną 1917 roku do wojny przystąpiły Stany Zjednoczone i pojawiła szansa na całkowite pokonanie Niemiec, władze Wielkiej Brytanii i Związku Południowej Afryki zajęły się losem dawnych posiadłości zamorskich wroga. 28 kwietnia 1917 roku, zaledwie trzy tygodnie po tym, jak prezydent Woodrow Wilson wypowiedział wojnę Rzeszy, brytyjski rząd wojenny spotkał się, żeby omówić kwestię niemieckich kolonii. W zebraniu wzięli udział: generał Louis Botha^[394], Jan Smuts^[395] i John X. Merriman^[396], który oficjalnie stwierdził, że Afryka Południowa zrobi co w jej mocy, by na podstawie przyszłego porozumienia pokojowego Afryka Południowo-Zachodnia nie wróciła do Niemiec^[397].

Skatalogowanie i ujawnienie wszystkich okrucieństw popełnionych w niemieckiej kolonii miało być – zdaniem Merrimana – „poważnym argumentem” na rzecz jej całkowitego zaanektowania. Potrzebne były przekonujące dowody na okrucieństwo Niemców – nie tylko po to, by potępić Rzeszę, ale też, by przekonać wszystkich członków koalicji do takiego, a nie innego rozwiązania kwestii Afryki Południowo-Zachodniej. Dowody na „niemieckie okropności” mogły okazać się konieczne, by przekonać „antyimperialną” część amerykańskiej opinii publicznej do tego, że zajęcie niemieckich kolonii nie służy jedynie powiększeniu Imperium Brytyjskiego.

Potępienie w 1917 roku przez Wielką Brytanię i Afrykę Południową sposobu, w jaki Niemcy traktowali Hererów i Nama, było spóźnione i nieszczerze, zważywszy na historię brytyjskiego kolonializmu oraz stosowanej przez Brytyjczyków przemocy – niekiedy na skalę wręcz ludobójczą. Co więcej, w czasie powstań Nama i Hererów władze brytyjskie nie złożyły żadnych oficjalnych zażeń na sposób traktowania przez Niemców swoich poddanych. Nawet kiedy pułkownik Trench, brytyjski attaché wojskowy, słał do Londynu ostrzeżenia, że Niemcy zamierzają dokonać eksterminacji Nama na Shark Island, rząd Wielkiej Brytanii nie wystosował żadnego protestu.

Brytyjscy humaniści poświęcali tylko ułamek swojej uwagi zbrodniom popełnionym przez Niemców w Afryce Południowo-Zachodniej. Najgłośniej oburzali się na Belgów i Portugalczyków, których uznali za najbardziej nieludzkich i najokrutniejszych ze wszystkich kolonizatorów. Brytyjska prasa także nie pisała w oskarżycielskim tonie o polityce Niemiec. W czasie wojen z Hererami i Nama gazety Wielkiej Brytanii oscyływały między ogólnym entuzjazmem dla wielkiej misji kolonialnej białych ludzi a ledwo skrywaną wyższością z powodu braku umiejętności i doświadczenia Niemców. Choć starannie donosiły o białych ofiarach konfliktu, często nie zwracały uwagi na zabijanie tubylców i dokonywane na nich masakry. Kiedy im to pasowało, wychwalali nawet takie postaci jak Curta von François.

W Kolonii Przyładowej gazeta „Cape Argus” wielokrotnie donosiła o tym, jak Niemcy traktują więzionych Hererów i Nama, ale jej władze nie zgłosiły żadnych oficjalnych protestów, ani nie

zbadały doniesień na temat obozów koncentracyjnych. Czasami żołnierze Związku Południowej Afryki pomagali Niemcom – to właśnie oni w 1907 roku na terytorium Kolonii schwytali i rozstrzelali Jakoba Morengę, przywódcę partyzantki Nama.

Nie ma wątpliwości, że we wrześniu 1917 roku, kiedy władze ZPA zleciły przeprowadzenie oficjalnego śledztwa w sprawie traktowania Hererów i Nama przez Niemców, kierowały się przede wszystkim (jeśli nie wyłącznie) własnym interesem i oportunistycznym. Mimo to śledztwo i powstały w jego wyniku raport charakteryzowały się wyjątkową drobiazgowością. Howard Gorges, John X. Merriman, Louis Botha i Jan Smuts doskonale wiedzieli, że ich raport musi pokazywać zgodnie z prawdą niedawne wydarzenia, gdyż jakiegokolwiek wyolbrzymianie ich czy zmyślenia zostaną natychmiast zdyskredytowane przez niemieckie władze i prasę. W międzyczasie Południowoafrykańscy przetłumaczyli z niemieckiego tysiące zdobytych dokumentów i zorientowali się, że prawda o niemieckich zbrodniach popełnionych na Hererach i Nama jest tak straszna, że nie są potrzebne żadne przejawskrawienia.

Oficerem wyznaczonym do prowadzenia śledztwa został major Thomas Leslie O'Reilly, o którym zaskakująco mało wiadomo. Był z zawodu prawnikiem, a przy okazji oficerem rezerwy Straży Obywatelskiej. Dokumenty wskazują, że do armii generała Bothy wstąpił tuż przed tym, jak w lutym 1915 roku wyruszyła ze Swakopmundu w głąb lądu, ale po kapitulacji Niemców wrócił do Afryki Południowej na roczną przepustkę. W 1916 roku ponownie przyjechał do Afryki Południowo-Zachodniej, gdzie mianowano go sędzią w mieście Omaruru, w zachodnim Hererolandzie. Spotkał tam Hererów nie tylko chcących opowiedzieć o swoich niedawnych cierpieniach, ale wciąż – w 1917 roku – żyjących pod jarzmem miejscowych farmerów, których skłonność do stosowania przemocy wcale nie ustała po poddaniu się Schutztruppe. O'Reilly służył w specjalnym sądzie kryminalnym i orzekał w sprawach o złe traktowanie, a nawet zabójstwa Afrykanów, przez niemieckich i burskich pracodawców. We wrześniu 1917 roku, po otrzymaniu telegramu od Howarda Gorgesa z pytaniem, czy byłby zainteresowany napisaniem raportu na temat zbrodni niemieckich, odpowiedział: „Aż się palę, żeby to zrobić – już i tak działałem w tym kierunku dość dużo i nawet jeśli oni [Pretoria] zmienią zdanie, zamierzam zająć się tym na własną rękę (...). Jest tego tyle, że włos się jeży na głowie”^[398].

Dostał trzy miesiące na zbadanie sprawy i przygotowanie wstępnej wersji raportu. Kompletny szkic miał zostać wysłany do biura administratora w Windhuku i zredagowany przez Howarda Gorgesa, po czym opublikowany jako *Niebieska Księga* – jak nazywano wszystkie raporty brytyjskiego parlamentu. Podstawę pracy O'Reilly'ego stanowiły góry przełożonych na angielski niemieckich dokumentów, które zgromadzono w Windhuku. Były wśród nich rozkazy i listy Curta von François, pierwsze „traktaty ochronne” z podpisem Heinricha Göringa, a także papiery Theodora Leutweina, generała von Trothy oraz Friedricha von Lindequista. O'Reilly odwoływał

się nie tylko do zdobytej dokumentacji, ale też do tego, co napisał były komisarz do spraw osadnictwa kolonii, a w owym czasie dziennikarz polityczny, doktor Paul Rohrbach, którego często cytował w swoim raporcie.

Duże wrażenie robiły zawarte w gotowym raporcie fotografie. Wykonane przez niemieckich osadników i żołnierzy jako pamiątki wojenne, zdjęcia linczów i powieszonych Hererów stały się dowodami. Reprodukcje najstraszniejszych z nich znalazły się w specjalnym dodatku do *Niebieskiej Księgi*. Skatalogowano i sfotografowano nawet przypadki „ojcowskiego karcenia” – bicia i innych kar cielesnych wymierzonych Afrykanom. Kajdany, łańcuchy, bicze – wszystko zostało starannie ponumerowane. Drobiazgowo opisano przeznaczenie każdego z tych narzędzi i to, jak wielki ból zadawało.

Złożone pod przysięgą zeznania czynią z *Niebieskiej Księgi* O'Reilly'ego dokument naprawdę jedyny w swoim rodzaju. Po kapitulacji Niemców w 1915 roku setki Hererów i Nama wróciły z wygnania w królestwach Owambo, Angoli i Beczuanie. To pozwoliło O'Reilly'emu uzyskać zeznania od tych, którzy przeżyli, a dzięki temu poznać wszystkie aspekty niemieckich rządów. Jego rozmówcami byli zarówno Hererowie, którzy po Waterbergu zostali wypchnięci na Omaheke; ludzie uciekający przez patrolami oczyszczającymi; więźniowie obozów koncentracyjnych. Rozmawiał także z Nama, którzy – jako dawni sojusznicy Schutztruppe – byli świadkami okrucieństw popełnionych wobec Hererów w czasie bitwy pod Waterbergiem i tuż po niej. Inni Nama opowiedzieli mu o tym, jak prześladowano ich po klęsce powstania Hendrika Witbooi. Pierwsze rozmowy O'Reilly przeprowadził z Hererami zamieszkującymi Omaruru, którzy znali go i szanowali.

Sposób, w jaki *Niebieska Księga* wykorzystywała zeznania świadków, i staranność, z jaką O'Reilly wykorzystywał niemieckie dokumenty, przypominają przygotowania do procesu norymberskiego trzydzieści lat później. W całej historii kolonializmu w Afryce jest ona niemalże jedynym tak wiarygodnym i wyczerpującym opracowaniem na temat wywłaszczenia i eksterminacji ludów tubylczych.

[383] Hertha Brodersen-Manns, *Wie Alles Anders Kam in Afrika*, Windhoek 1991; General Staff, *The Union of South Africa and the Great War 1914–1918: Official History*, Pretoria 1924; Cyrus C. Adams, *The African Colonies and the German War*, „Geographical Review”, czerwiec 1916, 1.6, s. 452–454; D.E. Kaiser, *Germany and the Origins of World War I*, „Journal of Modern History”, wrzesień 1983, 55.3, s. 442–474.

[384] W 1910 roku brytyjskie kolonie w Afryce Południowej połączyły się, tworząc dominium brytyjskie – Związek Południowej Afryki, ZPA (ang. *Union of South Africa*, afrykanerskie *Unie van Suid-Afrika*), w Polsce nazywany także czasem Unią Południowej Afryki (przyp. tłum.).

[385] Firma powstała w 1894 r. jako Damara & Namaqua Handel GmbH; obecną nazwę przyjęła w roku 1909. Działa w Namibii do dziś (przyp. tłum.).

[386] Z arabskiego: *askari* – żołnierz. Tak określano Afrykanów służących w wojskach mocarstw kolonialnych. W czasie II wojny światowej Niemcy nazywali tak również walczące u ich boku oddziały Ukraińców, Rosjan, Litwinów i Łotyszy (przyp. tłum.).

[387] Eric Moore Ritchie, *With Botha in the Field*, London 1915, cz. 1.

[388] Henry F.B. Walker, *A Doctor's Diary in Damaraland*, London 1917.

[389] Ibidem.

[390] Helmuth Stoecker (red.), *German Imperialism in Africa: From the Beginnings until the Second World War*, London 1986, s. 272.

[391] Ustawa *Native Land Act* wprowadzała segregację rasową w dziedzinie własności ziemi, pozwalając czarnoskórym na nabywanie wyłącznie tzw. zaklasyfikowanych ziem tubylczych (*scheduled native areas*), stanowiących zaledwie 7 procent powierzchni kraju (przyp. tłum.).

[392] Andrew Bonar Law był ówczesnym przewodniczącym Partii Konserwatywnej. Sekretarzem do spraw kolonii został w rządzie wojennym liberała Herberta H. Asquitha (przyp. tłum.).

[393] Prosser Gifford, William Roger Louis, *Britain and Germany in Africa: Imperial Rivalry and Colonial Rule*, New Haven, CT, London 1967, s. 280.

[394] Louis Botha był pierwszym premierem Związku Południowej Afryki, pełniącym tę funkcję w latach 1910–1919 (przyp. tłum.).

[395] Jan Christiaan Smuts był weteranem II wojny burskiej (w czasie której m.in. dowodził oddziałem burskich partyzantów), bliskim współpracownikiem Louisa Bothy i ministrem obrony w jego rządzie, a w latach 1919–1924 i 1939–1948 premierem Związku Południowej Afryki (przyp. tłum.).

[396] John Xavier Merriman był ostatnim premierem Kolonii Przylądkowej przed utworzeniem Związku Południowej Afryki (przyp. tłum.).

[397] Jeremy Silvester, Jan-Bart Gewald, *Words Cannot Be Found: German Colonial Rule in Namibia*, Leiden 2003, s. xv–xvi.

[398] Ibidem, s. xvii.

ROZDZIAŁ 15

„Walczyć ze światem na zawsze”

Przystąpienie Ameryki do wojny w 1917 roku zwiększyło szanse Wielkiej Brytanii i Związku Południowej Afryki na przeciwstawienie się niemieckiemu kolonializmowi na kontynencie afrykańskim. W tym samym czasie równie przełomowe wydarzenia w Rosji i na froncie wschodnim, skłoniły niemieckie dowództwo do uznania, że to Rzesza wygrywa wojnę i będzie dyktować warunki pokojowe. Ponieważ obie strony – tak Niemcy, jak i państwa ententy – były przekonane o tym, że przyszłość należy do nich, dyplomaci w Berlinie, Londynie i Pretorii spędzali ostatnie miesiące wojny rysując nowe granice, dzieląc ziemię i ludy swoich wymaganych Afryk. Kiedy *Niebieska Księga* majora O'Reilly'ego była redagowana przez Howarda Gorgesa i omawiana przez przywódców Wielkiej Brytanii i ZPA, tysiące kilometrów dalej, w biurach niemieckiego Departamentu Kolonii^[399], przygotowywano i cyzelowano znacznie radykalniejsze i zakrojone na większą skalę plany kolonizowania oraz wykorzystywania niemieckiego imperium w Afryce.

W lecie 1917 roku przekonanie o pomyślnym dla Rzeszy dalszym przebiegu wojny pozwoliło milionom obywateli i żołnierzy pozwolić uwierzyć w zwycięstwo, odwróciło się. Tymczasem w Rosji już po obaleniu caratu, kiedy załamała się ostatnia wielka ofensywa wojsk rosyjskich, władzę w Sankt Petersburgu przejęli bolszewicy. Lenin, głoszący program socjalistycznej przebudowy Rosji, zapowiedział równocześnie zawarcie rozejmu z Niemcami. Na mocy traktatu w Brześciu Litewskim^[400] wojna na wschodzie Europy zakończyła się – rosyjscy żołnierze po prostu wyszli

z okopów i wrócili do domów.

Państwa ententy były wstrząśnięte traktatem brzeskim. Władze Francji i Wielkiej Brytanii z przerażeniem wyliczały potencjał wojsk niemieckich, mogących teraz przystąpić do działań wojennych na froncie zachodnim. W brytyjskim Foreign Office pojawiła się opinia, że traktat brzeski nie tylko osłabi skutki blokady morskiej, ale na zawsze pozwoli Niemcom „walczyć ze światem i stać się niepokonanymi”.

Niemieckie Najwyższe Dowództwo^[401] uważało, że pokój w Brześciu Litewskim i klęska Rosjan w decydujący sposób przechyliły szalę na korzyść Rzeszy. Aby zabezpieczyć swoją pozycję na Wschodzie i zmusić ententę do zwrotu odebranych Niemcom kolonii, generałowie postanowili przeprowadzić ostateczną ofensywę – pokonać Francuzów i Brytyjczyków zanim Amerykanie, z całą swoją nieograniczoną potęgą militarną i przemysłową włączą się do walki na froncie zachodnim.

Zimą 1917/1918 z frontu wschodniego przetransportowano pięćdziesiąt dywizji niemieckich, a także artylerię, karabiny maszynowe i cały sprzęt niezbędny do prowadzenia wojny. Niczym wielka transfuzja krwi, wschodnie dywizje były zastrzykiem energii dla armii na froncie zachodnim. Rankiem 21 marca ruszyła wielka wiosenna ofensywa roku 1918. Początkowe bombardowania były najbardziej niszczycielskie w historii, większe nawet niż kolosalne wymiany ognia artyleryjskiego między armiami Hitlera i Stalina ćwierć wieku później. W ciągu pięciogodzinnego ostrzału zużyto milion pocisków. Unicestwione zostały całe brytyjskie i francuskie bataliony. Ludzie ginęli w nawałnicy ognia albo dusili się w chmurach gazu łzawiącego, chloru i fosgenu. Kiedy ostrzał dobiegł końca, z dymu, gazu i porannej mgły wyłonili się szturmujący w maskach przeciwgazowych, awangarda liczącej siedemdziesiąt sześć dywizji armii niemieckiej. Na froncie szerokości 80 kilometrów odepchnęli brytyjską Piątą Armię i pod koniec pierwszego dnia wkroczyli na otwartą przestrzeń.

Prędkości, z jaką szturmujący dotarli do brytyjskich pozycji, na dawne pole bitwy nad Sommą, dorównywała jedynie szybkość, z jaką niemieckie władze cywilne i wojskowe uznały, że zwycięstwo jest pewne. Na fali świętowania kaiser ogłosił dzieciom Rzeszy wolne z okazji „Dnia Zwycięstwa” i poinformował dwór, że „kiedy brytyjski parlamentariusz przyjdzie prosić o pokój, będzie musiał uklęknąć przed cesarskim sztandarem, gdyż jest to zwycięstwo monarchii nad demokracją”^[402].

W marcu i kwietniu 1918 roku wrócono w Niemczech do planów anektowania terenów w Afryce, opracowanych w pierwszych tygodniach wojny. Już w kwietniu 1914 roku minister spraw zagranicznych Gottlieb von Jagow poprosił sekretarza Departamentu Kolonii^[403] Wilhelma Solfa o zgłoszenie oficjalnych propozycji powiększenia niemieckiego imperium. Solf, były gubernator Niemieckiego Samoa i następcą Friedricha von Lindequista w Departamencie Kolonii, posłusznie złożył opatrzone stosowanymi mapami memorandum. Zaproponował uaktualnioną wersję starszego planu, do którego realizacji od czasu do czasu nawoływali zwolennicy kolonializmu – stworzenia

Mittelafryki, ogromnego „niemieckiego imperium w Afryce Środkowej”, które rozciągałoby się na szerokość całego kontynentu i łączyłoby wszystkie przedwojenne kolonie Niemiec. W jego centrum miało znajdować się Kongo, do którego oddania należało zmusić Belgię. Kongo miało łączyć się z Niemiecką Afryką Południowo-Zachodnią oraz zabraną Portugalii Angolą. Po pozbyciu się z kontynentu Portugalczyków i Belgów, Brytyjczykom i Francuzom pozwolono by na odgrywanie pomniejszych ról w eksploatacji Afryki – kontynentu zdominowanego przez Niemcy.

W 1918 roku jedyną częścią Afryki, wciąż zajmowaną przez Niemcy, była ziemia pod stopami Paula von Lettow-Vorbecka i jego nieskładnej armii askarysów. Utrata posiadłości kolonialnych nie zniechęciła jednak niemieckich władz do planowania przyszłej Mittelafryki. Towarzystwa kolonialne, pangermańskie i wiele innych prawicowych, nacjonalistycznych organizacji przez całą wojnę nieustannie wzywały do ekspansji kolonialnej w Afryce. Sześć dni po rozpoczęciu wiosennej ofensywy Wilhelm Solf otrzymał list od pewnego niemieckiego przedsiębiorcy, doskonale pokazujący, jak miraż nieuchronnego zwycięstwa na froncie zachodnim tchnął nowe życie nawet w najszerszej zakrojone plany wojenne Niemiec:

Zgodnie z wszelkimi przewidywaniami w ciągu następných kilku tygodni nasze wojska będą okupować porty nad kanałem La Manche i – można mieć nadzieję – zostaną tam na zawsze. Wybiła zatem ostatnia godzina angielskiej władzy nad światem i angielskiego imperium. W ciągu minionych wieków Ameryka Północna i Australia zostały zanglicyzowane, Ameryka Południowa zlatynizowana. Nadszedł czas, żeby Niemcy mogły zgermanizować dziewiczą Afrykę^[404].

Solf dał się ponieść panującej atmosferze i poinstruował urzędników Departamentu Kolonii, by określili – w porozumieniu z kolegami z Biura Morskiego – gdzie Niemcy mogłyby założyć bazy dla marynarki oraz porty węglowe, konieczne do obrony swojej Mittelafryki. Ci zwrócili się o poradę do linii żeglugaowej Woermann, której poprzednicy doradzali Bismarckowi w 1884 roku, sugerując, jakie fragmenty afrykańskiego wybrzeża nadawałyby się na niemieckie protektoraty. Marynarka wojenna, władze cywilne i prywatny biznes wspólnie deliberowały nad przydatnością rozmaitych portów kontynentu, jak gdyby układały listę zakupów. Solf opowiadał się za zajęciem brytyjskiego portu Bathurst w Gambii, podczas gdy osoby myślące w kategoriach militarnych, uważały, że łatwiejszy do obrony będzie Dakar we francuskim Senegalu.



Niemieckie ambicje kolonialne w ostatnich miesiącach wojny nie ograniczały się tylko do Afryki. W 1915 roku ci, dla których najważniejszą sprawą było anektowanie posiadłości wroga, skierowali

swoją uwagę w kierunku jedyne go teatru działań wojennych, na którym armia niemiecka poczyniła spektakularne postępy. W tym samym miesiącu, w którym Schutztruppe majora Frankego wycofywało się przez pustynię Namib, niemieckie wojska na froncie wschodnim, pod połączonym dowództwem generałów Paula von Hindenburga i Ericha Ludendorffa, przetoczyły się przez zachodnią Rosję w jednej z najsukuteczniejszych kampanii całej wojny.

Wielka ofensywa 1915 roku przesunęła linię frontu rosyjskiego o 400 kilometrów na wschód. Niemcy zdobyli Królestwo Kongresowe, państwa bałtyckie i większość europejskiej części Rosji – terytoria mniej więcej porównywalne z tymi, jakie zajęła Trzecia Rzesza w roku 1941. Ten ogromny sukces pozwolił Niemcom na przejęcie wielkich zasobów przemysłowych regionu i wykorzystanie tamtejszych pól do wykarmienia Berlina, a nie Moskwy. Dał również szansę na zrealizowanie fantazji kolonialnej o przestrzeni życiowej na Wschodzie, która od końca XIX wieku funkcjonowała obok kolonialnych aspiracji w Afryce.

Zdobywcy uważali okupowaną przez siebie część Europy Wschodniej za *terra nullius*, ziemię niczyją, pustą przestrzeń, niewykorzystywaną i nieuprawianą należycie przez ludzi, którym brakowało nie tylko technologii, ale i pragnienia, by kształtować ją zgodnie ze swoją wolą. Pewien żołnierz opisał Wschód jako „ziemię do skolonizowania, która nieodkryta leży przed swoim właścicielem”^[405]. Część wojskowych oraz nacjonalistycznej prawicy sugerowała, że przed Niemcami stoi „misję na Wschodzie” – przekształcenie tej krainy oraz podźwignięcia zamieszkujących ją ludów słowiańskich i żydowskiego, pokazania im dobrodziejstw niemieckiej kultury i owoców niemieckiego przemysłu.

W 1917 roku pojawiły się nowe możliwości na Wschodzie. Niemieccy oficerowie – tak jak Schutztruppe w Afryce Południowo-Zachodniej – zaczęli sobie wyobrażać, że być może nigdy już nie wrócą do kraju. Marzyli o ziemi i gospodarstwach, o możliwościach tak bezkresnych, jak rozciągający się przed nimi krajobraz. Generał Ludendorff mówił o Wschodzie jako o terenach, na których weterani jego armii będą mogli stać się żołnierzami-rolnikami, pionierami wschodnich rubieży niemieckiej „kultury”. Po zajęciu Krymu w 1917 roku Ludendorff rozważał utworzenie tam stałych kolonii dla etnicznych Niemców. Człowiekiem, któremu powierzono opracowanie wstępnych planów zakrojonego na szeroką skalę niemieckiego osadnictwa na Ukrainie, był emerytowany urzędnik Departamentu Kolonii – Friedrich von Lindequist^[406].

Wyobrazano sobie, że po ostatecznej wygranej Rzeszę czeka zorganizowanie niemieckiego osadnictwa w Europie Wschodniej. Krótkoterminowa potrzeba „wojny totalnej” – oraz skłonność niemieckiej armii do zbiurokratyzowanej przemocy i nieludzkiego traktowania – stały jednak w sprzeczności z długoterminowymi, paternalistycznymi aspiracjami. Wprowadzona praca przymusowa była brutalna i źle zarządzana. Armia ustanowiła idiotyczną liczbę zasad i regulacji. Kary nawet za najmniejsze przewinienia były przesadnie surowe i – chcąc dać przykład – często

stosowano odpowiedzialność zbiorową. Co najgorsze, racjonowanie pożywienia było niewystarczające i mnóstwo ludzi cierpiało głód.

Pomimo całej swojej brutalności niemiecka okupacja Europy Wschodniej w czasie I wojny światowej w bardzo niewielkim stopniu przypominała politykę stosowaną przez Niemców w Afryce Południowo-Zachodniej czy nazistowską okupację Europy Wschodniej w latach 40. XX wieku. To właśnie *Ostjuden*, wschodnioeuropejscy Żydzi, którzy w czasie I wojny światowej byli głównymi tłumaczami armii Ludendorffa, dwadzieścia sześć lat później zostali systematycznie wymordowani w swoich wsiach i miasteczkach przez niemieckie Einsatzgruppen. W latach 1915–1918 Niemcy mówili o osadnictwie i kolonizacji Wschodu, ale nie o „umierających rasach” i obozach koncentracyjnych.



Euforia towarzysząca początkowym sukcesom wiosennej ofensywy 1918 roku utrzymała się znacznie dłużej w Berlinie i Poczdamie niż na froncie. Zaledwie dwa tygodnie po początkowym natarciu, ofensywa stanęła. Aby utrzymać impet, rozpoczęto następny atak, Operację „George”, ale i ona poniosła klęskę. Najsłynniejszą ofiarą tej ofensywy był „Czerwony Baron”, Manfred von Richthofen, którego śmierć pozwoliła młodemu Hermannowi Göringowi zastąpić go na stanowisku dowódcy słynnego „Latającego Cyrku”^[407]. Trzecia ofensywa doprowadziła Niemców znowu nad Marnę. Tam po raz pierwszy starli się z Amerykanami, gotowymi do walki w sile 320 tysięcy, a których milion szkolił się i czekał na transport za Atlantyk. Czwarte natarcie zbliżyło Niemców do Paryża, po piątym przekroczyli Marnę i francuska stolica znalazła się w zasięgu specjalnej haubicy o wyjątkowo dalekim zasięgu, która ostrzeliwała przerażoną ludność miasta^[408]. W nocy 18 lipca Niemcy zostali jednak zatrzymani, a szala wojny przechyliła się zdecydowanie i nieodwracalnie na ich niekorzyść. W ciągu miesiąca z wojny wycofały się Bułgaria, Turcja i Austro-Węgry^[409].

Kiedy armia niemiecka uległa rozpadowi, a Ludendorff stracił kontrolę nad ziemiami na Wschodzie, które jego wojska okupowały przez trzy lata, prowadzona przez Wielką Brytanię i Afrykę Południową kampania propagandowa na rzecz odebrania Niemcom ich afrykańskiego imperium osiągnęła swój szczyt. Na początku września 1918 roku „The Times” poinformował o publikacji *Niebieskiej Księgi* Thomasa O'Reilly'ego, twierdząc, że „pokaże ona całemu światu owoce niemieckiej «kultury militarystyki» i pozwoli ludzkości samej osądzić – na podstawie niemieckich dowodów – zasadność roszczeń Rzeszy do jej dawnych kolonii”.

Brytyjski premier David Lloyd George przyznawał w swoich wspomnieniach, że gdyby Niemcy zgodzili się na zawarcie pokoju w styczniu 1917 roku – a nie zostały pokonane w listopadzie roku następnego – Wielka Brytania nie próbowałaby anektować nawet „jednej z ich kolonialnych

posiadłości”. Tak się jednak nie stało i w 1918 roku, a także w czasie paryskiej konferencji pokojowej w roku 1919, Wielka Brytania i ZPA podtrzymywały swoje starania propagandowe, by pokazać, jak „źle traktowali” Niemcy tubylców w swoich koloniach. Starannie rozróżniano przy tym zbrodnie dokonane w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej oraz okrucieństwa na Afrykanach, które popełnili oni sami. Argumentowano, że eksterminacji Hererów dokonano zgodnie z niemieckim planem, co – jak pisał „The Times” – wyróżniała ją „od wyrządzonych tubylcom krzywd, którym nikt nie był w stanie zapobiec”^[410].

Mimo oczywistej hipokryzji, uwaga, jaką w latach 1918–1919 poświęcono ludobójstwu Hererów (eksterminację Nama brytyjska prasa zignorowała niemal całkowicie), była naprawdę niezwykła. Nie tylko doszło do tego, że jakąś wojnę kolonialną uznano za okrucieństwo, ale też w europejskich i amerykańskich gazetach pojawiły się głosy ofiar, a ich zeznania zaprezentowano przywódcom trzydziestu najpotężniejszych państw świata, którzy w 1919 roku zjechali do Paryża na konferencję pokojową.

Obrazy odbywały się w Sali Lustrzanej pałacu w Wersalu. Czterdzieści osiem lat wcześniej, w 1871 roku, kiedy pruskie wojska pokonały Francuzów, w tym samym miejscu narodziła się Druga Rzesza i król Prus Wilhelm I został ogłoszony pierwszym cesarzem niemieckim. W styczniu 1919 roku trzeci – i ostatni – cesarz przebywał na wygnaniu w Holandii, a Druga Rzesza upadła pod ciężarem klęski, rewolucji i sporów wewnętrznych. Nominalnie Niemcy wciąż były jednak mocarstwem kolonialnym.

Anektowanie Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej przygotowali i przeprowadzili Botha i Smuts. W 1917 roku Smuts zasiadł w brytyjskim gabinecie wojennym, a na jego pomysły dotyczące przyszłej współpracy światowej zwrócił uwagę prezydent Woodrow Wilson. To właśnie sprawą Afryki Południowo-Zachodniej postanowiono przekonać amerykańskiego prezydenta (który sprzeciwiał się „pokojowi aneksyjnemu”), że wszystkie niemieckie kolonie powinny znaleźć się pod rządami zwycięskich mocarstw.

W konferencji berlińskiej z lat 1884–1885, kiedy europejskie mocarstwa podzieliły między siebie Afrykę, nie uczestniczył żaden Afrykanin. Kiedy w Wersalu dzielono między siebie niemieckie kawałki kontynentu, obecnych było chociaż kilku czarnoskórych. W obradach wziął udział Blaise Diagne, francuski poseł z Senegalu, który zachęcił wielu francuskojęzycznych Afrykanów do tego, by walczyli w okopach za Francję. Był także W.E.B. Du Bois, czarnoskóry Amerykanin i panafricanista. Swoją delegację wysłał również Afrykański Kongres Narodowy^[411], chcąc zwrócić uwagę na to, jak zaledwie sześć lat po uchwaleniu niesławnego *Native Land Act* źle traktuje się południowoafrykańskich czarnych. Brakowało jednak reprezentantów Hererów i Nama – zdanie „tubylców” mieli przedstawić z drugiej ręki misjonarze i „eksperti” od spraw kolonii. Majora Thomasa O’Reilly’ego nie było również. Ukończywszy prace nad *Niebieską Księgą*, podjął prywatną

praktykę prawniczą, ale szybko zapadł na zdrowiu. We wrześniu 1919 roku, dokładnie dwa lata po tym, jak zgodził się napisać *Niebieską Księgę*, zmarł w Kapsztadzie na gripę hiszpankę, która w latach 1918–1920 pochłonęła dziesięć milionów istnień ludzkich.

Świadczenia zawarte w *Niebieskiej Księdze* były szczególnie cenne – pozwoliły Hendrikowi Witbooiowi przemówić zza grobu do tych, w których rękach spoczywał los jego ludów. Najważniejsze było jednak to, że okrucieństwa popełnione w Afryce Południowo-Zachodniej na potrzeby propagandy otwarcie porównano z tymi, które niemiecka armia popełniła w Europie.

W 1914 roku, kiedy Niemcy zajęli neutralną Belgię, na ataki snajperów i ruchu oporu reagowali z wściekłością, która prawdziwie wstrząsnęła Europą. Miasto Leuven zostało zrównane z ziemią, a ponad sześć tysięcy belgijskich cywilów zostało zamordowanych w masowych egzekucjach i przypadkowych mordach, bez rozróżnienia na bojowników i cywilów – kluczowego dla europejskiego sposobu prowadzenia wojen^[412]. „Kölnische Zeitung” nieprawdźwie informowała, że belgijscy cywile torturowali rannych Niemców i bezczęścili ciała zabitych. Dekadę wcześniej ta sama gazeta wyczerpująco relacjonowała wojnę z Hererami i Nama, toteż porównywała domniemane zbrodnie Belgów do tego, co mieli dokonywać „murzyny w Afryce Południowo-Zachodniej”^[413].

Państwa ententy przeprowadziły w czasie wojny dochodzenie w sprawie niemieckiego „gwałtu na Belgii”. Na ten temat również powstała *Niebieska Księga*, którą rozdawano w Wersalu razem z raportem na temat Afryki Południowo-Zachodniej. Choć propaganda brytyjska i francuska bardzo intensywnie drażyły temat niemieckich zbrodni w Belgii (i tych, które popełniono wobec ludności okupowanej północnej Francji) dla swoich własnych korzyści, nie fabrykowały wydarzeń, o których była mowa w raporcie^[414]. Masakra w Liège i zniszczenie Leuven – określone przez „Daily Mail” mianem „holocaustu Leuven” – naprawdę miały miejsce^[415].

W 1919 roku ludobójstwo Hererów i Nama zostało porównane do masakr belgijskich cywilów. Życie czarnych Afrykanów postawiono w Wersalu na równi z życiem białych Europejczyków – nawet jeśli tylko chwilowo.

Wraz z odsłanianiem dziejów niemieckiej brutalności w Afryce Południowo-Zachodniej, masakry na Omaha i ogromna liczba ofiar niemieckich obozów koncentracyjnych zostały uznane za zwiastuny tego, co spotkało Leuven i belgijskich cywilów. Obie zbrodnie miały być dowodem na to, że „cywilizowany świat”, zjednoczony w zwycięstwie, musi poskromić potwora „niemieckiego militarysty”. W artykule redakcyjnym, wydrukowanym we wrześniu 1918 roku w „The Times”, czytamy:

Powszechnie uważano, że ucisk Belgii wyczerpał możliwości niemieckiej niegodziwości. Było to niemądre złudzenie. Nieludzkie dramaty popełnione w Europie błędą w porównaniu z dzikimi wynaturzeniami, na których opierały się niemieckie rządy

w Afryce. Widzimy nieposkromioną „blond bestię”. Nasyca swoje pragnienie krwi, grabież i zwierzęce żądze^[416].

Kiedy 24 stycznia 1919 roku Lloyd George otwierał w Wersalu debatę na temat przyszłości niemieckich kolonii, eksterminacja Hererów i Nama została wyciągnięta z lamusa kolonialnej historii i przedstawiona całemu światu. W 1919 roku dokonane na nich ludobójstwo było tak znane, jak zapomniane jest dziś.

Gdy Rada Dziesięciu zaczęła omawiać sprawę niemieckich posiadłości, Lloyd George niemal natychmiast podniósł kwestię polityki eksterminacji, prowadzonej przez Niemców w Afryce Południowo-Zachodniej^[417]. Choć prezydent Wilson wciąż bardzo sceptycznie podchodził do brytyjskiego imperializmu, nie trzeba go było bardzo zniechęcać do kolonializmu Niemiec i w czasie pierwszej debaty zgodził się, że pod żadnym pozorem Niemcom nie wolno zwrócić ich posiadłości kolonialnych. W pewnym momencie pojawiło się ryzyko, że spory na temat ostatecznego statusu Afryki Południowo-Zachodniej rozsadzą całą konferencję, ale kolonia ostatecznie otrzymała status „mandatu klasy C” i przeszła pod kontrolę Związku Południowej Afryki. Pozostałe posiadłości Rzeszy w Afryce i Azji również zostały terytoriami mandatowymi i powierzono je innym zwycięskim mocarstwom.

W dzień świętego Walentego 1919 roku prezydent Wilson wygłosił mowę, z której możemy wywnioskować, w jakim stopniu wydarzenia w Afryce Południowo-Zachodniej wpłynęły na jego postrzeganie niemieckiego imperium kolonialnego. Ogłaszając swoją chęć przewodniczenia ostatecznemu rozliczeniu z Niemcami, Wilson powiedział:

Jednym z niepokojących odkryć ostatnich lat było to, że wielkie mocarstwo, które właśnie zostało szczęśliwie pokonane, nakładało nieznośne ciężary i niesprawiedliwości na bezbronnych mieszkańców niektórych kolonii, które sobie anektowało. Interesowała je raczej eksterminacja tych ludów, a nie ich rozwój. (...) Dziś świat, w zgodzie ze swoim sumieniem i umiłowaniem prawa, kładzie temu kres^[418].

^[399] W 1907 roku, po „wyborach hotentockich”, Departament Kolonii uniezależniono od Ministerstwa Spraw Zagranicznych i przekształcono w Urząd Kolonii Rzeszy (*Reichskolonialamt*), podległy bezpośrednio kanclerzowi (przyp. tłum.).

^[400] Podpisanego 3 marca 1918 roku przez Rosję Radziecką z Niemcami i ich sojusznikami (przyp. tłum.).

[401] Najwyższe Dowództwo Armii (Oberste Heeresleitung, OHL) sprawowało naczelne zwierzchnictwo nad niemieckimi siłami zbrojnymi. Choć głównodowodzącym armii wedle prawa był cesarz, w czasie I wojny światowej OHL praktycznie samodzielnie kierowało działaniami wojennymi. Od 1916 roku na jego czele stał szef Sztabu Generalnego, generał Paul von Hindenburg. Jego zastępcą i generalnym kwatermistrzem armii był generał Erich Ludendorff (przyt. tłum.).

[402] Cyt. za: Fritz Fischer, *Germany's Aims in the First World War*, London 1967, s. 618.

[403] W rzeczywistości sekretarza Urzędu Kolonii Rzeszy (przyt. tłum.).

[404] Ibidem, s. 588.

[405] Vejas Gabriel Liulevicius, *War Land on the Eastern Front: Culture, National Identity and German Occupation in World War I*, Cambridge 2000, s. 59.

[406] Woodruff Smith, *The Ideological Origins of Nazi Imperialism*, Oxford 1986, s. 195.

[407] Tak nazywano pułk myśliwców Jagdgeschwader I, grupujący cztery eskadry najlepszych niemieckich pilotów. Po śmierci Richtofena w kwietniu 1918 roku dowódcą pułku został kapitan Wilhelm Reinhard, a dopiero po jego śmierci, w lipcu tego samego roku, stanowisko to przypadło porucznikowi Göringowi (przyt. tłum.).

[408] Gigantyczne „działo paryskie” (*Paris-Geschütz*) albo „działo cesarza Wilhelma” (*Kaiser Wilhelm Geschütz*) było największym działem użytym w czasie I wojny światowej. Jego pociski dolatywały do stratosfery i na odległość nawet 130 kilometrów (przyt. tłum.).

[409] W rzeczywistości Bułgaria podpisała zawieszenie broni dopiero 29 września, Turcja 30 października, a Austro-Węgry 3 listopada (przyt. tłum.).

[410] „The Times”, 12 września 1918.

[411] Podówczas jeszcze South African Native National Congress, Południowoafrykański Tubylczy Kongres Narodowy (przyt. tłum.).

[412] Choć Niemcy rzeczywiście zniszczyli Leuven, m.in. pałac uniwersytecką bibliotekę z jej bezcennymi zbiorami, to jednak liczba zamordowanych w mieście cywilów była o wiele niższa i wynosiła około 250 osób. Sześć tysięcy belgijskich cywilów zginęło w czasie całej I wojny światowej (przyt. tłum.).

[413] John Horne, Alan Kramer, *German Atrocities, 1914: A History of Denial*, New Haven, CT, London 2001, s. 135.

[414] Niemcy faktycznie byli winni zbrodni na cywilach w okupowanej Belgii, niemniej jednak brytyjska propaganda niejednokrotnie wyolbrzymiała ich okrucieństwo, a czasami nawet posuwała

się do fabrykowania doniesień (przyp. tłum.).

[415] Cyt. za: Alan Kramer, *Dynamic of Destruction Culture and Mass Killing in the First World War*, Oxford 2007.

[416] „The Times”, 12 września 1918, s. 7.

[417] William Roger Louis, *The South West African Origins of the „Sacred Trust”, 1914–1919*, „African Affairs”, styczeń 1967, 66.262, s. 20–39.

[418] Prosser Gifford, William Roger Louis, *Britain and Germany in Africa: Imperial Rivalry and Colonial Rule*, New Haven, CT, London 1967, s. 346.

ROZDZIAŁ 16

Przechodzący kapral

Czas rozliczeń w samych Niemczech zaczął się w chwili powrotu wojsk. Oddziały, które – jak szczerze wierzyła większość Niemców – miały znaleźć się w domu na Boże Narodzenie 1914 roku, w roku 1918 przekroczyły Ren, gdzie czekały ich nader skromne uroczystości powitalne. Miliony żołnierzy wracały przez spalone pustkowia zachodniego frontu oraz utracone imperium na Wschodzie. Drogi Rzeszy stały się rzekami szarości i stali, którymi płynął niekończący się strumień zmierzających do domów żołnierzy. Kiedy w Berlinie maszerowali przez specjalnie ozdobioną Bramę Brandenburską i pod cienkimi, zimowymi drzewami Unter den Linden, wiwatowały tłumy. Niemiecka armia, niegdyś najpotężniejsza w Europie, nawet pokonana nie sprawiała wrażenia zwyciężonej. Niemcy, przez które maszerowała w listopadzie i grudniu 1918 roku, w niewielkim stopniu przypominały jednak dynamiczne, świętujące państwo, które zegnało ich cztery lata wcześniej.

Nienaturalny i bezprecedensowy wysiłek wojny totalnej, szczególnie ostatnich dwóch lat, zebrał kolosalne żniwo. Niemcy były wyczerpane, zdeprawowane, zaniedbane, a przede wszystkim głodne. Dumnie stawiając czoło blokadzie ententy, klasy wyższe próbowały zachować jakieś pozory normalności, ale iluzja była doskonale widoczna. Elegancy berlińscy dżentelmeni nadal palili, ale ich cygara były zrobione z liści kapusty i obierzyn ziemniaków. W kawiarniach pijano kawę z palonej kukurydzy, a mleko bardziej przypominało wodę niż cokolwiek innego^[419]. Słowo *Ersatz*

– substytut – zyskało nowe, kluczowe znaczenie w wojennym słowniku tych, którzy walczyli na „froncie domowym”.

Dla biednej większości wojna i głód stały się synonimami. W Niemczech nie było klęski głodu jako takiej, ale w listopadzie 1918 roku miliony ludzi cierpiały z powodu długotrwałego niedożywienia. Dla ćwierci miliona niemieckich cywilów koszt wojny totalnej okazał się również totalny^[420]. Kiedy politycy skrajnej prawicy wygłaszali przemówienia, w których domagali się aneksji terytoriów i kolonialnej ekspansji, biedacy protestowali na ulicach, domagając się jedynie chleba. Niedawne przeżycia widać było na twarzach tłumów, które w 1918 roku z całych sił wiwatowały na cześć powracającej do domu niemieckiej armii. Cywile, którzy byli świadkami stopniowego upadku morale, zdrowia i wyżywienia, powoli przyzwyczaili się do tego, jak wygląda nowa Rzesza. Powracający żołnierze – z których wielu przez całą wojnę nie widziało swojej ojczyzny – byli głęboko wstrząśnięci.

Żołnierze byli niczym uchodźcy z jakichś odległych stron. Fronty same stały się niemal innymi krainami, podziemnymi państwami dołów, rowów i okopów, ciągnących się na kontynencie setkami kilometrów. Dla wielu żołnierzy, którzy w 1918 roku zalali Niemcy, skończyła się jedyna rzeczywistość, jaką znali z dorosłego życia. Nagle stali się wolni od fanatycznego braterstwa swoich oddziałów oraz rządzącej w okopach logiki przetrwania. Byli również – ze szkodą dla Niemiec – bardzo podzieleni.

Jeszcze przed ostateczną klęską niemiecka armia zaczęła rozchodzić się w szwach. Każda nieudana ofensywa i każda złamana obietnica pogłębiały przepaść między oficerami i szeregowcami, ale w 1918 roku kluczowa linia podziału przebiegała między tymi, którzy wciąż wierzyli w wojnę, a tymi, którzy uważali całą tę sprawę za kolosalne oszustwo. W czasie ponurej, lodowatej zimy 1918/1919 zdemobilizowani żołnierze zaczęli stawać na barykadach i wstępować do bojówek z obu stron sceny politycznej. Niektórzy naprawdę wierzyli w komunizm – albo konieczność jego zniszczenia – ale inni po prostu byli uzależnieni od walki. Towarzysze broni, którzy dopiero co opuścili okopy, byli gotowi skoczyć sobie do gardeł. Niemcy ogarnęła anarchia, rewolucja i kontrrewolucja. Pod koniec roku rozmowy o wielkich zdobyczach terytorialnych na Wschodzie czy stworzeniu ogromnego imperium w Afryce należały już do zupełnie innej epoki.



Żadne miasto nie zostało tak dotknięte rewolucją lat 1918–1919 jak Monachium. To właśnie tam zaczął się rozpad Drugiej Rzeszy i tam miała powstać Trzecia Rzesza. W historii narodzin ruchu nazistowskiego w Monachium występują zarówno prawicowe ruchy volkistowskie – ci sami ludzie, którzy najgłośniejsze opowiadali się za ekspansją imperium kolonialnego – jak i żołnierze, którzy walczyli w koloniach, teraz okupowanych przez zwycięzców. Te dwie grupy odegrały kluczowe role

w uczynieniu z Monachium lat 20. schronienia dla ultranacjonalistycznych, antyrepublikańskich, antymarksistowskich i antysemitycznych ekstremistów.

Pograżanie się miasta w chaosie rozpoczęło się 7 listopada, cztery dni przed zawieszeniem broni w Compiègne. Ośmiotysięczny tłum wyszedł na ulice Monachium i obalił rząd Królestwa Bawarii. Zajął miejskie koszary, rozbroił wyczerpany garnizon i rozdał setki karabinów robotnikom i weteranom, którzy nagle stali się rewolucjonistami. Zebrawszy się na wielkim placu Theresienwiese, wiwatujące tłumy znalazły sobie przywódcę. Kurt Eisner był poetą i intelektualistą z Berlina, Żydem i socjalistą, którego dopiero co wypuszczono z więzienia. Wciąż jeszcze niechlujnie wyglądający, stanął przed ogromnym tłumem i zażądał utworzenia nowej, rządzonej przez lud, Bawarii. Wieczorem król Ludwik III z dynastii Wittelsbachów, która rządziła Bawarią od XIV wieku, uciekł z pałacu i z kraju. Następnego dnia mieszkańcy Monachium obudzili się jako obywatele nowego państwa – „Demokratycznej i Społecznej Republiki Bawarii”.

Zaledwie tydzień po abdykacji Wilhelma II^[421], Kurt Eisner i jego kruchy rząd zebrali się w monachijskim Teatrze Narodowym, żeby proklamować narodziny swojego nowego, idealnego państwa. Eisner mówił o sprawiedliwości, braterstwie i o tym, że Monachium stanie się wzorem dla całego świata. Kiedy jednak w teatrze rozbrzmiewał *Mesjasz* Händla, w półmroku monachijskich piwiarni prawica planowała zabójstwo Eisnera i obalenie nowych władz Bawarii.

Monachijska prawica była liczna, fanatyczna i nie brakowało jej pieniędzy. Miasto od dawna stanowiło bastion nacjonalizmu i volkizmu. W czasie wojny Liga Pangermańska i inne pomniejsze organizacje ciężko pracowały w Bawarii na rzecz anektowania Wschodu oraz utworzenia niemieckiej Mittelafryki. W ostatnich, desperackich miesiącach wojny coraz głośniej wzywano do bezwzględnych aneksji w Europie i zajmowania jeszcze większych połaci Afryki.

Jeszcze przed wojną ruch tak zyskał na popularności w Bawarii, że krajowi przywódcy Ligi postanowili organizować doroczne spotkania organizacji właśnie w Monachium. Jednym z przywódców pangermanizmu w mieście był zamożny wydawca Julius Lehmann, jeden z założycieli Ligi i jej ważny sponsor. Do jego rodziny należało jedno z najważniejszych wydawnictw, Lehmanns Verlag, które pod kierownictwem Juliusa wyspecjalizowało się w podręcznikach medycznych, ale drukowało również broszury Ligi oraz kolonialną, rasistowską i nacjonalistyczną propagandę. Na początku 1918 roku był jednym z czołowych sponsorów funduszu na rzecz „umocnienia niemieczyny w granicach naszego języka i poza nimi, wspierania niemieckich osadników, studentów, bibliotek i przedsięwzięć gospodarczych, a także [pomocy w ustanawianiu] kolonii na całym świecie”^[422].

Julius Lehmann był nie tylko gorącym orędownikiem niemieckiego imperializmu, ale też fanatycznym zwolennikiem eugeniki – należał do założonego przez Alfreda Ploetza Niemieckiego Towarzystwa na rzecz Higieny Rasowej. Lehmanns Verlag wydawało magazyn Ploetza dotyczący eugeniki, „Archiv für Rassen und Gesellschaftsbiologie”, a także wiele innych tytułów o higienie

rasowej. W pewnym momencie Lehmann próbował nawet namówić do współpracy z jego wydawnictwem Houstona Stewarta Chamberlaina, „najwyższego kapłana aryjskiej supremacji”^[423].

W 1918 roku Julius Lehmann ściśle związał się z kolejną skrajnie pravicową monachijską organizacją – Towarzystwem Thule (Thule Gesellschaft). Założone przez awanturnika, okultystę i wydawcę Adama Glauera – który wkrótce mianował się baronem von Sebottendorfem – pozornie było jedynie klubem dżentelmenów zainteresowanych studiowaniem germańskiej kultury i przeszłości. Jego wąskie grono składało się z elity Monachium – profesorów uniwersyteckich, arystokracji, przedstawicieli sądownictwa i zamożnych przedsiębiorców. Dobrze umocowane i wpływowe, Towarzystwo urządzało swoje spotkania w apartamencie monachijskiego hotelu Vierjahreszeiten. Pomieszczenia były specjalnie udekorowane symbolami i runami zaczerpniętymi ze świata aryjskiego mistycyzmu – jednym z symboli była swastyka. W pewnym momencie, w 1918 roku, członkowie towarzystwa zaczęli się witać słowem *Heil*. Towarzystwo Thule nie kierowało się jednak wyłącznie aryjskim mistycyzmem – ci trzeźwo myślący mężczyźni byli przede wszystkim zainteresowani wykorzystaniem swoich wpływów i pieniędzy w celu promowania tradycyjnej, volkistowskiej polityki skrajnej prawicy – szerzenia niemieckiej potęgi i niemieckiego osadnictwa poza granicami Rzeszy i utrzymania w jej granicach czystości rasowej. W lipcu 1918 roku, chcąc wyjść ze swoim przekazem poza elitę, kupili miejscową gazetę „Münchener Beobachter” (Monachijski Obserwator).

W listopadzie 1918 roku członkami Stowarzyszenia Thule, tak jak większością monachijszczyków, wstrząsnęła szybkość, z jaką rozpadły się cesarskie Niemcy i z jaką socjalistyczny rząd Kurta Eisnera przejął władzę nad miastem. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin Druga Rzesza i większość jej instytucji po prostu przestały istnieć. 10 listopada, dzień przed podpisaniem zawieszenia broni, Julius Lehmann zaproponował Stowarzyszeniu Thule założenie zbrojnego skrzydła organizacji, Kampfbund Thule (Związku Bitewnego Thule). Pozostając w kontakcie z sympatyzującymi z nimi wysokimi rangą dowódcami wojskowymi, Lehmann wraz z innymi współspiskowcami szybko zgromadzili zapasy broni, które ukryli w jego biurach. Wśród tych, którzy razem z Lehmannem organizowali Kampfbund Thule, było kilka osób, które miały zostać ważnymi postaciami partii nazistowskiej: Alfred Rosenberg, „filozof” narodowego socjalizmu, i Hans Frank, okrutny gubernator okupowanej Polski, obaj powieszeni w Norymberdze. Najślynniejszym członkiem Kampfbund Thule był jednak późniejszy zastępca Hitlera, Rudolf Hess.

Mimo starannych przygotowań spisek Lehmann'a został ujawniony, a kiedy odkryto zapasy broni, Lehmann został aresztowany i uwięziony. Mimo tego ciosu Stowarzyszenie Thule odegrało ważną rolę w zniszczeniu nowej republiki Eisnera – choć nie w taki sposób, w jaki można się było tego spodziewać.

Na początku 1919 roku, kiedy Kampfbund leżał w gruzach, do Towarzystwa postanowił przystąpić pewien młody oficer kawalerii. Jak wszyscy ubiegający się o członkostwo, hrabia Anton Arco auf Valley został poproszony o udowodnienie, że jest czystej krwi Germaninem. Kiedy na jaw wyszło, że pomimo stosownej urody i arystokratycznego nazwiska Arco auf Valley jest w połowie Żydem, został natychmiast odrzucony. Wściekły z tego powodu, rozgoryczony odebraniem mu przez socjalistyczne państwo pozycji, insygniów i rangi wojskowej, młody hrabia postanowił się wykazać^[424]. Jednym, chirurgicznym cięciem chciał zadać lewicy decydujący cios i udowodnić swoim prześladowcom z prawicy, że pomimo żydowskiej krwi jego oddanie sprawie niemieckiego nacjonalizmu jest niezłomne.

Rankiem 21 lutego 1919 roku hrabia przystanął w bramie nieopodal biura Kurta Eisnera. Kiedy polityk i jego obstawa minęli go, Arco auf Valley zaszedł z tyłu i strzelił premierowi w głowę. Sam również został natychmiast postrzelony, ale przeżył. W czasie rekonwalescencji mógł obserwować, jak Monachium osuwa się w anarchię, gdyż to właśnie Kurt Eisner powstrzymywał ekstremistów z lewicy i prawicy. Jego śmierć zapoczątkowała reakcję łańcuchową, która zakończyła się wybuchem wojny domowej^[425].

Niemal natychmiast po zabójstwie Eisnera miasto dotknęła prawdziwa epidemia mordów politycznych. Robotnicy i rewolucyjnie nastawieni żołnierze zwrócili się przeciwko klasie średniej, nachodząc prywatne domy i dokonując chaotycznych aresztowań. Bardziej umiarkowani członkowie koalicji Eisnera opuścili miasto i utworzyli alternatywny rząd w prowincjonalnym Bambergu. W połowie kwietnia 1919 roku rząd ten zgromadził niewielką armię ochotników, która rozpoczęła blokadę miasta. Narastający kryzys w Monachium sprawił, że powstał kolejny rząd, składający się niemal wyłącznie z Niemców związanych z Rosją – jednym z jego członków był dawny sekretarz prasowy Lenina. Na czele rządu stanął Eugen Leviné, weteran nieudanej rosyjskiej rewolucji z 1905 roku.

Zważywszy na to, co narodziło się w Monachium, za ironiczne można uznać, że do pierwszego poważnego starcia między armią bawarskiego rządu na uchodźstwie i monachijską „Armią Czerwoną” doszło w niewielkim miasteczku na północ od Monachium – Dachau. Po zwycięstwie „czerwonych” rząd z Bambergu zwrócił się z prośbą o pomoc do Berlina. Wśród oddziałów wysłanych, żeby zmiażdżyć „czerwone Monachium”, znajdowały się tak zwane Wolne Korpusy, Freikorpsy.

We Freikorpsach służyli weterani, którzy po zakończeniu wojny utworzyli ochotnicze milicje. Wielu z nich walczyło, ponieważ autentycznie chciało ocalić swój naród przed socjalizmem. Inni po prostu nie chcieli pogodzić się z przegraną Niemiec albo byli niezdolni do tego, by wrócić do cywilnego życia. Ograbieni z młodości ludzie, najsilniej związani z kolegami z wojska i z dawnym oddziałem, próbowali odtworzyć znane z frontu braterstwo, prowadząc prywatną wojnę

z socjalistami i rewolucjonistami.

O ile żołnierze i młodszy oficerowie Freikorpsów składali się z „młodzieży z okopów”, wielu starszych oficerów było weteranami, którzy służyli w terytoriach zamorskich Niemiec i nierzadko uczestniczyli w wojnach kolonialnych, w tym także w ludobójstwach dokonanych na Hererach i Nama. Pierwszy oddział Freikorpsów, który stał się wzorem dla pozostałych, stworzył generał Ludwig von Maercker, który służył w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Po wojnie z Nama nadzorował umieszczanie tych, którzy przeżyli obóz koncentracyjny na Shark Island, w dawnych stajniach Okawayo, gdzie – jak pamiętamy – przebywali aż do roku 1915, kiedy przybyli żołnierze południowoafrykańscy.

Von Maercker był weteranem nie tylko wojen o Lebensraum w Afryce Południowo-Zachodniej, ale też prób utworzenia niemieckiego imperium na Wschodzie – służył w 214. dywizji piechoty. Pod koniec roku 1918, kiedy wybuchła rewolucja, przebywał w Berlinie. Jako przywiązany do tradycji pruski konserwatysta bardzo obawiał się rewolucji i socjalizmu, toteż w grudniu postanowił zreformować resztki swojej dywizji i utworzyć z nich Freiwillige Landesjägerkorps (Ochotniczy Korpus Strzelców). Miał on stawiać czoło rewolucjonistom, dbać o utrzymanie porządku i rządów prawa oraz bronić granic Rzeszy. Von Maercker stworzył także etos Freikorpsów – oficerów i żołnierzy miało wiązać braterstwo z okopów, zastępujące duszną hierarchię wojskowych stopni, która, zdaniem niektórych, była jednym z powodów klęski niemieckiej armii.

Przed Bożym Narodzeniem 1918 roku Freikorps von Maerckera został oficjalnie uznany przez rząd w Berlinie. W styczniu następnego roku jego oddział i kilka innych oddziałów Freikorpsów wkroczyło do Berlina i w walkach toczących się na ulicach stolicy stłumiły powstanie marksistowskiego Związku Spartakusa. Następnie pomaszerowały na Weimar oraz do portów Bremy i Hamburga, po czym starły się z siłami rewolucyjnymi w przemysłowych miastach Zagłębia Ruhry.

Tak jak w przypadku innych Freikorpsów, kilku podwładnych von Maerckera zostało później ważnymi postaciami reżimu nazistowskiego. Najważniejszym z byłych towarzyszy Maerckera był młody Reinhard Heydrich, późniejszy szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (Reichssicherheitshauptamt, RSHA) i jeden z architektów ostatecznego rozwiązania.

Innym weteranem ludobójstwa Hererów i Nama, który w 1919 roku utworzył oddział Freikorpsu, był Paul Emil von Lettow-Vorbeck, który, zanim ostatecznie poddał się dwa tygodnie po podpisaniu zawieszenia broni w Europie, przez cztery lata prowadził skuteczną walkę partyzancką w Niemieckiej Afryce Wschodniej. W jednym z ostatnich edyktów wydanych przed abdykacją cesarz Wilhelm II awansował von Lettow-Vorbecka do rangi generała majora, a kiedy ten wrócił do Niemiec, jego wschodnioafrykańskim oddziałom Schutztruppe – jako jedynym – pozwolono na odbycie parady zwycięstwa i przedefilowanie pod Bramą Brandenburską.

W ciągu kilku miesięcy od powrotu do Europy von Lettow-Vorbeck utworzył Freikorps, który w 1919 roku wziął udział w tłumieniu lewicowych protestów w Hamburgu i Berlinie. Choć walczył na ulicach niemieckich miast, von Lettow-Vorbeck wciąż nosił kapelusz z szerokim rondem oraz mundur Schutztruppe. Zagorzały monarchista i konserwatysta, nie wstąpił później do NSDAP, ale wielu jego ludzi bez trudu przeszło z Freikorpsu w szeregi partii nazistowskiej.

Największym z bawarskich Freikorpsów, które w kwietniu 1919 roku zebrały się w „Czerwonym Monachium”, dowodził człowiek, który u boku von Lettow-Vorbecka walczył pod Waterbergiem i na pustyni Omaheke. Uszlachcony, awansowany na generała i odznaczony najwyższym niemieckim odznaczeniem wojskowym Pour la Mérite, bohater wojenny Franz Xaver Ritter von Epp był dowódcą nowej, groźnej jednostki – Freikorps von Epp. Liczyła ona sześćset osób, jej członkowie nosili szare mundury polowe armii, a na hełmach malowali białe „E” – jak „Epp”. Na rękawach mieli odznakę oddziału, czarny romb z głową ryczącego lwa – odpowiedni symbol dla jednostki dowodzonej przez byłego kolonialnego oficera. Cztery lata wojny, spędzone głównie na Wschodzie, nie osłabiły fanatycznej wiary generała von Eppa w wielką przyszłość rasy germańskiej. Dwa lata po utworzeniu swojego wolnego Korpusu von Epp został oficjalnie napomniany przez jego przełożonych z Reichswehry (sił zbrojnych Republiki Weimarskiej) za rozpowszechnianie rasistowskich broszur wśród podległych mu żołnierzy^[426].

W 1919 roku większość rekrutów Freikorps von Epp nie potrzebowała jednak żadnej indoktrynacji. Listę żołnierzy tej jednostki czyta się jak „kto jest kto” późniejszej nazistowskiej elity. Wśród przyszłych nazistów, którzy maszerowali na Monachium z „E” na stalowych hełmach, był Wilhelm Stuckart, prawnik, który opracował ustawy norymberskie i brał udział w konferencji w Wannsee, gdzie opracowano plan ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Innym z podwładnych von Eppa był Karl Astel, późniejszy kierownik monachijskiego Biura Czystości Rasy i współwydawca czasopisma „Volk und Rasse”. Astel zasiadał również w rozstrzygającym sprawy rasowe sądzie w Jenie i odpowiadał za tysiące przymusowych sterylizacji osób niepełnosprawnych umysłowo i „niepożądanych społecznie”. Gerhard Wagner otrzymał tytuł „Komisarza Führera do spraw Zdrowia Narodowego” i odpowiadał za sterylizację Żydów oraz przedwojenne programy eutanazji. Walther Schultze, kolejny z ludzi von Eppa, był jednym z pierwszych członków partii nazistowskiej i ostatecznie został przewodniczącym Ligi Nauczycieli Akademickich Rzeszy. On również był współodpowiedzialny za uśmiercanie osób umysłowo chorych. Gregor Strasser, kierownik propagandy NSDAP, był dowódcą Heinricha Himmlera i człowiekiem, który przyjął do partii Josepha Goebbelsa. Ze wszystkich podwładnych von Eppa najważniejszą rolę w narodzinach nazizmu odegrał jednak jego adiutant, Ernst Röhm, prawa ręka Hitlera i dowódca brunatnych koszul – Sturmabteilung SA, Oddziałów Szturmowych NSDAP.

Oprócz Freikorps von Epp, w marszu na Monachium w kwietniu 1919 roku uczestniczył także

Wolny Korpus dowodzony przez weterana wojen w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. W czasie wojny z Nama, w latach 1905–1906, Hermann Ehrhardt służył w marynarce. Awansowany na komandora podporucznika, był dumnym bohaterem bitwy jutlandzkiej i w kwietniu 1919 roku utworzył korpus ochotniczy, który razem z ludźmi Maerckera walczył w środkowych Niemczech.

Freikorps Ehrhardt^[427] znany był z fanatyzmu i skłonności do brutalnych zachowań. Za swój symbol, malowany na hełmach, przyjął swastykę – tak jak Stowarzyszenie Thule. Pieśń bojowa *Freikorps Ehrhardt* została później, z niewielkimi zmianami, oficjalną pieśnią osobistej ochrony Hitlera. Z szeregów jednostki Ehrhardta wyszło wielu przyszłych nazistów i w ogóle większość przywódców NSDAP – z wyjątkiem Adolfa Hitlera – służyła wcześniej w Wolnych Korpusach.

Pod koniec kwietnia 1919 roku Freikorpsy – w tym oddziały von Eppa i Ehrhardta – formowały szyki na obrzeżach Monachium. W samym mieście najbardziej zdeterminowani członkowie „Armii Czerwonej” wzięli w charakterze zakładników stu członków monachijskiej burżuazji i uwięzili ich w budynku Luitpold Gymnasium. 30 kwietnia wydany został rozkaz zabicia zakładników – siedem z dwudziestu ofiar należało do Stowarzyszenia Thule. Wiadomość o tej zbrodni przynieśli z miasta pravicowi studenci i członkowie Stowarzyszenia, którzy przedostali się przez linię frontu do stacjonujących na przedmieściach Freikorpsów. Był wśród nich Rudolf Hess, przyszły zastępca Hitlera, który właśnie wstąpił w szeregi Freikorps von Epp.

Kiedy wieść o masakrze w Luitpold Gymnasium dotarła do von Eppa i Ehrhardta, zmienili plany i zaatakowali miasto wcześniej. 1 maja, w dniu Święta Pracy, kiedy na moskiewskim placu Czerwonym Lenin oznajmiał tłumom, że „wyzwolona klasa robotnicza otwarcie i bez przeszkód świętuje nie tylko w radzieckiej Rosji, ale też radzieckich Węgrzech i radzieckiej Bawarii”,

Freikorpsy wkraczały do Monachium^[428].

W niektórych robotniczych dzielnicach stawiano opór, ale większość obrony zniknęła, kiedy zdezerterowali ochotnicy „Armii Czerwonej”. W ataku na Monachium Freikorpsy i inne jednostki „Białej Gwardii” wykorzystywały karabiny maszynowe, artylerię, a nawet pociąg pancerny. W ciągu trzech dni miasto zostało spacyfikowane, ale dopiero wtedy wybuchła największa fala przemocy. Po stłumieniu powstania zaczęły się rozliczenia i egzekucje. Obywatele, którzy witali von Eppa i Ehrhardta jak wybawicieli, z odrazą patrzyli teraz na zabijanie tysięcy komunistów i ich sympatyków, ale także wielu niewinnych ludzi. Po części odbywało się to w browarze Hofbräuhaus, miejscu nieudanego puczu Hitlera w 1923 roku. W tym ponurym zadaniu Freikorpsom pomagały miejscowe prawicowe organizacje, także Stowarzyszenie Thule, które wyłoniło się z ukrycia^[429].

Nadejście Wolnych Korpusów oznaczało koniec krótkiej wojny domowej w Monachium, które teraz stało się schronieniem dla rozmaitych skrajnie prawicowych elementów, w tym ich byłych członków. Przez większość roku 1919 miasto znajdowało się pod bezpośrednią kontrolą armii, a w pewnym momencie generał von Epp sprawował nad Monachium władzę dyktatorską.

W sierpniu rząd powrócił z wygnania w Bambergu, ale armia szybko obaliła władze cywilne, których rzekomo jeszcze niedawno broniła. W ich miejsce powołano prawicowy, antyrepublikański rząd Gustava von Kahra. Wkroczenie Freikorpsów zmieniło Monachium w raj dla skrajnych nacjonalistów. To właśnie tu zebrała się większość aktorów, którzy mieli odegrać pierwszoplanowe role w wielkiej nazistowskiej tragedii – do przyszłych nazistów ze Stowarzyszenia Thule dołączyli przyszli naziści z Wolnych Korpusów.



W jednym ze swoich późnych esejów Arthur hrabia de Gobineau, XIX-wieczny filozof uważany za duchowego ojca nowoczesnego rasizmu, opisał los, jaki czeka Niemcy, jeśli rządzące elity zostaną obalone, a ich miejsce zajmie jakiś słaby rząd. Gorąco wierzący w arystokrację, Gobineau twierdził, że:

Inspiracja i kierownictwo muszą nieuchronnie pochodzić z góry. Kiedy autorytetom brakuje wiary, pewności siebie, woli, pragnienia dobra i ulepszenia, można stwierdzić z istic matematyczną pewnością, że władza wpadnie w ręce pierwszego przechodzącego kaprała, który postanowi ją chwycić^[430].

W 1919 roku, kiedy Freikorpsy von Eppa i Ehrhardta ze swastykami na hełmach szalały na ulicach Monchium, kapralem, o którym mówił Gobineau, siedział w barakach 2. regimentu bawarskiej piechoty przy Türkenstrasse.

Błyskawiczna kariera Adolfa Hitlera dobrze została opisana w innych książkach, ale w znacznie mniejszym stopniu omówiono rolę kolejnych patronów, którzy ją umożliwili. Jedną z najważniejszych postaci – i najczęściej pomijanych – był Franz Xaver Ritter von Epp.

Początkowo relacje von Eppa z nazistami były cokolwiek zdystansowane. Na mocy postanowień traktatu wersalskiego Freikorps von Epp został wcielony do 21. brygady piechoty Reichswehry, oficjalnych sił zbrojnych powojennych Niemiec. Wśród oddziałów podległych von Eppowi znalazła się jednostka wywiadowcza i propagandowa, dowodzona przez kapitana Karla Mayra. W maju 1919 roku Mayr natknął się na Adolfa Hitlera i zatrudnił go w charakterze informatora i osoby odpowiedzialnej za polityczną edukację rekrutów. We wrześniu Hitler został oddelegowany do monitorowania działań Deutsches Arbeiterpartie, jednej z pięćdziesięciu kilku volkistowskich partii, które narodziły się w monachijskich piwiarniach. Deutsches Arbeiterpartie (DAP) została założona w styczniu 1919 roku przez Antona Drexlera, członka Stowarzyszenia Thule. Należała do niej tylko garstka członków, ale w ciągu trzech miesięcy twarzą partii stał się Hitler, który przemianował ją na Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partię Robotników, Nationalsozialistische Deutsche

Arbeiterpartei.

Nie ma dowodów na to, że Adolf Hitler, pochodzący z klasy robotniczej kapral, zetknął się wówczas z von Eppem, generałem z klasy wyższej. Z pewnością jednak często kontaktował się z byłym adiutantem von Eppa i członkiem Freikorpsu, Ernstem Röhmem. Przedstawił ich sobie kapitan Mayr jesienią 1919 roku. Röhm brał udział w pierwszym generalnym zebraniu DAP 16 października 1919 roku, na którym przemawiał Hitler, i wkrótce wstąpił w szeregi partii. Na początku następnego roku Mayr zabrał Hitlera na spotkanie Żelaznej Pięści, grupy radykalnych prawicowych oficerów. Należał do niej między innymi Röhm, który uznał wówczas, że Hitler jest „człowiekiem dla Niemiec” i warto mu pomóc. A w Monachium roku 1920 wsparcie Ernsta Röhma było nie byle czym.

W powojennym chaosie polityka nierozzerwalnie wiązała się ze zorganizowaną, motywowaną politycznie przemocą – szczególnie w Monachium. Zaledwie kilka miesięcy przed tym, jak Hitler stanął na czele partii nazistowskiej, zwycięskie państwa ententy zmusiły bawarskiego premiera Gustava von Kahra do rozwiązania Einwohnerwehr, prawicowej bojówki, która powstała po tym, jak Freikorpsy „wyzwoliły” miasto. Lukę wypełniło mnóstwo nowych paramilitarnych organizacji. Z szeregów Freikorps von Epp wyłonił się Bund Oberland. Hermann Ehrhardt i jego ludzie utworzyli Wiking Bund. Narodowi socjaliści nie mieli żadnego skrzydła paramilitarnego, tylko bandę zbirów, która utrzymywała porządek w czasie odbywających się w piwiarniach spotkań. W listopadzie 1920 roku utworzono z nich Sekcję Gimnastyczno-Sportową, która zajmowała się treningiem fizycznym młodych członków partii. Rok później Hitler przemianował ich na Oddziały Szturmowe, (SA Sturmabteilung), ale powszechnie zwani byli brunatnymi koszulami. Ostateczna transformacja SA – z programu szkoleniowego dla młodych członków partii w organizację paramilitarną z prawdziwego zdarzenia – była przede wszystkim dziełem Ernsta Röhma i Hermanna Ehrhardta.

Zanim związał się z nazistami, Ernst Röhm był najważniejszym łącznikiem między monachijskimi organizacjami paramilitarnymi i regularną armią^[431]. Jego oficjalnym zadaniem było dostarczanie broni brygadzie podległej von Eppowi, ale na tym stanowisku mógł kierować pieniądze i zasoby Reichswehry do organizacji, które – zdaniem armii – w trudnych czasach mogłyby stać się oddziałami rezerwy. Ochraniany przez generała von Eppa i premiera von Kahra, to właśnie Röhm decydował o tym, które grupy otrzymają wsparcie finansowe i dostęp do zapasów amunicji i broni, pracowicie gromadzonych mimo postanowień traktatu wersalskiego i komisji rozbrojeniowej. Röhm, prawdziwy „król karabinów maszynowych” Monachium, dbał o powolny rozwój SA i o kontakty partii z ludźmi rządzącymi miastem – w tym generałem von Eppem. Kiedy nowa partyjka nauczyła się, jak rozwinąć swoje paramilitarne skrzydła, Hitler i nazisci zaczęli mieć coraz większe problemy z prawem. Wpływy Röhma oraz jego kontakty z von Eppem okazały się bezcenne.

Wkładem Hermanna Ehrhardta w SA nie była broń, ale ludzie i pieniądze. Odegrawszy kluczową rolę w katastrofalnej próbie zamachu stanu, dokonanej w Berlinie w roku 1920^[432], Ehrhardt i jego ludzie musieli szukać schronienia i Monachium było oczywistym wyborem. Röhm odegrał rolę pośrednika, a Hitler i Ehrhardt zgodzili się, że byli członkowie Ehrhardtowego Freikorpsu wstąpią w szeregi SA i znajdują się środki na ich szkolenie.

Generał von Epp nie był bezpośrednio i osobiście związany z partią nazistowską aż do 1920 roku. W połowie tego roku naziści dowiedzieli się, że należąca do Stowarzyszenia Thule gazeta „Völkischer Beobachter” znajduje się w kłopotach finansowych i wkrótce może zbankrutować. Nie mogąc zgromadzić środków na jej kupno i wiedząc, że konkurencja może być duża, Hitler i jego ludzie zwrócili się do von Eppa, który zgodził się nielegalnie pożyczyć partii 60 tysięcy marek, wziętych z kont Reichswehry. To pozwoliło partii przejąć kontrolę nad gazetą, która do 1945 roku była jednym z jej najważniejszych organów propagandowych. W ten sposób von Epp stał się jednym z największych dobroczyńców partii.

Dziś mało kto pamięta o kluczowej roli, jaką kolonialni żołnierze Drugiej Rzeszy odegrali w narodzinach Trzeciej. Najlepszy wizualny dowód na związki armii kolonialnej i ruchu nazistowskiego znajduje się dziś na taśmach filmowych, przechowywanych w berlińskim Bundesarchiv. W pierwszych nazistowskich filmach uderza przede wszystkim ich amatorskość. Przyzwyczajeni do późniejszych obrazów Leni Riefenstahl, przywykliśmy wyobrażać sobie nazistów zorganizowanych, w szeregu, skupionych na celu i w ciągłym ruchu. W porównaniu z nimi te wczesne filmy są statyczne i banalne – widzimy pierwszych nazistów i ich zwolenników na monachijskich placach i polach defiladowych, w deszczu, czekających na przemówienia albo przygotowujących się do marszu. Większość kadrów to szerokie ujęcia, ukazujące jak najwięcej ludzi i akcji. Rzadko trafiają się zbliżenia grup czy jednostek, nawet Hitlera rzadko widać samego. Ujęcia pokazują zmieszanie kamerzysty, który nie jest pewien znaczenia rzeczy, które filmuje, i na wszelki wypadek filmuje jak najwięcej, gdyby w przyszłości któraś z postaci z krawędzi kadru miała okazać się kimś ważnym.

W filmach Riefenstahl, przedstawiających ogromne wiece w Norymberdze z lat 30., naziści mają na sobie mundury i insygnia Trzeciej Rzeszy. Na wczesnych zgromadzeniach partii sfilmowani mężczyźni, którzy ustawiają się do zdjęcia, noszą mnóstwo rozmaitych mundurów, czapek, insygniów, strojów i medali – symboli niedawno upadłej Rzeszy. W tym chaosie widać doskonale całe spektrum wojskowych i paramilitarnych grup, z łona których wywodzili się naziści. Obok pruskich generałów w pikielhaubach i byłych dowódców Freikorpsów, dumnie prezentujących swoje nowoczesne hełmy stalowe (Stahlhelm)^[433], widać mundury, o których dziś prawie nikt nie pamięta – oficerów Schutztruppe. Na filmach co jakiś czas pojawiają się brudne bluzy i kapelusze z szerokimi rondami mężczyzn, którzy pomścili honor Niemiec w czasie powstania bokserów,

a potem dokonali eksterminacji Hererów i Nama. W latach 20. mundur taki był przede wszystkim bolesnym przypomnieniem dotkliwej utraty niemieckich kolonii i „przestrzeni życiowej”. Dziś Stahlhelm od razu rozpoznaje się jako symbol nazistowskiej agresji, a pikielhaubę – choć z historycznej perspektywy wydaje się nieco komiczna – natychmiast kojarzy się z agresywnym pruskim militarystycznym wilhelmińskich Niemiec. Zapomniany mundur Schutztruppe wolny jest jednak od jakichkolwiek skojarzeń z nazizmem.

Tymczasem, choć mało kto o tym pamięta, związek ten jest bezpośredni. Brunatne koszule SA, pierwszy symbol nazistowskiej brutalności, były zapasowym umundurowaniem Schutztruppe. Zostały uszyte dla żołnierzy von Lettow-Vorbecka w Afryce Wschodniej, ale ponieważ oddziały te przez całą wojnę były odcięte od dostaw z Niemiec, mundury stały się zbędne i zalegały w magazynach. Dla SA zdobył je najprawdopodobniej Gerhard Rossbach, inny dowódca Freikorpsu i przy okazji podobno kochanek Ernsta Röhma.



Jako ideologia polityczna nazizm w dużej części wyłonił się z volkistowskiego tygła monachijskich piwiarni. Żołnierze, którzy utracili kolonialne imperium w Afryce, odegrali zasadniczą rolę w powstaniu partii nazistowskiej jako monachijska siła polityczna i paramilitarna, filozofowie ekspansji kolonialnej i nierówności rasowej. Prześiąknięty volkizmem nacjonalizm wywarł ogromny wpływ na powstanie ideologii nazistowskiej.

Jej brak oryginalności na tym wczesnym etapie, w latach 1919–1923, jest uderzający. W manifestie partii, „dwudziestu pięciu punktach”, nie ma prawie nic, co by odróżniało nazistów od reszty prawicowych partyjek, które działały w Monachium i innych niemieckich miastach. Dodawszy sprzeciw wobec traktatu wersalskiego, program partii był bardzo podobny do tego, który głosiły przedwojenne partie volkistowskie, takie jak Liga Pangermańska czy Partia Ojczyźniana.

Widząc źródła nazizmu w volkistowskim mistycyzmie oraz nacjonalizmie Drugiej Rzeszy, niektórzy historycy poszukiwali jakiejś jednej postaci, która miała zainspirować Hitlera. Prawdą jest, że nazizm nie został wymyślony z niczego, ale powstał jako zlepek rozmaitych nacjonalistycznych obsesji i rasistowskiej pseudonauki, która rozwinęła się w ostatnich dekadach XIX wieku. Nieustanna obawa przed otoczeniem przez inne europejskie mocarstwa, silne przekonanie o chronicznym przeludnieniu Niemiec oraz niewzruszone poczucie, że Niemcom odmawia się ich należytego miejsca pod słońcem – wszystko to były zmartwienia zarówno kajzera, jak i przyszłego Führera. Hitler i naziści odziedziczyli uprzedzenia i lęki Cesarstwa Niemieckiego niczym rodowe srebro.

Kluczowym okresem, w którym doszło do syntezy tych dawnych koncepcji, były lata 1923–1925. W listopadzie 1923 roku naziści próbowali przejąć rządy w Bawarii siłą. Pucz monachijski był

spektakularną klęską, absurdalnie przedwczesną próbą sięgnięcia po władzę. Generał von Epp uważał ją za tak źle zorganizowaną, że odmówił wzięcia w niej udziału, choć dał się przekonać do pomocy w uporządkowaniu powstałego w wyniku puczu bałaganu. Błąd ten dał jednak Hitlerowi czas na uzupełnienie luk w edukacji politycznej.

Uwięzienie w zakładzie karnym Landsberg, na obrzeżach Monachium, powinno było być końcem Adolfa Hitlera i początkiem końca jego partii. Wedle wszelkich ocen, Hitler był tylko przegranym piwiarnianym agitator. Gdy zaczął się jego proces, gazety z przekonaniem ogłaszały koniec jego politycznej kariery, ale kiedy w 1924 roku wypuszczano go z więzienia, jego wpływy polityczne były znacznie większe, a nazizm stanowił już uporządkowaną ideologię. U podstaw tego procesu leżała jego autobiografia i manifest polityczny, *Mein Kampf*.

Z dala od monachijskich piwiarni i konieczności organizowania partii Hitler skupił się na historii germańskiego mistycyzmu, volkistowskiego nacjonalizmu i niemieckiego kolonializmu w Afryce i Europie Wschodniej. Od filozofów i naukowców, którzy przebyli tę samą drogę intelektualną, wzięł jednak tylko to, co było mu potrzebne w charakterze intelektualnej podbudowy jego uproszczonych teorii. Tekst książki dyktował swojemu towarzyszowi z celi (o ile nie nazwać jej raczej pokojem), Rudolfowi Hessowi. Zgłębiając naukowy rasizm, który kwitł w czasach Cesarstwa, Hitler natrafił na koncepcję Lebensraumu Friedricha Ratzla, teorię mieszania się ras Arthura de Gobineau i pseudonaukowe zasady eugeniki Francisa Galtona – już wtedy wypaczone przez zastępy „rasowych higienistów”, między innymi Eugena Fischera. Wiele lat później, opisując swój pobyt w Landsbergu, Hitler twierdził, że czytał także filozoficzne dzieła Nietzschego, wspomnienia Bismarcka i teksty Heinricha Classa, przywódcy Ligi Pangermańskiej. Pod wieloma względami ideologia spisana w *Mein Kampf* skryształizowała się dopiero w czasie jego pobytu w więzieniu. Wiele wniosków, do których wówczas doszedł, stało się przekonaniem, w które niewzruszenie wierzył do końca życia.

U podstaw zawartej w *Mein Kampf* ideologii leżała wiara w darwinizm społeczny i walkę gatunków o przetrwanie. Książka ta, oprócz mów Hitlera, które wygłosił przed nieudanym puczem, pełna jest analogii do walki o byt, jaka toczy się w świecie natury. To, co dzieje się wśród zwierząt i roślin, miało być też prawdziwe w odniesieniu do ludzi – życie było nieustanną walką, w której przeznaczeniem silniejszych było podporządkowanie sobie i zniszczenie słabych. Wiara Hitlera w ową „walkę” dała mu teoretyczną podstawę postrzegania świata oraz pseudonaukowy język do opisanego go. Darwinizm społeczny pozwolił także Hitlerowi – tak jak rasistom i militarystom poprzedniego stulecia – wyjaśniać straszliwe czyny i usprawiedliwiać wymordowanie albo zniewolenie innych ludów jako naturalne, nieuniknione, a przez to w jakiś sposób moralnie uzasadnione. Oczywiście wielu Niemców, którzy przyjmowali logikę darwinizmu społecznego, nie popierało imperializmu, antysemityzmu czy militarystyki. Mimo tego, w latach 20. większość

lekarzy, członków wymiaru sprawiedliwości, armii i elit rządzących postrzegala konflikt między rasami, narodami i klasami społecznymi podobnie do Hitlera. Ta wielka kulturowa zmiana nastąpiła na długo przed powstaniem narodowego socjalizmu, a podobne idee zyskały na popularności w większości innych krajów europejskich, a także w Ameryce i Japonii. Powszechna akceptacja dla zasad darwinizmu społecznego i spokój, z jakim miliony Niemców przyjmowały przesiedlenia albo nawet niszczenie „słabych”, ułatwiły Hitlerowi dojście do władzy. To samo zjawisko uspokoiło sumienia milionów Niemców – żołnierzy i cywilów – którzy wypełniali rozkazy Führera.

Ze wszystkich teorii naukowego rasizmu i darwinizmu społecznego Hitler najłatwiej, bez najmniejszej wątpliwości, przyjął koncepcję Lebensraumu Friedricha Ratzla. Zapoznał się z nią zapewne jeszcze przed uwięzieniem, ale dopiero w Landsbergu miał czas, żeby naprawdę ją zgłębić, razem z innymi kluczowymi dla nazizmu ideami. Zastępca Hitlera, Rudolf Hess, był protegowanym najważniejszego znawcy teorii Lebensraumu. Profesor Karl Haushofer, emerytowany generał i wykładowca geopolityki na uniwersytecie w Monachium, w pewnym momencie zaapelował do Hessa, by porzucił politykę i wrócił na studia. Istnieją dowody na to, że w więzieniu Hitler przeczytał teksty Haushofera i rozmawiał na ich temat z Hessem. Po wojnie sam profesor twierdził, że w Landsbergu Hitler czytał *Geografię polityczną* Ratzla^[434].

Wiadomo, że Haushofer odwiedzał w Landsbergu swojego byłego ucznia i jego towarzysza z celi. Wiele lat później wspominał, że „Hitler nigdy tego nie rozumiał i nie miał należytego światopoglądu, żeby ją [teorię Lebensraumu] pojąć”. Twierdził także, że w czasie swoich wizyt zawsze unikał zostawania z Hitlerem sam na sam. „Zawsze miałem poczucie – mówił w wywiadzie – że odczuwał do mnie niechęć, jaką osoba na w pół wykształcona żywi wobec osoby z wykształceniem akademickim”^[435].

Bez względu na to, czy Hitlera zainspirowały rozmowy z Haushoferem i Hessem, czy też czerpał bezpośrednio z prac Ratzla, oczywiście jest, że wyrażona w *Mein Kampf* koncepcja Lebensraumu nie różniła się właściwie od tej, którą propagowała Liga Pangermańska czy kolonialisci w rodzaju Paula Rohrbacha. Oni także uważali, że narody są niczym organizmy, a ich zdrowie uzależnione jest od możliwości wzrostu. W opinii Hitlera granice były jedynie liniami na mapie – geograficzny zasięg danego narodu zależał wyłącznie od jego męskiej siły.

W 1923 roku Hitler wierzył w to, że niemiecki Lebensraum leży na Wschodzie, skąd niemieckie wojska musiały się niedawno wycofać. Swoją krucjatę na rzecz przestrzeni życiowej uważał za kontynuację tradycji kolonizowania Wschodu, która zaczęła się w XIII wieku i na krótko odżyła w czasie I wojny światowej. Sposób, w jaki Hitler postrzegał Europę Wschodnią i jej mieszkańców, miał w sobie jednak coś oryginalnego. W czasie I wojny światowej najważniejsi zwolennicy kolonizacji Wschodu – generał Ludendorff, członkowie Ligi Pangermańskiej i innych

nacjonalistycznych organizacji – wyobrażali sobie imperium, w którym Słowianie i Żydzi będą ekonomicznie i kulturowo podporządkowani Niemcom, *Kulturträger* – nosicielom kultury i cywilizacji. Niemiecka kultura miała wydobyć Polaków, Ukraińców i Bałtów ze stanu zacofania i apatii. Wizja Hitlera była zasadniczo różna. Podzielił mieszkańców Wschodu na dziewiętnastowieczne kategorie rasowe, przyznając im status „ludów kolonialnych” – którym to mianem określał Ukraińców.



Zanim jednak niemiecki *Volk* mógł zabrać się za wielkie dzieło wykrojenia sobie „przestrzeni życiowej” na terenach Rosji i zastosować wobec Słowian i Żydów hitlerowską politykę rasową, należało dokonać wewnętrznego, rasowego oczyszczenia. Zdegenerowane, ułomne, obce elementy, które zanieczyszczały aryjską krew, musiały być – zdaniem Hitlera – wypłenione. Rzesza powinna zostać oczyszczona ze słabych, obcych ras, żeby nie mieszały się one z rasą niemiecką. Narodowosocjalistyczne państwo – głosił Hitler w *Mein Kampf* – „musi w centrum postawić rasę”^[436].

Jak większość hitlerowskiej ideologii, tak i jego marzenie o czystym rasowo państwie nie było oryginalne. Liga Pangermańska i Deutschbund, dwa najbardziej wpływowe volkistowskie stowarzyszenia wilhelmińskich Niemiec, głosiły konieczność „walki z mieszanymi małżeństwami z nie-Aryjczykami”^[437]. Hitler wierzył, że nauki medyczne i rasowe osiągnęły taki poziom rozwoju, że jest możliwe stworzenie państwa, w którym rasowo niepożądane i najsłabsze elementy społeczeństwa będą mogły być „wykluczane” z niemieckiej rasy. Szukając naukowego potwierdzenia tego przekonania – oraz pomysłów na wcielenie go w życie – Hitler zwrócił się w stronę pseudonaukowej czystości rasowej, niemieckiej wersji Galtonowskiej eugeniki. W poszukiwaniu naukowej legitymizacji natrafił na ludzi utraconego imperium kolonialnego Niemiec oraz koncepcje, które częściowo opracowano w Afryce.

Niemiecka higiena rasowa narodziła się w 1895 roku, kiedy Alfred Ploetz opublikował swoje *Podstawy higieny rasowej*. W roku 1904, kiedy Niemcy zaczęły wojnę na wyniszczenie Hererów, Ploetz pomógł założyć czasopismo o eugenicie „Archiv für Rassen und Gesellschaftsbiologie”. Wydawał je Julius Lehmann, który pojawia się w tej opowieści w roku 1923, kiedy Hitler zaczął pracę nad *Mein Kampf*. Po tym jak w 1919 roku aresztowano go za przynależność do Kampfbundu Thule, na jakiś czas trafił do więzienia. Tymczasem jego kolega ze Stowarzyszenia Thule, Anton Drexler, założył Niemiecką Partię Robotników. Wyszedszy z więzienia, w następnym roku Lehmann wstąpił do DAP i zajął się wydawaniem partyjnej propagandy^[438]. W 1923 roku był już zamożnym sponsorem, który łożył na działalność partii i utrzymywał bliskie kontakty z samym

Hitlerem. W przeciwieństwie do wielu innych wpływowych sympatyków, Lehmann nie miał przy tym oporów przed ubrudzeniem sobie rąk i nawet odegrał marginalną rolę w czasie puczu monachijskiego – w jego willi miano przetrzymywać w charakterze zakładników przedstawicieli bawarskich władz^[439].

Tego samego roku, w którym Hitler został wysłany do więzienia w Landsbergu, w wydawnictwie Lehmana wznawiano najważniejszą niemiecką książkę na temat biologicznego rasizmu: *Ludzkie dziedziczenie i higiena rasowa*, napisaną wspólnie przez Erwina Baura, Fritza Lenza i Eugena Fischera. Rozdziały pióra tego ostatniego oparte były na badaniach przeprowadzonych w Afryce Południowo-Zachodniej, wśród Basterów z Rehoboth. Książka została dobrze przyjęta i miała pozytywne recenzje, a nawet przetłumaczono ją na angielski, co nie tylko zwiększyło sprzedaż, ale też korzystnie wpłynęło na sławę i karierę jej autorów. Dla Eugena Fischera *Ludzkie dziedziczenie i higiena rasowa* było zaledwie pierwszym krokiem na drodze do zostania jedną z najważniejszych postaci nazistowskiej nauki rasowej.

Za sprawą tej książki badania Fischera nad Basterami z Rehoboth zostały umieszczone w kontekście szerszej zakrojonych studiów nad – jak sam to ujął – różnymi typami ludzkości. Aby zapobiec rasowej degeneracji, która zagrażała zdrowiu całej rasy wyższej, Fischer i jego koledzy zaproponowali wprowadzenie programu pozytywnej selekcji rozrodczej. Miał on pomóc w oczyszczeniu rasy aryjskiej i wydobyciu jej wrodzonych, szlachetnych cech i talentów, a w konsekwencji stworzyć prawdziwą, „nierozrzedzoną rasę panów”.

W czasie pobytu w Landsbergu Hitler dostał od Juliusa Lehmana egzemplarz *Ludzkiego dziedziczenia i higieny rasowej*. Historycy od dawna debatują nad tym, czy książka ta wpłynęła na jego poglądy na temat rasy i czystości rasowej – jeden z jej autorów, Fritz Lenz, był o tym święcie przekonany. W 1931 roku twierdził, że „to, co mówił i pisał Hitler, w wielu miejscach brzmiało jak jej [książki Lenza, Fischera i Baura] fragmenty”^[440]. Choć z niektórymi tezami książki Hitler mógł się nie zgadzać, jeśli ją przeczytał, to z całą pewnością – jak zawsze – wziął z niej tylko to, co potwierdzało jego własne poglądy.

Należący do Hitlera egzemplarz *Ludzkiego dziedziczenia i higieny rasowej* przetrwał wojnę i znajduje się w sekcji unikatów Biblioteki Kongresu. Dedykacja, napisana przez Lehmana na stronie tytułowej, głosi: „Adolfowi Hitlerowi, pierwszemu bojownikowi o to, by kwestia rasowa została należycie uznana za najważniejszy fundament naszej pogłębiającej się wiedzy”^[441].

^[419] Gregor Dallas, 1918: *War and Peace*, London 2000, s. 274.

^[420] Ian Kershaw, *Hitler*, t. 1: 1889–1936, Poznań 2001, s. 84–86.

[421] 9 listopada kanclerz Rzeszy, książę Maksymilian Baderński, ogłosił detronizację Wilhelma II, który następnego dnia udał się na wygnanie do Holandii, gdzie dopiero 28 listopada oficjalnie ogłosił swoją abdykację (przyp. tłum.).

[422] David Clay Large, *Where Ghosts Walked: Munich's Road to the Third Reich*, New York, London 1997, s. 25.

[423] Richard Weikart, *From Darwin to Hitler*, New York, Basingstoke 2004, s. 122.

[424] Large, op. cit., s. 91.

[425] Hrabia Arco auf Valley przeżył lewicowe rządy, które nastąpiły po zabójstwie Eisnera, a także rządy nazistów i II wojnę światową, by zginąć pod kołami amerykańskiej ciężarówki w 1945 roku.

[426] Harold J. Gordon, Jr., *The Reichswehr and the German Republic 1919–1926*, Princeton, NJ 1957, s. 281.

[427] Oficjalnie nazywała się *Marinenbrigade Ehrhardt*, Brygada Marynarki Ehrhardt (przyp. tłum.).

[428] John Toland, *Adolf Hitler*, Garden City, NY 1976, s. 81.

[429] Nicholas Goodrick-Clarke, *Okultystyczne źródła nazizmu: Tajemne kultury aryjskie i ich wpływ na ideologię nazistowską*, Warszawa 2010, s. 191.

[430] John Lukacs, *Tocqueville: The European Revolution and Correspondence with Gobineau*, New York 1959, s. 187.

[431] Kershaw, op. cit., s. 174.

[432] W tak zwanym puczu Kappa-Lüttwiza, zorganizowanym przez konserwatywnych monarchistów (przyp. tłum.).

[433] Hełm stalowy wszedł do użycia w armii niemieckiej już w roku 1916, zastępując pruską pikielhaubę. Autorzy mają na myśli charakterystyczne nakrycie głowy żołnierzy Wehrmachtu, wprowadzone w 1935 roku (przyp. tłum.).

[434] Weikart, op. cit., s. 225.

[435] Toland, op. cit., s. 199.

[436] Adolf Hitler, *Mein Kampf*, Kraków 1992.

[437] Annegret Ehmam, *From Colonial Racism to Nazi Population Policy: The Role of the So-Called Mischlinge*, w: Michael Berenbaum, Abraham J. Peck (red.), *The Holocaust and History: The Known, The Unknown, The Disputed and The Reexamined*, Bloomington, IN 2002, s. 115.

[438] Weikart, op. cit., s. 222.

[439] Edwin Black, *Wojna przeciw słabym: eugenika i amerykańska kampania na rzecz stworzenia rasy panów*, Warszawa 2004, s. 411.

[440] Weikart, op. cit., s. 223.

[441] Gretchen E. Schafft, *Racism to Genocide*, Urbana, IL 2004, s. 62.

ROZDZIAŁ 17

Lud bez przestrzeni

Kiedy naziści doszli do władzy, w styczniu 1933 roku, przystąpili do realizacji dwóch celów, którymi leżały u podstaw ich rewolucji: powiększenia niemieckiej przestrzeni życiowej i utworzenia czysto aryjskiego „państwa rasowego”. Oba te projekty wymagały powrotu do praktyk, koncepcji i teorii rozwiniętych w dawnym, afrykańskim imperium Niemiec. Kluczową rolę w nazistowskiej tragedii mieli odegrać żołnierze i badacze, których kariery rozpoczęły się na malowniczych pustyniach Afryki Południowo-Zachodniej albo na polach śmierci Afryki Wschodniej, Togo i Kamerunu.

Naziści chętnie odwoływali się też do nostalgii za utraconymi koloniami imperium kajzera, bardzo silnej w Republice Weimarskiej. W dużym stopniu dotyczyła ona Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, która w okresie między ludobójstwem Hererów i Nama oraz I wojną światową jawiła się jako „raj osadników”. W okresie międzywojennym powstały nie tylko prokolonialne rozprawy i broszury, ale też mnóstwo popularnych powieści na ten temat. Spisano także wiele wspomnień byłych osadników oraz ich ideologicznych sympatyków. Życie kobiet i mężczyzn, którzy postanowili uczynić swoim domem bezkresne przestrzenie Południowego Zachodu, często idealizowano, co sprawiało, że ta wizja życia w koloniach przemawiała do wyobraźni czytelników. Co więcej, łatwo łączyła się z głęboką i powszechną goryczą z powodu skonfiskowania w Wersalu niemieckiego imperium kolonialnego. Nazistowscy propagandyści umiejętnie wykorzystywali te sentymenty, zarazem przypominając o utraconych koloniach i przekonując naród

niemiecki o potrzebie ekspansji terytorialnej i zdobyciu Lebensraumu

Zdobycie przestrzeni życiowej, kluczowe dla urzeczywistnienia wielkiej wizji Hitlera, mogło jednak nastąpić wyłącznie na drodze wojny, do której Niemcy – aż do końca lat 30. – nie były przygotowane. Z drugiej strony osiągnięcie stanu, w którym – jak ujmował to sam Hitler – „życie będzie koncentrować się wokół rasy”, możliwe było niemal natychmiast^[442]. Partia zwróciła się do niemieckich badaczy rasowych, eugeników i antropologów, z których wielu odebrało wykształcenie w instytucjach kolonialnych albo było weteranami ekspedycji polowych w utraconych posiadłościach zamorskich. Większość z nich – choć nie wszyscy – przyjęła nazistowską rewolucję z wyraźnym entuzjazmem, podobnie jak ich koledzy lekarze, inżynierowie, geografowie i przedstawiciele wielu innych dyscyplin. Badania, jakie prowadzili na ludach Afryki i Azji, stały się naukową podstawą „państwa rasowego”. Naukowcy, których praca najlepiej wspierała kluczowe teorie rasowe partii nazistowskiej, byli nagradzani pieniędzmi i wpływami. Ich instytucje i programy badawcze otrzymywały wielkie fundusze, a na ich wykłady uczęszczali partyjni działacze. Najznamienitsi zostawali zamożnymi, sławnymi postaciami i zachęcano ich, by w jeszcze radykalniejszy sposób posługiwali się swoimi teoriami na temat rasy i czystości krwi. Ostatecznie dostali władzę nad życiem i śmiercią swoich współobywateli, a później także ludów Europy Środkowej i Wschodniej.



W *Odezie do narodu niemieckiego* z 31 stycznia 1933 roku, dzień po tym, jak został mianowany kanclerzem^[443], Hitler oznajmił, że nazistowskie państwo „nie będzie uznawało klas, ale tylko jeden naród niemiecki”. Nowy Führer^[444] zażądał od swoich ludzi, by zgodzili się na pakt „pojednania”^[445], by – przynajmniej pozornie – odrzucić dawne podziały klasowe i regionalne. W nowych Niemczech podziały społeczne miały opierać się wyłącznie na rasie i krwi, a także zostać pogłębione, stać się absolutne i niewzruszalne.

Opracowując prawa konieczne do utworzenia „państwa rasowego” i prześladowań tych, których reżim uznał za „nie-Aryczyków”, nazisci znaleźli wiele rozmaitych definicji i prawnych precedensów, a także cały słownik terminologii rasowej, który wcześniej wykorzystywano w niemieckich koloniach. Nazistowscy prawnicy zastosowali w samych Niemczech prawa, które opracowano, żeby zapewnić rasową dominację białych osadników w Afryce.

Największą grupą, której krew chciano wydobyć z niemieckiego *Volku*, byli oczywiście Żydzi. Od drugiej połowy XIX wieku rozmaite ruchy volkistowskie prowadziły kampanię na rzecz zakazu mieszanych małżeństw między Żydami a „Niemcami”, jako że Żydzi mieli być biologicznie odmienną, „obcą” rasą. W maju 1933 roku, zaledwie trzy miesiące po powstaniu Trzeciej Rzeszy, minister sprawiedliwości Franz Gürtner wezwał do rozpoczęcia prac nad tym, w jaki sposób można

by zakazać międzyrasowych małżeństw. Dopiero we wrześniu 1935 roku partia podjęła działania w tej kwestii, choć przez całe lato poprzedniego roku nazistowskie bojówki dokonywały napadów na Żydów, o których wiadomo było, że poślubili „Aryjki”. Hitler ogłosił nowe prawa na zjeździe partii w Norymberdze, toteż Ustawa o obywatelstwie Rzeszy oraz Ustawa o ochronie kwi niemieckiej i niemieckiej czci przeszły do historii jako ustawy norymberskie. Pierwsza określała, że obywatelami Rzeszy, *Reichsbürger*, są tylko osoby o krwi niemieckiej. Druga zakazywała Żydom utrzymywania stosunków seksualnych oraz poślubiania obywateli Rzeszy. Ustawy norymberskie wpłatały w sieć państwa rasowego także Murzynów i Cyganów, do których również odnosiły się ich zapisy.

Najwcześniejszym przypadkiem, który posłużył za wzór niemieckim prawnikom opracowującym Ustawę o obywatelstwie Rzeszy oraz Ustawę o ochronie krwi niemieckiej i niemieckiej czci, były prawa zakazujące mieszanych małżeństw, uchwalone w 1906 roku w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Tego samego roku podobne zakazy wprowadzono w Niemieckiej Afryce Wschodniej, a dwa lata później w Togo^[446].

Opracowując dekrety wykonawcze do ustaw norymberskich, partyjni prawnicy przyjęli określenie, które pierwszy raz zastosowano w kolonialnych rozporządzeniach rasowych – *Mischlinge*, „mieszkańcy”. Koncepcja „mieszkańców” dała prawnikom i urzędnikom zarówno teoretyczną podstawę, jak i quasi-prawniczą terminologię. Pozwalała stworzyć system, w którym wielowiekowa niemiecka społeczność żydowska, ze swoją skomplikowaną genealogią, mogła być sklasyfikowana, odizolowana, i ostatecznie usunięta. Wśród badaczy rasy, na których prace powoływali się urzędnicy opracowujący ustawy norymberskie, byli Eugen Fischer i Fritz Lenz^[447].

W nazistowskim ustawodawstwie rasowym i publicznym dyskursie lat 30. wykorzystywano także inne terminy z kolonialnych rozporządzeń rasowych, jak pojęcie *Rassenschande* („zhańbienia rasy”) i „bastardyzacji”. Kary nałożone na niemieckich obywateli, którzy nie przestrzegali nowego prawa, też były bardzo podobne do tych, które stosowano w koloniach. Niemieccy osadnicy w Afryce Południowo-Zachodniej, którzy utrzymywali stosunki seksualne z Afrykankami, byli pozbawiani prawa głosu i odmawiano im pomocy finansowej państwa. Obywatelom Trzeciej Rzeszy, którzy zawarli małżeństwa z osobami o „niższej wartości rasowej” (do których zaliczały się także osoby dotknięte chorobami dziedzicznymi), nie przysługiwały niektóre ulgi podatkowe czy dodatki na dzieci^[448].

W lutym 1941 roku doktor Oskar Hintrager, były wicegubernator Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, opublikował w „Ilustrowanych Wiadomościach Kolonialnych i Zagranicznych” trzystronicowy artykuł, w którym przekonywał, że kolonie pozwoliły Rzeszy dostrzec niebezpieczeństwo mieszania się ras. „Posiadanie kolonii było wartościowym doświadczeniem dla narodu – pisał Hintrager. – Niemcy, którzy doświadczyli życia obok innych ras,

docenili znaczenie rasy. Najważniejsza była lekcja, że mieszane małżeństwa między białymi mężczyznami a kolorowymi kobietami przynoszą odrażające rezultaty i z wielu powodów muszą być całkowicie zakazane”[449].

Ustawy norymberskie, choć uznawane za ustawy rasowe, tak naprawdę definiowały „żydowskość” na podstawie religii wyznawanej przez daną osobę i jej przodków. Medyczne czy biologiczne określanie „żydowskości” planowano dopiero opracować. Do tego, by państwo mogło określić status rasowy czy genetyczne zdrowie każdego obywatela za pomocą badania jego fizjologii, konieczne były stosowne prawa, szkolenia i instytucje. Także i w tym przypadku nazistowski reżim zaczerpnął z dziedzictwa badaczy rasy, antropologów i eugeników, którzy często zdobywali wiedzę i doświadczenie w niegdysiejszym niemieckim imperium kolonialnym.



Przed I wojną światową badania rasowe były kwitnącą dziedziną niemieckiej nauki. Wraz ze zwiększeniem kontroli wojskowej nad poddanyymi Cesarstwa kolonie stały się otworem przed naukowcami z niemieckich uniwersytetów, instytutów badawczych i muzeów. Bardzo promował to Friedrich von Lindequist, podówczas dyrektor Departamentu Kolonii. W pierwszych latach XX wieku w niemieckich badaniach rasowych pojawiły się koncepcje zaczerpnięte z eugeniki. W latach 20. i 30. na niemiecką „higienę rasową” duży wpływ miały badania eugeników ze Stanów Zjednoczonych, gdzie w kilku stanach wprowadzono prawa eugeniczne – co zresztą pochwałali sam Hitler.

Kiedy naziści zdobyli władzę, najważniejszym w Niemczech instytutem zajmującym się badaniami rasowymi i eugeniką był Instytut Antropologii, Dziedziczności i Eugeniki imienia Cesarza Wilhelma (Kaiser-Wilhelm-Institut für Anthropologie, menschliche Erblehre und Eugenik, KWI-A), mieszczący się w Dahlem, zielonym przedmieściu Berlina. Naczelnym dyrektorem Instytutu był Eugen Fischer, a na kierowniczych stanowiskach pracowali tam również: Fritz Lenz (który razem z Fischerem i Erwinem Baurem napisał *Ludzkie dziedziczenie i higienę rasową*) oraz Otmar von Verschuer, bliski współpracownik Fischera, specjalizujący się w badaniach nad bliźniętami.

Eugen Fischer z roku 1933 bardzo różnił się od ambitnego, trzydziestoparoletniego badacza, który w 1908 roku pojechał prowadzić badania w Rehoboth. Dobiegający sześćdziesiątki profesor Fischer był zapewne najbardziej szanowanym antropologiem rasowym w Niemczech, którego akademicka renoma – oparta na rzekomo przełomowych badaniach nad Basterami z Rehoboth – miała międzynarodowy zasięg. Jego prace drukowano także w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Pozostawał w przyjacielskich stosunkach z najważniejszymi postaciami amerykańskiej eugeniki i zdobywał fundusze od zamożnych sponsorów.

Choć Hitler najprawdopodobniej czytał *Ludzkie dziedziczenie i higienę rasową* w czasie pisania

Mein Kampf, naziści początkowo byli sceptyczni wobec Fischera. Nie tylko z niewiadomych przyczyn nie wstąpił od razu partii, ale też niektóre jego teorie rasowe – szczególnie dotyczące Żydów – nie w pełni były zgodne z nazistowską doktryną. Na początku 1933 roku Fischer został wezwany na spotkanie Urzędu Ludności i Zdrowia Genetycznego SS^[450], na którym został przekonany do tego, by wstąpić do partii. Choć nigdy nie odrzucił w pełni koncepcji niezgodnych z nazistowską ideologią, ostatecznie został zagorzałym i głośnym zwolennikiem nowego porządku. W 1933 roku zademonstrował swoją gotowość do uczestniczenia w rewolucji rasowej, pisząc artykuł, w którym głosił, że mieszanie się Żydów i Niemców szkodzi rasie germańskiej, a także sugerując konieczność ustanowienia praw, które by tego zakazywały. W lipcu 1933 roku został mianowany rektorem Uniwersytetu Berlińskiego^[451]. W mowie inauguracyjnej zadeklarował swoje pełne poparcie dla nazizmu, a później nadzorował czystkę wśród kadry uniwersytetu i usuwanie pracowników pochodzenia żydowskiego. W roku 1934 w Instytucie imienia Cesarza Wilhelma zaczął wykładać antropologię lekarzom SS.

Rolą Fischera, jak i wielu innych znanych antropologów i specjalistów od higieny rasowej, było nie tylko wspieranie rewolucji rasowej artykułami i wykładami – miał także odegrać praktyczną rolę w budowie „rasowego państwa”. Inną grupą rasową, której naziści chcieli się pozbyć z niemieckiej „wspólnoty krwi”, obok Żydów i Cyganów, byli „nadreńscy bękartci”.

We francuskiej armii, która pod koniec I wojny światowej okupowała zachodnią Nadrenię, służyło kilka tysięcy żołnierzy z kolonii rozmaitych ras. Kiedy oddziały te rozpoczęły swoją służbę, rozpełtała się przeciwko nim międzynarodowa kampania. Ich żołnierzy potępiano jako „senegalskich dzikusów”. Sama okupacja została określona przez pewnego brytyjskiego dziennikarza jako „czarny koszmar nad Renem”. W Niemczech rozpowszechniano niepotwierdzone pogłoski, jakoby czarnoskórzy żołnierze masowo atakowali i gwałcili Niemki. Kiedy w 1921 roku Francuzi się wycofali, niemieckie oburzenie skupiło się na około czterystu dzieciach z mieszanych związków. Były zaledwie niemowlętami, ale uważano je za rasowe wyrzutki i żywe dowody klęski i upokorzenia Niemców. Zgodnie z powszechnie przyjętą terminologią Eugena Fischera nazwano je „nadreńskimi bękartami” i razem ze swoimi białymi matkami stały się one obiektem prześladowań i dyskryminacji.

W ciągu zaledwie trzech miesięcy od objęcia władzy naziści zajęli się tym „problemem”. W kwietniu 1933 roku Hermann Göring nakazał miejscowym władzom zebrać informacje o liczbie i miejscu pobytu „nadreńskich bękartów”. W zadaniu tym pomagały kościoły i szkoły, które przekazywały informacje władzom. Nawet na tym bardzo wczesnym etapie jedną z najważniejszych instytucji w tym przedsięwzięciu był kierowany przez Eugena Fischera Instytut imienia Cesarza Wilhelma.

Doktor Wolfgang Abel, dyrektor jednego z departamentów Instytutu, rozpoczął „rasowo-

biologiczne” badania na niewielkiej grupie nadreńskich Mulatów. Abel, który zwrócił na siebie uwagę Fischera dzięki badaniom nad szkieletami Nama i buszmenów San, znajdującymi się w wiedeńskich zbiorach, doszedł do wniosku, że mieszane pochodzenie nadreńskich dzieci zdeformowało je psychicznie i fizycznie, a ich genetyczna niższość jest tak widoczna, że należy „zapobiec ich rozmnażaniu się”. Tego samego roku Walther Darré, minister rolnictwa Rzeszy i jeden z architektów niemieckiej ekspansji na tereny Związku Radzieckiego, pisał: „Eksterminacja pozostałości Czarnej Hańby nad Renem jest konieczna (...). Jako Nadreńczyk domagam się sterylizacji wszystkich mulatów, którymi zostaliśmy obarczeni”. Darré sugerował, że sterylizacja powinna odbyć się w ciągu dwóch lat, zanim „nadreńskie bękarty” dojrzeją seksualnie. „W przeciwnym razie – pisał – będzie za późno i przez setki lat będziemy odczuwać skutki rasowej degeneracji”^[452].

W marcu 1935 roku „komisja ekspertów od spraw ludnościowych i polityki rasowej” zebrała się w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rzeszy, żeby znaleźć rozwiązanie problemu „nadreńskich bękartów”^[453]. Ktoś zaproponował, by z pomocą Kościoła deportować ich do Afryki. Ponieważ jednak Niemcy nie miały już kolonii, do których mogłyby trafić dzieci z Nadrenii, obawiano się, że może to doprowadzić do jakiegoś incydentu dyplomatycznego. Dwa lata później reżim nazistowski skonsultował się z Eugenem Fischerem, którego badania nad Basterami z Rehoboth wykorzystywano jako argument za wprowadzonym przez Trzecią Rzeszę zakazem mieszania się ras.

W przypadku „nadreńskich bękartów”, podobnie jak Cyganów, sprawą nie zajęły się nazistowskie sądy zdrowia dziedzicznego (Erbgesundheitsgericht), ale utworzona przez Gestapo Specjalna Komisja numer 3, w której zasiedli zarówno Fischer, jak i Abel. Zadaniem komisji było zlokalizowanie, a następnie dokonanie sterylizacji nadreńskich Mulatów tak skutecznie – i tak dyskretnie – jak to tylko możliwe. Wiosną 1937 roku policja zabrała dzieci ze szkół i oddała do badania naukowcom. Kiedy potwierdzono, że dzieci te są mieszane rasowo pochodzenia, zostały zabrane do miejscowego szpitala i tam dokonano operacji. Do końca roku przymusowo wysterylizowano około czterystu nastolatków. W *Mein Kampf* Hitler ostrzegł, że pod rządami nazistowskimi Niemcy „nie pozwolą sobie stać się czarnuchami, tak jak próbowali to zrobić Francuzi po 1918 roku”.



Eugen Fischer, choć był najznamienitszym badaczem rasy z doświadczeniem kolonialnym, który zajmował wysokie stanowisko w nazistowskim państwie, nie był wcale jedynym. Niektórzy spośród pracujących niegdyś w koloniach antropologów czy badaczy rasy odrzucili nazizm, ale większość całym sercem przyjęła szanse, jakie oferował im nowy reżim. Jednym z najważniejszych –

przynajmniej w pierwszym latach – był doktor Philaethes Kuhn, eugenik i współautor rozprawy *Od niemieckich przodków do niemieckich unuków*. Kuhn służył w Schutztruppe i pod dowództwem Theodora Leutweina walczył z Nama. W czasie ludobójstwa Hererów był chirurgiem wojskowym w obozie koncentracyjnym w Karibib. Wyjechawszy z Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, kontynuował swoje badania w berlińskim Instytucie Chorób Tropikalnych, po czym wstąpił do Schutztruppe w Kamerunie. Kuhn, współzałożyciel Towarzystwa na rzecz Higieny Rasowej Alfreda Ploetza, wykładał *Rassenhygiene* na uniwersytecie w Giessen. W 1923 roku wstąpił do partii nazistowskiej, ale w 1937 roku zmarł, zanim nazistowskie programy eugeniczne zostały w pełni zrealizowane.

Innym naukowcem, który najpierw wiernie służył kajzerowskiemu Niemcom, a następnie nazistowskiemu reżimowi, był Ernst Rodenwaldt. Najpierw był lekarzem w Togo i – tak jak Fischer – zyskał sławę badaniami nad „bastardyzacją”. Razem z Alfredem Ploetzem, swoim powinowatym, wydawał „Archiv für Rassen und Gesellschaftsbiologie”. Kiedy naziści doszli do władzy, Rodenwaldt zaczął stosować swoje koncepcje „bastardyzacji” do żydowskich *Mischlingów*, uprzedzając niektóre aspekty ustaw norymberskich.

Z kolei naukowiec rasowy, Otto Reche, zyskał sławę jako wykładowca hamburskiego Instytutu Badań Kolonialnych, prawdopodobnie najbardziej prestiżowej instytucji zajmującej się koloniami i ich mieszkańcami, jaka powstała w Cesarstwie Niemieckim. Reche był antropologiem fizycznym, bliskim współpracownikiem Fischera i Lenza. Wziął udział w Hamburskiej Ekspedycji Mórz Południowych, która dostarczyła Hamburskiemu Muzeum Etnologicznemu setki czaszek i szkieletów do badań antropologicznych. Później został zagorzałym nazistą i poświęcił się badaniom typów krwi ludzkiej, za pomocą których można by wykazać germańskie pochodzenie danego człowieka i jego rasowe „nieczystości”. Na polecenie Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS (Rasse- und Siedlungshauptamt der SS, RuSHA) opracował także rekomendacje w sprawie osadnictwa i polityki ludnościowej we wschodniej Europie. Ostrzegał, że tak jak w przypadku projektów kolonialnych, osadnictwo na terenach Polski stanowi potencjalne zagrożenie „bastardyzacji niemieckich imigrantów”. Można go było uniknąć – kontynuował Reche – dokonując czystki etnicznej terenów, na których mieliby się osiedlić Niemcy^[454].

Wreszcie, był wśród uczonych także Theodor Mollison, pomagający Eugenowi Fischerowi w studiach nad Basterami i prowadzący własne badania w Niemieckiej Afryce Wschodniej. W 1937 roku Mollison napisał w liście do kolegi: „Jeśli wydaje Ci się, że my, naukowcy, nie dołączamy się do okrzyku «Heil Hitler», to jesteś w błędzie. My, niemieccy naukowcy, doskonale wiemy, ile zawdzięczamy Adolfowi Hitlerowi”^[455].



Nazistowskie państwo sprawiło, że badacze rasy i eugenicy zyskali zupełnie nową pozycję w niemieckim społeczeństwie. Powierzono im dziedziczne zdrowie i rasową czystość narodu niemieckiego, a także zadanie przekazywania swoich koncepcji – i uprzedzeń – uczniom. Jako wykładowcy, opiekunowie naukowcy, mentorowie i nauczyciele szkolili antropologów rasowych i eugeników Trzeciej Rzeszy. To pokolenie, opuściwszy instytuty, laboratoria i szkoły kolonialne, ruszyło na zdobyte w 1941 roku nowe terytoria na Wschodzie, żeby w praktyce wykorzystać to, czego nauczyli się od Fischera, Rechego i Mollisona.

Uderzające są związki między kolonialnymi badaczami rasy i nazistowskimi gwiazdami tej dyscypliny. Josef Mengele był uczniem Theodora Mollisona na Uniwersytecie Monachijskim. Zrobiwszy doktorat z anatomicznych różnic żuchwy wśród ras ludzkich, Mengele związał się z Otmarem von Verschuerem, profesorem Instytutu Biologii Dziedzicznej i Higieny Rasowej uniwersytetu we Frankfurcie. Von Verschuer był bliskim współpracownikiem Eugena Fischera, po którego przejściu na emeryturę, w 1942 roku, stanął na czele Instytutu Antropologii, Dziedziczności i Eugeniki imienia Cesarza Wilhelma. Kiedy tego samego roku Mengele został ranny na froncie wschodnim, von Verschuer zaproponował mu podjęcie pracy w rzeczonym instytucie, w międzyczasie przemianowanym na Instytut imienia Eugena Fischera. Rok później Mengele wyjechał z Berlina do Auschwitz, gdzie został jednym z głównych lekarzy obozowych.

W 1943 roku von Verschuer poparł wniosek swojego protegowanego do Niemieckiej Rady Naukowej i załatwił mu fundusze na badania. Z tych środków Mengele mógł stworzyć nowe, dobrze wyposażone laboratorium w Auschwitz, w którym przeprowadzał swoje straszliwe eksperymenty.

Nigdy nie dowiemy się dokładnie, jakie stosunki łączyły Mengelego z Instytutem imienia Cesarza Wilhelma i von Verschuerem, gdyż ten ostatni spalił dokumentację Instytutu w 1945 roku, kiedy Rosjanie zbliżali się do miasta. Wiemy jednak, że zgodnie z najmroczniejszą tradycją eksperymentów rasowych, Mengele wysyłał do Instytutu imienia Cesarza Wilhelma szkielety i fragmenty ciał swoich ofiar z Auschwitz. Pewnego razu zabił ośmioosobową rodzinę, żeby móc wysłać do Berlina niecodzienny okaz – ich różniące się kolorem oczy^[456]. Po raz drugi w niemieckiej historii ofiary rasowego ludobójstwa wykorzystano do badań nad tymi samymi teoriami rasowymi, którymi uzasadniono ich zabicie.



W imię rasowej i eugenicznej rewolucji państwo nazistowskie zwróciło się przeciwko swoim własnym obywatelom: Żydom, Cyganom, czarnym i niepełnosprawnym. Walka o Lebensraum poza granicami Rzeszy wymagała mobilizacji całego narodu. Oprócz podjęcia zbrojeń, nazisci rozpetali też skoordynowaną kampanię propagandową, która miała wzbudzić nostalgię milionów Niemców za utraconymi koloniami w Afryce.

W latach 30. kwestia ta była zapewne jeszcze ważniejsza i wpływała na naród bardziej mobilizująco niż sam kolonializm w czasach Cesarstwa. Historia o byłych koloniach stała się potężną narracją o wytrwałości, utracie i krzywdzie. Znaczenia tej kwestii dla ówczesnych partii prawicowych i centrowych nie sposób przecenić. Niemcy utracili swoje imperium kolonialne na mocy zniechęconego traktatu wersalskiego i żadna partia polityczna – z wyjątkiem skrajnej lewicy – nie mogła sobie pozwolić na otwarte pogodzenie się z tą klęską, gdyż w przeciwnym razie zostałaby skojarzona z „listopadowymi przestępcami”, politykami, którzy w 1918 roku rzekomo zadali armii cios w plecy, a rok później zdradzili swój naród przy stole negocjacyjnym.

Siła niemieckich roszczeń po części wynikała z argumentów, jakie Brytyjczycy i Południowoafrykańczycy zaprezentowali w Wersalu. Zdaniem sprzymierzonych wyrzucenie Niemiec z klubu mocarstw kolonialnych było konieczne z powodu okrucieństw, które popełnili w swoich posiadłościach zamorskich, przede wszystkim w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Te zbrodnie, twierdzili alianci, pokazywały „niezdolność” Niemców do rządzenia „zacoфанymi rasami”. W międzywojennych Niemczech to twierdzenie nazywano „kłamstwem winy kolonialnej” i wiele zrobiono, żeby zdyskredytować *Niebieską Księgę*, a raport majora O'Reilly'ego powszechnie określano mianem fikcji. Ci, którzy godzili się z jego autentycznością, twierdzili, że niemieckie działania w koloniach nie różniły się od postępowania innych mocarstw europejskich. Tak czy inaczej, w okresie międzywojennym „kłamstwo winy kolonialnej” wzbudzało równie negatywne uczucia, jak odebranie samych kolonii.

Jeszcze zanim naziści doszli do władzy, Niemieckie Towarzystwo Kolonialne, które przeżyło nie tylko Drugą Rzeszę i same kolonie, ale i Republikę Weimarską, prowadziło kampanię na rzecz zwrotu utraconych posiadłości zamorskich. Kierownictwo Towarzystwa składało się w większości z byłych administratorów kolonii i weteranów Schutztruppe, ludzi, którzy oprócz patriotycznego żalu z powodu klęski i utraty imperium, byli też osobiście rozgoryczeni. Koniec imperium gwałtownie przerwał ich kariery i sprawił, że ich doświadczenie straciło na znaczeniu. Niemieckie Towarzystwo Kolonialne grało na nucie resentymentów i cieszyło się ogromnym poparciem społecznym.

Dla części nazistowskiej elity oraz milionów zwolenników partii żądanie zwrotu niemieckich kolonii było szczerym, płynącym prosto z serca wezwaniem, pełnym pasji odrzuceniem „kłamstwa winy kolonialnej”. Dla innych było przede wszystkim hasłem politycznym, niezbędnym do zjednoczenia zwolenników partii w czasie wyborów na przełomie lat 20. i 30. Sukces nazizmu polegał, między innymi, na zdolności do integrowania wszystkich sił prawicy, co udawało się także poprzez niezwykle zręczne apelowanie do jak największej gamy uprzedzeń i obsesji – antysemityzmu, antymarksizmu i antykapitalizmu, nordyckiego mistycyzmu, volkistowskiego romantyzmu, eugeniki i kolonialnego imperializmu. W rezultacie powstała cokolwiek niestabilna

mieszanina tradycjonalizmu, konserwatyizmu i radykalizmu. Kolonialny imperializm był jednak w tym wszystkim jednym z ważniejszych elementów i kiedy nazisci zabiegali o głosy wyborców, chętnie odwoływali się do ich pragnienia, by odzyskać dawne kolonie.

Partia pozostała wrażliwa na reakcje opinii publicznej nawet po dojściu do władzy w 1933 roku i rozmontowaniu demokratycznych struktur Republiki Weimarskiej. Mimo totalitarnego charakteru władzy nazistowskiej partyjna maszyna, wprawiona dekadą uczestniczenia w wyborach, potrafiła pociągać za sobą rozmaite segmenty społeczeństwa, przekonując je, że to właśnie ich problemy są kluczowe dla programu partii i zajmują umysł Führera.

Tak naprawdę, odzyskanie utraconego imperium kolonialnego było dla nazistów sprawą drugorzędną, choć nigdy się jej nie wyrzekli. Mimo że w *Mein Kampf* Hitler określił kolonializm mianem polityki nieaktualnej, która odwracała energię Niemców od ich prawdziwego przeznaczenia na wschodzie Europy, w czasie kampanii wyborczych partia głośno wzywała do tego, by zwrócić Niemcom dawne kolonie kajzera. Wizja Hitlera miała być ostatecznie globalna, ale nie ukrywał, że priorytetem Niemiec powinno być wykrojenie sobie wielkiego imperium na kontynencie europejskim. Dopiero po podbiciu i skolonizowaniu Wschodu Niemcy będą mogły dysponować wystarczającymi zasobami surowców i żywności, by nie przejmować się ewentualną morską blokadą ze strony innych mocarstw. Wtedy, jako panowie Europy i bogactw całego kontynentu, mieli dokonać dalszej ekspansji i odebrać niemieckie kolonie w Afryce.

Nazisci tak bardzo wierzyli w to, że przeznaczeniem Niemców jest powrót do Afryki, iż zaczęli snuć plany na temat swojego nowego, zamorskiego imperium. Pod rządami Hitlera odrodziła się wizja Mittelafryki, wielkiej kolonii, w której odebrane Belgom Kongo miało łączyć dawne niemieckie kolonie. Instytut Kolonialny w Hamburgu zaczął szkolić nowe pokolenie niemieckich kolonizatorów, a w 1935 roku w Niemczech działało już trzydzieści jeden instytucji, oferujących kursy kolonialnej administracji, etnografii, historii, medycyny tropikalnej i rolnictwa. W 1940 roku, kiedy prawie cała Europa Zachodnia znalazła się pod okupacją Rzeszy, a Brytyjczycy wycofali się z kontynentu, niemiecka pewność siebie sięgnęła zenitu. Tego roku Biuro Polityki Kolonialnej zajęło się nie tylko planowaniem, ale również przygotowaniem do nowej epoki imperium. Powstały instrukcje regulujące zachowanie Wehrmachtu w Afryce, zaprojektowano nowe mundury dla kolonialnych urzędników, a ambitni biurokraci zaczęli uczęszczać na wieczorowe kursy języków *suahili* i *yoruba*. Przygotowano też Ustawę kolonialną regulującą cywilną administrację przyszlých niemieckich terytoriów. Wśród jej zapisów znalazły się również zakaz mieszania się ras oraz bezwzględna segregacja rasowa, wzorowane na Ustawie o ochronie krwi niemieckiej i niemieckiej czci, w której posługiwano się terminologią powstałą w afrykańskich koloniach Drugiej Rzeszy. Idąc dalej niż jakiegokolwiek prawa opracowane w czasie pokoju, czy to w Niemczech, czy w koloniach, wzorzec Ustawy kolonialnej zakładał, że „członkowie wspólnoty afrykańskiej oraz wspólnoty

mieszanej rasowo, (...) którzy w niemieckich koloniach odbędą stosunek seksualny z białą kobietą, zostaną ukarani śmiercią”.

Na zainteresowanie, jakie w 1940 roku Niemcy żywili sprawami afrykańskimi, wskazuje także nazistowski plan przesiedlenia Żydów na Madagaskar, który – jak sądzili – zdobędą na pokonanych Francuzach i przekształcą w „rezerwat”. Z „terytorialnego rozwiązania” problemu Żydów zrezygnowano dopiero pod koniec 1940 roku.

Planowaniem przyszłego niemieckiego imperium zajmowały się w dużej części prywatne przedsiębiorstwa. W 1940 roku IG Farben, producent cyklonu B, gazu wykorzystywanego w Auschwitz-Birkenau, ustanowił „komisję afrykańską”, która miała pomóc firmie w zdobyciu koncesji na dostawy chemikaliów do przyszłego nazistowskiego imperium w Afryce.

W przygotowywanie planów zaangażowane były także Dresdner Bank i Deutsche Bank. Dopiero w styczniu 1943 roku, kiedy uwięziona pod Stalingradem niemiecka armia została zniszczona, afrykańskie przygotowania ustały i fantazja Mittelafryki umarła. W tym samym roku, na rozkaz Martina Bormanna, Niemieckie Towarzystwo Kolonialne zostało rozwiązane, a jej majątek przeszedł na własność NSDAP.



Do roku 1943 planom zbudowania imperium w Afryce towarzyszyła głośna kampania na rzecz zwrotu Niemcom utraconych w Wersalu kolonii. Na jej czele partia postawiła Franza Rittera von Eppa. W maju 1936 roku objął on kontrolę nad będącą częścią partii Ligą Kolonialną Rzeszy (Reichskolonialbund). Dwa lata później liczyła ona już sześć tysięcy oddziałów na całym świecie. Administratorem Ligi był Wilhelm Rümman, były żołnierz Schutztruppe, który w czasie ludobójstwa Hererów służył w czwartej kompanii polowej pod dowództwem Eppa^[457]. Von Epp i Rümman razem walczyli o to, by żądanie zwrotu kolonii utrzymywało się wysoko na liście priorytetów partii. Von Epp wiele podróżował, zarówno po Rzeszy, jak i poza jej granicami, szukając wsparcia, utrzymując intensywne kontakty z różnymi organizacjami weteranów Schutztruppe oraz z ważnymi osadnikami, którzy wciąż zamieszkiwali dawne kolonie.

Podczas gdy von Epp koordynował kolonialną kampanię, kierownictwo partii także postanowiło związać się w jakiś sposób z utraconym imperium. Szczególnie przydatne były wspomnienia o Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Częścią tego propagandowego wysiłku było stworzenie historycznego mitu, związanego z postacią ojca Hermanna Göringa, Heinricha, pierwszego komisarza Afryki Południowo-Zachodniej. Oficjalna partyjna biografia Hermanna Göringa, wydana w 1938 roku, wyolbrzymiała rolę jego ojca w rozwoju niemieckiej kolonii. Twierdzono w niej na przykład, że to jego bohaterstwo w obliczu Hererów zainspirowało młodego Hermanna i ukształtowało jego charakter. Szczytem tych historycznych konfabulacji było otwarcie

w Hanowerze, w sierpniu 1940 roku, muzeum ku czci doktora Heinricha Göringa. Choć „Völkischer Beobachter” opisywał Dom Doktora H.E. Göringa jako „centrum politycznej pracy kolonialnej [partii]”, kuratorom ekspozycji sprawiał wielki problem fakt, że kolonialna kariera Göringa była tak naprawdę zawstydzająco nieskuteczna i krótka. Tę niedogodność udało się obejść, pomijając szczegóły pobytu Göringa w Afryce Południowo-Zachodniej i tworząc w efekcie mauzoleum utraconego imperium. W samym środku muzeum stało wielkie popiersie doktora Göringa, wykonane z brązu i otoczone wieńcami. Kolejne sale mieściły eksponaty, podzielone na tematyczne ekspozycje. Jedna dotyczyła pojęcia Lebensraumu, w innej pokazywano surowce wydobywane w koloniach. Aby stworzyć prawdziwą, „kolonialną” atmosferę, w korytarzach ustawiono wypchane małpy, a na ścianach porozwieszano rogi antylop. Przy wejściu do Domu Doktora H.E. Göringa umieszczono dwie flagi – niemiecki sztandar krwi z jednej strony i flaga wojenna Cesarstwa Niemieckiego z drugiej. W głównym holu wisiał wielki portret Hitlera, otoczony mniejszymi portretami bohaterów imperium, między innymi Adolfa Lüderitza i Paula Emila von Lettow-Vorbecka^[458].

Choć wiele prominentnych postaci epoki kolonialnej odegrało swoją rolę w powstaniu NSDAP albo wstąpiło w jej szeregi, kiedy objęła władzę, to jednak nie wszyscy popierali hitlerowską Trzecią Rzeszę. Paul von Lettow-Vorbeck był znanym dowódcą Freikorpsu, ale zarazem konserwatywnym monarchistą, który nigdy nie wstąpił do partii nazistowskiej. Wilhelm Solf, były gubernator Samoa Niemieckiego, który w czasie I wojny światowej przygotowywał kolonialne plany Niemiec, lepiej jest znany jako mąż Hanny Solf, założycielki antynazistowskiej grupy intelektualistów. Nazizm odrzucił nawet Paul Rohrbach, który zgadzał się z logiką kolonializmu i pisał, że czarni Afrykanie będą mieli prawo żyć, tylko jeśli będą pożyteczni dla „wyższej”, białej rasy. Głosy takie nie przebijają się jednak przez nazistowską propagandę końca lat 30.

W coraz głośniejszej kampanii na rzecz zwrotu kolonii wykorzystywano także filmy – fabularne i dokumentalne. W 1939 roku Karl Mohri wyreżyserował pełnometrażowy dokument pod tytułem *Deutsches Land in Afrika* (Niemiecka ziemia w Afryce). Film powstał na zamówienie Niemieckiej Izby Filmu i ministra propagandy Josepha Goebbelsa. Łączył historię niemieckiego kolonializmu z etnograficznymi scenkami z życia ludów Afryki Wschodniej i Afryki Południowo-Zachodniej. Większość filmu dotyczyła właśnie tej ostatniej, znajdującej się pod kontrolą Związku Południowej Afryki. Pokazywał, jak kwitnąca i zamożna wspólnota niemieckich osadników wykroiliła dla siebie miejsce na kolonialnym pograniczu, a tamtejsi Niemcy z daleka przyjęli nazizm. Film wyświetlano w całym Niemczech, a oprócz niego powstała także broszura informacyjna, mająca pomagać nauczycielom w przekazywaniu uczniom wiedzy na temat utraconych kolonii Niemiec. *Deutsches Land in Afrika* miał przemawiać do młodzieży, pokazując im rówieśników z Afryki Wschodniej (wtedy już brytyjskiej Tanganiki) i Afryki Południowo-Zachodniej jako awangardę nazistowskiej

rewolucji w Afryce: skauci (*Pfadfinder*) z Lüderitz maszerowali przez pustynię, dzierżąc sztandary, które łopotały na wietrze, i wpatrywali się w fale południowego Atlantyku. Na tle zachodzącego słońca widać było ich twarze.

Pod tym względem *Deutsches Land in Afrika* pokazywał prawdę. W połowie lat 30. duża część niemieckiej społeczności Afryki Południowo-Zachodniej gorliwie wspierała narodowy socjalizm, szczególnie młodzi ludzie. Militaryzację życia młodzieży, tak charakterystyczną dla nazistowskich Niemiec, wprowadzono także w Afryce Południowo-Zachodniej. Tuż przed wybuchem wojny w Europie południowoafrykański dziennikarz Benjamin Bennett natknął się przypadkiem na ceremonię Hitlerjugend, odbywającą się na pustyni w pobliżu Swakopmundu.

Późno w nocy, kucnąwszy za krzewem tamaryszku, obserwowałem *Sonne und Wald Tag*, nazistowską ceremonię „próby ognia”. Trzeszczące płomienie wznosiły się między długimi szeregami chłopców i dziewcząt. Słychać było głosy, najpierw cicho, a potem głośnie: *Ein Reich, Ein Volk, Ein Führer*. Mali chłopcy, dziesięcio- albo dwunastoletni, obejmowali się, trzymali starszych za ręce i skakali przez płomienie. Wokół nich wirowały iskry. Ich nogi i ubrania były osmalone. Jęki bólu ustąpiły okrzykiem triumfu – przetrwali „próbę ognia”^[459].

Ośrodkiem nazizmu w Afryce Południowo-Zachodniej było – bardzo à propos – Lüderitz. Miasto miało nie tylko własne biuro NSDAP i oddział Hitlerjugend, ale też paramilitarnego Stahlhelmu, fanatycznej organizacji byłych żołnierzy armii i Freikorpsów, którzy w Niemczech zostali wcieleni w szeregi brunatnych koszul. Wilfried Lubowski, były członek Hitlerjugend z Lüderitz, wspominał w wywiadzie, że kiedy w Niemczech do władzy doszli naziści, na ulicach miasta głośno szydono z żydowskich mieszkańców, a ich domy i sklepy obrzucano zepsutymi jajami i kamieniami. Ostatecznie część z nich wyemigrowała do Afryki Południowej.

W połowie lat 30. w Afryce Południowo-Zachodniej otwarcie świętowano urodziny Hitlera, a tradycja ta przetrwała nawet Trzecią Rzeszę i samego Führera. Kiedy w 1936 roku browar w Windhuku nie wywiesił nazistowskiej flagi na cześć Hitlera, niemieccy osadnicy prawie go zbojkotowali.



W latach 30. wizja Afryki Południowo-Zachodniej ogarniętej nazistowską rewolucją była jednak mniej nośnym narzędziem propagandowym niż nostalgiczny obraz Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej sprzed Wielkiej Wojny. To właśnie ona, kolonia, która przyciągnęła największą liczbę niemieckich osadników, była miejscem akcji ogromnej liczby powieści i wspomnień, podsycających

romantyczne fantazje pogranicza.

Wspomnienia Margarethe von Eckenbrecher *Was Afrika Mir Gab und Nahm* (Co mi dała i zabrała Afryka), choć opublikowane w roku 1908, w okresie międzywojennym były wielokrotnie wznawiane i urzekały czytelników, obywateli Trzeciej Rzeszy, swoją niezwykle romantyczną wersją życia osadniczki w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej.

Inną ważną książką na ten temat było *Verschüttete Volksseele: Nach Berichten aus Südwestafrika* (Pogrzebany duch narodu: doniesienia z Afryki Południowo-Zachodniej). Autorką tego dzieła była doktor Mathilde Ludendorff, zainteresowana mistycyzmem filozofka, druga żona generała Ericha Ludendorffa – w czasie I wojny światowej jednego z najważniejszych promotorów niemieckiego osadnictwa w Polsce, krajach bałtyckich i na Krymie^[460]. Książka ta była oparta na listach niemieckich osadników w Afryce Południowo-Zachodniej, które Mathilde zbierała przez kilka lat. Pokazywała tamtejszą społeczność niemiecką, istniejącą tuż przed wybuchem I wojny światowej, jako miejsce, w którym osadnicy odkryli swoją prawdziwą, germańską tożsamość. *Verschüttete Volksseele* nie tylko wyrażała tęsknotę za utraconą kolonią, ale też – zgodnie z tradycją zapoczątkowaną przez Friedricha von Lindequista – kontynuowała tradycję pisania alternatywnej historii wojen, które doprowadziły do eksterminacji Hererów i Nama. Mathilde Ludendorff twierdziła, że były one rasowo uzasadnione, a także bardzo zawyżała liczbę niemieckich osadników, jaka miała zginąć w początkowym okresie konfliktu.

Podobne przeinaczenia pojawiały się w innej, szalenie popularnej książce z okresu międzywojennego. *Peter Moor's Fahrt nach Südwest* (Podróż Petera Moora na Południowy Zachód) Gustava Frenssena była niebywale uproszczoną opowieścią o ludobójstwie Hererów i Nama, opartą przede wszystkim na rozmowach z weteranami Schutztruppe. Zachwycała czytelników (głównie młodzież) narracją o bohaterstwie w obliczu niebezpieczeństw. Frenssen wielokrotnie usprawiedliwia w niej zniszczenie Nama i Hererów, a jego bohaterowie powtarzają wszystkie rasistowskie stereotypy, jakie w czasie wojny z tymi ludami można było wyczytać w niemieckiej prasie. Główny bohater, Peter Moor, dowiadyuje się, że Hererowie są prymitywni i nie wolno im ufać. Stwierdza też, że są ludem barbarzyńskim, sprawiedliwie skazanym na nieuniknione wyginiecie. Do 1945 roku powieść Frenssena była najlepiej sprzedającą się w Rzeszy książką dla dzieci.

Najważniejszą książką kolonialną okresu międzywojennego była jednak *Volk Ohne Raum* (Lud bez przestrzeni), praca Hansa Grimma, największego opowiadacza niemieckich baśni kolonialnych. Był profesorem prawa Grimm przez jakiś czas mieszkał w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej i spędził wiele lat w Afryce Południowej. Jego powieść rozgrywa się częściowo w tym pierwszym regionie w czasie ludobójstwa Hererów i Nama. Książka ta nie jest jednak tylko dziełem nostalgicznym – jest rozprawą polityczną ubraną w szaty powieści. Opowiada mocno niewiarygodną

historię Corneliusa Freibotta, naiwnej postaci w typie Kandyda, która podróżuje po całym świecie i wraz z kolejnymi przeżywanymi problemami wyrabia sobie takie same poglądy polityczne, jakie żywił autor książki. W międzywojennych Niemczech *Volk Ohne Raum* było dziełem tak popularnym, tak ważnym dla podtrzymania pamięci o koloniach i rozpowszechniania teorii Lebensraumu, że warto szczególnie opisać jego idiotyczną fabułę.

Nieszczęścia Freibotta zaczynają się, kiedy razem z ojcem musi porzucić swoje tradycyjne życie rolnika i szukać pracy w przemyśle. Nie mogąc prowadzić prawdziwego, volkistowskiego życia, pozbawiony ziemi, Freibott ucieka i zaciąga się do marynarki. Trafia do Afryki, na kontynent, który odmieni jego życie. W brytyjskiej Kolonii Przylądkowej dowiaduje się o ogromnej kolonialnej potędze Wielkiej Brytanii i zaczyna żywić klasyczną, pangermańską nienawiść do mocarstwa, które z własnych, egoistycznych powodów nie pozwala się rozwijać Niemcom. W Afryce Freibott dochodzi też do wniosku, że to ekspansja kolonialna zapewniła Wielkiej Brytanii ogromną „przestrzeń życiową”. To stworzenie imperium pozwoliło brytyjskim emigrantom uniknąć dramatu industrializacji i nowoczesności, które zniszczyły rodzinę Freibotta w Niemczech.

Następnie bohater zostaje wciągnięty w wojnę burską, walczy po stronie Burów, ale pojmany przez Brytyjczyków trafia do obozu jenieckiego. Tam pojmuje wreszcie to, co Liga Pangermańska i towarzystwa kolonialne próbowały wyjaśnić od dawna: niemieccy emigranci mogą być wolni tylko we własnych koloniach, a państwo niemieckie pozbędzie się swoich problemów dopiero wtedy, gdy zdobędzie wystarczającą przestrzeń życiową, żeby pomieścić swoich „ludzi bez przestrzeni”. Doznawszy tego olśnienia, Freibott udaje się do jedynego miejsca na ziemi, w którym niemieccy osadnicy odnaleźli Lebensraum – Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej. Jest rok 1907.

Hans Grimm mieszkał w Afryce Południowej w latach 1897–1911 i przez jakiś czas także w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, toteż doskonale wiedział o zbrodniach, jakie jego rodacy popełnili na Hererach i Nama. Równie dobrze jednak znał alternatywną historię, wykorzystywaną do ukrycia ludobójstwa – to właśnie na tym micie opierają się przygody Freibotta w kolonii. W książce nie ma mowy o obozach koncentracyjnych ani o rozkazie eksterminacji. Z kolei brytyjskie zbrodnie z okresu wojen burskich są opisane w szczegółach.

Po dalszych przygodach w Afryce, na początku lat 20. Freibott wraca do Niemiec, żeby nauczać swoich rodaków na temat znaczenia Lebensraumu. Wtedy też dowiaduje się, że Żydzi, choć znają doskonale język niemiecki, nie należą do „plemion tworzących Niemców i Rzeszę Niemiecką”. W ostatnim zwrocie akcji, w chwili, w której nareszcie zrozumiał, jaka jest misja Niemiec na świecie, Freibott zostaje zamordowany przez niegodziwego socjalistę.

Volk Ohne Raum Grimma jest uważana za dzieło wyjątkowo marne – rozwleczone (tysiąc pięćset stron), źle napisane (nawet w porównaniu z innymi książkami Grimma) i pełne płaskich postaci, których jedynym zadaniem jest wygłaszanie rasistowskich i politycznych poglądów autora. Choć

prymitywne i prostackie, osiągnęło oszałamiający sukces. Od 1926 roku, kiedy ukazało się po raz pierwszy, do 1935 roku sprzedano 315 tysięcy egzemplarzy, a do 1942 roku ponad pół miliona^[461].

Volk Ohne Raum, największy bestseller Grimma, była tak naprawdę Ratzlowską teorią wyłożoną za pomocą doświadczeń niemieckiego *everymana*. W okresie między Drugą a Trzecią Rzeszą książka ta przyczyniła się do podtrzymania koncepcji Lebensraumu bardziej niż jakakolwiek kampania propagandowa. Naziści niestrudzenie wychwalali książkę i jej autora, gdyż *Volk Ohne Raum* przypominało Niemcom, że ta sama koncepcja Lebensraumu – zgodnie z którą podbito i „oczyszczono” Afrykę Południowo-Zachodnią – stoi u podstaw nazistowskich wezwań do ekspansji terytorialnej i narodowego odrodzenia. Grimm mówił swoim czytelnikom, że Niemcy potrzebują teraz Lebensraumu tak samo, jak potrzebowały go przed Wielką Wojną. Ten sam cel miały nazistowskie plakaty propagandowe z lat 30., na których widoczna była mapa Afryki z zaznaczonymi utraconymi koloniami. Podpis głosił: „Tu także jest nasza przestrzeń życiowa”. Owo „także” jest kluczowe. Sugerowało bowiem, że choć afrykańskie imperium zostanie kiedyś odbite, to Niemcy mają – równie zasadne – pretensje do przestrzeni życiowej w innych rejonach świata.

Za pomocą teorii Friedricha Ratzla program nazistowski można było połączyć z rzekomymi krzywdami przeszłości. W hitlerowskich Niemczech sformułowania Lebensraum czy *Volk Ohne Raum* bardzo często słycać było na ulicach i wiecach, niczym refren pojawiały się na plakatach, w powieściach. Argumenty na rzecz powiększenia niemieckiego *Raum* przemycano w filmach, przedstawiano na wykładach i w niezliczonych rozprawach politycznych. Pod koniec lat 30. przyjmowano za dogmat to, że Niemcy są przeludnione, a Lebensraum z wątpliwej, XIX-wiecznej teorii w duchu darwinizmu społecznego przekształcił się w coś na kształt narodowej religii. Miliony uwierzyły w to, że jako silna, żywotna rasa Niemcy mają prawo przekroczyć narzucone im w Wersalu granice – kosztem innych narodów i ras.

Ich zdaniem istniały dwie części świata, w których naród niemiecki miał pełne prawo zdobyć swoją przestrzeń życiową – w dawnych koloniach w Afryce i na wschodzie Europy. Oba te rejony zostały mu rzekomo ukradzione. W międzywojennych Niemczech, kraju pełnym organizacji weteranów, powszechna była gorycz z powodu utraty tych ziem. Podczas gdy weterani zachodniego frontu pocieszali się mitem „ciosu w plecy”, weterani ze Wschodu oraz byli żołnierze kolonialnego Schutztruppe pielęgnowali inną krzywdę: utratę Lebensraumu, który zdobyli na dwóch kontynentach i do którego – ich zdaniem – wciąż mieli prawo.

^[442] Michael Burleigh, Wolfgang Wippermann, *The Racial State: Germany 1933–1945*, Cambridge 1991.

^[443] Odezwa została wygłoszona przez Hitlera i rozpowszechniona przez radio 1 lutego (przyp.

thum).

[444] Oficjalnie Hitler przyjął tytuł Führera (Wodza) dopiero w 1934 roku, po śmierci prezydenta Paula von Hindenburga (przyp. tłum.).

[445] Jeremy Noakes, Geoffrey Pridham (red.), *Nazism: A History in Documents and Eyewitness Accounts, 1919–1945*, 1983, t. 1, Exeter, s. 133.

[446] Annegret Ehmann, *From Colonial Racism to Nazi Population Policy: The Role of the So-Called Mischlinge*, w: Berenbaum Michael, Peck Abraham J. (red.), *The Holocaust and History: The Known, The Unknown, The Disputed and The Reexamined*, Bloomington, IN 2002, s. 123.

[447] Henry Friedlander, *The Origins of Nazi Genocide: From Euthanasia to the Final Solution*, Chapel Hill, NC, London 1995, s. 25.

[448] Burleigh, Wippermann, op. cit., s. 48.

[449] Oskar Hintrager, *Das Mischehen-Verbot von 1905*, w: *Deutsch-Südwestafrika*, „Africa-Nachrichten”, luty 1941, 22.2, s. 18–19.

[450] W 1937 roku został przemianowany na Główny Urząd Rasy i Osadnictwa (Rasse- und Siedlungshauptamt-SS, RuSHA) (przyp. tłum.).

[451] Dzisiejszego Uniwersytetu Humboldta (przyp. tłum.).

[452] Clarence Lusane, *Hitler's Black Victims*, New York, London 2002, s. 138.

[453] Ehmann, op. cit., s. 121.

[454] Ingo Haar, Michael Fahlbusch, *German Scholars and Ethnic Cleansing, 1920–1945*, New York, Oxford 2005, s. 15.

[455] Ehmann, op. cit., s. 121.

[456] Benno Müller-Hill, *Murderous Science*, Oxford 1987, s. 71; Edwin Black, *Wojna przeciw słabym: eugenika i amerykańska kampania na rzecz stworzenia rasy panów*, Warszawa 2004, s. 536–537.

[457] L.H. Gann, Peter Duignan, *The Rulers of German Africa, 1884–1914*, Stanford, CA 1977, s. 254.

[458] NAN, WH/SMA, *Erster Jahresbericht der Kolonialen Lehrschau und Schulungsstaette Dr H.E. Göring-Kolonialhaus Hannover 1939/40*.

[459] Benjamin Bennett, *Hitler over Africa*, London 1939, s. 1.

[460] Podczas I wojny światowej Erich Ludendorff był czołowym dowódcą wojsk niemieckich, a ponieważ nie było wówczas możliwości prowadzenia na wymienionych terenach osadnictwa

niemieckiego, więc nie mógł być jego promotorem (przy. tłum.).

[461] Sara L. Friedrichsmeyer, Sara Lennox, Susanne Zantop (red.), *The Imperialist Imagination: German Colonialism and Its Legacy*, Ann Arbor, MI 1998.

ROZDZIAŁ 18

Niemiecka Kalifornia

Popołudniem 16 lipca 1941 roku w prywatnym pociągu Hitlera „Amerika”, stojącym na boczniczy w pobliżu wioski Angerburg w Prusach Wschodnich^[462], miało miejsce tajne zebranie. Dwie lokomotywy ciągnące piętnaście opancerzonych wagonów stanowiły naprawdę imponujący widok. Za lokomotywami znajdował się opancerzony wagon wyposażony w działa przeciwlotnicze. W kolejnych mieściły się biura i przedziały sypialne adiutantów, służących i ochroniarzy Hitlera. „Amerika” miała też w pełni wyposażony wagon restauracyjny oraz wagony gościnne. Osobisty wagon Führera składał się z części sypialnej oraz dużego salonu ze stołem i krzesłami. Serce pociągu biło w „wagonie dowódczym”, wyposażonym w pokój map, centrum komunikacji i pokój konferencyjny. Była to miniaturowa Kancelaria Rzeszy na kołach i tego lipcowego dnia cały pociąg buzował od kolejnych komunikatów, wysyłanych i otrzymywanych za pomocą radiotelegrafów i dalekopisów.

800 kilometrów dalej, na wielkim rosyjskim stepie, trzy miliony niemieckich żołnierzy wyczekiwały końca dwudziestego piątego dnia Operacji „Barbarossa” – inwazji na Związek Radziecki. Przez trzy tygodnie blitzkriegu brygady zmechanizowane niszczyły wszystko na swojej drodze. Wielkie dywizje czołgów przemierzały złote łąny zbóż, a ich kształty rysowały się na tle ciemnoniebieskiego, letniego nieba, regularnie zasnuwanego dymem płonących domów i gospodarstw. Za nimi maszerowały setki tysięcy niemieckich żołnierzy. W nadchodzących

miesiącach i latach miała zginąć większość Niemców patrzących dookoła z wysokości swoich ciężarówek i czołgów, jak i liczni mieszkańcy Związku Radzieckiego, którzy mrużąc oczy przed słońcem, chcieli dostrzec najeźdźców. Ani jedni, ani drudzy nie mieli pojęcia, jakie katastrofy na nich czekają.

Jeśli ktoś z obecnych wówczas w pociągu Hitlera szukałby oznak nadchodzącej klęski, to właśnie zaczynały się pojawiać. 3 lipca szef sztabu generalnego wojsk lądowych, generał Franz Halder, zapisał w swoim dzienniku, że Rosjanie są prawie pokonani. Po kilku dniach wpisy pokazują nie tylko dramatyczną zmianę oceny sytuacji, ale też wstrząs Haldera z powodu katastrofального niedoszacowania Armii Czerwonej, na podstawie którego zaplanowano całą inwazję. Doświadczenie pokazało, że zupełnie błędnie były wyrażane z taką pewnością założenia na temat zachowania radzieckich żołnierzy i umiejętności radzieckich oficerów. Podobnie nieprawdziwe okazały się raporty o morale i wyposażeniu wroga, a do walki ruszały całe dywizje, o których istnieniu niemiecki wywiad nie miał pojęcia.

16 lipca kierownictwo partii i armii odrzucało błędy wywiadu i inne złowróżbne znaki jako defetyzm. Codzienne depeche o sukcesach na froncie, niebywała skala przedsięwzięcia i imponujące tempo, z jakim niemieckie wojska postępowaly naprzód, sprawiały, że nawet generałowie nie dostrzegali tego, że postawione przed nimi zadanie jest niewykonalne.

Sukcesy nie tylko osłabiły generałów, ale i rozdeły wizję Hitlera. Jego marzenie o zniszczeniu ZSRR jednym gigantycznym ciosem stawało się rzeczywistością. Tak jak przewidział, kiedy niemiecka armia „kopnęła w drzwi”, Związek Radziecki – przeżarty od środka „żydowskim bolszewizmem” – zaczynał się rozpadać. Zwycięstwo wydawało się na wyciągnięcie ręki, a Hitler czuł się na tyle pewnie, by snuć plany przeciwko swoim pozostałym wrogom. 14 lipca podpisał dekret zmniejszający produkcję zbrojeniową i ograniczający liczebnie armię lądową. Fabryki Rzeszy miały skupić się na produkcji dla lotnictwa i marynarki wojennej, koniecznych w walce z Wielką Brytanią i Ameryką.

Hitler był wówczas przekonany o własnym geniuszu bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Miał pięćdziesiąt dwa lata i osiągnął szczyt swoich marzeń. Znajdował się u władzy prawie dekadę, wymazał hańbę traktatu wersalskiego, odzyskał większość utraconych terytoriów Niemiec i odbudował gospodarkę kraju (a przynajmniej przypisał sobie tę zasługę). Jako weteran, który spędził cztery lata w okopach zachodniego frontu, musiał odczuwać niezwykłą satysfakcję, przybywając do Paryża na czele zwycięskiej armii i przeganiając Brytyjczyków z kontynentu. Te zwycięstwa, choć bardzo istotne, były jednak sukcesami geopolitycznymi. Pokonanie Związku Radzieckiego to już coś z innego porządku. Walka z „żydowskim bolszewizmem” i „odzyskanie” Wschodu były krucjatą w duchu volkistowskim i kolonialnym, z którego narodziła się nazistowska ideologia.

Za oknami „Ameriki” powoli wyłaniał się nowy świat – świat bez bolszewizmu, bez Stalina, a ostatecznie także bez Żydów w Europie Zachodniej. Nadszedł czas, by nadać kształt „nowemu porządkowi”, który powstanie na gruzach Związku Radzieckiego. Miały się ziszczyć największe marzenia Hitlera – zwycięstwo militarne miało uwolnić jego rasistowskie obsesje i wypaczony darwinizm społeczny, na których zasadzały się jego przekonania. Wolny od pragmatycznych zagadnień, które ograniczały go jeszcze kilka tygodni wcześniej, Hitler mógł z niezwykłą jasnością zacząć planować czystki etniczne, przesiedlenia i pracę przymusową w „przyszłym niemieckim imperium”.

O trzeciej po południu, 16 lipca, Hitler zasiadł za stołem konferencyjnym w wagonie dowódczym „Ameriki”. Wokół niego zgromadzili się ludzie, którzy mieli zarządzać nowym imperium w Rosji. Był tam Göring, choć nie jako dowódca Luftwaffe, ale nadzorca gospodarczego Planu Czteroletniego. Alfred Rosenberg, „filozof narodowego socjalizmu”, przybył na spotkanie z nadzieją, że Hitler poprze jego wizję utworzenia państw narodowych, które związane z Niemcami, u ich boku walczyłyby z Moskwą. Hitler nie był jednak zainteresowany takimi wizjami Wschodu. Innym prominentem narodowego socjalizmu, obecnym przy stole konferencyjnym, był Hans Heinrich Lammers, doradca prawny Hitlera, szef Kancelarii Rzeszy i honorowy generał SS. Lammers, razem z osobistym sekretarzem Führera, Martinem Bormannem pieli się w górę partyjnej hierarchii. Armię reprezentował feldmarszałek Wilhelm Keitel, szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Wcześniej groził rezygnacją, chcąc odwieść Hitlera od atakowania ZSRR, ale był to jego jedyny akt oporu. Przekonany o geniuszu Führera, Keitel nie zamierzał stawać na przeszkodzie wielkiej kolonialnej wizji przedstawionej na pokładzie „Ameriki”. Jego posłuszeństwo zaprowadziło go ostatecznie na szubienicę w Norymberdze.

Przebieg spotkania z 16 lipca znamy dzięki notatkom Bormanna. Z nich wiadomo, że Hitler niewzruszenie obstawał przy tym, że zadaniem Niemiec w Rosji jest nie okupacja, ale kolonizacja. W zaciszu swojej mobilnej kwatery i w obecności partyjnej elity Hitler mówił konkretnie i bez retorycznych sztuczek. Zaczął od ostrzeżenia: „Konieczne jest, byśmy nie ogłaszali naszych zamiarów całemu światu. Niemcy powinny podkreślać, że będziemy okupować, administrować i zabezpieczać pewne rejony (...), jak gdybyśmy chcieli jedynie sprawować mandat”. Pod tym przykryciem miała zacząć się prawdziwa kolonizacja. „Możemy – zapewniał Hitler – podjąć wszystkie niezbędne środki – egzekucje, przesiedlenia etc. – i tak zrobimy (...). Musi być dla nas jasne – dodał – że nigdy nie opuścimy tych terenów”^[463].

Spotkanie trwało pięć godzin. W jego trakcie wiele państw Europy Wschodniej podzielono i przeorganizowano jako kolonialne rejony administracyjne. Dla wygody niemieckich rządów wytyczono nowe granice. Państwa bałtyckie miały stać się Komisarjatem Rzeszy Wschód (Reichskommissariat Ostland), a inne kraje miały być podzielone albo połączone. Ludność Krymu –

określona przez Hitlera mianem „obcokrajowców” – zostałyby wysiedlona w całości, żeby zrobić miejsce dla etnicznie niemieckich bauerów. Ukraina miała stać się kolonią rolniczą, produkującą zboże niezbędne do wykarmienia Niemców.

Pod koniec spotkania nastąpiły nominacje na „wicekrólów” nowych kolonii. Wielu z nich było wcześniej mało znaczącymi postaciami reżimu, które teraz wkroczyły na drogę niesławy. O niektórych do dziś pamięta się w pewnych częściach Europy Wschodniej, jak o Heinrichu Lohsem, głównym komisarzu Rzeszy na Wschodzie. Gauleiter Prus Wschodnich, Erich Koch, którego brutalne traktowanie Polaków zyskało aprobatę Hitlera, otrzymał zadanie przekształcenia Ukrainy w XX-wieczne państwo niewolnicze. Innych mianowano przedwcześnie, jak Siegfrieda Kaschego (Himmler pogardliwie określał go mianem „biurokraty”), który nigdy nie objął stanowiska gauleitera Moskwy, choć nierealistyczne plany na ten temat snuł jeszcze pod koniec 1944 roku^[464].

O ósmym wieczorem spotkanie dobiegło końca. Kiedy jego uczestnicy wstali od stołu i udali się na kolację, było jeszcze jasno. W pociągu o nazwie „Amerika”, na terytorium dzisiejszej Polski, dyktator Niemiec ogłosił powstanie imperium w Rosji. Nie było to bardziej niedorzeczne niż narodziny innych imperiów.



Nie zwykliśmy uważać kolonializmu za zjawisko występujące także na kontynencie europejskim, ale wojna Hitlera o Lebensraum była największą wojną kolonialną w historii. Dała początek ludobójstwu, niewolnictwu i barbarzyństwu, które przez pięć lat panowały w Europie. Powstały oddziały, które niczym Force Publique w Leopoldowym Kongu przeczesywały lasy w poszukiwaniu „tubylców”. W ekspedycjach karnych tysiące wiosek starto z powierzchni ziemi. 11 milionów cywilów – w tym 6 milionów Żydów – systematycznie wymordowywano, z czego wielu w prawdziwych fabrykach śmierci.

Z kolei walka z zachodnimi mocarstwami toczona była zazwyczaj zgodnie z zasadami sięgającymi połowy XIX wieku. Choć wobec żołnierzy i cywilów w Europie Zachodniej popełniono wiele okrucieństw, to jednak błędą one w porównaniu z rutynowym barbarzyństwem, z jakim ten sam reżim w tym samym czasie postępował na Wschodzie. Wojna z Żydami, Polakami i narodami Związku Radzieckiego była barbarzyńska nie tylko dlatego, że w jej trakcie nie przestrzegano europejskich zwyczajów wojennych. Po prostu prowadzono ją zgodnie z innymi zwyczajami, wypracowanymi w XIX i XX wieku w europejskich koloniach i na pograniczach obu Ameryk. Choć historia Europy pełna jest wojen i masakr, nazistowska walka o Lebensraum wzorowana była w dużej części na wojnach kolonialnych.

W latach 70. i 80. XIX wieku, pod wpływem darwinizmu społecznego, kolonializm w Afryce i Azji

uległ dużym przeobrażeniom. Jego zwolennicy nauczyli się odrzucać apele misjonarzy i „sentymentalistów”, wierzących, że ciemne rasy mogą zostać wyedukowane i podniesione na wyższy poziom kulturalny. Pod koniec XIX wieku imperialiści zaczęli postrzegać proces kolonizacji jako fizyczną manifestację wyższości rasowej. Niektórzy nawoływali wręcz do tego, by wytępić wszystkie rasy z wyjątkiem wyższych, północnoeuropejskich.

Pół wieku później niemiecki impuls kolonialny uległ podobnemu przeobrażeniu. Wraz z przejściem od Drugiej do Trzeciej Rzeszy wkroczył w fazę darwinizmu społecznego i połączył się z jadowitym niemieckim antysemityzmem. W lecie 1941 roku nazisci, i miliony ich zwolenników, postrzegali Żydów, Cyganów i Słowian mniej więcej tak, jak czterdzieści lat wcześniej Schutztruppe i osadnicy w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej postrzegali Hererów i Nama.

W nazistowskim widzeniu świata ówczesna wschodnia Europa nie różniła się od tej, z której w roku 1918 musiały wycofać się armie Ludendorffa. Pozbawieni niemieckiej kurateli Słowianie mieli rzekomo popaść w apatię, nie będąc nawet w stanie w pełni narzucić swojej prymitywnej kultury tamtym ziemiom. Żydzi – których Niemcy uważali za niebezpieczną, pasożytniczą rasę – mieli w międzywojniu zarazić słowiański Związek Radziecki żydowską chorobą bolszewizmu. Niemcy z kolei byli narodem przeobrażonym w „państwo rasowe”, w którym małżeństwo, rozmnażanie się, obywatelstwo, wszystko było podporządkowane prawom biologiczno-rasowym. Kiedy Niemcy zaczęli stosować te same zasady do ludności wschodniej Europy, jasna stała się cała głupota ich niedydysiejszej polityki. Paternalistyczne przekonanie, że poprzez szerzenie swojego języka, bogactwa i kultury Niemcy będą w stanie podźwignąć Żydów i Słowian, zostało uznane przez nazistów za mrzonkę, opartą na nienaukowych podstawach. Po dziewięciu miesiącach od inwazji na ZSRR Joseph Goebbels zapisał w swoim dzienniku, że w okupowanych przez Trzecią Rzeszę byłych republikach bałtyckich dają o sobie znać „nacionalistyczne prądy”, podsyćane kiedyś przez wojska kajzera. Równocześnie kąił z tych Słowian, którzy błędnie „wyobrażają sobie, że niemiecki Wehrmacht będzie przelewał krew po to, by utworzyć nowe rządy w tych karłowatych państewkach. (...) Trzeba by wzorować się na cesarskich rządach kajzera, żeby prowadzić tak krótkowzroczną politykę. Narodowy socjalizm jest w tych kwestiach znacznie bardziej bezwzględny i realistyczny. Robi tylko to, co jest użyteczne dla jego ludzi”^[465].

Najbardziej zaskakujące jest nie to, że Niemcy zachowywali się wobec innych Europejczyków w sposób dotychczas zastrzeżony dla ludów pogranicza i kolonii, ale to, jak przemilczane i jak słabo zostały zbadane związki między nazistowskim imperium i kolonialną przemocą epoki imperializmu^[466]. Jest to tym dziwniejsze, że dla ludzi żyjących i piszących w czasach II wojny światowej były one zupełnie jasne.

W 1942 roku Karl Korsch, niemiecki emigrant i marksista, jako jeden z pierwszych intelektualistów zauważył, że „nazisci po prostu rozszerzyli na «cywilizowane» narody Europy te

same metody, które dotychczas stosowano tylko wobec «dzikich tubylców», zamieszkujących tereny nieobjęte tak zwaną cywilizacją»^[467]. Szanowany niemiecki ekonomista, Moritz Bonn, jeszcze przed rozpoczęciem wojny zrozumiał, czym tak naprawdę jest nazizm. W nieopublikowanym, ale powstałym zapewne w latach 30. tekście Bonn pisze, że nazistowska przemoc wobec Żydów ma swoje źródła bezpośrednio w rasistowskiej ideologii, którą czterdzieści lat wcześniej usprawiedliwiano holocaust popełniony w imieniu kajzera w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Naziści – twierdził Bonn –

przyjmują i rozwijają teorie rasowe, którymi generał von Trotha usprawiedliwiał swoją politykę trzebieenia zbuntowanych Hererów i wysyłania ich na śmierć z pragnienia na pustyni Omaheke. Zgodnie z prawami natury, w kontakcie z rasą wyższą, podlegsze rasy musiały zginąć. Nazistowska ideologia oparta jest na tym samym prymitywnym darwinizmie i tak jak ich kolonialni poprzednicy, naziści nie wierzą w to, że owo prawo natury powinno działać samo, bez ich pomocy. (...) To, co miało być karą dla Hererów, na dużo większą skalę robią teraz Żydomi^[468].

Korsch i Bonn nie byli w swoich opiniach osamotnieni. Nazistowska elita też rozumiała, że tylko kontynuuje pewien proces historyczny. Rozmawiając prywatnie, Hitler, Himmler, Göring i funkcjonariusze, którym powierzyli administrowanie terytoriami okupowanymi, wielokrotnie porównywali wojnę na wschodzie Europy i mające tam powstać imperium z wcześniejszymi przedsięwzięciami kolonialnymi. Göring zwracał uwagę, że Imperium Brytyjskie także powstało w wyniku podboju, a jego istnienie zwyczajowo uzasadniano twierdzeniem o rzekomej brytyjskiej wyższości rasowej nad pokonanymi ludami. Niemiecki podbój Rosji miał być zatem jedynie zastosowaniem tych samych zasad w Europie. Do ostatnich chwil w celi numer 5 więzienia w Norymberdze Göring twierdził, że niemiecki kolonializm niczym nie różnił się od kolonializmu brytyjskiego, francuskiego czy amerykańskiego.

To Hitler uznał za konieczne umiejscowienie swojej brutalnej polityki w szerszym kontekście historycznym. Wielokrotnie wyrażał swój autentyczny podziw dla brytyjskiego imperium i pragmatycznego profesjonalizmu rządzących nim ludzi. Miesiąc po rozpoczęciu Operacji „Barbarossa” powiedział, że Niemcy powinny „uczyć się od Anglików, którzy za pomocą dwustu pięćdziesięciu tysięcy ludzi (...) rządzą czterystoma milionami Hindusów”. Tydzień później oznajmił: „Tym, czym dla Anglików są Indie, tym będą dla nas ziemie Rosji. Gdybym tylko mógł wyjaśnić Niemcom, jak te terytoria są ważne dla naszej przyszłości”^[469].

Oprócz wychwalania sposobu, w jaki Brytyjczycy „nauczyli się sztuki bycia panami”, Hitler często zwracał uwagę na historyczne mity amerykańskiego pogranicza, szukając tam wzorów tego, jak

prowadzić wojnę na Wschodzie i jak wyjaśnić Niemcom, co znaczy dla nich zdobycie Lebensraumu^[470]. Osiągnięcie przez Stary Zjednoczone pozycji światowego mocarstwa było w umyśle Hitlera dowodem na to, do czego można dojść, jeśli połączy się pojęcia „rasy” i „przestrzeni”. Uważał kontynent północnoamerykański za ogromną, pustą tablicę, na której rasa aryjska napisała historię swojej wrodzonej wyższości. Poprzez ludobójcze wojny aryjskie jądro amerykańskiej populacji wypędziło albo wytępiło niższych rasowo, rdzennych mieszkańców. Dysponując przestrzenią życiową całego kontynentu, stworzyli naród o ogromnej potędze przemysłowej i militarnej. Latem 1942 roku, kiedy mówił o starciach niemieckich wojsk z radzieckimi partyzantami, Hitler ostrzegał, że taki konflikt nieuchronnie musi przekształcić się w „prawdziwą wojnę z Indianami”. Przy innej okazji przewidywał, że niemieckie imperium, które wyłoni się z wojny, będzie „niemiecką Kalifornią”^[471].



Dekady przemocy i ludobójstwa, dokonywanego na ludach Afryki, Azji i obu Ameryk, były dla Hitlera dowodem na prawdziwość jego najgłębszych przekonań – że na świecie nieustannie zachodzi zjawisko społecznego darwinizmu. Zapiski Martina Bormanna z lat 1941–1942 pokazują jednak, że w prywatnych rozmowach o przyszłym nazistowskim imperium Hitlera interesował przede wszystkim nie tyle los słabszych ras – Żydów, Słowian, Cyganów – ale to, jak bezkresny Lebensraum i jego bogate surowce przydadzą potęgi i uczynią naród niemiecki rasowo zdrowszym. Przy okazji tego przedsięwzięcia patrzył wstecz na historię kolonializmu – także wilhelmińskiego – szukając precedensów, inspiracji i przestróg.

W swojej najdalej zakrojonej wizji, dotyczącej czasów po wojnie i po swojej śmierci, Hitler wyobrażał sobie ogromne imperium zamieszkałe przez sto milionów osadników niemieckich. Nawet mówiąc o niezbyt odległej przyszłości, myślał o imperium na oszałamiającą skalę, zbudowanym w niebywałym tempie. „W ciągu dziesięciu lat – mówił w roku 1942 – musimy być w stanie ogłosić, że na terytoriach wcielonych do Rzeszy i okupowanych przez nasze wojska osiedliło się dwadzieścia milionów Niemców”^[472].

Szczegółowe planowanie geograficznej, ekonomicznej i etnicznej organizacji przyszłego imperium rozpoczęło się na długo przed tym, jak niemieckie czołgi ruszyły na wschód. Jego kulminacją był Generalny Plan Wschodni (Generalplan Ost), opisujący, jak będzie wyglądało nazistowskie imperium sięgające aż do Uralu. Wschodnia granica, tak zwany Mur Wschodni, miał być żywą granicą niemieckich osad i fortów, obsadzonych przez kolonialną milicję weteranów oraz ich rodziny. O mur ten miały rozbijać się kolejne fale słowiańskich barbarzyńców. Jak wiele aspektów nazistowskiego kolonializmu, także i koncepcja Muru Wschodniego po raz pierwszy pojawiła się

w czasach Drugiej Rzeszy.

Po zachodniej stronie muru planowano stworzyć zupełnie nowy świat. Pierwszą fazą nazistowskiego kolonializmu miało być zaludnienie europejskiej części Rosji etnicznymi Niemcami. Przewidywano, że uda się to osiągnąć około roku 1970. Mimo tych kolosalnych ambicji Generalny Plan Wschodni był i tak dość konserwatywną i ograniczoną wizją w porównaniu z innymi dzikimi fantazjami Führera. Choć planiści zakładali, że uda się przesiedlić zaledwie dziesięć milionów Niemców – a i to w ciągu trzydziestu lat – Hitler uważał, że liczba ta będzie dwa razy wyższa, i to w trzykrotnie krótszym czasie.

Gospodarstwa i wioski dla milionów osadników, podobnie jak ziemia, którą mieli uprawiać, także miały zostać przeobrażone. Narodowy socjalizm – tak jak pravicowy, germański volkizm, z którego się narodził – był przekonany o istnieniu mistycznego związku między ziemią a Narodem, *Volk*. Narody słowiańskie były w stanie kształtować ziemię tylko tyle, na ile pozwalał im ich niski rasowy status. „Wschód” – jak zazwyczaj ogólnie nazywano te tereny w niemieckich dokumentach – był zupełnie nieprzystosowany do charakteru wyższej, germańskiej rasy, toteż najpierw musiała dokonać się jego całkowita transformacja: osuszanie bagien, zmienianie biegu rzek, powiększanie pól uprawnych etc. Zbudowane dla osadników gospodarstwa miały być nowoczesne i przestronne. Wzdłuż najlepszych, niemieckich dróg miał powstać łańcuch prawdziwych „pereł osadnictwa”.



Hitler wierzył, że przekształcenie Rosji w „rajski ogród” doprowadzi do równie dramatycznych przeobrażeń samego niemieckiego narodu. Podobnie jak Himmler był przekonany, że poprzez okiełznanie rosyjskiej dziczy Niemcy zrozumieją swoje przeznaczenie i staną się „ludem pogranicza”. Budowa niemieckiego imperium przyciągnie najlepszych i najdzielniejszych ludzi Rzeszy. Wschód miał być „krajem, gdzie nie będą mieli porządnie pościelone” – ostrzegał Hitler. Nowi niemieccy koloniści, zahartowani życiem na pograniczu, mieli stać się przyszłością rasy, i to na nich miała się opierać Tysiącletnia Rzesza, to z ich szeregów miało wyłonić się nowe pokolenie przywódców^[473]. „W ciągu dziesięciu lat – wieszczyl Hitler w 1941 roku – stworzymy elitę, na której będziemy mogli polegać, (...) ilekroć pojawią się nowe problemy do przezwyciężenia. Powstanie ona z nowego rodzaju człowieka, rasy zwycięzców, wicekrólów”^[474].

Początek nazistowskiej „rasie wicekrólów” mieli dać nie tylko osadnicy, ale też SS-mani – panowie panów. Dla przywódców SS wschodnie imperium miało stać się miejscem rasowego treningu, który uczyniłby nową, niemiecką elitę zdolną do podejmowania przyszłych wyzwań. Najprecyzyjniej określił to Himmler, w niesławnej mowie do kierownictwa SS, którą wygłosił w 1943 roku w Poznaniu. Mówił w niej otwarcie o eksterminacji Żydów, ale też przedstawił zarysy

swojej wizji powojennego Wschodu:

Kiedy nastąpi ostateczny pokój, będziemy mogli podjąć się naszego wielkiego zadania. Będziemy kolonizować. Musimy indoktrynować naszych chłopców, uczyć ich zasad SS (...). W ciągu dwudziestu, trzydziestu lat musimy być w stanie dać imperium jego klasę rządzącą. Jeśli SS i farmerzy (...) będą rządzić kolonią na wielką skalę, bez ograniczeń, bez tradycyjnych wątpliwości, ale z energią i rewolucyjnym impetem, w ciągu dwudziestu lat będziemy mogli przesunąć narodową granicę o 500 kilometrów na wschód (...). Narzucimy na Wschodzie nasze prawa^[475].

Żałowanie się Operacji „Barbarossa” i zajęcie pozycji obronnych zimą 1941–1942 oznaczało, że niemiecka kolonizacja w czasie II wojny światowej ograniczyła się tylko do nielicznych osad w Polsce^[476] i na Ukrainie. Siłą napędową tych projektów był Himmler i jego SS. Jako komisarz Rzeszy do spraw umacniania niemieczyny wymusił utworzenie dwudziestu ośmiu zamieszkałych przez Niemców osad, skupionych wokół jego polowej kwatery w Hegewald na Ukrainie^[477]. Żydowscy mieszkańcy okolicy zostali niemal w całości wymordowani, a Słowianie albo „ewakuowani” do obozów, albo zatrzymani w charakterze niewolników. Inne niemieckie osady powstały w Kraju Warty (Wartheland) – przyłączonej do Rzeszy Wielkopolsce.

Choć osadnictwo to nie przetrwało długo, starano się pokazać ciągłość między nim a utraconym imperium w Afryce. W kolonii pod Żytonierzem członkowie Wschodniego Towarzystwa Togo próbowali stosować na ukraińskim czarnoziemie opracowane w Afryce metody uprawy ziemi. W następnym roku niemieccy farmerzy z Afryki Wschodniej zostali przeniesieni do osad w Kraju Warty, w nadziei, że ich kolonialne doświadczenie zachęci innych Niemców do podjęcia dzieła kolonizacji Wschodu – zadania, które wcale nie wzbudzało entuzjazmu większości rodaków Hitlera^[478].



Oczyszczenie aryjskiej „rasy panów” przez pot i krew miało być tylko jednym ze skutków realizacji polityki Lebensraum. Inny to przesiedlenie „niższych” ras na Wschód. Do końca 1941 roku Trzecia Rzesza nie tylko zdobyła wielkie posiadłości kolonialne, ale też kontrolę nad ogromnymi masami ludzi – od 40 do 65 milionów. 11 milionów stanowili Żydzi, resztę w większości Słowianie. W dominującej dziś pamięci historycznej rasową pogardę, jaką Niemcy żywili wobec Słowian, przesłania obsesyjna nienawiść nazistów do Żydów. Nazistowski antysemityzm miał w sobie elementy darwinowskie, ale był zjawiskiem znacznie głębszym, bardziej skomplikowanym i wielopoziomym. Miejsce, jakie w nazistowskiej wizji świata mieli zajmować Słowianie, wynikało

jednak bezpośrednio z myślenia kolonialnego.

Przygotowując armię do brutalnej „wojny na wyniszczenie”, w zwyczajach, języku i metodach europejskiego kolonializmu naziści znaleźli już istniejące kategorie, które z powodzeniem można było zastosować do ludności słowiańskiej, zredukowanej do roli „ludów kolonialnych”. Straszliwe traktowanie Afrykanów przez Schutztruppe i kolonialną administrację dało reżimowi wzory postępowania, terminologię i uzasadnienie. Praktyki te – mimo względnie skromnego kolonialnego doświadczenia Niemców – składały się z niewolnictwa, czystek etnicznych i ludobójstwa.

Jeszcze przed rozpoczęciem Operacji „Barbarossa” z inicjatywy SS oraz ministra propagandy Josepha Goebbelsa rozpętano kampanię mającą umocnić przekonanie o niższym rasowym statusie Słowian, skierowaną zarówno do niemieckich cywilów, jak i armii. W 1942 roku SS wydało broszurę *Der Untermenschen* (Podludzie), opisującą rasowe różnice między Słowianami i Aryjczykami. Miała ona wzmocnić wśród wojskowych uprzedzenia wobec Słowian – na fotografiach pokazywano rzekomo doskonałych Aryjczyków oraz żałośnie wyglądających Słowian. Broszurę wydrukowano w czterech milionach egzemplarzy, co sprawiło, że pojęcie „podczłowieka” weszło do wojennego słownika. W miesiącach poprzedzających inwazję na ZSRR dowództwo armii zachęcało także żołnierzy, by dostrzegali rasowe różnice między narodowościami służącymi w szeregach Armii Czerwonej. Dyrektywa z maja 1941 roku na temat zachowania się żołnierzy w nadchodzącej kampanii rosyjskiej ostrzegała: „Azjatyccy żołnierze Armii Czerwonej są szczególnie zdradzieccy, przebiegli i bezduszni”^[479].

Słowianie, których uznano za „ludy kolonialne”, nie mogli liczyć na to, że ochroni ich europejskie prawo. Zasady prowadzenia wojen odnoszące się do żołnierzy i jeńców, nie dotyczyły przecież Afrykanów, Azjatów i Indian. Włączając do tej grupy także Słowian, naziści po części odebrali im status Europejczyków.



Przypisanie Słowian do innej kategorii było ważne nie tylko dlatego, że armia mogła przez to porzucić zasady „cywilizowanej wojny”. Był to również niezbędny krok, aby móc ustanowić rządy kolonialne. W przeciwieństwie do Żydów, którzy mieli zostać całkowicie usunięci z niemieckiej przestrzeni życiowej, zgodnie z Generalnym Planem Wschodnim miało tam pozostać 14–15 milionów Słowian. Staliby się zwykłymi niewolnikami, pracującymi przy budowie niemieckich gospodarstw i wiosek, a także – pod czujnym okiem osadników – przy uprawie ziemi.

Aby potwierdzić pozycję Słowian, naziści – tak w sposobie myślenia, jak i w propagandzie – kierowali się rasowymi uprzedzeniami wyjętymi wprost z tradycji kolonialnej. Nie mogąc wskazać żadnej konkretnej fizycznej różnicy rasowej – jak na przykład kolor skóry – posłużyli się jednym z najstarszych rasowych stereotypów. Rosjanie, tak jak Afrykanie, mieli być brutalnymi potworami,

zdolnymi do najstraszniejszej przemocy, ale i „niewolnikami z urodzenia, potrzebującymi ręki pana”.

Erich Koch nazywał Ukraińców „białymi murzynami”^[480]. Rzekoma brutalność i służalczość Słowian wywodziła się w prostej linii z europejskich karykatur rasistowskich – czterdzieści lat wcześniej Rudyard Kipling opisywał Afrykanów i Hindusów, poddanych brytyjskiego imperium, „co na wpół diabłem są, na wpół dziecieniem”^[481].

Podjmując brzemię białego człowieka na Wschodzie, nazisci całkowicie odrzucili pomysł wykorzystania niemieckiej kultury do moralnego i cywilizacyjnego podźwignięcia ludów Europy Wschodniej, co promowali nacjonałści w czasach Cesarstwa. „Misja cywilizacyjna” była jedną z tych kolonialnych koncepcji XIX i XX wieku, którą Hitler odrzucił w całości. Pomstując przeciwko tej staromodnej i skompromitowanej formie kolonializmu, twierdził, że największym błędem misjonarzy i kolonialistów w przedwojennych niemieckich posiadłościach było zbytne przejmowanie się zdrowiem, wykształceniem i duchowym rozwojem tubylców. W czasie jednej ze swoich poobiednich tyrad wyjaśnił gościom, że to właśnie te humanitarne impulsy doprowadziły do klęski przedwojennych niemieckich kolonii. „Kiedy tylko lądowaliśmy w jakiejś kolonii, budowaliśmy tubylcom przedszkola i szpitale. Napelnia mnie to wściekłością. (...) Zamiast sprawić, żeby tubylcy nas pokochali, ta nieproporcjonalna pomoc wzbudziła w nich nienawiść do nas”^[482]. W innym przemówieniu Hitler zapewnił słuchaczy, że w nowym niemieckim imperium nie będzie próby „cywilizowania” Słowian:

Jeśli chodzi o żalostne sto milionów Słowian, to najlepszych z nich ukształtujemy dla naszej wygody, a resztę odizolujemy w ich chlewach. Każdy, kto będzie mówił o cywilizowaniu tubylców albo dbaniu o nich, trafi prosto do obozu koncentracyjnego^[483].

Hitler był szczególnie nieugięty w kwestii edukacji podbitych ludów: „nikomu nie wolno wpuścić niemieckich nauczycieli na terytoria wschodnie (...). Idealnym rozwiązaniem byłoby nauczenie tych ludzi jakiejś podstawowej formy naśladowania. Wymaga się od nich mniej niż od głuchych i głupich”^[484]. Przy innej okazji sugerował, by

w każdej wiosce zainstalować megafon, za pomocą którego będzie się im przekazywało szczątkowe informacje, żeby nie odwracać ich uwagi. Jakiż pożytek mieliby ze znajomości polityki czy ekonomii? Ważne jest też, by nie uczyli się niczego na temat swojej historii – wystarczy im tylko muzyka, muzyka, mnóstwo muzyki. Radosna muzyka jest wielką zachętą do ciężkiej pracy. Dajcie im dużo okazji do tańca, a będą nam wdzięczni^[485].

Na nazistowskim Wschodzie miało nie być ani szkół, ani misjonarzy. Ci Rosjanie, Polacy i Ukraińcy, którym pozwolono by zostać, mieli być jedynie niewolnikami, bez szansy na wyzwolenie i jakąkolwiek edukację. Jedyne zdobycze techniki, do jakich mieli mieć dostęp, byłyby aborcja i antykoncepcja, aby ich populacja utrzymywała się na odpowiednio niskim poziomie.

Słowianie mieli zostać poddani całkowitej segregacji. „Życie niemieckiego kolonisty – ostrzegał Hitler – powinno być jak najściślej oddzielone od życia miejscowej ludności. (...) Najłatwiejszym sposobem przeciwdziałania jakimkolwiek kontaktom będzie zachęcanie tubylczej ludności do tego, by trzymała się swoich zwyczajów i nie małpowała naszych”^[486].

Plany segregacji rasowej na Wschodzie wyraźnie przypominają projekty ustaw przygotowane przez nazistowskie Biuro Polityki Kolonialnej dla przyszłych niemieckich kolonii w Afryce. Wzorowane były także na niemieckiej polityce, stosowanej w okupowanej Polsce, gdzie rzekoma rasowa niższość Polaków miała być widoczna na każdym kroku. Jak we wszystkich systemach opartych na rasizmie, w nazistowskim kolonializmie status rasowy był ważniejszy niż indywidualne umiejętności czy osiągnięcia. W 1941 roku Hitler tłumaczył, że „nawet najzwyczajniejszy niemiecki parobek musi stać wyżej niż jakikolwiek tubylec”^[487].

Słowiańska ludność wschodnich krańców nazistowskiego imperium miała być trzymana w ryzach za pomocą starej, znanej w koloniach zasady „dziel i rządź”. Niemieccy panowie mieli eksponować każdy etniczny i religijny podział. Entuzjazm Hitlera dla tej polityki wyraźnie widać w jego prywatnych rozmowach. Przy obiedzie w kwietniu 1942 roku wygłosił długi monolog na temat tego, jak Niemcy podzielią i zdominują Słowian:

Nawet wioski muszą zostać podzielone w taki sposób, by zapobiec jakimkolwiek mieszaniu się sąsiednich wspólnot. Musimy, na przykład, unikać sytuacji, w której w dużym rejonie o potrzeby duchowe będzie dbał tylko jeden kościół. Każda wioska musi składać się z wyznawców jednej sekty, wychwalających Boga na swój sposób. Jeśli mieszkańcy jakiejś wioski postanowią zatem praktykować czarną magię, jak Murzyni czy Indianie, absolutnie nie powinniśmy im tego zabraniać. Innymi słowy, nasza polityka na bezkresach Rosji powinna opierać się na zachęcaniu do wszelkiego rodzaju podziałów i konfliktów^[488].

Tak jak w Republice Południowej Afryki epoki apartheidu oraz XIX-wiecznej Afryce segregacji miał towarzyszyć ściśle kontrolowany system ekonomicznej eksploatacji. W 1915 roku Paul Rohrbach twierdził, że czarni mieszkańcy Afryki Południowo-Zachodniej zyskują prawo do życia tylko wtedy, jeśli pracują w służbie rasy białej. W kwietniu 1942 roku Hitler wyraził niemal identyczną opinię, ale w odniesieniu do Rosjan: „Ci ludzie pozostają przy życiu tylko z jednego

powodu – żebyśmy mogli ich gospodarczo wykorzystać^[489]. Mieszkańcy żywej Ukrainy zyskiwali prawo do życia, gdyż mieli stać się niewolnikami, posłusznymi niemieckim osadnikom:

W czasie żniw ustanowimy targi (...). Nastąpi skup zbóż i owoców oraz sprzedaż gorszej jakości produktów naszej produkcji. W ten sposób za nasze towary otrzymamy znacznie więcej niż są warte (...). Będzie to również znakomity rynek dla naszych tanich tkanin bawełnianych – w im jaskrawszych barwach, tym lepiej (...). Dlaczego mielibyśmy odmawiać tym ludom jaskrawych kolorów, które tak lubią?^[490]

We wschodnich planach Hitlera tylko część Słowian zostałaby niewolnikami. Reszta – razem z całą ludnością żydowską – w ten czy w inny sposób miała zostać usunięta z niemieckiego Lebensraumu. Szczegóły tej kolosalnej czystki etnicznej mieli początkowo opracować planiści. W miesiącach poprzedzających niemiecką inwazję na Związek Radziecki nazistowscy badacze rasy, ekonomiści, geografowie oraz specjaliści od rolnictwa zaczęli poważnie zastanawiać się, jak rozwiązać problemy ludnościowe Wschodu. W kolejnych wersjach Generalnego Planu Wschodniego jego twórcy doszli wreszcie do wniosku, że aby zrobić miejsce dla niemieckich osadników, trzeba pozbyć się około 30 milionów ówczesnych mieszkańców europejskiej części Rosji. Inne szacunki były jeszcze wyższe – 45 milionów albo i więcej. Niektóre plany zakładały „ewakuowanie” mieszkańców Wschodu za Ural, na Syberię. Dyrektywa z maja 1941 roku pokazuje, że planiści w pełni rozumieli, co kolonialna wojna na Wschodzie będzie oznaczać dla Polaków i mieszkańców Związku Radzieckiego. Czytamy w niej: „Ludność (...), szczególnie (...) miejska, powinna liczyć się z wyjątkowo dotkliwym głodem. Niezmiernie ważną sprawą będzie spowodowanie odpływu ludności na Syberię. Wysiłki zmierzające do ochrony ludności przed śmiercią głodową przez dowóz nadwyżek żywności z regionu czarnoziemów mogą być dokonane jedynie kosztem wyżywienia Europy”^[491].

Trzy miesiące później Hitler powiedział swojej świcie, że ludność Europy Wschodniej spotka taki sam los jak „czerwonych Indian”. Miała ulec eksterminacji i zostać zapomniana. „Jemy kanadyjskie zboże – przypomniał słuchaczom – i nie myślimy o Indianach”. Po paru kolejnych miesiącach Hermann Göring, człowiek odpowiedzialny za gospodarczą eksploatację byłych terenów radzieckich, powiedział włoskiemu ministrowi spraw zagranicznych, hrabiemu Galeazzo Ciano, że w 1942 roku głód dotknie od 20 do 30 milionów Sowieców. „Zapewne to właśnie trzeba zrobić – dodał – gdyż niektóre narody trzeba zdziesiątkować”^[492].

To właśnie Göring nakazał w lipcu 1941 roku Reinhardowi Heydrichowi zacząć prace nad ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej. Jesienią tego roku – kiedy dwa miliony radzieckich jeńców wojennych umierały z głodu w obozach, a oddziały Einsatzgruppen co tydzień mordowały tysiące Żydów – „rozwiązanie terytorialne” kwestii żydowskiej, deportacja z niemieckiego

Lebensraum, musiało ustąpić na rzecz ich całkowitej eksterminacji.

Na początku wojny, w czerwcu 1941 roku, nie było jeszcze takich planów. Operacja „Barbarossa” zaczęła się jako wojna o przestrzeń życiową. Hitler nie dokonywał inwazji z myślą o Auschwitz. Nazistowskie plany zakładały, oczywiście, uczynienie Wschodu „wolnego od Żydów” (*Judenfrei*), ale tylko nieliczni wyobrażali sobie, że może się to dokonać poprzez całkowitą likwidację 11 milionów Żydów, którzy znaleźli się pod niemieckim panowaniem^[493]. Holocaust, najwyższy wyraz nazistowskiej przemocy, był wynikiem okoliczności, jakie pojawiły się w trakcie rasowej wojny kolonialnej.

Choć decyzja o eksterminacji Żydów została podjęta ostatecznie w styczniu 1942 roku, metoda jej wykonania kształtowała się powoli. Taki czy inny rozwój wydarzeń był czasem wynikiem przypadku, zbiegu okoliczności albo osobistego sadyzmu jakichś nazistowskich funkcjonariuszy. Choć u podstaw ostatecznego rozwiązania leżał fanatyczny antysemityzm, jego ostateczna forma wynikała z radykalizacji niemal wszystkich aspektów nazistowskiego projektu, która nastąpiła wraz z atakiem na Związek Radziecki i jeszcze przyspieszyła po klęsce u bram Moskwy. Latem 1940 roku reżim poważnie rozważał możliwość deportowania europejskich Żydów na Madagaskar. Klęska Operacji „Barbarossa” oznaczała zarazem kres „rozwiązania terytorialnego”, nawet na Wschodzie. Trzeba przy tym pamiętać oczywiście, że „rozwiązanie terytorialne”, proponowane choćby w Generalnym Planie Wschodnim, również okazałoby się ludobójcze dla Żydów i Słowian, choć zapewne nie w takim stopniu.

Obozy pracy i obozy zagłady stanowiły politykę ostateczności – tak jak obozy koncentracyjne w Afryce Południowej dla Brytyjczyków czy obozy w Afryce Południowo-Zachodniej dla niemieckich Schutztruppe. Generał von Trotha chciał unicestwić Hererów, otaczając ich pod Waterbergiem albo – kiedy okazało się to niemożliwe – spychając ich na Omaheke. Nie przewidywał, że władze cywilne i prywatne przedsiębiorstwa zagłodzą i zamęczą ich pracą na śmierć w obozach koncentracyjnych.

W 1942 roku w trakcie nazistowskiej kampanii w Europie Wschodniej pojawiły się te same problemy i te same sprzeczności, które w 1905 roku wystąpiły w czasie wojny, którą von Trotha prowadził w Afryce Południowo-Zachodniej: pragnienie eksterminowania albo przepędzenia wrogów rasowych stało w sprzeczności z rosnącą potrzebą siły roboczej oraz troską o stan własnych żołnierzy. Problemy te nigdy nie zostały w pełni rozwiązane, ale tak jak w Afryce Południowo-Zachodniej jednym z rozwiązań było utworzenie obozów, w których praca stanie się metodą likwidacji, co nazisci określali mianem *Vernichtung durch Arbeit*, „eksterminacji przez pracę”. Najdramatyczniejszym dowodem na bezpośredni związek między zapotrzebowaniem na siłę roboczą a traktowaniem podbitych ludów był los radzieckich jeńców wojennych. W czasie straszliwej zimy 1941/1942 ponad dwa miliony radzieckich żołnierzy zmarły z głodu, z zimna, pobicia na śmierć w wielkich, otwartych zagrodach. Sześćset tysięcy po prostu rozstrzelano, a niewielką liczbę

zagazowano spalinami w specjalnych, prototypowych ciężarówkach. Było to pierwsze nazistowskie ludobójstwo^[494]. Choć od lutego 1942 roku do końca wojny w niemieckiej niewoli zmarło kolejne 1,3 miliona Sowieców, kulejący stan wojennej gospodarki sprawił, że jeńców masowo nie likwidowano, ale wykorzystywano w charakterze niewolniczej siły roboczej.

Jeszcze przed wojną w obozach koncentracyjnych nazisci wykorzystywali pracę swoich politycznych i rasowych wrogów. W 1941 roku przebywał w nich jednak niecały milion ludzi. Do 1945 roku system obozów rozwinął się w szeroką sieć obiektów rozmaitego rodzaju, w których zamordowano jedenaście milionów ludzi i zniewolono kolejne sześć. Dokonywało się to poprzez nieustanny proces usprawniania i radykalizacji. Tak jak kolonialne władze Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej przystosowały do swoich potrzeb opracowany przez Brytyjczyków i Hiszpanów wynalazek obozów koncentracyjnych, tak i nazisci wprowadzili swoje własne udoskonalenia. Na nazistowskim Wschodzie skopiowano „zamknięte obszary” hrabiego von Stillfrieda oraz przymusową pracę niewolniczą, podobnie jak proces oddzielania „zdolnych do pracy” od „niezdolnych”. Skala była zupełnie inna, ale reguły zasadniczo takie same.

Mimo tego, nawet na Shark Island, najgorszym z obozów w Afryce Południowo-Zachodniej, próbowano, choć bez większego przekonania, wykorzystać jakoś pracę więźniów. Shark Island można jednak uznać za obóz śmierci, gdyż od pracy więźniów ważniejsza była ich eksterminacja. Świadczy o tym choćby spokój, z jakim cywilna administracja kolonialna przyjmowała fiasko projektów infrastrukturalnych, przy których pracowali Nama. Nazistowskie „usprawnienie” obozu śmierci polegało na utworzeniu takich miejsc odosobnienia, w których nie istniały nawet pozory pracy przymusowej. Auschwitz, Sobibór, Treblinka, Majdanek, Bełżec i Chełmno różniły się od Shark Island – oraz innych nazistowskich obozów – tym, że były po prostu fabrykami do zabijania. Reżim nawet nie próbował wykorzystywać siły roboczej ludzi, którzy przeszli przez bramy tych obozów. Ostateczne rozwiązanie wymagało ludzi, środków i było całkowicie sprzeczne z wojskowym pragmatyzmem. Obozy zagłady nie miały żadnego racjonalnego wyjaśnienia, żadnej przykrywki, nie wytwarzały żadnego „produktu” – z wyjątkiem śmierci.

[462] Dziejście Węgorzewo, w pobliżu jeziora Mamry (przyp. tłum.).

[463] Jeremy Noakes, Geoffrey Pridham (red.), *Nazism: A History in Documents and Eyewitness Accounts, 1919–1945*, t. 1, Exeter 1983, s. 622.

[464] Alexander Dallin, *German Rule in Russia: 1941–1945*, London 1957, s. 296.

[465] Louis P. Lochner (red.), *The Goebbels Diaries 1942–1943*, London 1948, s. 126.

[466] Hannah Arendt jako jedna z pierwszych zasugerowała taki związek. Niedawne publikacje

Adama Tooze i Marka Mazowera umiejscowiły nazizm w szerszym kontekście kolonializmu i kolonialnej przemocy.

[467] Enzo Traverso, *The Origins of Nazi Violence*, New York 2003, s. 50.

[468] Podziękowania dla Roberta Gordona za te cytaty.

[469] *Hitler's Table Talk 1941–1944: His Private Conversation*, tłum. Norman Cameron, R.H. Stevens, London 1953, s. 24.

[470] Ibidem, s. 574.

[471] [Hitler Adolf], *Monologue im Führerhauptquartier, 1941–4: die Aufzeichnungen Heinrich Heims*, oprac. Werner Jochmann, München 1980, s. 377, 30 sierpnia 1942.

[472] *Hitler's Table Talk...*, s. 469.

[473] Ibidem.

[474] Ibidem, s. 19.

[475] Noakes, Pridham, op. cit., s. 918–920.

[476] Głównie na Zamojszczyźnie, gdzie utworzono Niemiecki Okręg Osiedleńczy (przyp. tłum.).

[477] W pobliżu Żytomierza. Niemieckie osady usytuowano wzdłuż drogi z Żytomierza do Berdyczowa (przyp. tłum.).

[478] Wendy Lower, *Hitler's Garden of Eden in Ukraine: Nazi Colonialism, Volkdeutsche and the Holocaust, 1941–1944*, w: Jonathan Petropoulos, John K. Roth (red.), *Gray Zones: Ambiguity and Compromise in the Holocaust and Its Aftermath*, New York, Oxford 2005, s. 187.

[479] Noakes, Pridham, op. cit., s. 1090.

[480] Robert Cecil, *Hitler's Decision to Invade Russia, 1941*, London 1975, s. 206.

[481] Mowa o słynnym wierszu Rudyarda Kiplinga *Brzemie białego człowieka (White Man's Burden)*: „Podnieście brzemie białego człowieka – / Wyślijcie kwiat swojego plemienia – / Nuże, popędźcie synów na wygnanie / By jeńców waszych spełniali marzenia. / Niechaj tym ludom spłoszonym i dzikim / Służą, swym jarzmem do ziemi przygłęci / Tym, co pojmani dopiero, niechętni / Co na wpół diablem są, na wpół dziecięciem”. Cyt. za: Norman Davies, *Wyspy: Historia*, przeł. Elżbieta Tabakowska, Kraków 2003, s. 745–746 (przyp. tłum.).

[482] *Hitler's Table Talk...*, s. 319.

[483] Ibidem, s. 617.

[484] Ibidem, s. 354.

[485] Ibidem, s. 425.

[486] Ibidem, s. 575.

[487] Ibidem, s. 34.

[488] Ibidem, s. 424.

[489] Ibidem.

[490] Ibidem, s. 617.

[491] Alan Bullock, *Hitler i Stalin: żywoty równoległe*, t. 2, Warszawa 1994, s. 178.

[492] William L. Shirer, *The Rise and Fall of the Third Reich: A History of Nazi Germany*, London 1960, s. 854. Wydanie polskie (*Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy: historia hitlerowskich Niemiec*, Kraków 1995) jest wersją skróconą (przyp. tłum.).

[493] Dokładna liczba żydowskich ofiar holocaustu nie jest znana; szacuje się ją na prawie 6 milionów (przyp. tłum.).

[494] Noakes, Pridham, op. cit., s. 915.

EPILOG

Triumf amnezji

W czasie II wojny światowej niemieccy naukowcy oraz członkowie nazistowskiej elity uważali, że wojna na Wschodzie oraz okrutne traktowanie rasowych wrogów Rzeszy nie różnią się od innych krwawych epizodów historii kolonialnej. W czasie procesów norymberskich w 1946 i 1947 roku Międzynarodowy Trybunał Wojskowy i rządy reprezentowanych w nim państw unikały jednak takich porównań. Pamięć o niemieckich ludobójstwach popełnionych w Afryce Południowo-Zachodniej, tak ważna w Wersalu w 1919 roku, pokolenie później, w Norymberdze, została całkowicie pominięta. Częściowo można ją wyjaśnić „kolonialną amnezją” – europejską tendencją do ignorowania swojej kolonialnej przeszłości. W 1945 roku większość Afryki i duże rejony Azji wciąż znajdowały się pod rządami Europejczyków, toteż nic dziwnego, że zwycięskie mocarstwa nie chciały zwracać uwagi świata na mroczniejsze aspekty historii kolonializmu.

W ciągu wojny Brytyjczycy wcielili do wojska miliony swoich poddanych z kolonii i rozkazali im walczyć z faszyzmem. Mało kto dostrzegał jednak sprzeczność między ich statusem kolonialnych poddanych, pozbawionych głosu w kwestiach politycznych i dyskryminowanych z powodu niewłaściwego koloru skóry, a antynazistowską propagandą wojenną, która potępiała niemieckie „imperium niewolnicze” na wschodzie Europy. Rozmaici socjaliści wykpiwali hipokryzję zachodnich demokracji, które potępiały nazistowski rasizm, a same rządziły w koloniach sześciuset milionami poddanych. Niektórzy określali wojnę między zachodnimi demokracjami a hitlerowskimi Niemcami

jako starcie między imperialistycznymi mocarstwami a mocarstwem, które chciałoby się stać imperialistyczne.

Powojenne rządy utrzymywały, że koszar, do jakiego doprowadził nazistowski imperializm, nie ma nic wspólnego z ich imperiami ani w ogóle z kolonializmem. Doświadczenie lat 1939–1945 zmusiło jednak powojennych apologetów kolonializmu do odrzucenia modelu, który pod wpływem darwinizmu społecznego ukształtował się pod koniec XIX wieku. Kiedy Niemcy dokonali podziału na rasy „niższe” i „wyższe” na kontynencie europejskim, Żydów określili mianem „rasy pasożytniczej”, a Słowian – „ludu kolonialnego”, spłotyły się pojęcia biologicznego antysemityzmu, wojny rasowej i przestrzeni życiowej. Dopiero wtedy obywatele mocarstw kolonialnych, które starły się z Hitlerem, mogli z bliska przekonać się, co może oznaczać „kolonialny podbój świata” i dokąd może zaprowadzić zimna logika biologicznego rasizmu. Łatwiej było to zrozumieć – i przewyciężyć barierę rasizmu – kiedy ofiarami nazistowskiego imperializmu stali się biali Europejczycy.

Zamiast odrzucić kolonializm z powodu nazistowskiego doświadczenia, zachodnie mocarstwa wołały przywoływać odmienną wizję kolonializmu – dobrze znaną, XIX-wieczną „misję cywilizacyjną”. Przekonywały, że ich rządy różnią się od nazistowskiego imperializmu i dlatego powinny przetrwać wiek XX, a może i jeszcze dłużej. Brytyjczycy szczególnie chętnie mówili o swoim imperium jako o wspólnocie „społeczeństw” albo „rodzinie narodów”^[495]. Wskazując na osiągnięcia (tam, gdzie można było takowe znaleźć) na swoich terytoriach, europejscy koloniałści próbowali zarazem łagodzić miejscowe ruchy niepodległościowe i udowodniać światu (w szczególności wielokulturowej Organizacji Narodów Zjednoczonych), że nie wszystkie przedsięwzięcia kolonialne muszą oznaczać ludobójczy rasizm i przemoc nazistowskiego imperializmu.

Prawda była taka, że w 1945 roku Wielka Brytania stała na krawędzi bankructwa z powodu wojny i potrzebowała wymiany handlowej ze swoimi koloniami, żeby podtrzymać słabnącą walutę. Francuzi, Belgowie i Holendrzy próbowali z kolei odzyskać mocarstwowe pozycje na światowej scenie, nie chcąc pogodzić się z rolą płotek w świecie zdominowanym przez supermocarstwa. Im bardziej państwa europejskie potrzebowały swoich imperiów z powodów gospodarczych i geopolitycznych, tym bardziej obstawały, że motywuje je nie egoizm, ale chrześcijański paternalizm.

Tak jak w czasie przygotowań do konferencji pokojowej w Paryżu i traktatu wersalskiego Amerykanie widzieli sprawę inaczej – przynajmniej początkowo. Przywiązani do koncepcji międzynarodowego nadzoru nad powojennymi terytoriami zależnymi, przewidywali, że w wyniku wojny wiek imperiów dobiegnie końca. W 1945 roku tradycyjna amerykańska niechęć wobec europejskiego imperializmu w ogóle, a brytyjskiego ekspansjonizmu szczególnie, ustąpiła miejsca poważniejszym obawom. Powolne nadejście zimnej wojny przekonało administrację prezydenta

Harry'ego Trumana, że europejskie mocarstwa są konieczne dla zachowania równowagi w stosunku do potęgi Związku Radzieckiego. Kiedy Francja, Belgia i Holandia – jeszcze kilka miesięcy wcześniej okupowane przez Wehrmacht – odzyskały kolonie w Azji i Afryce i ponownie narzuciły swoje rządy miejscowej ludności, po drugiej stronie Atlantyku nie słychać było sprzeciwu.

Podczas gdy oskarżonych w Norymberdze potępiano jako panów „niewolniczego imperium”, w Afryce i Azji w mękach rodziła się nowa epoka europejskiego kolonializmu. Na jej przeszkodzie stali sami poddani, którzy śmieli sobie wyobrazić, że pokonanie nazistów przyniesie nową epokę równości rasowej oraz prawo do samostanowienia, które metropolie sugerowały w wojennej propagandzie.

W kontekście powojennego odrodzenia się europejskiego kolonializmu historia niewolnictwa oraz ludobójczych wojen w Afryce i Azji była nieprzyjemnym wtrętem, który zwracał uwagę na to, że zachodnie metropolie również były kiedyś zdolne do okrucieństwa podobnego w charakterze (choć nie w skali) do tego widzianego niedawno w Europie. Jeśli jednak historia kolonialna została zamieciona pod dywan, to do 1945 roku dzieje ludobójstwa, popełnionego przez Niemców w Afryce Południowo-Zachodniej, pogrzebano całkowicie.



W 1919 roku Afryka Południowa ujawniła światu okrucieństwa popełnione przez Niemców w Afryce Południowo-Zachodniej. W następnych latach ten sam kraj cicho i skutecznie ukrył historię, którą tak bardzo starał się odkryć. Mimo potępienia niemieckiego kolonializmu, południowoafrykańscy zarządcy mandatu Afryki Południowo-Zachodniej ustanowili w kolonii białe społeczeństwo osadników, pod wieloma względami nieróżniące się niczym od tego, które przez trzydzieści lat budowali tam Niemcy. W 1921 roku ziemie Hererów i Nama – skonfiskowane wcześniej przez cesarza Wilhelma II – przekształcono w „ziemie koronne Afryki Południowo-Zachodniej”. 20 tysięcy kilometrów kwadratowych zostawiono białym osadnikom z Afryki Południowej, których zachęcano do emigracji na północ. W tym samym roku wznowiono politykę ustanawiania rezerwatów dla tubylców, zapoczątkowaną przez Niemców w roku 1903. Z ogólnej liczby 570 tysięcy kilometrów kwadratowych tubylcom – stanowiącym 90 procent ludności – zostawiono zaledwie 20 tysięcy^[496]. Najlepsze tereny uprawne przypadły białym, a rezerваты ustanowiono na mało żyznych, kiepskich ziemiach. W raporcie pewnego południowoafrykańskiego superintendenta rezerw naturalnych jeden z nich, w Aminuis na pustyni Omaheke, został określony jako „zabójczy dla bydła”^[497].

Po tym jak ostatnie powstanie Nama zostało stłumione, a wola walki Hererów stłamszona zastraszającą kampanią bombardowania z powietrza, ludy te, razem z innymi tubylcami, zostały

związane z gospodarką białych za pomocą systemu podatkowego, tak starannie zaplanowanego, by przez część roku czarni musieli szukać pracy na należących do białych farmach. W 1927 roku władze Afryki Południowej osłabiły czarnoskórą ludność jeszcze bardziej, pozbawiając ją historii. U podstaw południowoafrykańskiej polityki w Afryce Południowo-Zachodniej leżała chęć wyeliminowania nacjonalizmu i szowinizmu lat wojny, a następnie zjednoczenia wszystkich białych wokół poczucia jedności, stawiającej rasę wyżej niż narodowość czy język. Z dwudziestu tysięcy białych mieszkańców terytorium mandatowego Afryki Południowo-Zachodniej w roku 1921, niemal osiem tysięcy stanowili Niemcy, którzy po 1918 roku postanowili zostać w kolonii. Na początku lat 20. południowoafrykańska administracja coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że opisana w *Niebieskiej Księdze* z roku 1919 historia stanowi poważną przeszkodę na drodze do zjednoczenia się całej białej ludności kolonii. Liderzy niemieckiej wspólnoty otwarcie domagali się, by zapomnieć o niej albo wręcz by została oficjalnie odrzucona jako wojenna publikacja propagandowa^[498]. Jednym z najważniejszych zarzutów wobec raportu majora O'Reilly'ego było to, że opierał się na zeznaniach „niewykształconych czarnych”.

W lipcu 1926 roku August Stauch, niemiecki osadnik, szanowany jako człowiek, który odnalazł pierwszy diament poza Lüderitz, przedłożył nowo wybranemu Zgromadzeniu Legislacyjnemu wniosek, by zniszczyć wszystkie istniejące egzemplarze *Niebieskiej Księgi*. W sukurs Stauchowi przyszedł „Windhoek Advertiser”, który zapewnił swoich czytelników, że „Niemcy są chętni i gotowi współpracować w budowie Afryki Południowo-Zachodniej (...), [ale] nie mogą tego robić w pełni, dopóki piętno, które nałożyła na nich publikacja rzeczony *Niebieskiej Księgi*, nie zostanie z nich zdjęte”. Dalsze wyrazy poparcia dla owej propozycji nadeszły od D.W. Ballota, lidera nowej Partii Unii [Union Party], który przypominał innym osadnikom, że „liczne cywilizowane narody mogą spojrzeć na historię swojego kolonializmu bez żalu z powodu niektórych mrocznych incydentów ze swojej przeszłości”^[499].

W 1927 roku wszystkie egzemplarze *Niebieskiej Księgi* zostały wycofane z publicznych bibliotek i urzędów, a następnie spalone. Tomy znajdujące się w innych brytyjskich koloniach przekazano Foreign Office, a zeznania, które tak wstrząsnęły delegatami w Wersalu, usunięto z oficjalnej historii^[500]. Chwaląc taki obrót sytuacji, redaktor „Windhoek Advertiser”, J.D.L. Burke, oświadczył, że zniszczenie *Niebieskiej Księgi* pozwoli białym narodom Afryki Południowo-Zachodniej „spojrzeć w przyszłość wspólnie, swobodnie, bez podejrzeń i niesnasek przeszłości”^[501]. Wraz ze spaleniem *Niebieskiej Księgi* władze Afryki Południowej – za zgodą Brytyjczyków – podjęły dzieło fałszowania historii, które dwie dekady wcześniej zaczęły władze niemieckie.



Do końca II wojny światowej biała ludność terytorium mandatowego Afryki Południowo-Zachodniej osiągnęła prawie trzydzieści tysięcy. Ta mniejszość, uprzywilejowana i zjednoczona, rządziła czarną ludnością liczącą dobrze ponad ćwierć miliona.

W styczniu 1946 roku Wielka Brytania powierzyła byłe niemieckie kolonie – Togo, Kamerun i Tanganikę, które otrzymała jako terytoria mandatowe Ligi Narodów – Organizacji Narodów Zjednoczonych. Francja, Belgia, Australia i Nowa Zelandia zobowiązały się zrobić to samo z zarządzanymi przez siebie mandatami. Pretoria odmówiła jednak zrzeczenia się Afryki Południowo-Zachodniej. Dwa lata później wybory parlamentarne w Związku Afryki Południowej wyniosły do władzy Partię Narodową^[502], która natychmiast zaczęła rozwijać prawa ustanowione jeszcze pod panowaniem brytyjskim, tworząc system apartheidu. Po groteskowo oszukańczym referendum Afryka Południowa poinformowała ONZ, że będzie dalej sprawować mandat w Afryce Południowo-Zachodniej, którą *de facto* wcielono do ZPA. Kiedy na kontynencie prężnie zaczęły działać ruchy niepodległościowe, Afryka Południowa wybrała izolację i wciągnęła w nią także Afrykę Południowo-Zachodnią. „Wiatr zmiany” – tak jak pierwsi portugalscy odkrywcy – nie był w stanie osiągnąć pustyni Namib i zamieszkujących interior ludów.

Tak jak istniały więzy – zarówno osobiste, jak i historyczne – między niemieckim imperium kolonialnym w Afryce i nazistowskim reżimem, tak południowoafrykański apartheid łączył się z Niemiecką Afryką Południowo-Zachodnią. Kilku młodych burskich nacjonalistów, którzy studiowali w Niemczech w latach 30., było gośćmi Oskara Hintragera, byłego wicegubernatora Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej. Hintrager, gorący orędownik nacjonalizmu Burów, z pomocą von Eppa regularnie pisywał na ten temat do nazistowskiej prasy. W latach 50., kiedy powstawał system apartheidu, napisał książkę, *Geschichte von Südafrika* (Historia Afryki Południowej), w której twierdził, że Burowie nie są pochodzenia holenderskiego, ale niemieckiego i jako członkowie męskiego, germańskiego *Volk* w naturalny sposób zdominowali inne, słabsze rasy Afryki Południowej.

Hintrager był jednym z głównych twórców praw rasowych, obowiązujących w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Podobieństwo między tym ustawodawstwem a prawami wprowadzonymi przez Afrykanerów w terytorium mandatowym Afryki Południowo-Zachodniej sprawiło, że dla wielu tamtejszych Niemców przejście od niemieckich rządów kolonialnych do południowoafrykańskiego apartheidu odbyło się bez żadnego wysiłku. W 1948 roku do przedstawiania w parlamencie ZPA „rozsądnych postulatów kolorowych ras” wybrano dwóch senatorów z Afryki Południowo-Zachodniej. Jednym z nich był doktor Heinrich Vedder, były misjonarz, który na własne oczy widział cierpienia Hererów w obozie koncentracyjnym w Swakopmundzie. Na sali plenarnej Vedder powiedział, że rozdział ras po raz pierwszy wprowadzono nie w Afryce Południowej, ale w Afryce Południowo-Zachodniej pod niemieckim panowaniem, gdzie „od samego początku niemieckie

władze ustanowiły to, czego – niestety – nie udało się jeszcze osiągnąć w Afryce Południowej – apartheid”^[503].

W latach 50., po obu brzegach rzeki Oranje, powoli wprowadzano w życie kolejne punkty skomplikowanej konstrukcji apartheidu. W Dzień Praw Człowieka w 1959 roku uzbrojona w steny południowoafrykańska policja zabiła trzynastu Afrykanów demonstrujących w „tubylczym miejscu” na przedmieściach Windhuku. Pięć miesięcy później, w czasie demonstracji w Sharpeville pod Johannesburgiem, zginęło sześćdziesięciu dziewięciu czarnych Afrykanów – także z rąk policji uzbrojonej w pistolety maszynowe. Afrykę Południową i jej kolonię spotkał międzynarodowy ostracyzm.

Zważywszy na jej izolację geograficzną, dla Afryki Południowo-Zachodniej oznaczało to również pogłębienie przepaści kulturowej między białą ludnością terytorium i szybko zmieniającą się Europą. Wielu tamtejszych Niemców, Brytyjczyków czy Burów straciło łączność z kulturą kontynentu swoich przodków. Dla niektórych był to jednak świadomy wybór. Powojenna Afryka Południowo-Zachodnia była wyjątkowo zacofanym krajem, w którym niewielkie niemieckie społeczności, żyjące w odizolowanych osadach na bezkresnych sawannach żyznego płaskowyżu, lamentowały nad klęską i upadkiem drugiej i trzeciej Rzeszy. Razem z ostatnimi weteranami Schutztruppe fale niemieckiej historii wyrzuciły na brzeg Afryki Południowo-Zachodniej jeszcze jedną grupę. Do lat 90. XX wieku Afryka Południowo-Zachodnia znana była wśród reporterów i podróżników z powodu tak zwanych nazistów z buszu – Niemców, czasami weteranów armii hitlerowskiej, którzy w miejscowych piwiarniach butnie świętowali urodziny Hitlera i wywieszali przed swoimi domami flagi ze swastyką.

W małym miasteczku Omaruru jeden z piekarzy świętował urodziny Führera, ozdabiając bułki swastyką. W 1987 roku, kiedy zmarł Rudolf Hess, grupa namibijskich Niemców zamieściła ogłoszenie w wydawanej w Windhuku „Allgemeine Zeitung”, w którym określiła zastępcę Hitlera „ostatnim przedstawicielem lepszych Niemiec”. Jeszcze w 2005 roku w pewnym czasopiśmie z Windhuku pojawił się artykuł, sponsorowany przez grupę nazywającą się Międzynarodowa Akcja przeciwko Niepamięci, wychwalający śmierć słynnego „łowcy nazistów” Simona Wiesenthala. „Z radością i satysfakcją – czytamy w tekście – przyjęliśmy wiadomość o śmierci tego potwora. 20 września wszyscy mieszkańcy ziemi uwolnili się od Simona. (...) Jego największą zbrodnią było to, że żył 96 lat”.

W ostatnich latach Namibijszczyki niemieckiego pochodzenia odcinali się od tego typu poglądów i neonazistowskie sympatie są wśród nich bez wątpienia rzadkie i z każdym rokiem maleją. Niechęć niemieckiej mniejszości do potępienia nazistowskiego okresu idzie jednak w parze z odrzuceniem historii Namibii. Narodziła się kultura zaprzeczania, która wszelkie próby wydobycia na światło dzienne i upamiętnienia eksterminacji Hererów i Nama, podejmowane przez ich potomków, uważa

za atak na Niemcy, a szczególnie na Namibijczyków niemieckiego pochodzenia.

Zwolennicy tego podejścia lekceważą ludobójstwa, uważając je za zaledwie „historyczną hipotezę”, i gorliwie oponują, kiedy pojawia się temat obozów koncentracyjnych. Na początku 2009 roku „Allgemeine Zeitung” z Windhuku opublikowała list pewnego Niemca z Namibii, który potępiał użycie słowa „obóz koncentracyjny” (*Konzentrationslager*) na pomniku wzniesionym przez Hererów w Swakopmundzie, w pobliżu miejsca jednego z tamtejszych obozów. Ale to właśnie określenia „*Konzentrationslager*” użył von Schlieffen w wysłanym von Trocie rozkazie. Używały go też oddziały Schutztruppe^[504]. Podobnie drażliwa jest kwestia pracy przymusowej, choć zamiast jej zaprzeczać, najczęściej się ją pomija. W innym artykule z tego samego roku, w dodatku do „Die Republikein”, najważniejszej gazety w języku afrykanerskim, powolną budowę nowej linii kolejowej na południu Namibii porównywano z błyskawicznym tempem, w jakim podobną linię wzniesiono w latach 1905–1906. W artykule twierdzono, że oryginalną linię kolejową Aus – Lüderitz w ciągu kilku miesięcy zbudowała setka niemieckich żołnierzy. Nie wspomniano ani słowem o tysiącach więźniów – głównie kobiet i dzieci Hererów – którzy tak naprawdę zbudowali tę linię kolejową, ani o tym, że prawie dwa tysiące z nich zmarło z wyczerpania na pustyni^[505].



Historia ludobójstwa Hererów i Nama ważna jest nie tylko jako zlekceważona przepowiednia tego, co miało się wydarzyć w XX-wiecznej Europie. Nie służy też temu obarczanie nią Niemców i niemieckiej ludności Namibii, żeby zmusić ich do przyjęcia winy za zbrodnie ich przodków. Jest ona sama w sobie konsekwencją tych wydarzeń. Dla potomków ofiar ludobójstwo nie jest jakimś odległym wspomnieniem, ale otwartą raną, która ma wpływ na ich codzienną egzystencję.

Afryka Południowo-Zachodnia była ostatnią kolonią na kontynencie, która uzyskała niepodległość dopiero w roku 1990, po upadku apartheidu w RPA. Władza Pretorii w kolonii, którą zdobyła w 1919 roku, załamała się dopiero po długiej i ciężkiej wojnie, toczony przez oddziały SWAPO – Organizacji Ludu Afryki Południowo-Zachodniej (South West African People's Association) oraz jej kubańskich i angolskich sojuszników. To ostateczne i zdecydowane odrzucenie kolonialnych rządów białych zostało uznane przez wielu Namibijczyków za bezpośrednią kontynuację wojen, które na początku XX wieku toczyli z Niemcami Hererowie, Nama i inne ludy. Wśród namibijskich przywódców, którzy w latach 50. i 60. stawiali czoło Południowoafrykańczykom, był, między innymi, wódz Hererów Hosea Kutako, który nie tylko walczył pod Waterbergiem, ale też przetrwał obóz koncentracyjny Omaruru. Obok niego stał jeden z przywódców Nama – Hendrik Samuel Witbooi, wnuk brata Hendrika Witbooi.

Jedną ze zdobyczy czarnoskórych mieszkańców powstałej w 1990 roku Namibii była możliwość

podważenia oficjalnej wersji historii, którą narzuciła biała mniejszość. W XX wiek Afryka Południowo-Zachodnia stała się państwem głęboko wierzącym w swój mit założycielski – wypaczoną fantazję pogranicza, która przekształciła się w oficjalną mitologię, poręczoną przez RPA i podpartą rasowym porozumieniem Burów, Brytyjczyków i Niemców, zawartym w 1927 roku przy stosie, na którym spalono *Niebieskie Księgi*.

Czarna większość – Hererowie, Nama, Owambo, San, Damara i inni – miała jednak własne historie, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Starsi pokazywali młodszym, gdzie zostali pochowani ich przodkowie, oraz wskazywali „święte miejsca”, gdzie przelano krew ich ludu. Ci, którzy przetrwali obozy i pracę przymusową, dawali swoim dzieciom miedziane plakietki identyfikacyjne, które musieli nosić – namacalne dowody swojej roli w nieszczęściach, jakie dotknęły ich naród. Nawet dziś ostatni żyjący Hererowie i Nama, którzy urodzili się w niemieckiej niewoli, znają historie opowiedziane im przez krewnych albo starszyznę. Pani Unjekererua wa Karumbi, starsza Hererka, mieszka w dawnym rezerwacie na granicy pustyni Omaheke. Ma ponad osiemdziesiąt lat, ale wciąż zna imiona ośmiu członków swej rodziny, którzy w czasie wojny zostali „zabrani do Lüderitz”. Przeżył tylko jeden. W czasie południowoafrykańskich rządów marzyła o tym, by móc pojechać do Lüderitz i „na własne oczy zobaczyć, jak umarli”, ale na przeszkodzie stały obowiązujące wówczas przepisy ruchu wewnętrznego, a także dojmująca bieda. Stara, przykuta do łóżka, coraz więcej zapomina i zacina się, wymieniając imiona, które kiedyś przekazał jej wujek^[506].

Dla wielu Hererów ofiary wojny i obozów są nie tylko imionami. Mimo katastrof, jakie na nich spadły, i wieloletniego wysiłku misjonarzy, Hererowie zachowali dawną religię i jej głęboką więź z duchami przodków. Dla ludzi, dla których ziemia stanowi ucieleśnienie zmarłych, pomnikiem upamiętniającym ludobójstwo jest cały kraj porany grobami. Kiedy w latach 20. XX wieku założono miasto Otjimanangombe, miejscowi Hererowie odmówili zbudowania domów na dwóch niskich wzgórzach we wschodniej jego części. Pod koniec 1904 roku niemiecki patrol natknął się tam bowiem na grupę Hererów i w walce, która się wywiązała, zginęło kilku niemieckich żołnierzy oraz kilku hererskich wojowników. Dla tych ostatnich wzgórze Otjimanangombe stały się miejscem, w którym żywi nie mieli czego szukać.

W latach 90. XX wieku złamano tabu, kiedy drzewo rosnące na jednym ze wzgórz ścięto i wykorzystano do budowy ogrodzenia. Tydzień później wyszła jedna z głównych studni miasteczka. Kiedy rządowi inżynierowie nie byli w stanie rozwiązać problemu, starszyzna Hererów wzięła sprawę we własne ręce. Skontaktowawszy się z przodkami rodziny Oseu – której dwóch członków zginęło w potyczce 1904 roku – zarzęli krowę i zakopali jej kości na wzgórzu. Ku zadowoleniu starszyny po tygodniu woda wróciła do studni. Kiedy kilka lat później inżynierowie namibijskiej telefonii komórkowej chcieli postawić na wzgórzu maszt radiowy, mieszkańcy

Otjimanangombe sami temu zapobiegli^[507].

Mimo wielu nieszczęść i ciągłej biedy Hererowie są ludem bardzo zorganizowanym. Co roku czczą rocznicę dokonanego na ich przodkach ludobójstwa. W ostatni weekend sierpnia tysiące z nich zbierają się w Okahandja, które formalnie pozostaje stolicą Hererów. Kobiety mają na sobie długie suknie w stylu wiktoriańskim oraz kapelusze w kształcie krowich rogów, a mężczyźni wojskowe mundury, wzorowane na tych, jakie nosili żołnierze armii południowoafrykańskiej, która w 1915 roku położyła kres niemieckim rządóm. Przemarsz zaczyna się w małej miejscinie z czasów apartheidu, położonej na krawędzi Okahandja. Następnie mija się miejsce po dawnym niemieckim forcie, gdzie zaczęło się ich powstanie, by wreszcie dojść do małego cmentarza, na którym znajdują się groby Samuela Maharero i jego syna Friedricha. Żałobnicy w ciszy obchodzą groby i okazują szacunek, dotykając dłońmi muru cmentarza.

Kolonializm zostawił Hererom wspomnienia i duchy przodków, ale niewiele ponadto. W wojnie 1904 roku, która zabrała im 80 procent ludzi, utracili też niemal całą ziemię. Choć od chwili uzyskania niepodległości miała miejsce jakaś redystrybucja ziemi, większość terenów uprawnych w Namibii wciąż należy do około czterech tysięcy białych farmerów. Około ćwierć miliona Hererów nadal mieszka w dawnych rezerwach tubylców, dokąd w latach 20. władze Afryki Południowej zagnały ich przodków. Dotknięci straszliwą biedą, utrzymywali się z hodowli zwierząt na wspólnej ziemi – tak wyjałowionej i wysuszonej, że z trudem nadawała się dla kóz, a co dopiero dla bydła. Dwieście tysięcy czarnych Namibijczyków pracowało jako robotnicy rolni na należących do białych farmach. Warunki panujące na niektórych z nich przypominały inną epokę. Wielu robotników żyło w ciągłym długu wobec swoich pracodawców, właściciele sklepów sprzedających podstawowe towary. Problem długu pogłębia niekiedy alkoholizm, przypadłość, która nęka odizolowane społeczności albo były ludy kolonialne. W raporcie amerykańskiego Departamentu Stanu na temat praw człowieka w Namibii z 2008 roku czytamy, że „robotnicy rolni i służba domowa pracująca na odległych, wiejskich farmach często nie znają swoich praw, a związki zawodowe, kiedy chcą zorganizować tych robotników, napotykają na ogromne przeszkody. W rezultacie robotnicy rolni są regularnie wykorzystywani przez pracodawców”^[508].

Dzisiejsza Namibia jest jednym z państw o największych nierównościach społecznych na świecie. Koncentracja bogactwa, ziemi i przywilejów w rękach małej białej mniejszości pozostaje niewzruszona. Część czarnych Namibijczyków, szczególnie z północy i tych, którzy urodzili się już po uzyskaniu niepodległości, uciekła jednak przed pułapką biedy i dała początek tworzącej się czarnej klasie średniej. Koncentruje się ona w Windhuku, który stał się jednym z najbardziej zintegrowanych rasowo i etnicznie miast na południu kontynentu afrykańskiego. Choć można optymistycznie patrzeć na perspektywy rozwoju stolicy i północy kraju, południowa Namibia – niczym zastygła w czasie – jest wciąż powodem do zmartwienia.

Życie czarnych Namibijczyków na południu upływa pod znakiem ogromnej biedy i szalejącego bezrobocia. Potomkowie klanów Nama, które niegdyś rządziły tym rejonem, żyją – tak jak Hererowie – uprawiając ziemię na własne potrzeby albo pracując na farmach należących do białych. Gibeon, stolicy Witbooiów Nama od lat 40. XIX wieku, wiedzie się równie źle, jak innym miastom na południu. W bok od głównej drogi, przy której stoją stare, niemieckie domy z czasów kolonialnych, rozciąga się labirynt nieutwardzanych uliczek, prowadzących do nędżnych chałup bez bieżącej wody i odpowiednich warunków sanitarnych. Szczęśliwcy, którzy mają jakąś ziemię, hodują kozy albo – jeśli to możliwe – bydło. Reszta w większości żyje z tego, co zarobią krewni pracujący w miastach albo z wynoszących około 45 dolarów miesięcznie emerytur starszych członków rodziny.

W Gibeon zdarzają się jednak sporadyczne przebłyski przeszłości, przypominające odwiedzającym, że kiedyś było to królestwo Hendrika Witbooi. Od czasu do czasu z pustyni nadjedzie na koniu jeździec poszukujący wody i kierujący się w stronę pobliskiej Fish River. Stare niemieckie więzienie na przedmieściach – z zakratowanymi oknami, zbudowane z rozpadających się żółtawych cegieł – przypomina o tym, że kiedyś było to miasto zdolne do buntu, a nie dramatycznie potrzebujące odrodzenia. W Gibeon wciąż mieszkają potomkowie rodziny Witbooi. Alvina Petersen ma osiemdziesiąt jeden lat i jest prawnuczką Hendrika Witbooi, wodza, którego imię wymieniano w pałacu kajzera w Poczdamie i innych niemieckich ośrodkach władzy. Mieszka w budzie wzniesionej ze starych, pordzewiałych beczek na ropę, z płaskim dachem, pomalowanej na jaskrawy różowy kolor. Pani Petersen i jej mąż Hans siedzą na betonowym ganku i rozmyślają o stuleciu, które przyniosło ich ludowi jedynie cierpienia.

Tym, co łączy wszystkie klany Nama, jest prawdopodobnie wspólnota pamięci. Mimo powszechnej biedy cmentarz w Gibeon, gdzie pochowani są ci, którzy przeżyli Shark Island, utrzymany jest lepiej niż reszta miasteczka. Nama lamentują nad nieszczęściem ludobójstwa, ale wspominają także dzieje *kapteina* Hendrika i czasy, kiedy wojownicy Witbooiów – z karabinami w dłoniach i białymi bandanami na głowach – odmówili podporządkowania się potężne Niemiec. Co dwa lata przedstawiciele każdego z klanów Nama udają się do Lüderitz i na Shark Island upamiętniają trzy tysiące swoich rodaków, którzy zmarli na tej skalistej wysepce.

Lüderitz, po drugiej stronie zatoki, mimo budowy nowych hoteli i budynków mieszkaniowych, wciąż jest miastem pogranicza, do tego zastygłym w przeszłości – jeden z kominów starej fabryki jeszcze do niedawna był pomalowany na kolory czerwony, biały i czarny, barwy wilhelmińskich Niemiec, które przestały istnieć przed dziewięćdziesięcioma latami. Lüderitz jest wciąż bramą do strefy diamentów, choć dziś więcej wydobywa się ich z morza, za pomocą wielkich statków poszukiwawczych, dosłownie przeczesujących dno morskie i przefiltrujących piasek aby znaleźć cenne kamienie. Intruzi, którzy w wodach południowego wybrzeża Namibii poszukują diamentów na własną rękę, bez rządowej licencji, są zatrzymywani, a ich statki konfiskowane. Inną metodą

poszukiwania jest budowanie ogromnych metalowych ogrodzeń i potężnych pomp, które dosłownie wysysają wody Atlantyku z wybrzeża. W 2008 roku u wybrzeża Namib w taki sposób odkryto wrak XV- albo XVI-wiecznej hiszpańskiej karaweli. Wokół szczątków statku – zapewne najstarszego, jaki kiedykolwiek odnaleziono u wybrzeży subsaharyjskiej Afryki – znajdowały się tysiące złotych, hiszpańskich i portugalskich monet, sztabki miedzi, kość słoniowa, wyjątkowe XV-wieczne przyrządy nawigacyjne oraz ludzkie szczątki. W Namibii przeszłość zdaje się pojawiać z własnej woli.

Dziesięć lat wcześniej pustynia zaczęła zwracać ludzkie szczątki z innego okresu namibijskiej historii. W 1999 roku nowy, niepodległy rząd kraju, zwrócił uwagę na kilka masowych grobów w pobliżu Lüderitz. Znajdowały się one w odległości pięciu, sześciu kilometrów od miasta, na *Sperrgebiet*, polu diamentonośnym, które odgrodzono od reszty świata w 1908 roku. Przez sto lat dostęp do niego mieli tylko pracownicy kompanii poszukujących diamentów. Najbliższy z grobów, położony zaledwie o godzinę spaceru na północ od miasta, stanowi naprawdę wstrząsający widok. W słońcu bieleją kości udowe, żebra i czaszki, bez najmniejszego szacunku chaotycznie rozrzucone na piasku. Wśród szczątków znajdują się kawałki ubrań – wiktoriańskie kołnierzyki koszul w białe i niebieskie prążki, skórzane paski i parciane worki. Obok stoją wielkie maszyny górnicze, sprowadzone z Niemiec przez kompanie wydobywające diamenty jeszcze przed I wojną światową – ogromne, zardzewiałe, na wpół zakopane w piasku. Ich łańcuchy wyglądają jak żebra wielkiego, skamieniałego dinozaura. W 2006 roku przedstawiciele dziewięciu społeczności Nama zażądali od władz Namibii przeprowadzenia badań antropologicznych ludzkich szczątków, znajdujących się w zbiorowych mogiłach. Historia Namibii ruszyła do przodu.



W Niemczech historię ludobójstwa Hererów i Nama wydobyli z zapomnienia zarówno żywi, jak i umarli. W ostatnich latach w zbiorach różnych niemieckich uniwersytetów odnaleziono czaszki, a nawet zakonserwowane głowy więźniów. W kolekcji antropologicznej uniwersytetu we Fryburgu Bryzgowijskim znajduje się dwanaście czaszek z Namibii, a w Muzeum Historii Medycyny berlińskiej szkoły medycznej Charité aż czterdzieści siedem. Podejrzewa się, że wśród tych ostatnich znajdują się odcięte głowy siedemnaścioro więźniów, które w 1906 roku na Shark Island przygotował i wysłał do Niemiec obozowy lekarz, doktor Bofinger. Te „okazy” badał później Christian Fetzner, student medycyny, który opierając się na teoriach Eugena Fischera, chciał odnaleźć fizyczne podobieństwa między Nama i małpami człekokształtnymi. W październiku 2008 roku rząd Namibii oficjalnie zażądał zwrotu szczątków wszystkich Namibijczyków, które znajdowały się w niemieckich uniwersytetach.

Historia Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej powróciła do współczesnych Niemiec, po części dzięki działaniom Hererów i Nama oraz ich sojuszników w Niemczech. Mieszani rasowo

Namibijczycy niemieckiego pochodzenia, którzy czasami są potomkami dzieci urodzonych w wyniku gwałtów w obozach, także zażądali uznania ich historii. W 2001 roku Hererowie złożyli oficjalny wniosek o odszkodowania od rządu Niemiec oraz licznych niemieckich przedsiębiorstw, które czerpały zyski z ludobójstwa ich przodków albo ich pracy niewolniczej. Trzy lata później, w stulecie bitwy pod Waterbergiem, minister do spraw współpracy gospodarczej i rozwoju Heidemarie Wiertz-Zeul pojechała do Namibii i na dawnym polu bitwy wygłosiła przemówienie do zebranych Hererów, w którym potępiła działania generała von Trothy. Zaskoczyła wielu ludzi w Niemczech i Namibii, prosząc o wybaczenie i określając traktowanie Hererów i Nama mianem „ludobójstwa”. Choć był to odważny i słuszny krok – za który Wiertz-Zeul została potępiona przez część prasy niemieckiej – władze niemieckie ani słowem nie wspomniały o obozach koncentracyjnych, o ludobójstwo obwiniając przede wszystkim von Trothę i jego Schutztruppe. Tymczasem kiedy generał opuszczał kolonię w listopadzie 1905 roku, Nama jeszcze nie skapitulowali, a Hererów żyło czterdzieści tysięcy. Spośród nich zaledwie dziesięć tysięcy przeżyło obozy albo uniknęło niewoli.

Tego, co wydarzyło się w Namibii w latach 1904–1909, nie sposób wyjaśnić morderczym rasizmem jednego, choćby najbardziej fanatycznego wojskowego. Ofiary ludobójstwa zostały zabite w walkach 1904 roku przez armie dowodzone nie tylko przez von Trothę, ale i Leutweina. Umarły z pragnienia i wyczerpania na Omaheke. Ginęły w zasadzkach zastawianych przez patrole oczyszczające. Zabijano je, kiedy w 1906 roku próbowały poddawać się patrolom pokojowym. Nieznaną liczbę powiesili albo zastrzelili osadnicy w pierwszych tygodniach powstania.

Choć obozy założyła dowodzona przez von Trothę armia, za dużą część znęcania się i zabójstw odpowiedzialność ponosi administracja cywilna, biurokraci w rodzaju von Lindequista i Hintragera. W przypadku Shark Island to właśnie armia próbowała zamknąć obóz i ewakuować uwięzionych tam Nama, ale przeszkodził jej w tym gubernator i jego zastępca. Obozy i praca przymusowa – choć nie spowodowały większości ofiar – kosztowały życie tylu ludzi, ile dwa miesiące obowiązywania rozkazu eksterminacji.

Kiedy wraz ze zdobyciem niepodległości zaczęła wyłaniać się nowa historia Namibii, nie wszyscy byli w stanie pogodzić się z jej wykładnią. Trudno było jednak skutecznie podważać istnienie „zamiaru”, na podstawie którego można coś uznać za ludobójstwo. Rozkaz eksterminacji jest niewątpliwym dowodem zamiarów von Trothy, a w uzasadnieniu jego odwołania ze stanowiska pod koniec 1905 roku wprost czytamy o fizycznej niemożliwości unicestwienia całego narodu w kraju o wielkości 835 tysięcy kilometrów kwadratowych, kiedy nie ma się odpowiednich map, dróg, technologii, a do tego wciąż prowadzi się walkę z Nama^[509]. „Zamiar” widać na wszystkich okropnych etapach namibijskiego ludobójstwa. Widać go w odezwie skierowanej przez von Trothę do Nama w kwietniu 1905 roku, kiedy ostrzeża ich, żeby się poddali, jeśli nie chcą podzielić losu

Hererów. Można go wyczytać w oświadczeniu von Lindequista z grudnia 1906 roku, w którym wyraża nadzieję, że liczba Nama na Shark Island zostanie „jakoś zredukowana”, a także w wydanej przez niego zgodzie na wstrzymanie budowy nabrzeża w porcie Lüderitz z powodu dużej śmiertelności siły roboczej.

Choć negujący nie zdołali ominąć testu ludobójczego „zamiaru”, udało im się skoncentrować niemal całą uwagę opinii publicznej na von Trocie i rozkazie eksterminacji. Przypadkiem albo celowo odwróciło to uwagę od zapewne najbardziej nieprzyjemnego aspektu tej historii – tego, że to w Afryce Południowo-Zachodniej powstały pierwsze niemieckie obozy koncentracyjne – miejsca masowego zabijania. Wiele ludziom trudno zaakceptować mówienie o takich obozach poza kontekstem Trzeciej Rzeszy.



Co dla dzisiejszych, nowoczesnych i liberalnych Niemiec oznacza odkrycie masowych grobów na pustyni Namib, dokumentów i ludzkich szczątków w archiwach i na uniwersytetach? Jakie znaczenie ma fakt, że trzydzieści lat przed dojściem Hitlera do władzy w zapomnianej dziś niemieckiej kolonii żołnierze i biurokraci podjęli próbę eksterminacji dwóch miejscowych ludów, częściowo w obozach koncentracyjnych, a wszystko to w imieniu kajzera, a nie Führera?

Znajdujące się w Namibijskich Archiwach Narodowych zdjęcia żołnierzy strzegących obozów koncentracyjnych – zdrowych mężczyzn, ubranych w mundury i oficerki, pozujących wśród wychudzonych, przypominających szkieletów więźniów – robią dziś wrażenie aż nazbyt znajome i przejmujące. Tak wiele z tego, co wydarzyło się w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej na początku XX wieku, zwiastuje wydarzenia o czterdzieści lat późniejsze: obozy koncentracyjne, biurokratyzację zabijania, szczegółowe rejestrowanie śmiertelności i liczby ofiar, używanie pracy jako metody eksterminacji, transportowanie cywilów wozami bydlęcymi i zamęczenie pracą na śmierć, rasistowskich naukowców eksperymentujących na zwłokach więźniów, uznanie jednej grupy etnicznej za niewolników, którzy nie mogą oczekiwać żadnej innej przyszłości. Wszystko to miało miejsce w ramach ludobójstwa popełnionego w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, a następnie – na dużo większą skalę – w Europie lat 40. XX wieku.

Nie ma jednak żadnego ciągu przyczynowo-skutkowego, który łączyłby ludobójstwo Hererów i Nama ze zbrodniami Trzeciej Rzeszy. Nie było żadnej niepowstrzymanej siły, która musiała zaprowadzić Niemcy z Waterbergu do Norymbergi. Ludobójstwa Hererów i Nama oraz nazistowską wojnę rasową w celu skolonizowania Europy Wschodniej można jednak postrzegać jako aspekty tego samego zjawiska – narodzin straszliwej formy rasistowskiego kolonializmu, który postrzegał historię ludzkości przez pryzmat wypaczonego darwinizmu społecznego, a ziemię uważał za pole bitwy na którym „słabi” są skazani na zagładę.

[495] Mark Mazower, *Hitler's Empire: Nazi Rule in Occupied Europe*, London 2008, s. 593.

[496] Peter H. Katjavivi, *A History of Resistance in Namibia*, London 1988, s. 14.

[497] Jan-Bart Gewald, *We Thought We Would Be Free*, Cologne 2000.

[498] Jeremy Silvester, Jan-Bart Gewald, *Words Cannot Be Found: German Colonial Rule in Namibia*, Leiden 2003.

[499] Cyt. za: Jan-Bart Gewald, *The Politics of Reconciliation: Destroying the Blue Book*, s. 13 (w przygotowaniu).

[500] Silvester, Gewald, op. cit.

[501] *The Native Bluebook*, „Windhoek Advertiser”, 31 lipca 1926.

[502] Wówczas jeszcze Nową Oczyszczoną Partię Narodową, która zmieniła nazwę w 1951 roku, po połączeniu z Partią Afrykanerów (przyp. tłum.).

[503] Klaus Dierks, *Chronology of Namibian History*, Windhoek 2002, s. 211.

[504] *Nuue spoorlyn ontspoor by Tsaukaib*, „Die Republikein” [Suiderland], 17 marca 2009.

[505] Ibidem. W powszechnie dostępnej książce na temat historii namibijskich kolei kwestia wykorzystania pracy przymusowej przy budowie linii kolejowej Aus – Lüderitz również jest przemilczana. Zob. Brenda Bravenboer, Walter K.E. Rusch, *The First One Hundred Years of State Railways in Namibia*, Windhoek 1997.

[506] *Nuue spoorlyn ontspoor by Tsaukaib*, „Die Republikein” [Suiderland], 17 marca 2009.

[507] Ibidem.

[508] Bureau of Democracy, Human Rights, and Labor, *Namibia Country Reports on Human Rights Practices 2007*, 11 March 2008, <<http://www.state.gov/j/drl/rls/hrrpt/2007/100496.htm>>.

[509] Labour Resource and Research Institute (LARRI), *Farm Workers in Namibia: Living and Working Conditions*, Windhoek 2006.

Bibliografia

Źródła archiwalne

Archives of the Evangelical Lutheran Church in Namibia^[510], Rheinische Missionary Society (ELCN, RMS):

V 12 Karibib, 1904.

Correspondence VII 31.1, Swakopmund 1–7.

Chroniken 31, Swakopmund.

Missions-berichte 1906.

Archiv der Vereinten Evangelischen Mission (Wuppertal-Barmen) (RMG)

Bayerische Staatsbibliothek:

Ratzeliana I.2, 1897.

Bundesarchiv Berlin (Lichterfelde-West) (BAB):

Colonial Department, teczki 2089, 2117, 2118.

Bundesarchiv Koblenz (BAK)

Cape Archives (Cape Town)

GH 23/97, *Statement under oath by: Jack Seti, John Culayo and James Tolibadi*, Ministers to Governor, August 22, 1906.

„Journals of the London Mission Society”, Schmelen 1819.

National Archives of Namibia (NAN)

Accession 71, 109, 453, 510, 569.

BKE 224, t. 2, 74.d. spec. I.

BSW 107, VA/10/6.

Photo collection.

ZBU 454, t. 1, 2; 2372, IX. H. vol. 1.

National Archives of South Africa (NASA)

GG Office

The Trial of German Major War Criminals: Proceedings of the International Military Tribunal Sitting at Nuremberg, Germany 20th November 1945 to 1st October 1946, HM Stationery Office, London 1946–1951, cz. 9: 12–22 March 1946.

Źródła drukowane

Bureau of Democracy, Human Rights, and Labor, *Namibia Country Reports on Human Rights Practices 2007*, 11 March 2008, <http://www.state.gov/j/drl/rls/hrrpt/2007/100496.htm>.

Decree of the Governor of German South-West Africa on the Half-Caste Population, 23 May 1912, „Deutsches Kolonialblatt” 1912.

General Staff, *The Union of South Africa and the Great War 1914–1918: Official History*, The Government Printing and Stationery Office, Pretoria 1924.

History and Historiography, Namibian National Archives, Windhoek 1995.

[Hitler Adolf], *Monologue im Führerhauptquartier, 1941–4: die Aufzeichnungen Heinrich Heims*, oprac. Werner Jochmann, Wilhelm Heyne Verlag, München 1980.

Kommando der Schutztruppen im Reichskolonialamt, Sanitäts-Bericht Über die Kaiserliche Schutztruppe für südwestafrika während des Herero und Hottentotentenaufstandes für die Zeit vom 1. Januar 1904 bis 31. März 1907. T. 1: 1. Administrativer Teil, Berlin 1909.

Kriegsgeschichtlichen Abteilung I des Grossen Generalstabes, Die Kämpfe der deutschen Truppen in Südwestafrika, t. 2, Ernst Siegfried Mittler und Sohn, Berlin 1907.

Labour Resource and Research Institute (LARRI), *Farm Workers in Namibia: Living and Working Conditions*, Windhoek 2006.

Stenographische Berichte über die Verhandlungen des deutschen Reichstages, 11. Legislature, II. Session, Berlin 1905–1907.

Union of South Africa, *Report on the Natives of South-West Africa and Their Treatment by Germany*, HMSO, London 1918.

Druki zwarte

Adams Cyrus C., *The African Colonies and the German War*, „Geographical Review”, czerwiec 1916.

[Anonim], *Tagebuchblätter aus Südwest-Afrika*, Boll und Pickardt, Berlin 1906.

[Auer Georg], *In Südwestafrika gegen die Hereros: Nach den Kriegs-Tagebüchern des Obermatrosen G. Auer*, Ernst Hofmann & Co., Berlin 1911.

Axelsson Eric, *Congo to Cape: Early Portuguese Explorers*, Faber and Faber, London 1973.

Baericke Max Ewald, *Luederitzbucht: 1908–1914*, Namibia Wissenschaftliche Gesellschaft, Windhoek 2001.

Bayer Maximilian, *Die Nation der Bastards*, „Zeitschrift für Kolonialpolitik, Kolonialrecht und Kolonialwirtschaft” 1906, 8.9.

Bayer Maximilian, *Der Krieg in Südwestafrika und seine Bedeutung für die Entwicklung der Kolonie*, Verlag von Friedrich Engelmann, Leipzig 1906.

Bayer Maximilian, *Mit Hauptquartier in Südwestafrika*, Wilhelm Weicher Marine und Kolonialverlag, Berlin 1909.

Bennett Benjamin, *Hitler over Africa*, T. Werner Laurie, London 1939.

Berenbaum Michael, Peck Abraham J. (red.), *The Holocaust and History: The Known, The Unknown, The Disputed and The Reexamined*, Indiana University Press, Bloomington, IN 2002.

Black Edwin, *Wojna przeciw słabym: eugenika i amerykańska kampania na rzecz stworzenia rasy panów*, przeł. Hanna Jankowska, Muza, Warszawa 2004.

Bley Helmut, *Namibia under German Rule*, LIT, Hamburg 1996.

Bofinger [Dr Stabsarzt], *Einige Mitteilungen über Skorbut*, „Deutsche militärärztliche Zeitschrift” 1910, 39.15.

Bravenboer Brenda, Rusch Walter, *The First 100 Years of State Railways in Namibia*, TransNamib Museum, Windhoek 1997.

Bridgman Jon M., *The Revolt of the Hereros*, University of California Press, Berkeley, CA 1981.

Brodersen-Manns Hertha, *Wie Alles Anders Kam in Afrika*, Kuiseb Verlag, Windhoek 1991.

Bullock Alan, *Hitler i Stalin: żywoty równoległe*, przeł. Jan Mianowski, Feliks Pastusiak, Magdalena

- Lipska, Marek Rudowski, t. 2, Państwowy Instytut Wydawniczy, Bellona, Warszawa 1994.
- Bülow Bernhard von, *Denkwürdigkeiten*, t. 2: *Von der Marokko-Krise bis zum Abschied*, Ullstein, Berlin 1930.
- Burleigh Michael, Wippermann Wolfgang, *The Racial State: Germany 1933–1945*, Cambridge University Press, Cambridge 1991.
- Butler Rohan d'O., *The Roots of National Socialism, 1783–1933*, Faber and Faber, London 1941.
- Buttmann Günther, *Friedrich Ratzel: Leben und Werk eines deutschen Geographen 1844–1904*, Wissenschaftliches Verlagsgesellschaft, Stuttgart 1977.
- Cecil Robert, *Hitler's Decision to Invade Russia, 1941*, Davis-Poynter, London 1975.
- Concentration Camps during the Boer War*, Stanford University Library Collection, <http://library.stanford.edu/depts/ssrg/africa/boers.html>.
- Cornell Fred, *The Glamour of Prospecting*, F.A. Stokes, New York 1920.
- Curtin Philip D., *The Image of Africa*, t. 1, Madison, WI, London 1973.
- Dallas Gregor, *1918: War and Peace*, John Murray, London 2000.
- Dallin Alexander, *German Rule in Russia: 1941–1945*, Macmillan, London 1957.
- Dierks Klaus, *Chronology of Namibian History*, Namibia Scientific Society, Windhoek 2002.
- Dincklage-Campe Friedrich von, *Deutsche Reiter in Südwest*, Deutsches Verlagshaus Bong, Berlin 1908.
- Dorpalen Andreas, *The World of General Haushofer*, Farrar & Rinehart, Inc., New York 1942.
- Drechsler Horst, *Let Us Die Fighting*, Akademie-Verlag, Berlin 1986.
- Eckenbrecher Margarethe von, *Was Afrika Mir Gab und Nahm*, Mittler, Berlin 1908.
- Eckl Andreas, *S'ist ein übles Land hier*, Ruediger Koeppe Verlag, Cologne 2005.
- Ehmann Annegret, *From Colonial Racism to Nazi Population Policy: The Role of the So-Called Mischlinge*, w: Michael Berenbaum, Abraham J. Peck (red.), *The Holocaust and History: The Known, The Unknown, The Disputed and The Reexamined*, Indiana University Press, Bloomington, IN 2002.
- Eley Geoff (red.), *Society, Culture, and the State in Germany, 1870–1930*, University of Michigan Press, Ann Arbor 1998.
- Epstein Klaus, *Erzberger and the German Colonial Scandals: 1905–1910*, „The English Historical

Review”, październik 1959, 74, nr 293.

Erichsen Casper W., *The Angel of Death Has Descended Violently among Them: Concentration Camps and Prisoners-of-War in Namibia, 1904–08*, African Studies Centre, Leiden 2005.

Erichsen Casper W., *What the Elders Used to Say*, Namibia Institute for Democracy, Windhoek 2008.

Estorff Ludwig von, *Kriegserlebnisse in Südwestafrika*, „Militärwochenblatt” 1911.

Estorff Ludwig von, *Wanderungen und Kämpfe in Südwestafrika, Ostafrika und Südafrika 1894–1910*, John Meinert (Pty) Ltd, Windhoek 1996.

Fetzer Christian, *Rassenanatomische Untersuchungen an 17 Hottentotenkoepfen*, „Zeitschrift für Morphologie und Anthropologie” 1912, nr 16.

Fierla Damian, *Powstanie Bokserów 1899–1901*, seria „Wielkie Bitwy Historii”, t. 4, Wydawnictwo „Taktyka i Strategia”, Oficyna Wydawnicza „Alma-Press”, Warszawa 2007.

Fischer Adolf, *Menschen und Tiere in Südwestafrika*, Safari Verlag, Berlin 1914.

Fischer Eugen, *Das Rehobother Bastardvolk*, „Die Umschau” 1910, nr 13.

Fischer Eugen, *Begegnung Mit Toten*, Hans Ferdinand Schulz Verlag, Freiburg 1959.

Fischer Eugen, *Die Rehobother Bastards und das Bastardierungsproblem beim Menschen*, Gustav Fischer, Jena 1913.

Fischer Fritz, *Germany's Aims in the First World War*, Chatto & Windus, London 1967.

François Curt von, *Deutsch-Südwestafrika: Geschichte der Kolonisation bis zum Ausbruch des Krieges mit Witbooi, April 1893*, Berlin 1899.

François Hugo von, *Nama und Damara*, Magdeburg 1895.

Friedlander Henry, *The Origins of Nazi Genocide: From Euthanasia To the Final Solution*, University of North Carolina Press, Chapel Hill, NC, London 1995.

Friedrichsmeyer Sara L., Lennox Sara, Zantop Suzanne M. (red.), *The Imperialist Imagination: German Colonialism and Its Legacy*, University of Michigan Press, Ann Arbor, MI 1998.

Gann L.H., Duignan Peter, *The Rulers of German Africa, 1884–1914*, Stanford University Press, Stanford, CA 1977.

Gewald Jan-Bart, *The Great General of the Kaiser*, „Botswana Notes and Records” 1994, nr 26.

Gewald Jan-Bart, *Herero Heroes: A Socio-political History of the Herero of Namibia, 1890–1923*,

James Currey, Oxford 1999.

Gewald Jan-Bart, *Learning to Wage and Win Wars in Africa*, ASC Working Paper, Leiden 06/2005.

Gewald Jan-Bart, *The Politics of Reconciliation: Destroying the Blue Book* (w przygotowaniu).

Gewald Jan-Bart, *Towards Redemption*, CNWS, Leiden 1996.

Gewald Jan-Bart, *We Thought We Would Be Free*, Rüdiger Koepe Verlag, Cologne 2000.

Gifford Prosser, Louis William Roger, *Britain and Germany in Africa: Imperial Rivalry and Colonial Rule*, Yale University Press, New Haven, CT, London 1967.

Gilbert Gustave Mark, *Dziennik norymberski*, przeł. Tomasz Łuczak, Sfery, Warszawa 2012.

Goldblatt Israel, *The History of South West Africa: From the Beginning of the Nineteenth Century*, Juta and Co. Ltd, Cape Town 1971.

Goodrick-Clarke Nicholas, *Okultystyczne źródła nazizmu: tajemne kultury aryjskie i ich wpływ na ideologię nazistowską*, przeł. Jerzy Prokopiuk, Aletheia, Warszawa 2010.

Gordon Robert, *The Rise of the Bushman Penis: Germans, Genitalia and Genocide*, „African Studies” 1998, 57.1.

Gordon Robert, Douglas Stuart S., *The Bushman Myth: The Making of a Namibian Underclass*, Westview Press, Oxford 2000.

Göring Heinrich E., *Anfang in Deutsch-Südwest*, w: Werner von Langdorff, *Deutsche Flagge ueber Sand un Palmen*, C. Bertelsmann, Gütersloh 1936.

Gritzbach Erich, *Hermann Goering: The Man and His Work*, Hurst & Blackett, London 1939.

Haar Ingo, Fahlbusch Michael, *German Scholars and Ethnic Cleansing, 1920–1945*, Berghahn Books, New York and Oxford 2005.

Hayes Patricia, Haiping Dan (red.), *Healing the Land: Kaulinge's History of Kuanyama*, Ruediger Koepe Verlag, Cologne 1997.

Heyden Ulrich van der, Zeller Joachim (red.), *Kolonial Metropole Berlin*, Berlin Edition, Berlin 2002.

Heywood Annemarie, Maasdorp Eben (red.), *The Hendrik Witbooi Papers*, National Archives of Namibia, Windhoek 1995.

Hintrager Oskar, *Das Mischehen-Verbot von 1905, in Deutsch-Südwestafrika*, „Africa-Nachrichten” 1941, 22.2.

- Hintrager Oskar, *Südwestafrika in der deutschen Zeit*, Kommissionsverlag, München 1955.
- Hitler Adolf, *Mein Kampf*, przeł. Irena Puchalska, Piotr Marszałek, Werset, Kraków 1992.
- Hitler's Table Talk 1941–1944: His Private Conversation*, tłum. Norman Cameron, R.H. Stevens, Weidenfeld & Nicolson, London 1953.
- Hoogenhout P.I., *An Abbe and an Administrator*, „SWA Annual” 1965, 21.
- Horne John, Kramer Alan, *German Atrocities, 1914: A History of Denial*, Yale University Press, New Haven, CT, and London 2001.
- Hull Isabel V., *Absolute Destruction: Military Culture and the Practices of War in Imperial Germany*, Cornell University Press, Ithaca, NY 2005.
- Jitschin Constantin, *Als Reiter in Südwest*, Flemmings Verlag, Breslau 1937.
- Jones Nigel, *The Birth of the Nazis: How the Freikorps Blazed a Trail for Hitler*, Robinson, London 2004.
- Kaiser D.E., *Germany and the Origins of World War I*, „Journal of Modern History”, wrzesień 1983, 55.3.
- Katjavivi Peter H., *A History of Resistance in Namibia*, Currey, London 1988.
- Kershaw Ian, *Hitler, 1889–1936*, przeł. Przemysław Bandel, Rebis, Poznań 2002.
- Kock W.J. de (red.), *Dictionary of South African Biography*, t. 1, Nasionale Boekhandel for the National Council for Social Research, Cape Town 1968.
- Krumbach Josef H., *Franz Ritter von Epp: Ein Leben für Deutschland*, NSDAP, München 1940.
- Kühne Horst, *Die Ausrottungsfeldzüge der „Kaiserlichen Schutztruppen in Afrika” und die sozialdemokratischen Reichstagsfraktion*, „Militaergeschichte” 1979, 18.
- Langsdorff Werner von, *Deutsche Flagge über Sand un Palmen*, C. Bertelsmann, Gütersloh 1936.
- Large David Clay, *Where Ghosts Walked: Munich's Road to the Third Reich*, W.W. Norton, New York and London 1997.
- Lau Brigitte, *Namibia in Jonker's Afrikaner's Time*, National Archives of Namibia, Windhoek 1987.
- Lau Brigitte, *Uncertain Certainties*, w. *History and Historiography*, Namibian National Archives, Windhoek 1995.
- Lau Brigitte (red.), *Carl Hugo Hahn: Tagebuecher 1837–1860*, National Archives of Namibia, Windhoek 1984.

Lau Brigitte (red.), *Charles John Andersson: Trade and Politics in Central Namibia 1860–1864*, National Archives of Namibia, Windhoek 1989.

Lettow-Vorbeck Paul Emil von, *Mein Leben*, Koehlers, Biberach an der Riss 1957.

Leutwein Theodor, *Elf Jahre Gouverneur in Deutsch-Südwestafrika*, Ernst Siegfried Mittler und Sohn, Berlin 1907.

Lindqvist Sven, *Wytepić całe to bydło*, przeł. Milena Haykowska, WAB, Warszawa 2009.

Liulevicius Vejas Gabriel, *War Land on the Eastern Front: Culture, National Identity and German Occupation in World War I*, Cambridge University Press, Cambridge 2000.

Lochner Louis P. (red.), *The Goebbels Diaries 1942–1943*, Hamish Hamilton, London 1948.

Lower Wendy, *Hitler's Garden of Eden in Ukraine: Nazi Colonialism, Volksdeutsche and the Holocaust, 1941–1944*, w: Jonathan Petropoulos, John K. Roth (red.), *In Gray Zones: Ambiguity and Compromise in the Holocaust and Its Aftermath*, Berghahn, New York, Oxford 2005.

Lukacs John, *Tocqueville: The European Revolution and Correspondence with Gobineau*, Doubleday, New York 1959.

Lusane Clarence, *Hitler's Black Victims*, Routledge, New York, London 2002.

Luschan Felix von, *Beitraege zur Voelkerkunde der deutschen Schutzgebiete: Erweiterte Sonderausgabe aus dem „Amtlichen Bericht ueber die erste deutsche Kolonial-Ausstellung“ in Treptow 1896*, Reimer, Berlin 1897.

Mazower Mark, *Hitler's Empire: Nazi Rule in Occupied Europe*, Allen Lane, London 2008.

Meinecke Gustav (red.), *Deutsche Kolonialzeitung: Organ der Deutschen Kollonialgesellschaft, Compendium*, t. 9, Berlin 1896.

Mosley Leonard, *The Reich Marshal: A Biography of Hermann Goering*, Pan, London 1977.

Mossolow N., *Waterberg*, John Meinert (Pty) Ltd, Windhoek 1993.

Müller-Hill Benno, *Murderous Science*, Oxford University Press, Oxford 1987.

Noakes Jeremy, Pridham Geoffrey (red.), *Nazism: A History in Documents and Eyewitness Accounts, 1919–1945*, t. 1, University of Exeter Press, Exeter 1983.

Nuhn Walter, *Feind Überall*, Bernard & Graefe Verlag, Bonn 2000.

Pape Günter, *Lorang*, Klaus Hesse Verlag, Göttingen 2003.

Petropoulos Jonathan, Roth John K. (red.), *In Gray Zones: Ambiguity and Compromise in the*

Holocaust and Its Aftermath, Berghahn, New York, Oxford 2005.

Pogge von Strandmann Hartmut, *Domestic Origins of Germany's Colonial Expansion under Bismarck*, „Past and Present”, 1969, 42.

Pool Gerhardus, *Die Herero-Opstand 1904–07*, Hollandsch Afrikaansche Uitgevers Maatschappij, Cape Town 1979.

Pool Gerhardus, *Samuel Maharero*, Gamsberg Macmillan, Windhoek 1991.

Ratzel Friedrich, *Anthropo-Geographie*, Elibron Classics Series, Stuttgart 2005.

Ratzel Friedrich, *Deutschland*, Walter de Gruyter & Co., Berlin 1943.

Reade Winwood William, *Savage Africa*, Smith, Elder & Co., London 1864.

Richie Alexandra, *Faust's Metropolis. A History of Berlin*, HarperCollins, London 1998.

Ritchie Eric Moore, *With Botha in the Field*, Longmans, Green and Co., London 1915.

Röhl J.C.G., *From Bismarck to Hitler: Problems and Perspectives in History*, Longmans, London 1970.

Röhl J.C.G., *Wilhelm II: The Kaiser's Personal Monarchy, 1888–1900*, Cambridge University Press, Cambridge 2004.

Rohrbach Paul, *Der Deutsche Gedanke in der Welt*, Langewiesche, Düsseldorf 1912.

Roosevelt Theodore, *The Winning of the West*, University of Nebraska Press, Lincoln, NE 1995, t. 1.

Rust Conrad, *Krieg und Frieden im Hereroland*, L.A. Kittler. Berlin 1905.

Sauer C.O., *The Formative Years of Ratzel in the United States*, „Annals of the Association of American Geographers”, czerwiec 1971, 61.2.

Schafft Gretchen E., *Racism to Genocide*, University of Illinois Press, Urbana, IL 2004.

Schrank Gilbert Isaac, *German South-West Africa: Social and Economic Aspects of Its History, 1884–1915* [nieopublikowana rozprawa doktorska], New York University, New York 1974.

Schultze Leonhard, *Südwestafrika*, w. Hans Meyer (red.), *Das Deutsche Kolonialreich*, t. 2, Verlag des Bibliographischen Instituts, Leipzig 1914.

Schwabe Kurd, *Mit Schwert und Pflug in Deutsch-südwestafrika*, Berlin 1904.

Schweinitz Hans Herman, Graf von i in., *Deutschland und seine Kolonien im Jahre 1896: Amtlicher Bericht über die Erste deutsche Kolonial-Ausstellung*, Verlag von Dietrich Reimer, Berlin 1897.

Shaw Stanley, *William of Germany*, Trinity College, Dublin 1913.

Shirer William L., *The Rise and Fall of the Third Reich: A History of Nazi Germany*, Secker and Warburg, London 1960; wyd. pol.: *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy: historia hitlerowskich Niemiec*, przeł. Małgorzata Sagin-Urbanik, Lilla Nabielec, Wydawnictwo Ryszard Kluszczyński, Kraków 1995.

Silvester Jeremy, Gewalt Jan-Bart, *Words Cannot Be Found: German Colonial Rule in Namibia*, Brill, Leiden 2003.

Sinclair L. (red.), *Collins German Dictionary Plus Grammar*, HarperCollins Publishers, Glasgow 2001.

Smith Woodruff D., *The German Colonial Empire*, University of North Carolina Press, Chapel Hill, NC 1978.

Smith Woodruff D., *The Ideological Origins of Nazi Imperialism*, Oxford University Press, Oxford 1986.

Spidle Jake W., *Colonial Studies in Imperial Germany*, „History of Education Quarterly”, jesień 1973, 3.3.

Stoecker Helmuth (red.), *German Imperialism in Africa: From the Beginnings until the Second World War*, Hurst, London 1986.

Tabel W., *Die literature der Kolonialzeit Südwestafrikas: Memoiren berühmter Persönlichkeiten: Curt von Francois*, w. *Afrikanischer Heimatskalender*, Informationsausschuss der Deutschen Evangelisch-Lutherischen Kirche in Südwestafrika, Windhoek 1984.

Toland John, *Adolf Hitler*, Doubleday, Garden City, NY 1976.

Townsend Mary Evelyn, *The Rise and Fall of Germany's Colonial Empire 1884–1918*, Macmillan, New York 1930.

Trautmann, *Im Herero und Hottentottenland*, Gerhard Stalling, Oldenburg 1913.

Traverso Enzo, *The Origins of Nazi Violence*, New Press, New York 2003.

Vedder Heinrich, *Was Dr Göring vor 55 Jahren in Okahandja erlebte*, w. *Afrikanischer Heimatskalender*, Windhoek 1940.

Vedder Heinrich, *Kurze Geschichten aus einem langen Leben*, Verlag der Rheinischen Missions-Gesellschaft, Wuppertal-Barmen 1953.

Walker Henry F.B., *A Doctor's Diary in Damaraland*, Edward Arnold, London 1917.

- Walther Daniel Joseph, *Creating Germans Abroad: Cultural Policies & National Identity in Namibia*, Ohio University Press, Athens, OH 2002.
- Wehler Hans Ulrich, *Bismarck's Imperialism*, „Past and Present” 1991, 48.
- Weikart Richard, *From Darwin to Hitler*, Palgrave Macmillan, New York, Basingstoke 2004.
- Wildenthal Lora, *She Is the Victor*, w. Geoff Eley (red.), *Society, Culture, and the State in Germany, 1870–1930*, University of Michigan Press, Ann Arbor 1998.
- Williams Frieda-Nela, *Precolonial Communities of Southwestern Africa: A History of Ovambo Kingdoms 1600–1920*, National Archives of Namibia, Windhoek 1991.
- Wünsch Dietlind, *Feldpostbriefe aus China*, Chr. Links Verlag, Berlin 2008.
- Zeller Joachim, *Symbolic Politics*, w. Jürgen Zimmerer, Joachim Zeller (red.), *Genocide in German South-West Africa: the Colonial War of 1904–1908 and Its Aftermath*, Merlin Press Ltd., Monmouth 2008.
- Zimmerer Jürgen, Zeller Joachim (red.), *Genocide in German South-West Africa: the Colonial War of 1904–1908 and Its Aftermath*, Merlin Press Ltd., Monmouth 2008.
- Zimmerman Andrew, *Anthropology and Antihumanism in Imperial Germany*, University of Chicago Press, Chicago 2001.
- Zimmerman Andrew, *Adventures in the Skin Trade*, w. H. Glenn Penny, Matti Bunzl (red.), *Worldly Provincialism: German Anthropology in the Age of Empire*, University of Michigan Press, Ann Arbor, MI 2003.

Gazety i czasopisma

„Cape Times”

„Cape Argus”

„Deutsches Kolonialblatt”

„Kolonial Post” 1937

„The Times” 1884–1888

„Zeitschrift für Kolonialpolitik. Kolonialrecht und Kolonialwirtschaft”

(przyp. tłum.).

Podziękowania

David Olusoga

Chciałbym podziękować Casperowi W. Erichsenowi, którego pasja oraz umiłowanie historii i mieszkańców Namibii umożliwiły powstanie tej książki. Susie Painter za jej wsparcie, uzasadniony krytycyzm i pomoc. Marion Olusoga za jej pomoc przy wczesnych wersjach książki i tłumaczeniach. Neil Belton i Kate Murray-Browne z Faber & Faber za ich entuzjazm i ciągłą cierpliwość.

Dalsze podziękowania za wsparcie i inspiracje otrzymują:

Sally-Ann Wilson z Commonwealth Broadcasting Association, której wsparcie finansowe oraz wiara w historię Namibii i jej tragiczną przeszłość pozwoliła autorom wspólnie podjąć pracę nad tą książką. Michael Poole i Roly Keating z BBC, którzy wyprodukowali i zlecili nakręcenie telewizyjnego filmu dokumentalnego, za sprawą którego zainteresowałem się głębiej historią Namibii. Nasz agent Charles Walker z agencji United Agents. Jeremy Silvester, który przedstawił sobie autorów, dając początek nie tylko tej książce, ale też cennej przyjaźni. Podziękowania otrzymują także wspaniali pisarze i badacze, z którymi miałem możliwość rozmawiać na temat tej historii: Adam Hochschild, Mike Davis, David Dabydeen i Henry Reynolds.

Casper W. Erichsen

Chciałbym podziękować Inatu Indongo Erichsen za jej miłość i wsparcie w czasie pracy nad książką, mojemu synowi, Helao Davidowi Wulffowi Erichsenowi oraz mojej matce, Elisabeth Erichsen.

Dalsze podziękowania otrzymują:

David Olusoga, jeden z najinteligentniejszych ludzi, jakich miałem przyjemność poznać i prawdziwy przyjaciel; Susie Painter, która wytrzymała z nami cztery szalone lata; Neil Belton i Kate Murray-Browne z Faber & Faber; Teis Wulff Owens; Janet Owens; Natascha Wulff; Angelo, Hannah i Mika Carlsen; rodzina Indongo, Bes, Gitte i Claus; babcia Leona i dziadek Joe.

Jeremy Silvester; Werner Hillebrecht; Ellen Namhila; Jan-Bart i Gertie Gewalt; Aulden i Rachael Harlech-Jones; Helao i Jane Shi-tyuwete; Kanjoo i David Lush; Robert i Rinda Gordon; Uno Katjipuka Sibolile; David Benade; Rudiger, Jessica, Finn i Narla Gretschel; Tim Huebschle; Steffen List; Robert Ross; Carsten Norgaard; klan Muurholmów; Alex Kaputu; Isak Fredericks; Gabs, Moonira i Momo Ur-goiti; Patricia Hayes i Ciraj Rasool; Simon Wilkie; Gerhardt Gurirab; Memory Biwa; Ivan Gaseb i Mette Gases; Hage Iyambo; Irleyn Kuhanga; Anette i Tommy Bayer; Bastian Schwarz i Hannelie Coetzee; Flemming G. Nielsen; rodzina Vigne; Mburumba Kerina; Utandua Austin; Mimi Mupetami; Naomi Boys; Nelson Garay Perez; Neville, Mandela, Martha, Abena i reszta ludzi z Towarzystwa Historycznego; Peter Pauli; Feltonowie; Jens Friis; Steve, Judy i Nyasha Murray; Morten Levy; Sean Neary; Chris Lappin; Jata Kazondu; Shasheeda Mberira; Ndapewa Ithana; Adam Ross, oraz moi koledzy z Positive Vibes, Anders Thomsen i Kim Isenbecker.

Indeks nazwisk

Abel Wolfgang

Adams Cyrus Cornelius

Andersson Charles John (właśc. Andersson Carl Johan)

Arco-Valley Anton (właśc. Arco auf Valley Anton)

Arendt Hannah (wcześn. Arendt Johanna)

Asquith Herbert Henry

Astel Karl

Attyla, wódz Hunów

Auer Georg

Austin Utandua

Axelson Eric

Bach-Zelewski Erich von dem (wcześn. Zelewski Erich von)

Baericke Max Ewald

Ballot D.W.

Bam Johannes Heinrich

Bamberger Ludwig

Bank Vitje

Barth Heinrich

Bartlet Leslie Cruikshank

Baur Erwin

Bayer Anette

Bayer Maximilian

Bayer Tommy

Bebel August

Beck, sierżant; niemiecki komendant okręgu Gibeon

Beesten von, porucznik niemieckich wojsk kolonialnych

Belton Neil

Benade David

Bennett Benjamin

Berenbaum Michael

Berger Carl

Beukes, rodzina

Beves Percival Scott

Bismarck Otto von

Biwa Memory

Black Edwin

Bley Helmut

Bofinger, lekarz w obozie na Shark Island

Bonn Moritz Julius

Booth Charles

Bormann Martin

Botha Louis

Boys Naomi

Bravenboer Brenda

Brazza Pierre de (właśc. Savorgnan di Brazzà Pietro)

Bremen, pani

Bridgman Jon M. (właśc. Bridgman Jonathan M.)

Brockmann Clara

Brodersen-Manns Hertha

Bullock Alan

Bülow Bernhard von

Bunzl Matti

Burgsdorff Karl Henning Konrad von

Burke Edmund

Burke J.D.L., zob. Lardner-Burke John Dermot

Burleigh Michael

Butler Rohan d'Olier

Buttmann Günther

Cameron Norman

Campbell Hendrik

Cão Diogo

Caprivi Leo von (właśc. Caprivi Georg Leo von)

Carlsen Angelo

Carlsen Hannah

Carlsen Mika

Cecil Robert

Cetshwayo, król Zulusów

Chamberlain Houston Stewart

Chamberlain Joseph

Christian Jan Abraham

Churchill Winston (właśc. Spencer-Churchill Winston Leonard)

Ciano Galeazzo

Cixi (właśc. Yohenara), cesarzowa Chin

Class Heinrich

Cleverly John James

Cloete, rodzina

Coetzee Hannelie

Conrad Joseph (właśc. Korzeniowski Teodor Józef Konrad)

Conradt Ludwig

Cooper James Fenimore

Cornell Fred (właśc. Cornell Frederick C.)

Cromer, porucznik piechoty armii USA

Crowe Eyre Alexander

Culayo John

Curtin Philip D.

Dabydeen David

Dallas Gregor

Dallin Alexander

Dame Friedrich Theodor

Darré Walther (właśc. Darré Richard Walther)

Darwin Karol (właśc. Darwin Charles)

Davies Norman

Davis Mike

Deimling Berthold Karl Adolf von

Dernburg Bernhard

Diagne Blaise

Diehl Philipp

Dierks Klaus

Dincklage-Campe Friedrich von

Dommer Bruno

Dorpalen Andreas

Douglas Stuart S. (właśc. Sholto-Douglas Stewart)

Drechsler Horst

Drexler Anton

Du Bois William Edward B.

Duft Gustav

Duignan Peter J.

Düring, porucznik niemieckich wojsk kolonialnych

Eckenbrecher Margarethe von, z d. Hopfer

Eckl Andreas E.

Ehmann Annegert

Ehrhardt Hermann

Eich Friedrich

Eich Wilhelm

Eisner Kurt

Eley Geoff (właśc. Eley Geoffrey Howard)

Elger August

Ellis John Edward

Epp Franz Xaver von

Epstein Klaus

Erichsen Casper W.

Erichsen Elisabeth

Erichsen Helao David W.

Erichsen Inatu I.

Erzberger Matthias

Estorff Ludwig Gustav Adolf von

Fabri Friedrich Gotthardt Karl

Fahlbusch Michael

Farrar Frederic William

Feltonowie

Fenschel Heinrich

Fetzer Christian

Fierla Damian Tomasz

Fischer Adolf

Fischer Eugen

Fischer Fritz

François Curt Carl Bruno von

François Hugo von

François, rodzina

Frank Hans

Franke Victor

Frauenstein, pani

Fredericks Cornelius

Fredericks Isak

Fredericks Joseph

Frenssen Gustav

Friedlander Henry

Friedrichsmeyer Sara L.

Friis Jens

Fuchs, niemiecki cywilny zarządca Swakopmundu

Galton Francis

Gann Lewis H.

Garay Perez Nelson

Gaseb Ivan

Gases Mette

Gathman Helene

Gaydish Jeff (właśc. Gaydish Jeffrey S.)

Gerecke Henry Fred

Gewald Gertie, z d. Janssen

Gewald Jan-Bart

Gifford Prosser

Gilbert Gustave Mark

Gladstone William Ewart

Glauer Adam Alfred Rudolf, zob. Sebottendorf Rudolf von

Gobineau Arthur de (właśc. Gobineau Joseph Arthur de)

Goebbels Joseph (właśc. Goebbels Paul Joseph)

Goldammer Hugo von

Goldblatt Israel

Golinelli Angelo

Goodrick-Clarke Nicholas

Gordon Harold J., Jr.

Gordon Rinda

Gordon Robert James

Gorges E. Howard (właśc. Gorges Edmond Howard)

Göring Franziska, z d. Tiefenbrunn

Göring Heinrich Ernst

Göring Hermann Wilhelm

Gretschel Finn

Gretschel Jessica

Gretschel Narla

Gretschel Rudiger

Griffith Percival

Grimm Hans Emil Wilhelm

Gritzbach Erich

Grobler John

Gühne, lekarz w obozie na Shark Island

Gurirab Gerhardt

Gürtner Franz

Haack Werner

Haar Ingo

Haeckel Ernst Heinrich Philipp

Hagenbeck Carl Gottfried Wilhelm

Haiping Dan

Halder Franz

Händel Georg Friedrich

Harlech-Jones Aulden

Harlech-Jones Rachael

Haushofer Karl Ernst

Hayes Patricia

Hendrik Hans

Henryk Żeglarz, książę Viseu

Herbig Otto

Hess Rudolf Walter Richard

Heyde Hermann Heinrich Sigismund von der

Heydel Magdalena

Heyden Ulrich van der

Heydrich Reinhard

Heywood Annemarie

Hillebrecht Werner

Himmler Heinrich

Hindenburg Paul von (właśc. Beneckendorff und von Hindenburg Paul von)

Hintrager Oskar

Hitler Adolf

Hochschild Adam

Hohenlohe-Langenburg Ernst zu II

Hohenlohe-Langenburg Hermann Ernst Franz zu

Holzapfel Ludwig

Holzapfel Meta, z d. Brill

Hoogenhout Petrus Imker

Höpker Lydia

Horne John N.

Huebschle Tim

Hull Isabel Virginia

Hülßen-Haeseler Dietrich von

Indongo Bes

Indongo Claus

Indongo Gütte

Indongo Inatu, zob. Erichsen Inatu I.

Indongo Joe

Indongo Leona

Irlé Johann Jakob

Isenbecker Kim

Ithana Ndapewa

Iyambo Hage

Izaak Samuel

Jafta Petrus

Jagow Gottlieb von

Jan II, król Portugalii

Jitschin Constantin

Jobst Walter

Jochmann Werner

Jod Petrus

Johnson Harold F.

Kahr Gustav von

Kaiser David E.

Kamaheke Gerard

Kambazembi Salatiel

Kämpffer, niemiecki osadnik w Afryce Południowo-Zachodniej

Kapp Wolfgang

Kaputu Alex

Kariko Samuel

Karumbi Unjekererua

Kasche Siegfried

Katjavivi Peter H.

Katjipuka Sibolile Uno

Kavezeri Joel

Kazondú Jata

Keating Roly (właśc. Keating Roland Francis K.)

Keitel Wilhelm

Kempner Robert Max

Kerina Mburumba

Kershaw Ian

Ketterler Klemens August von

Kipling Rudyard (właśc. Kipling Joseph Rudyard)

Kitchener Horatio Herbert

Koch Erich

Kock Willem J. de

Kolumb Krzysztof (właśc. Colombo Cristoforo)

Koper Simon

Korsch Karl

Kramer Alan

Kreplin Emil

Krüger Gesine

Krumbach Josef H.

Kuhanga Irleyn

Kuhlmann August

Kuhn Philaethes

Kühne Horst

Külbel, pani

Kürle Adolf

Kusserow Heinrich von

Kutako Hosea

Laaf Emil

Ladeburg H.

Lambert Andreas (lub Andries)

Lammers Hans Heinrich

Lange Brunhilde

Lange, niemiecki farmer z osady Barmen

Lange, pani

Lange, rodzina

Langsdorff Werner von (właśc. Schultze von Langsdorff Werner)

Lappin Chris

Lardner-Burke John Dermot

Large David Clay

Lau Brigitte Erna Charlotte

Law Adrew Bonar

Ledebour Georg

Lehmann Julius Friedrich

Lenin Włodzimierz (właśc. Uljanow Władimir)

Lennox Sara

Lenz Fritz

Leopold II, król Belgów

Lettow-Vorbeck Paul Emil von

Leutwein Paul

Leutwein Theodor Gotthilf

Leviné Eugen

Levy Morten

Lewala Zacharius

Lewis Robert

Lindequist Friedrich von

Lindequist Oskar Fromhold Friedrich von

Lindqvist Sven

List Steffen

Liulevicius Vejas Gabriel

Lloyd George David

Lochner Louis P. (właśc. Lochner Louis Paul)

Lohse Heinrich

Lombroso Cesare

Lorang Wilhelm

Louis William Roger

Lower Wendy

Lubowski Wilfried

Ludendorff Erich

Ludendorff Mathilde Friederike Karoline, z d. Spiess; ° v. von Kemnitz, ° v. Kleine

Lüderitz Adolf (właśc. Lüderitz Franz Adolf Eduard)

Ludwik III, król Bawarii

Lukacs John Adalbert (wcześn. Lukács János Albert)

Lusane Clarence

Luschan Felix von

Lush David

Lush Kanjoo

Lüttwitz Walter von

Maasdorp Eben

Maass, niemiecki osadnik w Okahandji

Maecker Ludwig von (właśc. Maercker Georg Ludwig Rudolf von)

Maharero

Maharero Friedrich (lub Frederick)

Maharero Samuel

Maharero Wilhelm

Maksymilian, książę Badonii

Malzahn Emil

Manasse I, wódz Czerwonego Ludu

May Karol (właśc. May Karl Friedrich)

Mayr Karl

Mazower Mark A.

Mberira Shasheeda

McNabb John

McNabb, rodzina

Meinecke Gustav

Mendel Gregor Johann

Mengele Josef

Merriman John Xavier

Meyer Hans

Mohri Karl

Mollison Theodor

Moltke Helmut Karl Bernhard von

Morenga Jakob

Mosley Leonard

Mossolow Nikolai

Müller Richard

Müller-Hill Benno

Mupetami Mimi

Murray Judy

Murray Nyasha

Murray Steve

Murray-Browne Kate

Muurholm, rodzina

Nachtigal Gustav

Namhila Ellen

Napoleon III, cesarz Francuzów

Napoleon Eugeniusz Bonaparte (Napoleon IV)

Neary Sean

Nels Louis

Nettelbladt von, ekspert do spraw Afryki Południowo-Zachodniej

Nielsen Flemming G.

Niet Alex

Nietzsche Friedrich Wilhelm

Noakes Jeremy

Norgaard Carsten

Nuhn Walter

Nyhof Hermann L.

O'Reilly Thomas Leslie

Ojomo Olorunjube Franklin

Oseu, rodzina

Olusoga David

Olusoga Marion

Owens Janet

Owens Teis W.

Painter Susie

Pape Günter Andreas

Pauli Peter

Peck Abraham J.

Penny H. Glenn

Petersen Alvina

Petersen Hans

Petropoulos Jonathan

Pierer, major niemieckich wojsk kolonialnych

Pilet, pani

Ploetz Alfred Julius

Pogge von Strandmann Hartmut

Pool Gerhardus

Poole Michael

Presgrave Edward L.

Preyer Wilhelm Thierry

Pridham Geoffrey

Radford David

Rasool Ciraj

Ratzel Friedrich

Reade William Winwood

Reche Otto

Rechenberg Albrecht von (właśc. Rechenberg Georg Albrecht Julius von)

Reinhard Wilhelm

Reynolds Henry

Rhodes Cecil

Riarua Assa

Richie Alexandra

Richthofen Manfred von

Riefenstahl Leni (właśc. Riefenstahl Helene Bertha Amelie)

Ritchie Eric Moore

Rodenwald Ernst Robert Carl

Röhl John Charles Gerald

Rohlfis Gerhard

Röhm Ernst Julius Günther

Rohrbach Paul Carl Albert

Roosevelt Theodore

Rosenberg Alfred Ernst

Ross Adam

Ross Robert

Rossbach Gerhard

Roth John K

Rümann Wilhelm

Rusch Walter K.E.

Rust Conrad

Sauer Carl O.

Schaeffer, piekarz

Schafft Gretchen E.

Schering Rudolf

Schlieffen Alfred von

Schmidt Karl

Schrank Gilbert Isaac

Schultze Leonhard Sigmund

Schultze Walter August Ludwig

Schwabe Kurd

Schwarz Bastian

Schweinitz Hans Hermann von

Scott Charles P.

Sebottendorf Rudolf von (wcześn. Glauer Adam Alfred Rudolf)

Sebulon

Seifert Otto

Seitz Theodor

Seti Jack

Shirer William Lawrence

Shityuwete Helao

Shityuwete Jane

Silvester Jeremy

Sinclair Lorna

Smith Woodruff David

Smuts Jan Christiaan

Solf Hanna (właśc. Solf Johanna Susanne Elisabeth), z d. Dotti

Solf Wilhelm Heinrich

Spellmeyer Christian

Spidle Jake W.

Spiecker Johannes

Stahmer Otto

Stalin Józef (właśc. Dżugaszwili Iosif)

Stanley Henry Morton (właśc. Rowlands John)

Stauch August

Steenkamp, rodzina

Steubel Oskar

Stevens, odkrywca złota w Afryce Południowo-Zachodniej

Stevens R.H.

Stillfried und Rattonitz Georg von

Stoecker Helmuth

Strasser Gregor

Stuckart Wilhelm

Stuhlman Franz

Tabakowska Elżbieta

Tabel Werner

Tecklenburg Hans

Thomsen Anders

Tjamuaha Maharero, zob. Maharero

Tjienda Traugott

Tocqueville Alexis (właśc. Clérel de Tocqueville Charles Alexis)

Toland John Willard

Tolibadi James

Tooze Adam

Townsend Mary Evelyn

Trautmann, rotmistrz niemieckich wojsk kolonialnych

Traverso Enzo

Trench Frederick

Trotha Lothar von (właśc. Trotha Adrian Dietrich Lothar von)

Trotha Thilo von

Truman Harry

Turner Frederick Jackson

Urgoiti Gabs (właśc. Urgoiti Gabriel)

Urgoiti Momo

Urgoiti Moonira z d. Khan

Vedder Heinrich

Verschuer Otmar von

Vigne rodzina

Vogelsang Heinrich

Voigts Gustav

Volkman Richard Dietrich

Wagner Gerhard

Waldersee Alfred Heinrich Karl von

Walker Charles

Walker Henry Francis Bell

Walther Daniel Joseph

Wasserfall Georg

Wehler Hans Ulrich

Weikart Richard

Westernhagen von, porucznik; dowódca niemieckiego garnizonu w Batsebie

Wieczorek-Zeul Heidemarie

Wiesenthal Simon

Wiktoria, królowa W. Brytanii i Irlandii

Wildenthal Lora

Wilhelm I, cesarz Niemiec; król Prus

Wilhelm II, cesarz Niemiec; król Prus ,

Wilkie Simon

Williams Frieda-Nela

Wilson Sally-Ann

Wilson Thomas Woodrow

Wippermann Wolfgang

Wissmann Hermann Wilhelm Leopold

Witbooi Hendrik

Witbooi Hendrik, Jr.

Witbooi Isaak

Witbooi Peter

Witbooi Samuel

Witbooiowie, rodzina

Wittelsbachowie, dynastia

Woermann Adolph

Wulff Jørn

Wulff Karen

Wulff Natascha

Wünsch Dietlind

Wyk Hermanus van

Wykowie van, rodzina

Zantop Susanne

Zelewski Emil von

Zeller Joachim

Zelow, porucznik niemieckich wojsk kolonialnych

Zerua Barmenias

Zerua Katherine

Zerua Zacharias

Zimmerer Jürgen

Zimmerman Adrew

Zülow, komendant wojsk niemieckich w Lüderitz

Zürn Ralph

Zbrodnia Kajzera

Spis treści

ROZDZIAŁ 2 Żelazny kanclerz i król guana

ROZDZIAŁ 10 „Pokój oznaczać będzie śmierć dla mnie i mojego narodu”

ROZDZIAŁ 11. „Sami ponosicie winę za swoją niedolę”

ROZDZIAŁ 13 „Nasze nowe Niemcy na afrykańskiej ziemi”

Podziękowania

Tytuł oryginału
KAISER'S HOLOCAUST

Projekt okładki
Anna Pol

Zdjęcie na okładce
EAST NEWS

Redakcja
Małgorzata Dehnel-Szyc

Korekta
Jan Jaroszuk
Tomasz Wojtas

Indeks
Jan Jaroszuk

Copyright © by David Olusoga and Casper W. Erichsen, 2012

Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2012

Copyright © Piotr Tarczyński, 2012

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53, 02-953 Warszawa

ISBN 978-83-63387-51-8



Odwiedź
nas na



Plik ePub opracowany przez firmę eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl